

SŁYNNNA POWIEŚĆ O BALWIERZU, KTÓRY
ZOSTAŁ WIELKIM LEKARZEM



MEDICUS

NOAH GORDON



Książnica

NOAH GORDON
MEDICUS

Przełożyła z angielskiego
Maria Grabska-Ryńska



Książnica

WROCŁAW 2014

Tytuł oryginału
The Physician

Projekt okładki
MARIUSZ BANACHOWICZ

Fotografia na okładce
© Dm_Cherry

Redakcja
JUSTYNA STAWARZ

Korekta
JOANNA RODKIEWICZ

Skład
MPLUSM-PRACOWNIA

Cytaty z Biblii podano za Biblią Tysiąclecia, wyd. V, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych; oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2008.

W książce wykorzystano cytaty z Koranu w przekładzie Józefa Bielawskiego, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986.

Copyright © 1986 by Noah Gordon
All rights reserved

For the Polish edition © Publicat S.A., MMVIII, MMXIV (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.



Książnica

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Wydanie elektroniczne 2014

ISBN 978-83-245-8176-4

Publicat S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
e-mail: ksiaznica@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Dedykacja

Część I. Uczeń balwierz

Część II. Długa droga na Wschód

Część III. Isfahan

Część IV. Maristan

Część V. Wojna

Część VI. Hakim

Część VII. Powrót do domu

Podziękowania

*Ukochanej Ninie,
która dała mi Lorraine*

*Boga się bój
i przykazań Jego przestrzegaj,
bo cały w tym człowiek!
Księga Koheleta 12:13*

Dziękuję Ci, że mnie stworzyłeś tak cudownie...

Psalm 139:14

Nie potrzebują lekarza zdrowi,

lecz ci, którzy się źle mają.

Ewangelia wg św. Mateusza 9:12

...a umarłych wskresze Bóg.

Koran, s. 6:36

C z ę ś ć p i e r w s z a

Uczeń balwierza

1

Rok Szatana

Beztroskie dzieciństwo Roberta Jeremiasza Cole'a dobiegało właśnie końca, on jednak w naiwności swojej miał się za człowieka ciężko doświadczonego przez los, musiał bowiem siedzieć w domu i pilnować młodszego rodzeństwa. Wiosną słońce przesunęło się na tyle nisko, że promienie docierały pod okap strzechy, toteż Rob rozsiadł się z lubością na nagrzanym kamieniu przed progiem. Ulicą Ciesielską szła jakaś kobieta, omijając większe dziury w zrytej nawierzchni. Była to nędzna ulica, podobnie jak nędzna była większość skleconych z desek domków, w których mieszkali rzemieślnicy zajmujący się na co dzień stawianiem solidniejszych budowli dla tych, którym się bardziej w życiu poszczęściło.

Rob łuskał wczesny groszek, starając się jednocześnie nie spuszczać z oka dzieciarni, za którą był odpowiedzialny pod nieobecność matki. Sześcioletni Will i czteroletnia Marian grzebali się w ziemi, chichocząc i szepcząc sobie coś na ucho. Mały Jon, nakarmiony do syta kleikiem i rzetelnie poklepany po plecach, leżał na owczej skórze i gaworzył z zadowoleniem. Sam oczywiście zniknął. Ten sprytny siedmiolatek zawsze umiał się wyłgać od roboty i Rob był na niego wściekły. Łuskał kciukiem groch ze strączków, tak jak go nauczyła matka, kątem oka obserwując zbliżającą się kobietę. Była pulchna, w poplamionej sukni tak

głęboko wyciętej, że widać było uróżowane sutki wysoko podniesionych piersi. Robert miał dopiero dziewięć lat, ale jak każde londyńskie dziecko umiał rozpoznać ladacznicę.

– Te, mały! Czy to dom cieśli Nataniela, co go zwą Cole?

Spojrzał na nią wilkiem. Zdarzało się już, że takie kobiety przychodziły do ojca. Na szczęście ojciec wybrał się szukać pracy, a matka poszła odnieść hafty, dzięki czemu obejdzie się bez nieuchronnej kłótni.

– A kto pyta? – burknął.

– Przysłała mnie jego żona. Jest w potrzebie.

– Nie rozumiem. Jak to: w potrzebie? – Zręczne palce Roba zawisły w powietrzu.

Ladacznica przyjrzała mu się chłodno, wyczuwając jego wrogość.

– To twoja matka? – spytała.

Kiwnął głową.

– Zaczęła rodzić i kiepsko to wygląda. Jest w stajniach Egglestana przy nabrzeżu. Lepiej poszukaj ojca. – Obróciła się na pięcie i odeszła.

Robert rozejrzał się bezradnie.

– Sam!! – wrzasnął, lecz przeklętника oczywiście nie było. Przywołał więc następnego w kolejce Wilhelma, każąc mu zająć się młodszym rodzeństwem, a sam co sił w nogach pobiegł do domu cechowego.

Gdyby tak wierzyć temu, co ludzie gadają, należałoby okrzyknąć rok Pański 1021 – rok ósmej ciąży Agnieszki, żony cieśli Nataniela – rokiem Szatana. Obfitował w liczne klęski i złowróżbne znaki. Już poprzedniej jesieni siarczysty mróz skuł rzeki i zwarzył zbiory. Potem spadły deszcze, jakich dotąd nie bywało, powodując gwałtowną odwilż, i wysoka fala runęła Tamizą znosząc mosty i domy. Z nieba spadały gwiazdy, zostawiając jasne ślady

na nocnym firmamencie, a na dodatek jeszcze ukazała się kometa. W lutym zatrzęsała się ziemia. Podobno gdzieś piorun trafił w krucyfiks, utracając głowę Chrystusa. Ludzie szeptali, że Bóg i jego święci śpią. Pewne źródło przez trzy dni tryskało krwią, a po leśnych uroczyskach pokazywał się diabeł.

Agnieszka zabroniła najstarszemu synowi dawać wiarę tym pogłoskom, lecz na wszelki wypadek przykazała mu również prędko się przeżegnać, gdyby zobaczył lub usłyszał coś niezwyčajnego.

O, tego roku ludzie nie mieli za co dziękować Bogu. Zbiory się nie udały i głód zajrzał im w oczy. Nat przez cztery miesiące z górą nie zarobił ani grosza. Tylko dzięki hafciarskim zdolnościom Agnieszki mieli co włożyć do garnka.

Tuż po ślubie, nieprzytomnie w sobie zakochani, wierzyli, że mają przed sobą świetną przyszłość. Nataniel od sześciu lat był czeladnikiem, a wcześniej drugie tyle terminował w cechu. Planował, że gdy tylko zda egzamin mistrzowski i zacznie pracować na własny rachunek, rychło się wzbogaci. W cechu jednak awansowało się powoli, a starszyzna tak surowo oceniała każdą pracę, jakby sam król miał z niej korzystać. Na dodatek czasy były ciężkie i niewielu stać było na budowę domu. Gdzie się miał wykazać? Nataniel powoli tracił wiarę i w końcu dał za wygraną.

Zależeli od cechu, ale cech ich zawiódł. Wielu cieśli co dzień słyszało to samo: że nie ma dla nich pracy. Szukali pociechy w trunku; zawsze się znalazł dzban zaprawionego pimentem miodu albo wina. Podochoceni, sprowadzali sobie ladacznice i brali ją po kolei. Agnieszka wiedziała o tym od innych żon, lecz mimo zdrad Nataniela nie odmawiała mu swego ciała, gdyż podobnie jak on lubowała się w rozkoszach łoża. On zaś rzetelnie spełniał mężowską powinność i wkrótce po porodzie znów czynił ją

brzemienną – dopiero gdy zbliżał się jej czas, zaczynał znikać z domu.

Tak czy owak ponure przepowiednie ojca Agnieszki spełniły się niemal co do słowa. Kiedy córka już z brzuchem brała ślub z młodym cieślą, który zjawił się w Watfordzie, by postawić stodołę, Walter Kemp stwierdził gorzko, że gdy baba ma za dużo w głowie, niechybnie zejdzie na złą drogę.

Walter jako pierwszy z Kempów osiadł na roli. Od Etelreda z Wesseksu dostał kawałek ziemi w nagrodę za służbę zbrojną. Agnieszkę oddał na naukę do klasztoru, chcąc dobrze wydać ją za męża. (Każdy bogaty ziemianin potrzebował rządcy biegłego w piśmie i rachunkach, a komuż mógł bardziej zaufać niż żonie?) Jednakże nadzieje Waltera spełzły na niczym. Jego córeczka, jego pociecha, dała się uwieść byle łachudrze, przybłądzie nie wiadomo skąd. Ech, gdybyż miał syna! Zmarł w zgorzknieniu, a ziemię zabrał z powrotem król za zaległe podatki.

Pięć spędzonych w klasztorze lat było najszczęśliwszymi w życiu Agnieszki. Zakonnice nosiły kształtne ciżmy, habity z dobrej wełny i cieniutkie welony. Nauczyły ją czytać i pisać, trochę łaciny niezbędnej do modłów, a ponadto kroju, szycia niewidocznym ścięciem i pięknego płaskiego haftu, zwanego przez cudzoziemców angielskim. I oto dzięki niegdysiejszym ambicjom ojca właśnie te „dyrdymały”, których się nauczyła od zakonnice, dziś żywiły całą jej rodzinę.

Tego ranka długo się zastanawiała, zanim wyszła z domu. Jej czas się zbliżał; była już bardzo ociężała. Ale spiżarnia świeciła pustkami, należało kupić choćby mąki i kaszy, a na to trzeba było pieniędzy. Skończyła właśnie hafty dla kupca z drugiego brzegu rzeki. Owinęła je starannie i podreptała w stronę mostu.

Nad Tamizą jak zawsze kłębił się tłum jucznych zwierząt i tragarzy przenoszących towar z przepastnych magazynów na okręty, których maszty kołysały się przy nabrzeżu na podobieństwo targanego wichrem lasu. Otoczył ją głośny gwar, ożywczy niczym deszcz podczas suszy. Mimo wszystkich strapień była wdzięczna mężowi za to, że zabrał ją z Watfordu. Uwielbiała miasto.

– Ty suczy synu! Oddawaj pieniądze, ale już! – Rozwścieczona przekupka wrzeszczała na kogoś, kogo Agnieszka nie mogła dojrzeć. Śmiech splatał się z różnojęzycznym gwarem, przekleństwa padały gęsto, lecz bez złości.

Minęła obszarpanych niewolników taszczących na statek ciężkie kęsy żelaza. Psy obszczekiwały uginających się biedaków, pot rosił ich ogolone głowy. Od niemytych ciał bił czosnkowy odór, mieszając się z metaliczną wonią. O wiele przyjemniejszy zapach unosił się nad wózkiem, przy którym jakiś człowiek zachwalał paszteciki z mięsem. Ślina napłynęła Agnieszce do ust, lecz miała w mieszkku tylko jednego miedziaka, a w domu głodne dzieci.

– Paszteciki! Pasztesy! – wołał przekupień. – Gorące i smakowite jak grzech!

W słońcu nabrzeże pachniało żywicznym drewnem i smołą, którą napuszczano liny. Agnieszka położyła rękę na brzuchu. Ona także nosiła w sobie cząstkę morza. Pływało w nim jej dziecko, kołysząc się jak te statki. Na rogu ulicy grupka żeglarzy z kwiatami zatkniętymi na czapkach wyrzaskiwała sprośną piosenkę; trzech muzykanci przygrywali im na piszczałce, bębenku i harfie. Kiedy ich mijala, zauważyła mężczyznę w sile wieku opartego o wóz wymalowany w dziwne, zdobne gwiazdami sylwetki ludzi i zwierząt. Rzednące włosy miał ciemne jak i brodę, twarz rumianą i wyrazistą; byłby pewnie przystojniejszy od Nataniela, gdyby nie tusza: dźwigał przed sobą brzuch równie wielki jak ona. Co dziwne,

ten pękaty bęben nie wydawał się wstrętny, raczej rozbrajający. Znamionował człowieka życzliwego dla bliźnich i aż nazbyt rozkochanego w urokach życia. W niebieskich oczach grubasa migotały filuterne ogniki, którym towarzyszył lekki uśmiech błakający się po wargach.

– Pójdź do mnie, moja śliczna! – wykrzyknął.

Rozejrzała się zaskoczona, lecz w pobliżu nie było żadnej innej kobiety. Fuknęła z oburzeniem. Normalnie zmroziłaby wzrokiem hultaja i więcej się nie obejrzała, ale mając poczucie humoru doceniała je u innych, on zaś miał go w nadmiarze.

– Niebo mi cię zesłało. Oddam za ciebie życie! – zawołał za nią.

– Już nie trzeba! – zaśmiała się. – Chrystus oddał życie za nas wszystkich!

Uniosła dumnie głowę, wyprostowała plecy i podtrzymując ręką wzdęty brzuch odeszła kołyszając się zalotnie w biodrach. Już dawno nikt jej nie uwodził nawet żartem, toteż bzdurna pogawędka znacznie podniosła ją na duchu. Wciąż uśmiechnięta przepychała się dalej ulicą Nadrzeczną. Blisko Puddle Dock nagle chwyciły ją bóle.

– Matko Boska... – wyszeptała.

Ból zaczął się w podbrzuszu, lecz rozdarł całe ciało, zaćmił jej umysł i odjął władzę w nogach. Osunęła się na bruk, czując, że odchodzą wody.

– Na pomoc! – zawołała. – Niech mi ktoś pomoże!

Zlecieli się gapie, londyńska gawiedź zawsze łąsa widowiska. Widziała wokół ich nogi; twarze jak przez mgłę. Jęknęła.

– Odsuńcie się, psubraty – warknął pacholek rozwożący piwo. – Baba nie ma czym oddychać. I dajcie człowiekowi zarobić na chleb, zabierzcie ją z ulicy, bo nie przejadę wozem!

Zanieśli ją gdzieś, gdzie było ciemno, zimno i śmierdziało gnojem. Po drodze ktoś skradł jej hafty. W mroku poruszały się masywne

kszałty, dało się słyszeć głośne rzenie i ostre stuknięcie kopyta o deskę.

– Gdzie, do licha?! Kogo mi tu wnosicie? – awanturował się niski szczerbaty brzuchacz. Agnieszka poznała jego głos: należał do właściciela stajni. Jakoś rok temu Nat poprawiał mu tu boksy.

– Mistrzu Egglestan! – wyjęczała. – Jestem Agnieszka, żona cieśli Cole’a, znasz go przecież!

Po twarzy grubasa przemknął błysk rozpoznania, a w ślad za nim kwaśny grymas – uświadomił sobie, że nie może jej wyrzucić. Ciekawscy tłoczyli się we wrotach za jego plecami.

– Błagam... – szepnęła. – Niech się ktoś zlituje i sprowadzi mojego męża.

– Nie mogę zostawić stajni – mruknął Egglestan. – Musi iść kto inny.

Nikt z gapiów się nie odezwał. Agnieszka z trudem rozsuptała mieszek i wyjęła miedziaka.

– Błagam... – powtórzyła.

– Ja spełnię chrześcijański obowiązek – zgłosiła się skwapliwie jakaś kobieta, sądząc z wyglądu, ulicznica. Jej palce zacisnęły się na monecie jak szpony.

Ból był nie do zniesienia, choć przecież z latami nawykła do porodów, każdy następny był szybszy i łatwiejszy. Urodziła pięcioro, dwoje poroniła, ale nawet te żywe wyskakiwały z łona jak śliskie ziarnka groszku. Nigdy dotąd jej tak strasznie nie bolało. Święta Agnieszko, modliła się w duchu, z trudem znajdując słowa, święta Agnieszko, wspomóżycielko jagniąt, zmiłuj się nade mną... Zawsze modliła się do swej patronki i za każdym razem święta Agnieszka przychodziła jej z pomocą, ale ósme dziecko tkwiło w niej jak olbrzymi kolczasty czop.

Jej krzyk zwrócił uwagę przechodzącej akuszerki. Podchmielona starucha zajrzała do stajni i stekiem złorzeczeń przepędziła gapiów. Stanęła nad Agnieszką, patrząc na nią z niesmakiem.

– Te przeklęte chłopy położyły cię w gównie – sarknęła.

Przenosiny nie miały sensu; wszędzie było równie brudno. Położna zadarła spódnice Agnieszki powyżej pasa, odgarnęła cuchnącą słomę sprzed rozwartego łona i wytarła ręce w poplamiony fartuch. Następnie wydobyla ze swojego tobołka garnuszek smalcu ciemnego od krwi innych kobiet i nasmarowawszy nim ręce wsunęła najpierw dwa palce, potem trzy, a potem całą dłoń do pochwy rodzącej, która wyła już jak zwierzę.

– Boleć to dopiero będzie, gołąbko – stwierdziła po chwili, smarując sobie przedramiona aż do łokci. – To maleństwo jak rośło ci w brzuchu zwinięte w kłębek, tak i postanowiło wyjść. Zadkiem naprzód.

2

W cechu

Uświadomiwszy sobie, że musi znaleźć ojca, Robert skręcił do domu cechowego, każde bowiem rzemieślnicze dziecko wiedziało, gdzie w razie potrzeby ma szukać pomocy.

Stary dom o ścianach z szachownicą bali wypełnionych plecionką i pokrytych grubą warstwą tynku, który co parę lat trzeba było odnawiać, znajdował się przy końcu ulicy Ciesielskiej. W przestronnej izbie, na prostych ławach przy stołach zbitych przez cechowych towarzyszy, siedziało kilkunastu mężczyzn w skórzanych kaftanach, z narzędziami poutykanymi za pas. Byli wśród nich

sąsiedzi i członkowie „dziesiątki” Nata Cole’a, ale jego samego nie zastał.

Dla londyńskich rzemieślników cech był wszystkim – pośrednictwem pracy, apteką, przedsiębiorstwem pogrzebowym, kółkiem towarzyskim, ośrodkiem pomocy w okresach bezrobocia, sądem rozjemczym, a także rygorystyczną władzą polityczną i moralną. Cieśle zorganizowani byli w cztery setki, z których każda liczyła dziesięć dziesiątek. Te zbierały się oddzielnie w mniejszym gronie. Dopiero gdy któryś z członków dziesiątki zmarł, przewlekłe zachorował lub na stałe opuścił Londyn, przyjmowano do niej nowego towarzysza – zwykle spośród oczekujących synów członków cechu. Rozstrzygające słowo miał zawsze starszy, sprawujący w cechu władzę bliską monarszej. W owym czasie starszym londyńskich cieśli był Ryszard Bukerel i do niego właśnie udał się Rob.

Bukerel miał pochyłe ramiona, jakby zgarbił się pod brzemieniem odpowiedzialności. Zdawał się wyciosany z czarnego dębu: włosy miał czarne, oczy barwy dębowej kory, nosił obcisłe portki, suknię i kubrak z wełny ufarbowanej w łupinach orzecha na ciemny brąz. Twarz, ogorzałą przy budowie setek domów, także miał ciemną jak mocno wyprawiona skóra. Niczego nie robił pochopnie. Teraz z rozważą wysłuchał Roba.

– Nie ma tu Nataniela, chłopcze.

– Nie wiesz, mistrzu, gdzie go szukać?

Bukerel zawahał się.

– Poczekaj – rzekł po chwili i podszedł do siedzących mężczyzn. Do Roba doleciały tylko oderwane słowa i pełne zgorszenia fuknięcie starszego: – Z tą suką?

Wróciwszy do chłopca, mistrz Bukerel powiedział:

– Pędź teraz do matki. Wiemy, gdzie jest Nataniel, sprowadzimy go na miejsce.

Rob wybąkał podziękowanie i pobiegł dalej klucząc między ciężkimi wozami, omijając pijaków i przepychając się przez tłum. Po drodze spostrzegł młodego Tite'a, zwanego w okolicy Szcylem, swego zawziętego wroga, z którym w ubiegłym roku trzykrotnie miał ciężką przepawę. Szczyl z dwójką sobie podobnych szcurów portowych dokuczał właśnie pracującym na nabrzeżu niewolnikom. Nie próbuj mnie zatrzymać, pomyślał chłodno Rob, bo cię zabiję. Nie próbuj... Pewnego dnia zabiję także ojca. Co za bydlak.

Jeden z trójki wskazał go palcem, ale Rob już był daleko. Kłuło go w boku, mimo to nie zwalniał. Bez tchu wpadł do stajni Egglestana, gdzie zobaczył nieznaną staruchę, która owijała w płótno nowo narodzone dziecko. Wokół śmierdziało końskim nawozem i krwią. Matka leżała na zgnojonym klepisku, oczy miała zamknięte, twarz bladą. Zdumiało go, jaka jest mała.

– Mamo!

– Jesteś jej synem? – odezwała się stara.

Skinął głową, ledwie dysząc. Akuszerka kaszlnęła i splunęła na ziemię.

– Teraz musi sobie biedaczka odpocząć – powiedziała.

Ojciec przyjechał wozem pożyczonym gdzieś przez mistrza Bukerela. Rob nawet na niego nie spojrział. Towarzysze ciesielscy wymościли wóz słomą i przenieśli nań położnicę, a następnie zawieźli ją do domu wraz z maleńkim chłopaczkiem, który na chrzcie miał otrzymać imię Roger. Ilekroć w domu pojawiała się niemowlę, matka pokazywała je rodzeństwu z radością i dumą. Teraz jednak leżała bez ruchu jak kłoda, patrząc na posyty strzechą strop. W końcu Cole poszedł po sąsiadkę.

– Nie da rady nawet karmić dzieciaka – żalił się jej po drodze.

– Może jeszcze wydobrzeje – pocieszyła go wdowa po cieśli Lanningu. Na szczęście słyszała o mamce i zaniosała do niej dziecko ku wielkiej uldze Roba. Dość miał roboty przy pozostałej czwórce. Jon, przyuczony już do czystości, bez nadzoru matki natychmiast znów zaczął się moczyć.

Ojciec przesiadywał teraz w domu. Rob rzadko go zagadywał i starał się raczej schodzić mu z drogi. Brak mu było codziennej matczynej krzątaniny, tęsknił za lekcjami, jakie co dzień mu dawała. W przeciwieństwie do księży od Świętego Botulfa nie karała go za błędy, a śmiali się przy tym tyle, że nauka była świetną zabawą. Nie znał drugiej osoby mającej w sobie tyle ciepła i czułości co jego matka.

Opiekę nad malcami scedował na Sama, przykazawszy mu zabawiać ich poza domem. Wieczorem Marian z płaczem upomniała się o kołysankę. Utulił ją, nazwał piękną panną, a potem rad nierad śpiewał o puchatych króliczkach i małych ptaszkach w gniazdku, dziękując Bogu, że nie słyszą tego chłopaki z portu. Dziewczynka miała krągłą buzię i w ogóle była pulchna; podobno – jak mówiła mama – po Kempach, od których wzięła i inne cechy, łącznie z rozdziawianiem ust podczas snu.

Nazajutrz twarz Agnieszki wreszcie nabrała kolorów, ale nie był to zdrowy rumieniec. Miała gorączkę. Targały nią dreszcze, mimo że ponakrywali ją czym się dało.

Trzeciego dnia rano, podając matce wodę, Rob dotknął jej twarzy i przeraził się, tak była rozpalona. Dyszała ciężko, z ust bił jej przykry zapach. Pogłaskała go po dłoni.

– Mój dzielny synek... – wyszeptwała. – Mój mały mężczyzna...

Kiedy wziął ją za rękę, doznał wstrząsu: nagle uświadomił sobie, co się stanie. Poczuł, jak włos jeży mu się na głowie. Skamieniały ze zgrozy, chciał krzyknąć, zapłakać, lecz nie zdołał. Nawet człowiek

dorosły osłupiałby wobec tak wyrazistego przecucia, a on był przecież ledwie chłopcem. Kurczowo ścisnął dłoń matki, mimo woli sprawiając jej ból. Dostrzegł to ojciec i oczywiście dał mu po łbie.

Na drugi dzień rano już nie żyła.

*

Nataniel płakał. Dzieci nigdy dotąd nie widziały go takim, zbiły się więc w gromadkę, spłoszone i blade. Nie dotarło do nich jeszcze, że matka odeszła na zawsze.

Pogrzebem zajął się cech. Żony zamieszkałych w sąsiedztwie rzemieślników przysły umyć zmarłą i przysposobić ją do pochówku. Dawniej odnosiły się do niej nieufnie, twierdząc, że zadziera nosa, teraz jednak gotowe były jej wybaczyć nawet umiejętność czytania i pisania. Naznosiły rozmarynu; Rob do końca życia znienawidził ten zapach. W innych, lepszych czasach mężczyźni przybyliby dopiero wieczorem, po pracy, lecz dziś wielu nie miało żadnego zajęcia, czuwali więc przy zwłokach wraz z kobietami. Hugo Tite, ojciec Szczyła (mimo różnicy wieku łudzaco doń podobny), złożył im wizytę jako przedstawiciel nieformalnej grupy zaopatrującej w trumny zmarłych członków cechu. Z rozmachem klepnął wdowca w plecy.

– Mam zapasik twardych sosnowych desek. Resztki z karczmy Bardwella, stawialiśmy ją w zeszłym roku, pamiętasz? Piękne drewno, będzie z niego zacna trumna dla twojej małżonki.

Hugo był nisko kwalifikowanym wędrownym cieślą i Cole traktował go dość pogardliwie. Rob na własne uszy słyszał nieraz, że Tite nie umie nawet zadbać o narzędzia. Teraz wszakże Nataniel pokiwał tępo głową i sięgnął po dzban.

Cech zapewnił żałobnikom obfitość jadła i trunku, tylko bowiem na stypie można było swobodnie sobie pofolgować. Był zatem

jabłecznik, piwo jęczmienne i słodowe, morwowe wino nazywane moratem, pitny miód i jego korzenna odmiana zwana meteglinem, a przede wszystkim wierny druh i pocieszyciel cieśli – piment. Towarzysze przynieśli pęczki pieczonych kuropatw i przepiórek, zające oraz inną dziczyznę, wędzone śledzie, świeżo złowione pstrągi i płastugi, a także wiele bochnów chleba.

Członkowie cechu zobowiązali się złożyć po dwa pensy i przekazać zebraną sumę na biednych w intencji świętej pamięci Agnieszki. Wybrali spośród siebie paru, którzy wykopali grób, i tych, którzy ponieśli trumnę do kościoła. Proboszcz od Świętego Botulfa z roztargnieniem odśpiewał mszę i polecił zmarłą łasce Jezusowej, a towarzysze cechowi odmówili za jej duszę dwa psalmy. Pochowano ją pod młodym cisem.

W trakcie pogrzebu parę niewiast zagrzało strawę i przygotowało stypę. Wszyscy siedli do uczy, która trwała kilka godzin, śmierć sąsiadki bowiem pozwoliła innym wreszcie najeść się do syta. Lanningowa usiadła przy dzieciach zmarłej, demonstracyjnie podsuwając im co lepsze kąski i tuląc przemocą do swoich obfitych, skropionych pachnidłem piersi. Ale kiedy Willowi zrobiło się niedobrze, to Rob wyprowadził go za dom i Rob go podtrzymawał, gdy malcem targały torsje. Wdowa ograniczyła się do pogłaskania go po głowie i orzekła, że to z żalu po matce. Rob skłonny był raczej podejrzewać jej specjały i do końca stypy trzymał rodzeństwo z dala od marynowanego węgorza.

Oczywiście rozumiał, czym jest śmierć. Nieraz jednak uświadamiał sobie, że czeka na powrót matki. Wcale by się nie zdziwił, gdyby weszła do izby niosąc kosz zakupów z targu albo i pieniądze od handlarza z za mostu.

– *Czas na dawne dzieje, Rob. Jakie to ludy sześć wieków temu najechały Brytanię?*

- *Anglowie, Jutowie i Sasi, mamo.*
- *A skąd oni przybyli, kochanie?*
- *Z Germanii i Danii. Pokonali Brytów na wschodnim wybrzeżu i założyli królestwa Nortumbrii, Mercji i Wschodniej Anglii.*
- *Skąd mój synek ma aż tyle rozumu?*
- *Od mądrej matki.*
- *Daj buzi, skarbie. Jednego całuska masz za matkę, drugiego za ojca. Nie zapominaj, że masz też mądrego ojca...*

Ku zaskoczeniu Roberta ojciec pozostał z nimi. Chwilami zdawało się, że chce porozmawiać z dziećmi, lecz jakoś nie mógł się na to zdobyć. Większość czasu spędzał przy naprawie strzechy. Parę tygodni po pogrzebie, gdy bolesne odrętwienie zaczęło dopiero mijać i Rob powoli oswajał się ze świadomością, że jego życie uległo nieodwracalnej zmianie, ojciec znalazł wreszcie pracę.

W nadrzecznym mule, brunatnym i grząskim, roją się świdraki, które oprócz statków niszczą także drewniane umocnienia nabrzeży, co pewien czas zatem trzeba je wymieniać. To harówka, jakże różniąca się od budowy pięknych domów, ale i za taką Nat dziękował Bogu.

Obowiązki domowe spadły na Roberta, choć z gotowaniem radził sobie nie najlepiej. Lanningowa czasem go w tym wyręczała albo przynosiła coś od siebie – zwykle wtedy, gdy ojciec był w domu. Była wówczas zawsze starannie ubrana i bardzo dla nich miła. Ta tęga, lecz apetyczna niewiasta miała rumianą twarz, wysokie kości policzkowe i spiczasty podbródek oraz drobne pulchne dłonie, których nie lubiła przemęczać.

Robert zawsze zajmował się młodszym rodzeństwem, teraz wszakże stał się ich jedynym opiekunem, z czego nie był zbyt rad ani on, ani malcy. Jon i Marian wciąż popłakiwali, Will stracił apetyt, buzia mu się zapadła i widać w niej było głównie oczy. Sam

rozzuchwiał się nad wszelką miarę; znosił z ulicy przekleństwa, którymi obrzucał brata z tak złośliwą uciechą, że wyprowadzony z równowagi Rob w końcu spuścił mu porządne lanie. Nieraz się zastanawiał, jak w danej sytuacji postąpiłaby matka.

Co rano, nakarmiwszy Jona papką, a resztę jęczmiennym chlebem, czyścił palenisko znajdujące się pod dymnikiem, przez który przy każdym deszczu z sykiem wpadały w ogień gęste krople. Wynosił popiół, zamiatał podłogi i wycierał z kurzu nieliczne sprzęty w ciasnych izbach. Trzy razy w tygodniu chodził na targ. (Mamie wystarczała jedna taka wyprawa na tydzień.) Wielu przekupniów znało Roba z widzenia. Za jego pierwszą bytnością ten i ów do wyrazów współczucia dorzucił parę jabłek, kawałek sera, pół solonego dorsza. Po paru tygodniach okres ochronny minął; Rob jako stały bywalec targowiska nauczył się targować jeszcze zacieklej niż ongiś matka. Niech nie myślą, że młodego mogą oszukać! Wracał zawsze powoli, noga za nogą. Wcale mu nie było spieszno przejmować od Willa uciążliwe brzemie opieki nad dziećmi.

Mama wymogła na ojcu zgodę, by w tym roku posłać Sama na naukę do Świętego Botulfa. Wcześniej Rob chodził do nich przez dwa lata, potem przerwał, by ona miała czas haftować dla zarobku. Teraz ani mowy nie będzie o szkole, skoro ojciec uważa ją za stratę czasu. Rob tęsknił za nauką. Przemierzał gwarne, ciasne, liche uliczki, prawie już nie pamiętając, że kiedyś myślał głównie o zabawie, a bał się Szczyła i jego kompanów. Dziś nawet gdy ich spotykał, dawali mu spokój, jakby strata matki uczyniła go nietykalnym.

Któregoś wieczoru ojciec mu powiedział, że dobrze się spisuje.

– Zawsze byłeś nad wiek dorosły – rzekł niemal z przyganą. Spojrzeli na siebie speszeni, nie mając sobie wiele więcej do powiedzenia.

Jeśli nawet Nataniel wciąż chodził do ladacznic, czynił to dyskretnie. Rob w każdym razie nigdy o tym nie słyszał. Nie przestał go nienawidzić, zwłaszcza gdy wspomniał los matki, ale doceniał to, że ojciec wreszcie wziął się w garść. Mama byłaby zachwycona.

On sam chętnie przekazałby malców pod opiekę sąsiadce, z nadzieją przyglądał się więc jej zabiegom. Okoliczni plotkarze już mu donieśli, że jest kandydatką na jego macochę. Była bezdzietna; Lanning półtora roku wcześniej zginął przygnieciony spadającą belką. Nat, jako wdowiec obarczony małymi dziećmi, miał moralny obowiązek jak najszybciej pojąć nową żonę. Nikt zatem się nie dziwił, że odwiedza pulchną wdowę. Wizyty te nie były jednak częste, bo wieczorami padał z nóg. Całymi dniami ciosał potężne pale falochronu z twardego jak kamień czarnego dębu – podczas odpływu wbijali je głęboko w dno rzeki. Pracował w wilgoci i chłodzie. Jak wielu innych męczył go suchy kaszel; wracał do domu obolały ze zmęczenia. Z mulistego dna Tamizy wydobywali strzępy historii: rzymski skórzany sandał z długimi rzemieniami do wiązania w kostce, ułamaną dzidę, różne skorupy. Kiedyś przyniósł Robowi ostry jak nóż płaski krzemienisty grot znaleziony na głębokości dwudziestu stóp.

– Rzymski? – zapytał przejęty Rob.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Pewnie saski.

Ale co do pochodzenia monety znalezionej parę dni później nie było wątpliwości. Robert zmoczył popiół z paleniska i mozolnie ją doczyścił. Z jednej strony poczerńiałego krążka pojawiły się słowa: *Prima Cohors Britanniae Londinii*. Kościelna łacina Roba ledwie wystarczyła do ich odcyfrowania.

– Wybita chyba na pamiątkę pierwszej kohorty przybyłej do Londynu – powiedział.

Z drugiej strony widniał Rzymianin na koniu i trzy litery: IOX.

– Co to znaczy IOX? – zapytał ojciec.

Robert nie miał pojęcia. Mama by wiedziała. Poza nią nie miał kogo spytać. Na razie więc schował monetę.

Tak przywykli do kaszlu ojca, że przestali go słyszeć. Pewnego ranka – Rob czyścił właśnie palenisko – zza drzwi dobiegły kroki i jakieś szuranie, a gdy je otworzył, ujrzął Harmana Siwego z brygady ojca i dwóch niewolników najętych w porcie. Nieśli Nataniela.

Niewolnicy bardziej wystraszyli Roba niż żółta, bezkrwista twarz omdlałego ojca i jego opadająca bezwładnie głowa. Cole nie był ułomkiem, lecz w ich rękach zdawał się nic nie ważyć. Byli wielcy i krzepcy, odziani w łachmany; mieli ogolone głowy i śmierdzieli pod niebiosa. Rob nie wiedział, czy są to obcy jeńcy czy jego rodacy, bo żaden się nie odezwał; patrzyli na niego tylko oczyma bez wyrazu. Człowiek mógł stracić wolność w różny sposób, choćby na wojnie, jeśli miał zabić, darowano mu życie; stawał się wówczas własnością tego, który go pokonał. Na niewolę skazywano również za zbrodnie. Podobnie tracili wolność ludzie niezdolni do spłaty długów lub nałożonych grzywien, a wraz z nimi ich żony, dzieci oraz przyszłe pokolenia.

– Co się stało? – spytał.

Siwy wzruszył ramionami.

– Zwykła bieda. Co drugi z nas na to cierpi, jeno kaszle i słuwa. Ale Nat był już taki słaby, że gdy tylko zabraliśmy się do cięższej roboty, padł jak ścięty. Niech sobie chłop wypocznie, to z Bożą pomocą wróci jeszcze do pracy.

Nazajutrz rano Nat ledwie mówił i nie miał sił zwlec się z łóżka. Lanningowa przyniosła mu gorący napar z miodem. Gdy się przy nim krzątała, zagadywał do niej poufałym szeptem i raz czy dwa ją rozśmieszył. Na drugi dzień jednak miał wysoką gorączkę i nie był w nastroju do figli, toteż wdowa szybko sobie poszła.

Język i gardło chorego przybrały jaskrawoczerwoną barwę, wciąż prosił o wodę i oddychał z coraz większym wysiłkiem. W piersiach zaległa mu lepka flegma, której nie mógł wykrztusić. W nocy coś mu się śniło; krzyczał, że Tamizą płyną Danowie w węzowych statkach. Rano Robert pobiegł do sąsiadki, lecz odparła, że nie przyjdzie.

– Jak dla mnie to pleśniawka. Nie chcę się zarazić – burknęła i zatrzasnęła przed nim drzwi.

Nie mając innego wyjścia, Rob poszedł znów do cechu. Ryszard Bukerel wysłuchał go z powagą, udał się z nim do domu i dość długo siedział przy łóżku Cole'a, obserwując jego rozpaloną twarz i nasłuchując świszczącego oddechu.

Najłatwiej byłoby wezwać księdza. Zapaliłby świecę i odprawił modły, a Bukerel mógłby wrócić do siebie z poczuciem spełnionego obowiązku. Przez ostatnie kilka lat dobrze zarobił na budowach, lecz jako starszy cechu musiał nieźle główkować, by ze świecą pustkami składkowej kasy osiągnąć więcej, niż było to możliwe. Mimo to wiedząc, co czeka potomstwo, gdy zabraknie drugiego z rodziców, podjął trudną decyzję: zawrócił do cechu i za wspólne pieniądze najął medyka.

Wieczorem nasłuchał się za to od żony.

– Medyka?! A cóż to, Cole został księciem? Każdemu innemu w Londynie starcza balwierz! Po co nędzarzowi medyk, który każe sobie słono płacić?

Bukerel stropił się, bo miała rację. Tylko szlachtę i najbogatszych kupców stać było na kosztowne usługi medyków. Zwykłym ludziom pracy balwierz za pół pensa puszczał krew lub sporządzał jakąś mniej lub bardziej skuteczną driakiew. Prywatnie Bukerel uważał wszystkich uzdrowicieli za pijawki przynoszące więcej szkody niż pożytku. Chciał jednak zrobić dla Cole'a coś więcej i powodowany litością nie pomyślał, że trwoni ciężko zarobione składki towarzyszy.

Medyk miał godną i pewną siebie minę, dobrze skrojone obcisłe nogawice i podbijaną suknię z pięknej wełny, usianą plamami skrzepłej krwi i wymiocin, które uważał za stosowną reklamę swej profesji. Z rękawów sukni wysuwały się mankiety koszuli zdobione haftem, na którego widok Rob poczuł ukłucie w sercu. Podobne wyszywała jego matka.

Tomasz syn Freny był synem zamożnego handlarza wełną, praktykował zaś u niejakiego Wilibalda, pochodzącego z kolei z rodu znanych londyńskich mieczników. Nic więc dziwnego, że obaj leczyli ludzi swojej klasy. Szlacheckie progi były dla nich nieco za wysokie, lecz wśród bogatych kupców czuli się jak u siebie – mieli wspólne zainteresowania i obyczaje. Do leczenia biedaków Tomasz nigdy się nie zniżył – nawet Bukerela wziął za pośłańca ze znacznie zamożniejszego domu. Wkrótce się zorientował, że ubogi cieśla nie jest dlań wart zachodu, ale nie chcąc łamać danego słowa, postanowił załatwić tę przykrą sprawę najszybciej jak to możliwe. Lekko dotknął czoła chorego, zajrzał mu w oczy i powąchał oddech.

– Będzie żył – orzekł.

– Co mu jest? – zapytał Bukerel.

Tomasz nie odpowiedział. Rob instynktownie pojął, że medyk nie wie.

– Zwykły ropień gardzieli – rzekł po chwili, wskazując białe czopy w zaczerwienionym gardle Nataniela. – To przejdzie.

Ścisnął opaską ramię chorego, zręcznie naciął żyłę i upuścił sporo krwi.

– A jak nie przejdzie? – mruknął podejrzliwie Bukerel.

Medyk zmarszczył czoło. Nie będzie się przecież drugi raz fatygował do tej nędznej nory.

– Dla pewności upuszczę jeszcze trochę krwi.

Powtórzył zabieg na drugim ramieniu, wyjął fiolkę płynnej zawiesiny kalomelu zmieszanego z węglem drzewnym i kazał sobie zapłacić za wizytę, za puszczenie krwi i za lek.

– Przeklęty krwiopijca! Dobrze, że biedaka nie wytrzebił, rzeźnik jeden! – warknął Bukerel, odprowadziwszy medyka wściekłym wzrokiem. Potem westchnął, obiecał, że przyśle kobietę do opieki nad chorym, i poszedł.

Nat leżał bezwładnie, wykrwawiony i blady. Coś mu się zwidywało, bo mówił do syna „Agniś” i próbował złapać go za rękę, ale chłopiec odskoczył, pamiętając, co zaszło podczas choroby matki. Po chwili zawstydzony wrócił i siadł przy ojcu. Ujął jego zniszczoną, szarą od wrośniętego brudu dłoń, przyglądając się porastającym ją szorstkim czarnym włoskom i twardym połamanym paznokciom.

I znów stało się to samo. Nagle, choć sam nie wiedział skąd, zyskał pewność, iż ojciec wkrótce umrze. Czuł, jak gaśnie, niczym migoczący coraz słabiej płomyk świecy. Ogarnęła go niema zgroza – tak samo jak wówczas, gdy siedział przy konającej matce. Spojrzał na stojące obok łóżka rodzeństwo. Był jeszcze młody, lecz miał dość rozumu, by wiedzieć, że musi wziąć się w garść. Odsunął od siebie smutek i lęk wracając do bieżących trosk. Potrząsnął lekko ojca za ramię.

– Co teraz z nami będzie? – spytał głośno.
Nie usłyszał odpowiedzi.

3

Rozstanie

Tym razem, ponieważ zmarł pełnoprawny towarzysz, a nie tylko ktoś z jego rodziny, cech złożył datek na odśpiewanie pięćdziesięciu psalmów. Dwa dni po pogrzebie Lanningowa wyjechała do brata, który mieszkał w Ramsey, a Ryszard Bukerel wezwał Roba na rozmowę.

– Nie macie krewniaków, więc trzeba was rozdzielić – rzekł szorstko. – Cech się tym zajmie.

Robert zdrętwiał. Wieczorem usiłował wyjaśnić to rodzeństwu, lecz tylko Sam zrozumiał, w czym rzecz.

– Rozdzielą nas? – spytał.

– Tak.

– Każde zamieszka u innej rodziny?

– Tak.

W nocy ktoś mocno się do niego przytulił. W pierwszej chwili sądził, że to Will albo siostra, lecz to zwykle krnąbrny Sam kurczowo objął go za szyję, jakby się bał, że spadnie.

– Tak bym chciał, żeby wrócili – szepnął.

– Ja też. – Rob pogłaskał chude ramionka, które tylekroć okładał razami, i obaj zapłakali.

– I już nigdy się nie zobaczymy?

Rob poczuł chłodny dreszcz.

– Nie pleć. Będziemy przecież mieszkać w sąsiedztwie i stale się widywać. Zawsze zostaniemy braćmi.

Podniesiony na duchu Sam w końcu zasnął, lecz przed świtem zlał się do łóżka jak niemowlę. Rano wstydził się spojrzeć bratu w oczy. Jego lęk nie był pozbawiony podstaw, bo to on pierwszy opuścił dom. Z dziewięciu towarzyszy ojca większość była bez pracy, tylko jeden mógł i chciał przyjąć do siebie dziecko. Samuel wraz z piłami i młotkami Nataniela przeniósł się sześć domów dalej do mistrza ciesielskiego Horne'a.

Dwa dni później odwiedził ich ojciec Kempton, ten sam, który odprawił msze żałobne za matkę i ojca. Przyprowadził ze sobą księdza imieniem Renald, który udawał się na północ Anglii i potrzebował chłopca do pomocy. Był to serdeczny, mocno zbudowany mężczyzna o jasnych włosach i szarych oczach, w których Rob dopatrywał się dobroci. Po krótkim namyśle stwierdził, że Will mu się nada.

– Do zobaczenia, Wilhelmie – rzekł cicho.

Błady i rozdygotany braciszek kiwnął mu tylko głową, wychodząc z księżmi.

Wbrew rozsądkowi Robert miał nadzieję, że uda mu się zatrzymać dwoje najmłodszych, ale resztek ze stypy zostało już niewiele i musiał myśleć trzeźwo. Jona wraz ze skórzanym kaftanem i pasem ojca oddano stolarzowi Alwinowi z tej samej setki. Rob wyjaśnił jego żonie, która przyszła po malca, że Jonatan umie już siusiać do nocnika, ale póki się boi, lepiej dać mu pieluchę. Uśmiechnęła się ze zrozumieniem, biorąc od niego węzełek spranych płócien.

Małego Rogera zatrzymała mamka. Robert się z nią nie widział, przekazał jej tylko przez mistrza Bukerela matczyne igły, nici i ramę do haftu.

Słodką Marian przygarnął piekarz Herewig. W przeddzień Rob umył siostrze głowę i choć robił to ostrożnie, jak nauczyła go matka, trochę piekącego mydła dostało się jej do oczu. Wytarł i objął

płaczącą dziewczynkę, wtulając twarz w jej czyste, brązowe jak focza sierść włoski. Pachniały tak samo jak ongiś włosy mamy. Nazajutrz piekarz z żoną zabrali co lepsze sprzęty, a Rob wziął siostrę za rękę i odprowadził ją do piekarni.

– Trzymaj się, malutka, i pamiętaj, że cię Kocham – szepnął całując ją na pożegnanie. Ona jednak milczała. Może sądziła, że to on jest wszystkim winien.

Został sam w pustym domu. Wieczorem zajrzał do niego Bukerel. Był nieco podchmielony, ale myślał trzeźwo.

– Znajdziemy i dla ciebie miejsce, ale to może potrwać. W dzisiejszych czasach ciężko wykarmić młodzika, co zje jak dorosły, a męskiej robocie jeszcze nie podoła. – Zadumał się na chwilę, po czym rzekł: – Kiedy byłem młody, mawiano, że będzie nam dobrze, byleby tylko zapanował pokój i byleśmy się pozbyli złego króla Etefreda, który całe pokolenie doprowadził do ruiny. Najeżdżali nas wtedy Danowie, Sasi i wszelacy morscy rozbójnicy. Gdy już wreszcie władzę ujął silną ręką Kanut i skończyły się wojny, to siły przyrody sprzysięgły się przeciwko nam. Burze latem i zimą, od trzech lat nieurodzaj. Nie ma ziarna dla młynów, statki tkwią w porcie. Nikt nie buduje. Rzemieślnicy nie mają pracy. Ciężkie czasy, chłopcze. Ale znajdę ci dom, obiecuję.

– Dziękuję, mistrzu.

W ciemnych oczach Bukerela malowała się troska.

– Tak ci się przyglądałem, Robercie... i widziałem, że zabiegasz o rodzinę jak prawdziwy mężczyzna, choć przecie mleko masz jeszcze pod nosem. Sam bym cię przyjął, gdyby moja stara była inna. – Zamrugnął zmieszany, uświadamiając sobie, że pod wpływem wina powiedział więcej, niżby należało. Podniósł się ociężale. – Spokojnej nocy, Robercie.

– I tobie, mistrzu.

Żył teraz jak pustelnik. Nagie izdebki były jego jaskinią. Nikt z sąsiadów nie kwapił się go stołować, ale że nie mogli całkiem o nim zapomnieć, wspomagali go czasem tym i owym. Rano Herewigowa przynosiła mu niesprzedany poprzedniego dnia chleb. Któregoś wieczoru żona Bukerela wręczyła mu kawałek sera, a widząc jego zaczerwienione oczy zbeształa go, że maże się jak baba. Wciąż nosił wodę ze wspólnej studni i sprzątał opróżnione izby, lecz nie zajmowało mu to wiele czasu, bo teraz nie miał kto w nich śmiecić. Wolne chwile poświęcał więc na ponure myśli i wyobrażanie sobie różnych rzeczy.

Czasami udawał rzymskiego zwiadowcę; czał się za zasłoną przy oknie podsłuchując wrogów: turkot ich wozów, szczekanie psów, nawoływanie dzieci. Nawet ptaki należały do ich obcego świata. Któregoś dnia doleciała go rozmowa grupki towarzyszy cechowych.

– Ten, kto weźmie do siebie Roba Cole’a, będzie się mógł mieć za szczęściarza – powiedział z przekonaniem Bukerel.

Ukryty za ścianą chłopak nastawił płonących uszu. Czy naprawdę mówili o nim?

– Ano, spory jest jak na swój wiek – przyznał niechętnie Hugo Tite. – Niech no trochę podrośnie, będzie mógł robić jak koń.

A jeśli to on weźmie go do siebie? Perspektywa zamieszkania w domu Szczyła nie była zbyt ponętna. Toteż poczuł ulgę, gdy Hugo podjął cierpko:

– Tyle że już dziś żre jak koń, a zanim będzie mógł iść do terminu, miną ze trzy lata. W Londynie jest dość silnych ramion i pustych brzuchów, żeby... – więcej już nie usłyszał, bo poszli dalej.

Dwa dni później w tym samym miejscu został pokarany za podsłuchiwanie. Żona mistrza Bukerela żaliła się piekarzowej:

– Wszyscy mówią, jaki to honor być starszym cechu. Jenó że nie ma z tego chleba, a same obowiązki. Mam już dość dzielenia się

własnym mieniem z różnymi darmozjadami takimi jak ten smarkacz.

– Co z nim będzie? – westchnęła żona piekarza.

– Radzę mężowi, żeby go sprzedał. Nawet w tych ciężkich czasach cena za młodego niewolnika zwróci cechowi i nam wszystkim to, co poszło na Cole'ów.

Rob poczuł, że oddech zamiera mu w piersi.

– Mój stary oczywiście nie chce o tym słyszeć – prychnęła Bukerelowa kwaśno. – Pewnie go w końcu przekonam, ale zanim się ocknie, zmarnujemy sporo grosza.

Gdy kobiety odeszły, Rob skulił się pod oknem, dygocząc jak w gorączce. Przez całe życie widywał niewolników, ale zakładał z góry, że taki los mu nie grozi, skoro urodził się wolny. Był za mały, żeby dźwigać ciężary w porcie. Młodych jak on chłopców używano do pracy w kopalnianych chodnikach, często za wąskich dla dorosłych mężczyzn. Czyżby więc do końca życia miał być czyjąś własnością, nosić łachmany, zjadać nędzne ochłapy i znosić chłostę za lada przewinienie? Rozpłakał się.

Po jakimś czasie powiedział sobie stanowczo, że Bukerel na pewno go nie sprzeda. Nabrał nieco otuchy. Bał się tylko, by żona starszego cechu nie zrobiła tego za jego plecami. Z pewnością była do tego zdolna. Czekał w cichym opuszczonym domu, wzdygając się ze strachem na lada szmer.

Po pięciu ciężkich dniach od pogrzebu ojca do drzwi zapukał nieznajomy mężczyzna.

– To ty jesteś młody Cole? – spytał.

Rob z ociąganiem kiwnął głową. Serce mu waliło.

– Zwiąż mnie Croft. W karczmie Bardwella poznałem mistrza waszego cechu. On mnie tu przysłał.

Croft nie był już młody, ale jeszcze nie stary. Wysoki i tęgi, miał czerstwą ogorzałą twarz, długie jak przystało wolnemu człowiekowi włosy o rdzawym odcieniu i podobną jak one kędzierzawą brodę.

– Jak masz na imię? – zagadnął.

– Robert Jeremiasz, panie.

– No, no! Wymyślnie! A lat ci ile?

– Dziewięć.

– Jestem balwierzem i szukam terminatora. Wiesz, czym się zajmuje balwierz, chłopcze?

– Tym co medyk?

– Mniej więcej – uśmiechnął się grubas. – Bukerel rzekł mi o twoim położeniu. Podoba ci się mój fach?

Wcale nie miał ochoty pójść w ślady tej pijawki, która wykrwawiła ojca na śmierć, ale jeszcze mniejszą, by zostać niewolnikiem. Potwierdził bez wahania.

– Nie boisz się pracy?

– O, nie!

– To i dobrze, bo nie będę cię rozpieszczał. Bukerel mówił, że umiesz czytać, pisać i znasz łacinę.

Rob zawahał się na moment.

– Łacinę słabo – przyznał.

Mężczyzna znów się uśmiechnął.

– Ano, przekonam się, co jesteś wart. Masz jakieś rzeczy?

Czyżbym był uratowany? – pomyślał chłopiec. Zabrał spakowany od dawna tobołek i wdrapał się z nim na wóz balwierza. Był to zresztą najdziwniejszy wóz, jaki w życiu widział – pokryty jaskrawoczerwoną płachtą wymalowaną w żółte sylwetki zwierząt: barana, lwa, kozy, ryb i raka, a także strzelca z łukiem, który być może na nie polował. Nieopodal widniała waga, nie wiedzieć na co mu potrzebna. Dwa białe drągi po obu stronach koźła

oplecione były grubym szkarłatnym sznurem, który wił się po nich niczym wąż po rajskim drzewie.

Jabłkowity koń pociągnął ich ulicą Ciesielską. Minęli dom cechu i skręcili w tłumną ulicę Nadrzeczną. Rob siedział jak trusia, zerkając tylko czasem na balwierza. Przyjemną, choć nalaną twarz zdobił wydatny czerwony nochal, brodawka na lewej powiece oraz delikatne zmarszczki rozchodzące się z kącików bystrych jasnoniebieskich oczu.

Wóz przetoczył się przez mostek nad obmywającą mury strugą, obok stajni Egglestana, w których przyszedł na świat najmłodszy braciszek Roba, a potem skręcił w prawo i z turkotem przejechał po moście na południowy brzeg Tamizy. Stał tam zacumowany prom, a dalej rozciągał się wielki plac targowy Southwark, gdzie handlowano wszelkimi dobrami zwożonymi do Anglii morzem. Białym drewnem jaśniały świeżo odbudowane składy, spalone ongiś i splądrowane przez duńskich wikingów. Wzdłuż nabrzeża stał rząd skromnych domków z wiklinowej plecionki pokrytej warstwą gliny. Mieszkali w nich rybacy, latarnicy i robotnicy portowi. W Southwark były też dwie dość obskurne gospody dla przyjezdnych. Ale już nieco dalej po obu stronach szerokiej drogi widać było obszerne zadbane ogrody, a w nich piękne dworki bogatych londyńskich kupców. Niektóre opierały się na palach wbitych w podmokły brzeg rzeki. Rob poznał dom kupca bławatnego, któremu matka zanosila swoje hafty. Dalej jeszcze nigdy się nie zapuścił.

– Mistrzu Croft...?

– Ty sobie moim mianem gęby nie wycieraj – ofuknął go mężczyzna. – Wystarczy „balwierzu”, skoro taki mam fach.

– Dobrze, panie balwierzu.

Tymczasem Southwark już została w tyle i Rob ze strachem uświadomił sobie, że oto znalazł się w obcym, nieznanym świecie.

– Dokąd jedziemy? – spytał, ledwie panując nad głosem.

Balwierz uśmiechnął się, zaciął lejcami konia, zmuszając go do przejścia w kłus.

– Gdzie nas oczy poniosą – odrzekł.

4

Balwierz

Przed zmierzchem rozbili obóz na wzgórzu nad strumieniem. Rob dowiedział się przy okazji, że jabłkowy siwek ciągnący wóz zwie się Tatus.

– W skrócie od Incitatus – wyjaśnił balwierz. – Takież imię nosił rumak cesarza Kaliguli, którego ów tak sobie upodobał, że mianował bydlę kapłanem i konsulem. Nasz Incitatus, choć biedak stracił jajka, też nieźle się prezentuje. Wypada wszak o niego zadbać. Patrz i ucz się. – Mężczyzna wytarł wilgotną sierść wałacha garściami suchej trawy, napoił go i wypuścił na popas, a dopiero później zajął się wieczerzą dla ludzi.

Przystanęli w sporej odległości od lasu, toteż Rob nieźle się nachodził, nim zniósł dość suchych drew na ognisko. Wkrótce ogień już trząskał, a z kociołka uniósł się smakowity zapach, od którego pod głodnym chłopcem ugięły się nogi. Balwierz włożył do niego kilka grubych plastrów wędzonego boczku, odlał część wytopionego tłuszczu, a do reszty wkroił wielką rzepę i kilka porów. Dorzucił też garść suszonych owoców morwy i nieco ziół. Rob niecierpliwie łykał ślinkę, czekając, aż wonna strawa się dogotuje. W mgnieniu oka pochłonał swoją porcję. Spokojnie raczący się jadłem balwierz przyjrzał mu się spod oka i nałożył mu jeszcze. Na koniec wytarli

drewniane miski jęczmiennym chlebem i Rob, nie czekając na polecenie, zaniósł je wraz z kociołkiem do strumienia, by wyszorować je piaskiem.

Odniósłszy naczynia skoczył w krzaki za potrzebą.

– Na Boga! – zdziwił się balwierz, który zdybał go tam znienacka.
– Osobliwą masz, chłopcze, fujarkę.

Rob pospiesznie dokończył i schował członek.

– W niemowlęctwie – rzekł sztywno – wdała mi się tam ropa. Mama mówiła, że balwierz ściał mi z koniuszka trochę skóry, taki jakby kapturek.

– Napletek – uściślił Croft, spoglądając nań zdumiony. – Zostałeś obrzezany, jak to czynią poganie.

Chłopak cofnął się zmieszany, lecz czujny, podświadomie spodziewając się ataku. Od strumienia ciągnęło wilgocią, po chwili więc wrócił po swój tobołek, wydobył zeń drugą koszulę i naciągnął ją na siebie. Balwierz zdjął z wozu włochate skóry i rzucił mu dwie.

– Śpimy na zewnątrz – wyjaśnił – bo wóz jest pełen różnych rzeczy.

Spostrzegłszy w węzélku Roba błyszczący krążek schylił się i wziął go do ręki. Nie spytał, skąd go ma, a i Rob nie kwapił się z wyjaśnieniem.

– Jest tam napis – powiedział tylko. – Ojciec i ja... uznaliśmy, że wybito tę monetę dla upamiętnienia pierwszej rzymskiej kohorty w Londynie.

Balwierz podszedł z monetą do ogniska, bo zaczęło się już ściemniać.

– Owszem – potwierdził. Najwyraźniej sporo wiedział o Rzymianach i chyba ich cenił, skoro nadał koniowi rzymskie imię. Rob poczuł mdlącą pewność, że przywłaszczy sobie jego monetę.

– Na odwrocie też są litery – rzekł ochryple.

Balwierz obrócił krążek.

– IOX. *Io* to okrzyk, a *X* znaczy dziesięć. W sumie więc napisano tu tyle, co dziesięciokrotne „hura!”

Rob z ulgą odebrał swoją monetę i wymościł sobie poślanie przy ognisku. Jedną ze skór, owczą, podłożył pod siebie runem do góry, a nakrył się drugą, niedźwiedzią. Obie były stare i śmierdzące, ale ciepłe.

Balwierz pościelił sobie z drugiej strony ogniska. Miecz i nóż ułożył pod ręką na wypadek napaści lub – jak ze strachem pomyślał Rob – żeby go zabić, jeśliby chciał uciec. Potem zdjął z szyi zawieszony na rzemieniu saski róg, zatkał szyjkę kościanym szpuntem i nalał do niego ciemnego płynu z flaszki.

– Sam pędziłem – rzekł podając róg chłopcu. – Napij się.

Rob nie miał ochoty, ale bał się odmówić. W dzieciństwie nie straszono go duchami i zjawami, lecz wcześniej uświadomiono, że bywają mężczyźni lubiący wabić na ubocze małych chłopców. Wśród londyńskiej dzieciarni krążyły mroźące krew w żyłach opowieści o tym, do czego zmusza się dzieci, które biorą pieniądze lub łakocie od żeglarzy i dokerów. Dzieci te zwykle najpierw pojono trunkiem.

Przełknął maleńki łyeczek i oddał róg. Balwierz zmarszczył brwi.

– Pij, pij – polecił. – To cię uspokoi.

Robert musiał wypić jeszcze dwa duże łyki płynu, który palił w gardle i zmuszał do kaszlu. Potem mężczyzna zabrał mu róg, osuszył zaczęta flaszkę, puścił głośnego bąka i ułożył się po swojej stronie. Obejrzał się raz na chłopca.

– Śpij spokojnie, mały – mruknął. – Nie musisz się mnie bać.

Robert był pewien, że to podstęp. Leżał czujnie pod cuchnącą skórą, zaciskając pośladki. W lewej dłoni piastował odzyskaną

monetę; w prawej – choć dobrze wiedział, że nawet z mieczem nie dałby rady balwierzowi – trzymał ciężki kamień. Wkrótce jednak potężne chrapanie dowiodło mu, że tamten śpi.

W ustach miał apteczny smak likworu, w żyłach krążyło mu ożywcze ciepło. Zagrzebał się głębiej w futra i już po chwili wypuścił kamień z dłoni. Marzyły mu się szeregi Rzymian wznoszących dziesięciokrotny okrzyk na cześć bohaterów, którzy gotowi byli stoczyć walkę z całym światem. Gwiazdy, wielkie i białe, wirowały tuż nad nim; miał ochotę pozrywać je z nieba, nanizać na sznurek i ofiarować matce. Po kolei wspomniał każdego z członków rodziny. Z żywych najbardziej brakowało mu Sama – dziwne, przecież to właśnie Sam bezlitośnie dokuczał starszemu bratu. Martwił się, czy Jon wciąż moczy pieluszki i czy Alwinowa ma do niego cierpliwość. Już tęsknił za rodzeństwem. Miał nadzieję, że balwierz wkrótce wróci do Londynu i wtedy znów ich zobaczy.

Balwierz wiedział, co czuje przygarnięty przezeń chłopiec. Był w tym samym wieku, kiedy został sierotą po łupieżczym napadzie wikingów na Clacton, rybacką wieś, w której się urodził. Tamten dzień na zawsze wrył mu się w pamięć.

Królem był wówczas Etelred; stary Croft nieraz nań wyrzekał, porównując z innymi, którzy byli przed nim. Etelred wyciskał z ludu ostatnie grosze, by obsypywać złotem piękną i samowolną królową Emmę, którą przywiózł sobie z Normandii. Podatki szły też na wojsko, lecz ono broniło króla, nie poddanych. Etelred nieraz wsławił się okrucieństwem; wielu ludzi spluwało na dźwięk jego imienia.

Jakby tego było mało, wiosną 991 roku okrył hańbą siebie i swój kraj, przekupując złotem duńskich napastników. Jednakże następnej wiosny piracka flota znów wpłynęła na Tamizę, jak to miała w zwyczaju od stu lat. Tym razem nie było wyboru; Etelred zebrał

wojowników, wsadził ich na okręty i w krwawej bitwie na Tamizie pokonał Danów. Ale dwa lata później król duński Swen sprzymierzył się z królem Norwegów Olafem i wrócił do Anglii prowadząc ze sobą dziewięćdziesiąt cztery statki. Etelred stawił im czoło pod Londynem; udało mu się obronić miasto, lecz najeźdźcy z Północy zdążyli już się zorientować, że ze strachu o stolicę ogołocił z wojska cały kraj. Zawrócili na morze i rozdzieliwszy się, jęli plądrować przybrzeżne osady.

W tym samym czasie ojciec zabrał Henryka na pierwszy daleki połów śledzia. Kiedy rankiem wrócili z pełnymi sieciami, chłopiec pobiegł przodem, chcąc pochwalić się matce. Nie wiedział, że leży w chacie zgwałcona i zabita, a w pobliskiej zatoce cumują ukryte długie łodzie wikingów. Zbliżając się do domu, spostrzegł jednak nagle za otwartą okiennicą obcego mężczyznę odzianego w skóry. Wiedziony instynktem zawrócił, by przestrzec ojca.

Stary Croft ruszył biegiem, dobywając noża, ale trzech wojownicy, których zastał na progu, uzbrojeni byli w miecze. Walka była krótka; Henryk widział z dala, jak ranny ojciec zostaje rozbrojony, pchnięty na klęczki i szarpnięciem za włosy zmuszony do pochylenia głowy. Znacznie później, w dziewiętnastym roku życia, był w Wolverhampton świadkiem egzekucji. Kat szeryfa ściął głowę zabójcy jednym ruchem, jak kogutowi. Skandynawski rozbójnik miał widać mniej pewną rękę, musiał bowiem kilkakrotnie poprawiać cios. Wyglądało to, jakby rąbał drwa na opał.

Bliski obłądu z żalu i strachu chłopiec uciekł do lasu. Ukrywał się tam przez kilka dni niczym ścigane zwierzę. Kiedy w końcu głód zmusił go do wyjścia, Norwegów już nie było. Odpłynęli, zostawiając po sobie śmierć i zgliszcza. Henryk wraz z innymi sierotami wysłany został do opactwa Crowland w Lincolnshire.

Dziesięciolecia wikińskich najazdów dały się we znaki także i benedyktynom; wielu zginęło i klasztory pewnie by opustoszały, gdyby nie rzesze osieroconych chłopców, których przygarnęli pozostali przy życiu mnisi. W tej sytuacji zachęcano ich do wczesnego składania ślubów. Henryk, jak wielu innych, w wieku dziewięciu lat przysiągł przed obliczem Boga, że będzie żyć w ubóstwie i czystości, posłuszny regule ustanowionej przez świętego Benedykta z Nursji.

Dzięki temu mógł się uczyć. Wiedzę zdobywał przez cztery godziny dziennie; kolejne sześć jak inni pracował na roli. Rozległe ziemie opactwa w większości były podmokłe, toteż mnisi w mozole obracali radłem ciężkie lepkie skiby, aby zmienić moczary w uprawne pola. Pozostały czas spędzać mieli na modlitwie. Nabożeństwa odprawiano o ustalonych porach od świtu do późnego wieczora. Mnisi jednak modlili się o każdej porze, bez ustanku, albowiem każdy pacierz to stopień długiachnych schodów prowadzących duszę do nieba. Jedyłą rozrywką, a zarazem wytchnieniem, były przechadzki po klasztornym wirydarzu otoczonym czworobocznym krużgankiem. Czworobok ten od wschodu zamykał kościół, od północy zakrystia, w której przechowywano sprzęt kościelny, od zachodu sala kapitulna, od południa zaś piętrowy budynek mieszczący na dole spiżarnię, kuchnię i ponury refektarz, na górze zaś dormitorium.

Jeden dzień nie różnił się tu od drugiego, zmierzały utartym torem do ostatecznego końca, o którym przypominały mnichom groby współbraci, przytulone do kościelnego muru i jak wszystko zawarte w obrębie krużganku. Niektórym takie życie wydawało się – być może błędnie – kwintesencją spokoju ducha, toteż klasztor przyciągał wielu nobilów, którzy szukali w nim uciezki przed dworską polityką i okrucieństwem Etelreda, a nieraz

przywdziewając habit, ratowali życie. Mieli oni własne cele, podobnie jak ci z braci, którzy w natchnieniu poszukiwali Boga, umartwiając ciało postem, szorstką włosiennicą i biczowaniem. Pozostałych sześćdziesięciu siedmiu mężczyzn, noszących tonsurę mimo braku powołania do świętości, gnieździło się w zastawionej pryzami wspólnej izbie. Nocą było tu słychać kichnięcia i kaszel, chrapanie w różnych tonacjach, odgłosy masturbacji i wiatrów, bolesne jęki tych, których dręczyły senne koszmary, niepobożne przekleństwa lub sprzeczne z regułą szeptane rozmowy obracające się zwykle wokół jadła, albowiem posiłki w Crowland były bardzo skąpe.

Osiem mil od opactwa znajdowało się miasteczko, lecz Henryk nigdy nie miał okazji go zobaczyć. Pewnego dnia – liczył już sobie wówczas czternaście lat – poprosił swego spowiednika, ojca Dunstana, by pozwolił mu odmówić przedwieczne psalmy na brzegu rzeki.

Ruszył powoli nadrzecznym łęgiem, założywszy ręce za plecy i pochyliwszy głowę w modlitwie, tak jak to czynił ongiś świątobliwy biskup, gdy nawiedził klasztor. Ojciec Dunstan kroczył za nim w dyskretnej odległości. Był piękny letni wieczór, ciepły, choć od rzeki wiała rześka bryza. Henryk wiedział od brata Mateusza, geografa, iż rzeka ta zwie się Welland, ma źródło w środkowej Anglii nieopodal Corby, skąd wijąc się niczym wąż dopływa do Crowland, a dalej płynie na północny wschód przez łagodne pagórki i żyzne doliny, nim w końcu przedrze się przez nadbrzeżne bagniska do wielkiej zatoki Morza Północnego, zwanej Wash.

Po obu stronach rzeki ciągnęły się klasztorne lasy i pola. Świerszcze grały, ptaki na drzewach wyśpiewywały wieczorne trele,

pasące się krowy spoglądały nań tępo, lecz jakby z szacunkiem. Na brzegu leżało czółno, maleńka dłubanka.

Tydzień później znów poprosił, aby wolno mu było pomodlić się samotnie nad rzeką po laudzie, mszy odprawianej o świtaniu. Otrzymał zgodę i tym razem ojciec Dunstan już go nie pilnował. Znalazłszy się nad rzeką, Henryk zepchnął łódź na wodę, wsiadł do niej i odepchnął się wiosłami od brzegu.

Kiedy bystry nurt pochwyił czółno, chłopak odłożył wiosła. Siedział nieruchomo w chybotliwej łódeczce, patrząc w brunatną toń i pozwalając się nieść jak zeschnięty liść. Wkrótce klasztor pozostał daleko z tyłu. Henryk ocknął się nagle i wybuchnął głośnym śmiechem. Jak dziecko wykrzykiwał urągliwe słowa, nie wiedząc, czy kieruje je do sześćdziesięciu siedmiu benedyktynów, którzy już go nie zobaczą, do ojca Dunstana czy też do Boga, który w Crowland wydawał się tak bezlitosny.

Płynął przez cały dzień, dopóki mknąca ku morzu woda nie stała się dla niego zbyt głęboka i niebezpieczna. Wówczas przybił do brzegu. Był wolny – i już wkrótce poznał cierpki smak wolności.

Wędrował po przybrzeżnych wsiach sypiając, gdzie popadło, i żywiąc się tym, co zdołał wyżebrać albo ukraść. Przekonał się na własnej skórze, że skąpy posiłek jest o niebo lepszy niż brak posiłku w ogóle. Jakaś wieśniaczka dała mu worek żywności, stary kaftan i podarte portki w zamian za wełniany benedyktyński habit, z którego chciała poszyć tuniki dla synów. W końcu pewien rybak z portowej osady w Grimsby przyjął go na pomocnika i przez dwa lata orał nim jak wołem w zamian za dach nad głową i nędzne jadło. Po jego śmierci żona sprzedała łódź ludziom, którzy nie potrzebowali pomocnika. Henryk znów głodował przez parę miesięcy, nim napotkał trupę igrców i ruszył z nimi. Dźwigał juki i wykonywał wszelkie niezbędne prace. Jadł resztki, ale

przynajmniej nie był sam. Przedstawiane sztuczki nawet jemu wydawały się niezdarne, lecz głośne walenie w bęben przyciągało tłum, a gdy jeden z wesołków nadstawiał czapkę, aż dziw, jak gęsto sypał się do niej grosz. Henryk patrzył na to, przełykając ślinkę. Ciągle był głodny. Nie nadawał się na akrobatę – tym wyłamywano stawy już we wczesnym dzieciństwie – ale nauczył się zonglować i pokazywać prostsze sztuczki. Będący członkiem trupy „magik” ostrzegł go, by nigdy nie zachwalał ich jako czarnoksiężstwa, łąco bowiem mógłby stracić życie na sznurze. Henryk wziął sobie do serca te przestrogi. Tenże magik miał młodszą siostrę; ona pierwsza otworzyła przed Henrykiem swoje ciało. Po pewnym czasie zaczął czuć się wśród tych ludzi jak w rodzinie, lecz gdy minął rok, trupa się rozpadła i każdy ruszył w swoją stronę. Znowu został sam.

Wędrując po hrabstwie Derby, kilka tygodni później trafił na swoją szansę w osadzie zwanej Matlock. Tamtejszy balwierz o imieniu Jakub przyjął go do siebie na sześćoletni termin. Znacznie później Henryk się dowiedział, że Jakub nie mógł znaleźć ucznia wśród miejscowych, posądzano go bowiem o czary. Nim jednak dotarły do niego te pogłoski, był już u balwierza dwa lata i zdążył się przekonać, że nie ma w nich żdźbła prawdy. Mistrz był człowiekiem zimnym i surowym, lecz nie miał konszachtów z diabłem. Młodemu Croftowi wydał się raczej wysłannikiem Opatrzności.

Okolice Matlock były słabo zaludnione. Nie było tu posiadaczy ziemskich ani zamożnych kupców, przy których zdołałby się wyżywić prawdziwy medyk. Dlatego też balwierz poza strzyżeniem, goleniem i lewatywą wykonywał też zabiegi chirurgiczne i przyrządzał leki. W ciągu pięciu lat terminu Henryk zbierał baty

za każdą omyłkę, lecz pod skrupulatnym, baczny okiem mistrza wiele się nauczył.

W roku 1002 – był to czwarty rok pobytu Henryka w Matlock – król Etelred podjął decyzję, która okazała się brzemienne w skutki. Nie mogąc dać sobie rady z uciążliwymi najazdami, nadał Duńczykom ziemię w południowej Anglii w zamian za zbrojną służbę i obronę. Jednym z zyskanych w ten sposób sprzymierzeńców był jarl Pallig, ożeniony z siostrą króla duńskiego Swena. Tegoż roku jednak rozbójnicy z Północy znów napadli na Anglię, grabiąc i mordując. Gdy dotarli do Southampton, król się ugiął i ponownie zapłacił najeźdźcom trybut wynoszący dwadzieścia cztery tysiące funtów.

Smukłe czarne okręty uniosły wikingów z powrotem na Północ, a zhańbiony porażką Etelred wpadł w furję. Trzynastego listopada, w dniu świętego Brykcjusza, na jego rozkaz wyrżnięto wszystkich Danów osiadłych w Anglii. Ta podstępna rzeź wyzwoliła zło wzbierające jak wrzód w ludzie angielskim.

Świat nigdy nie był rajem lecz zaiste wkrótce upodobił się do piekła. Całą Anglię ogarnęła gorączkowa żądza krwi. Gdy zabrakło Duńczyków, chwymano współplemieńców, pomawiając ich o zdradę albo czary. Brutalnie umęczeni, konali na stosach i szubienicach.

Termin Henryka miał niebawem dobiec końca, kiedy zmarł leczony przez Jakuba starzec imieniem Aelerton. Chorował od dawna i w tym, że umarł, nie było nic szczególnego, jednakże wkrótce rozeszła się pogłoska, że uśmiercił go balwierz za pomocą zatrutych igieł i złych czarów.

Pech chciał, że właśnie dwa dni wcześniej, w niedzielę, proboszcz z Matlock surowo zgromił swe owieczki. Słyszano bowiem nocą

na cmentarzu harce duchów nieczystych lubieżnie oddających się Szatanowi.

– Kto diabelską mocą zmarłych z grobów chce podnieść, nieprzyjacielem jest Boga i słusznie będzie przezeń potępiony! – wołał proboszcz. – Diabeł wkradł się pomiędzy lud Boży, a służy mu legion czarnoksiężników, którzy przybrawszy na się pozór chrześcijan, czynią ohydne gusła i zdradziecko bliźnim swoim odbierają życie!

Oniemiałym ze zgrozy parafianom wyjawił zaklęcie, którym należało się bronić: „Magu czarny, co czyhasz na moją duszę, niech twe zaklęcia po tysiąckroć zwrócą się przeciw tobie. W imię Trójcy Świętej oddaj mi zdrowie i siły. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen”. Następnie przypomniał im, że napisane zostało w Piśmie Świętym: „Nie dozwolisz żyć czarownikom”.

– Musicie ich ścigać i unicestwić co do jednego, jeśli sami nie chcecie się smażyć w straszliwych płomieniach czyścica – zakończył.

Aelerton zmarł we wtorek. Jego serce przestało bić, gdy okopywał pole. Córka wszakże stwierdziła, że nieboszczyk miał na ciele ślady po igłach. Nikt inny ich nie widział, ale gdy w czwartek Jakub wyprowadził konia ze stajni, zastał przed domem zwarty tłum wieśniaków. Przewodził im Becca, sąsiad balwierza. Ten wzruszył tylko ramionami i zwrócił się do Henryka, wydając mu polecenia. Chwilę później został brutalnie ściągnięty z siodła.

– Rozbierzcie go! – rozkazał Becca.

Jakub zadygotał, kiedy zdierali zeń odzienie, ale krzyknął buńczucznie:

– Kiepie jesteś, Becca, i kiepiem pozostaniesz!

Nagość dodała mu lat, a ujęła godności; napastnicy pogardliwie taksowali wzrokiem jego obwisły brzuch, zwiotczałe mięśnie, wątle

przygarbione ramiona i skurczony członek nad wielkim sinym workiem jąder.

– O, tutaj! – zawołał Becca. – Patrzcie! Tu ma znamię Szatana!

W prawej pachwinie odcinały się dwie ciemne plamki, niczym ślad po ukąszeniu węża. Becca naciął jedną z nich czubkiem noża.

– To pieprzyk, durniu! – wrzasnął balwierz.

Z rany popłynęła krew, świadcząc dowodnie, że ofiara nie korzysta z czartowskich mocy.

– A to ci chytrus! – syknął Becca. – Umie krwawić na zawołanie!

– Jestem balwierzem, nie czarownikiem – oświadczył dumnie Jakub, ale gdy go przywiązano do drewnianego krzyża i poniesiono do stawu, w którym poił bydło, zaczął wołać o litość.

Wieśniacy z rozmachem wrzucili krzyż do sadzawki i przytrzymali pod wodą. Tłum ucichł, z uwagą śledząc wydobywające się bąbelki. Po chwili wyciągnięto krzyż, aby grzesznik mógł się przyznać. Żył jeszcze. Zakrztusił się, z trudem łapiąc powietrze.

– Wyznaj, sąsiedzie, że masz konszachty z diabłem – rzekł uprzejmie Becca.

Jakub jednak na przemian rząził i kaszłał, zanurzyli go więc z powrotem i tym razem przytrzymali dłużej.

Henryk patrzył i płakał, jakby po raz wtóry oglądał śmierć ojca. Był już rosnącym młodzieńcem, ale wobec tej rozżartej polowaniem zgrai czuł się bezradny jak dziecko. Bał się, czy i on nie zostanie uznany za ucznia czarnoksiężnika.

W końcu – długo po tym, jak bąbelki powietrza przestały mącić tafle wody – oprawcy wypuścili zanurzony krzyż, pozostawiając go w stawie, odmówili wyuczone zaklęcie i odeszli.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku, wszedł po pas do mulistej wody i wyciągnął krzyż na brzeg. Spomiędzy warg jego nauczyciela wyciekła różowawa piana. Zamknął niewidzące oczy,

które patrzyły nań oskarżycielsko z trupiobiałej twarzy, ściągnął łodygi wodnego zielska omotane wokół ramion zmarłego, a potem odciął ciało.

Balwierz był wdowcem, żył samotnie, toteż pochówkiem musiał się zająć terminator. Uczynił to bezzwłocznie. Chata, w której wieśniacy szukali dowodów diabelskich praktyk, została ograbiona niemal do czysta. Zniknęły w pierwszym rzędzie pieniądze i likwory, zostało trochę jadła i codzienne ubranie, lepsze jednak od tego, jakie nosił jego uczeń. Pospiesznie zgarnął do sakwy, co się dało, odnalazł chirurgiczne narzędzia balwierza i złapał konia. Zanim mieszkańcy Matlock zdążyli sobie o nim przypomnieć, Henryk był już daleko.

*

Znów ruszył na włośćkę. Tym razem jednak poznane rzemiosło pozwalało mu być panem swego losu. Chorzy są wszędzie i wszędzie mógł zarobić parę groszy. Z czasem nauczył się czerpać zyski ze sprzedaży driakwi, a sztuczki, które posiadał dzięki komediantom, pomagały mu gromadzić tłumy w każdej wiosce.

Obawiając się, że łowcy czarowników wpadną na jego trop, nigdzie nie zatrzymywał się na dłużej i zwykle nie wyjawiał swego imienia. Znano go po prostu jako „balwierza”. Wkrótce przywykł do takiego życia, a po pewnym czasie uznał nawet, że mu odpowiada. Stać go było na porządne ciepłe szaty, na kobiety, ilekroć ich zapragnął; pijał i jadał do syta, przysiągłszy sobie ongiś, że nigdy już nie będzie głodny. Szybko też nabierał ciała i wkrótce ważył ponad osiemnaście kamieni. Wtedy to poznał Melizendę, wdowę.

Miała spore gospodarstwo pod Canterbury i Henryk przez pół roku obrabiał jej pole i łoże, aż w końcu się z nią ożenił. Uwiodła

go zwłaszcza małym białym tyłeczkiem w kształcie odwróconego serca. Kiedy ją chędożył, wysuwała koniuszek różowego języka z kącika ust, jak skupione dziecko. Z czasem jednak zaczęła mieć do niego pretensje, że nie dał jej syna ni córki. Może istotnie wina leżała po jego stronie, ale i pierwszemu mężowi się to nie udało. Melizenda gorzkniała, jej głos przybrał jazgotliwe tony i przestała zważać na to, co kładzie do garnka. Po roku Henryk zaczął tęsknić za czulszymi niewiastami i smaczniejszą strawą, przede wszystkim zaś za miejscem, gdzie nie byłoby słychać ciągłych wyrzekań jego pani małżonki.

Przez dziesięć lat król duński Swen zawzięcie nękał Etelreda, mszcząc się za wymordowanie swoich ziomków. W końcu Etelred zebrał resztę okrętów i odpłynął na Wight, a królowa Emma schroniła się w Normandii wraz z synami – Edwardem i Alfredem. Władzę na angielskiej wyspie w 1012 roku objął Swen. Niedługo się nią jednak nacieszył. Wkrótce potem zmarł, pozostawiając dwóch następców: starszego Haralda, który wziął po nim królestwo duńskie, i dziewiętnastoletniego Kanuta, którego wojowie obwołali królem Anglii.

Etelred ostatnim rozpaczliwym zrywem raz jeszcze wyparł z kraju Duńczyków, lecz Kanut zaraz wrócił i zajął cały kraj prócz Londynu. Miasto pewnie by padło, lecz ciągnące ku niemu wojska Kanuta powitała wieść o zgonie Etelreda. Nowy władca bez wahania zwołał do Southamton witan, wiec możnych. Zjechali się biskupi, opaci, jarlowie i tanowie, którzy obrali Kanuta prawowitym królem.

Kanut zjednoczył rozdarty kraj prostym, lecz zarazem genialnym pociągnięciem: pchnął posłów do Normandii, oferując królowej Emmie miejsce przy swoim boku. Przyjęła oświadczyńny niemal bez wahania. Znacznie od Kanuta starsza, wciąż jednak była ponętna

i zmysłowa, toteż królewska para wiele czasu spędzała w sypialnej komnacie, dając poddanym asumpt do ucieśnych żartów.

Nowemu królowi śpieszno było do ożenku, za to balwierza coraz przykrzej uwierało małżeńskie jarzmo. Pewnego dnia po prostu ruszył w dalszą drogę, zostawiając Melizendę i jej podłą kuchnię. W Bath kupił pierwszy wóz, a niedługo potem w Northumberlandzie przyjął ucznia. Okazało się to nader korzystnym posunięciem i w ciągu lat wykształcił kilku chłopców. Ci zdolniejsi przynieśli mu zarobek, ci mniej zdolni – doświadczenie.

Los odprawionego terminatora z reguły był przesądzony; tylko szczęśliwcy zyskiwali jeszcze szansę w innym fachu. Pozostali – jeśli nie sześli z głodu lub od noża – zasilali szeregi niewolnych. Co urodziwsi mogli jeszcze przez czas pewien kupczyć swoim ciałem, nim spotkał ich ten sam koniec. Henryk zdawał sobie z tego sprawę i dręczyło go to bardziej, niżby chciał przyznać, ale nie stać go było na utrzymanie darmożjadów. Sam także musiał ongiś ciężko walczyć o przeżycie, dla własnego więc dobra kierował się zimną rachubą, a nie sercem.

Ten ostatni, którego znalazł w Londynie, wydawał się pilny i chętny, lecz w tym wieku pozory często mylą. Na razie nie warto zaprzętać tym sobie głowy. Czas pokaże, i to wkrótce, czy mały Robert Jeremiasz wyjdzie na ludzi.

5

Bestia z Chelmsfordu

Rob ocknął się, ledwie białawy brzask wpelzł na niebo, i ze zdumieniem stwierdził, że jego nowy pan już się niecierpliwie krząta po obozowisku. Widać było, że nie wstał w najlepszym

humorze. Z kwaśną miną wydobył z wozu włócznie i pokazał chłopcu, jak się nią posługiwać.

– Nie trzeba do tego wprawy. Może ci się wydać ciężka, ale złap ją oburącz i pchaj z całej siły mierząc w środek korpusu. Wtedy raczej nie chybisz. Jeśli ranisz napastnika, zwolni, a ja zdążę go zabić. Pojąłeś?

Robert kiwnął głową, skrzepowany.

– Bo widzisz, drogi chłopcze, jeśli chcemy obaj zachować łby na karku, musimy być czujni i trzymać broń pod ręką. Te rzymskie drogi wciąż są najlepszymi gościńcami w Anglii, tylko że nikt o nie się nie troszczy. Królewscy urzędnicy powinni dbać, żeby nie zarastały, bo wtedy zbójcom trudniej byłoby się zasadzać na podróżnych, ale przy większości traktów nikt nie wycina chaszczy.

Pokazał mu, jak się zaprzęga konia, potem zaś ruszyli w dalszą drogę. Słońce wzniosło się wyżej i zaczęło przypiekać. Rob siedział obok swego pana na koźle, nadal dręczony przeróżnymi obawami. Po krótkim czasie balwierz skręcił z rzymskiej drogi w ciasną przecinkę biegnącą przez dziewiczą knieję. Ujął przewieszony przez ramię na rzemieniu saski róg, zdobiający niegdyś czaszkę olbrzymiego wołu, przytknął go do ust i zadał. Dał się słyszeć głośny, niski jękliwy ton.

– Niech każdy, kto nas słyszy, wie, że się nie skradamy, by poderżnąć mu gardło i ograbić z dobytku – wyjaśnił. – Kiedy na odludziu napotkasz obcego, najpierw dźgasz, a potem pytasz, kto zac. Trąbiąc daję znać, żeśmy ludzie uczciwi i zdolni się obronić.

Zachęcony, Rob spróbował zadać w róg, lecz choć nabierał pełne hausty powietrza i dmuchał co sił, nie wydobył dźwięku.

– Trzeba na to dojrzałych płuc i sposobu. Nauczysz się, bez obaw – pocieszył go balwierz. – Podobnie jak innych, znacznie

trudniejszych rzeczy.

Trakt był błotnisty. Tam, gdzie stawał się grząski, narzucali gałęzie, ale jazda wymagała uwagi i zręczności. Na kolejnym zakręcie wpadli w podmokły dołek i koła wozu zapadły się po piasty. Balwierz westchnął.

Wysiedli i łopataą wygarnęli błoto spod kół, zastępując je zebrany w lesie chrustem. Balwierz starannie wymościł nimi ziemię przed każdym kołem, po czym wspiął się na kozioł i chwycił lejce.

– Musisz podtykać gałęzie pod koła, kiedy zaczną się obracać – pouczył chłopca i cmoknął: – Wio, Tatus!

Koń wyteżył się i szarpnął. Deski wozu i uprząż zaskrzyphiały z wysiłkiem.

– Teraz!

Koła drgnęły, uśliznęły się i znów stanęły. Rob biegał wokół wozu, podkładając gałęzie, i rychło znalazły pewniejsze oparcie. Wóz potoczył się naprzód. Po paru chwilach, już w suchym miejscu, balwierz ściągnął konia i zaczął czekać, aż chłopiec go dogoni.

Cali byli obryzgni błotem, toteż wkrótce zrobili postój nad strumieniem.

– Złapmy coś na śniadanie – rzekł balwierz, kiedy zmyli brud z twarzy i rąk. Wyciął dwa wierzbowe kije, zdjął z wozu haczyki i linkę, a z cienia pod kozłem drewnianą skrzynkę. – To klatka na pasikoniki – wyjaśnił. – Do twoich obowiązków należy między innymi dbanie, żeby zawsze była pełna.

Uniósł nieco wieczko, by Rob mógł wsunąć rękę. Kanciaste owady z szelestem rozpierchły się na boki, lecz jednego zdążył delikatnie zamknąć w dłoni, przytrzymując kciukiem i palcem wskazującym złożone skrzydła. Wyjął go ze skrzynki. Nogi pasikonika – cieniutkie cztery przednie i masywne dwie tylne,

dzięki którym mógł odbijać się tak daleko – wierzgały rozpaczliwie, drapiąc go po dłoni. Balwierz pokazał mu, jak wsunąć haczyk pod twarde prążkowany pancerz na karku owada.

– Nie za głęboko, bo wytoczysz z niego soki i zdechnie – tłumaczył. – Łowiłeś już ryby? Gdzie?

– Na Tamizie. – Robert uważał się za zręcznego rybaka; nieraz z ojcem zarzucali wędkę w nurcie wielkiej rzeki. Połów chronił ich przed głodem, gdy nie było zarobku.

– Hm – chrząknął balwierz. – To nie to samo. Zostaw na chwilę wędkę i pochyl się, żeby cię nie zobaczyły.

Rob omal nie parsknął śmiechem, lecz posłusznie opadł na czworaki. Podczołgali się na brzeg nad najbliższym rozlewiskiem i przywarli do ziemi. Ujrzeli cztery ryby, jakby zawieszane bez ruchu w przejrzystej wodzie.

– Małe – szepnął Rob.

– Takie są najlepsze – mruknął balwierz, mozolnie pełznąc z powrotem. – Pstrągi w wielkich rzekach są twarde i obrośnięte tłuszczem. Widziałeś, jak te tu się czają u wylotu rozlewiska? Żerują pod prąd, czekając, aż przyniesie im jakiś smaczny kąsek. Są płochliwe i ostrożne. Jeśli staniesz nad wodą, zobaczą cię i pierchną. Podobnie wyczują ciężkie kroki nad brzegiem. Dlatego potrzebne jest długie wędzisko. Stań jak najdalej i lekko spuść przynętę przed rybami, żeby nurt zniósł im ją do pysków. – Przyglądał się bacznie, kiedy Rob zarzucił wędkę we wskazanym miejscu.

Niewidoczna ryba uderzyła z impetem, niczym przyczajony smok. Długi kij zadygotał w dłoniach chłopca i wraz z przeniesionym ruchem ogarnęła go nagła fala podniecenia. Wiedział, co robić dalej: jak ongiś nad Tamizą poczekał cierpliwie, aż pstrąg mocno chwyci owada, przypieczętowując w ten sposób swoją zgubę, a następnie –

tak jak uczył go ojciec – mocno poderwał wędkę wraz z haczykiem. Kiedy wyciągnął pierwszą trzepoczącą się zdobycz, mimo woli obaj się uśmiechnęli. Była piękna: grzbiet lśnił jak natłuszczone orzechowe drewno, smukłe boki nakrapiane były tęczowymi cętkami, a czarniawe płetwy zdobiły ciepłopomarańczowe smugi.

– Złap jeszcze pięć – polecił mu balwierz i zniknął w lesie.

Złowił jeszcze dwa pstrągi, następny zaś mu się zerwał. Na palcach przeniósł się w inne miejsce, gdzie polne koniki również cieszyły się wielkim popytem. Kończył właśnie patroszyć ostatnią, szóstą rybę, kiedy wrócił balwierz z czapką pełną smardzów i dzikiej cebuli.

– Jadamy dwa razy na dzień – poinformował chłopca. – Późnym rankiem i wczesnym wieczorem, jak wszyscy ludzie cywilizowani.

*O brzasku będziesz wstawał, przed południem śniadał,
Przed zachodem wieczerzał, po ćmie spać układał,
A pożyjesz tak długo, jak praojciec Adam – dodał wesoło.*

Pociął boczek w grube plastry i zrumienił go na patelni, a następnie obtoczył pstrągi w mące i wrzucił na uzyskany tłuszcz. Kiedy zbrązowiały, wkroił cebulę, a na końcu grzyby.

Kręgosłupy wraz z większością ości łatwo dały się oddzielić od parującego mięsa. Jedli z apetytem, doglądając smażących się na wonnych resztkach tłuszczu jęczmiennych placków nakrytych grubymi plastrami sera, który topił się bulgocząc na patelni. Za napój starczyła im zimna słodka woda z rybonośnego strumienia.

Balwierzowi wyraźnie poprawił się humor. Rob zdążył już zauważyć, że brzuchacz głodny jest zły. Przekonał się też, że każdy upichcony przezeń posiłek zasługiwał na miano uczy; mimo woli czekał na nie jak na ukoronowanie dnia. Westchnął z zadowoleniem. W kopalni nikt by go tak nie karmił. Praca też nie

była trudna – doskonale umiał łapać pasikoniki, łowić ryby i podkładać gałęzie pod koła, gdy wóz ugrzązł w błocie.

Najbliższa wieś nazywała się Farnham. Kilka chłopskich zagród, mała brudna gospoda, z której doleciała ich woń rozchłapanego piwa, kuźnia z sągiem drewna obok paleniska, cuchnący warsztat garbarski, tartak zawalony stertami desek i dom szeryfa przy placu będącym właściwie tylko rozszerzeniem drogi na kształt węża, który połknął jajko.

Balwierz zatrzymał wóz na skraju wsi. Wygrzebał spośród pakunków bębenek i pałeczkę i wręczył je chłopcu.

– Wal.

Incitatus już wiedział, co się szykuje: podrzucił łbem i zarżał, wdzięcznie unosząc kopyta jakby w tańcu. Rob z dumą bił w bęben, zarażony podnieceniem wieśniaków, którzy tłumnie wylegli na ulicę.

– Dziś wielkie przedstawienie! – wołał balwierz. – Potem zaś leczymy wszelkie ludzkie choroby, ciężkie i lekkie!

Potęźnie umięśniony kowal odprowadził ich wzrokiem, wypuszczając z sękatej ręki linkę miecha. Chłopcy z tartaku na głos bębna porzucili układane deski. Jeden z nich obrócił się na pięcie i ruszył biegiem.

– A ty dokąd? – zawołał drugi.

– Do domu, po brata i resztę.

– To wpadnij też po mego brata!

– Wszystkim powiedz o występie! – dorzucił balwierz kiwając z zadowoleniem głową.

Pomiędzy domami nawoływały się kobiety; czereda dzieci biegła za czerwonym wozem wespół ze stadem jazgoczących psów. Wóz przetoczył się powoli aż do końca wioski, następnie zaś zawrócił i ruszył z powrotem.

Gwar obudził staruszkę drzemiącego w słońcu pod ścianą karczmy; uśmiechnął się szeroko, ukazując bezzębne dziąsła. Grupka piwoszy chwiejnym krokiem wyszła na ulicę dzierżąc kufle, a za nimi, wycierając ręce w fartuch, pojawiła się zaciekawiona karczmarka.

Balwierz zatrzymał się na placu. Wydobył z wozu deski, z których prędko złożył cztery ławy i ustawił je jedną obok drugiej.

– To jest scena – oświecił Roba. – Ty ją będziesz ustawiał, gdy tylko gdzieś przyjedziemy. – Postawił na niej dwa kosze pełne zakorkowanych flaszeczek zawierających, jak oznajmił, leki. Potem zniknął w wozie, zaciągnąwszy za sobą burtę.

Przysiadłszy na brzegu „sceny”, Rob przyglądał się ściągającym na plac ludziom. Zauważył młynarza oprószonego mąką, poznał też dwóch cieśli po znajomych trocinach na odzieniu i we włosach. Całe rodziny rozsiadały się na ziemi w pobliżu sceny, gotowe czekać, byle tylko mieć dobry widok. Kobiety zajmowały się szyciem lub przędzeniem, dzieciarnia przepychała się z hałasem. Grupka wiejskich chłopaków patrzyła na Roba z zazdrością i podziwem, wyprostował się więc, robiąc wyniosłą minę. Już po chwili jednak wyleciały mu z głowy podobne głupstwa i tak jak oni stał się widzem. Na scenę wybiegł bowiem balwierz i skłonił się nisko.

– Witam was, dobrzy ludzie! – zakrzyknął. – Rad jestem wielce, że przybył do Farnham.

Na początek jął żonglować. Dwie piłki, czerwona i żółta, tańczyły mu w pulchnych dłoniach, które zdawały się całkiem nieruchome. Zataczały koła, wpierw powoli, potem coraz szybciej, rozmazując się bez mała w jedną ognistobarwną smugę. Na ten nadzwyczajny widok wśród wieśniaków zerwały się okrzyki i oklaski. Balwierz

sięgnął w zanadrze i po chwili do kręgu dołączyła zielona piłka. Potem jeszcze niebieska. A potem – nie do wiary! jeszcze brązowa.

Toż to cud! – pomyślał Robert wstrzymując oddech. Już-już był pewien, że któraś z piłek spadnie, lecz balwierz bez trudu panował nad wszystkimi, równocześnie zaś zabawiał widzów prawiąc śmieszne historie i śpiewając kuplety. Potem odłożył piłki i jął zonglować pętlami ze sznura i drewnianymi miskami, a gdy znudziła mu się zonglerka, pokazał kilka sztuczek: sprawił, że chusteczka zmieniła kolor, z włosów jakiegoś dziecka dobył drobną monetę, potem zaś znikło jajko, choć wszyscy na nie patrzyli.

– Dopieroż się zdziwicie, jak zniknie kufel piwa – zaśmiał się magik.

Wszyscy mu przyklasnęli. Karczmarka w te pędy przyniosła spieniony kufel. Balwierz przytknął go do ust i wychylił zawartość jednym długim haustem. Widownia buchnęła śmiechem. Skłonił się wdzięcznie i wśród oklasków spytał, czy któraś z pięknych niewiast i dziewczeczek nie potrzebuje wstążki.

– O, tak! – wyrwała się młoda krąglutka karczmarka. Widownia znów się zaśmiała, słysząc tak bez namysłu wyrażone życzenie.

Balwierz z uśmiechem spojrzał dziewczynie w oczy.

– Jak cię zwa, gołąbko?

– Amelia, panie.

– Zameżna?

– Jeszcze nie, panie.

Balwierz przymknął oczy.

– Co za marnotrawstwo! – rzekł z galanterią. – Jakiego koloru chciałabyś mieć wstążkę, piękna panno Amelio?

– Czerwoną.

– A ile?

– Wystarczy dwa jardy.

– No myślę – mruknął balwierz unosząc brwi.

Rozległ się gromki śmiech, lecz on jakby zapomniał o dziewczynie. Pociął sznur na cztery części i połączył je na powrót w jedną całość. Nakrył chusteczką pierścień i zamienił go w orzech. Potem, jakby zaskoczony, przytknął dłoń do ust i wyciągnął coś spomiędzy warg. Był to koniec czerwonej wstążki.

Oślupiała widownia przyglądała się bez tchu, jak magik cał po calu wydobywa wstążkę z ust, biedząc się przy tym, sapiąc i zezując. Nareszcie zagryzł wstążkę, sięgnął po sztylet, odciął ją tuż przy wargach i z ukłonem wręczył karczmarce.

Obok dziewczyny stał tracz z tartaku, oparty o drewnianą miarę. Okazała się teraz nad wyraz przydatna.

– Dwa jardy, jak obszył! – ogłosił i znów huknęły brawa. Balwierz zaczekał, aż przycichną, i uniósł flaszeczkę ze swoją driakwią.

– Zacni gospodarze, gospodynie i dziewczki! Ta oto cudowna driakiew przedłuży życie i odmładza zwiędłe ciało. Sztywne stawy rozrusza, a wążle wzmocni. Zblakłym oczom przywróci filuterny blask. Słabość zmieni w krzepę, powstrzyma łysienie, a i nowy całkiem włos na łysinie zasadzi. Ożywi przyćmiony wzrok i wyostrzy stępiony dowcip. Znakomity ów kordiał pobudza lepiej niż trunek, a przeczyszcza łagodniej niż lewatywa ze śmietany. Pomaga na wzdęcia i krwawe biegunki, ułatwia porody i przynosi ulgę w cierpieniu niewiastom. Leczy choroby dziąseł częste u żeglarzy, co na morza szerokie się wyprawiają. Dobra dla człowieka i jego chudoby, na głuchotę, na jęczmień, na suchy i mokry kaszel, bóle brzucha, żółtaczkę i febrę. Na każdą chorobę! Nawet z duszy w mig przepędza wszelkie troski!

Sprzedali znaczną część przygotowanego leku. Potem balwierz wraz z Robem rozłożył parawan, za którym przyjmował chorych. Zaraz też ustawił się długi ogonek ludzi skłonnych zapłacić jeszcze parę groszy za zabieg lub poradę.

Wieczorem Robert po raz pierwszy w życiu wieczerzał w karczmie. Pieczona gęś wydała mu się bajecznym specjałem, chociaż balwierz orzekł, że mięso jest za suche, a w tłuczonej rzepie czuć grudki. Potem rozłożył na stole mapę Anglii. Rob nigdy jeszcze nie widział mapy i z przejęciem śledził palec swego mistrza biegnący zygzakowatym szlakiem, który mieli przemierzyć w najbliższych miesiącach.

W końcu, ledwie patrząc na oczy i potykając się ze zmęczenia, dobrnął do obozowiska. Przy blasku księżyca rozłożył sobie skóry i padł na posłanie, ale tyle się zdarzyło w ostatnich dniach, że z podniecenia nie mógł zasnąć. Leżał jeszcze, to wpadając w drzemkę, to znów patrząc w gwiazdy, kiedy wrócił balwierz w czyimś towarzystwie.

– Amelio, moja śliczna – mówił – ledwie ujrzałem twoje głodne usteczka, już wiedziałem, że gotówem umrzeć dla ciebie.

– Uważaj na korzenie – zaśmiała się dziewczyna – bo iście skręcisz sobie kark.

Robert leżał i słuchał. Docierały do niego odgłosy wilgotnych pocałunków, szelest zrzucanej odzieży, zdławione śmiechy. Potem plasnęły o ziemię ciężkie futra.

– Włóż na mnie. Zgniótłbym cię samym brzuchem – wydyszał balwierz.

– Ano, bandzioch jak góra – przyznała złośliwie karczmarka. – Jakże mi się na nią wdrapać?

– Nie, nie, nie, kochana. Górę zostaw w spokoju. Tu jest wieża, na której musisz zasiać.

Rob chciał sobie obejrzeć karczmarkę bez odzienia, ale zanim ośmielił się unieść głowę, już dosiadła balwierzka i widział tylko majaczące w mroku blade poślądki. Oddychał równie głośno jak tamci, lecz choćby nawet krzyczał, nie zwróciliby na niego uwagi. Dwa wielkie pulchne łapska pojawiły się nagle w jego polu widzenia i ścisnęły kolebiące się białe półkule.

– Aaaaach, mała!

Dziewczyna jęknęła w odpowiedzi.

Usnęli wcześniej niż Rob. Gdy i jemu nareszcie oczy się zamknęły, przyśnił mu się żonglujący balwierz.

Gdy o świcie zbudził go chłód, karczmarki już nie było. Zwinęli obóz i wyjechali z uspiętej jeszcze wsi.

Niedługo po wschodzie słońca zobaczyli przy drodze rozrośnięte krzaki jeżyn, zatrzymali się więc, by napełnić kosz dojrzałymi owocami. W następnej zagrodzie zakupili obrok, a potem przystanęli na śniadanie. Rob rozpałił ognisko, przysmażył boczek i chleb z serem. Balwierz tymczasem wbił do miski dziewięć jaj, roztrzepał je ze śmietaną i ustawił na żarze. Gdy się ścięły, sypnął na wierzch słodkich czarnych jeżyn. Z satysfakcją patrzył, jak Rob zachłannie pożera swoją porcję.

Po południu mijali warownię otoczoną wiankiem chłopskich zagród. Na wysokich ziemnych wałach i u ich podnóża kręcili się zbrojni. Balwierz popędził konia, chcąc ominąć zamczysko. Z bramy jednak wypadło trzech jeźdźców, każąc im się zatrzymać. Uzbrojeni po zęby, wyglądali dość groźnie.

Mężczyzna przyodziany w kolczugę z drobnych ogniw, najpewniej dowódca, z ciekawością obejrzał malowany wóz.

– Jakim to rzemiosłem się parasz? – spytał.

– Balwierstwem, panie.

Tamten z zadowoleniem skinął głową i zawrócił konia.

– Jedź za mną.

Otoczony strażą wóz przetoczył się po zwodzonym moście nad fosą, później przez masywną bramę w wale i drugą w kolejnym wale zwieńczonym ostrokołem. Rob po raz pierwszy miał okazję z tak bliska oglądać zamek. Fundamenty i część ścian miał z kamienia, a wyższe piętra z bali. Ganek i szczyty dachu zdobiły misterne rzeźbienia, barwione jaskrawą farbą.

– Zostaw wóz na dziedzińcu i weź narzędzia.

– Co się stało, panie?

– Suka zraniła się w łapę.

Objuczeni narzędziami i flaszkami driakwi weszli do olbrzymiej sali. Kamienną posadzkę zaścielało sitowie, które prosiło się o zmianę na świeże. Sprzęty zdawały się robione na miarę olbrzymów. Na trzech ścianach wisiały tarcze, miecze i oszczepy; północną, pod którą stał rzeźbiony tron z ciemnego drewna, zdobiły barwne, ale zblakłe kobierce.

Palenisko pośrodku sali było zimne, ale nawarstwiony przez zimę kopeć bił w nozdrza, podobnie jak inny, jeszcze mniej przyjemny odór, którego źródłem była najwyraźniej leżąca obok paleniska gończa suka.

– Dwie niedziele temu wsadziła łapę w sidła i straciła dwa palce. Zrazu goiły się dobrze, potem zaczęły ropieć.

Balwierz skinął głową. Wyrzucił mięso ze srebrnej miski stojącej u łba suki i wlał do niej dwie flaszeczki driakwi. Zwierzę śledziło jego ruchy zaropiałymi oczyma i warknęło, gdy postawił przed nim miskę, lecz po chwili zaczęło chłeptać likwor. Croft wolał nie ryzykować: kiedy łeb suki opadł bezwładnie, mocno owiazał jej pysk i unieruchomił łapy, żeby ustrzec się kłów i pazurów. Potem ciął. Pies szarpnął się i zawył. Rana śmierdziała przeraźliwie i roiły się w niej robaki.

– Trzeba odjąć jeszcze jeden palec.

– Lepiej się postaraj, żebyś jej nie okulał – rzekł zimno rycerz.

Po skończonym zabiegu balwierz zalał ranę resztką driakwi i owinął ją gałganem.

– Co do zapłaty, panie... – bąknął.

– Musisz poczekać, aż hrabia wróci z łowów. Jego poprosz. – Rycerz obrócił się na pięcie i wyszedł.

Delikatnie rozwiązali psa, pozbierali narzędzia i wrócili do wozu. Balwierz wdrapał się na kozioł i zawrócił ku bramie. Bez pośpiechu minął strażę, jak gdyby pozwolono mu odjechać.

Kiedy zamek zniknął im z oczu, splunął siarczyście.

– Hrabia może wrócić dopiero za parę dni. Jeśli w tym czasie suka wyzdrowieje, albo nam łaskawie zapłaci, albo nie. Jeśli zdechnie albo wielmożny pan będzie miał zatwardzenie, jak nic każe nas wychłostać. Już ja tam wolę unikać wielkich lordów. Po wsiach człek mniej ryzykuje – rzekł popędzając konia.

Nazajutrz balwierz nie miał powodu do narzekań, przybyli bowiem do wioski zwanej Chelmsford. Okazało się jednak, że uprzedził ich tu inny uzdrowiciel: gnący się w ukłonach sprzedawca maści w jasnorudej tunice, z grzywą siwych włosów.

– Co za miłe spotkanie, balwierzu – rzekł pogodnie.

– Witaj, Wat. Wciąż jeździsz z tym swoim zwierzem?

– Nie, zaczął chorować i zrobił się złośliwy. Sprzedałem go szcwarzom.

– Trzeba mu było dać mojej driakwi. Na pewno by wydobrzał.

Roześmiali się obaj.

– Mam już nowego. Chcesz popatrzeć?

– Czemu nie?

Balwierz postawił wóz pod drzewem, wyprzągnął konia i puścił go na trawę. Na błoniu robiło się coraz tłoczniej. Chelmsford był sporą

osadą, a każdy chciał zobaczyć przedstawienie.

– Siłowałeś się kiedy? – mruknął do Roba.

Chłopiec kiwnął głową. Lubił zapasy, bardzo popularne wśród londyńskiej młodzieży rzemieślniczej.

Wat rozpoczął występ podobnie jak oni. Żonglował z wielką wprawą, choć jego dykteryjki nie dorównywały balwierzowym i widzowie śmiali się znacznie rzadziej. Miał natomiast coś, czego nie byli w stanie pobić: niedźwiedzia.

Klatka stała w cieniu, nakryta płachtą. Kiedy Wat ją odsłonił, tłum westchnął jednym głosem. Rob oglądał już kiedyś popisy z niedźwiedziem – w Londynie, przed karczmą Swanna, dokąd zabrał go ojciec. Miał wtedy sześć lat i niedźwiedź wydał mu się ogromny. Ten, którego Wat wyprowadził z klatki na długim łańcuchu, był niewiele większy od dużego psa, ale za to bardzo sprytny.

– Niedźwiedź Bartram! – przedstawił go głośno Wat.

Na jego rozkaz niedźwiedź padał jak martwy, turlał i łapał piłkę, wspinał się po drabinie, a gdy Wat zagrał na piszczałce chodzonego, zaczął tańczyć. Obroty wychodziły mu dość niezdarnie, lecz tak rozbijająco, że widzowie oklaskiwali każdy jego krok.

– A teraz – oznajmił Wat – Bartram wyzywa do zapasów każdego, kto odważy się z nim zmierzyć. Zwycięzca dostanie za darmo garnuszek cudownej maści leczącej wszelkie dolegliwości.

Podniósł się szmer rozbawienia, lecz nikt się nie zgłosił.

– Śmiało, siłacze! – zachęcał ich kpiarsko Wat.

W oczach balwierza zamigotały złośliwe ogniki.

– Mamy tu jednego nieustraszonego młodzieńca! – rzekł głośno.

Pchnięty z tyłu, Rob jak pocisk wypadł na arenę i gdy otrząsnął się z oszołomienia, poczuł zimny strach. Wat wyprowadził go na środek.

– Mój szczeniak przeciwko twojej bestii! – zawołał balwierz.

Wat przyzwalająco kiwnął głową i obaj gruchnęli śmiechem.

O matko... – pomyślał Robert, drętwiejąc z przerażenia. Miał przed sobą niedźwiedzia. Prawdziwego niedźwiedzia, nie psa ani towarzysza dziecinnych zabaw. Zwierz zakołysał się na tylnych łapach i przekrzywił ku niemu wielki kosmaty łeb. Robert patrzył na jego tęgie bary i mocarne łapy czując, że powinien rzucić się do uciezki. Ale występując przeciwko balwierzowi pozbawiłby się jego opieki i ochrony. Mniej odwagi kosztowało go stawienie czoła bestii.

Z bijącym sercem okrążył niedźwiedzia i pomachał mu przed pyskiem otwartymi dłońmi, jak czynili starsi zapaśnicy. Możliwe, że się wygłupił, bo ktoś w tłumie parsknął śmiechem i niedźwiedź spojrział na niego. Starając się zapomnieć, że jego przeciwnik nie jest człowiekiem, Rob potraktował go jak człowieka – skoczył chcąc zbić go z nóg. Równie dobrze mógłby próbować obalić ciałem wielki dąb.

Niedźwiedź podniósł łapę i trzepnął go od niechcienia. Na szczęście miał wyrwane pazury, odrzucił go jednak przez pół areny. Rob struchlał. Był bezsilny i mimo wszystko gotów do uciezki, lecz Bartram w mgnieniu oka był już przy nim. Podnosząc się z ziemi trafił wprost w objęcia zwierza, który przycisnął go do swojej piersi. Usta i nos wypełniły mu sztywne czarne kłaki cuchnące podobnie jak skóra, na której sypiał przy ognisku. Bartram nie był dorosły – lecz on także nie. Próbując się wyrwać, ujrział nagle przed sobą wystraszone czerwone oczka. Zwierzę bało się tak samo jak on, ale było silniejsze; Rob czuł się jak kukiełka w jego łapach. Niedźwiedź nie mógł go ugryźć, chociaż sądząc po tym, jak mocno wparł mu w ramię skórzany kaganiec,

na pewno miał na to ochotę. Twarz chłopca owiewał gorący smrodliwy oddech.

Wat sięgnął do obroży, ale nim jej dotknął, Bartram skulił się, zaskomlał i przewrócił się na grzbiet.

– Teraz go przygwóźdz, głupcze – syknął jego właściciel.

Rob rzucił się na niedźwiedzia, łapiąc go za czarne kudły na barkach. Nikogo nie oszukał; z tłumu poleciały szyderstwa, acz dobrotliwe, wszyscy bowiem przednio się bawili. Wat zamknął Bartrama w klatce i zaraz wrócił z przyrzeczoną nagrodą – małym garnuszkiem maści, który wręczył chłopcu, korzystając z okazji, by jeszcze raz zachwalić lek.

Robert dowlóknął się do wozu na miękkich nogach.

– Nieźle sobie radziłeś – pochwalił go balwierz. – Wpadłeś w niego jak taran. Jak tam nos, krwawi?

Chłopiec smarknął, uznając, że i tak miał sporo szczęścia.

– Byłby mnie poturbował – burknął.

Balwierz wyszczerzył zęby i potrząsnął głową.

– Zauważyłeś uchwyt u obroży? Pozwala ją skrócić i przydławić zwierzę, gdy jest nieposłuszne. Tak się je szkoli. – Wyciągnął rękę, pomagając swemu uczniowi wleźć na kozioł, a potem wydłubał szczyptę maści z garnuszka i roztarł ją w palcach. – Łój, smalec i odrobina pachnidła. Ale ludzie kupują... – W zadumie przeliczył wzrokiem tłumek oblegający stragan konkurenta. – Tresowane zwierzę w mig nabija kabzę. Widywałem już uczone psy, świstaki, kozy, wrony, borsuki, a nawet jaszczurki. Każdy z tych magików zarabiał więcej niż ja pracując sam.

Zaciął konia lejcami i Tatus pociągnął ich drogą w głąb chłodnego lasu, coraz dalej od Chelmsfordu i niedźwiedzia siłacza. Rob, wciąż rozdygotany, namyślał się przez jakiś czas.

– To czemu nie sprawisz sobie jakiegoś zwierzaka, mistrzu? – spytał w końcu.

Balwierz obrócił się na koźle. Przyjazne spojrzenie niebieskich oczu spoczęło na chłopcu, wyrażając nawet więcej niż uśmiechnięte usta.

– Mam ciebie.

6

Kolorowe piłki

Zaczęli od żonglerki. Robert z góry wiedział, że nic z tego nie będzie. Musiałby stać się cud.

– Stój prosto, ale swobodnie, łokcie trzymaj przy bokach. Teraz unieś przedramiona tak, żeby były poziomo. Wnętrzem dłoni do góry. – Balwierz przyjrzał mu się krytycznie i kiwnął głową. – Teraz wyobraź sobie, że trzymasz na nich deskę, na której leżą jajka. Nie możesz jej przechylić, bo wszystkie spadną. Tak samo jest z żonglerką. Jeśli przekrzywisz ręce, piłki będą latać gdzie popadnie. Rozumiesz?

– Tak, panie. – Chłopiec poczuł, że ściska go w dołku.

– Stul dłonie, jakbyś z każdej miał napić się wody. – Balwierz wziął dwie drewniane kule, czerwoną włożył do prawej dłoni Roba, niebieską do lewej. – Teraz wyrzuc je w górę tak, jak ja to robię, ale jednocześnie.

Piłki przeleciały Robertowi nad głową i spadły na ziemię.

– Uważaj: czerwona poleciała wyżej, bo prawą rękę masz silniejszą od lewej. Musisz nauczyć się je równoważyć, odrobinę mniej wysiłku wkładać w prawą, więcej w lewą. Poza tym rzuciłeś piłki za wysoko. Żongler nie ma czasu zadzierać głowy pod słońce, żeby sprawdzić, gdzie są. Najwyżej dotąd. – Puknął chłopca

w czoło. – Wtedy widzisz je nie poruszając głową. A, i jeszcze jedno: zongler nie wyrzuca piłek, tylko je podbija. Na króciutką chwilę prostujesz dłoń i wtedy jej środek wybija piłeczkę prosto w górę. Nadgarstek pracuje, przedramię zaś leciutko się unosi. Ramiona od barku do łokcia są nieruchome. – Podniósł piłki i podał je chłopcu.

Po przyjeździe do Herfordu Rob złożył ławy, wystawił na nich flaszki z driakwią, a potem wziął dwie kule i zaczął je podbijać. W opowieści balwiera wyglądało to łatwo, w praktyce jednak zepsuł co najmniej połowę rzutów niechcący wprawiając piłkę w ruch wirowy, przez co zbaczała z toru. Jeśli przetrzymał ją w garści za długo, spadała mu na głowę lub za plecy; jeśli zanadto rozluźnił dłoń, musiał ją gonić. Ćwiczył jednak uparcie i po pewnym czasie wyczuł, na czym polega sztuka. Przed wieczerą pochwalił się swemu mistrzowi, który był bardzo rad.

Nazajutrz balwierz zatrzymał wóz przed Luton i pokazał mu, jak przerzucać dwie piłki z ręki do ręki.

– Nie zderzą się w powietrzu, jeśli jedną podbijesz wcześniej albo wyżej niż drugą.

Podczas gdy on sam dawał pokaz we wsi, Rob zabrał dwie piłeczki i wymknął się do lasu. Najczęściej obie kule zderzały się z drwiącym trzaskiem i spadały na ziemię. Zbierając je po polance czuł się jak tępak. Na szczęście świadkami jego niepowodzeń była tylko mysz i kilka przelotnych ptaków, bez oporów więc powtarzał próby. Z czasem znalazł sposób: lewą wypuszczał wcześniej, szerszym łukiem, prawą niżej, przez co miała do pokonania krótszy dystans. Szlifował to przez dwa dni, nim uznał, że może się już popisać przed balwierzem.

Ten kiwnął głową z aprobatą i nauczył go puszczać dwie piłki w kółko.

– To znacznie łatwiejsze, niż się wydaje. Podrzucaś pierwszą. Kiedy jest w powietrzu, przekładasz drugą do prawej ręki. Lewa chwyta pierwszą, prawa podrzuca drugą i tak dalej, hop i hop, i hop! Podbite szybko wylatują w górę, a spadają wolniej. To sekret żonglera i jego ratunek. Masz mnóstwo czasu.

Pod koniec tygodnia poznał kolejną sztukę: żonglerkę dwiema piłkami w jednej ręce. Jedną trzymał w zagłębieniu dłoni, drugą dalej, na palcach (na szczęście miał duże dłonie). Często mu spadały, lecz w końcu nauczył się wybijać najpierw czerwoną, a nim wróciła – niebieską i znów, na przemian, hop, hop, hop! Z przyjemnością patrzył, jak tańczą mu na dłoni. Ćwiczył teraz w każdej wolnej chwili, przerzucając dwie piłki a to w kółko, a to z ręki do ręki, a to obie tylko prawą albo tylko lewą dłonią. Stopniowo zwiększał szybkość obniżając tor lotu piłek.

Zatrzymali się pod miasteczkiem zwanym Bletchley, po drodze bowiem balwierz kupił od jakiegoś wieśniaka wypatroszonego już łabędzia. Ptak był młody, lecz i tak większy od wszelkiego drobiu, z jakim Rob miał dotąd do czynienia. Balwierz dokładnie umył tuskę w strumieniu i opalił resztki pierza nad ogniskiem. Potem nadział ją kasztanami, cebulą, tłuszczem i ziołami. Mięso było drogie, warto było więc dołożyć starań, aby efekt był godny poniesionych kosztów.

– Łabędź jest bardziej mięsisty od gęsi, ale suchszy niż kaczka – pouczał chłopca z uśmiechem. – Potrzebuje sporo tłuszczu.

Owinęli więc ptaka w zgrabny kokon z plastrów solonego boczku. Obwiązany ściśle lnianym sznurkiem i nadziany na rożen zawisł nad ogniskiem. Teraz pozostało tylko czekać. Robert wziął swoje piłki, ale dochodzące znad ognia smakowite zapachy nie pozwalały mu się skupić na żonglerce. Żar wytapiał tłuszcz z boczku, zwilżając chude mięso; podobnie tłuszcz w nadzieniu topił się powoli,

nasączając ptaka od środka. Za każdym obrotem służącej za rożen zielonej gałęzi przypiekany boczek stawał się coraz bardziej kruchy. Po zdjęciu z rożna odpadł, odsłaniając wilgotne i miękkie, trochę jeszcze żyłaste, ale pięknie pachnące pieczyście. Zjedli po kawałku – Robert dostał wielkie różowe udko – zagryzając mięso gorącym nadzieniem i gotowaną dynią.

Nazajutrz, po całym dniu odpoczynku, wstali wczesnie i bez zwłoki ruszyli w dalszą drogę. Około południa pokrzepili się zimną pieczenią z łabędzia oraz chlebem i serem. Po posiłku balwierz beknął z zadowoleniem i wręczył Robowi trzecią drewnianą piłkę pomalowaną na zielono.

Posuwali się jak mrówki przez rozległą nizinę. Łagodne wzgórza Cotswold powitały ich dojrzałą urodą lata. Po dolinach tuliły się wsie i Rob ujrział w nich więcej kamiennych domów, niż przez całe dzieciństwo naoglądał się w Londynie. Trzy dni po świętym Switunie skończył dziesięć lat. Nie wspomniał o tym mistrzowi.

Rósł. Rękawy skrojonej ongiś na wyrost koszuli kończyły mu się znacznie powyżej kościstych przegubów. Nabrał muskulatury, bo balwierz go nie oszczędzał. Rob wykonywał większość codziennych prac: rozładowywał i załadowywał wóz na każdym postoju, zbierał drwa na ognisko, nosił wodę. Ale że nie skąpili sobie na jedzeniu, mistrz rozrastał się wszerek, a jego uczeń wzdłuż. Wprędce też przywykł do tak wykwintnej kuchni.

Oni dwaj także z czasem do siebie nawykli. Teraz gdy grubas sprowadzał sobie do obozowiska dziewczkę, chłopiec nie czuł się zażenowany. Oczywiście wszystko słyszał; czasem rzucił okiem w tamtą stronę, lecz przeważnie obracał się na bok i zasypiał. Czasem mistrz spędzał noc w domu swej wybranki. Zawsze jednak o świcie, gdy trzeba było ruszać, był już w wozie.

Balwierz uwodził każdą napotkaną kobietę – i tak samo uwodził ludzi, którzy przychodzili na jego występy. Opowiadał im cuda o swoim panaceum: że jest to wschodni lek sporządzany z naparu suszonego kwiatu rośliny zwanej vitalią, rosnącej tylko na pustyniach dalekiej Asyrii. Gdy wszakże zapas driakwi się wyczerpał i trzeba było zrobić nową, Robert sam się przekonał, że składa się ona głównie z najzwyczajszego trunku.

Wystarczyło rozpytać się w paru mijanych chatach, a w mig znalazł się wieśniak, który chętnie sprzedał beczkę syconego miodu. Rodzaj trunku nie miał w istocie znaczenia, balwierz jednak najchętniej stosował korzenny miód zwany meteglinem, rozcieńczony nieco wodą.

– To walijski wynalazek – perorował – jedna z niewielu rzeczy, jakich można pozazdrościć Walińczykom. *Meddyg* mówią na medyka, a *lynn* oznacza w ich języku mocny napitek. Toteż leczą się wyłącznie tym roztworem, zresztą z niezłym skutkiem, bo meteglin tępi język, a zagrzewa ducha.

Asyryjskie „ziele życia” zastąpiła saletra, której szczyptę Rob dodawał sumiennie do każdego garnca meteglinu. Nadawała mu gorzki smak leku, łagodzony w pewnym stopniu słodyczą sfermentowanego miodu, który stanowił podstawę roztworu. Gotową driakiew zlali do niewielkich flaszek.

– Tanio kup baryłkę, drogo sprzedaj flaszkę – rzekł balwierz sentencjonalnie. – Pamiętaj, że większość pacjentów balwiera to biedota. Chirurdzy mierzą wyżej, liczą sobie drożej i tylko czasem podrzucają co gorszą robotę takim jak my, niczym zgniły ochłap, którym nie chcą sobie brudzić rąk. Ale ci szarlatani i tak są niczym w porównaniu z prawdziwymi medykami, którzy leczą szlachtę, a biorą najwięcej. Zapewne więc zastanowiło cię już nieraz, dlaczego twój mistrz nie dorabia strzygąc brody i włosy. Otóż, drogi

chłopcze, stać mnie na to, żeby robić, co chcę. Wbij to sobie do głowy, uczniu: warząc odpowiednie leki i umiejętnie je sprzedając, balwierz może nabić sobie kiesę nie gorzej od medyka. Choćby wszystko zawiodło, starczy ci o tym wiedzieć.

Kiedy uporali się z partią na sprzedaż, balwierz wziął mniejsze naczynie i nabełtał jeszcze trochę driakwi, a następnie zadarł suknię. Rob oniemiał widząc, że do garnka ciurka strumyk moczu.

– To nalewka specjalna – rzekł gładko balwierz, strząsając ostatnie krople. – Pojutrze zatrzymamy się w Oksfordzie. Tamtejszy szeryf, niejaki John Fitts, każe mi się drogo opłacać grożąc, że przegna mnie z hrabstwa. A z kolei za dwa tygodnie będziemy w Bristolu, gdzie karczmarz Potter w czasie moich występów zawsze głośno mnie wydrwiwa. Za każdym razem staram się więc im odwdzięczyć stosownym podarunkiem.

W Oksfordzie Robert, który zwykle gdy mistrz dawał przedstawienie, usuwał się na bok i wykorzystywał ten czas na ćwiczenia z piłkami, pilnie śledził występ. Jego cierpliwość została nagrodzona: ujrzał wnet szeryfa, wysokiego chudzielca o wpadniętych policzkach, odzianego w przybrudzoną jedwabną szatę. Mężczyzna zbliżył się do sceny z chłodnym, lekko ironicznym uśmiechem. Balwierz z pochmurną miną wręczył mu trzosik, a po chwili wahania dodał jeszcze flaszkę driakwi.

Szeryf wyjął korek i przechylił flaszkę. Robert był pewien, że zacznie się krztusić, pluć i wzywać strażę, ale Fitts wysączył driakiew do dna i mlasnął z ukontentowaniem.

- Godny trunek!
- Dzięki, szlachetny panie.
- Daj mi parę flaszeczek do domu.

Balwierz westchnął i odparł powoli, jakby z musu:

- Oczywiście, milordzie.

Flaszeczki ze szczynami – w odróżnieniu od nierozcieńczonego specyfiku – oznaczone były zadrapaniem i trzymane osobno w kącie wozu, ale Rob i tak bał się którejkolwiek tykać. „Specjalna” nalewka obrzydziła mu wszelkie miodowe trunki i być może dzięki temu nie został pijakiem już za młodu.

Żonglowanie trzema kulami okazało się nadspodziewanie trudne. Rob ćwiczył wytrwale przez kilka tygodni, lecz efekt był mizerny. Brał dwie piłki do prawej ręki i jedną do lewej. Umiał już żonglować dwiema piłkami jedną ręką – wystarczyło w odpowiednim momencie podzucić trzecią. Dwie powinny wzlecieć razem, za nimi jedna, potem znów dwie i znów jedna... Pojedyncza piłeczka skacząca między dwiema wyglądała całkiem ładnie, lecz w prawdziwej żonglerce wszystkie trzy powinny krążyć z ręki do ręki, a ilekroć Rob tego próbował, następowała katastrofa.

Ćwiczył w każdej wolnej chwili. We śnie widział kolorowe piłki tańczące w powietrzu lekko niczym ptaki, ale gdy próbował je tak podzucić, szybko tracił nad nimi wszelką kontrolę.

Po raz pierwszy udało mu się to w Stratfordzie, sam nie wiedział jak. Nagle złapał rytm. Trzy piłki wylatywały w górę i wracały, jakby trwale spojone z jego dłońmi.

– A to mi zrobiłeś piękny prezent! – ucieszył się balwierz. – Trzeba ci bowiem wiedzieć, że dziś mam urodziny.

Aby uczcić tę podwójną okazję, zakupili na targu udziec z młodej sarniny. Balwierz lekko obgotował mięso, naszpikował je tłuszczem, posypał miętą i szczawiem i udusił w piwie z młodą marchewką i słodkimi gruszkami.

– A ty kiedy się urodziłeś? – zagadnął przy jedzeniu.

– Trzy dni po świętym Switunie.

– To już było! Czemużeś nic nie mówił?

Rob nie odpowiedział. Balwierz zerknął na niego i pokiwał głową. Odkroił jeszcze hojny kawał mięsa i włożył mu na miskę. Wieczorem zabrał chłopca do gospody w mieście. Rob pił słodki jabłecznik, mistrz zaś doił świeże piwo, każdy dzbanek doprawiając skoczną piosnką. Głos miał niezbyt mocny, lecz melodyjny. Nagrodziły go brawa i łoskot kufli o stoły. W kącie siedziały samotnie dwie kobiety, jedyne w izbie. Młodsza była pulchna i płowa. W ciemnych włosach starszej, szczuplejszej, połyskiwały już siwe pasma.

– Jeszcze! – zawołała zuchwale ta starsza.

– Pani, widzę, żeś nienasycona! – zaśmiał się w odpowiedzi balwierz. Odrzucił głowę w tył i zaśpiewał:

*Smutny los tej starej wdowy,
Wzięła łotra do alkowy.
Ten chędożył ją z ochotą,
Po czym zabrał całe złoto.*

Niewiasty zaśmiewały się do rozpuku, kryjąc oczy rękami. Balwierz kazał im podać piwa, po czym zaśpiewał:

*Kiedyś oczy mnie pieściły,
Dziś mnie pieszczą twoje ręce.
Zaraz wezmę sobie więcej,
Gdy się bronić nie masz siły.*

Balwierz odtńczył po kolei z każdą z niewiast szalonego hopaka, obecni zaś w karczmie mężczyźni klaskali i pokrzykiwali do taktu. Zaskakująco zwinny mimo tuszy, okręcał rozbawione partnerki i bez trudu je podrzucał, pod warstwą tłuszczu miał bowiem bez mała końskie mięśnie. Kobiety przysiadły się do ich stołu, ale rozmarzony jabłecznikiem Rob wkrótce usnął. Jak przez mgłę

pamiętał potem, że we trójkę prowadzili go do obozowiska, podtrzymując, ilekroć się zatoczył.

Gdy się ocknął nazajutrz, tamci troje leżeli splątani pod wozem niczym kłębowisko martwych węży. Ponieważ od pewnego czasu intrygowały go kobiece piersi, podkraść się, żeby im się przyjrzeć. Młodsza miała pełne i ciężkie, z grubymi brodawkami w otoczcze brunatnych kręgów, na których rosło kilka włosków. Starsza była prawie płaska; drobne sinawe cycki przypominały sutki maciory albo suki.

Balwierz otworzył jedno oko. Widząc, że jego uczeń uzupełnia swą wiedzę o szczegółach kobiecego ciała, odczekał chwilę i dopiero potem wyplątał się spomiędzy śpiących dziewczek. Klepnął jedną, potem drugą, wyrywając je ze snu, a gdy rozeźlone naciągały na siebie suknie, zwinął poślanie, wrzucił je na wóz i wręczył każdej monetę oraz flaszkę driakwi. Rob tymczasem zaprzągnął konia. Żegnani szyderczym głosem zrywającej się do lotu czapli, i oni opuścili Stratford, nim wstające słońce zaróżowiło rzekę.

7

Dom nad zatoką

Któregoś ranka Robertowi udało się nareszcie zagrać na saskim rogu: miast tylko syczeć, ozwał się pełnym głosem. Począwszy od tego dnia chłopiec z dumą ogłaszał ich codzienne przejazdy tęsknym tonem, budząc żałosne echa w lesie. Z końcem lata, gdy dnia zaczęło już ubywać, skierowali się na południowy zachód.

– Mam chałupinę w Exmouth – wyjaśnił balwierz. – Staram się spędzać zimy na południowym wybrzeżu, bo nie cierpię chłodu. – To rzekłszy, dał chłopcu czwartą, brązową piłkę.

Żonglowanie czterema nie było takie straszne; Rob umiał każdą ręką panować nad dwiema, wystarczyło to robić równocześnie. Ćwiczył z zapałem, nawet w czasie jazdy – do chwili gdy zirytowany ciągłym zatrzymywaniem konia, żeby chłopiec mógł pozbierać upuszczone piłki, balwierz surowo mu tego zakazał.

Czasem mijał po drodze chłopców w swoim wieku chlapiących się w rzece albo ganiających ze śmiechem. Tęsknił wtedy za dzieciństwem. Czuł się już jednak inny, jakby od nich starszy. Czy tamci malcy zmagali się z niedźwiedziem? Potrafili żonglować czterema kulami? Grać na rogu?

W Glastonbury zrobił z siebie głupca: zaczął żonglować przed grupką oniemiałych z podziwu chłopców na cmentarzu. Balwierz występował w tym czasie na rynku, skąd dobiegał śmiech i oklaski. Dowiedziawszy się o wybryku Roba, nie szczędził mu ostrych słów.

– Żadnych popisów, dopóki nie będziesz żonglował jak należy, a to jeszcze wcale nie jest pewne. Zrozumiano? – zakończył.

– Tak, mistrzu – rzekł potulnie Rob.

Do Exmouth dotarli pod koniec października. Opuszczony dom stał zaledwie o pięć minut drogi od morskiego brzegu.

– Było tu kiedyś normalne gospodarstwo, ale kupiłem samą chałupę, bez ziemi, za to tanio – powiedział balwierz. – Koń mieszka w stodole, a wóz trzymam w spichrzu.

Przybudówka mieszcząca dawniej obórkę służyła teraz za drewnię. Główny budynek nie był wiele większy od rodzinnego domu Roba w Londynie i też kryty strzechą, ale zamiast dymnika miał duży kamienny komin. Balwierz wstawił w palenisko trójnog z żelaznym garem, szuflę i wielkie szcypce, kociołek i hak na mięso. Komin wyposażony był w duchówkę, z drugiej zaś strony przystawione do niego było ogromne łóże. W czasie minionych zim balwierz urządził się tu dość wygodnie.

Miał dzieżę na ciasto, stół, ławę, skrzynkę, w której trzymał sery, kilka dzbanków i koszyków.

Kiedy w palenisku zapłonął ogień, opieklili nad nim resztę szynki, którą żywili się od tygodnia. Nadpsute już mięso miało specyficzny smak, chleb także spleśniał. Nie był to posiłek w guście Henryka Crofta.

– Jutro musimy kupić coś do żarcia – rzekł kwaśno.

Po jedzeniu Robert sięgnął po swoje piłki i w migotliwym świetle zaczął je przerzucać, żeby nie wyjść z wprawy. Szło mu całkiem nieźle, choć w końcu piłki wylądowały na ziemi. Balwierz wydobył ze swego worka żółtą kulę. Rzucił ją na podłogę. Poturlała się i zatrzymała pośród innych. Czerwona, niebieska, brązowa, zielona... i żółta.

Robert pomyślał nagle o siedmiu kolorach tęczy i ogarnęła go rozpacz. Stał i patrzył na mistrza. Czuł, że tamten widzi w jego oczach bunt, na który nigdy dotąd się nie zdobył, ale to było silniejsze od niego.

– Ile jeszcze? – spytał.

Balwierz zrozumiał pytanie i jego rozpacz.

– To już ostatnia – rzekł cicho.

Przygotowywali się do nadejścia zimy. Drewna mieli dość, ale trzeba je było porąbać, nazbierać chrustu na podpałkę, połamać go i ułożyć przy kominie. Dom miał dwie izby; ta druga służyła im za spiżarnię. Balwierz dokładnie wiedział, gdzie się udać, żeby dostać żywność w najlepszym gatunku. Nakupili rzepy, cebuli i dyni. W sadzie w Exeter nazbierali jabłek ze złocistą skórką i białym miąższem i przywieźli całą ich beczkę do domu. Zasolili baryłkę wieprzowiny. W sąsiedniej zagrodzie była wędzarnia, nabyli więc sporo szynki i makreli, które uwędzili za drobną opłatą, a następnie wraz z ćwiartką baraniny zawiesili u powały, w suchym

miejscu, gdzie mogły spokojnie czekać na swoją kolej. Wieśniak, który ich w to wszystko zaopatrzył, nie mógł wyjść ze zdumienia. Ludzie hodują trzodę albo zastawiają sidła, jeśli chcą jeść mięso. Ale by prosty człowiek kupił tyle mięsiwa, o tym jeszcze nie słyszał.

Rob znienawidził żółtą kulę. Była jego porażką. Od początku nie wiedział, jak się do niej zabrać. W lewej dłoni obejmował jedną piłkę palcem serdecznym i małym, a drugą kciukiem, wskazującym i środkowym. W prawej pierwszą, tę „dolną”, trzymał tak samo, ale górną musiał złapać kciukiem i palcem wskazującym, a trzecią wcisnąć między wskazujący i środkowy. Ledwie mógł je utrzymać, a już o żonglerce nie było mowy.

Balwierz starał się mu pomóc.

– Przy pięciu piłkach musisz odrzucić większość zasad, których się do tej pory nauczyłeś. Teraz nie dasz rady ich podbijać, musisz je wyrzucać czubkami palców. I to wysoko, żebyś zdążył ze wszystkimi. Najpierw rzucasz piłkę z prawej ręki, zaraz po niej z lewej, potem z prawej, z lewej i znów z prawej. Raz, raz, raz, raz, raz! Szybciutko!

Spróbował i posypał się na niego grad piłek. Usiłował je łapać na oślep, lecz wszystkie spadły i potoczyły się do kątów izby.

– No to masz zajęcie na zimę – uśmiechnął się do niego balwierz.

Woda miała gorzki smak dębowych liści. Rob znalazł w stajni grabie i wyciągnął z bijącego za domem źródła stertę mokrej pocerniałej próchnicy. Potem znad morza przyniósł piasku i zasypał źródło. Kiedy zmaćcona woda się oczyściła, była już słodka.

Zima przyszła prędko, ale wcale nie przypominała ucziwej zimy. Robert lubił śnieg okrywający ziemię białym płaszczem. Tego roku w Exmouth przeważnie lało, a jeśli nawet w powietrzu zawirowały białe płatki, zaraz topiły się w błocie. Nie było nawet mrozu; czasem tylko rankiem w źródlanej wodzie widział kruche lodowe

igiełki. Ciągłe wiał zimny wilgotny wiatr od morza; wilgotno było nawet w domu. Robert sypiał w wielkim łożu wraz z mistrzem, który kładł się od strony komina, lecz i tak wydzielał sporo ciepła.

Chłopiec znienawidził żonglerkę. Desperacko próbował opanować pięć piłek, z reguły jednak chwycił dwie, najwyżej trzy. Ta trzecia uderzała zwykle w jedną z już trzymanyh w dłoni, odbijała się i spadała. Rob miał się wszelkich zajęć, byle nie żonglować. Z własnej woli wynosił kamienny nocnik i za każdym razem go szorował. Rąbał drewno na zapas i stale uzupełniał wodę w cebrze. Czyścił Incitatusa do połysku, zaplatał mu grzywę. Przebrał całą beczkę jabłek, usuwając nadgniłe. Sprzątał jeszcze dokładniej niż ongiś matka.

Chodził na brzeg zatoki Lyme i przyglądał się białym falom bezustannie szarpiącym piaski. Znad spienionego szarego morza ciągle dął wicher – tak ostry, że wyciskał łzy z oczu. Balwierz spostrzegł, że Rob trzęsie się z zimna, i sprowadził szwaczkę, zamieszkałą w miasteczku wdowę o imieniu Edyta. Poświęcił jedną ze swych starszych szat na nowy ciepły kaftan i nogawice dla chłopca.

Mąż i obaj synowie Edyty zginęli podczas sztormu, który zaskoczył ich w trakcie połowu. Wdowa była tęgą, dojrzalą już niewiastą o życzliwym uśmiechu i smutnych oczach. Balwierz szybko owinął ją sobie wokół palca. Kiedy spędzał u niej noce, Robert leżał sam w wielkim łożu przy ogniu wyobrażając sobie, że dom należy do niego. Za to pewnej wietrznej nocy, gdy lodowaty deszcz wciskał się przez szpary w ścianach, Edyta zajęła jego miejsce w łożku i Rob musiał się przenieść na podłogę. Kiedy leżał tuląc do siebie nagrzany kamień i wyciągając owinięte szmatami nogi w stronę ognia, usłyszał jej niski łagodny głos:

– Mały powinien położyć się tu z nami, byłoby mu cieplej.

– Nie ma mowy – uciął balwierz.

Chwilę później, gdy łożo zatrzęsło się rytmicznie przy wtórze namiętnych postękiwań, z mroku spłynęła kobieca dłoń i spoczęła na głowie chłopca lekko jak błogostawieństwo.

Leżał bez ruchu. Zanim jeszcze skończyli, cofnęła rękę. Ilekroć później nocowała u balwierza, wyczekiwał w ciemnościach na podłodze przy łożu, ale już nigdy nie powtórzyła tego gestu.

– Nie robisz żadnych postępów – oznajmił pewnego dnia balwierz. – Przyłóż się lepiej. Terminator jest mi potrzebny do zabawiania tłumu. Musi żonglować.

– Nie mogę żonglować czterema piłkami?

– Pierwszorzędny żongler utrzymuje w powietrzu siedem piłek. Znam kilku, którzy żonglują sześcioma. Nie jestem aż tak wymagający. Ale jeśli nie dasz sobie rady z pięcioma, będziemy się musieli rozstać. – Balwierz westchnął. – Przyuczałem wielu chłopców, a tylko trzech się nadawało. Evan, ten był pierwszy. Znakomicie żonglował pięcioma piłkami, ale miał słabość do trunku. Po terminie jeździł ze mną przez cztery lata i nieźle się nam wiodło, dopóki go nie zarżnęli w jakiejś pijackiej burdzie w Leicesterze. Drugi był Isa, bystry chłopak i najlepszy z nich wszystkich żongler. Wyuczył się na balwierza, a potem ożenił z córką szeryfa w Portsmouth. Teść zrobił z niego istnego rabusia: bez łapówki nie podchodzi. – Westchnął ponownie. – Przedostatni był najlepszy. Gauti Nilsson, tak się zwał. Właściwie to on mnie żywił i poił do czasu, aż w Yorku nabawił się gorączki i umarł. – Balwierz zmarszczył czoło. – Potem miałem jeszcze jednego. Taki mały wypłoszek. Też żonglował czterema piłkami, ale nie radził sobie z piątą. Zostawiłem go w Londynie. A potem znalazłem ciebie.

Popatrzyli na siebie smętnie. Po chwili balwierz podjął:

- Ty jesteś odważniejszy. Ponadto pracowity, przyjemny i niemarudny. Ale gdybym marnował czas na przyuczanie darmozjadów, nie miałbym ani konia i wozu, ani tego domu, ani nawet mięsiwa, które tak nam dzisiaj ładnie pachnie. Albo do wiosny będziesz żonglerem, albo się rozstaniemy. Jasne?

- Tak, panie.

Balwierz starał się mu pomóc. Kazał Robertowi żonglować trzema jabłkami, których twarde ogonki wbijały się w ciało. Rob łapał je miękko, odrobinę uginając dłoń.

- O, widzisz? - ożywił się balwierz. - Niby mała różnica, a jabłko się nie odbija.

Ku swemu zdziwieniu Rob stwierdził, że pomaga to również przy łapaniu piłek. Balwierz był dobrej myśli.

Tak zajętych zastało ich Boże Narodzenie. Edyta zaproponowała, żeby poszli z nią do kościoła.

- A cóżem to, twój domownik? - prychnął balwierz, ale pozwolił jej zabrać Roba.

Prowincjonalny szachulcowy kościółek był pełen ludzi, a przez to cieplejszy niż jakiegokolwiek inne miejsce w mokrym i wietrznym Exmouth. Robert nie był na mszy od wyjazdu z Londynu. Tęsknie wdychał kadzidło zmieszane z wonią potu, czując się dziwnie podniośle, a zarazem dziwnie swojsko, jakby zawinął do znajomego portu. Po mszy ksiądz, którego dartmorską gwarę ledwie mógł zrozumieć, opowiedział zebrany o narodzinach Zbawiciela i o Jego błogosławionym życiu zakończonym męczeńską śmiercią z rąk Żydów. Sporo też mówił o Lucyferze, upadłym aniele, z którym Jezus od wieków zмага się w obronie ludzi. Rob chciał się ofiarować pod szczególną opiekę jakiegoś świętego, w końcu jednak pomodlił się do najczystszej duszy, jaka przyszła mu na myśl: „Strzeż swoich dzieci, mamó. Mnie niczego nie brakuje, ale miej w opiece

malców. I... i pomóż mi ujarzmić tę piątą piłkę” – dodał po namyśle, trochę zawstydzony, że jednak chce czegoś i dla siebie.

Gdy wrócili z kościoła, nadziewana śliwkowo-cebulowym farszem gęś dochodziła właśnie na rożnie.

– Jak człowiek zje gęś na Boże Narodzenie, przez cały rok będzie miał pełną kiesę – oznajmił balwierz.

– Ja tam słyszałam, że trzeba jeść gęś na świętego Michała – uśmiechnęła się Edyta, ale chętnie ustąpiła, kiedy balwierz się uparł, że to on ma rację. Gęś była wyśmienita, a gospodarz nie poskąpił do niej trunku.

Tym razem kobieta nie została na noc – może dlatego, że w dniu świątecznym myślami była przy swoich zmarłych. Podobnie myśli Roba krążyły wokół rodziców i rodzeństwa. Kiedy poszła, balwierz zadumał się patrząc, jak Rob sprząta ze stołu.

– Polubiłem tę babę, a to niedobrze – rzekł w końcu. – Baba to tylko baba. Zresztą i tak wkrótce ruszymy w drogę.

Zapomnieli już, jak wygląda słońce. Trzy tygodnie po Nowym Roku nieustająca szarość nieba zaczęła już im doskwierać. Balwierz zrobił się niespokojny; pił chłopca, by ten ćwiczył usilnie mimo niepowodzeń.

– Pamiętasz, jak próbowałaś z trzema? W jednej chwili było źle, a już w następnej dobrze. Tak samo z graniem na rogu. Nie możesz zaprzepaścić żadnej szansy.

Ale choć Rob ćwiczył godzinami, efekt był wciąż ten sam. Stracił zapał, nie wierząc już, że mu się uda. Którejś nocy śniła mu się Edyta. Musnęła jego głowę i rozwarła tęgie uda pokazując to, co kryło się między nimi. Rano nie pamiętał już, jak wyglądało, lecz ze zgrozą stwierdził, że we śnie przydarzyło mu się coś dziwnego. Kiedy balwierz wyszedł, wytarł upačkane futra i wyczyścił je rozpuszczonym w wodzie popiołem.

Nie był głupi; wiedział, że Edyta nie będzie czekać, aż on dorośnie i weźmie ją za żonę. Może jednak przydałby jej się w zastępstwie syna.

– Balwierz wyjedzie – rzekł do niej pewnego ranka, gdy znosili razem drewno. – Może zostałbym w Exmouth, u ciebie?

Jej piękne oczy stwardniały, lecz ich nie odwróciła.

– A czym cię wykarmię? Tego, co zarabiam szyciem, nie starcza nawet dla mnie; dorabiam po zmroku, sam wiesz jak. Gdybym miała jeszcze ciebie, musiałabym i we dnie nadstawiać się każdemu chłopu.

Z naręcza, które niosła, wypadła szczapa. Zaczekała, aż Rob ją podniesie, odwróciła się i weszła do domu.

Od tamtej pory pojawiała się u nich rzadziej i ledwie go zauważała. Potem w ogóle przestała przychodzić. Być może balwierz stracił zapał do nocnych figli. Może pilno mu już było na wędrówkę, bo o byle co się teraz złościł.

– Durniu! – wrzasnął, gdy Rob znów upuścił piłki. – Spróbuj wziąć tylko trzy, ale rzucaj wysoko, jakbyś żonglował pięcioma. Kiedy trzecia będzie w górze, klaśnij.

Rob posłuchał i tym razem po klaśnięciu zdążył złapać trzy piłeczki.

– Widzisz? – ucieszył się balwierz. – Czas, jaki zużyłeś na klaśnięcie, starczyłby ci na wyrzucenie dwóch piłek.

Kiedy jednak spróbował, zderzyły się w powietrzu i znów wszystko się pomieszało: piłki toczyły się w różne strony, a balwierz kłął.

Tymczasem wiosna była już tuż-tuż.

Któregoś wieczoru balwierz, sądząc, że Rob już śpi, przystanął obok łoża i pieczołowicie otulił chłopca niedźwiedzią skórą, żeby było mu ciepło. Zadumał się na chwilę, potem westchnął i odszedł.

Rano przyniósł z wozu bat.

– Nie myślisz o tym, co robisz – rzekł zimno.

Kiedy Robert znów upuścił piłki, balwierz – ten sam człowiek, który nigdy nie uderzył konia – smagnął go batem po nogach. Ból wstrząsnął chłopcem; krzyknął i zaszlochał.

– Podnieś.

Pozbierał piłki i wyrzucił je ponownie z równie żalonym rezultatem. Twardy rzemień znów owinął mu się wokół łydek. Ojciec nieraz go karcił, ale nigdy batem. Raz po raz zbierał piłki i ponawiał próby – bezskutecznie. Za każdym razem bat ciął go po nogach, aż krzyczał.

– Podnieś piłki.

– Mistrzu, błagam!

Spocona mimo chłodu twarz balwierza zastygła w ponurym grymasie.

– To dla twojego dobra. Rusz głową. Zaczynaj wreszcie myśleć.

Ból skłaniał do zastanowienia, ale wstrząsane łkaniem ciało przestało go słuchać. Nie był w stanie zapanować nad mięśniami. Marnował każdy rzut, po twarzy ciekły mu łzy i smarki, a balwierz bił. Jestem Rzymianinem, powtarzał w duchu, kiedy dorosnę, znajdę go i zabiję.

Na nogawkach nowych portek uszytych przez Edytę pojawiły się plamy krwi. Wtedy balwierz cisnął bat i wyszedł z domu.

Wrócił późno, pijany, i padł na łóżko. Rano obudził się już spokojny, ale kiedy spojrzął na nogi Roba, gorzko zacisnął usta. Zagrzał wody i gałgankiem zmył zaschłą krew. Potem przyniósł garnuszek niedźwiedziego sadła.

– Wetrzyj je dobrze – mruknął.

Świadomość, że zaprzepaścił szansę, bolała Roba bardziej niż rany i siniaki. Balwierz zajrzał do swojej mapy.

– Wyruszam w Wielki Czwartek. Pojedziesz ze mną do Bristolu. To ludny, ruchliwy port. Może znajdziesz tam sobie jakieś miejsce.

– Tak, mistrzu – odparł cicho chłopiec.

Balwierz poświęcił sporo czasu na przygotowanie śniadania, po czym zasiadł naprzeciw, nakładając mu hojnie na miskę owsianki, grzanek z serem i jaj na boczku.

– No, wcinaj – burknął widząc, że chłopiec zmusza się do jedzenia. Po chwili podjął: – Naprawdę mi przykro. Jako dzieciak też włączyłem się samopas i wiem, jakie ciężkie potrafi być życie.

Potem zamilkł i przez resztę poranka odezwał się tylko jeszcze raz, mówiąc:

– Ubranie możesz zatrzymać.

Kolorowe piłki zostały schowane i Rob już więcej nie ćwiczył. Wielki Czwartek przypadał za dwa tygodnie. Balwierz, uznawszy widać, że chłopiec winien odpracować do końca swój wikt, kazał mu wyszorować szorstkie drewniane podłogi w obu izbach. Matka Roba każdej wiosny myła także ściany, zrobił więc i to. Dzięki kominowi osadzało się tutaj znacznie mniej sadzy, za to ściany nie były chyba jeszcze myte. Gdy skończył, różnica była widoczna.

Po południu jakby za sprawą czarów pokazało się słońce, malując morze połyskliwym błękitem i łagodząc powiewy słonego wiatru. Dopiero teraz Rob zrozumiał, dlaczego niektórzy z własnego wyboru osiedlają się w Exmouth. W lesie za domem mokrą warstwę zeszłorocznych liści przebiły zielone kiełki paproci. Nazrywał ich pełen garnek; ugotowali je sobie z boczkiem. Rybacy ostrożnie zaczęli się wypuszczać na spokojniejsze już morze. Balwierz zdybał ich kiedyś powracających; kupił gigantycznego dorsza i tuzin rybich łbów. Kazał chłopcu pokroić w kostkę soloną wieprzowinę i wysmażył ją na skwarki. Na nich uwarzył rybną polewkę z plasterkami rzepy, tłustym mlekiem i odrobiną tymianku. Zjedli ją

w milczeniu, pogryzając chrupkim ciepłym chlebem. Obaj myśleli o tym samym: wkrótce Rob nie będzie już się tak odżywiał.

Wiszący u powały barani udziec zzieleniał; balwierz okroił nadpsute mięso i wyrzucił je do lasu. Ze stojącej w spiżarni beczki ostro zalatywało kwasem. Jabłka gniły na potęgę, toteż Robert wysypał je, żeby wybrać zdrowe. Twarde krągłe renety gładko wpasowywały mu się w dłonie. Przypomniawszy sobie, jak uczył się zonglować jabłkami. Wziął trzy i podrzucił je do góry. Hop, hop, hop!

Złapał wszystkie. Podrzucił je znowu, wyżej, klaszcząc w ręce, nim spadły. Potem dobrał jeszcze dwa i podrzucił wszystkie. Zderzyły się w powietrzu i rozbiły na podłodze. Zamarł. Nie wiedział, gdzie jest balwierz. Jeśli zobaczy, że Rob marnuje żywność, znów sprawi mu baty. Ale w izbie panowała cisza.

Zaczął wkładać zdrowe jabłka z powrotem do beczki. Mimo wszystko próba nie wypadła źle, powiedział sobie. Miał wrażenie, że lepiej wylicza czas. Wybrał jeszcze pięć jabłek odpowiedniej wielkości. Tym razem byłoby się udało, lecz zawiodły go nerwy. Owoce posypały się na podłogę jak strącone z drzewa jesienną wichurą. Pozbierał je i znowu wyrzucił. Trochę musiał się za nimi nabiegać, ale złapał wszystkie i znów puścił je w ruch. Miotał się jak szalony, niemniej trafiały mu do rąk i znów śmigały w górę, i jeszcze raz...

– O, mamoo... – wyjąkał. Jeszcze wiele lat później nieraz się zastanawiał, czy to ona sprawiła.

Hop, hop, hop, hop, hop!

– Balwierz! – rzekł nieco głośniejszym głosem, bojąc się krzyknąć.

Drzwi się otworzyły. Rob zgubił rytm i jabłka rozsypały się dookoła. Kiedy podniósł wzrok, aż się skulił, bo balwierz biegł ku niemu z uniesioną ręką.

– Widziałem! – wołał.

Zgniół chłopca w radosnym uścisku, przy którym wysiłki niedźwiedzia Bartrama były niczym.

8

Sztuczki

Minął Wielki Czwartek, lecz pozostali w Exmouth, Roba bowiem trzeba było wprowadzić we wszelkie arkana kuglarskiej profesji. Na początek przećwiczyli żonglerkę we dwóch. Robert od początku polubił tę zabawę i szybko doszedł w niej do sporej wprawy. Potem przeszli do magicznych sztuczek, nie trudniejszych od żonglerki czterema piłkami.

– To nieprawda, jakobyś musiał zawrzeć pakt z diabłem – mówił balwierz. – Kuglarstwo jest rzemiosłem jak każde inne i można się go nauczyć, podobnie jak żonglerki. Łatwiej – dodał szybko, widząc minę Roba. – Podstawowe sekrety białej magii to śmiałość i pewność siebie. Oraz zręczne palce i staranność. Musisz umieć zagadywać widzów, krasić swoje występy wymyślnymi słowami. I na ostatek rzecz najważniejsza: musisz opracować sposób, ażeby słowem lub gestem odwrócić uwagę ludzi. Niech patrzą gdziekolwiek, byle nie na to, co naprawdę robisz.

We dwóch będzie im o wiele łatwiej, orzekł balwierz i za przykład wziął sztuczkę ze wstążką.

– Potrzebne mi do niej wstążki w różnych kolorach: niebieska, czerwona, czarna, żółta, zielona i brązowa. Na każdej co jard robię pętlę, a potem takie zapętlone wstęgi zwijam w ciasne motki, które chowam w ubraniu, zawsze w tym samym miejscu. W pewnej chwili pytam: „Która z pięknych dam chciałaby dostać wstążkę?” I słyszę zwykle: „Ja, panie, ja! Dwa jardy niebieskiej!” Rzadko

proszą o więcej. Nie uwiązują przecież na nich krów! Oczywiście nie spełniam prośby od razu. Robię co innego, jakbym zapomniał, i wtedy wchodzisz ty. Odwracasz ich uwagę czymś ciekawym, na przykład żonglerką. Tymczasem ja ukradkiem sięgam do lewego buta, w którym zawsze trzymam niebieską wstążkę. Udaję kaszel, zasłaniam usta ręką i już mam motek w ustach. Dopiero po chwili, gdy widzowie znowu na mnie patrzą, wypuszczam spomiędzy zębów koniuszek wstęgi i zaczynam ją powoli ciągnąć. W ten sposób rozsypuję pierwszą pętlę, gdy zatrzyma mi się między zębami. Kiedy poczuję drugą, wiem, że mam dwa jardy, odcinam wstążkę i podaję dziewczeczce, która o nią prosiła.

Chłopiec był zachwycony, lecz i po trosze zawiedziony, to bowiem, co miał za czary, okazało się zwykłym oszustwem. Niebawem balwierz pozbawił go reszty złudzeń i oto Rob, choć nie mógł jeszcze sam parać się kuglarstwem, zaczął stawiać pierwsze kroki w tym rzemiośle. Wyuczył się tańców, pieśni i przyśpiewek, żartów i historyjek, których nie rozumiał. Umiał także zachwalać balwierzową driakiew nie gorzej od swego mistrza. Ten orzekł, że Rob szybko się uczy. Wkrótce więc – znacznie wcześniej, niż przypuszczał – byli gotowi do drogi.

Wyruszyli o mglistym kwietniowym poranku. Przebycie wzgórz Blackdown w siąpiącej mżawce zajęło im dwa dni. Trzeciego po południu niebo się przetało i ujzeli nad głowami czysty wiosenny błękit. Dojeżdżali właśnie do wsi zwanej Bridgeton, gdyż był w niej most. Zanim go przekroczyli, balwierz zatrzymał wóz i przyjrzał się chłopcu badawczo.

– Gotów? – spytał.

Robert wcale nie był tego pewien, ale potakująco skinął głową.

– Zuch chłopak. Nie ma się czego bać, Bridgeton to wiocha, tyle że przy głównym szlaku, stąd zawsze jest tu ruch w gospodzie

i sporo zajęcia dla rajfurów. Podróżni... jak to podróżni: dziesięcioro przykazań zostawiają w domu.

Rob nie miał pojęcia, o czym mowa, lecz na wszelki wypadek znów kiwnął głową. Zacięty lejcami Incitatus ruszył przez most tanecznym krokiem i tak samo jak w zeszłym roku powiózł ich główną ulicą osady w takt głośnych uderzeń bębna. Zatrzymali się przy ryneczku, gdzie Rob ustawił scenę i umieścił na jej skraju dębowe łubianki z flaszeczkami driakwi.

Ale tym razem, gdy przyszła pora przedstawienia, wskoczył na ławę wraz z balwierzem.

– Dobrego dnia wam życzę, zacni ludzie! – zawołał balwierz i dał znak chłopcu. Obaj zaczęli żonglować dwiema piłkami. – Radzi jesteśmy z odwiedzin w Bridgeton!

Obaj równocześnie dobrali z sakiewki po trzeciej piłce, następnie czwartej i piątej. Rob żonglował czerwonymi, balwierz niebieskimi. Wprawiane w ruch nieznacznymi ruchami dłoni, dwa strumienie kolorowych kul tryskały w górę i spływały bokami jak woda z fontanny.

Po chwili żonglerzy odsunęli się od siebie stając na przeciwnych końcach ławy. Nie zakłócając rytmu Rob rzucił czerwoną piłkę balwierzowi i złapał jego niebieską. Wymieniali się co trzecią, potem co drugą. Nad sceną śmigały jeden za drugim mijające się czerwone i niebieskie pociski. Ledwie dostrzegalne skinienia głowy balwierza zdawały się mówić: „teraz” – i drewniana kula lądowała mu w dłoni, a on szybko ją odsyłał i już chwycił następną.

Głośne oklaski zachwyconych widzów brzmiały w uszach Roba jak chóry anielskie. Po występie zebrał piłki, pozostawiając mistrzowi dwie, zszedł ze sceny i ukrył się za zasłoną w wozie. Oddychał z wysiłkiem, serce mu waliło. Słyszał głos balwierza,

który najwyraźniej wcale się nie zmęczył. Opowiadał o radościach zonglera podrzucając od niechcienia dwie pozostałe kule.

– A czy wiesz, moja piękna, co zyskujesz biorąc w ręce podobne do tych kulki? – zagadnął stojącą obok sceny ladacznicę.

– Co takiego?

– Całą męską uwagę.

Widownia pokładała się z uciechy.

Rob szybko przygotował rekwizyty do magicznych sztuczek i zaniósł je balwierzowi na scenę. Oczarowani wieśniacy zobaczyli kolejno, jak w pustym koszu zakwitają gałgankowe kwiaty, zwykła chusta przemienia się w pęk barwnych proporczyków, drobne monety pojawiają się znikąd, dzban piwa zaś oraz kurze jajo znikają bez śladu.

Rob odśpiewał chwacko „wdowie lamentacje” przy wtórze śmiechów i okrzyków. Później balwierz szybko rozprzedał trzy kosze driakwi i trzeba było donieść więcej. Na koniec zaś obok wozu ustawił się długi ogonek cierpiących na rozmaite dolegliwości. Robert zauważył, że ci skorzy do śmiechu ludzie do kwestii leczenia podchodzili z najwyższą powagą.

Gdy każdy już otrzymał lek na swe bolączki, opuścili Bridgeton, balwierz bowiem stwierdził, że to kloaka, w której po zmroku mogą ci poderznąć gardło. Widać było, że cieszy go zarobiony grosz, toteż wieczorem Rob usypiał z krzepiącym poczuciem, iż zapewnił sobie miejsce w świecie.

*

Na drugi dzień w Yeoville podczas przedstawienia upuścił trzy piłki. Był zdruzgotany, ale balwierz tylko machnął ręką.

– Tak bywa na początku – pocieszył go. – Będzie ci się to przytrafiało coraz rzadziej, a w końcu wcale.

W tym samym tygodniu występowali jeszcze w skromnym rzemieślniczym miasteczku Taunton oraz w rolniczej wiosce Bridgewater, zamieszkaney przez lud prosty a bogobojny, toteż w obu tych miejscach powstrzymali się od sprośnych żartów. Kolejny przystanek wypadł w Glastonbury, skupionym wokół prastarego klasztoru z kamiennym kościołem Świętego Michała.

– Tu nie możemy czynić wokół siebie zbyt wiele hałasu – przestrzegł chłopca balwierz. – W Glastonbury rządzą mnisi, ci zaś niechętnie patrzą na lekarzy, uważają bowiem, że ich modły wystarczą dla ratowania zarówno ciał, jak i dusz, a my niepowołani wkraczamy w ich kompetencje.

Przybyli do miasta nazajutrz po Zielonych Świątkach, upamiętniających zesłanie Ducha Świętego na apostołów modlących się przez dni dziewięć po wniebowstąpieniu Jezusa. Pośród widzów Rob dostrzegł co najmniej pięciu mnichów. Żonglując wraz z uczniem czerwonymi piłkami, balwierz w podniosłych słowach przyrównał je do ognistych języków, których postać, wedle Dziejów Apostolskich, przybrał Duch Święty. Zachwyceni widzowie nagrodzili ich głośnymi oklaskami, lecz gdy Rob zaczął śpiewać hymn o wniebowstąpieniu Pańskim, zapadła cisza. Chłopiec zawsze śpiewał chętnie i dobrze, choć tym razem w części o dzieciach, których „słodkie głosy lecą pod niebiosy”, jego własny głos załamał się na górnych tonach. Przestał przytupywać i bez dalszych wpadek dośpiewał pieśń do końca.

Balwierz tymczasem wyniósł na scenę poobijany jesionowy relikwiarzyk.

– Baccie, dobrzy ludzie! – rzekł namaszczonym tonem, który określał jako „kościelny”. – Nacieszcie oczy widokiem bezcennych skarbów przywiezionych przez pobożnych pielgrzymów z Ziemi Świętej, ojczyzny naszego Zbawiciela!

Unosząc je kolejno w górę, pokazywał piasek z góry Synaj i Góry Oliwnej, grudkę ziemi z ogrodu Getsemani, fiolkę wody z Jordanu, a nawet drzazgę z Krzyża Świętego i szczątek belki, która podpierała betlejemski żłobek, nie licząc kości wielu świętych męczenników.

Po nim znów Rob stanął na ławie i wzniosłszy oczy do nieba, jak pouczył go balwierz, zaśpiewał jeszcze jedną pieśń:

*Stwórcu, co z gwiazdzistych wyżyn
Ten nasz padół mroczny widzisz,
Chryste, Zbawco, mocny Panie,
Usłysz swoich sług wołanie.*

*Tyś to, Jezu litościwy,
Lud napoił duchem żywym,
Duszę ze śmierci uleczył
I odkupił nasze grzechy*

Widzowie byli poruszeni. Wzdychali, a balwierz już podtykał im driakiew:

– Jako Pan nasz znalazł lek dla dusz waszych, przyjaciele, tak ja mam tu zbawienny balsam, który uleczy wasze ciała. – To rzekłszy, uraczył ich zwykłą historią ziała życia zwanego przez mędrców vitalią.

Kardynalną zaletą owego ziała była najwidoczniej ta, że uzdrawiało grzeszników na równi z pobożnymi. I jedni bowiem, i drudzy chętnie nabywali lek, a potem stawali w ogonku do balwierskich zabiegów. Obecni na placu mnisi przyglądali się temu z chmurnymi minami, lecz trudno im było cokolwiek zarzucić bogobojnym pieniom, których przed chwilą wysłuchali, a reszty dokonały taktownie wręczone podarunki. Jeden tylko stary ksiądz wciąż był sceptyczny i na wszelki wypadek przykazał im surowo,

aby nie wazyli się puszczać krwi, albowiem – jak wyraźnie napisał arcybiskup Teodor – niebezpiecznie to czynić w porze przyptywu, gdy księżyc pęcznieje po nowiu. Balwierz skwapliwie przyznał mu rację.

Po południu rozbili obóz w świątecznym nastroju. Balwierz przyrządził prawdziwą ucztę z wołowiny duszonej w winie z cebulą, rzepą (przywiedłą, lecz jeszcze zdrową) i świeżym groszkiem, przyprawionej zaś tymiankiem i szczyptą mięty. Zakąsili to jeszcze białym serem kupionym po drodze. Potem balwierz wygodnie rozsiadł się przy ognisku i z widocznym zadowoleniem jął przeliczać zarobek.

Korzystając z dobrego nastroju mistrza, Rob postanowił poruszyć sprawę, która od dawna spędzała mu sen z powiek.

– Panie... – bąknął.

– Hm?

– A kiedy pojedziemy do Londynu?

Nachylony nad słupkami monet balwierz niecierpliwie machnął ręką, żeby nie przeszkadzał mu w liczeniu.

– Pojedziemy – mruknął. – Niebawem.

9

Dar

W Kingswood Robert upuścił jedną z czterech piłek. To samo – już po raz ostatni – zdarzyło mu się w Mangotsfield. W połowie czerwca zabawiali i leczyli wieśniaków z Redditch, a trwało to dostatecznie długo, by nie musiał już trawić długich godzin na ćwiczenia; dzięki częstym występom palce miał zwinne i nie tracił poczucia rytmu. Wkrótce stał się zręcznym żonglerem. Podejrzewał, że mógłby opanować sześć piłek, ale balwierz

stwierdził krótko, że szkoda na to czasu. Lepiej niech mu pomoże przy leczeniu.

Ciągnęli na północ niczym ptaki wiosną, tyle że miast lecieć, wlekli się mozolnie drogą poprzez góry dzielące Anglię od Walii. W wiosce Abergavenny, będącej zaledwie rzędem lichych chałup wtulonych w nagie skaliste zbocze góry, balwierz po raz pierwszy dopuścił go do pomocy przy zabiegach.

Robert był przerażony. Bał się o wiele bardziej niż przy żonglerce. Przyczyny, dla których ludzie tracili zdrowie, okrywała tajemnica, której zwykły śmiertelnik nie mógł przeniknąć. Jeśli ktoś byłby do tego zdolny, to chyba tylko balwierz, najmądrzejszy ze wszystkich znanych mu ludzi.

Chorzy ustawili się w ogonku. Gdy tylko balwierz skończył z jednym pacjentem, Rob wprowadzał następnego za drewniany parawan, chroniący go po części przed oczyma ciekawskich. Pierwszym był wysoki zgarbiony mężczyzna. Na szyi miał czarne smugi, brud wżarty w skórę dłoni i pod paznokcie.

– Mógłbyś się, człecze, umyć – mruknął przyjaźnie balwierz.

– Kiedy widzisz, panie, to węgiel – rzekł mężczyzna. – Pyli się przy kopaniu i wszędzie wciska.

– Kopiesz węgiel? – zdziwił się balwierz. – Przecież dym z niego jest trujący. Widziałem na własne oczy: daje smrodliwy opar, za ciężki, żeby wydostał się przez dymnik. Można wyżyć sprzedając taki marny towar?

– Można, a poza tym nędza u nas, panie. Tyle że ostatnio popuchły mi stawy i ręce bolą, kiedy nimi ruszyć.

Balwierz obmacał brudne dłonie i nadgarstki mężczyzny, pulchnym palcem dźgnął opuchnięty łokieć.

– To od wdychania wyziewów ziemi. Musisz siadywać w słońcu. Kąp się często w ciepłej wodzie; ciepłej, nie gorącej, bo gorąca

osłabia serce i członki. Nacieraj spuchnięte i obolałe stawy moją driakwią. Nie zaszkodzi też, jak jej sobie łykniesz. – Nie patrząc na Roba balwierz kazał sobie zapłacić sześć pensów za trzy flaszeczki driakwi i jeszcze dwa za poradę.

Następnie tęga niewiasta o wąskich zaciśniętych wargach wprowadziła za parawan trzynastoletnią córkę, która była już zaręczona.

– Krew miesięczna zatrzymała się w jej ciele i nie płynie – powiedziała.

Balwierz spytał, czy dziewczeczka miała już miesiączkę.

– Regularnie co miesiąc przez rok z okładem – odparła matka. – A od pięciu miesięcy nic.

– Pokładałaś się z mężczyzną? – spytał łagodnie balwierz, kierując te słowa do córki.

– Skądże! – odpowiedziała za nią matka.

Balwierz zerknął na dziewczynę. Była smukła i ładna, miała długie płowe włosy i jasne oczy, w których czaił się strach.

– Wymiotujesz?

– Nie – szepnęła.

Przyjrzał jej się uważnie, a potem mocno obciągnął na niej suknię i przyłożył dłoń matki do zaokrąglonego brzucha.

– Nie! – Dzieweczka potrząsnęła głową. Na policzkach wykwitł jej krwisty rumieniec, a z oczu trysnęły łzy.

Matka oderwała dłoń od jej brzucha i wymierzyła jej siarczysty policzek. Potem wyprowadziła córkę nie wspominając nawet o zapłacie. Balwierz nie protestował.

Procesja chorych posuwała się szybko: mężczyzna powłóczący nogą źle nastawioną po złamaniu przed ośmiu laty, kobieta dręczona dotkliwym bólem w skroniach, starzec ze świerzbem na głowie, dziewczyna z wielkim wrzodem na piersi, która

z uśmiechem stwierdziła, że Bóg ich sprowadził w odpowiedzi na jej modły. Każdy – oprócz chorego na świerzb, któremu najwyraźniej żal było dwóch pensów – zabrał ze sobą flaszkę cudownej driakwi.

Zjechali pomiędzy łagodniejsze wzgórza środkowej Anglii. Przed wioską Hereford zostali zatrzymani przy brodzie na rzece Wye, gdzie musieli poczekać, aż przeprawi się wielkie stado owiec, niekończący się beczący potok białego runa, na którego widok Rob cofnął się za wóz. Pokonał już strach przed koniem balwiera, lecz na ogół wolał nie stykać się ze zwierzętami. Wychował się w mieście. Sąsiedzi trzymali kozy, jeden nawet mleczną krowę, ale nikt nie hodował owiec.

Hereford był zamożną wioską. W mijanych zagrodach chrząkały dorodne wieprzki, a na falistych łąkach pasły się stada krów i owiec. Kamienne domy i obory wyglądały solidnie, a i ludzie byli tu pogodniejsi od ubogich walijskich górali żyjących zaledwie o parę dni drogi stąd. Przedstawienie na wspólnym wygonie przyciągnęło wielu widzów, którzy chętnie kupowali cudowny kordiał.

Pierwszy pacjent, który wszedł za parawan, był mniej więcej w wieku Roba, choć znacznie drobniejszy.

– Będzie sześć dni temu, jak spadł z dachu, i patrzcie, co się stało – zagaił ojciec chłopca, bednarz. Drzazga odszczepiona od połamanej beczki przebiła chłopcu lewą dłoń, która zaogniła się i spuchła.

Balwierz poinstruował Roba, by przytrzymał pacjentowi rękę, ojcu zaś polecił mocno złapać go za nogi. Potem wyjął z sakwy krótki ostry nóż.

– Trzymajcie go mocno – nakazał.

Chłopiec drżał spazmatycznie, a gdy ciało rozstąpiło się pod ostrzem, krzyknął. Z rany buchnęła śmierdząca zielonożółta ropa,

a dopiero po chwili pokazała się krew. Balwierz zręcznie oczyścił ranę z martwej tkanki i począł ją delikatnie sondować, usuwając odłamki drewna żelaznymi szczypcami.

– W dłoni zostały kawałki klepki, widzicie? – Pokazał je ojcu chłopca.

Pacjent jęczał rozpaczliwie, a Robert miał wrażenie, że zaraz zemdleje, gdy balwierz bez pośpiechu grzebał w ranie. Odwrócił wzrok i całą siłą woli wziął się w garść.

– Trzeba je wszystkie wydobyć – tłumaczył balwierz – bo zawarta w nich zgnilizna znów zakazi dłoń.

Upewniwszy się, że w ranie nie została już żadna drzazga, wylał na nią trochę driakwi i owinał ją czystym płótnem, a następnie sam przytknął do ust flaszeczkę dając znak, że można już puścić pacjenta. Zapłakany chłopak w tejże chwili czmychnął. Jego ojciec został nieco dłużej, by uiszczyć należność.

Następny w kolejce był zgarbiony starzec uskarżający się na suchy kaszel. Rob wprowadził go za parawan.

– Rankiem nic, jeno pluję, panie – wydyszał z trudem chory. – Tyle mi się tej flegmy o, tu, nabiera.

Balwierz w zadumie powiódł ręką po kościstej piersi.

– Postawię ci bańki – rzekł i skinął na Roba: – Pomóż mu się rozebrać do pasa.

Robert niezdarnie zdjął staremu koszulę, jakby bał się go uszkodzić. Następnie ujął go za obie ręce, chcąc odwrócić go twarzą do balwierza. Miał wrażenie, że chwycił parę trzepoczących się ptaków. Kościste palce spoczęły mu w dłoniach, przekazując posłanie. Zamarł.

– No – ponaglił go niecierpliwie balwierz, zerkając przez ramię. – Nie traćmy na to całego dnia.

Rob jakby nie słyszał. Już dwukrotnie w przeszłości doznał tego potwornego uczucia, które przelewało się w głąb jego istoty z cudzego ciała. I tak jak poprzednio ogarnęła go zgroza. Puścił ręce chorego i uciekł.

Balwierz szukał go klnąc na czym świat stoi, aż w końcu znalazł skulonego za drzewem.

– Chętnie się dowiem, co to miało znaczyć – syknął. – No, słucham!

– On... ten stary... umrze.

Mistrz wytrzeszczył na niego oczy.

– Co ty pleciesz?

Za całą odpowiedź jego uczeń wybuchnął płaczem.

– Przestań się mazać – rzekł balwierz szorstko. – Skąd to wiesz?

Robert nie mógł wydusić ani słowa. W końcu balwierz zdzielił go na odlew w twarz i pomogło. Chłopak spazmatycznie zaczerpnął powietrza i słowa krążące mu wciąż po głowie, odkąd opuścił Londyn, potoczyły się bezładną niepowstrzymaną falą. Czuł, że matka wkrótce umrze, i umarła. A potem czuł śmierć zbliżającą się do ojca, i ojciec także umarł.

– Na Boga! – sarknął z niesmakiem balwierz, ale słuchał dalej, przyglądając mu się badawczo. Kiedy Rob wreszcie umilkł, zapytał: – Twierdzisz, że wyczułeś śmierć w tym staruszku?

– Tak. – Robert nie spodziewał się, że mistrz mu uwierzy.

– Kiedy przyjdzie?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Wkrótce?

Kiwnął głową. Po co miałby kłamać? W oczach balwierza dostrzegł, że ów to zrozumiał. Po krótkim wahaniu Croft podjął decyzję.

– Załatwię ich szybko, a ty spakuj wóz.

Wyjechali z osady bez pośpiechu, lecz gdy tylko zniknęła im z oczu, balwierz zaciął konia. Dotąd użył bata tylko raz na swego ucznia, konia nie bił nigdy. Jadąc tak szybko, jak tylko się dało na wyboistym trakcie, z gwałtownym pluskiem przecięli bród, płosząc na drugim brzegu kolejne stado wełnistych owiec. Zwierzęta rozbiegły się z głośnym beczaniem, w którym utonęły wrzaski oburzonego pasterza.

– Dlaczego uciekamy? – zawołał Robert, przytrzymując się burty wozu, by nie wypaść.

– Wiesz, co robią z czarownikami? – odpowiedział mu balwierz, przekrzykując tętent kopyt i brzęk rzeczy przewalających się po wozie. – Wieszają ich na najbliższym drzewie albo krzyżu. Czasem pławią podejrzanych w tej twojej śmierdzącej Tamizie. Jeśli człowiek utonie, to znaczy, że był niewinny. Kiedy ten stary umrze, oskarżą nas o czarnoksiężstwo! – wrzasnął, raz po raz chłoszcząc grzbiet przerażonego konia.

Nie zatrzymali się ani na posiłek, ani nawet za potrzebą. Dopiero gdy Hereford został daleko, balwierz pozwolił Tatusowi zwolnić, poganiał jednak biedne zwierzę aż do zmierzchu. Wtedy wyczerpani rozbili obóz i w milczeniu zjedli skąpy posiłek.

– Opowiedz mi to jeszcze raz – rzekł w końcu balwierz – tylko dokładnie.

Ledwie chłopiec zaczął, przerwał mu, każąc mówić głośniej. Później jednak nie odezwał się ni słowem. Wysłuchawszy Roba z uwagą, skinął głową.

– Balwierza, który mnie uczył, uśmiercono na moich oczach wzięwszy go za czarownika – powiedział z naciskiem.

Rob spojrział na niego, zbyt przestraszony, aby o cokolwiek pytać.

– Parę razy w życiu straciłem pacjenta w trakcie kuracji. Pewna staruszka w Durham... tam byłem już pewien, że czeka mnie sąd

Boży, pławienie albo próba gorącego żelaza. Skończyło się na przesłuchaniu, pokucie i sutym datku, ale miałem wiele szczęścia, że mnie wypuścili. Innym razem, w Eddisbury, zmarł mi za parawanem młody silny mężczyzna. Nie czekałem na kłopoty, tylko dałem nogę, nim ktokolwiek pomyślał, żeby mnie zatrzymać.

Rob odzyskał mowę i dał upust lękowi, który dręczył go przez cały dzień.

– Myślisz, panie, że... diabeł mnie opętał?

Balwierz prychnął pogardliwie.

– Jeśli w to wierzysz, jesteś albo głupi, albo obłąkany. A nie uważam cię za takiego. – Zajrzał do wozu, napełnił róg miodem i wychylił go do dna, nim podjął: – Starcy umierają. Matki i ojcowie także. Tak już urządzone jest ten padół. Jesteś pewien, że coś poczułeś?

– Tak, mistrzu.

– Ledwie od ziemi odrosłeś... Może ci się tylko przywidziało?

Rob z uporem pokręcił głową.

– E tam! Bajasz i tyle! – orzekł balwierz. – Starczy na dziś gonitwy i starczy gadania. Pora spocząć.

Rozścielili sobie skóry przy ognisku, ale długo jeszcze leżeli bezsennie. Balwierz wiercił się i wzdychał; w końcu wstał i poszedł po następną flaszkę trunku. Przycupnął z nią obok Roba.

– Założmy... – mruknął i pociągnął spory łyk – wyobraźmy sobie świat zamieszkały przez ślepców, w którym ty jeden tylko masz oczy. Wówczas...

– Widziałbym to, czego inni nie widzą.

Balwierz znów łyknął z flaszki i kiwnął głową.

– Właśnie. Podobnie gdybyś był słyszącym pośród głuchych. A jeśli... jeśli naprawdę ludziom brakuje jakiegoś zmysłu, którym

ciebie obdarzył kaprys Boga, natury czy jakiegokolwiek innej mocy...
Jeśli rzeczywiście potrafisz przewidzieć czyjąś śmierć?

Rob milczał, znów czując zimne macki strachu.

– Oczywiście to bzdura, obaj o tym wiemy – prychnął balwierz. – Dziecięce rojenia. Ale jeśli... – Przypiął się do gąsiorka i przez dłuższą chwilę jego jabłko Adama podskakiwało pracowicie w świetle dogasającego ognia. W końcu odstawił flaszkę i spojrzął na Roba rozmarzonym wzrokiem. – Grzechem byłoby zmarnować taki dar.

W Chipping Norton dokupili trunku i uzupełnili zapas dochodowej driakwi.

– Kiedy umrę i stanę w kolejce do bramy niebios – rzekł balwierz – święty Piotr zapyta: „Jak zarabiałeś na chleb?” Ktoś inny mu odpowie, że uprawiał ziemię, jeszcze inny, że robił obuwie ze skóry. Ale ja powiem: *fumum vendidi*.

Mając za sobą lata klasztornej nauki, grubas często wplatał w zdania łacińskie zwroty. Tym razem Rob zrozumiał jego słowa; znaczyły one: „Sprzedawałem dym”.

W istocie jednak człowiek ten dawał swym pacjentom więcej niż tylko mądre słowa i panaceum o wątpliwej skuteczności. Współczuł im i znane sobie środki stosował doskonale. Wykonywał zabiegi lekką, lecz pewną ręką i tego samego uczył Roba.

W Buckingham pokazał chłopcu, jak się wyrzywa zęby. Sposobnym trafem nadarzył im się pasterz z gębą pełną zgniłych pieńków. Był równie gruby jak balwierz, a płaczliwy jak baba. W połowie zabiegu nagle zmienił zdanie.

– Nie scę! Nie! Puś mnie! – seplenił strzykając krwią z ust, ale było już za późno. Zęby zresztą koniecznie należało wyrwać, dokończyli więc zabieg nie zważając na krzyki. Była to nader pouczająca lekcja.

W Clavering balwierz wynajął na cały dzień kuźnię. Rob nauczył się tam wykuwać żelazne noże, szczypce i szpikulce. Później jeszcze nieraz powtarzali tę lekcję w różnych kuźniach na terenie całej Anglii, aż w końcu mistrz z zadowoleniem przyznał, że jego uczeń opanował już tę umiejętność. Większość dzieł Roberta wykonanych w Clavering okazała się nie do użytku i została przekuta ponownie; balwierz z kwaśną miną pozwolił mu zatrzymać tylko mały obosieczny nożyk, pierwszy własny instrument. W Fens dowiedział się, z których żył puszcza się krew. Zabieg obudził w nim przykre wspomnienia z czasu choroby ojca.

Niekiedy o nim myślał, zwłaszcza odkąd głos mu się obniżył, coraz bardziej przypominając głos Nataniela. Poza tym rosły mu włosy na ciele. Napatrzwszy się w toku balwierskiej praktyki nagich mężczyzn, wiedział, że jego uwłosienie nie jest jeszcze dostatecznie gęste. Co do niewiast, nadal w znacznej mierze były dlań tajemnicą, balwierz bowiem posługiwał się figurką enigmatycznie uśmiechniętej nagiej kobiety o bujnych kształtach, której nadał imię Telma. W razie potrzeby pacjentki skromnie wskazywały na ciele Telmy obszar tknięty dolegliwością, dzięki czemu nie musiały się rozbierać do badania. Rob przyzwyczał się już do zadawania obcym ludziom niedyskretnych pytań o stolec lub miesiączkę, ale nadal czuł się tym skrępowany.

Balwierz prosił go, by ujmował każdego pacjenta za rękę, wprowadzając go za przepierzenie.

– Co czujesz, kiedy ich dotykasz? – zagadnął go któregoś dnia w Tisbury, gdy rozbierali kramik przed wyjazdem.

– Często nic.

Balwierz kiwnął głową, wziął od niego część desek i wepchnął je na tył wozu. Wrócił, marszcząc w zadumie czoło.

– A czasem... coś?

Rob przytaknął.

– Ale co? – zirytował się jego mistrz. – No mówże, chłopcze!

Rob nie potrafił jednak tego ująć w słowa. Było to bardziej przecucie niż wiedza, jakby zagładając do ciemnej studni czuł, ile z niej jeszcze bije życia. Balwierz uznał jego milczenie za dowód, że wszystko sobie zmyślił.

– Wracajmy więc do Herefordu – rzucił kpiąco. – Może staruszek wciąż żyje i ma się dobrze.

Rob potulnie na to przystał, uprawiając go we wściekłość.

– Nie możemy tam wrócić, głupcze! Jeśli umarł, sami wetkniemy głowy w pętlę!

Często jawnie sobie drwił z „daru” Roba, gdy jednak chłopiec przestał dotykać rąk pacjentów, kazał mu nadal to czynić.

– Nawet jeśli to bzdura – wyjaśnił kwaśno – to nic nie kosztuje. A ja jestem człekiem przezornym.

W Peterborough, odległym o parę mil i dziesiątki lat od klasztoru, z którego ongiś uciekł, balwierz spędził długi, deszczowy letni wieczór w karczmie, powoli i metodycznie upijając się w trupa. Około północy zaniepokojony Rob poszedł po mistrza. Napotkał go zataczającego się na drodze i z trudem doprowadził do obozowiska.

– Błagam cię... – wybełkotał grubas unosząc obie dłonie. Spojrzał na chłopca z trwogą. – W imię Boże, proszę...

Rob nareszcie zrozumiał. Ujął dłonie mężczyzny patrząc mu prosto w oczy. Po chwili skinął głową. Balwierz opadł na skóry, czknął, przewrócił się na bok i zasnął kamiennym snem.

Tego roku późno wyruszyli w drogę, nie zdążyli więc przed zimą wrócić do Exmouth. W wiosce Gate Fulford, na wysoczyźnie jorskiej, ujrzeli spadające liście. Bujne wrzosowiska syciły korzennym zapachem coraz chłodniejsze powietrze. Wóz balwiera jechał w ślad za Gwiazdą Północną, zatrzymując się w przydrożnych osadach. Z zadowoleniem licząc zarobiony grosz, przemierzali olbrzymi purpurowy kobierzec wrzosów, aż w końcu dotarli do Carlisle.

– Nigdy nie zapędziłem się dalej na północ – oznajmił chłopcu balwierz. – O kilka godzin drogi stąd kończy się Nortumbria. Dalej leżą pustkowia, a za nimi żyją Szkoci, którzy jak wszem wiadomo, chędożą swoje owce, a i uczniwy Anglik nie będzie tam bezpieczny.

Przez tydzień obozowali pod miastem, wieczory zaś spędzali w karczmie. Tam dzięki rozważnie fundowanym trunkom balwierz wkrótce się dowiedział o pustej lepiance na skraju wrzosowisk, którą można było zająć płacąc parę miedziaków. Cienkie ścianki dzieliły ją na trzy pomieszczenia. Przypominała nieco domek balwiera pod Exmouth, tamten jednakże miał porządny komin, podczas gdy tu musieli się zadowolić otwartym paleniskiem, z którego dym uchodził przez otwór w dachu. Rozłożyli posłania po obu jego stronach, czując się niemal jak przy drodze. Tatus znalazł przytulne schronienie w pobliskiej stajni.

Następnie balwierz począł gromadzić zapasy na zimę, nie skąpiąc na nie grosza, co po raz kolejny skłoniło Roberta do refleksji, jak miłe jest bogactwo. Nabył połcie wędzonej świniny i wołowiny; marzył mu się też sarni udziec, ale tego akurat lata król upomniał się o jelenie z nortumbryjskich lasów i trzech kupców z Carlisle straciło życie za handel dziczyzną. W zamian więc kupili piętnaście tłustych kur i worek ziarna.

– Będziesz je hodował – oznajmił chłopcu balwierz – a gdy każę, zarzniesz, wypatroszysz, oskubiesz i wsadzisz do garnka, gdzie ja się już nimi zajmę.

Kury były wielkie, płowożółte, z nagimi czerwonymi nogami i grzebieniami. Mimo imponujących rozmiarów usposobienie miały spokojne i pozwalały co rano podkradać sobie cztery lub pięć białych jaj.

– Widać mają cię za swego koguta – zachichotał balwierz.

– Może kupmy im samca?

– Żeby mi tu piał? – burknął kąśliwie mistrz, który zwłaszcza w chłodne zimowe ranki lubił się wysypiać.

Robertowi puścił się na twarzy rzadki ciemny zarost, którego nie można było jeszcze nazwać brodą. Balwierz twierdził co prawda, że tylko Duńczycy golą sobie gęby, ale Rob pamiętał, że to samo robił jego ojciec. Uprosił grubasa o pożyczenie ostrego balwierskiego noża i po pewnym czasie, brocząc krwią z licznych ranek, wreszcie poczuł się dorosły.

To krzepiące poczucie bardzo szybko pierzchło, kiedy balwierz kazał mu zarznąć pierwszą kurę. Życzliwe spojrzenia czarnych ptasich oczek zdawały się obiecywać długą piękną przyjaźń – o ile naturalnie właścicielka oczek pozostanie przy życiu. Długo nie mógł się zdecydować, wreszcie chwycił najbliższą za ciepłą miękką szyję, dygocząc zacisnął powieki i gwałtownym ruchem skręcił jej kark. Ptak zemścił się po śmierci, nie dając się pozbawić pierza. Oskubanie go trwało parę godzin, gdy zaś Rob wręczył mistrzowi zmasakrowany zewłok, ów spojrział nań z jawnym obrzydzeniem.

Następnym razem pokazał mu iście czarodziejską sztuczkę: rozwarł kurze dziób i przez podniebienie wbił cienki nóż prosto w mózg. Ptak natychmiast zwiotczał, a gdy przyszło do skubania, pióra wychodziły garściami bez oporu.

– Zapamiętaj to – pouczył chłopca. – Równie łatwo jest zabić człowieka, wierz mi na słowo. Znacznie trudniej natomiast utrzymać go przy życiu, a co dopiero w zdrowiu. To zaś jest naszym zadaniem.

Jesienna pogoda była wymarzona do zbierania ziół, często więc chodzili po lesie i wrzosowisku. Balwierz szukał zwłaszcza portulaki, która zalana driakwią zbija gorączkę. Nie rośla w tej okolicy, chociaż znaleźli wiele innych roślin – różę na okłady, tymianek i żołądzie (starte na proszek i zmieszane z tłuszczem dawały świetną maść na czyraki). Nieraz zdrowo się naharowali, na przykład wykopując korzeń cisu, pomocny dla utrzymania ciąży. Zbierali też trawę palczatkę i koper na dolegliwości dróg moczowych, rosnący na mokradłach słodki tatarak wspomagający pamięć osłabioną przewagą zimnych i wilgotnych humorów, jagody jałowca, z których napar pomagał pozbyć się kataru, łubin stosowany w gorących okładach na ropiejące wrzody oraz mirt i ślazowiec łagodzące swędzenie przy skórnych wysypkach.

– Rośniesz szybciej niż ziele – stwierdził kiedyś sucho balwierz.

Istotnie, Rob prawie dorównywał mu wzrostem i ledwie mieścił się w ubraniu uszytym przez Edytę z Exmouth. Kiedy jednak zaszli do sukiennika w Carlisle i balwierz kazał mu uszyć dla chłopca nowe zimowe szaty, „tylko takie, żeby starczyły mu na dłużej”, mężczyzna pokręcił głową.

– Nie ponosi ich długo, jeżeli jeszcze rośnie. Ile ma lat? Piętnaście?

– A gdzie tam! Dobiega jedenastu!

Sukiennik parsknął śmiechem, choć w jego spojrzeniu odmalował się podziw.

– Będzie z niego chłop na schwał, no, no! Cokolwiek uszyję, wkrótce się na nim skurczy. Szkoda dobrego sukna. Nie lepiej na razie przesyć dla niego starą odzież?

Tak więc Rob odziedziczył całkiem jeszcze porządną szatę swego mistrza z szarej wełny. Kiedy ją przymierzył, tamci buchnęli śmiechem. Była o wiele za szeroka, portki za to sięgały do pół łydki. Krawiec zwęził ją nieco, uzyskaną tkaniną przydłużył nogawki i rękawy na zapas, maskując szwy niebieską krajką. Robert przez całe lato chodził boso, ale wkrótce spodziewano się pierwszych śniegów, toteż był wdzięczny balwierzowi za nowe cizmy z mocnej krowiej skóry. Udał się w nich przez rynek do kościoła Świętego Marka i zastukał kołatką w masywne drewniane drzwi. Otworzył mu stary duchowny o zaropiałych oczach.

– Wybacz, ojcie. Szukam księdza Renalda.

Staruszek mrugnął oczyma, marszcząc w zadumie czoło.

– Znałem kiedyś takiego. Służył do mszy Lyfingowi, gdy ten był biskupem Walii. Na Wielkanoc będzie dziesięć lat, jak mu się zmarło.

– To nie ten. – Robert potrząsnął głową. – Parę lat temu widziałem go na własne oczy.

– Może tamtemu było Hugo, a nie Renald...

– Ojca Renalda przeniesiono z Londynu gdzieś na północ. Służy u niego mój brat, Wilhelm, trzy lata ode mnie młodszy. Syn cieśli Nata Cole'a.

– Dziś twój brat może nosić inne imię. Zakonne – wyjaśnił ksiądz.

– Bywa, że duchowni oddają swych słuźków do nowicjatu. Ale cóż, pytaj wszędzie. Nasza Święta Matka Kościół to bezkresne morze, ja jestem w nim tylko małą płotką – westchnął i życzliwie kiwnął Robertowi głową, gdy ten pomógł mu zamknąć ciężkie drzwi.

Staw przy karczmie pokrył się matową warstwą lodu. Balwierz wskazał parę łyżew przywiązanych do belki w zajmowanym przez nich domku.

– Szkoda, że masz takie wielkie stopy – zaśmiał się. – Mógłbyś na nich pojeździć, ale będą za małe.

Z każdym dniem lód był grubszy. W końcu któregoś ranka Rob odważył się wyjść na sam środek sadzawki. Tupnął lekko na próbę, potem mocniej. Odpowiedział mu stłumiony dźwięk solidnej tafli. Zawrócił po łyżwy. Były z rogu jelenia, tak jak te, które zrobił mu ojciec, kiedy Rob miał sześć lat. Prędko z nich wyrósł, ale używał ich przez trzy następne zimy. Przysiadłszy na brzegu stawu, przywiązał sobie do nóg za małe łyżwy i z radością zrobił kilka pierwszych ślizgów. Niestety przy próbie skrętu tępe ostrza zawiodły; machając rękami, ciężko wyrznął o lód i jeszcze spory kawałek przejechał na plecach. Usłyszał czyjś śmiech.

Obejrzał się. Na brzegu stało dziewczę, może piętnastoletnie i wielce ubawione.

– Potrafisz lepiej? – burknął ze złością, mimo woli stwierdzając, że jest całkiem niebrzydka, choć nieco za chuda. Miała za to dobrze rozwinięte piersi i kruczoczarne włosy jak Edyta.

– Ja? – zdziwiła się. – Skądże! Zresztą bym się bała.

Rozbroiła go tym wyznaniem.

– Lepsze będą na ciebie – rzekł zdejmując łyżwy. Podszedł do niej.
– To nic trudnego. Zaraz cię nauczę.

Wahała się jeszcze, ale wkrótce dała się przekonać. Nałożył jej łyżwy. Nie umiała ustać na śliskiej tafli lodu; chwyciła się go kurczowo, lęk rozszerzył jej oczy i rozdał cienkie nozdrza.

– Nic się nie bój. Trzymam cię. – Podparł ją ramieniem i popchnął do przodu, czując przez sukno jędrny ciepły pośladek.

Z piskiem i śmiechem okrążyli tak cały staw. Na imię jej było Garwena. Ojciec dziewczyny, Elfryk, miał gospodarstwo za miastem.

– A jak ciebie zwa? – spytała.

– Robert.

Jak wynikało z rozmowy, sporo o nich wiedziała, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Carlisle, miasto bowiem było małe – kiedy i skąd przybyli, czym się zajmują, w którym domu mieszkają, a nawet co kupili do jedzenia. Paplając żywo, ślizgała się po lodzie z coraz większą przyjemnością: oczy jej błyszczały, policzki zarumieniły się od mrozu, włosy wymknęły się spod kapturka, odsłaniając różową maźwinę ucha. Górną wargę miała wąską, dolną za to tak pełną, że wyglądała jak spuchnięta. Na kości policzkowej Rob zauważył zblakły siniec, a kiedy się śmiała, widać było, że jeden zęb w dolnej szczęce ma krzywę.

– Każecie się ludziom rozbierać? – zapytała.

– Czasem trzeba.

– Niewiastom też?

– Mamy kukłę. Niewiasty pokazują na niej, gdzie je boli.

– Ha, to pewnie żałujesz! – zaśmiała się rzucając mu z ukosa niepokojące spojrzenie. – Ładna jest ta wasza kukła?

Nie tak jak ty, miał ochotę powiedzieć, ale brakło mu odwagi. Wzruszył ramionami.

– Nazywamy ją Telma.

– Telma! – Zniosła się zdyszany zaraźliwym śmiechem i spojrzała na niebo. – Słońce już się chyli, muszę wracać do domu wydoić krowy. – Jej miękka pierś oparła się o ramię Roba.

Ukląkł przed nią na brzegu i zdjął jej łyżwy.

– Właściwie nie są moje; były w domu – bąknął – ale możesz ich tymczasem używać, jeśli chcesz.

Dziewczyna potrząsnęła prędko głową.

– Ojciec by mnie chyba zabił, gdyby zobaczył. Chciałby wiedzieć, jak się za nie odwdzięczyłam.

Rob poczuł, że gwałtowny rumieniec rozlewa mu się po twarzy. Żeby pokryć zmieszanie, wziął trzy szyszki i zaczął nimi żonglować. Garwena śmiała się i klaskała, a na odchodnym powiedziała mu prędko, jak trafić do zagrody jej ojca. Po chwili obejrzała się jeszcze.

– Ojciec nie lubi gości – dodała – ale w czwartki... w czwartki rano nosi sery na targ.

Nie poszedł do niej w czwartek. Zanim rano wstał z pośłania, długo zwlekał, usiłując zwalczyć trawiący go lęk. Nie bał się Garweny ani nawet jej ojca, lecz tajemniczej przemiany zachodzącej w jego wnętrzu. Nie był jeszcze gotowy, by stawić jej czoło.

Garwena śniła mu się w nocy. Leżał z nią na sianie, może w śpichrzu Elfryka. Znów musiał po kryjomu wycierać pośłanie.

Spadł pierwszy śnieg. Duże białe płatki szybowały w powietrzu jak gęsi puch. Balwierz zakrył skórą otwory okienne. W chacie zapanował zaduch i gęsty mrok; nawet za dnia widno było tylko tuż przy ogniu. Sypało przez cztery dni z krótkimi tylko przerwami. Nie mając czym się zająć, Rob siadał przy palenisku i zwęglonymi kawałkami drewna rysował różne zioła na korze zdartej z polan przeznaczonych na opał. Odtworzył pieczołowicie kędzierzawe listki mięty, wiotkie płatki schnących kwiatów i żyłkowane trójdzielne listki dzikiego groszku. Po południu stopił nieco śniegu nad ogniem, napił i nakarmił kury, starając się jak najszybciej zamykać drzwi do izby, w której je trzymali, mimo sprząwania bowiem dobywał się z niej nieznośny smród.

Balwierz przeważnie wylegiwał się w pościeli, popijając miód. Drugiego wieczoru pobrnął w śniegu do karczmy, skąd przyprowadził sobie cichą jasnowłosą dziewczkę imieniem Helga. Rob podglądał ich bez żenady, bo chociaż wielokrotnie był świadkiem kopulacji, wciąż nie dawały mu spokoju pewne szczegóły. Było jednak za ciemno; widział tylko oświetlone ogniem

głowy. Balwierz był napastliwy i prędko, kobieta miała smętną minę jak ktoś, komu praca nie daje radości.

Kiedy poszła, Rob wziął kawałek kory i węgielek. Tym razem zamiast roślin próbował naszkicować twarz ladacznicy. Idąc za potrzebą, balwierz zerknął mu przez ramię i zmarszczył brwi.

– Skądś znam tę twarz... – mruknął.

Jakiś czas później wytknął głowę spod skór, którymi był okryty.

– No jasne! – wykrzyknął. – Przecie to moja piękna Helutka!

Rob był mile połączony. Spróbował następnie sportretować Wata, sprzedawcę maści, ale balwierz rozpoznał go dopiero wtedy, gdy Rob dorysował w tle niedźwiedzia.

– Ćwicz rysowanie twarzy – polecił chłopcu. – Sądzę, że możemy mieć z tego pożytek. – Wkrótce jednak znudziło mu się przyglądanie, zabrał dzban na swoją pryczę i niebawem zasnął.

We wtorek nareszcie przestało sypać. Robert odział się ciepło, znalezione drewnianą łopata odgarnął śnieg przed drzwiami i poszedł do stajni przeprowadzić konia, który mocno potłuścił, jedząc co dzień do syta i nic nie robiąc. W środę pomógł chłopcom z miasta zgarnąć śnieg z powierzchni stawu. Balwierz odchylił skóry i wpuścił do chaty mroźne świeże powietrze. W świątecznym nastroju upiekł jagnięcy udziec, który zjedli z galaretką miętową i zagryźli jabłkowym kołaczem.

W czwartek rano Rob zdjął z belki łyżwy, związał rzemienne troki i zawiesił je sobie na szyi. Poszedłszy do stajni, nałożył Incitatusowi kantar i uzdę, dosiadł go na oklep i pojechał do miasteczka. Słońce go oślepiało, w powietrzu trzaskał mróz, a na ziemi leżał skrzący się biały dywan śniegu.

Wyobraził sobie, że jest Rzymianinem. Nie Kaligulą na prawdziwym Incitatusie – Kaligula był obłąkany i spotkał go

smutny koniec. Obsadził się w roli Cezara Augusta wiodącego swych pretorianów Drogą Appijską do Brundisium.

Bez trudu odnalazł gospodarstwo Elfryka. Wystarczyło się kierować wskazówkami Garweny. Uboga krzywa chatka stała obok wielkiej zadbanej obory. Wrota były otwarte; ktoś krzątał się przy bydle.

Rob się zawahał. Decyzję podjął za niego Incitatus, zdradzając ich obecność głośnym rzeniem.

– Garweno! – zawołał chłopiec.

We drzwiach obory pojawił się przygarbiony mężczyzna. Szedł powoli, niosąc drewniane widły pełne ciepłego parującego gnoju. W skupieniu, z przesadną ostrożnością, stawiał stopy; najwyraźniej był pijany. Jego ziemistoblada twarz zdobiła niestrzyżona broda tej samej barwy co włosy Garweny, musiał to zatem być jej ojciec.

– A ty kto? – spytał.

Rob podał mu swoje imię. Gospodarz zatoczył się lekko.

– Nie masz dzisiaj szczęścia, Robercie. Garweny tu nie znajdziesz. Uciekła, wszetecznicą.

Widły się zakołysały i Rob już był pewien, że wraz z koniem skąpią się w świeżutkim gnoju. Ale Elfryk rzekł tylko:

– Odejdź stąd. – Z oczu ciekły mu łzy.

Rob zawrócił Incitatusa do Carlisle. Jechał powoli, strapiony. Dokąd mogła pójść Garwena? Czy uda się jej przeżyć samej, zimą? Nie był już cezarem na czele gwardii, lecz zwykłym chłopcem pełnym wątpliwości i obaw.

Po powrocie do chaty zatknął łyżwy na belkę i już ich nie zdejmował.

Żyd z Tettenhall

Wyczekiwali wiosny, nie mając nic innego do roboty. Zapas świeżo uwarzonej driakwi od dawna był gotowy, niezbędne do leczenia zioła – oprócz portulaki – ususzone i starte na proszek albo zalane trunkiem. Mieli już po dziurki w nosie zimna i mroku, ćwiczenia żonglerki i „czarodziejskich” sztuczek dla zabicia czasu. Osłabiony nadmiarem miodu balwierz narzekał, że go łamie w kościach od ciągłego spania.

– Dosyć tego. Nie mam zamiaru czekać tu końca zimy – oświadczył na początku marca, wyruszyli więc z Carlisle wcześniej, niż planowali, posuwając się wolno drogami rozpulchnionymi miękącym śniegiem i błotem.

Dążącą na północ wiosnę spotkali w Beverley. W ślad za nią ciągnął tłum pielgrzymów, którzy korzystając ze słonecznej pogody wybrali się do wielkiego kamiennego kościoła pod wezwaniem Świętego Jana Ewangelisty. Rob z balwierzem urządzili wielkie przedstawienie, zyskując zasłużony poklask i czapkę pełną grosiwa. Była to dla nich pierwsza tego roku tak duża widownia. Następnie chorzy ustawili się przed parawanem i wszystko szło jak należy, dopóki nie przyszła kolej na szóstą pacjentkę, ładną młodą niewiastę o delikatnych dłoniach, które ujął, prowadząc ją za parawan.

Serce załomotało mu gwałtownie.

– Wejdz, pani – wyjąkał słabo, czując upiorne mrowienie w palcach, których uścisku nie potrafił rozewrzeć. Obrócił się i napotkał spojrzenie swego mistrza.

Balwierz zbladł jak płótno. Niemal gwałtem odciągnął go na stronę.

– Jesteś pewien? Całkowicie?

– Umrze, i to wkrótce – szepnął Rob.

Balwierz podszedł do niewiasty, która wyglądała młodo i krzepko. Nie skarżyła się zresztą na żadną dolegliwość. Przyszła po napój miłosny.

– Mój mąż jest człowiekiem w podeszłym wieku. Wciąż mnie kocha, ale gaśnie w nim męski żar – powiedziała spokojnie, bez fałszywego skrępowania. Znać było po niej ogładę, głowę trzymała wysoko, a podróżne suknie uszyte miała z doskonałej wełny. Z całą pewnością była osobą zamożną.

– Nie sprzedaję napojów miłosnych, szlachetna pani – rzekł balwierz kłoniąc się lekko. – To domena magów, nie lekarzy.

– Szkoda... – uśmiechnęła się zniżając głos.

Balwierz poczuł zimny dreszcz zgrozy biegnący po plecach. Nie sprostowała, kiedy nazwał ją „szlachetną panią”. Jeśli go oskarżą, że czarami spowodował śmierć szlachcianki, będzie mógł co najwyżej modlić się o szybki zgon.

– Często pomaga łyk mocnego trunku – wykrztusił – wypity na gorąco przed pójściem do łoża.

Nie wziął od niej zapłaty. Gdy tylko wyszła, wymówił się przed resztą chorych. Rob pakował już rzeczy do wozu.

Znów uciekali. Jechali w ciszy, razem prawie się nie odzywając. Dopiero gdy odsadzili się dostatecznie daleko od Beverley i już po ciemku rozbili obóz, balwierz rzekł cicho:

– Gdy ktoś nagle umiera, w jego oczach pojawia się pustka. Oblicze podobnie traci wyraz, nieraz sinieje. Kącik ust opada, powieki także, kończyny stają się bezwładne i ciężkie jak z kamienia. – Westchnął. – To miłosierna śmierć.

Robert nie odpowiedział.

Rozłożyli posłania, lecz długo nie mogli zasnąć. W końcu balwierz wstał i poszedł po gąsiorek. Tym razem dbał o to, by jego dłonie nie zetknęły się z dłońmi Roba.

Chłopiec wiedział, że nie jest czarownikiem. Istniała wszakże tylko jedna alternatywa, i tego właśnie nie pojmował. Dotąd w pokorze dźwigał swój „dar”, ale teraz zaczynał się buntować.

– Boże – modlił się cicho – uwolnij mnie od tego przekleństwa, ześlij je z powrotem w piekielne otchłanie, bo na pewno stamtąd pochodzi. Ja nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Z każdym tygodniem upewniał się, że Bóg wysłuchał jego błagań, bo przez całą wiosnę nie miał już więcej podobnych wizji. Dni mijały pogodne, lato przyszło cieplejsze i suchsze niż zwykle, pozwalając im bez przeszkód zarobkować na życie.

– Kiedy święty Switun słońko w górze mieści, będzie nam przygrzewać całych dni czterdzieści – oznajmił z zadowoleniem balwierz. I tak w miarę poprawy aury stopniowo pokrzepiali się na duchu, zapominając o obawach.

Dziw nad dziwy: mistrz pamiętał o jego urodzinach! Trzy dni po świętym Switunie wręczył swemu uczniowi piękny dar: trzy gęsie pióra, proszek do rozrabiania inkaustu oraz pumeks.

– Łatwiej będzie ci rysować tym niż węglem drzewnym – stwierdził.

Rob nie miał pieniędzy, by mu się odwdzińczyć prawdziwym podarkiem, lecz pewnego dnia pod wieczór wypatrzył na mijanej łące portulakę. Przed świtem wykradł się z obozowiska, prawie biegiem wrócił w tamto miejsce i narwał cały snop ziela przeciw gorączce, które następnie schował w wozie i ceremonialnie wręczył mistrzowi kilka dni później, w rocznicę jego urodzin, sprawiając mu tym żywą radość.

Zżyli się ze sobą, co szczególnie jasno widać było podczas występów. Bez słów przewidywali swoje ruchy, toteż przedstawienia nabrały werwy, zyskując szczerą podziw. Rob wyobrażał sobie, że pośród widzów jest jego rodzeństwo. Oczyma duszy widział dumę Marian i zdumienie Sama na widok starszego brata czyniącego cudowne sztuczki i żonglującego pięcioma piłkami. Na pewno wyrośli, powtarzał sobie. Ciekawe, czy mnie poznają. Mały Jon jest już sporym chłopcem, a Samuel prawie mężczyzną i może wreszcie zmańdrzał.

Jako uczeń nie mógł dyktować mistrzowi, dokąd jechać, ale podczas postoju w Nottingham znalazł okazję, by obejrzeć posiadaną przez balwierz mapę, i stwierdził, że zbliżają się do serca Anglii. Zdążali na południe; aby dotrzeć do Londynu, musieliby nieco odbić ku wschodowi. Nauczył się na pamięć nazw miasteczek i osad, żeby wiedzieć, gdy wreszcie znajdą się na drodze wiodącej do miasta, ku któremu ciągnęło go serce.

W Leicesterze pewien chłop, usuwając z pola głaz, który przeszkadzał mu w orce, odkrył pod nim masywny kamień nagrobny. Próbował go wykopać, ale płyta była ciężka, tkwiła w ziemi jak skała przez nią samą zrodzona.

– Sam książę przyśle po nią ludzi i konie – chwalił się przyjezdnym. – Chce ją zabrać do swego zamku.

Na chropowatym białym żyłkowanym marmurze widniała inskrypcja: DIIS MANIBUS VIVIO MARCIANO MILITI LEGIONIS SECUNDÆ AUGUSTÆ IANUARIO MARINA CONIUNX PIETISSIMA POSUIT MEMORIAM.

– „Bogom podziemnym – przetłumaczył balwierz – Wiwiuszowi Marcjanusowi, żołnierzowi Drugiego Legionu Augusta. W miesiącu styczniu wystawiła ten pomnik oddana żona, Marina.”

Spojrzeli po sobie.

– Ciekaw jestem, jak się potoczyły dalsze losy wdówki, kiedy już go pogrzebała. Daleko miała stąd do domu – stwierdził rzeczowo balwierz.

Tak jak my, pomyślał Rob.

Leicester był ludnym miastem. Występ zgromadził liczną widownię i nawet gdy wyprzedali driakiew, wciąż mieli pełne ręce roboty. Rob pomógł przeciąć wrzód, potem złożyć złamany palec, napoił portulaką rozpaloną od gorączki matronę, a rumiankiem dziecko dręczone bolesną kolką. Następnie wprowadził za parawan tęgiego łysawego mężczyznę z bielmem na oczach.

– Od jak dawna postępuje ślepotą? – spytał go balwierz.

– Od dwóch lat. Widziałem coraz gorzej, a teraz oczy całkiem mi zmętniały i z trudem dostrzegam światło. Byłem skrybą, ale już nie mogę pracować.

Balwierz pokręcił głową zapominając, że tamten go nie zobaczy.

– Nie potrafię przywracać wzroku, tak jak nie mogę przywrócić młodości.

Mężczyzna pozwolił się wyprowadzić.

– Smutna to nowina – rzekł do Roba – że człek już nigdy nie będzie widział.

Stojący w pobliżu mężczyzna o jastrzębiej twarzy z wydatnym rzymskim nosem posłyszał te słowa i spojrzął na nich bystro. Miał białe włosy i brodę, choć nie był jeszcze stary, mógł mieć najwyżej dwakroć tyle lat co Rob. Podszedł i położył dłoń na ramieniu ślepcy.

– Jak cię zwa? – spytał z normańskim akcentem, który Rob często słyszał w londyńskim porcie.

– Edgar.

– Jestem Beniamin, praktykuję jako medyk niedaleko stąd, w Tettenhall. Czy mógłbym obejrzeć twoje oczy, Edgarze?

Klerk skinął głową i stanął bez ruchu, mrugając nerwowo. Medyk kciukami uniósł mu powieki i przyjrzał się zmętniałym soczewkom.

– Mogę ci zdjąć bielmo – rzekł po chwili. – Już to robiłem. Ale czy będziesz dość silny, żeby wytrzymać ból?

– Zniosę wszystko – szepnął ślepiec.

– Umówmy się zatem na przyszły wtorek. Bądź gotów wczesnym rankiem, przyślę kogoś po ciebie. – Medyk obrócił się i odszedł.

Rob stał jak wryty. Nie sądził, że ktoś może dokonywać rzeczy, których nie umiał jego nauczyciel.

– Mistrzu! – ocknąwszy się pobiegł za mężczyzną. – Mistrzu! Gdzie się nauczyłeś leczenia ślepoty?

– W akademii. – Medyk spojrział na wysokiego chłopca w przyciasnym, niezgrabnie uszytym odzieniu i dodał wyjaśniająco:

– W szkole dla lekarzy.

– I gdzie jest taka szkoła?

Mężczyzna przeniósł wzrok na krzykliwie wymalowany wóz, żonglerskie piłki i flaszeczki z driakwią, której jakości łatwo mógł się domyślić.

– Na drugim krańcu świata – rzekł łagodnie. Podeszedł do uwiązanej karej klaczy, dosiadł jej i odjechał, nie zaszczycając balwierzy powtórnym spojrzeniem.

Po południu, kiedy Incitatus powoli ciągnął wóz w dalszą drogę, Robert opowiedział mistrzowi o tym spotkaniu.

– Słyszałem o nim – balwierz kiwnął głową. – Nazywają go Merlinem, to znany medyk. Mieszka w Tettenhall.

– Mówi jak Francuz.

– Pochodzi z Normandii, ale jest Hebrajczykiem.

– To znaczy?

– Żydem; potomkiem ludu Izraela, który zabił Pana Jezusa i został przez Rzymian wypędzony z Ziemi Świętej.

– Mówił, że gdzieś jest szkoła dla medyków.

– W westminsterskim kolegium wykładają czasem o leczeniu, ale ponoć nic niewarte są takie nauki. Słuchacze i tak terminują później u medyków, służąc w zamian za naukę, tak samo jak ty służysz u mnie, żeby się nauczyć zawodu balwierza.

– Wątpię, żeby mówił o Westminsterze. Ta szkoła jest ponoć gdzieś na krańcu świata.

Balwierz wzruszył ramionami.

– Może we Francji. Pełno tam jest Żydów; część dotarła aż tutaj, wśród nich i medycy.

– Nigdy jeszcze żadnego nie widziałem.

– Jeden taki mieszka w Malmesbury. Zwie się Izaak Adolescentoli i jest bardzo sławny. Może uda ci się go zobaczyć, kiedy pojedziemy na zachód, do Salisbury.

– To nie zahaczmy o Londyn?

– Nie. – Balwierz dosłyszał gorzką nutkę w głosie swego ucznia. Wiedział zresztą, że chłopiec tęskni za rodzeństwem, ale rzekł stanowczo: – Jedziemy do Salisbury, bo tamtejszy doroczny jarmark gromadzi nieprzeliczone tłumy i warto je ostrzyc. A potem już będzie jesień, stamtąd więc udamy się wprost do Exmouth. Chyba to rozumiesz?

Robert kiwnął głową.

– Za to wiosną, kiedy znów znajdziemy się na szlaku, ruszymy na wschód i wtedy odwiedzimy Londyn.

– Dziękuję – wyszeptał Rob z wdzięcznością. Godził się czekać; najważniejsze, że w końcu tam pojedą! Już wyobrażał sobie radość ze spotkania malców.

Po dłuższej chwili znowu zajęły go sprawy bieżące.

– Myślisz, mistrzu, że ten Żyd przywróci skrybie wzrok?
Balwierz raz jeszcze wzruszył ramionami.

– To trudny zabieg. Potrafią go wykonać tylko nieliczni. Wątpię, czy ten Żyd do nich należy. Ale syn narodu, który zabił Syna Bożego, nie zawaha się okłamać ślepcę. – To rzekłszy, zamilkł i popędził konia, zbliżała się bowiem pora obiadu.

12

Miara

Jesienią wrócili do Exmouth. Znajomy widok chatki nad morzem ucieszył Roba, choć nie był to dlań przecież powrót do domu. Jednakże nie czuł się już tak obco, jak dwa lata temu, kiedy znalazł się tu po raz pierwszy.

Balwierz z westchnieniem ulgi pogłaskał wielki komin z rusztem do gotowania. Pozostało tylko zaopatrzyć spiżarnię na zimowe miesiące. Tym razem postanowili zrezygnować z żywych kur, bo trzymane pod dachem śmierdziały jak sam diabeł.

Robert znów wyrósł z ubrania.

– Jak można mieć takie długie kości? Puścisz mnie z torbami! – utyskiwał balwierz, ale wygrzebał zwój brązowej wełnianej tkaniny, który kupił na targu w Salisbury, i podał go chłopcu. – Pojadę wozem do Athelny kupić sery i szynki. Przenocuję w gospodzie. Ty w tym czasie wybierz liście ze źródła i zacznij już rąbać drewno na opał. A w wolnej chwili przejdź się do Edyty i poproś, żeby ci uszyła z tego przyodziewek. Pamiętasz drogę?

– Na pewno trafię. – Rob ucieszony podziękował za materię.

– I niech dużo podłoży na długości i szwach – sarknął Croft po namyśle – żeby można było spuścić, jak znów urośniesz.

*

Rob owinał materiał w owczą skórę dla ochrony przed zimnym deszczem, który w Exmouth zdawał się padać bez przerwy. Znał drogę. Dwa lata temu włóczył się czasem wokół domu Edyty w nadziei, że ją zobaczy.

Zapukał do drzwi. Otworzyła bez zwłoki, a ujrzawszy go w progu, złapała go za obie ręce i wciągnęła do izby. Byłby upuścił przyniesiony materiał.

– Rob! Niechże ci się przyjrzę! Aleś wydorósł przez te dwa lata!

Zamierzał powiedzieć, że ona się nie zmieniła, lecz odebrało mu mowę. Edyta zauważyła jego spojrzenie. Jej oczy pocieplały.

– A ja jestem już stara i siwa – rzuciła lekko.

Rob potrząsnął głową. Włosy wciąż miała kruczoczarne; oczy piękne i lśniące, wyglądała tak samo, jak ją zapamiętał.

Zaparzyła mu mięty. Przez ten czas Robert odzyskał głos i rozpoczął długą ożywioną opowieść, gdzie byli i co widzieli. W końcu, nagadawszy się, spytał, jak jej się powodzi.

– Coraz lepiej – stwierdziła. – Ludziom znów żyje się nieco łatwiej, ten i ów chętnie zapłaci za uszycie szaty.

Chłopiec przypomniał sobie, że po to właśnie przyszedł. Rozwinął skórę i pokazał Edycie otrzymany materiał. Pochwaliła jakość wełny.

– Oby jej tylko starczyło – zatroskała się. – Chyba jesteś już wyższy od twojego mistrza?

Sięgnęła po sznurek i obmierzyła chłopca znacząc szerokość ramion, obwód w pasie, długość rąk i nóg.

– Zrobię ci wąskie nogawice i luźną suknię, a do tego płaszcz. Będziesz wyglądał jak wielki pan.

Kiwnął głową i wstał z ociąganiem.

– Musisz już wracać? Mistrz czeka?

Kiedy wyjaśnił, że balwierz jest w Athelny, kazała mu usiąść z powrotem.

– Już pora wieczery. Co prawda nie skosztujesz u mnie cielęciny, słowicznych języczków ani korzennego puddingu, jakimi zapewne karmi cię twój chlebowdawca, ale chyba nie wzgardzisz prostym wiejskim posiłkiem?

Zdjąwszy z półki bochen chleba, posłała Roba do spizarni nad źródłem po ser i jabłecznik. Wracając w deszczu i gęstniejącym zmroku, wyłamał po drodze dwa pręty łożiny. W domu nabił na nie pokrojony ser i jęczmienny chleb, żeby przypiec je nad ogniem.

– Cały balwierz! – uśmiechnęła się Edyta. – Widzę, że nabrałeś jego nawyków.

Rob wesoło wyszczerzył zęby.

– W taką słotę ciepłe lepiej smakuje.

Zjedli, napili się jabłeczniaka i podjęli przerwana pogawędkę. Rob dorzucił drew do ognia, który z sykiem przygasał w strużkach wody ciekących z dymnika.

– Leje coraz mocniej – bąknęła Edyta.

– Ano tak.

– To bez sensu, żebyś szedł teraz w noc i nawałnicę.

Wędrował już nocą w stokroć gorsze ulewy, ale mruknął tylko:

– Do rana będzie śnieg.

– Prześpij się tutaj. Będę miała towarzystwo.

Wybąkał podziękowanie i jak we śnie odniósł ser i jabłecznik do spizarni, nie śmiąc nawet myśleć, co będzie dalej. Kiedy wrócił, Edyta ściągała właśnie suknię.

– Zdejmij te mokre łachy – powiedziała spokojnie, kładąc się do łóżka w luźnym giele.

Zrzucił przemoczone portki, tunikę i koszulę i rozpostarł je przy kopulastym piecu, żeby wyschły. Nagi wśliznął się pod przykrycie, dygocząc na całym ciele.

– Ależ zimno!

– To dla ciebie nie pierwszozna. – Uśmiechnęła się. – Musiało ci być zimniej, kiedy przed dwoma laty zajmowałam twoje miejsce w łożu balwierza.

– A ja spałam na podłodze. O tak, bywało zimno!

– Biedna sierotko – szepnęła obracając się do niego. – A przecież mogliśmy się pomieścić wszyscy troje.

– Pamiętam, że kiedyś wyciągnęłaś rękę i pogłaskałaś mnie po głowie...

Jej ciepła dłoń przesunęła mu się pieszczotliwie po twarzy, przygładziła włosy.

– W tym samym łóżku tuliłam swoich synów – szepnęła kobieta, przymykając oczy. – O, tak... – przygarnęła go do swych miękkich piersi. Po chwili zsunęła gieżło z ramion i poddała mu nabrzmiąły sutek.

Zamknął na nim wargi. Ciepłe ciało w ustach zbudziło w nim odległe wspomnienie niemowlęctwa. Piekące łzy wezbrały mu pod powiekami. Chwyliła go za rękę i powiodła ją w nieznaną dotąd rejony.

– Tak mi rób – zamruczała, nie otwierając oczu.

Ogień dymił wściekle, wilgotne drwa syczały, lecz Rob nie słyszał nic poza sennym głosem przytulonej doń kobiety:

– Leciutko i powoli... O, tak...

Pomimo zimna odrzucił pierzynę i zadarł jej gieżło. W pełgającym świetle ognia widział teraz to, co wcześniej poznały jego palce. Ukryta pomiędzy zaskakująco tęgimi udami jej kobiecość była taka, jak sobie wyśnił, ale teraz mógł napawać się każdym szczegółem.

– Szybciej...

Chciała mówić dalej, lecz odszukał jej usta. Ich dotyk bynajmniej nie był matczynej, a natarczywy język robił rzeczy, o jakich nigdy by nie pomyślał. Powolny jej szeptom, nakrył ją swoim ciałem i opadł pomiędzy jej pulchne uda. Nie potrzebował już dalszych wskazówek, instynktownie pchnął i gdy jego twardy trzpień gładko wsunął się w śliskie ciepłe gniazdo jej łona, zrozumiał, że Bóg jest cieślą nad cieśle.

Oczy Edyty otworzyły się i utkwiły w nim, rozszerzając się nagle. Zęby jej błysnęły w dziwnym drapieźnym uśmiechu; wydała głośny gardłowy jęk, który mógłby przywieść mu na myśl agonię, gdyby nie to, że znał takie dźwięki. Słuchał ich przez parę lat w ciasnym domku przy ulicy Ciesielskiej, ilekroć ojciec brał matkę w łóżu, a później na szlaku, gdy jego mistrz sprowadzał sobie dziewczki. Nieraz myślał, że ta część kobiecego ciała musi kryć w sobie wielką magiczną moc, skoro mężczyźni tak jej pragną. Krztusząc się dymem w mrocznym sanktuarium łóża Edyty, poczuł, jak z jego lędźwi odpływa cierpienie i ociężałość. Uniesiony trwożną radością sam się przekonał, że między podglądaniem a uczestnictwem jest wielka różnica.

Nazajutrz rano ktoś zapukał do drzwi. Niezupenie jeszcze rozbudzona Edyta podreptała boso otworzyć.

– Poszedł? – zaszeptał balwierz.

– Już dawno. – Uchyliła drzwi szerzej, wpuszczając go do środka. – Zasnął jako mężczyzna, a obudził się znów chłopcem. Bąknął, że musi oczyścić źródło, i pognał, ledwie się rozwidniło. – Ziewnęła.

Balwierz się uśmiechnął.

– Wszystko poszło jak trzeba?

Edyta kiwnęła głową. Ze zdumieniem spostrzegł na jej twarzy rumieniec.

– To dobrze. Był już bardziej niż gotów. Lepiej, że zrobił to z poczciwą kobietą, niż miałyby go skrzywdzić jakaś suka. – Wyjął z trzosa kilka monet i położył je na ławie. – Tylko za ten raz – zastrzegł się. – Jeśli cię jeszcze odwiedzi...

Przerwała mu:

– Ostatnio zachodzi do mnie pewien kołodziej. To dobry człowiek. Ma dom w Exeter i trzech synów. Myślę, że niedługo mi się oświadczy.

Balwierz pokiwał głową.

– Ostrzegłaś Roba, żeby nie poszedł w moje ślady?

– Powiedziałam mu, że kiedy pijesz, robisz się gwałtowny, a męskości wcale ci od tego nie przybywa.

– Tego ci nie kazałem mówić.

– Ale to sama widzę. – Śmiało wytrzymała jego spojrzenie. – Powiedziałam mu, że jego mistrz przechlał życie i zmarnował je na ladacznice. Radziłam, aby nie brał z ciebie przykładu i mierzył wyżej.

Balwierz słuchał jej z powagą.

– Był bardzo urażony, że śmiem cię ganić – dodała sucho. – Oznajmił, że na trzeźwo jesteś prawym człowiekiem i świetnym fachowcem i że zaznał od ciebie wiele dobroci.

– Naprawdę tak powiedział? – bąknął obojętnie balwierz, ale Edyta dostatecznie znała się na mężczyznach, żeby zauważyć rozpierające go zadowolenie.

Nasadził czapkę i pogwizdując ruszył dalej, do siebie. Edyta schowała pieniądze i wskoczyła z powrotem pod pierzynę. Ech, ci mężczyźni, mruknęła. Czasami dają radość, znacznie częściej zgryzotę, ale nijak nie sposób ich zrozumieć. Z tą myślą obróciła się na bok i znów zasnęła.

W Londynie

Karol Bostock wyglądał bardziej na dworaka niż kupca. Długie płowe włosy związane miał z tyłu ozdobną krajką, szatę z kosztownej farbowanej na czerwono wełny, której barwy nie zdołał zaćmić nawet kurz gościńca, a buty z miękkiej skóry, z wydłużonymi noskami, dowodziły, że nieczęsto musi chodzić piechotą. I teraz siedział na wielkim siwym ogierze, mierząc swój dobrze uzbrojony orszak zimnym spojrzeniem człowieka, który potrafi dbać o swój interes. Zabawiał się właśnie pogawędką z balwierzem, któremu pozwolił przyłączyć się do karawany koni obładowanych solą z warzelnii w Arundelu.

– Mam trzy składy nad rzeką, pozostałe wynajmuję. To dzięki nam, wędrownym kupcom, bogaci się Londyn i cała Anglia. Król to docenia.

Balwierz uprzejmie kiwnął głową. Znużył go już ten pyszałek, ale warto się było pomęczyć w zamian za zbrojną eskortę, im bowiem bliżej stolicy, tym chętniej na drodze grasowali rabusie.

– Czym handlujesz, panie? – spytał.

– Z krajowych produktów głównie solą i żelazem. Ale sprowadzam też cenne dobra z za morza: skóry, jedwabie, złoto i klejnoty, piękne szaty, barwniki, wino, oliwę, kość słoniową i mosiądz, miedź i cynę, srebro, szkło i tym podobne.

– Zatem wiele podróżujesz w obce kraje?

– Nie – uśmiechnął się Bostock – ale właśnie się wybieram. Do tej pory ledwie raz pożeglowałem do Genui. Przywiozłem stamtąd kobierce, które zamierzałem sprzedać co bogatszym kupcom, ale nim ci zdążyli przyozdobić nimi swoje domy, wszystko poszło na dwory jarłów naszego króla Kanuta. Toteż popłynę jeszcze przynajmniej ze dwa razy, zwłaszcza że król obiecał uczynić tanem

każdego kupca, który trzykrotnie wyprawi się za morze z korzyścią dla angielskiego handlu. Dotąd płaciłem za to innym, a sam prowadziłem interesy w Londynie.

– Opowiedz, panie, co nowego w stolicy.

Bostock wyniośle skinął głową i jął się rozwodzić nad warowną rezydencją, jaką król wznosił dla siebie po wschodniej stronie westminsterskiego opactwa. Pochodzący z Danii Kanut cieszył się wśród Anglików wielką estymą, zwłaszcza iż ogłosił edykt zezwalający każdemu wolnemu człowiekowi polować na własnej ziemi. Dawniej dziczyna była zastrzeżona dla króla i wielmożów, teraz mógł ją jadać każdy.

– Dziś byle szlachetka ciesząc się jelenim udźcem czuje się jak monarcha na swoich włościach – dodał ze śmiechem Bostock.

Odbiwszy z rąk Etelredowego syna Anglię, Kanut umocnił się na wyspie, a wkrótce potem objął również tron Danii po swym bracie Haraldzie. Zapanował w ten sposób nad całym Morzem Północnym.

– Pobudował mrowie czarnych okrętów, które nieraz już pogromiły morskich rozbójników – perorował Bostock. – Po raz pierwszy od stu lat mamy w Anglii prawdziwy pokój.

Rob nie przysłuchiwał mu się zbyt uważnie. Na popasie w Altonie dali wraz z balwierzem przedstawienie, odwdzięczając się w ten sposób za ochronę. Kupiec śmiał się głośno i z zapałem oklaskiwał ich żonglerkę. Na koniec dał Robertowi dwa pensy.

– Pewnie zechcesz się zabawić w stolicy. – Mrugnął porozumiewawczo. – A to kosztuje!

Rob podziękował, ale jego myśli krążyły gdzie indziej. Im bliżej byli Londynu, tym trudniej było mu znieść oczekiwanie.

Wieczorem rozbili obóz na polu pod Reading, ledwie dzień drogi od jego rodzinnego miasta. Tej nocy Rob nie zmrużył oka, układając

w myśli kolejność odwiedzin u młodszego rodzeństwa.

Nazajutrz zaczął dostrzegać znajome miejsca: charakterystyczną kępę dębów, wielki głaz, skrzyżowanie dróg nieopodal wzgórza, na którym ongiś rozbijał z balwierzem pierwszy obóz... Każde przyspieszało bicie jego serca. Krew mu tętniła. Po południu rozstali się z kupcem w Southwark, gdzie miał coś do załatwienia. Osada rozrosła się znacznie od czasu, gdy widział ją po raz ostatni. Z biegnącej nasypem drogi widział nowe składy, które oblepiły podmokły brzeg rzeki wzdłuż dawnej przystani promu. Przy nabrzeżu cumował rój statków z różnych krain.

Prowadzony pewną ręką Incitatus statecznie pokonał most londyński w tłumie pieszych. Po drugiej stronie rzeki nurt ludzi i zwierząt był tak silny, że nie dało się skręcić wozem w ulicę Nadzeczną. Pojechali prosto do Fenchurch i dopiero tam odbili w lewo, chybotliwym mostkiem nad strugą zasilającą fosę i nareszcie wyboistą drogą na Cheapside. Rob ledwie mógł usiedzieć; rzędy małych wyszarzałych domów wyglądały tak znajomo, jakby je widział wczoraj.

Za Starą Bramą balwierz skręcił w prawo i zaraz potem w lewo, w ulicę Nowobramną. Rozwiązał w ten sposób dylemat Roba, który wciąż się głowił, od kogo zacząć. Przy Nowobramnej bowiem mieszkał piekarz, który przygarnął Marian. Chłopiec uniósł się w koźle, wypatrując zapamiętanego wąskiego domu, aż naraz dojrzał go i krzyknął:

– To tu! Stój!!! – i zeskoczył z wozu, zanim balwierz zdążył sięgnąć wodze.

Przebiegłszy na drugą stronę uliczki, zajrzał przez otwartą okiennicę i ku swemu zdumieniu ujrzął za nią warsztat powroźniczy pełen lin. Speszony, pchnął drzwi i wszedł do środka. Brzęknięcie uwieszonego na drzwiach dzwonka oderwało od pracy niskiego

rudowłosego mężczyznę, który podniósł głowę i skinął mu na powitanie.

– Co się stało z piekarnią? – wyjąkał Rob.

Powroźnik oparł dłonie na schludnym zwoju okrętowej liny i wzruszył ramionami.

– Czy mieszka tu jeszcze Herewig?

– Nie, ja tu mieszkam – odparł spokojnie rudy. – Owszem, była tu kiedyś piekarnia, ale kiedy kupiłem dom przed dwoma laty, był pusty. Sprzedał mi go Durman Mnich. Mieszka tu obok.

Robert kiwnął do balwierza, żeby poczekał w wozie, i zaszedł do Durmana Mnicha. Był to stary człowiek, samotny, jeśli nie liczyć stadka kotów, który z chęcią powitał okazję do pogawędki.

– A więc jesteś bratem małej Marian? – zdziwił się. – Pamiętam tę dziewczuszkę, cichutka była taka i miła jak kotek. Herewig mieszkał tu po sąsiedzku i zawsześmy żyli w przyjaźni. – Starzec pogłaskał rosnącego kocura o drapieźnych ślepiach i dodał: – Przenieśli się do Salisbury.

Wchodząc do siedziby cechu, Robert poczuł ucisk w żołądku. Sam dom w ogóle się nie zmienił, nawet łata plecionki wystająca spod obłupanego tynku nad wejściem wyglądała tak samo jak trzy lata temu. W izbie rozsiadło się z kuflami kilku cieśli, lecz nie dojrzał wśród nich ani jednej znajomej twarzy.

– Czy zastałem może mistrza Bukerela?

Jeden z mężczyzn odstawił kubek i obejrzał się przez ramię.

– Pytasz o Ryszarda Bukerela?

– Tego samego.

– Zmarł dwa lata temu.

Rob zmarkotniał. Pamiętał, ile dobroci okazał mu swego czasu ten człowiek.

– A kto jest teraz starszym cechu? – spytał.

– Luard – mruknął krótko cieśla i przywołał przechodzącego ucznia: – Poproś tu Luarda, ten chłopak chce z nim mówić.

Po chwili z głębi sali nadszedł krępy mężczyzna z ogorzałą zniszczoną twarzą, młody jak na mistrza cechu. Kiedy Rob wyjaśnił, że szuka wieści o dawnych towarzyszach ojca, pokiwał głową bez zdziwienia. Przez kilka minut przewracali pergaminowe karty wielkiej księgi.

– O, jest – rzekł wreszcie Luard i pokręcił głową. – Alwin, towarzysz stolarski. Ale to stary wpis, od paru lat już się nie rejestrował.

Nikt z obecnych w izbie nie znał Alwina ani nie wiedział, dlaczego nie ma go już w spisie.

– Ludzie się przenoszą – wyjaśnił Luard. – Pewnie wstąpił do cechu w jakimś innym mieście.

– A Horne? – zapytał cicho Rob.

– Mistrz ciesielski? Jest, jest, mieszka wciąż w tym samym domu.

Rob odetchnął z ulgą. Przynajmniej spotka się z Samem.

Jeden z przysłuchujących się mężczyzn wstał, odciągnął Luarda na bok i zaczął coś do niego szeptać. Ten zawahał się, odchrząknął i zwrócił się do Roba:

– Posłuchaj no, młodzieńcze. Horne buduje dom obok Przystani Edreda. Idź no tam z nim pogadać.

Rob popatrzył po obecnych.

– Nie wiem, gdzie to jest.

– W nowej części miasta. Znasz Przystań Królowej, stary rzymski port przy wale?

Chłopak kiwnął głową.

– To po drodze. Stamtąd każdy już ci wskaże drogę do Przystani Edreda.

*

Wał chroniący miasto od strony rzeki oblepiony był składami, dalej zaś ciągnęły się rzędy domostw portowych rzemieślników – żaglomistrzów, wytwórców narzędzi i lin, przewoźników, sztauerów, latarników i skutników. Mieszkało tu wielu ludzi, toteż i co parę kroków trafiała się karczma. W jednym z takich mocno woniejących przybytków Rob wywiedziało się, jak dojść do Przystani Edreda, wokół której na podmokłych łąkach niczym grzyby po deszczu rosły nowe domy. Tam też, na rozpoczętej budowie, odnalazł Horne'a. Wywołany cieśla zląkł z dachu, nierad, że mu przerwano. Rob przypomniał sobie znajomą twarz, choć była tęższa, a otaczająca ją strzecha włosów wyraźnie się przerzedziła.

– Jestem Robert Cole, mistrzu. Brat Sama.

– Zaiste! Aleś wyrósł! – W poczciwych oczach Horne'a mignął ból. Zawahał się chwilę, po czym rzekł bez wstępów: – Twój brat był u nas ledwie rok. Bardzośmy go polubili, a moją niewiastę to już dosłownie owinął sobie wokół palca. Mówiliśmy mu sto razy: nie biegaj po nabrzeżach. Kiedy woźnica cofa ciężką furę czwórką koni, to i dorosły łącno może zginąć, a cóż dopiero dziewięcioletni chłopiec.

– Ośmio.

Horne spojrział na niego pytająco.

– Jeśli rok po tym, jakżeście go wzięli, to miał wówczas osiem lat – sprostował Rob, z trudem pokonując opór zdrętwiałych warg. – Był dwa lata młodszy ode mnie.

– Ano, ty wiesz lepiej – rzekł łagodnie Horne. – Pochowaliśmy go u Świętego Botulfa, w głębi po prawej stronie, tam, gdzie i wasz ojciec spoczywa w pokoju... – Urwał i dodał niezręcznie: – A skoro już mowa o Natanielu, pewnie chciałbyś odebrać jego narzędzia. Jedna piła pękła, ale młoty są jak nowe.

Rob potrzęsnał głową.

– Zatrzymajcie je, proszę. Na pamiątkę po Samie.

Biwakowali na łące za Bramą Biskupią, na skraju mokradeł otaczających północno-wschodni kraniec miasta. Nazajutrz wczesnym rankiem Rob wymknął się z obozowiska; miał dość pasących się dookoła owiec i współczucia okazywanego mu przez balwierza. Zaszedł na Ciesielską i przez długą chwilę stał przed dawnym domem, wspominając lata spędzone w nim z rodzeństwem. Odszedł, kiedy w końcu drzwi się otworzyły i nieznajoma kobieta wylała za próg wodę z cebra.

W zadumie powędrował dalej, aż do Westminsteru, gdzie nad rzeką stało już niewiele domostw, za nimi zaś wśród pól i łąk wznosił się potężny klasztor. Graniczył on z innym dworem mogącym należeć wyłącznie do króla, otaczały go bowiem kwatery dla wojska i liczne przybudówki, w których jak sądził Rob, załatwiano wszelakie sprawy państwowe. Dojrzał z dala osławionych huskarłów, drużynników królewskich, o których z trwogą szeptano w każdej gospodzie. Ci rośli Duńczycy, biegli we władaniu mieczem, stanowili gwardię przyboczną Kanuta. Rob pomyślał mimochodem, że ukochany przez lud władca nie potrzebuje aż tak licznej straży, po czym zawrócił do miasta. Zanim się obejrzał, znalazł się w pobliżu kościoła Świętego Pawła i wtedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Ja cię znam. Jesteś Cole.

Rob spojrział na młodzieńca, który go zaczepił, i nagle poczuł się znów jak mały chłopiec targany dylematem: bić czy wiać. Stał bowiem przed nim nie kto inny, a Szczyl. Na szczęście był sam i do tego szeroko się uśmiechał. Ponadto Rob zdał sobie sprawę, że jest teraz o trzy głowy wyższy i znacznie silniejszy od dawnego

wroga. Klepnął go w ramię, tak uradowany, jakby w dzieciństwie byli najlepszymi przyjaciółmi.

– Chodź na piwo – zaśmiał się tamten. – Opowiesz, co u ciebie słychać.

Rob się zawahał; miał przy sobie tylko dwa pensy, które dostał od kupca Bostocka za żonglerkę.

– Ja stawiam – rzekł domyślnie Szczyl. – Od roku zarabiam na siebie.

Gdy zasiedli z kuflami w kącie pobliskiej gospody, wyjaśnił, że terminuje w tartaku.

– Jako dolny – dorzucił, a Rob spostrzegł, że głos ma ochrypły, a skórę ziemistą. Wiedział, co to za praca: terminator stoi w głębokim dole, nad którym kładzie się pnie, i pociąga za jeden koniec piły, przez cały dzień wdychając sypiące się nań trociny. Starszy towarzysz stolarski stoi nad brzegiem jamy, ciągnąc piłę do góry.

– Chyba wreszcie cieślom się poprawiło – zauważył Robert. – Byłem w domu cechowym. Nie widać tam wielu próżnujących.

– Miasto się rozrasta – przytaknął Tite. – Ponoć liczy już sto tysięcy dusz, ósmą część wszystkich ludzi w królestwie. Gdzie spojrzeć, coś się buduje. To dobra pora, żeby zgłosić się do cechu. Słyszałem, że ma się utworzyć nowa setka. A ty przecież jesteś synem cieśli.

Rob potrząsnął głową.

– Ja już terminuję.

Opowiedział o swoich wędrówkach z balwierzem. Zazdrość, jaką dojrzał w oczach byłego wroga, sprawiła mu nielichą satysfakcję. Potem Tite wspomniał o śmierci Sama, a gdy skończył, dodał:

– W ostatnich latach zmarło wielu ludzi. Ospa zabrała mi matkę i dwóch braci. A potem ojciec dostał gorączki i też umarł.

Rob posępnie kiwnął głową.

– Muszę odszukać tych, którzy żyją. Kiedy idę przez Londyn, myślę sobie: a nuż w domu, który mijam, mieszka Roger. Matka zmarła tuż po jego urodzeniu i Ryszard Bukerel komuś go oddał.

– Może Leotylda, wdowa po nim, będzie coś wiedziała.

Rob usiadł prościej, ożywiony.

– Wyszła drugi raz za mąż za człowieka imieniem Beowintan – dodał Tite. – Gospodarzą tu niedaleko, zaraz za Ludgate.

Wypytawszy Szczyła o drogę, Rob znalazł się w okolicy równie odludnej jak ta, gdzie wznosił swoją nową siedzibę Kanut. Od rozlewisk rzeki Fleet ciągnęła jednak wilgoć, a i sam dom nie przypominał królewskiego dworu. Za lichą, pochyloną chatą ciągnęły się dobrze utrzymane pola kapusty i brukwi, rozpływające się na krańcach w bagnie. Rob przystanął na chwilę, patrząc na czwórkę ponurych dzieci, które w milczeniu okrążały rojące się od komarów zagony z workami kamieni – śmiertelnych pocisków przeciw łąkowym zającom.

Gospodynię zastał w domu. Przebierała warzywa i składała je w koszach narzekając, że zające zjadają całe zyski.

– Pamiętam ciebie i twoją rodzinę – oświadczyła spoglądając na Roba, jakby był dorodną rzepą. Nie zdołał się jednak od niej dowiedzieć nazwiska czy choćby miejsca zamieszkania mamki, której Bukerel oddał małego Rogera.

– Nikt tego nie zapisał?

Możliwe, że niedostatecznie zapanował nad twarzą, bo zachnęła się ze złością:

– Ja tam pisać nie umiem. A skoroś taki mądry, mogłeś sam dopilnować, królewiczu! W końcu to twój brat!

Rob zadał sobie pytanie, czy można było tego oczekiwać od dziecka w jego położeniu, ale musiał jej przyznać trochę racji.

Kobieta uśmiechnęła się nagle.

– Nie skaczymy sobie do oczu. W końcu byliśmy kiedyś sąsiadami. Ech, ciężkie to były czasy...

Ku swemu zdumieniu dojrzał w jej oczach cieplejszy blask. Zeszczuplała od pracy w polu i naraz zrozumiał, że kiedyś była piękna. Patrzyła na niego jak kobieta na mężczyznę, a nie była chyba starsza od Edyty...

Powściągnęła go smutna myśl o Bukerelu i wspomnienie jej skąpego, niechętnego miłosierdzia. Dobrze przecież pamiętał, że była gotowa sprzedać go w niewolę. Chłodno spojrzawszy jej w oczy, mruknął „dziękuję” i wyszedł.

U Świętego Botulfa otworzył mu zakrystian, ospowaty starzec z długimi siwymi włosami w niechlujnych strączkach. Rob zapytał o księdza, który ongiś chował jego rodziców.

– Ojciec Kempton od blisko roku naucza Szkotów – terkotał stary prowadząc go na przykościelny cmentarz. – Strasznie tu u nas ciasno! Nie było cię w Londynie dwa lata temu podczas ospy?

Rob pokręcił głową.

– Szczęściarz! Ludzie marli jak muchy, grzebaliśmy ich od rana do późnej nocy. Teraz już ni szpilki nie wściubi, a gdzie chować nowych? Zjeżdżają się do miasta ze wszystkich stron, a wszak człowiek szybko dobiega tych czterech dziesiątków lat, które Bóg mu przeznaczył.

– Tobie, panie, jakoś dano więcej – zaśmiał się Rob.

– Mnie chroni nabożny i bezgrzeszny żywot – uśmiechnął się kościelny chuchając nań kwaśnym winem.

Zaczekał przed kaplicą, aż podchmielony starzec przewertuje rejestr pogrzebów. Na niewiele się to zdało – tyle że powiodł go przez labirynt chylących się ku ziemi nagrobków do wschodniej części cmentarza, gdzie nieopodal omszałego muru (jak wybąkał

rozglądając się bezradnie) zostali pochowani obaj Cole'owie, ojciec i syn. Rob szukał w pamięci migawek z pogrzebu ojca, by dzięki nim określić położenie grobu, lecz na próżno. Matkę wszakże znalazł bez trudu; rosnący nad jej mogiłą cis trochę tylko podrósł przez minione trzy lata.

Robert nagle zrozumiał, co musi zrobić. Spiesznie wrócił do obozowiska. Zaciągnął swego mistrza na kamienisty brzeg Tamizy, gdzie wyszukali niezbyt wielki szary gładki o płaskiej powierzchni wygładzonej przez lata falami pływów. Incitatus pomógł go wyciągnąć z rzeki. Rob miał zamiar sam wyryć napis, lecz balwierz mu to wyperswadował.

– I tak za długo tu siedzimy – orzekł. – Kamieniarz robi to szybciej i lepiej. Pokryję koszty; oddasz mi, jak skończysz termin i zaczniesz sam zarabiać.

Pozostali więc w mieście jeszcze tylko do chwili, gdy wszystkie trzy imiona zostały wyryte w kamieniu, ten zaś stanął na cmentarzu pod cisem. Balwierz klepnął Roba w ramię mięsistą dłońią i stwierdził rzeczowo:

– Jesteśmy ludźmi drogi. Dotrzemy wszędzie, gdzie zechcesz szukać tamtych trojga.

Rozłożył swoją mapę, wskazując sześć głównych dróg wychodzących z Londynu: na północny wschód do Colchesteru, na północ do Lincoln i Yorku, na północny zachód do Shrewsbury i dalej Walii, na zachód do Silchesteru, Winchesteru i Salisbury, na południowy wschód do Rochborough, Dover i Lyme, na południe zaś do Chichesteru.

– Mówiłeś, że wasza sąsiadka, ta wdowa, zamieszkała u brata w Ramsey. – Dziobnął palcem w środek Anglii. – Pewnie będzie pamiętać nazwisko mamki, której oddano malca. Odszukasz go, kiedy wrócimy do Londynu. A tu niżej jest Salisbury, gdzie rodzina

Herewiga zabrała twoją siostrę. – Zmarszczył brwi. – Szkoda, że o tym nie wiedziałeś, kiedyśmy tam byli na jarmarku.

Rob poczuł chłodny dreszcz na myśl, że mógł minąć się w tłumie z rodzoną siostrą nie poznając jej.

– Nic nie szkodzi – rzekł balwierz. – Odwiedzimy Salisbury wracając jesienią do Exmouth.

– A w północnych hrabstwach – ożywił się Robert – będę wypytywał księży i zakonników o ojca Renalda; tego, który zabrał Willa.

Nazajutrz wcześniej rano wyjechali z Londynu szerokim gościńcem wiodącym na północ do Lincoln. Oddaliwszy się nareszcie od ludzkich siedzib przesiąkniętych odorem zbyt wielu stłoczonych razem ciał, zatrzymali się nad szemrzącym strumieniem, gdzie spożyli wyjątkowo sute śniadanie. Obaj byli zgodni co do tego, że miasto nie jest najlepszym miejscem, aby rozkoszować się powietrzem i słońcem danym ludziom przez Boga.

14

Nauki

Któregoś dnia w początku czerwca wylegiwali się nad rzeczką nieopodal Chipping Norton, obserwując obłoki przez zasłonę listowia i czekając, aż pstrągi zaczną brać. Jednakże wsparte na widełkach z gałęzi dwa wierzbowe kije nawet nie drgnęły.

– Już za późno, żeby brały na robaki – mruknął beztrosko balwierz. – Za tydzień lub dwa pojawią się polne koniki. Wtedy połowimy.

– Po czym robak samiec odróżnia samicę? – zastanawiał się Rob.

Balwierz z uśmiechem otworzył jedno oko.

– Po ciemku nie da rady. Są tak samo do siebie podobne jak niewiasty.

– Niewiasty się różnią – zaprotestował chłopak. – Nawet w nocy można je rozpoznać po zapachu, smaku lub dotyku.

Balwierz westchnął.

– I to jest dziw nad dziwy, którym mamia chłopów.

Robert dźwignął się i poszedł do wozu. Wrócił z kawałkiem gładkiej sosnowej deski, na której wyrysował dziewczęcą twarz inkaustem sporządzonym z sadzy. Kucnął przy balwierz, by mu ją pokazać.

– Poznajesz, mistrzu?

Balwierz zerknął na rysunek.

– To ta mała z Saint Ives, którą poznaliśmy w zeszłym tygodniu.

Rob zadowolony przyjrzał się portretowi.

– Tylko po co jej namalowałeś to brzydkie znamię na policzku?

– Bo je miała.

– Pamiętam. – Balwierz niecierpliwie skinął głową. – Ale piórem i inkaustem można upiększać ludzi. Czemużby nie mieli się widzieć urodziwi, niż ich widzi świat?

Rob zmarszczył brwi, nie wiedząc czemu zatroskany. Ponownie spojrzął na rysunek.

– Tak czy owak zrobiłem tę podobiznę już po wyjeździe. Ona jej nie oglądała.

– Ale mogła. Gdybyś to rysował w jej obecności... – Balwierz ocknął się do reszty i usiadł raptownie. – Chyba nadszedł czas, by przekuć twój talent w brzęczącą monetę.

Nazajutrz napatoczył im się trac. Chcieli, żeby im pociął sosnowy pień na cienkie plastry, te wszakże okazały się do niczego. Powierzchnia rzazu była zbyt szorstka, żeby na niej rysować. Gładka

twarda buczyna znacznie lepiej nadawała się do tego celu. Zaopatrzywszy się w spory zapas deszczułek, pojechali dalej.

Tegoż dnia po przedstawieniu balwierz obwieścił, że jego pomocnik wyrysuje podobizny pół tuzina mieszkańców Chipping Norton, i to za darmo. Omal go nie stratowali. Otoczyli go wkoło, przyglądając się z zaciekawieniem, jak miesza inkaust. Mając już wszakże doświadczenie w publicznych występach, chłopiec bynajmniej się nie spieszył. Sportretował kolejno na drewnianych krążkach sześć twarzy – starej kobiety, dwóch chłopców, dwóch dziewczyn służebnych pachnących oborą oraz mężczyzny z brodawką na nosie.

Staruszka miała głęboko wpadnięte oczy i bezzębne usta w gęstej siateczce zmarszczek. Jeden z młodzieńców, pulchny i pyzaty, wyglądał jak dynia z oczyma i nosem i tak też wyszedł na rysunku. Drugi, chudy i ciemnowłosy, patrzył na wszystkich wilkiem, lecz Robowi nie udało się tego uchwycić. Dwie dziewczyny, siostry, były tak do siebie podobne, że trzeba by iście mistrza, ażeby w pełni oddał różnice między nimi. W efekcie portrety wyszły identyczne, obdarowane śmiało mogłyby się nimi zamienić. Dopiero ostatni rysunek naprawdę się Robowi udał. Mężczyzna był już w podeszłym wieku; oczy i niemal każdy rys jego twarzy tchnęły melancholią. Zgoła bezwiednie Rob uchwycił ten smutek.

Bez wahania narysował też brodawkę na nosie. Balwierz nie narzekał, skoro wszyscy sportretowani byli zadowoleni. Gapie także nie ustawiali w okrzykach zachwytu.

– Kto kupi sześć flaszeczek driakwi, dostanie taką samą podobiznę, i to za darmo, dobrzy ludzie! – zakrzyknął balwierz, unosząc w górę swój cudowny lek i zachwalając go tak jak zwykle.

Wkrótce przed Robem, który pilnie rysował, ustawił się ogonek chętnych. Drugi, jeszcze dłuższy, stał przed ławą, z której balwierz

sprzedawał driakiew.

Odkąd król Kanut zezwolił na polowania w angielskich lasach, na rzeźniczych straganach zaczęła się pojawiać dziczyzna. Balwierz kupił na targu w Aldreth wielki kawał mięsiwa, natarł go dzikim czosnkiem, głęboko ponacinał i naszpikował skwarkami zmieszany z cebulą, hojnie natłuścił masłem, a potem piekł, polewając je ciemnym piwem zmieszany z miodem i gorczycą.

Rob jadł z apetytem, lecz większość pieczeni zniknęła w brzuchu balwierza wraz z górą tłuczonej rzepy i bochnem świeżego chleba.

– A może by jeszcze kąsek, żeby nie opaść z sił? – zaśmiał się.

Odkąd Robert go poznał, znacznie przybrał na wadze, chyba ze sześć kamieni. Wał tłuszczu piętrzył mu się na karku, przedramiona miał krągłe jak szynki, a brzuch kołysał się przed nim niczym pojemny żagiel przy stałym wietrze. Pragnienie zaś miał równie wielkie jak apetyt.

Dwa dni po wyjeździe z Aldreth przybyli do wioski Ramsey. Najpierw weszli do karczmy. Balwierz zaskarbił sobie uwagę karczmarza, wychylając duszkiem dwa spore dzbany piwa, następnie zaś czknął gromko i przystąpił do rzeczy.

– Szukamy pewnej niewiasty. Wdowy po Lanningu cieśli.

Karczmarz wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Przed czterema laty przyjechała tu do brata, nie znam jego imienia.

– Rusz głową, proszę, toż to mała miejscowość! – Balwierz zamówił następne piwo, żeby zachęcić karczmarza. Ten jednak spozierał na niego tępo.

– Oswald – podszeptała jego żona podając dzbanek.

– Ano prawda – ocknął się karczmarz i wrzucił podaną mu monetę do kaletki. – To będzie siostra kowala.

Kowal Oswald miał posturę balwierza, ale jego ciało składało się z samych mięśni. Wysłuchał ich ściągając brwi i odparł niechętnie:

– Owszem, wziąłem ją do siebie, w końcu to siostra. – Chwycił za cęgi i pchnął czerwony jak wiśnia pręt głębiej pomiędzy rozżarzone węgle. – Moja żona także przyjęła ją życzliwie, ale nie było między nimi zgody. Karmiliśmy nieroba przez pół roku, potem sobie poszła.

– Dokąd? – spytał Rob.

– Do Bath.

– I co tam robi?

– To samo co tu, zanim żeśmy się jej pozbyli – mruknął kowal. – Skumała się z jednym takim szcurem.

– W Londynie przez wiele lat uchodziła za przyzwoitą niewiastę – bąknął Rob raczej z obowiązku, bo nigdy nie lubił Lanningowej.

– No cóż, młodzieńcze, moja siostra Adela to wywłoka, która woli się puszczać, niż pracować na chleb. Szukaj między ladacznicami, a pewnie ją znajdziesz. – Oswald wyciągnął z paleniska rozżarzony już do białości pręt i zakończył rozmowę waląc weń młotem, aż wściekły deszcz iskier wypadł za nimi na uliczkę.

Przez tydzień posuwali się wzdłuż wybrzeża w ulewnym deszczu. Wreszcie któregoś ranka wygramolili się spomiędzy wilgotnych skór pod wozem i ujrzeli dzień tak pogodny i piękny, że zapomnieli o wszystkich swoich troskach, szczęśliwi, że mogą ruszyć, dokąd ich oczy poniosą.

– Dalejże w świat tak niewinny! – zawołał balwierz.

Rob bez trudu wczuł się w jego nastrój, bo choć dręczyła go tęsknota za rodzeństwem, dziś cieszył się życiem, zdrowiem i młodością.

Ruszyli pohukując na saskim rogu i wyśpiewując na przemian to nabożne, to znów sprośne piosnki, które jeszcze donośniej głośiły

ich obecność. Droga biegła przez las; czasem grzało ich słońko, to znów mile chłodził cień listowia.

– Czegóż można chcieć więcej? – powtarzał rozradowany balwierz.

– Broni – odpowiedział za którymś razem Rob.

Uśmiech balwierza przygasł.

– Nie kupię ci broni – uciął.

– Niekoniecznie miecz, ale zdałby mi się choćby porządny nóż, gdyby ktoś na nas napadł.

– Każdy rabuś zastanowi się dwa razy, nim zaczepi dwóch tak rosnących chłopów – rzekł sucho balwierz.

– I o to właśnie chodzi. Mój wzrost zwraca uwagę. W byle gospodzie ci niżsi mężczyźni patrzą na mnie i myślą: „Nawet taki osiłek da się zatrzymać sztychem”. Ręce same im szukają broni.

– Ale potem widzą, że ty jej nie masz, i pojmują, że choć wielki, szczeniak z ciebie, nie brytan. Czują się jak głupcy i dają ci spokój. Z mieczem przy boku nie przeżyłbyś dwóch tygodni.

Jechali dalej w milczeniu.

Po wiekach najazdów każdy mieszkaniec wyspy czuł się wojownikiem. Tylko niewolnikom prawo zabraniało noszenia broni. Co prawda młodych rzemieślników rzadko było stać na własny miecz, ale ostrze u pasa, podobnie jak długie włosy, oznaczało, że noszący je mężczyzna jest człowiekiem wolnym.

Balwierz westchnął ze znużeniem, przyznając w duchu, iż nawet karzeł z nożem łatwo może zabić bezbronnego olbrzyma.

– Musisz umieć się obchodzić z bronią, zanim zaczniesz ją nosić – orzekł po namyśle. – Zaniedbałem to; od dziś zacznę cię uczyć.

– Dzięki, panie! – rozpromienił się chłopak.

Przy następnym postoju stanęli naprzeciw siebie na polanie i balwierz dobył z pochwy długi ostry nóż.

– Najpierw naucz się go trzymać. Nie tak, bo tak trzyma dziecko, kiedy dziobie mrówki. Połóż nóż na otwartej dłoni, jakbyś chciał go podrzucić. Czterema palcami obejmujesz rękojeść. Kciuk idzie wzdłuż ostrza albo nakrywa palce, zależnie od ciosu. Najtrudniej odparować pchnięcie zadane od dołu. W czasie walki lekko uginasz kolana. Balansujesz na nogach, gotów w razie potrzeby skoczyć w przód albo w tył. W tył, żeby się uchylić przed ciosem napastnika. A w przód, żeby zabić. Stając do walki musisz być świadom, że nie wyjdiesz z niej z czystymi rękami. Ten nóż wykuto z równie dobrego kruszcu jak ostrze chirurga. Biorąc do ręki czy jedno, czy drugie, tnij, jakby zależało od tego twoje życie, bo zwykle tak właśnie jest.

Wsunął sztylet do pochwy i wręczył Robertowi swój miecz. Chłopak uniósł go przed sobą.

– *Romanus sum* – wyszeptał.

Balwierz się uśmiechnął.

– Nie, nie jesteś. Rzymski *gladius* także był obosieczny, ale krótszy i ostrzej zakończony. Rzymianie lubili walczyć w zwarciu i często stosowali pchnięcia. Nasza broń jest dłuższa i cięższa, trzyma wroga na dystans. Pozwala rąbać ludzi niczym drzewa.

Zabrał mu miecz i odsunął się na bezpieczną odległość. Szeroka głownia błysnęła w słońcu, kreśląc zamaszyste mordercze kręgi. Po kilku takich rundach przystanął zdyszany, wspierając się na mieczu.

– Spróbuj.

Łatwość, z jaką uczeń podniósł jedną ręką długi ciężki miecz, sprawiła mu mierną satysfakcję. To broń ludzi silnych, pomyślał z zazdrością, znacznie skuteczniejsza, gdy włada nią zwinny młodzian.

Naśladowując mistrza, Rob zamachnął się mieczem, robiąc krok do przodu. Ostrze ze świstem przecięło powietrze, a z gardła wydarł mu się mimowolny okrzyk. Balwierz patrzył z niepokojem, jak chłopak przedziera się przez zastępy niewidzialnych wrogów, zostawiając za sobą krwawe żniwo.

Następną lekcję Rob odebrał kilka dni później w zatłoczonej karczynie w Fulfordzie. Spotkały się w niej dwa orszaki kupieckie: angielski zmierzał na północ, duński na południe. Obie grupy zatrzymały się na noc w miasteczku. Mężczyźni pili na umór, popatrując na siebie wrogo jak dwa stada rozżartych psów. Rob siedział w kącie z balwierzem, popijając jabłecznik. Nie czuli się zagrożeni. Mieli dosyć rozumu, by w podobnych sytuacjach trzymać się na uboczu.

Jeden z Duńczyków wyszedł na dwór za potrzebą; wrócił taszcząc pod pachą kwiczącego prosiaka i kawał powroza. Uwiązał na nim prosię do słupa pośrodku izby. Potem podszedł do stołu i grzmotnął dzbankiem w blat.

– Jest tam choć jeden godny miana mężczyzny, który zmierzy się ze mną w kłuciu świni? – zawołał w kierunku rywali.

– Śmiało! – krzyknął zachęcająco któryś z jego towarzyszy waląc w stół własnym kubkiem. Natychmiast przyłączyli się następni.

Anglicy z ponurymi minami znosili przez chwilę łoskot i obelgi, wreszcie jeden z nich wyszedł na środek i skinął głową. Kilku co ostrożniejszych gości szybko opróżniło kufle i wymknęło się z gospody. Rob już się podnosił, by jak zwykle wyjść, zanim zacznie się zwada, lecz ku jego zdumieniu balwierz przytrzymał go za ramię.

– Dwa pensy na Dunstana! – padł okrzyk z angielskiej grupy i obie co prędzej jęły robić zakłady.

Szanse były wyrównane. Obaj przeciwnicy mieli po dwadzieścia parę lat; Duńczyk był nieco niższy i masywniejszy, Anglik zaś miał

dłuższe ręce. Na oczy założono im opaski, a następnie obu przywiązano za nogę do słupa długim powrozem z dwóch przeciwnych stron.

– Czekaj! – zawołał ten zwany Dunstanem. – Dajcie jeszcze łyka!

Wychylili po kubku miodu, a następnie dobyli długich bojowych noży. Zwierzę, trzymane dotąd w środku pod słupem, wypuszczono teraz na podłogę karczmy. Rzuciło się do ucieczki, lecz zatrzymał je powróż. Gwałtownie skręciło w lewo.

– Na ciebie leci, Dunstan! – ktoś krzyknął.

Anglik odwrócił się, lecz tupot racizek utonął w hałasie i prosiak go minął, zanim zdążył uderzyć.

– Teraz, Hvit! – zawołał z kolei któryś spośród Duńczyków.

Przeżalone zwierzę wpadło prosto na drugiego zawodnika, który dźgnął je trzykrotnie, nie próbując chwycić, i z rozpaczliwym kwikiem rzuciło się z powrotem. Hvit szedł za głosem, podobnie Dunstan, toteż w końcu się spotkali. Mierząc w prosię, Duńczyk chlasnął przeciwnika w ramię. Ten jęknął i wykrztusił:

– Śmierdzący bękart z Północy! – Wściekle zamachnął się nożem, lecz nie trafił ani prosięcia, ani człowieka.

Świniak przebiegł pod nogami Hvita. Duńczyk zdążył chwycić sznur i przyciągnął zwierzę wprost pod nóż. Pierwszy cios rozdarł prawą przednią nogę i prosiak wydał z siebie przeraźliwy wrzask.

– Już jest twój, Hvit!

– Kończ z nim, zjemy go jutro!

Kwiczące głośno zwierzę było znakomitym celem również dla Dunstana. Rozjuszony Anglik skoczył ku niemu. Nóż jednak osunął się po gładkim boku prosięcia i z młaśnięciem wszedł aż po rękajeść w brzuch Hvita. Duńczyk cicho stęknął i szarpnął się w tył, rozdzierając ranę.

W gospodzie zaległa cisza. Słyszeć było tylko żałosne pokwikiwanie rannego prosiaka.

– Koniec zabawy, Dunstan. Odłóż nóż – rozkazał któryś z Anglików. Pozostali bez słowa odcięli powróż, zdjęli Dunstanowi opaskę z oczu i wyprowadzili go pospiesznie, zanim tamci się ockną lub ktoś wezwie ludzi szeryfa.

Balwierz westchnął:

– Chodź. Teraz już tylko my możemy mu jeszcze pomóc.

Widać było jednak, że niewiele mogą dla niego zrobić. Hvit leżał na wznak jak przetrącony, oczy miał rozszerzone, twarz szarą jak popiół. Z rozplatanego brzucha wychylały się jelita. Balwierz pociągnął Roba za rękę zmuszając go, by przykucnął.

– Popatrz na to – rzekł twardo.

Widoczne były kolejne warstwy powłoki brzusznej: ogorzała skóra, blada mięśniówka i cienka śluzowata wyściółka. Trzewia miały różowawy kolor farbowanych na Wielkanoc jajek, a skąpane były w jaskrawoczerwonej krwi.

– To dziwne, że patroszony człowiek śmierdzi gorzej niż zwierzę – stwierdził balwierz.

Z rozciętego jelita wylewał się kał. Hvit szeptał coś słabo po duńsku, może się modlił. Robem targnęły torsje, ale balwierz przytrzymał go przy leżącym jak ktoś, kto nurza nos szczeniaka w jego własnych odchodach. Ujął więc dłoń rannego. Ten człowiek był niczym dziurawy bukłak, z którego wyciekało życie. Rob przysiadł obok niego i trzymał go za rękę, dopóki nie zostało nic, a dusza Hvita zaszeleściła jak uschły liść i uleciała.

Nadal ćwiczyli walkę nożem i mieczem, Rob jednak stracił wiele ze swego zapału. Poruszał się ostrożniej, z większym namysłem. Często także zastanawiał się nad swoim darem, podpatrywał balwierza i uważnie słuchał jego nauk. Kiedy poznał objawy

większości chorób, zaczął sam ze sobą zabawiać się odgadywaniem, co komu dolega.

W nortumbryjskiej wiosce Richmond stanął do nich w kolejce wychudzony mężczyzna o zaropiałych oczach, dręczony bolesnym kaszlem.

– No, co tam mamy? – zagadnął go balwierz.

– Pewnie suchoty.

Mistrz uśmiechnął się z aprobatą. Gdy jednak Rob wziął kaszłącego mężczyznę za rękę, wprowadzając go za parawan, poczuł, że chory jest zbyt silny na suchotnika. To nie było dotknięcie śmierci, a zwykłe przeziębienie, które wkrótce przejdzie. Nie widział powodu, aby dyskutować na ten temat z mistrzem, ale ów przypadek uświadomił mu, że jego dar może być pomocny nie tylko przy przewidywaniu bliskiego zgonu, lecz także określaniu rodzaju choroby. Mógł pomagać tym, którym dane jeszcze było trochę pożyć.

Incitatus powoli ciągnął czerwony wóz na północ. Odwiedzali kolejne wioski, czasami tak małe, że nie miały nawet nazwy. Ilekroć natrafili na kościół lub klasztor, balwierz cierpliwie czekał w wozie, Robert zaś wypytywał o ojca Renalda i chłopca imieniem Wilhelm. Nikt wszakże o nich nie słyszał.

Między Carlisle a Newcastle nad rzeką Tyne Rob wdrapał się na kamienny mur wzniesiony dziewięćset lat wcześniej przez kohorty Hadriana dla obrony Brytanii przed zagonami Szkotów. Patrząc na Nortumbrię, będącą już przedpolem Szkocji, powiedział sobie jasno, że największe szanse znalezienia kogoś z bliskich będzie miał w Salisbury, dokąd piekarz Herewig zabrał jego siostrę.

Starszy cechu piekarzy w mieście Salisbury załatwił się z nimi krótko.

– Nie znam takiego – oznajmił mierząc ich spojrzeniem wyłupiastych żabich oczu. Z postury też przypominał żabę, drobniejszy od balwierza, lecz dostatecznie tęgi, aby dobrze świadczyć o własnych wypiekach.

– Może zajrzałybyś, panie, do rejestru?

– Trwa jarmark! Nie ma na to czasu. Przyjdźcie później.

Przez cały czas trwania jarmarku Robert niewiele serca wkładał w żonglerkę, rysowanie i leczenie pacjentów. Bez przerwy wypatrywał wśród tłumu znajomej twarzy, chociaż trochę podobnej do tamtej dziewczynki, jaką trzy lata temu była Marian.

Nie zobaczył jej.

Nazajutrz po zakończeniu jarmarku jeszcze raz poszedł do cechu piekarzy. Budynek był schludny i miły dla oka. Mimo zdenerwowania zastanowiło go, dlaczego tak jest, że domy innych cechów są zawsze solidniejsze niż siedziby cieśli, którzy je stawiają.

– A, oto i młody balwierz. – Żabiooki przywitał go znacznie uprzejmiej, skłonny poświęcić mu nieco więcej czasu. Przejrzawszy dokładnie dwa grube rejestry, pokręcił głową. – Nigdy nie było tu piekarza o imieniu Herewig.

– Przybył z Londynu – tłumaczył Rob – z żoną i małą dziewczynką, moją siostrą Marian.

– Nietrudno zgadnąć, co zaszło. Osiedlili się gdzieś po drodze. Dobrego piekarza wszędzie mile powitają.

– Istotnie. Tak mogło być. – Robert podziękował i wrócił do wozu.

Balwierz także zmarkotniał, lecz starał się dodać mu otuchy:

– Nie wolno ci tracić nadziei. W końcu ich znajdziesz, zobaczysz.

Rob miał jednak wrażenie, że żywych i zmarłych pospołu pochłonęła ziemia. Ta wątła nadzieja, którą dotąd piastował, wydała mu się teraz dziecinnie naiwna. Nie miał już rodziny

i musiał się z tym pogodzić. Czuł chłodny ucisk w sercu. Uświadomił sobie, że cokolwiek go czeka, będzie musiał się z tym zmierzyć sam.

15

Czeladnik

Parę miesięcy przed końcem terminu Roba siedli razem w eketerskiej karczmie nad dzbankiem ciemnego piwa i ostrożnie poczęli negocjować jego przyszłe wynagrodzenie. Balwierz pił w milczeniu, jakby zamyślony, i w końcu wymienił dosyć skromną sumę.

– Do tego nowe odzienie – dodał w udawanym przypiływie hojności.

Robert nie na darmo przeżył z nim sześć lat. Niezdecydowanie wzruszył ramionami.

– Ciągnie mnie z powrotem do Londynu – oświadczył napełniając ponownie kubki.

Balwierz kiwnął głową i przyjrzał mu się bacznie.

– Nowy przydziewek co dwa lata, czy ci będzie potrzebny, czy nie – dorzucił.

Zamówili pasztet z królika na wieczerzę. Rob zjadł go ze smakiem, Balwierz natomiast odsunął miskę i napadł na szynkarza:

– Mało tego, że skąpisz mięsa, to jeszcze jest twarde i nieprzyprawione! – fuknął ze złością. Potem zerknął na Roba i mruknął: – No, coś tam niecoś mógłbym dorzucić.

– Istotnie, kiepsko przyprawione – przyznał Rob. – Tobie się to nie zdarza, mistrzu. Nikt nie umie tak dobrze przyrządzać dziczyzny.

– To ile mam ci płacić? Zważ, że masz dopiero szesnaście lat.

– Nie chcę stałej zapłaty.

– Nie? – Balwierz przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Nie. Zarabiamy na driakwi i leczeniu chorych. Chciałbym dostawać zysk z co dwunastej flaszki i co dwunastego pacjenta.

– Co dwudziesta flaszka i co dwudziesty pacjent.

Chłopak zawahał się tylko na chwilę, potem skinął głową.

– Niech tak będzie przez rok. Po roku możemy ustalić nowe warunki.

– Zgoda.

– Zgoda – potwierdził spokojnie Robert.

Unieśli kubki.

– Za umowę – uśmiechnął się balwierz.

– Za umowę – odpowiedział z uśmiechem jego nowy czeladnik.

Balwierz podszedł poważnie do swoich zobowiązań. Przejeżdżając przez Northampton słynące z dobrych rzemieślników, wstąpił do stolarza, który zrobił dla nich drugi parawan. Nazajutrz w Huntington ustawił go nieopodal swojego.

– Czas, żebyś stanął na własnych nogach – rzekł do Roba.

Po skończonym przedstawieniu i wyrysowaniu pół tuzina portretów Robert usadowił się za parawanem. Czekał z niepokojem. A jeśli pierwszy pacjent parsknie śmiechem na jego widok? Albo obróci się na pięcie i pójdzie do jego mistrza?

Jak się okazało, pierwszy pacjent się nie śmiał. Skrzywił się i syknął, kiedy Rob wziął go za rękę. Krowa nastąpiła mu na nadgarstek.

– Przewróciła skopek, stare głupie bydlę. A gdy chciałem go podnieść, wlała mi na rękę, przeklętnica.

Rob delikatnie obmacał staw i od razu zapomniał o swoich troskach. Ręka była sina i obolała. Wyczuł palcami złamanie ważnej kostki łączącej kciuk z nadgarstkiem. Starannie, bez pośpiechu unieruchomił dłoń i założył ją na temblak.

Dopiero następna chora, koścista niewiasta o surowym spojzeniu, potwierdziła, że jego lęki nie były bezzasadne.

– Straciłam słuch – oznajmiła.

Zajrzał jej do uszu; nie były zatkane woskowiną. Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby w tym przypadku zrobić.

– Nie mogę ci pomóc – powiedział z żalem.

Przekrzywiła wyczekująco głowę.

– Nie mogę pomóc!!! – krzyknął.

– To spytaj tego drugiego.

– On też nie poradzi!!!

Twarz kobiety nabiegła krwią.

– A idźże do diabła! Sama go zapytam!

Furknęła spódnicami i wyszła. Zza parawanu dobiegł gromki śmiech balwiera i chichoty czekających chorych.

Opadł na zydel czując, że policzki płoną mu ze wstydu. Wtedy wszedł niewiele od niego starszy chłopak. Rob omal nie jęknął widząc wskazujący palec jego lewej ręki objęty daleko posuniętą zgorzelą.

– Brzydko to wygląda – mruknął.

Młodzieniec miał białe plamy w kącikach ust, lecz zdobył się na uśmiech.

– Dwa tygodnie temu przygniotłem go rąbiąc drewno. Bolał, ale myślałem, że się dobrze goi. A potem...

Pierwszy staw był już czarny. Dalej zaognione ciało pokrywały duże cuchnące pęcherze, z których sączył się krwawy płyn.

– Leczyłeś to czymś?

– Sąsiad mi poradził, żeby przykładać mokry popiół zmieszany z gęsim łajnem. Uśmierza ból.

Rob pokiwał głową. Był to powszechnie stosowany środek.

– Zgorzel się rozszerza – rzekł, patrząc z powagą na pacjenta. – Jeśli jej pozwolić, obejmie całą dłoń, a potem ramię. Umrzesz, zanim jeszcze dojdzie do tułowia. Trzeba odjąć ten palec.

Chłopak dzielnie skinął głową. Rob dał upust wzbierającemu w nim westchnieniu. Musi się jeszcze upewnić. Odcięcie któregoś z członków to rzecz nieodwracalna; dłoń już nigdy nie będzie w pełni sprawna, a ten młody człowiek musi przecież zarabiać na życie.

Poszedł po balwierza. Ten mrugnął doń wesoło.

– Co jest?

– Chciałbym, żebyś rzucił na to okiem, mistrzu – rzekł Robert i wrócił za swój parawan. Grubas nieco wolniej podążył za nim. – Powiedziałem mu, że trzeba odciąć.

– Trzeba. – Balwierz już się nie uśmiechał. – Słuszna decyzja. Mam ci pomóc, kamracie?

Rob potrząsnął głową. Napoił pacjenta trzema flaszками driakwi i starannie przygotował wszystko do zabiegu, żeby potem nie szukać i nie wołać o pomoc. Ułożył obok siebie dwa ostre noże, igłę i woskowaną nić, deseczkę, szarpie do opatrzenia rany i małą ostrą piłkę. Ramię chłopaka przywiązał do deski wnętrzem dłoni do góry.

– Zaciśnij zdrowe palce w pięść – polecił. Przykrępował je mocno bandażem, żeby mu nie zawadzały. Następnie przywołał trzech silnych mężczyzn spośród gapiów. Dwóm kazał trzymać chorego, trzeciemu deskę.

Wiele razy był świadkiem, jak robił to balwierz. Dwukrotnie już sam dokonał amputacji pod nadzorem mistrza. Teraz jednak cała odpowiedzialność spoczywała na nim. Trzeba było ciąć dostatecznie daleko, żeby zgorzel się nie rozszerzyła – a zarazem jak najmniej

okaleczyć pacjenta. Wziął nóż i pociągnął nim po zdrowym ciele. Chory wrzasnął, próbując zerwać się z zydła.

– Trzymajcie go mocno. – Okroił palec dookoła i przerwał na chwilę, by osuszyć krew gałgankiem, zanim natnie wzdłuż z dwóch stron i starannie odwinie dwa płaty skóry w stronę nasady.

Jeden z jego pomocników puścił deskę i zaczął wymiotować.

– Teraz ty chwyć deskę – polecił Rob drugiemu. Do trzymania chorego wystarczył jeden, bo chłopak zemdłał.

Kość cięto się łatwo, zgrzyt piłki brzmiał krzepiąco. Odjąwszy chorą część, Robert dokładnie przyciął płaty skóry i uformował zgrabny kikut, jak go nauczono – nie za ciasno, by nie sprawiał bólu, nie za luźno, aby nie wynikły żadne komplikacje. Potem wziął igłę z nicią i drobnym ciasnym ścięciem starannie zszył ranę. Polał ją driakwią, spłukując krwawy wysięk, a następnie pomógł przenieść jęczącego chłopaka na bok, aby doszedł do siebie w cieniu pod drzewem.

Potem szybko i sprawnie nastawił zwichniętą kostkę, opatrzył głęboką ranę od sierpa w rączce dziecka, sprzedał sześć flaszek leku podagrykowi, a trzy – wdowie cierpiącej na bóle głowy. Zaczynał już czuć się bez mała wszechmocny, gdy za parawan weszła śmiertelnie chora kobieta.

Nie miał wątpliwości. Była wychudzona, woskowo blada, twarz miała zroszoną potem. Dotknięcie ręki potwierdziło wyrok i Rob musiał się przemóc, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Nie chce mi się jeść – mówiła – a choć się i zmuszam, to na nic. Czego nie zwrócę, przelatuje przeze mnie i wychodzi krwawym stolcem.

Dotknął dłonią jej zapadniętego brzucha i wyczuł twardy guz. Położył na nim jej rękę.

– To rak.

– A cóż to takiego?

– Guz, który rośnie żywiąc się zdrowym ciałem. Jest ich tu więcej, czujesz?

– Strasznie boli. Nie ma na to lekarstwa? – zapytała spokojnie.

Był poruszony odwagą tej niewiasty i nie chciał jej okłamywać, nawet z litości. Pokręcił głową. Wiedział od balwierza, że wielu ludzi cierpi na raka żołądka i każdy wkrótce umiera.

Kiedy wyszła, pożałował, że jednak nie został cieślą. Kątem oka dostrzegł na ziemi odcięty palec. Podniósł go, owinął w szmatkę i zaniósł leżącemu pod drzewem chłopakowi, który odzyskał już przytomność. Włożył zawiniątko do jego zdrowej dłoni. Chory spojrział na niego ze zdumieniem.

– Co mam z tym zrobić?

– Księża każą grzebać utracone części ciała w poświęconej ziemi, abyś w dniu Sądu Ostatecznego mógł cały powstać z martwych.

Młodzieniec zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym skinął głową.

– Dzięki, balwierz – powiedział.

W Rockingham od razu dostrzegł siwą głowę Wata, sprzedawcy maści. Siedzący obok na koźle balwierz prychnął z niezadowoleniem, pewien, że tamten zgarnął już wszelkie spodziewane zyski. Gdy jednak wymienili pozdrowienia, Wat ukoił ich obawy, mówiąc:

– Dziś nie żongluję. Mam inną atrakcję. Zapraszam was obu na szczucie niedźwiedzia.

Pokazał im wielkiego pokiereszowanego zwierza z mocnym żelaznym kółkiem w czarnym nosie.

– Jest chory; wkrótce sam by zdechł, a tak jeszcze nieźle na nim zarobię.

– Czy to ten sam Bartram, z którym się mocowałem? – spytał Rob głosem, który wydał mu się obcy.

– Bartram padł w walce już ze cztery lata temu. To samica, nazwałem ją Godiva – odparł Wat i z powrotem nakrył klatkę płachtą.

Po południu przyglądał się ich występom, a gdy zakończyli sprzedaż driakwi, za zgodą balwierza wlaź na ławę i ogłosił, że wieczorem szcuty będzie niedźwiedź w dole za garbarnią. Wstęp kosztuje pół pensa.

Zanim tam dotarli, zaczęło się zmierzchać, lecz arenę i otaczającą ją łąkę oświetlał tuzin smolnych pochodni. Wokół huczało od głośnych męskich śmiechów i sprośnych komentarzy. Szczwacze trzymali na krótkich powrozach trzy rwące się do walki psy w kagańcach: chudego pręgowanego mastifa i drugiego, mniejszego, o rudej sierści, oraz duńskiego psa gończego używanego do polowań na łosie.

Wat z dwoma pomocnikami wprowadził niedźwiedzicę. Na łbie miała kaptur, lecz zwęszyła psy i instynktownie zwróciła się przodem do nich. Pośrodku placu sterczał masywny słup, od którego u szczytu i nasady biegły grube rzemienie. Mężczyźni podprowadzili do niego zwierzę. Nadzorca areny uwiązał je do słupa za prawą tylną łapę.

Natychmiast podniosły się krzyki protestu.

– Za łeb ją uwiąż!

– Za kółko w chrapach, głupcze!

Nadzorca puścił wyzwiska mimo uszu, miał bowiem doświadczenie.

– Zwierz ma wyrwane pazury – oświadczył. – Chcecie oglądać walkę czy nudną jatkę? Niechże się broni zębami.

Wat zdjął kaptur ze łba Godivy i odskoczył.

Niedźwiedzica rozejrzała się w migotliwym świetle, małymi spłoszonymi oczkami mierząc ludzi i psy. Była już stara i niezbyt żwawa, toteż zakładów padło niewiele, dopóki stawka nie osiągnęła trzech do jednego na korzyść psów. Te, gdy je podprowadzono na skraj kręgu, prezentowały się znacznie lepiej i wyraźnie rwały do walki. Właściciele klepali je po karkach i drapali za uszami. Nareszcie zdjęto psom smycze i kagańce, ludzie zaś prędko cofnęli się poza obręb areny.

Pręgowany i rudy przypadły wpierw do ziemi wbijając wzrok w niedźwiedzica. Warcząc rzuciły się naprzód i zaraz odskoczyły poza zasięg potężnych łap, instynktownie obawiając się pazurów, których Godivę pozbawiono. Gończy miarowo okrążał zwierza, niedźwiedzica zaś oglądała się nerwowo, śledząc jego ruchy.

- Patrz na tego rudego! – krzyknął Wat w ucho Roba.
- Wygląda najmniej groźnie.
- Pochodzi z dobrej linii. Jego przodkowie walczyli z bykami.

Niedźwiedzica stanęła na tylnych łapach, grzbietem wsparta o słup. Mrugała niepewnie. Czuła zagrożenie ze strony psów, lecz występując od dawna po jarmarkach przywykła do więzów i gwaru. Trudno było ją rozwścieczyć. Zniecierpliwiony nadzorca walki chwycił włócznię i dźgnął ją w pomarszczone wymię, odcinając ciemny sutek. Niedźwiedzica zawyła z bólu.

Ośmielony, mastif skoczył. Mierzył w podbrzusze, ale niedźwiedzica się odwróciła i ostre kły psa rozdarły jej lewe udo. Z rykiem machnęła łapą. Gdyby za młodu nie wyrwano jej pazurów, wypatroszyłaby psa, lecz bezbronna łapa trzepnęła go tylko nieszkodliwie. Mastif wyczuł, że może się jej nie obawiać, wypluł odgryziony strzęp mięsa i zaatakował ponownie, rozjuszony już smakiem krwi. W tym samym czasie rudzielec skoczył Godivie

do gardła. Kły miał równie potężne jak pręgowany mastif; zwarł szczęki i zawisł u pyska niedźwiedzicy jak wielki dojrzały owoc.

Ostatni rzucił się do ataku duński gończy. Zabiegł niedźwiedzicę z lewej i wspiał się na grzbiet mastifa, żeby się do niej dostać. Jedno chłaśnięcie ostrych kłów pozbawiło Godivę lewego oka i ucha. Potrząsnęła zmasakrowanym łbem, roniąc wokół krwistoczerwone strzępy. Wczepiony w gardziel rudzielec wciąż ją dławił, zaczęła charczeć. Tymczasem mastif wgrzył się jej w brzuch.

– Kiepska walka! – krzyknął zawiedziony Wat. – Już ją mają.

Ale niedźwiedzica przygniotła mastifa potężną łapą. Głośne krzyki zagłuszyły trzask pękającego kręgosłupa. Konający pies odczołgał się i znieruchomiał. Tymczasem kły Godivy dosięgły duńczyka. Widownia ryknęła z zachwytem.

Gończy wyleciał poza krąg z rozdartym gardłem i już się nie podniósł. Teraz niedźwiedzica próbowała oderwać od siebie najmniejszego psa, którego rudą sierść znaczyły strugi posoki jej i gończego. On jednak nie miał zamiaru puścić; stanąwszy chwiejnie objęła go przednimi łapami w miażdżący uścisk. Zakleszczone szczęki rozwarły się dopiero wtedy, gdy pies wyzionął ducha. Bezwładne ciało uderzyło o słup i spadło w zdeptany piach jak otrząśnięty rzep.

Godiva opuściła się na cztery łapy, nie zwracając uwagi na martwe psy. Umęczona i drżąca zaczęła lizać swe poszarpane rany. Widownia przycichła; zapanował zwykły gwar, wygrane sumy przechodziły z rąk do rąk.

– E tam, tak szybko...! – sarknął jakiś mężczyzna obok Roba.

– Przeklęta bestia jeszcze żyje – zauważył inny. – Możemy się z nią zabawić.

Jakiś podchmielony młodzieniec podniósł włócznię i dźgnął niedźwiedzicę w odbyt. Gruchnął śmiech. Zwierzę obróciło się

z rykiem, lecz zatrzymał je ramię, którym było uwiązane.

– Ma jeszcze jedno oko! – wrzasnął ktoś z tyłu. – Wykłuj je!

Niedźwiedzica znów chwiejnie uniosła się na tylne łapy. Zdrowe oko łypnęło na nich wyzywająco, ale w jego spojrzeniu było także spokojne pogodzenie się z losem, które przywiodło Robertowi na myśl chorą na raka kobietę z Northampton. Pijany młodzik usiłował trafić w łeb zwierzęcia. Rob podbiegł i wyrwał mu włócznię z rąk.

– Co robisz, głupcze! – krzyknął balwierz rzucając się ku niemu.

– Dobra miśka – mruknął pieszczotliwie Rob. Opuścił włócznię i wbił ją głęboko w poranioną pierś Godivy. Z wykrzywionego cierpieniem pyska pociekła strużka krwi.

Hałas, jaki podniósł się wśród widowni, przypominał warczenie psów tuż przed atakiem.

– To przygłupek! – rzucił pospiesznie balwierz. – Zaraz się nim zajmę.

Rob bez oporu dał się wywlec na skraj łąki, poza krąg światła.

– Cóżes sobie za matoła wziął na pomocnika? – zapytał rozwścieczony Wat.

– Jako żywo, sam nie wiem. – Balwierz sapał jak miech.

Coś ciężko oddycha, pomyślał Rob.

Rozjuszonych widzów uspokoiła wieść, że będzie jeszcze szczuty silny borsuk. Po chwili znów słysząc było śmiechy. Słyszając, jak jego mistrz sumituje się przed Watem, Rob odszedł.

Siedział przy ognisku, oparty o wóz, kiedy balwierz przycłapał do obozowiska, otworzył flaszkę driakwi i wypił połowę. Potem ciężko opadł na swoje poślanie rozłożone już po drugiej stronie ognia i spojrzał na Roba ponuro.

– Ależ z ciebie kiep.

Rob tylko się uśmiechnął.

– Chwała Bogu, że zakłady były już rozstrzygnięte. Inaczej rozdarliby cię na strzępy i trudno byłoby mi ich za to winić.

Rob przesunął dłonią po mocno już wyliniałej niedźwiedziej skórze, na której sypiał. Niedługo trzeba będzie ją wyrzucić, pomyślał.

– Dobrej nocy, mistrzu – rzekł cicho.

16

Miecz

Balwierz nie sądził, by pomiędzy nim a Robem mogło dojść do waśni. Mając lat siedemnaście jego czeladnik był tak samo zgodny i pracowity jak ów dziewięcioletni chłopiec, którego zabrał z Londynu. Chociaż... targował się z nim jak wytrawna przekupka.

Pod koniec pierwszego roku zażądał dwunastej części zysku zamiast jak dotąd dwudziestej. Balwierz sarkał i zrzedził, lecz się zgodził. Chłopak wart był więcej.

Rob niewiele wydawał ze swoich zarobków, zbierał bowiem na miecz. Zimą w Exmouth jakiś poznany w gospodzie rolnik chciał mu sprzedać długi bojowy nóż.

– Co o tym sądzisz, mistrzu? – spytał Rob podając go balwierzowi.

– Jest lichy, pęknie przy pierwszej okazji. Pochwa ładna, nie powiem, niczym wszeteczna dziewczka, juści po to, by ukryć skazę.

Rob zwrócił tamtemu nóż.

Kiedy na wiosnę wyruszyli wzdłuż wybrzeża, wypytywał w każdym porcie o przybyszów z Hiszpanii, tam bowiem wyrabiano najlepsze stalowe klingi. Skręcili jednak w głąb lądu, zanim zdołał coś kupić.

Czerwiec zastał ich w Nortumbrii. Mimo pięknej pogody zaszło coś, co dotkliwie zwarzyło im nastrój: pewnego ranka obudziwszy

się w Blyth stwierdzili, że Incitatus leży sztywny i martwy. Rob przystanął nad nim, patrząc z żalem na czworonożnego druha. Balwierz klął długo i szpetnie, dając w ten sposób upust swym uczuciom.

– Może mu coś zaszkoziło? – bąknął Rob.

Balwierz wzruszył ramionami.

– Wczoraj nic mu nie dolegało. Chyba tylko starość. Nie był już młody, kiedy go kupiłem, a od tego czasu minęło wiele lat.

Nie chcieli zostawiać Tatusa na pastwę psów i kruków, Robert więc przez pół dnia kopał stosownie wielki dół. W tym czasie balwierz poszukiwał następcy. Trwało to jeszcze dłużej i drogo go kosztowało, lecz musieli mieć konia. Kupił w końcu kasztanowatą kobyłkę z białą strzałką na czole, trzyletnią, jeszcze nie całkiem wyrosniętą.

– Jej chyba nie nazwiemy Incitatusem? – spytał z powątpiewaniem.

Rob przecząco pokręcił głową. Ostatecznie klaczka została po prostu Klaczką. Stąpała zgrabnie, ale już pierwszego dnia zgubiła podkowę, wrócili więc do Blyth po nową.

Kowala już znali, na imię miał Durman. Zastali go przy opraciwaniu miecza, na którego widok oczy im zabłyśły.

– Ile chcesz za ten miecz? – zapytał bez wstępów Rob, łamiąc wszelkie zasady targowania się o cenę.

– Już sprzedany – zaśmiał się rzemieślnik.

Pozwolił im jednak na próbę pomachać mieczem, żeby sprawdzić, jak jest wyważony. Był to prosty szeroki miecz angielski, ostry i pięknie wykonany. Sam balwierz, gdyby był młodszy i głupszy, miałby ochotę podkupić go przyszłemu właścicielowi.

– A ile by kosztował dokładnie taki sam i jeszcze nóż do pary? – drążył Robert.

Kowal wymienił sumę przewyższającą jego roczny zarobek.

– Połowę musiałybyś zapłacić z góry – zastrzegł.

Rob bez słowa zawrócił do wozu po mieszek. Wytrząsnął jego zawartość na dłoń Durmana.

– Wrócimy tu w ciągu roku. Wtedy odbiorę miecz i dopłacę resztę – powiedział.

Kowal kiwnął głową.

– Będę na ciebie czekać.

Pomimo straty konia rok okazał się pomyślny. Pod koniec sezonu Rob zażądał jednej szóstej zysków. Tym razem balwierz się wściekł.

– Jedna szósta dochodu?! Dla nastoletniego czeladnika? Tyś chyba oszalał! – krzyczał.

Rob bez słowa przeczekał awanturę i więcej do tego nie wracał. W miarę jednak jak zbliżał się termin wygaśnięcia rocznego kontraktu, to balwierz był coraz bardziej zasepiony. Miał świadomość, w jakim stopniu zawdzięcza wciąż rosnące zyski swemu czeladnikowi. We wsi Sempringham usłyszał, jak jedna z chorych szepcze do kumoszki:

– Dobrze ci radzę, Edburgo, idź do tego młodego, powiadają, że leczy dotknięciem rąk.

Powiadają też, że wpiera ludziom driakiew, czy tego chcą, czy nie. I o to chodzi, pomyślał sarkastycznie balwierz. Nie złościło go, że do Roba pcha się więcej ludzi. Chłopak był dla niego żyłą złota.

– Jedna ósma – rzekł po chwili.

Pewnie z bólem serca zszedłby i do jednej szóstej, lecz ku jego uldze Rob kiwnął głową.

– Niech będzie jedna ósma.

Postać starucha zrodziła się w wyobraźni balwierza. Starając się wciąż bawić widzów czymś nowym, wymyślił starego rozpustnika,

który po wypiciu driakwi zaczyna się uganiać za spódniczkami.

– Ty go będziesz udawał – rzekł do Roba.

– Jestem za wysoki. I za młody.

– Nic nie szkodzi – upierał się balwierz. – Ja jestem taki gruby, że każdy mnie pozna już na pierwszy rzut oka.

Nazajutrz więc zaczęli przypatrywać się starcom. Przez dłuższy czas obserwowali ich wysilony chód, ubiór, podsłuchiwali rozmowy.

– Wyobraź sobie, jak się czuje człowiek stojący nad grobem – mówił balwierz. – Teraz staje ci na widok każdej baby i myślisz, że tak będzie zawsze. Ale kiedy się zestarzejesz, nie będziesz już zdolny do takich igraszek.

Poświęcili jedną czapkę, do której przytwierdzili zdobyte z wielkim trudem pasma siwych włosów. Zostało ich jeszcze dość na sztuczne wąsy. Ze zmarszczkami był kłopot, lecz udało im się sporządzić mazidło, po którym skóra wyglądała na suchą i zniszczoną długimi latami na słońcu i wietrze. Rob nauczył się garbić i utykać pociągając prawą nogą, a kiedy mówił, nadawał głosowi wyższy i drżący, jakby nieco spłoszony ton.

Odziany w burą wytartą szatę, po raz pierwszy wystąpił w Tadcasterze, gdzie balwierz ze szczególnym naciskiem zachwalał odmładzające właściwości driakwi. Kuśtykając z wysiłkiem, przydreptał do ławy i kupił flaszkę.

– Nie dość, że głupi, to jeszcze rozrzutny! – westchnął skrzypiącym starczym głosem. Z pewnym trudem odkorkował flaszeczkę i wypił jej zawartość na miejscu. Potem powolutku pocłapał z powrotem i stanął obok dziewczki z gospody, opłaconej wcześniej i pouczonej, co ma robić.

– Jakie ładne liczko – wymamrotał, a dziewczyna prędko odwróciła wzrok, jakby speszona. – Zrobisz coś dla starego, gołąbeczko?

– Jeśli zdołam...

– Pogłaskaj mnie po twarzy swoją miękką ciepłą rączką. Aaach...!

– westchnął, gdy nieśmiało spełniła jego prośbę, i przymknąwszy oczy ucałował jej dłoń.

W tłumie rozległy się chichoty. Po chwili oczy starucha otworzyły się szeroko.

– O święty Antoni! – stęknął. – Toż to dziw nad dziwy! – i co sił w nogach pokuśtykał z powrotem do ławy. – Balwierz! Dajże mi jeszcze jedną flaszkę.

Opróżnił kolejną i ruszył wprost ku dziewczynie. Odsunęła się zdziwiona, ale on postępował za nią krok w krok, mruczając namiętnie:

– Zobaczysz, jak ci usłużę, duszko... – resztę wyznań wyszeptał jej do ucha. Dziewczyna odskoczyła.

– Ech, panie, nie wstyd ci opowiadać takie bezceństwa? – Cofała się nadal, staruch szedł za nią, a widzowie zaśmiewali się do rozpuku.

Gdy po chwili odszedł, czule obejmując wtuloną w jego ramię dziewczkę, tłum ryczał i ocierając łzy uciechy już tłoczył się po driakiew.

*

Wkrótce przestali najmować dziewczki do występów, Rob bowiem nauczył się wykorzystywać niewiasty z tłumu. Trafnie wyczuwał, których lepiej nie tykać, bo są skłonne do obrazy, a którym, śmielszym, można prawić sprośności, a nawet klepnąć w tyłek.

Któregoś wieczoru w Lichfield poszedł w tym przebraniu do karczmy i już po chwili wszyscy goście zaśmiewali się do łez, słuchając opowieści o jego niegdysiejszych miłosnych podbojach.

– Żadnej żem nie przepuścił... Pamiętam taką jedną pulchną czarnulkę, cycuszki miała...! Że ręce same się brały doić. A futerko miękkie jak łabędzi puch! Brałem ją w komorze, a tuż za ścianą jej ojciec, kawał byka i do pięści skóry, dwakroć młodszy niż ja dziś, niczego nieświadom spał sobie jak dziecię.

– A ty ile miałeś wtedy lat, dziadku?

Robert ostrożnie wyprostował zreumatyzowane plecy.

– Ano, byłem ździebko młodszy – zaśmiał się suchym schrypniętym głosem.

Przez cały wieczór omamieni słuchacze na wypródki stawiali mu piwo, a później to balwierz prowadził swego czeladnika do obozu, zamiast jak dotąd sam się na nim wspierać.

Balwierz wyżywał się za to w kucharzeniu. Żonglował nożem i różnem, faszerował kapłony i kaczkę, w Worcesterze zaś, gdzie trafili na ubój pary wołów, kupił ozory.

To dopiero była wyżerka! Balwierz najpierw krótko obgotował ozory, potem obdarł je ze skóry, obsmażył z cebulą, dzikim czosnkiem i rzepą, polewając na przemian tymiankowym miodem i stopionym smalcem, aż z wierzchu pokryły się chrupiącym lukrem, a mięso tak zmiękło, że dosłownie rozpływało się w ustach.

Robert ledwie skosztował tego wykwintnego dania, wybierał się bowiem do nowej gospody w przebraniu starego błazna. Wszędzie, gdzie odgrywał tę komedię, ludzie stawiali mu trunki. W gruncie rzeczy najbardziej lubił piwo, ale gdy go częstowano, chętnie pijał także miód, piment i morat. Balwierz zaczynał się tym niepokoić. Obserwował czeladnika obawiając się, że pijaństwem narazi go na straty. Choćby jednak wieczorem Rob uchlał się jak świnia, nazajutrz podejmował swoje obowiązki jakby nigdy nic – z jednym małym wyjątkiem.

– Widzę, że nie bierzesz już chorych za ręce – zauważył kiedyś balwierz.

– Ty też tego nie robisz.

– Ja nie mam twojego daru.

– Dar! Zawsze twierdziłeś, mistrzu, że nie mam żadnego daru.

– Myślę jednak, że go masz – odparł balwierz. – A trunek go osłabia. Tracisz swój dar zapijając się w każdej karczmie.

– To było przywidzenie. Miałeś wówczas rację.

– Posłuchaj mnie uważnie, chłopcze. Niezależnie od tego, czy straciłeś swój dar, czy nie, masz brać za ręce każdego swego pacjenta, bo najwyraźniej to lubią. Jasne?

Robert posępnie skinął głową.

Nazajutrz rano na leśnym dukcie napotkali ptasznika. Niósł długi, rozszczepiony na końcu kij z pętlą. Chwytał nim ptaki na przynętę z kulek ciasta zmieszanego z ziarnem, a był w tym chyba bardzo zręczny, bo u pasa miał spory pęk białych siewek. Balwierz kupił je wszystkie. Siewki uchodziły za wielki przysmak i pieczono je nawet bez patroszenia, ale balwierz był smakoszem. Skrupulatnie oprawił każdego małego ptaszka i przyrządził tak znakomite śniadanie, że nawet Rob się rozchmurzył.

W Great Berkhamstead dali przedstawienie dla dużej widowni i sprzedali sporo driakwi. Wieczorem razem poszli do karczmy, żeby wypić na zgodę. Z początku w dobrych nastrojach pociągali gorzkawy od jagód morwy morat, ale trunek był mocny i wkrótce w oczach Roba pojawiły się zaczepne błyski. Patrząc na niego, balwierz zastanowił się przelotnie, czy on sam też tak czerwienieje od wypitki.

Nie trzeba było długo czekać, zanim Rob sprowokował jakiegoś krzepkiego drwala. Rzucili się na siebie jak opętani, jakby chcieli się rozszarpać na strzępy. Walka była wyrównana; znieczuleni moratem

przeciwnicy nie starali się unikać ciosów. Spleceni razem, okładali się zajadle pięściami, kolanami i stopami, a odgłosy uderzeń brzmiały zaiste tak, jakby ktoś rąbał pień dębu. W końcu, kiedy już obaj opadli z sił, odciągnięto ich w dwie różne strony. Balwierz wziął czeladnika pod ramię i wyprowadził go z karczmy.

– Pijany dureń! – syczał.

– I kto to mówi?

Trzęsąc się ze złości, balwierz usiadł i spojrzał na Roba.

– Prawda, że też nieraz głupieję od trunku – przyznał – ale nigdy nie szukam kłopotów. Nie sprzedaję trucizn, nie param się magią, nie rzucam uroków i nie wzywam czarta. Ot, kupuję miód w dużych ilościach i daję przedstawienia, na których mogę z zyskiem go rozprzedać. Ludzie wędrowni, jak my, nie powinni zwracać na siebie uwagi. Więc przestań się wygłupiać i panuj nad pięścią!

Przez chwilę patrzyli na siebie wściekle; w końcu Rob się ugiął i kiwnął głową. Odtąd, choć wydawałoby się, że wbrew woli, stosował się jednak do ostrzeżeń mistrza.

Posuwali się na południe, w ślad za kluczami ptaków ulatujących przed jesienią. Balwierz wolał ominąć jarmark salisburski, żeby nie rozjątrzać ran w duszy Roba. Starał się na próżno, bo choć zamiast w Salisbury zatrzymali się w Winchesterze, Rob i tak znów się upił. Wieczorem wrócił zataczając się do obozu z twarzą siną i opuchniętą po kolejnej burdzie.

– Mijaliśmy rano opactwo – rzekł cicho balwierz. – Sam powoziłeś. Mogłeś się zatrzymać i spytać o ojca Renalda.

– To na nic. Pytałem w tyłu miejscach. Nikt o nich nie słyszał.

Odtąd już nie wspominał o odszukaniu reszty rodzeństwa – Marian, Jona czy Rogera, którego pamiętał jako niemowlę.

Zrezygnował i teraz stara się zapomnieć, tłumaczył sobie balwierz usiłując go zrozumieć. Miał wrażenie, że Rob wciela się

w niedźwiedzia i w każdej gospodzie wystawia na szczucie. Sponiewierany trunkiem, dotkliwie obity, cierpiał, ale zapominał o tym innym bólu, jaki sprawiała mu myśl o braciach i siostrze. Przy tym wszystkim jednak stawał się złym człowiekiem. Podłość pleniła się w nim jak chwast.

Balwierz wcale nie był pewien, czy pogodzenie się z utratą rodzeństwa wyjdzie Robowi na zdrowie.

Była to najgorsza zima, jaką spędzili w Exmouth. Z początku chadzali razem do karczmy. Zazwyczaj pili i gawędzili z miejscowymi, a potem, gdy trafiła się jedna lub dwie chętne dziewczki, zabierali je do domu. W łóżu balwierz już nie dorównywał jurnemu młodzianowi ani też – ku własnemu zdumieniu – nie zależało mu na tym. Teraz to on niejedną noc przeleżał przyglądając się cieniom, nasłuchując i nie mogąc się doczekać, kiedy na miłość boską nareszcie skończą, ucichną i pozwolą mu zasnąć.

Tego roku nie było śniegu, za to wciąż padał deszcz. Ciągły szmer i chlupot drażniły uszy i kładły się kamieniem na sercu. Na parę dni przed Bożym Narodzeniem Rob wrócił do domu wściekły.

- Przeklęty karczmarz! Zabronił mi się pokazywać.
- Ot tak, bez powodu?
- Za bójki – odmruknął nachmurzony chłopak.

Odtąd spędzał więcej czasu w domu, na ogół w podłym nastroju, co z kolei udzielało się balwierzowi. Już nie potrafili toczyć długich przyjaznych rozmów. Balwierz – jak zwykle o tej smutnej porze roku – na przemian pił i zapadał w sen zimowy. Kiedy nie spał, leżał niczym wielki głaz w zapadniętym łóżu, czując, jak przygniata go własne ciało, i przysłuchując się świstom i rżężeniom dobywającym mu się z płuc. Wielu chorym, których oddech brzmiał znacznie lepiej, nie rokował długiego życia.

Spłoszony tymi myślami raz dziennie wstawał z pośłania i gotował suty obiad, tłustym mięsiwem odpędzając chłód i złe przeczucia. Potem stawiał przy łożu flaszkę trunku i misę jagnięciny w skrzepłym już sosie. Rob sprzątał tylko, kiedy był w nastroju, toteż w lutym dom śmierdział jak lisia nora.

Niecierpliwie powitali wiosnę. Już w marcu spakowali wóz i ruszyli z Exmouth na równinę Salisbury. Schodziła ona w dół wapienno-kredowymi urwiskami, z których pokryci białym pyłem niewolnicy wydobywali żelazo i cynę. Nie zatrzymywali się tam; w obozach niewolników trudno byłoby liczyć na zarobek. Balwierz wpadł na pomysł, żeby jechać pograniczem Walii aż do Shrewsbury, a następnie z biegiem rzeki Trent na północny wschód. Wstępowali do wszystkich znajomych już wsi i miasteczek. Klaczka nie umiała płasnąć z taką werwą jak ongiś Incitatus, ale była zgrabna, a z grzywą przystrojoną wstążkami prezentowała się znakomicie. Zyski także były bardzo dobre.

W należącej do zamku Dinmore osadzie Hope znaleźli zręcznego rymarza, u którego Rob nabył dwie skórzane pochwy na przyobieczaną broń. W Blyth udali się prosto do kuźni. Kowal podszedł do półki w głębi warsztatu i przyniósł dwa podłużne przedmioty owinięte w miękką skórę. Rob rozwinął je niecierpliwie i zaniemówił.

Miecz był chyba jeszcze lepszy od tego, który podziwiali w zeszłym roku. Równie pięknie wykuty był długi nóż. Ponieważ Rob stał jak wryty, zachwycając się mieczem, balwierz tymczasem wziął nóż do ręki i od razu poczuł, że jest idealnie wyważony.

– Zaczyna robota – rzekł z uznaniem.

Kowal przyjął pochwałę bez zdziwienia. Rob wsunął oba ostrza do pochew u pasa. Zmienił nieco pozycję, jakby przyzwyczajając się

do ich nieznanego dotąd ciężaru, i dumnie położył dłoń na rękojeści. Balwierz mimo woli spojrział nań z podziwem.

Bo też i przyjemnie było na niego patrzeć. W osiemnastej wiosnie nareszcie przestał rosnąć i był teraz o dwie dłonie wyższy od balwierza, a przy tym szczupły i szeroki w barach. Wijące się ciemne włosy spadały mu na ramiona, łagodząc surowy zarys gładko wygolonej twarzy o szeroko rozstawionych, zmiennych jak morze niebieskich oczach.

Robert wysunął nieco z pochwy miecz – ów znak, że urodził się jako wolny człowiek. Po chwili wsunął go z powrotem. Przyglądając mu się balwierz poczuł dreszcz dumy i coś jeszcze, czego nie potrafił sprecyzować.

Może najtrafniej byłoby to nazwać lękiem.

17

Nowa ugoda

Kiedy w Beverly Rob po raz pierwszy wszedł zbrojnie do karczmy, odczuł różnicę. Nie znaczy to, iż otaczał go większy szacunek, ale z pewnością większa czujność. Balwierz wciąż mu powtarzał, że też musi być ostrożny. Gniew jest wszak jednym z grzechów głównych i Kościół, Święta Matka nasza, surowo piętnuje zbrodnie dokonane pod jego wpływem.

Znudziło go już słuchanie, co by było, gdyby ludzie szeryfa zawlekli go przed sąd, ale balwierz uparcie opowiadał mu o ordaliach, w których oskarżony dowodzi swej niewinności biorąc w dłonie gorący kamień, rozpalone do białości żelazo lub pijąc wrzątek.

– Karą za mord jest stryczek albo topór – rzekł surowo balwierz. – Albo też, i to nierzadko, przeciągają zabójcy rzemienie przez ścięgna

stóp i uwiązują je do ogonów dzikich byków, te zaś szczują psami.

Chryste litościwy, myślał Rob, balwierz zachowuje się niczym stara baba, tylko patrzeć, jak zemdleje. Co on, myśli, że zamierzam tu urządzić rzeź?

W Fulfordzie odkrył, że zgubił swoją rzymską monetę, którą nosił od czasu, gdy kamraci ojca wygrzebali ją z Tamizy. W grobowym nastroju pił dotąd, aż zaszumiało mu w czubie. Rychło sprowokował go ospowaty Szkot, który trącił go w łokieć i miał przeprosić, burknął coś po gælicku.

– Mów jak człowiek, przeklęty karle – warknął Rob. Szkot, choć mocno zbudowany, był od niego o dwie głowy niższy.

Chyba jednak przestrogi balwierza odniosły skutek, bo miał dość rozumu, by odpiąć pochwy z bronią. Szkot uczynił to samo. Kiedy zwarli się w walce, Roberta czekała przykra niespodzianka – ręce i nogi Szkota, choć krótsze, były niewiarygodnie sprawne. Już pierwszy kopniak naruszył mu żebro, a zaraz potem twarda jak kamień pięść trafiła w nos, łamiąc go z ohydny chrzęstem i znacznie koszmarniejszym bólem.

Rob nie zdołał powstrzymać jęku.

– Ty suczy synu... – wykrztusił.

Ból i wściekłość dodały mu sił, ale ledwie zdołał utrzymać się na nogach do chwili, gdy zmęczenie skłoniło Szkota do zaprzestania walki. Rob z trudem pokuśtykał do obozowiska. Czuł się – i wyglądał – tak, jakby go napadła i zmasakrowała banda olbrzymów.

Balwierz nastawił mu złamany nos nie siląc się na delikatność. Aż chrupnęło. Potem przemył driakwią ranki i sińce, ale bardziej zapiekły chłopaka jego słowa:

– Jesteś na rozdrożu. Wyuczyłeś się balwierskiego rzemiosła, umysł masz bystry i możesz się dorobić, chyba że na przeszkodzie

stanie twój charakter. Bo jeśli nadal będziesz tak chłał, wkrótce już nie będzie dla ciebie powrotu.

– Rzekł ktoś, kto sam zapija się na śmierć – prychnął pogardliwie Rob i jęknął dotykając spuchniętych krwawiących warg.

– Wątpię, czy ty umrzesz od trunku – odparował balwierz.

*

Przeszukał wszystko, ale rzymska moneta przepadła. Jedynym ogniwnem łączącym go z dzieciństwem pozostał krzemienisty grot otrzymany niegdyś od ojca. Rob wywiercił w nim otwór i nosił grot na szyi na krótkim rzemyku z jeleniej skóry.

Teraz większość ludzi schodziła mu z drogi, albowiem prócz wzrostu i imponującego uzbrojenia wyróżniał się nabiegłym krwawymi pręgami krzywym nosem i twarzą poznaczoną blednącymi sińcami. Zapewne balwierz był tak wściekły, że nie przyłożył się jak należy, bo nos Roba na zawsze już stracił fason.

Pęknięte żebro przez wiele tygodni bolało go przy każdym oddechu. Objechali Nortumbrię, potem Westmoreland i wrócili do Nortumbrii. Rob przez cały czas był przygaszony; unikał zajazdów i szynków, w których łatwo o bójkę, wieczorami przesiadywał w obozowisku. Ilekroć koczowali na bezludziu, otwierał flaszkę driakwi i z czasem zasmakował w meteglinie. Kiedyś wszakże, zdrowo nadszarpnąwszy zapas leku, przyłapał się na tym, że otwiera flaszkę z wydrapanym na szyjce znakiem. Zawierała trunek rozcieńczony szczykami – słodką zemstą balwierza na tych, którzy mu się narazili. Wzdrygnął się i wyrzucił flaszkę. Odtąd kupował napitki w mijanych miastach i składał je pieczołowicie w kącie wozu.

W Newcastle znów udawał starca, zasłaniając siniaki sztuczną brodą. Widownia była liczna i sprzedali sporo leku.

Po przedstawieniu Rob wszedł za wóz, żeby zrzucić przebranie i wyjąć parawan, za którym przyjmował chorych. Zastał balwierza na kłótni z wysokim chudym mężczyzną.

– Widziałem was w Durham i stamtąd za wami jadę – mówił tamten. – Wszędzie ściągacie tłumy, a właśnie tłumy mi trzeba. Rozważcie taką rzecz: moglibyśmy podróżować razem i dzielić się zarobkami.

– Zarobek to wynagrodzenie za robotę – rzekł z naciskiem balwierz.

– Ależ ja pracuję – uśmiechnął się mężczyzna. – I to ciężko.

– Kradniesz. Pewnego dnia przyłapią cię z ręką w cudzej sakiewce i marnie skończysz. Nie zadaję się z rzezimieszkami.

– Możesz nie mieć wyboru.

– I tu się mylisz – powiedział Rob.

Mężczyzna ledwie raczył na niego spojrzeć.

– Lepiej milcz, dziadku, bo w końcu ktoś ci zrobi krzywdę.

Jednym szybkim krokiem Rob znalazł się tuż przy nim. Oczy złodzieja rozszerzyły się ze zdumienia. Wydobył zza pazuchy długi wąski nóż i wykonał nim ostrzegawczy ruch, kierując ostrze w ich stronę.

Piękny sztylet Roberta nieomal sam wyskoczył z pochwy i utkwiał w ramieniu złodzieja. Stało się to wręcz mimowolnie, lecz cios musiał być mocny, bo Rob poczuł, że ostrze zgrzyta o kość. Gdy pociągnął je ku sobie, trysnęła krew – zaskakująco obficie i gwałtownie jak na tak chudą osobę. Złodziej cofnął się ściskając zranioną rękę.

– Chodź, opatrzymy cię – mruknął balwierz. – Dosyć tej zwady.

Ale złodziej zniknął już za wozem i po chwili usłyszeli, jak czmycha.

– Ktoś z pewnością zauważy tak silne krwawienie. Jeśli w mieście są ludzie szeryfa, złapią go. Ten człowiek może nam zaszkodzić – zasępił się balwierz. – Lepiej już jedźmy.

Uciekli – tak jak wówczas, gdy obawiali się śmierci pacjenta. Zatrzymali się dopiero wtedy, gdy byli już pewni, że ich nikt nie ściga. Rob rozpałił ognisko i usiadł. Wciąż miał na sobie wyszarzałe odzienie „dziadka”, ale nie chciało mu się przebierać. Zjedli na zimno wczorajszą rzepę.

– Było nas dwóch – stwierdził z niesmakiem balwierz. – Mogliśmy się go pozbyć bez wymachiwania bronią.

– Przyda mu się nauczka.

Balwierz stanął naprzeciw niego i spojrzął mu prosto w oczy.

– Stałeś się niebezpieczny – powiedział.

Rob poczuł, że wzbiera w nim gniew, ożywa dawna uraza. Na Boga, stanął przecież w obronie tego człowieka, a on...

– Ty się dla mnie nie narażasz, mistrzu – syknął. – Zarabiasz tyle co nic, to ja znoszę grosiwo do waszej kiesy. I to więcej, niżby tamten złodziej zdołał nakraść swoimi lepкими palcami.

– Niebezpieczny i uciążliwy – ze znużeniem rzekł balwierz i odwrócił się od niego.

Dotarli do najdalej na północ wysuniętego odcinka trasy. Przystawali w pogranicznych wioskach, których mieszkańcy sami nie mieli pewności, czy władą nimi król Anglii czy Szkocji. Występując przed widownią, balwierz i jego czeladnik sypali dowcipami w pozornej harmonii, lecz po zejściu ze sceny zapadała chłodna cisza. Ilekroć próbowali rozmawiać, kończyło się to kłótnią.

Balwierz nie śmiałby już podnieść na Roba ręki, ale kiedy był pijany, popuszczał sobie cugli i złorzeczył mu nie przebierając w słowach. Jak wówczas w Lancasterze, gdy obozowali nad

jeziorkiem spowitym rozbieloną księżycowym światłem mgiełką, nękani przez chmurę maleńkich muszek. Nic, tylko się upić.

– Wielkie to, a głupie – mamrotał balwierz. – Wojownik zasrany!

Robert westchnął.

– Wziąłem sierotę... wychowałem, nauczyłem fachu... Gdyby nie ja, zdechłby gdzieś pod płotem!

Pora z tym skończyć, pomyślał Rob. Mogę już pracować sam. Od dawna zresztą dochodził do wniosku, że lepiej będzie, jeśli rozstanie się ze swoim mistrzem. W Lancasterze trafił na skład winny, gdzie zakupił beczułkę kwaśnego trunku. Przypiął się teraz do niej w nadziei, że przestanie słyszeć to ciągłe zrzędzenie.

– ... łapy jak bochny, za to w głowie pusto. Com się natrudził, żeby choć nauczyć go podrzucać parę piłek!

Rob wdrapał się do wozu, żeby dolać sobie wina. Doleciał go tam znienawidzony głos:

– Przynieś i mnie napitku, niech cię wszyscy diabli.

Miał ochotę odpowiedzieć: „Sam sobie przynieś, żałosna kupo mięsa”. Zamiast tego, pchnięty neodpartą myślą, wsunął się głębiej i namacał kosz, w którym trzymali „specjalną” driakiew dla swoich wrogów. Wyjął zeń glinianą flaszkę, podniósł ją do oczu, by sprawdzić, czy jest na niej znak, po czym zlął z wozu, wyszarpnął zatyczkę i podał flaszkę grubasowi.

To podłe, pomyślał z lękiem. Czy jednak postępował gorzej niż sam balwierz, od lat raczący ludzi tym specjałem? Zafascynowany patrzył, jak balwierz bierze flaszkę, odchyła głowę, otwiera usta i podnosi do nich naczynie.

Miał jeszcze czas. Nieomal słyszał własny okrzyk: „Zaczekaj!” Mógł powiedzieć, że flaszką jest uszczerbiona, i zamienić ją na inną, ze zwykłym meteglinem. Nie odezwał się jednak.

Gliniana szyjka dotknęła warg balwiera. No pij, ponaglił go mściwie w myślach. W nalanej szyi poruszyło się jabłko Adama. Balwierz wypił wszystko, potem cisnął w krzaki pustą flaszkę i zasnął.

Dlaczego nie odczuł żadnej satysfakcji? Rozmyślał o tym długo, przewracając się bezsennie na pościeli. Kiedy balwierz był trzeźwy, miał w sobie jakby dwóch różnych ludzi: jeden był wesoły i życzliwy dla bliźnich, drugi złośliwy i podstępny – ot, choćby jak wówczas, gdy bez cienia skrupułów dawał komuś „specjalną” driakiew. Po pijanemu zwyciężał w nim ten drugi.

W nagłym błysku olśnienia Robert pojął, że i w nim rośnie i zwycięża ta druga, nikczemna strona jego natury. Staje się taki jak balwierz. Ogarnęła go rozpacz. Zadrżał i przysunął się bliżej ognia.

Nazajutrz wstał o brzasku, znalazł wyrzuconą flaszkę i wyniósł ją do lasu. Potem rozniecił ognisko. Zanim balwierz się ocknął, czekało już na niego obfite śniadanie. Rob czekał, aż zje, i oznajmił:

– Zachowałem się jak głupiec. – Urwał, ale zmusił się, by dokończyć: – Przepraszam cię, mistrzu, i proszę o wybaczenie.

Balwierz zaniemówił ze zdziwienia, skinął więc tylko głową.

Zaprzęgli Klaczkę i ruszyli w milczeniu. Od czasu do czasu Robert czuł na sobie zamysłone spojrzenie starszego mężczyzny. W końcu, już w połowie ranka, balwierz wreszcie się odezwał.

– Długo o tym myślałem – powiedział. – W przyszłym roku wyruszysz sam, beze mnie.

Rob poczuł palące wyrzuty sumienia, bo ledwie dzień wcześniej sam doszedł do tego wniosku.

– Wszystko przez trunek – zaprotestował. – To on robi z nas bestie. Pozostańmy przy piwie, a będzie, jak było.

Balwierz zerknął na niego ciepłej, lecz potrząsnął głową.

– Trunek swoją drogą, ale prawda jest taka, że ty jesteś młody jeleń, gotów wypróbować swoje rogi, a ja stary, nazbyt już opasły i dychawiczny, żeby utrzymać przewodnictwo w stadzie – rzekł sucho. – Wyteżam wszystkie siły, żeby choć wleźć na ławę, i z każdym dniem trudniej mi dotrwać do końca przedstawienia. Najchętniej osiadłbym w Exmouth, latem grzał stare kości i uprawiał kapustę. I wymyślał różne dobre rzeczy do zjedzenia. Pod twoją nieobecność mógłbym przyrządzać driakiew. Prócz tego będę jak dotąd pokrywał utrzymanie konia i wozu. Zatrzymasz sobie zysk od każdego pacjenta i od co piątej flaszki sprzedanej w pierwszym roku, a co czwartej w następnych.

– Od co trzeciej w pierwszym roku – sprostował odruchowo Rob – a później co drugiej.

– To za wiele, smarkaczu! – obruszył się balwierz z błyskiem w oku. – Dogadamy się – mruknął. – Obaj jesteśmy rozsądnymi ludźmi.

Ostatecznie stanęło na zysku z co czwartej flaszki w pierwszym roku i co trzeciej w następnych. Umowa zawarta została na pięć lat, po których upływie ocenią korzyści.

Balwierz się cieszył, a Rob wprost nie dowierzał swemu szczęściu. Dla kogoś w jego wieku był to niemały dochód. Ożywieni, w przyjacielskim nastroju posuwali się na południe przez Nortumbrię. W Leeds po występach udali się na zakupy i balwierz przez kilka godzin szastał groszem, obiecując ucztę godną nowej ugody.

Opuścili Leeds gościńcem biegnącym wzdłuż rzeki Aire, obrzeżonym na przestrzeni wielu mil starymi drzewami wznoszącymi się dumnie nad zieloną gęstwą krzewów, przetykanych tu i ówdzie zagajnikami niższych drzew lub polanami porośniętymi wrzosem. Zatrzymali się na długo przed zmierzchem

w ocienionym kępami olch i wierzb miejscu, gdzie rzeka rozlewała się szerzej. Przez dobrych parę godzin Rob pomagał balwierzowi przyrządzić wielki mięsny pasztet. W końcu wreszcie obszerny płat litego tłustego ciasta owinał górę farszu, na którą złożył się jeleni udziec, siekana polędwica z wołu, tłusty kapłon i dwa gołębie, sześć gotowanych jaj i pół funta słoniny.

Rozkoszowali się tym daniem długo, bez pośpiechu. Pasztet wzmagał pragnienie, toteż balwierz nie poczuł się w pełni usatysfakcjonowany, dopóki nie otworzył gąsiorka meteglinu. Rob, pomny swych niedawnych deklaracji, pił tylko wodę. Widział, jak oczy balwierza posępnieją, a twarz stopniowo powleka się szkarłatem.

Osuszywszy gąsiorek kazał mu przynieść z wozu dwa kosze z flaszeczkami driakwi i postawić je tak, żeby były pod ręką. Rob spełnił polecenie, przyglądając się z niepokojem coraz bardziej pijanemu mistrzowi. Wkrótce doleciały go bełkotliwe krytyki warunków nowej umowy, nim jednak doszło do otwartej zwady, balwierz zapadł w pijacki sen.

Obudził ich słoneczny, bezchmurny dzień, rozśpiewany trelami ptaków. Balwierz wstał blady i zrzędnny. Najwyraźniej jednak nie pamiętał swych zaczepnych peror wygłaszanych ubiegłego wieczoru.

– Chodźmy na pstrągi – powiedział. – Marzy mi się na śniadanie krucha rybka, a w Aire powinno ich być pod dostatkiem. – Dźwignął się z pośłania i stęknął, narzekając na drętwienie w lewym barku. – Załaduję manatki. Praca to najlepsza maść na bolące stawy.

Odniósł do wozu kosz z driakwią i zawrócił po drugi. Był z nim w połowie drogi, kiedy kosz z brzękiem wypadł mu z ręki.

Na obliczu balwiera pojawiło się zaskoczenie. Przygięty, z grymasem bólu przycisnął rękę do piersi.

– Robercie... – odezwał się uprzejmie, po raz pierwszy chyba nazywając swego czeladnika pełnym imieniem. Potem, wyciągając rękę do Roba, postąpił krok w jego stronę.

Nim jednak Rob zdążył go podtrzymać, balwierz już nie żył. Runął na ziemię niczym wielkie drzewo – albo raczej jak lawina, jak olbrzymia konająca góra.

18

Requiescat

– Nie znam go.

– Był moim przyjacielem.

– Ciebie też jeszcze tu nie widziałem – rzekł kwaśno ksiądz.

– Ale teraz mnie widzicie.

Rob wyładował z wozu większość rzeczy i schował je w kępie wierzb, żeby zrobić miejsce na ciało balwiera. Jechał z nim sześć godzin, zanim w końcu dotarł do Aires Cross, małej wioski ze starym kościołem. Tu musiał stawić czoło podejrzliwemu księdzu, który patrząc na niego wrogo zadawał mu pytania z taką miną, jakby balwierz udawał zmarłego wyłącznie po to, by mu dopiec. Dowiedziawszy się, kim był za życia, duchowny fuknął z dezaprobatą:

– Medycy, chirurdzy i balwierze! Wszyscy oni kpią z objawionej prawdy, że tylko Przenajświętsza Trójca i święci Pańscy mają rzeczywistą moc uzdrawiania.

Robert, targany emocjami, nie czuł się na siłach dłużej tego słuchać. Dość tego, warknął w duchu, świadom ciężaru broni obciążającej mu pas. W tejże chwili jednak spłynął na niego spokój,

jak gdyby sam balwierz szepnął mu: „Cierpliwości!” Mile i pokornie powtórzył swą prośbę, obiecując sutą ofiarę na kościół.

– Arcybiskup Wulfstan zabronił księżom podbierać sobie parafian i przyjmować od nich datki.

– Mój przyjaciel był człkiem wędrownym. Nie miał własnej parafii – powiedział Rob. W końcu ugodzili się o pogrzeb w poświęconej ziemi.

Na szczęście wziął ze sobą pełny trzos. Z pochówkiem nie można było zwlekać, nad ciałem unosił się już bowiem odór śmierci. Wioskowy cieśla osłupiał, gdy zobaczył, jak wielką musi zrobić trumnę. Rob sam wykopał w kącie cmentarza odpowiedni dla niej grób.

Myślał, że „cross” w nazwie osady odnosi się do brodu na Aire, dowiedział się jednak od księdza, że nazwano ją tak od wysokiego dębowego krucyfiks stojącego w kościele. Ustrojona rozmarynem trumna balwierza spoczęła u jego stóp. A że było to akurat w dniu świętego Kaliksta, zebrało się dość sporo wiernych. Podczas „Kyrie eleison” kościół był prawie pełen.

– Panie, zmiłuj się nad nami – śpiewali.

W nawie były tylko dwa wąskie okienka. Zapach kadzidła walczył ze smrodem; na szczęście trochę wiało przez ściany z drewnianych bali oraz strzechę. Płomyki kaganków o knotach z sitowia chwiały się migocząc, a sześć długich gromnic starało się rozproszyć mrok dookoła trumny. Ciało balwierza spowijał biały całun, widać było tylko twarz. Z zamkniętymi oczyma wyglądał, jakby spał albo był bardzo pijany.

– To twój ojciec? – spytała Roba szeptem jakaś staruszka.

Zawahał się, ale najprościej było przytaknąć. Kobieta z westchnieniem pogłaskała go po ramieniu.

Rob opłacił także nabożeństwo żałobne, w którym mieszkańcy wioski ze wzruszającą powagą wzięli udział. Był temu rad. Balwierz nie miałby godniejszej asysty ani jako członek cechu, ani nawet chowany w królewskiej purpurze.

Po skończonej mszy ludzie wyszli, a Rob podszedł do ołtarza. Przyklęknął czterokrotnie żegnając się tak, jak go przed laty nauczyła matka, wznosząc myśl kolejno do Boga Ojca, Syna, Matki Boskiej, a wreszcie apostołów i wszystkich świętych.

Ksiądz zakrzętnął się po kościele, pogasił zbędne kaganki i zostawił go samego przy marach. Rob opadł na kolana i klęczał bez ruchu, nie czując głodu ni pragnienia, jakby zawieszony między tańczącymi płomieniami świec a gęstą kotarą mroku.

Czas mijał niepostrzeżenie. Kiedy dzwon donośnie ogłosił jutrznię, Rob drgnął zaskoczony. Wstał i pokuśtykał do wyjścia na zdrętwiałych nogach.

– Pokłoń się, nim wyjdiesz – rzekł zimno ksiądz.

Rob przyklęknął, zwracając się twarzą do ołtarza.

Na zewnątrz oddalił się kawałek drogą i oddał mocz pod drzewem, a potem wrócił, opłukał twarz i ręce wodą ze stojącego przy drzwiach cebra. W kościele płonęły światła: ksiądz odprawiał północne nabożeństwo.

Po mszy ksiądz znów wyszedł. Lampki dopalały się powoli i Rob został w ciemnościach sam ze swoim mistrzem. Teraz nareszcie dopuścił do siebie myśl, że przed laty ten człowiek ocalił go od złego losu. Wspominał balwierza w doli i niedoli; czułość, z jaką karmił go smakołykami, lecz także jego egoizm; cierpliwość i okrucieństwo, lubieżność i trzeźwy osąd, śmiech i złość, serdeczność i opilstwo. Wiedział, że tym, co ich łączyło, nie była miłość, ale dostateczna namiastka miłości, by o szarym brzasku,

który dobył z ciemności woskową twarz zmarłego, Robert gorzko zapłakał – nie tylko nad balwierzem.

Pochowali go po laudzie. Ksiądz sprawił się prędko i rzekł:

– Możesz go zakopać.

Gdy kamienie i piach zagrzechotały o wieko trumny, wymruczał jeszcze po łacinie coś o niezawodnej nadziei na zmartwychwstanie.

Rob postąpił tak, jak gdyby balwierz był jego krewnym. Pamiętając o zatartych grobach swoich bliskich, dał księdzu pieniądze na kamień nagrobny. Miało na nim być wyryte:

*Henryk
balwierz
zmarł 11 lipca A.D. 1030*

– Może napisać jeszcze: *Requiescat in pace* albo coś w tym rodzaju? – poddał ksiądz.

Jedyne epitafium odpowiednie dla balwierza, jakie przyszło na myśl Robertowi, brzmiałoby: *Carpe diem*. Ale... zaraz, zaraz... Uśmiechnął się nagle.

Ksiądz był zgorszony, kiedy usłyszał jego wybór. Cóż, kiedy ten wielgachny obcy młodzik się uparł. A ponieważ to on płacił za kamień, duchowny z westchnieniem starannie zanotował napis:

Fumum vendidi

Sprzedawałem dym.

Patrząc, jak ten zimnooki człowiek z zadowoloną miną chowa datek, Rob uświadomił sobie, że wcale nie jest pewne, czy na grobie balwierza stanie jakikolwiek kamień. Nikt w Aires Cross go nie znał.

– Niebawem tu wrócę i sprawdzę, czy wszystko jest tak, jak chciałem – oznajmił.

Wzrok księdza spochmurniał.

– Jedź z Bogiem – rzekł krótko i wrócił do kościoła.

Wyczerpany i głodny Rob popędził Klaczkę z powrotem do wierzbowego gaju.

Pozostawione rzeczy leżały na swoim miejscu. Kiedy załadował je do wozu, usiadł w trawie, żeby coś przekąsić. Resztką pasztetu się zepsuła, ale miał jeszcze czerstwy bochen chleba upieczony przez balwierza przed czterema dniami.

Żując twarde pieczywo uzmysłowił sobie, że jest spadkobiercą swego mistrza. Koń i wóz należały teraz do niego. Odziedzyczył po balwierzem narzędzia i wiedzę, wytarte futra, piłki żonglerskie, garść sztuczek i kilka zmyślonych opowieści, a także prawo do decyzji, gdzie się udać jutro i pojutrze.

Zaczął od tego, że roztrzaskał o kamień wszystkie co do jednej flaszki „specjalnej” driakwi. Broń balwierza postanowił sprzedać; jego własna była lepsza. Zawiesił sobie za to na szyi saski róg, wspiął się na kozioł i zasiadł na nim jak na tronie.

Może, pomyślał, powinienem znaleźć sobie pomocnika.

19

Kobieta na drodze

Ruszył dalej „w świat tak niewinny” – jak powiedziałyby balwierz – udając sam przed sobą, że nic się nie zmieniło. Początkowo jednak nie mógł się zmusić, by rozpakować wóz albo dać występ. W gospodzie w Lincoln zjadł wreszcie ciepły posiłek. Sam nie gotował, żywiąc się kupowanym po drodze chlebem i serem. Nie

pił. Wiezorami siedział przy ognisku dręczony straszliwą samotnością.

Czekał, aż coś się wydarzy. Ale nic się nie działo i w końcu zrozumiał, że musi zacząć żyć własnym życiem. W Staffordzie podjął decyzję: pora wrócić do pracy. Klaczka zastrzygła uszami i rzuciła się spłoszona, gdy na rynku uderzył w bęben ogłaszając swe przybycie.

I nagle poczuł się tak, jakby zawsze pracował sam. Zebrani ludzie nie wiedzieli, że powinien z nim być starszy mężczyzna, który dawał znak, kiedy zacząć i skończyć żonglerkę, i opowiadał najśmieszniejsze historyjki. Otoczyli go wokół, słuchali, śmiali się, patrzyli urzeczeni, jak rysuje podobizny, kupowali jego driakiew i ustawiali się w kolejce po poradę. Kiedy brał ich za ręce, odkrył, że jego dar wrócił. Postawny kowal, który wyglądał, jakby mógł dźwignąć świat na barkach, był śmiertelnie chory i niewiele zostało mu życia. Z kolei wychudzona i blada dziewczeczka miała w sobie taki zasób siły i żywotności, że zachciało mu się śpiewać z radości. Być może balwierz miał rację i przytępiony pijaństwem dar wrócił, gdy Rob wyrzekł się trunków? Niezależnie od przyczyny z podnieceniem wyczekiwał dotknięcia następnej pary rąk.

Wyjeżdżając po południu ze Staffordu zatrzymał się w przydrożnej zagrodzie, żeby kupić boczek, i zobaczył tam kotkę z miotem.

– Weźcie sobie któreś – zachęcił go wieśniak. – Nie mogę trzymać tylu darmozjadów, będę musiał je potopić.

Rob pobawił się z małymi, machając im przed noskami kawałkiem sznura. Wszystkie były urocze – może poza jedną wyniosłą białą kotką, która z pogardliwą miną trzymała się na uboczu.

– Nie chcesz jechać ze mną, co?

Kotka była spokojna i wyglądała nieszkodliwie, ale gdy Rob wyciągnął rękę, by ją złapać, rozorała mu pazurkami dłoń. Co dziwne, w tej samej chwili zawziął się, że weźmie właśnie ją. Zaszeptał do niej pieszczotliwie i zaraz odniósł sukces: pozwoliła mu wziąć się na rękę i pogłaskać po grzbiecie.

– Ta się nada – oznajmił i podziękował gospodarzowi.

Nazajutrz rano ugotował sobie śniadanie i nakarmił kocię chlebem moczonym w mleku. Zajrzał w zielone ślepka, w których błyskała złośliwość. Przypomniał sobie wdowę po Ryszardzie Bukerelu, Leotyldę. Uśmiechnął się.

– Tak cię nazwę.

Najwyraźniej karma była kluczem do jej serca, bo gdy zasiadł na koźle, rozparła mu się na kolanach, głośno mrużąc.

Zsadził ją w połowie ranka, kiedy wyjeżdżając z za zakrętu w Tettenhall zobaczył mężczyznę schylonego nad leżącą na drodze kobietą.

– Co się stało? – zapytał ściągając lejce. Kobieta żyła, miała ogromny brzuch i zaczerwienioną z wysiłku twarz.

– Przyszedł jej czas – odpowiedział mężczyzna.

W ciągnącym się wzdłuż drogi sadzie stało kilka koszy wypełnionych jabłkami. Ubogo odziany mężczyzna nie wyglądał na właściciela posiadłości. Zapewne był dzierżawcą obrabiającym szmat ziemi w zamian za niewielką działkę, z której żywił rodzinę.

– Zrywaliśmy wczesne jabłka, gdy chwyciły ją bóle. Zawróciła do domu, ale niedaleko uszła. Nie mamy tu akuszerki, umarła tej wiosny. Więc kiedy zobaczyłem, że z żoną jest źle, posłałem chłopca po łapiducha.

– A zatem... – Rob ujął lejce, zamierzając ruszyć dalej. Była to właśnie taka sytuacja, jakich balwierz radził mu unikać: jeśli pomoże, zarobi tyle co nic; jeśli nie, będą go winić za jej śmierć.

– Minęło tyle czasu – rzekł gorzko wieśniak – a medyka ani widu. To Żyd.

Oczy kobiety uciekły w głąb czaszki i targnął nią kolejny skurcz. Sądząc z tego, co balwierz mówił o żydowskich medykach, można było wątpić, czy się w ogóle pojawi. Robert czuł, że powinien jechać, ale zatrzymał go tępy ból w oczach dzierzawcy i wspomnienia, których wciąż nie mógł wymazać. Westchnął i zsunął się z kozła. Uklęknął nad brudną wyniszczoną kobietą i wziął ją za rękę.

– Kiedy ostatni raz czuła ruchy dziecka?

– Będzie już parę niedziel. Od dwóch źle się czuje, jak struta.

Dowiedział się, że kobieta donosiła już cztery ciążę, ale mieli tylko dwóch synów, bo dwoje ostatnich przyszło na świat martwe. Rob czuł, że i to dziecko jest martwe. Lekko dotknął wydętego brzucha, z całego serca pragnąc stamtąd uciec, ale nagle zobaczył białą twarz swojej matki na zgnojonej polepie stajni. Naraz dotarła do niego przykra prawda, że jeśli prędko czegoś nie zrobi, ta kobieta też wkrótce umrze.

Wśród narzędzi odszukał małe metalowe zwierciadełko, które służyło balwierzowi jako wziernik. Kiedy skurcz minął, odpowiednio ułożył nogi rodzącej i rozszerzył wziernikiem szyjkę macicy, tak jak go nauczono. To, co było w macicy, wyszło gładko, choć gnijący strzęp nawet nie przypominał dziecka. Mąż kobiety gwałtownie wciągnął powietrze i szybko odszedł na bok. Rob nie zwracał na niego uwagi. Ręce same mówiły jego głowie, co robić – nie odwrotnie. Wydobył łożysko i obmył położnicę. Kiedy w końcu podniósł głowę, stwierdził ze zdumieniem, że Żyd lekarz jednak przybył.

– W twoje ręce, mistrzu – rzekł z ulgą, gdyż kobieta wciąż krwawiła.

– Nie ma pośpiechu – odparł medyk.

Długo nasłuchiwał oddechu kobiety. Zbadał ją powoli i bardzo dokładnie; najwyraźniej nie wierzył w umiejętności Roba. Nareszcie z zadowoleniem skinął głową.

– Połóż dłoń na brzuchu i masuj, o tak.

Rob, choć zdziwiony, posłusznie zaczął masować pusty brzuch położnicy. Po pewnym czasie wyczuł, że rozciągnięta gąbczasta macica kurczy się i jędrnieje, a równocześnie krwawienie zanika.

– Czary godne Merlina – rzekł. – Muszę to zapamiętać.

– W tym, co robimy, nie ma żadnych czarów – oznajmił spokojnie żydowski medyk. – Znasz moje imię?

– Spotkaliśmy się parę lat temu. W Leicesterze.

Beniamin Merlin zerknął na jaskrawo pomalowany wóz i uśmiechnął się.

– Rzeczywiście. Byłeś jeszcze chłopcem. Terminowałeś u grubego balwierza, który wypluwał kolorowe wstążki.

– Tak.

Nie powiedział mu, że jego mistrz nie żyje. Merlin nie pytał. Przyglądali się sobie przez chwilę. Jastrzębią twarz Żyda otaczały gęste jeszcze siwe włosy i broda, acz nieco przytył.

– Ten skryba, z którym rozmawiałeś, panie, wówczas w Leicesterze... Zdjąłeś mu bielmo z oczu?

– Skryba? – Merlin zmarszczył czoło, lecz po chwili wzrok mu się rozjaśnił. – A, Edgar z Lucteburne w hrabstwie Leicester. Tak, operowałem go i zdjąłem mu kataraktę.

Jeżeli nawet Rob słyszał imię skryby i tak go nie zapamiętał. Zrozumiał, że tym się między innymi różnią – dla niego większość pacjentów nie miała imion.

– I jak? Dobrze się czuje?

Żyd uśmiechnął się ze smutkiem.

– Nie najlepiej, bo jest już stary, tu go boli, a tam strzyka. Ale widzi na oboje oczu.

Rob owinał martwy płód gałganem. Merlin go rozwinął, przyglądał mu się przez chwilę, a potem skropił wodą z bukłaczka, który miał w sakwie.

– Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – wyrecytował głośno, obwiązał płód z powrotem i zaniósł go ojcu. – Dziecko zostało ochrzczone jak należy i z pewnością wejdzie do Królestwa Niebieskiego. Powiedz o tym ojcu Stigandowi albo temu drugiemu.

Bolesne otępienie na twarzy wieśniaka zaczęło ustępować miejsca obawie. Sięgnął do usmolonej sakiewki.

– Ile jestem ci dłużny, mistrzu?

– Daj, ile możesz – odparł Merlin.

Mężczyzna wyjął z sakiewki pensa i podał mu.

– Czy to był chłopiec?

– Nie sposób powiedzieć – rzekł łagodnie medyk. Wrzucił monetę do własnego trzosa, wydobył zeń drobniejszą i dał Robertowi. Musieli jeszcze pomóc zanieść kobietę do domu – ciężka praca za pół pensa na głowę.

Gdy wreszcie byli wolni, zeszli do pobliskiego strumienia, żeby obmyć się z krwi.

– Przyglądałeś się takim porodom? – spytał Merlin.

– Nie.

– To skąd wiedziałeś, co robić?

Rob wzruszył ramionami.

– Słyszałem.

– Podobno niektórzy rodzą się na uzdrowicieli. To wybrańcy. – Żyd uśmiechnął się do niego. – A inni mają po prostu szczęście.

Rob poczuł się nieswojo pod badawczym spojrzeniem medyka. W końcu przemógł się jednak i zapytał:

- A co można zrobić, jeśli matka umarła, a dziecko jeszcze żyje?
- Cesarskie cięcie.

Rob zmieszany wytrzeszczył na niego oczy.

- Nie wiesz, o czym mówię?
- Nie.
- Trzeba rozciąć brzuch i ścianę macicy i wyjąć dziecko.
- Rozciąć matkę?
- Tak.
- Robiłeś coś takiego, mistrzu?
- Parokrotnie. Za młodu widziałem, jak mój nauczyciel rozciął żywą kobietę, by dostać się do dziecka.

Kłamca, pomyślał Rob i zrobiło mu się wstyd, że tak pilnie go słuchał. Przypomniał sobie opinię balwierza o medykach. Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie spytać:

- I co?
- Umarła, ale i tak by nie przeżyła. Nie pochwalam rozcinań żywych niewiast, mówiono mi jednak o lekarzach, którzy w ten sposób ratowali i matkę, i dziecko.

Rob odwrócił się w stronę wozu. Był pewien, że ten z francuska mówiący człowiek będzie się z niego śmiał jak z naiwnego głupca. Uszedł jednak dwa kroki i zawrócił.

- Gdzie trzeba ciąć?

Żyd nakreślił w kurzu drogi zarys tułowia i pokazał mu dwa cięcia: jedno długie i proste po lewej stronie brzucha, drugie powyżej pępka.

- Albo tu, albo tu – rzekł i odrzucił patyk.

Rob kiwnął głową i odszedł, nie mogąc się zmusić do słów podziękowań.

Wieczera u Żyda

Nie zatrzymywał się w Tettenhall, ale zaraz po wyjeździe zaczęło go coś nurtować.

Kończyła mu się driakiew, toteż na drugi dzień kupił baryłkę miodu i zatrzymał się, by przyrządzić nowy zapas. Ten przydał mu się już po południu w Ludlow. Lek sprzedawał się nie gorzej niż zwykle, za to Rob był zatroskany i nieco wylękniony.

Trzymać ludzką duszę na dłoni jak kamyk i czując, że się wymyka, móc ją zawrócić! Nawet król nie ma takiej władzy. Trzeba być wybrańcem.

Czy może się nauczyć więcej? Ile więcej? Jak to jest, pytał sam siebie, zdobyć całą dostępną wiedzę? Po raz pierwszy odkrył w sobie pragnienie, by zostać medykiem. Móc walczyć ze śmiercią...! Nękały go nieznane dotąd myśli, napawając go to radością, to znów bólem.

Nazajutrz rano ruszył do Worcesteru, następnego na szlaku wzdłuż rzeki Severny. Myślami był gdzie indziej; powoził machinalnie, nie widział ani rzeki, ani niczego wokół. Mieszkańcy Worcesteru porozdziawiali usta widząc, jak czerwony wóz balwierza wjeżdża na rynek, okrąża go i nie zatrzymując się zawraca tam, skąd przybył.

Wieś Lucteburne była za mała, żeby mieć gospodę, ale że właśnie trwały sianokosy, Rob rozpytał się przy drodze. Najbliższy człek przerwał na chwilę pracę i wskazał mu drogę do domu Edgara.

Zastał go na klęczkach w ogrodzie; zbierał pory. Podniecenie jak wino uderzyło Robertowi do głowy, gdy zobaczył, że starzec widzi. Cierpiał na reumatyzm i choć młody balwierz pomógł mu wstać, minęło trochę czasu, zanim przestał pojękiwać i mogli spokojnie

porozmawiać. Rob przyniósł z wozu parę flaszek driakwi i zaraz otworzył jedną ku wielkiemu ukontentowaniu gospodarza.

– Przyjechałem, żeby wypytać o zabieg, który przywrócił wam wzrok – powiedział.

– Tak? A po co ci to wiedzieć?

Rob się zawahał.

– Mam krewniaka, który ślepnie. Pytam w jego imieniu.

Edgar pociągnął łyk driakwi.

– Mam nadzieję, że to człek silny i mężny – westchnął. – Przywiązali mnie do ławy za ręce i nogi. I głowę też, tak mocno, żem ani nie zipnął. Potem poili mnie do nieprzytomności trunkiem. A wtedy pomocnicy medyka wbili mi pod powieki żelazne haczyki i podnieśli je, żebym nie mrugał.

Stary wzdrygnął się i przymknął oczy. Wielokrotnie musiał już opowiadać tę historię, bez wahania bowiem recytował szczegóły, które wryły mu się w pamięć, ale Rob słuchał tej monotonnej tyrady z zapartym tchem.

– Nie byłem jeszcze całkiem ślepy i to, com miał tuż przed nosem, majaczyło mi jak we mgle. I naraz z tej mgły wyłoniła się ręka mistrza Merlina z nożem, który zbliżał się, coraz większy i większy, i w końcu wbił mi się w oko. Zaraz wytrzeźwiałem z bólu! Wrzeszczałem na niego, pewien, że wyłupił mi oko, zamiast tylko zdjąć bielmo. Zaklinałem, żeby przestał, ale on mnie nie słuchał, choć ciskałem klątwy na niego i całe jego plemię morderców dobrego Pana Jezusa. Kiedy zabrał się do drugiego oka, ból był tak straszny, że omdlałem. Ocknąłem się w ciemnościach, z opaską na oczach, i blisko dwie niedziele cierpiełem męki piekielne. Ale kiedym przewidział, to jakby ubyła mi kopa lat! Wzrok miałem tak dobry, że jeschcem przez całe dwa lata pisarzył i dopiero ostatnio ten reumatyzm...

A więc to prawda, pomyślał oszołomiony Rob. Jeśli tak, to być może inne opowieści Merlina także były prawdziwe.

– Mistrz Merlin to najlepszy medyk, jakiegom w życiu widział – oznajmił Edgar i zaraz dodał gniewnie: – Dziw zaiste, że taki dobry lekarz nie może mnie uwolnić od łupania w kościach.

Robert wrócił do Tettenhall i przez trzy dni obozował w dolince pod miastem niczym zakochany łabędź, któremu brak odwagi, by uderzyć w zaloty, lecz nie może się przemóc, by porzucić samiczkę. Wieśniak, u którego kupił trochę żywności, powiedział mu, gdzie mieszka Merlin. Rob kilkakrotnie przejechał się tam na Klaczce. Obejrzał sobie niskie, dobrze utrzymane zabudowania, sad, winnicę i pole. Nic nie wskazywało, że w tym wiejskim gospodarstwie mieszka medyk.

Trzeciego dnia po południu spotkał go na gościńcu o parę mil od domu.

– Jakże się miewasz, młody balwierz?

Rob odpowiedział, że dobrze, i spytał o zdrowie medyka. Z powagą gawędzili chwilę o pogodzie, po czym Merlin skinął mu głową na pożegnanie.

– Nie mogę się dłużej zatrzymywać, muszę jeszcze dziś odwiedzić troje chorych.

– Czy mógłbym jechać z tobą, mistrzu, i popatrzeć? – wydusił Rob.

Medyk się zawahał. Nie był zachwycony, lecz po chwili niechętnie kiwnął głową.

– Tylko bardzo cię proszę, nie wtrącaj się – zastrzegł.

Pierwszy pacjent, dręczony głuchym kaszlem starzec imieniem Edwin, mieszkał niedaleko, w małej chatce nad stawem, po którym pływały gęsi. Rob od razu pojął, że niszczą go suchoty i niebawem spocznie w grobie.

– Jak się dziś czujesz, Edwinie? – zagadnął go Merlin.

Staruszek zgiął się w paroksyzmie kaszlu.

– Jak zawsze – westchnął chwyciwszy wreszcie oddech. – Ani się nie skarzę, tyle że nie miałem dziś sił nakarmić ptactwa.

– Może mój młody druh ich dogładnie? – uśmiechnął się Merlin.

Rob nie miał wyjścia: dowiedział się, gdzie stary trzyma karmę, i po chwili biegł z workiem nad sadzawkę. Był wściekły. Z tej wizyty już nic nie wyniesie, wszak medyk nie poświęci konającemu wiele czasu. Ostrożnie zbliżył się do stada gęsi, wiedząc, jakie potrafią być złośliwe. Jednakże zgłodniałe ptaki z głośnym gęganiem rzuciły się na ziarno, pozwalając mu szybko się wycofać.

Wróciwszy do chaty, stwierdził ze zdumieniem, że Merlin wciąż rozmawia z chorym. Rob pierwszy raz widział tak skrupulatnego lekarza. Wypytał staruszkę o nawyki i jadło, o jego dzieciństwo, rodziców i dziadków, i na co poumierali. Zmierzył mu tętno w przegubie i jeszcze raz na szyi, przytknął ucho do piersi i chwilę nasłuchiwał. Rob pozostał na uboczu, przyglądając się zachłannie. Kiedy wychodzili, stary Edwin podziękował mu za nakarmienie drobiu.

Najwyraźniej był to dzień poświęcony na odwiedziny u śmiertelnie chorych. Merlin zabrał go dwie mile dalej, do miasta, gdzie na zamku konała w bólach żona szeryfa.

– Jakże się dziś miewasz, pani? – spytał.

Spojrzała nań bez słowa, lecz i bez wyrzutu. Medyk pokiwał głową. Usiadł, wziął ją za rękę i zaczął z nią cicho rozmawiać, podobnie jak wcześniej ze staruszką, poświęcając na to zadziwiająco wiele czasu.

– Pomóż mi obrócić szlachetną panią – rzekł do Roba. – Delikatnie. Powolutku.

Kiedy uniósł gieżło, by obmyć wychudzone ciało, spostregli zaogniony wrzód na lewym boku. Medyk przeciął go od razu, żeby

użyć chorej. Rob stwierdził z zadowoleniem, że zrobił to tak samo, jak i jego uczono. Wychodząc Merlin zostawił flaszkę wywaru uśmierającego ból.

– Jeszcze tylko Osbern – rzekł, gdy zawarła się za nimi zamkowa brama. – Jego syn przyszedł z wieścią, że zranił się w nogę. – Uwiązał konia do wozu i przysiadł na koźle obok Roba, dla towarzystwa. – Jak tam oczy twojego krewniaka? – spytał nagle.

Należało się spodziewać, że Edgar wspomni o jego odwiedzinach. Rob poczuł, że krew uderza mu do twarzy.

– Nie chciałem go oszukiwać. Byłem ciekaw skutków zdjęcia bielma – przyznał. – A najprościej było wytłumaczyć ciekawość w taki, a nie inny sposób.

Merlin uśmiechnął się i kiwnął głową. Po drodze objaśnił Robowi metodę, jaką się posłużył przy zabiegu.

– Nie radziłbym samodzielnie wykonywać takiej operacji – rzekł z naciskiem.

Rob przytaknął skwapliwie. Nigdy by się nie odważył kroić komuś oczu!

Na każdym rozstaju Merlin wskazywał kierunek, aż w końcu zajechali do bogatej zagrody. Widać po niej było rządzą gospodarską rękę, ale sam gospodarz – rostry i krzepki wieśniak – leżał na wyścielonej siennikiem pryczy i jęczał z bólu.

– Jaką szkodę tym razem sobie zrobiłeś, Osbernie? – zapytał Merlin.

– At, boli mnie ta parszywa noga.

Merlin odrzucił przykrycie i zmarszczył czoło. Prawa noga mężczyzny była skręcona w udzie i mocno spuchnięta.

– Ano, wierzę, że boli, i to jak! Kazałeś chłopcu powiedzieć, żebym przyszedł „jak wypadnie”. Na drugi raz nie udawaj głupio bohatera, powinienem był przyjść od razu! – rzekł ostro.

Mężczyzna zamknął oczy i kiwnął głową.

– Jak to się stało i kiedy?

– Wczoraj w południe. Naprawiałem tę przeklętą strzechę i spadłem z dachu.

– Na jakiś czas ta strzecha, którą masz, będzie musiała ci wystarczyć – oznajmił Merlin. Spojrzył na Roba. – Będzie mi potrzebna pomoc. Poszukaj deski trochę dłuższej niż jego noga.

– Tylko nie wyrwij mi jej ze ściany ani płotu – warknął Osbern.

Rob wyszedł się rozejrzeć. W stodole leżało kilkanaście brzozowych i dębowych pniaków oraz obrobiona płaska sosnowa deska. Była za szeroka, ale za pomocą narzędzi Osberna miękkie drewno łatwo dało się rozszczepić.

Osbern spojrzył na niego wrogo, poznając łubki, lecz zmilczał.

– Uda ma jak byk – westchnął Merlin rzuciwszy okiem na pacjenta. – Ano, to do roboty, młodzieńcze.

Chwyć złamaną nogę w kostce i łydce i pociągnął, starając się zarazem skręcać i równać wykrzywioną kończynę. Coś lekko trzasnęło jak zgnieciony suchy liść. Chory wydał z siebie przeraźliwy ryk.

– To na nic – stwierdził po chwili medyk. – Osbern ma potężne mięśnie. Napiął je, żeby chronić nogę, a ja nie mam dość siły, żeby je rozciągnąć i nastawić kość.

– Pozwól, mistrzu, ja spróbuję – bąknął Rob.

Merlin skinął głową, najpierw jednak napił pełnym garnuszkiem miodu wstrząsanego łkaniem mężczyznę.

– Jeszcze – szepnął Osbern wychyliwszy go do dna.

Kiedy wypił drugi, Rob złapał go za nogę tak jak przedtem Merlin i pociągnął mocno, uważając, by nie szarpać. Niski głos Osberna zmienił się w jednostajny przenikliwy pisk. Merlin trzymał

go pod pachami i ciągnął w przeciwną stronę. Twarz wykrzywił mu grymas wysiłku, oczy nieomal wyszły z orbit.

– Już jest blisko! – krzyknął Rob, żeby medyk go dosłyszał przez wrzaski Osberna. – Jeszcze odrobina...!

W tejże chwili krawędzie złamanej kości zesły się ze zgrzytem. Człowiek na pryczy nagle zamilkł. Rob zerknął na niego, pewien, że zemdłał, ale Osbern był przytomny: leżał bezwładnie z twarzą mokrą od łez.

– Nie puszczaj jeszcze nogi! – zawołał pospiesznie Merlin.

Z pasów płótna zrobił coś w rodzaju temblaka, w którym zamocował stopę rannego. Potem liną przewleczoną przez uchwyt u drzwi naciągnął nogę i dopiero wtedy nałożył łubki.

– Teraz możesz puścić – sapnął.

Na wszelki wypadek przybandażowali jeszcze chorą nogę do zdrowej. Następnie Merlin pocieszył wyczerpanego pacjenta, zostawił polecenia jego pobladłej żonie i pożegnał się z bratem Osberna, który przyszedł się zająć gospodarstwem.

Wyszędłszy na podwórze spojrzeli na siebie. Byli w samych koszulach, przepoconych na wylot. Twarze błyszczały im od potu nie gorzej niż zalane łzami policzki Osberna. Medyk uśmiechnął się i klepnął Roba w ramię.

– No, to teraz zapraszam cię do siebie na wieczerzę.

– To moja żona Debora – powiedział Merlin.

Żona medyka, pulchna niewiasta o gołębiej piersi, drobnym ostrym nosku i czerwonych policzkach, na widok Roba zbladła i sztywno skinęła mu głową. Merlin wyniósł na podwórze misę ze źródlaną wodą, aby Rob mógł się odświeżyć. Podczas mycia słyszał z domu napastliwy głos kobiety terkoczącej w nieznanym mu języku. Po chwili medyk wrócił na podwórze i skrzywił się przepraszająco.

– Wybacz jej. Boi się, jak to niewiasta. Prawo zabrania nam gościć chrześcijan na świątecznych ucztach. Ale to nie będzie żadna świąteczna ucztą, tylko zwykła wieczerza. – Ochlapał wodą twarz i tors, a wycierając się do sucha, spojrzął Robertowi w oczy. – Jeśli jednak nie chcesz siadać z nami do stołu, mogę przynieść ci posiłek tutaj.

– Będę wdzięczny mogąc zjeść go z tobą, mistrzu.

Merlin skinął głową.

Dla Roba ta wieczerza wcale nie była zwykła. Do stołu prócz rodziców zasiadła czwórka małych jeszcze dzieci, córka Lea i synowie: Jonatan, Ruel i Zachariasz – przy czym chłopcy, tak jak ich ojciec, w czapkach! Gdy Debora podała ciepły jeszcze bochen chleba, Merlin skinął na Zachariasza, ten zaś odłamał kawałek i przemówił w dziwnym gardłowym języku, którym wcześniej posługiwała się kobieta.

– Odmów dziś *berachot* po angielsku przez wzgląd na naszego gościa – przerwał mu ojciec.

– Bądź pochwalony, Panie nasz i Boże, Królu Wszechświata – rzekł miłym głosem chłopiec – który nam dajesz chleb z tej ziemi. – Wręczył bochenek Robowi, który chętnie odłamał kawałek i podał go dalej.

Medyk rozlał w pucharki czerwone wino z dzbana. Rob za przykładem innych uniósł puchar. Merlin tymczasem skinął na Ruela.

– Bądź pochwalony, Panie nasz i Boże, Królu Wszechświata, który stworzyłeś owoc winnej latorośli – wyrecytował młodszy syn.

Na wieczerzę była zupa rybna gotowana na mleku – inaczej, niż robił to balwierz, ale też całkiem smaczna, Zagryźli ją jabłkami z sadu. Najmłodszy Jonatan z oburzeniem opowiedział ojcu, że króliki niszczą im kapustę.

– Musisz je wytępić – wtrącił się Rob. – Nastaw sidła, to mama zrobi z nich mięsną polewkę.

Na chwilę zapadła osobliwa cisza.

– Nie jemy królików ani zajęcy – wyjaśnił z uśmiechem Merlin – bo nie są koszerne.

Po twarzy Debory przemknął niepokój, jakby się bała, że gość potępi ich obyczaje.

– Obowiązują nas prastare prawa dotyczące żywienia. – Merlin wyłożył je w skrócie: Żydom nie wolno spożywać zwierząt, które nie przeżuwają, ani takich, które mają rozszczepione racice. Zgrzeszyliby również jedząc mięso razem z mlekiem, Biblia bowiem zakazuje gotować koźlą w mleku jego matki. Ponadto nie mogą spożywać krwi ani mięsa zwierząt, które przy uboju nie zostały doszczętnie wykrwawione i zasolone.

Rob poczuł, jak jego własna krew krzepnie w żyłach. Merlinowa miała rację: nie potrafił ich zrozumieć. To poganie! Ze ściśniętym żołądkiem słuchał, jak medyk dziękuje Bogu za bezkrwawe pożywienie.

Mimo wszystko zapytał, czy może przenocować w sadzie. Medyk wszakże nalegał, by zostawił wóz i spał pod dachem, w przylegającej do domu stodole. Wkrótce zatem Rob leżał na wonnym sianie i przez cienką ścianę nasłuchiwał wznoszącego się i opadającego głosu Debory. Uśmiechnął się smętnie w mroku, odgadując znaczenie tych niezrozumiałych słów: „Sprowadziłeś do domu jakiegoś zbója! Czy ty go znasz? Przyjrzyj się tej pokierszowanej gębie! Przyjrzyj się jego bronii! Czy zwykli ludzie noszą takie drogie miecze? On nas wymorduje we śnie!”

Po jakimś czasie Merlin wszedł do stodoły niosąc spory gąsiorek i dwa drewniane kubki. Wręczył jeden Robertowi i westchnął.

– Mimo wszystko to dobra kobieta – rzekł napełniając kubki. – Trudno jej tu żyć. Czuje się odcięta od tego, co ukochała.

Rob skosztował wina, które okazało się nad podziw mocne i dobre.

– Z jakiej części Francji pochodzicie?

– Podobnie jak to wino przyszedł na świat we wsi zwanej Falaise, gdzie nasze rodziny żyją pod łaskawą opieką Roberta z Normandii. Mój ojciec i dwaj bracia handlują winem; dostarczają je też do Anglii. Przed siedmiu laty wróciłem do Falaise z Persji, gdzie uczyłem się medycyny.

– Z Persji?! – Rob nie miał pojęcia, gdzie leży Persja, wiedział tylko, że daleko. – W której to stronie świata?

– Wschodniej – uśmiechnął się Merlin. – Szmat drogi na wschód.

– A co cię przywiało do Anglii?

Jakoż wróciwszy do Normandii po studiach medycznych, Merlin wkrótce się przekonał, że pod łaskawymi rządami księcia Roberta lekarzy namnożyło się aż nazbyt wielu. We francuskich baroniach zaś wybuchały wciąż nowe zatargi; hrabia wojował z księciem, książę z królem.

– Za młodu dwakroć odwiedziłem Londyn, towarzysząc ojcu w interesach. Zapamiętałem wówczas piękno angielskiej wsi. Zresztą cała Europa wie, że król Kanut potrafi utrzymać pokój. Postanowiłem więc przybyć do tego zacisznego zielonego kraju.

– Tettenhall dobrze cię przyjęło?

Merlin przytaknął skinieniem głowy.

– Och, są i trudności. Bez współwyznawców trudno nam się modlić jak należy, trudno też zachowywać koszer. Mówimy do dzieci w naszym języku, ale one myślą już po angielsku i mimo naszych starań nie znają wielu obyczajów swego ludu. Staram się

zachęcać innych Żydów, by przybywali tu z Francji. – Podniósł się, żeby dolać wina, lecz Rob przykrył kubek dłonią.

– Więcej niż jeden odbiera mi rozum. Wolę mieć trzeźwą głowę.

– Dlaczego mnie szukałeś, młody balwierzu?

– Opowiedz mi o tej szkole w Persji, mistrzu.

– Znajduje się w Isfahanie, mieście położonym w zachodniej części kraju.

– Po co wybrałeś się tak daleko?

– Nie miałem wielkiego wyboru. Ojciec nie chciał mnie oddać do terminu u medyka. Istotnie, choć przyznaję to z żalem, większość moich konfratrów to nikczemnicy, pozbawione sumienia pijawki. W Paryżu jest wielki przytułek zwany Hôtel Dieu, gdzie pleni się zaraza, a lamentujących chorych znosi się tam wbrew ich woli i zostawia na śmierć. Istnieje szkoła medyków w Salerno, ale to dziura. Dzięki stosunkom z innymi żydowskimi kupcami mój ojciec wiedział, że w krajach Wschodu Arabowie z leczenia uczynili sztukę. Perscy muzułmanie mają w Isfahanie szpital, gdzie ludzie naprawdę wracają do zdrowia. Tam właśnie i w małej przyszpitalnej szkole Awicenna kształci medyków.

– Kto?

– Awicenna. Największy medyk świata. Jego arabskie imię brzmi Abu Ali al-Husajn ibn Abdullah Ibn Sina.

Rob poprosił o powtórzenie melodyjnej frazy obcego imienia, starając się wyrzucić je w pamięci.

– Trudno się dostać do Persji?

– To kilka lat niebezpiecznej podróży. Morzem, a dalej lądem przez straszliwe góry i wielką pustynię. – Merlin przyjrzał mu się badawczo. – Wybij sobie z głowy perskie akademie, młodzieńcze. Ile wiesz o własnym Kościele? O problemach, z jakimi boryka się wasz papież?

– Jan? – Rob wzruszył ramionami. W istocie poza imieniem i tym, że papież stoi na czele Kościoła, nie wiedział o nim nic.

– Jan, dziewiętnasty tego imienia – przytaknął Merlin. – Miast przewodzić jednemu, dosiadł dwóch Kościołów niczym akrobata stojący na grzbietach dwóch wierzchowców. Zachód jest mu wierny, ale Wschód bez przerwy szemrze. Niecałe dwieście lat temu niejaki Focjusz obrany został patriarchą zbuntowanych katolików Konstantynopola i od tamtej pory rozłam w łonie Kościoła się nasila. Zresztą miałeś do czynienia z księżmi; spostrzegłeś pewnie, jak podejrzliwie i wrogo traktują uzdrowicieli wszelkiej maści. Uważają, że tylko oni przez modlitwę uprawnieni są do pieczy nad ludzkim ciałem, podobnie jak i duszą.

Rob chrząknął znacząco.

– Niechęć okazywana medykom przez angielskich księży jest niczym w porównaniu z nienawiścią duchownych Kościoła wschodniego do muzułmańskich lekarzy i szkół, które ich kształcą. Granicząc ze sobą, chrześcijaństwo i islam walczą bez pardonu o pierwszeństwo swej wiary. Hierarchia wschodnia widzi w arabskich uczelniach ośrodki pogaństwa i poważne zagrożenie. Piętnaście lat temu Sergiusz, będący wówczas patriarchą, ogłosił, że każdy chrześcijanin, który by pobierał nauki w muzułmańskich szkołach na Wschodzie, jest świętokradcą, odstępcą i winnym pogańskich praktyk. Pod jego naciskiem deklarację poparł rzymski papież. Świeżo wybrany namiestnik Piotrowy, Benedykt, bał się, że będzie świadkiem rozpadu Kościoła katolickiego, toteż chcąc uspokoić niezadowolony Wschód, bez oporu spełnił żądanie Sergiusza. A karą za pogaństwo jest ekskomunika.

– Surowa kara. – Rob zacisnął usta.

Medyk pokiwał głową.

– Tym bardziej że towarzyszą jej okrutne sankcje świeckie. Prawo króla Etelreda, a teraz króla Kanuta, uznało pogaństwo za ciężką zbrodnię. Ci, którym ją udowodnią, karani są bez litości. Niektórzy, zakuci w kajdany, muszą całymi latami pielgrzymować, aż kajdany przeżre rdza i same opadną. Kilka osób spłonęło na stosie. Kilka powieszono. Wielu wtrącono do lochu, gdzie siedzą do dziś dnia. Z kolei muzułmanie też nie kwapią się do nauczania wyznawców wrogiej religii. Od wielu lat szkoły we Wschodnim Kalifacie w ogóle nie przyjmują chrześcijan.

– Rozumiem – mruknął posępnie Rob.

– Może powinieneś spróbować w Hiszpanii. To europejska rubież Zachodniego Kalifatu. Obie religie tolerują się wzajemnie i studiuje tam kilku chrześcijan z Francji. Muzułmanie stworzyli wielkie uczelnie w Kordobie, Toledo i Sewilli. Jeśli ukończysz którąś z nich, będziesz chodził w glorii mędrca. Co prawda do Hiszpanii też trudno się dostać, ale znacznie łatwiej niż do Persji.

– A dlaczego ty nie pojechałeś do Hiszpanii?

– Bo Żydom wolno studiować w Persji. – Merlin uśmiechnął się szeroko. – Poza tym chciałem dotknąć rąbka szaty Ibn Siny.

– Nie mam ochoty tłuc się na kraj świata, żeby zostać mędrcom – skrzywił się Rob. – Chcę tylko być dobrym lekarzem.

Merlin dolał sobie wina.

– Nie bardzo cię rozumiem... Choć młody, nosisz szatę z dobrego sukna i broń, na którą ja nie mógłbym sobie pozwolić. Jak widać, balwierski fach ma zalety. Po co chcesz zostać medykiem? Napracujesz się znacznie ciężiej, a kto wie, czy w ogóle cokolwiek zyskasz.

– Nauczono mnie leczyć niektóre choroby. Umiem odciąć zmiążdżony palec zostawiając schludny kikut. Ale wielu ludzi przychodzi do mnie, płaci, a ja nie potrafię im pomóc. Tak niewiele

wiem. Wciąż sobie powtarzam, że gdybym wiedział więcej, niektórych mógłbym ocalić.

– Choćbyś żył nie raz, a parę razy, i przez cały czas zgłębiał tajniki leczenia, i tak nie zdołasz uzdrowić wszystkich. Ten niedosyt, o którym mówisz, nieodłącznie wiąże się z naszym rzemiosłem. Trzeba z nim żyć. Ale prawdą jest, że im lepiej wykształcony medyk, tym więcej dobrego może działać. To słuszny powód. – Merlin w zadumie wychylił kubek. – Skoro arabskie szkoły są dla ciebie niedostępne, musisz znaleźć w Anglii możliwie najlepszego medyka, który zgodzi się wziąć cię do terminu.

– Może ty znasz takiego?

Jeśli nawet Merlin zrozumiał przytyk, nie dał tego po sobie poznać. Potrząsnął głową i wstał.

– Obaj zasłużyliśmy na odpoczynek, rano jaśniej będziemy widzieć sprawę. Spokojnej nocy, młodzieńcze.

– Dobranoc, mistrzu.

Rano podjęli go kleikiem z grochu i kolejną porcją hebrajskich błogosławieństw. Posilająca się rodzina przyglądała mu się skrycie; on też ich obserwował. Debora wciąż miała zagniewaną minę. Ostre światło poranka podkreśliło leciutki wąsik nad jej górną wargą. Spod sukien Merlina i Ruela wystawały jakieś frędzle. Kleik był całkiem niezły. Merlin zagadnął Roba uprzejmie, jak mu się spało.

– Myślałem o naszej wczorajszej rozmowie. Niestety nie znam medyka, którego mógłbym ci polecić jako wzór do naśladowania.

Debora postawiła na stole koszyk soczystych jeżyn.

– Częstuj się – zachęcił go rozpromieniony Merlin. – Wyśmienicie smakują z kleikiem.

– Chciałbym się uczyć od ciebie – powiedział Rob.

Ku jego rozczarowaniu medyk pokręcił głową. Rob upewnił go prędko, że sporo już umie.

– Wczoraj ci pomogłem. Już niedługo mógłbym sam odwiedzać niektórych chorych, żebyś się nie musiał trudzić w deszcz albo zawieruchę.

– Nie.

– Sam widziałeś, mistrzu, że mam dar leczenia – ciągnął uparcie chłopak. – Jestem silny, mogę ciężko pracować, jeśli będzie trzeba. I terminować przez siedem, osiem lat albo dłużej, tak długo, jak zechcesz. – Zerwał się podniecony potrącając stół i rozlewając kleik.

– To niemożliwe – rzekł Merlin.

Rob nie wiedział, co myśleć. Był pewien, że Merlin go polubił.

– Brak mi zdolności?

– Masz ogromne zdolności. Przekonałeś mnie, że byłbyś świetnym lekarzem.

– Zatem dlaczego?

– Bo w tym chrześcijańskim kraju naraziłbym siebie i swoją rodzinę zostając twoim mistrzem.

– Czy ktoś tego zabrania?

– Tutejsi księża już mnie potępiają jako innowiercę. Żyję w ciągłym strachu, że pewnego dnia ktoś uzna mój język za stek czartowskich zaklęć albo że zapomnę ochrzcić noworodka.

– Skoro tak, wymień choć medyka, do którego mógłbym się zwrócić.

– Powiedziałem już, że nikogo nie mogę ci polecić. Anglia jest duża, z pewnością żyją tu i dobrzy lekarze, których nie znam.

Rob zacisnął usta. Jego dłoń powędrowała ku rękojeści miecza.

– Wczoraj użyłeś słów: „możliwie najlepszy”. Kto jest najlepszy ze znanych ci chrześcijańskich medyków?

Merlin westchnął z rezygnacją.

– Artur z Saint Ives – rzekł zimno i sięgnął po łyżkę.

Robert nie zamierzał dobywać broni, ale żona Merlina wpatrywała się z trwogą w jego miecz. Kiedy się poruszył, jęknęła odruchowo, pewna, że spełnią się jej najgorsze przewidywania. Ruel i Jonatan patrzyli na niego ponuro, a Zachariasz się rozpłakał.

Poczuł palący wstyd. Oto tak im się odpłacił za gościnność. Chciał przeprosić, ale nie był w stanie wykrztusić nic sensownego. W końcu więc odwrócił się od nachylonego nad miską Żyda i opuścił jego dom.

21

Zgrzybiały rycerz

Parę tygodni wcześniej próbowałby utopić wstyd i złość w dzbanie, ale nauczył się już wystrzegać trunku. Wydawało się jasne, że im dłużej go unika, tym silniej odbiera emanacje pacjentów, gdy bierze ich za ręce. Przywiązywał do tego daru coraz większą wagę.

Zamiast iść do karczmy, spędził dzień z kobietą. Zabrał ją na łąkę nad Severną, parę mil za Worcesterem, i pozostawił w niej całą swoją gorycz. Słońce grzało; trawa była prawie tak gorąca jak ich krew. Dziewczyna była szwaczką, palce miała skłute igłą, a ciało drobne i jędrne. Napatrzył mu się dosyć, kiedy poszli popływać.

– Jesteś śliska jak węgorz! – wrzasnął Rob i nagle mu ulżyło.

Pływała zwinnie niczym pstrąg; czuł się przy niej niezgrabny jak wielki morski potwór. Zanurkowali razem. Myra rozsunęła rękami jego nogi i wpłynęła między nie. Machinalnie głaskał jej smukłe blade boki. Kiedy zimna woda dała im się we znaki, znowu poszli się kochać na wygrzonym brzegu, prawie u nóg pasącej się obok Klaczki i pod baczny spojrzeniem Leotyldy. Myra miała drobne

szpiczaste piersi i jedwabiste brązowe futerko, bardzo jeszcze delikatne – była raczej dziewczką niż kobietą, choć z pewnością pokładała się już z mężczyznami.

– Ile masz lat, mała? – zapytał od niechcienia.

– Ponoć piętnaście.

Zdał sobie sprawę, że jest w wieku jego siostry, i zrobiło mu się smutno. Marian też jest już dorosła; dziś pewnie by jej nie poznał. Nagle uderzyła go myśl tak potworna, że aż zakręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że blask słońca przygasł i poszarzał.

– Zawsze cię zwali Myra?

– A jak mieliby mnie nazywać? – zdziwiła się dziewczyna.

– I urodziłaś się w tej okolicy?

– W Worcesterze. Tu mnie matka powiła i tu mi życie płynie – odpowiedziała wesoło.

Kiwnął głową i poklepał ją po ręce. Zważywszy na okoliczności mogło i tak się zdarzyć, że któregoś dnia niechący weźmie do łóża własną siostrę. Targnął nim dreszcz odrazy. Postanowił na przyszłość unikać dziewczek w tym wieku. Te ponure myśli zepsuły mu świąteczny nastrój. Zaczął zbierać ubranie.

– Musimy już iść? – spytała Myra z żalem.

– Tak, kotku – odparł. – Mam przed sobą daleką drogę do Saint Ives.

Rozmowa z Arturem okazała się kompletnym fiaskiem. Co prawda nie powinien był sobie wiele po niej obiecywać – Merlin wymienił to nazwisko dopiero, gdy go do tego zmusił. Medyk z Saint Ives był grubym brudnym staruchem, zdrowo stukniętym na umyśle. Trzymał kozy, chyba w domu, bo potwornie w nim śmierdziało.

– Tylko puszczenie krwi, młodzieńcze! – pokrzykiwał. – Zapamiętaj: to jedyna skuteczna metoda! Gdy wszystko inne

zawodzi, trzeba oczyścić ciało, puszczając krew, a potem jeszcze raz, i jeszcze. Tylko to leczy tych łotrów!

Chętnie odpowiadał na pytania Roba, lecz ilekroć rozmowa schodziła na inne poza puszczaniem krwi metody, widać było, że to młody balwierz mógłby wiele nauczyć starego medyka. Nie posiadał on wiedzy, z której Rob mógłby skorzystać, toteż młodzieniec grzecznie odrzucił propozycję, by przystąpić u niego do terminu, i z ulgą pożegnał obrażonego medyka. Zaiste, wolał nadal być balwierzem, niż stać się kimś takim.

Powiedział sobie, że jego marzenie jest nieziszczalne, i w następnych tygodniach przyłożył się solidnie do swojej pracy. Bawił ludzi, leczył ich, jak potrafił, sprzedawał sporo driakwi i zarabiał sporo grosza, co sprawiało mu niewątpliwą satysfakcję. Leotylda rosła jak na drożdżach, korzystając z jego obfitych posiłków – podobnie jak on sam za młodu korzystał z dostatku balwierza. Była teraz dużą białą kocicą o bezczelnych zielonych oczach i najwyraźniej miała się za lwicę, jak można było sądzić z ustawicznie toczonych przez nią bojów. W Rochester zniknęła w czasie przedstawienia i wróciła kulejąc dopiero o zmierzchu. Miała pogryzioną przednią łapę, wyrwany kawałek ucha, futerko pozlepiane krwią. Rob obmył i opatrzył jej rany tkliwie jak kochanek.

– Ach, moja pani! – westchnął. – I cóż ci dają te awantury? Weź przykład ze mnie i naucz się wreszcie ich unikać.

Napoiwszy kotkę mlekiem usiadł przy ognisku i wziął ją na kolana. Liznęła go w palec szorstkim jak tarka języczkiem. Może została mu tam kropla mleka albo pachniał jadłem? Postanowił jednak uznać to za pieszczotę. Pogłaskał miękkie futerko, wdzięczny za towarzystwo.

– Gdybym tylko mógł się dostać do saraceńskiej szkoły – rzekł – wsadziłbym cię na wóz, obrócił Klaczkę nosem w stronę Persji i nic nie stanęłoby nam na drodze.

Abu Ali al-Husajn ibn Abdullah Ibn Sina...

– Niech cię diabli, medyku – powiedział z goryczą i poszedł spać.

Zgłoski tego imienia brzęczały mu w głowie niczym tajemnicza natrętna litania. Abu Ali al-Husajn ibn Abdullah Ibn Sina, Abu Ali al-Husajn ibn Abdullah Ibn Sina... Powtarzał je w myśli, aż w końcu ich melodia ukołysała go do snu.

Przyśniło mu się, że toczył bój na noże z ohydnyim starym rycerzem. Jego poczerniałą zbroję pokrywała rdza i pleśń. Starzec drwił sobie z niego puszczając smrodliwe wiatry. Kiedy zwarli się w walce, Rob ujrział ropę i smarki ciekące z kościstego nosa, poczuł cuchnący oddech zjawy, a gdy zajrzał w jej bezlitosne oczy, zrozumiał, że walczą na śmierć i życie. Był młody i silny, lecz tamten mocno dzierżył sztylet, a jego zbroja wydawała się nie do przebicia. Za plecami rycerza widział jego ofiary – matkę, ojca, Sama, balwierza; nawet konia Tatusa i niedźwiedzia Bartrama. Wściekłość dodawała mu sił, choć czuł, że lada chwila nieubłagane ostrze zanurzy się w jego ciele.

Obudził się mokry. Po nocnym koszmarze koszulę miał zwilgłą od potu, suknię zaś od porannej rosy. Leżąc w słońcu i słysząc radosny śpiew drozda tuż na uchem zrozumiał nareszcie, że to był tylko sen, a on żyje. Ale nadal musi toczyć przerwana walke.

Umarli nie wrócą, na to nie ma rady. Czy jednak mógłby znaleźć lepszy cel w życiu niżli obronę żywych przed zgrzybiałym rycerzem? Medycyna mogła mu w pewnym sensie zastąpić utraconą rodzinę. Głaszcząc kotkę, która otarła się o niego zdrowym uchem, poprzysiągł, że się nie podda.

Nieraz czuł się zniechęcony. Odwiedził kolejno Northampton, Bedford i Hertford i w każdym z tych miast rozmawiał z miejscowymi medykami. Razem wzięta, ich wiedza lekarska nie umywała się do umiejętności jego dawnego mistrza. W miasteczku Maldon na wzmiankę o medyku ludzie bledli i żegnali się znakiem krzyża. Niewiele zyskałby, ucząc się od takich znawców. Przyszło mu na myśl, że może inny Żyd okaże się śmielszy od Merlina. Zatrzymał się na rynku, obok grupki mularzy pracujących przy budowie.

– Są tu jacyś Żydzi? – zagadnął majstra.

Mężczyzna spojrział na niego, splunął i odwrócił się. Podobnie reagowali inni mieszkańcy Maldon. W końcu któryś przechodzień przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

– Na co ci potrzebni Żydzi?

– Szukam żydowskiego medyka.

Mężczyzna kiwnął głową ze współczuciem.

– Niechże Bóg ma nad tobą litość – westchnął. – W Malmesbury są Żydzi i mają tam medyka. Nazywa się Adolescentoli.

Z Maldon jechał do Malmesbury pięć dni, zatrzymując się po drodze w Oksfordzie i Alverton, gdzie przyjmował chorych i sprzedawał driakiew. Nazwisko Adolescentolego nie było mu obce; wspominał o nim balwierz, toteż Rob pełen nadziei wjeżdżał do niewielkiej, chaotycznie porozrzucanej miejscowości pogrążającej się już w wieczornym zmierzchu. Zatrzymał się w gospodzie, gdzie zjadł niewyszukaną, lecz pożywną wieczerzę. Podawana tu duszona baranina nie znalazłaby uznania u jego mistrza – karczmarz oszczędzał na soli i przyprawach, lecz na szczęście nie skąpił mięsa. Pojadłszy, Rob zapłacił za wiązkę świeżej słomy, którą rozścielił sobie w kącie izby.

Nazajutrz przy śniadaniu zagadnął gospodarza o Żydów z Malmesbury. Ten wzruszył tylko ramionami, jakby pytał: „O czym tu mówić?”

– Jestem ciekaw, bo do niedawna w ogóle nie znałem Żydów.

– Bo też niewielu ich u nas osiadło – rzekł karczmarz. – Mój szwagier, który ma statek i pływa nim do różnych krajów, powiada, że we Francji to się aż od nich roi, a im dalej na wschód, tym ich więcej.

– A mieszka tu pomiędzy nimi medyk zwany Adolescentolim?

– To nie tak. – Karczmarz zachichotał. – To nie on mieszka między nimi, a oni tłoczą się wokół niego, korzystając z jego sławy.

– Jest aż tak sławny?

– To wielki medyk. Ludzie przyjeżdżają do niego z daleka i zatrzymują się w mojej gospodzie – pochwalił się karczmarz. – Księża oczywiście odsadzają go od czi, ale... – przytknął palec do ust, pochylił się i zniżył głos – wiem, że przynajmniej dwa razy wieźli go ciemną nocą do Canterbury, do biskupa Etelnoda, bo zeszłego roku było z nim kiepsko.

Wskazał Robertowi drogę do żydowskiej osady, położonej tuż za granicą ziem opactwa Malmesbury. Rob minął szary kamienny klasztor, las, pola i wspinając się po nasłonecznionym zboczu winnicę, w której mnisi zbierali grona. Dalej za zagajnikiem tulił się do siebie tuzin domów. Ludzie mieli na sobie luźne czarne chałaty i skórzane czapki o dzwonowatym kształcie. Kilku cięto deski i stukało młotami budując jakąś szopę. Rob zajechał pod większy od innych budynek z dużym majdanem zatłoczonym wozami i końmi.

– Szukam Adolescentolego – rzekł do jednego z paru chłopców doglądających koni.

– Jest w lecznicy, o tam. – Chłopiec zręcznie chwycił rzuconą przez Roba monetę i zapewnił go, że dopilnuje Klaczki.

Drzwi prowadziły do obszernej poczekalni zastawionej ławami, na których siedzieli chorzy. Czekali w kolejce tak samo jak pacjenci Roba, choć tu było ich znacznie więcej. Wszystkie miejsca na ławach były zajęte, Rob oparł się więc o ścianę.

Co pewien czas kolejne drzwi wiodące w głąb domu się otwierały, wyglądał z nich mężczyzna i wzywał chorego siedzącego z brzegu na najbliższej ławie. Reszta przesuwiała się o jedno miejsce. Medyków było pięciu – czterech młodych i zwinny niski mężczyzna w średnim wieku, w którym Rob domyślił się słynnego mistrza.

Czekał bardzo długo. Tłok w poczekalni bynajmniej się nie zmniejszał, chociaż bowiem medycy coraz to przywoływali chorych, z zewnątrz wchodzili nowi. Dla zabicia czasu Rob starał się zgadywać, co komu dolega. Zanim dotarł do czoła kolejki, minęło południe. W drzwiach pojawił się jeden z młodszych medyków i skinął na Roba.

– Pozwól ze mną – rzekł. Miał silny francuski akcent.

– Chcę się widzieć z mistrzem Adolescentolim.

– Jestem jego uczniem, zwę się Mojżesz ben Abraham. Potrafię się tobą zająć.

– Na pewno leczyłbyś mnie rzetelnie, gdybym był chory. Ale przyszedłem do waszego mistrza w innej sprawie.

Młodzieniec kiwnął głową i skinął na następnego pacjenta.

Chwilę później pojawił się Adolescentoli. Wprowadził Roba do ciasnego korytarzyka, skąd przez niedomknięte drzwi można było dojrzeć wewnątrz izby zabiegowej z długą ławą, kubłami i narzędziami. Oni jednak siedli w małej komórcie pozbawionej mebli z wyjątkiem niewielkiego stołu i dwóch zydli.

– Z czym przyszedłeś, młodzieńcze? – zapytał medyk.

Na jego ciemnej, przystojnej, choć kamiennie poważnej twarzy odmalowało się zaskoczenie, gdy Robert, miał opisać mu swe dolegliwości, bąknął nerwowo, że chce się uczyć medycyny. Być może ich rozmowa skończyłaby się inaczej, gdyby zaciekawiony Rob nie palnął bez namysłu:

– Dawno mieszkasz w Anglii, mistrzu?

– Czemu pytasz?

– Bo tak dobrze władasz naszym językiem.

– Urodziłem się w tym domu – rzekł spokojnie medyk. – Na imię mam Izaak, Adolescentoli to przydomek. Siedemdziesiąt lat po narodzinach waszego Chrystusa cesarz Tytus zburzył Świątynię w Jerozolimie. Zabrał wtedy do Rzymu pięciu młodych żydowskich jeńców. Mówiono o nich *adolescentoli*, „młodzieńcy”. Jestem potomkiem jednego z nich, Józefa, który uzyskał wolność wstępując do rzymskiego Drugiego Legionu i z nim przybył na tę wyspę, zamieszkaną wówczas przez niskich ciemnoskórych Sylurów, którzy pływali czółnami ze skór i jako pierwsi nazywali się Brytami. Czy twój ród równie dawno osiadł w Anglii?

– Nie zaręczę.

– A przecież też nieźle władasz naszym językiem – rzekł gładko Adolescentoli.

Speszony Rob opowiedział mu o spotkaniu z Merlinem, nie wdając się wszak w szczegóły.

– Czy i ty także pobierałeś nauki u tego wielkiego perskiego lekarza z Isfahanu?

Adolescentoli pokręcił głową.

– Studiowałem w Bagdadzie. Tamtejsza uczelnia jest większa, ma lepszą bibliotekę i liczniejszych wykładowców, choć oczywiście brak tam Awicenny, którego muzułmanie nazywają Ibn Siną.

Opowiedział Robertowi o swoich uczniach. Trzej pochodzili z Francji, czwarty z Salerno.

– Woleli mnie od Awicenny czy innego Araba – rzekł dumnie Adolescentoli. – Szkoda, że nie mają tu dostępu do tytu dzieł co w Bagdadzie, ale kilka posiadam na własność; na przykład *Księgę Pijawek* spisana podług nauk Aleksandra z Tralles i podająca ponadto metody sporządzania maści oraz ciepłych i zimnych okładów. Muszą sobie przyswoić jej zawartość, podobnie jak niektóre łacińskie pisma Pawła z Eginu oraz pewne dzieła Pliniusza. Zanim ich uwolnię, każdy umie znajdować, nacinać i przyżegać arterie krwionośne, a także zdjąć zaćmę z oka.

Robert poczuł dojmującą tęsknotę podobną trochę do tej, jaka dręczy mężczyznę, gdy patrzy na niewiastę, której mocno pożąda.

– Przyszedłem prosić, żebyś mnie przyjął na naukę, mistrzu.

Adolescentoli spojrział na niego z ukosa.

– Tego się domyśliłem. Ale cię nie przyjmę.

– Jak mogę cię przekonać?

– Nie możesz. Musisz poszukać nauczyciela wśród chrześcijan albo pozostać balwierzem – rzekł medyk twardo, choć w jego głosie nie było wrogości.

Może kierowały nim te same pobudki co Merlinem, ale tego Rob się już nie dowiedział. Rozmowa była zakończona. Adolescentoli odprowadził go do drzwi lecznicy i obojętnie skinął mu głową na pożegnanie.

Dwa dni później w Devizes upuścił piłkę podczas żonglowania – po raz pierwszy, odkąd opanował tę sztukę. Widzowie śmiali się do rozpuku, lecz nie stracił w ich oczach; wielu przyszło po poradę lub kupiło driakiew. Kolejka zbliżała się już do końca, gdy za parawan wszedł rówieśnik Roba, młody rybak z Bristolu. Był

potwornie wychudzony, sikał krwią i – jak stwierdził – wiedział, że umiera.

– Nie możecie mi jakoś pomóc? – spytał.

– Jak cię zwa? – zagadnął go cicho Rob.

– Hamer.

– Przypuszczam, że masz guz w trzewiach, Hamer. Ale nie mogę rzec tego z całą pewnością. Poza tym nie potrafię cię wyleczyć ani nawet ci ulżyć.

Balwierz sprzedałby mu kilka flaszek driakwi.

– W moim leku najwięcej jest syconego miodu, który taniej kupisz gdzie indziej – dodał nie wiedząc czemu. Nigdy dotąd nie zdradził tego pacjentowi.

Rybak podziękował i odszedł.

Adolescentoli albo Merlin umieliby więcej dla niego zrobić, pomyślał Rob z goryczą. Tchórze. Dranie. Nie chcą go uczyć i już. Dla nich sprawa się kończy. A tymczasem przeklęty zgrzybiały rycerz śmieje mu się w nos.

Wieczorem złapała go gwałtowna burza z wichrem i ulewą. Był drugi dzień września, za wcześnie na jesienne deszcze, lecz dla burzy widać nie miało to znaczenia. Przemoczony i zmarznięty, zawrócił do gospody w Devizes, uwiązał Klaczkę pod rozłożystym dębem na podwórzu i czmychnął pod dach. Nie był pierwszy; podłoga w ciepłej izbie była już zajęta do ostatniego skrawka.

Rob wypatrzył w ciemnym kącie zmęczonego mężczyznę trzymającego na kolanach wypchane kupieckie juki. Gdyby nie zahaczył o Malmesbury, zapewne nie zwróciłby na niego uwagi, teraz jednak poznał czarny chałat i spiczasto zakończoną skórzaną czapkę.

– W czas takiej burzy Pan Jezus zginął na krzyżu – powiedział głośno.

Szmer rozmów przycichł, a gdy podjął opowieść o Męce Pańskiej, ucichł całkiem. Podróżni tak jak wszyscy lubią się rozerwać ciekawą historią. Ktoś przyniósł mu piwa. Kiedy relacjonował scenę, w której tłuszcza woła: „Ukrzyżuj go!” siedzący w kącie Żyd jakby się skulił. Nim dotarł do wydarzeń na Golgocie, kupiec zabrał juki i wymknął się w deszczową noc. Rob przerwał opowieść i zajął wygrzane przez niego miejsce.

Przepędzenie Żyda nie dało mu jednak większego zadowolenia niż ongiś napojenie balwiera ohydną driakwią. W izbie śmierdziało mokrym sukniem i niemytymi ciałami, toteż wkrótce zrobiło mu się niedobrze. Gdy deszcz zaczął ustawać, wyszedł na zewnątrz, do wozu i swoich zwierząt.

Wyjechał drogą za osadę i zatrzymał się na polanie, gdzie ponownie wyprzągnął Klaczkę. W wozie miał suche szcypki, dzięki którym udało mu się rozpalić ogień. Leotylda była jeszcze za młoda na macierzyństwo, ale chyba wydawała już woń samiczki, bo w mroku poza kręgiem ognia zabrzmiał kuszący zew jakiegoś kocura. Rob cisnął patyk, żeby go odpędzić. Biała kotka otarła się o niego przymilnie.

– Oboje jesteście nietowarzyscy – rzekł do niej.

Postanowił, że choćby miało mu to zająć całe życie, będzie szukał dotąd, aż znajdzie porządnego medyka, który zgodzi się wziąć go do terminu. Choćby nawet i Żyda, pomyślał. Dwaj mu odmówili, ale przecież są inni.

– Przyjęliby mnie, gdybym się podał za ich rodaka – zwierzył się kotce.

I tak to się zaczęło; nawet nie marzenie, a fantastyczny pomysł rzucony ot tak, do kociego ucha. Rob zdawał sobie sprawę, że nie znając języka ani obyczajów, nie zdoła wywieść w pole żydowskiego mistrza, ale...

Siadł wygodnie przy ognisku i zapatrzył się w płomienie. Leotylda natychmiast wywróciła się na grzbiet, podsuwając mu jedwabisty brzusek. Pogłaskał ją machinalnie. Bzdurny z pozoru projekt zaczął przybierać kształt.

– Ale Saracenów mógłbym chyba przechytrzyć?

Skierowane do kotki pytanie Rob zadał w istocie sobie samemu, i Bogu.

Uczyć się u największego medyka na świecie...

Oszołomiony tą zuchwałą myślą puścił kotkę. Obrażona, wskoczyła do wozu i po chwili wywlokła stamtąd coś, co wyglądało jak puszysty gryzoń, okazało się zaś sztuczną brodą, którą nosił odgrywając jurnego starucha. Odebrał brodę kotce i przyjrzał się jej z namysłem. Skoro mógł udawać starca, to dlaczego nie Żyda? Wzorowałby się na kupcu z gospody w Devizes i tamtych z Malmesbury...

– Będę Żydem! – wykrzyknął.

Na szczęście w pobliżu nie było żywej duszy. Mógłby zostać posądzony o konszachty z sukubem.

Ale Rob nie bał się księży.

– Szczam na tych złodziei dzieci – oznajmił kotce.

Miał już zaczątki brody; zapuści ją po pierś. Będzie mówił, że jak synowie Merlina wychowywał się na obczyźnie i nie zna języka ani obyczajów swego ludu. Pojedzie do Persji i też dotknie rąbka szaty Ibn Siny.

Podniecony i przerażony, zawstydził się nagle, że drży, choć przecie jest dorosłym mężczyzną. Przypomniał sobie chwilę, gdy pierwszy raz w życiu wyjeżdżał za Southwark.

Ponoć wszędzie jest pełno tych żydowskich przeklętników. W podróży więc nie będzie ich unikał i dobrze im się przyjrzy. Zanim dotrze do Isfahanu, pozna ich obyczaje na tyle, by samemu

udawać jednego z nich. A wtedy Ibn Sina będzie mógł go przyjąć do swojej szkoły i odsłonić przed nim bezcenne arkana saraceńskiej medycyny.

Długa droga na Wschód

22

Wyprawa

Najwięcej statków odpływało z Londynu, toteż Rob zawrócił do swego rodzinnego miasta. Po drodze przystawał w każdej niemal osadzie, chcąc zarobić jak najwięcej grosza na tak długą podróż – zanim więc przybył do stolicy, sezon morskich rejsów dobiegł końca. Tamiza jeżyła się masztami zakotwiczonych statków. Król Kanut, który wszak pochodził z Danii, zbudował sobie flotę wikińskich drakkarów, które cięły wodę zaiste niczym smoki. Tym budzącym przestach okrętom wojennym towarzyszyły w porcie pojemniejsze, stateczne transportowe knary oraz rój innych, mniejszych i większych jednomasztowych długich łodzi będących dla kupców z Północy powszechniejszym wierzchowcem niż koń. Ale na tym nie koniec: stały tu również długie galery z Południa i zwrotniejsze od nich statki o skośnych żaglach, płaskodenne barki do przewozu ziarna, a także całe mnóstwo rozmaitych łodzi rybackich. Wszystkie były puste i mocno przycumowane do nabrzeża, zaczynały się już bowiem zimowe sztormy. W nadchodzących surowych miesiącach mróz nieraz zetnie słońca mgiełką nad Kanałem. Wyprawa na wąski, kotłujący się przesmyk, w którym Morze Północne zlewało się z oceanem, równała się praktycznie samobójstwu.

Rob zaszedł „pod Śledzia”, do karczmy na nabrzeżu, w której spotykali się żeglarze. Osuszywszy garniec korzennego jabłecznika wstał, walnął nim o stół i zawołał:

– Szukam czystej ciepłej izby do czasu, gdy wiosną zaczną się żegluga. Słyszał ktoś o takim miejscu?

Niski krępy mężczyzna o posturze mastifa przyjrzał mu się dopijając własny trunek, po czym kiwnął głową.

– A i owszem – powiedział. – Mój brat zginął w ostatnim rejsie. Została po nim wdowa i dwoje małych dzieci do wykarmienia. Jeśli jesteś gotów uczciwie zapłacić, chętnie cię przyjmie.

Rob postawił mu kolejkę, a potem udał się z nim niedaleko, do małego domku nieopodal targu na wschodniej Cheapside. Wdowa o imieniu Winhilda okazała się chudziutką niepozorną myszką o wielkich, zmartwionych niebieskich oczach w bladej dziewczęcej twarzy. Izdebka, którą chciała mu odnająć, była bardzo ciasna, ale przynajmniej czysta.

– Mam kota i konia – zastrzegł.

– Kot to się nawet przyda – odparła skwapliwie kobieta. Widać było, jak bardzo zależy jej na zarobku.

– A konia można na zimę umieścić w stajni – poddał jej szwagier.

– Choćby u Egglestana, tu zaraz, nad Tamizą.

Rob kiwnął głową.

– Znam to miejsce – powiedział.

– Jest kotna – stwierdziła Winhilda biorąc Leotyldę na rękę.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Rob patrząc na smukły brzusek kotki.

– Chyba jeszcze za młoda? Urodziła się tego lata.

W odpowiedzi gospodyni wzruszyła tylko ramionami.

Jak się okazało, miała słuszność; już niebawem naocznie mógł się o tym przekonać. Podkarmił więc kotkę, nie zapominając wszakże o Winhildzie i jej dzieciach. Córeczka, którą karmiła jeszcze piersią,

miała na imię Aldyta, a jej niespełna dwuletni braciszek – Edwin. Rob z przyjemnością znosił im z targu różne smakołyki. Sam dobrze pamiętał, jakie cuda czyni dobre jedzenie po długim poście.

Wieczorami słyszał płacz kobiety. Dwa tygodnie później przysła do niego w nocy, bez słowa położyła się obok i objęła go szczupłymi ramionami. Milczała aż do końca. Zaciekawiony, skosztował jej mleka i stwierdził, że jest słodkie.

Gdy ochłonęli, wróciła cichutko do własnego łóża, a nazajutrz ani słowem nie nawiązała do tego, co między nimi zaszło.

– Jak zginął twój mąż? – zapytał, kiedy nałożyła mu owsianki.

– Był sztorm. Wulf, jego brat, ten, który cię tu przyprowadził – dodała wyjaśniająco – mówi, że zmyło go za burtę. Nie umiał pływać.

Jakiś czas później znów skorzystała z jego ciała, ściskając go w rozpaczliwym zapamiętaniu. A potem Wulf, jej szwagier, najwyraźniej zebrał się wreszcie na odwagę i przyszedł z nią pomówić. Odtąd zjawiał się co dzień; przynosił różne drobne podarunki i bawił się z dziećmi, choć było jasne, że zaleca się do matki. W końcu Winhilda zwierzyła się Robertowi, że zamierzają się pobrać. Odetchnął. Mógł teraz spokojniej oczekiwać wiosny.

W czasie wyjątkowo gwałtownej zadyмки asystował przy porodzie: Leotylda powiła czworo pięknych kociąt – dwoje białych jak ona i dwa łaciate czarno-białe kocurki, które zapewne wdały się w ojca. Rob nie zdobył się na to, żeby je potopić. Winhilda chciała go wyręczyć; odmówił. Gdy podrosły, wsadził je do koszyka i udał się w kurs po gospodach. Kosztowało go to parę dzbanów miodu, ale rozdał wszystkie.

W marcu na nabrzeża wrócili niewolnicy używani do ciężkich robót. Nad Tamizą ponownie zaroili się ludzie; długie rzędy tragarzy i dwukołowych wózków ścigały do portowych składów

i okrętowych ładowni towar przeznaczony do sprzedaży w obcych krajach.

Wypytawszy ludzi mających doświadczenie w podróżach na kontynent, Rob doszedł do wniosku, że powinien się dostać do Calais.

– My płyniemy do Calais – powiedział mu Wulf i zabrał go do portu, żeby mu pokazać „Królową Emmę”. Ciężka drewniana balia z wysokim masztem nie dorównywała wspaniałością swojej nazwie, ale wydawała się godna zaufania. Tragarze wnosili pod pokład kosze cyny wydobytej w Kornwalii. Wulf przedstawił Roba dowódcy, Walijczykowi o posępnym obliczu. Zapytany, czy weźmie pasażera, kiwnął głową i wymienił cenę, która wydała się uczciwa.

– Mam konia i wóz – zastrzegł Rob.

Szyper zmarszczył czoło.

– A to już cię będzie kosztować znacznie drożej. Zamiast wlec zwierzęta i wozy przez morze, niektórzy podróżni sprzedają je tutaj i kupują nowe na tamtym brzegu.

Rob zastanowił się głęboko, lecz w końcu postanowił zapłacić wygórowaną stawkę. Zamierzał w podróży wykonywać swe rzemiosło, a na Klacze, podobnie jak na swoim wozie, mógł polegać. Wątpił, czy prędko zdoła nabyć we Francji równie dobry zaprzęg.

W kwietniu pocięła i nareszcie pierwsze statki zaczęły wypływać z portu. Jedenastego dnia miesiąca także i „Królowa Emma”, żegnana ze łzami przez Winhildę, wyciągnęła kotwicę z mułu Tamizy. Wiał chłodny, ale niezbyt mocny wiatr. Rob przyglądał się, jak Wulf z siedmioma innymi żeglarzami ciągnie liny stawiając olbrzymi czworokątny żagiel, który natychmiast wydał się z łopotem. Wyruszyli z odpływem. Wyładowana cyną „Królowa Emma” dotarła do ujścia Tamizy, ociążale przepęzła pomiędzy

lądem a wyspą Thanet i zygzakowatym kursem, żeby łapać tylny wiatr, popłynęła na drugi brzeg Kanału.

Oddalający się zielony brzeg Anglii poszarzał, stopniowo rozmył się w błękitnej mgiełce, aż w końcu została z niego tylko liliowa smużka tonąca w morzu. Rob nie miał jednak głowy do podniosłych myśli. Morska słabość nicowała mu wnętrzości. Mijając go, Wulf przystanął i pogardliwie splunął za burtę.

– Na rany Chrystusa! Pogoda jak oko, morze jest spokojne, a statek siedzi tak głęboko, że nawet nim nie kiwa. Co z tobą?

Ale Rob nie mógł mu odpowiedzieć, bo właśnie znów przewiesił się przez burtę, żeby nie zapaskudzić pokładu. Poza wszystkim innym był przerażony. Nigdy nie był na morzu, za to nasłuchiwał się co niemiara historii o topielcach – najpierw od Edyty z Exmouth, której morze zabrało męża i synów, a potem od Winhildy, też wdowy po żeglarzu. Oleista toń, do której wymiotował, bezdenna i nieprzejrzysta, łącno mogła pomieścić wszelkie straszliwe monstra. Gorzko wyrzucał sobie brawurę, która popchnęła go w ten obcy żywioł. Na domiar złego wiatr przybrał na sile i po morzu zaczęły się przetaczać wielkie fale. Myśl, że już wkrótce śmierć położy kres jego cierpieniom, przyniosła Robertowi ulgę.

Po jakimś czasie Wulf próbował go namówić na zjedzenie pajdy chleba z solonym smalcem. Rob był pewien, że czyni to z zemsty – widocznie Winhilda przyznała mu się do nocnych odwiedzin w łóżu swego lokatora. Ale nie miał nawet tyle sił, by odpowiedzieć.

Po siedmiu długich jak wieczność godzinach nad kołyszącym się widnokregiem pokazała się inna mgiełka, z której powoli wyłoniło się Calais.

Wulf pożegnał go krótko, bo był zajęty żaglem. Rob sprowadził Klaczkę z wozem po chybotliwym trapie na ląd, który – jak się okazało – falował nie mniej niż morze. Rob usiłował sam siebie

przekonać, że ziemia Francji nie może się kołysać; o takim dziwactwie z pewnością byłby słyszał. Istotnie, po paru minutach wydała mu się jakby nieco twardsza. Ale co dalej? Nie miał pojęcia, dokąd powinien się teraz udać. Na domiar złego posługiwano się tu obcą, swiergotliwą mową, z której nie rozumiał ani słowa. W końcu zatrzymał się, wlaź na wóz i zaklaskał w ręce.

– Najmę kogoś, kto zna mój język! – zawołał.

Z rojącego się wokół tłumu wyszedł jakiś staruszek. Miał chudą ściągniętą twarz, cienkie kończyny i cały wyglądał jak kościotrup, co nie rokowało mu zarobku przy dźwiganiu towarów. Zauważył nienaturalną bladość Roba i w oku błysnął mu kpiarski ogień.

– Może pogadamy nad dzbankiem czegoś leczniczego? – zagaił. – Na kłopoty z żołądkiem najlepszy jest jabłecznik.

Znajoma saska angielszczyzna zabrzmiała w uszach Roba jak błogosławieństwo.

Zatrzymali się przy najbliższej gospodzie i usiedli na zewnątrz, przy stole zbitym z szorstkich sosnowych desek.

– Mam na imię Ludwik – stary podniósł nieco głos, przekrzykując gwar dochodzący z nabrzeża – a zwą mnie Charbonneau.

– Robert Jeremiasz, po ojcu Cole.

Kiedy podano im mocny cydr, wypili na zdrowie i okazało się, że Charbonneau miał rację. Trunek rozgrzał Robowi żołądek, przywracając go do grona żywych.

– Chyba będę mógł coś zjeść – rzekł zdziwiony.

Jego towarzysz wydał polecenia i po chwili usługująca dziewczyna przyniosła im chrupiący chleb, miskę małych zielonych oliwek i owczy ser, którego smak pochwaliby sam świętej pamięci Henryk Croft.

– Rozumiesz teraz, człowiecze, dlaczego trzeba mi pomocy – westchnął żałośnie Rob. – Nie potrafię nawet zamówić jedzenia.

Charbonneau się uśmiechnął.

– Całe życie pływałem w tę i nazad przez Kanał. Byłem jeszcze młodziekiem, kiedy mój pierwszy statek zawinął do Londynu, ale dobrze pamiętam, jak wtedy tęskniłem za dźwiękiem ojczystej mowy.

Będąc w Anglii tak częstym gościem, dodał, zdążył dobrze poznać tamtejszy język.

– A ja jestem balwierzem – przedstawił się Rob. – Jadę do Persji po rzadkie leki i uzdrawiające zioła, żeby je wysłać do Anglii. – Już wcześniej ułożył sobie taką wersję, nie chcąc wyjawiać prawdziwego powodu podróży do Isfahanu, który ściągnąłby na niego powszechne potępienie.

– Daleko! – Stary żeglarz ze zdziwieniem uniósł brwi.

Rob kiwnął głową.

– Potrzebny mi przewodnik, który jednocześnie będzie tłumaczem, tak żebym po drodze mógł dawać przedstawienia, sprzedawać leki i przyjmować chorych. Nie poskąpię mu zapłaty.

Charbonneau wyjął z miski oliwkę i położył ją na ciepłym od słońca blacie.

– To jest Francja – powiedział. Wziął drugą oliwkę. – Tu cesarstwo niemieckie, w którym rządzą Sasi. – Kładł kolejne oliwki, aż było ich w rzędzie siedem. – Tu, nieco na uboczu, słowiańskie Czechy zwane również Bohemią. Dalej ziemie Madziarów, ochrzczonych, lecz wciąż dzikich konnych wojowników. Dalej Bałkany, kraj urwistych gór i rosnących porywczych ludzi. Za nimi rozciąga się wielkie cesarstwo basileusów ze stolicą w Konstantynopolu. Na wschód od niego leży Persja, do której się wybierasz... – Z namysłem spojrzął na Roba. – Pochodzę z Lotaryngii, znam mowę Teutonów. Jeśli zatem mnie najmiesz, przeprowadzę cię aż dotąd... –

Wziął dwie pierwsze oliwki i wrzucił je do ust. – Potem będę cię musiał zostawić, żeby przed następną zimą wrócić do Metz.

– Stoi – rzekł z ulgą Rob.

Lotaryńczyk uśmiechnął się szeroko i zamówił następny dzbanek jabłeczniaka. Rob tymczasem uroczyście spożył pozostałe pięć oliwek, wyjadając sobie drogę aż do Persji.

23

Obcy w obcym kraju

Francja nie była tak zielona jak Anglia; miała raczej nasycony błękitny odcień. Więcej tu było słońca, a niebo wydawało się wyższe. Tak jak w Anglii, kraj w większości porastały lasy. Napotykali wśród nich schludne gospodarstwa, a od czasu do czasu już z dala widać było kamienne wieżycy rycerskich siedzib, podobne do tych, które Rob oglądał także w swojej ojczyźnie. Na łąkach pasło się bydło, chłopci obsiewali właśnie pola pszenicą.

Niemal co dzień Rob dostrzegał tu coś, co go zdumiewało.

– Na co wam stodoły, w których nie ma dachów?

– Pada tu rzadziej niż w Anglii, toteż niektórzy młóćą ziarno w otwartych zagrodach – wyjaśnił Charbonneau.

Stary jechał na wielkim, spokojnym, prawie białym siwku. U pasa miał sztylet i miecz, dobrze utrzymane, acz bez wątpienia nieraz już będące w użyciu. Co wieczór starannie oporządzał wierzchowca, a potem czyścił i ostrzył broń. Miłe usposobienie czyniło zeń dobrego towarzysza tak na drodze, jak przy ognisku.

Każde gospodarstwo miało sad tonący teraz w kwieciu. Rob zatrzymał się w paru miejscach, chcąc dokupić trunku. Meteglinu nie znalazł, nabył więc beczułkę jabłeczniaka, który tak mu zasmakował w Calais. Driakiew tylko na tym zyskała.

I tu, jak wszędzie, najlepsze drogi pochodziły z czasów rzymskich. Zbudowane dla wojska szerokie, proste jak strzelił gościńce biegingy od miasta do miasta, przecinając cały kraj.

– Cały świat! – wykrzyknął Charbonneau. – Jeśli chcesz, możesz nimi zajechać choćby i do Rzymu.

Rob jednak wkrótce zjechał z rzymskiej drogi, zbacając do wioski o nazwie Caudry.

– Leśne dukty nie są bezpieczne. – Lotaryńczyk pokręcił głową z dezaprobatą.

– To jedyne drogi do mniejszych osiedli, a ja muszę wykonywać swe rzemiosło. Gram na rogu, żeby nie wzięli mnie za opryszka. Zawsze tak robiłem.

Stary wzruszył tylko ramionami.

Chaty w Caudry kryte były stożkową strzechą ze słomy lub gałęzi. Niewiasty gotowały pod gołym niebem i przy większości domów w pobliżu paleniska stały zbite z desek stoły i ławy, ocienione przed słońcem prowizorycznym daszkiem opartym na czterech drewnianych palach. Nie sposób byłoby pomylić Caudry z angielską wsią, lecz Rob, niewiele się tym przejmując, rozpoczął tak samo jak we własnym kraju.

Wręczył Charbonneau bębenek i kazał mu bębnić. Francuz usłuchał z rozbawioną miną, gdy jednak Klaczka zatańczyła w takt, w jego oczach błysnął podziw.

– Dziś przedstawienie! – wołał Rob.

Charbonneau w lot pojął, o co chodzi, i natychmiast tłumaczył każde jego słowo.

Występy we Francji były dla Roberta przedziwnym doświadczeniem. Ludzie śmiali się z tych samych historyjek, ale w innych miejscach – możliwe, że przez poślizg spowodowany tłumaczeniem. W czasie pokazu żonglerki nawet Charbonneau stał

jak zaczarowany, a wykrzykiwane przez niego zachwyty zarażały widzów, toteż aplauz był zaiste żywiołowy. Przy okazji sprzedali mnóstwo driakwi.

Wieczorem przy ognisku Charbonneau namawiał go dość długo, żeby jeszcze pożonglował, ale Rob się zaśmiał:

– Bez obaw, napatrzysz się aż nadto przy kolejnych występach.

– Zdumiewające! Mówisz, że robisz to od dziecka?

– Tak. – Rob opowiedział mu, jak po śmierci rodziców przygarnął go wędrowny balwierz.

Stary pokiwał głową.

– Miałeś sporo szczęścia. Mój ojciec zmarł, ledwie skończyłem dwanaście lat, i oddano nas z bratem na piracki statek. – Westchnął.

– Powiadam ci, druhu, to było ciężkie życie!

– I to na tym statku trafiłeś do Londynu?

– Nie, później. Moi piraci nie porywali się na Londyn. Raz przybiliśmy do brzegu w Romney, spaliliśmy dwa domy i zabrali krowę, którą zarżnęliśmy na mięso. Pływałem z nimi pięć lat, zanim zwałem.

– Mój ojciec walczył z ludźmi z czarnych statków. Raz w Rochester przeciwko takim jak twoi kamraci – rzekł powoli Rob – i dwa razy, kiedy Duńczycy najechali Londyn.

Lotaryńczyk spojrział mu prosto w oczy.

– Nie mówię, że to było dobre. Robiłem to, żeby przeżyć.

Rob kiwnął głową.

– A brat? Co się z nim stało?

– Też uciekł, wrócił do naszych rodzinnych stron i wyuczył się na piekarza. Dziś już jest stary, ale chleb wciąż piecze nadzwyczajny!

Robert uśmiechnął się i wyciągnął na pożegnanie, życząc mu dobrej nocy.

*

Co parę dni zajeżdżali do jakiejś wioski, żeby dać występ. Wszędzie było podobnie: rubaszne przyśpiewki, żonglerka, kilka pochlebnych portretów i dalejże sprzedawać driakiew. Początkowo Charbonneau tłumaczył zachwalania Roba, ale już wkrótce wypowiedzi nie były mu potrzebne: sam gromadził tłumy. Rob się nie lenił, zachłannie napełniał kiesę, świadom, że w obcych krajach pieniądz jest najlepszą ochroną.

Czerwiec był ciepły i suchy. Kąsek po kąsku wgrzali się we francuską „oliwkę”, posuwając się jej północnym skrajem, i z początkiem lata znaleźli się na ziemiach cesarstwa.

– Zbliżamy się do Strasburga – oznajmił pewnego ranka Charbonneau.

– Zatem wstąpmy tam – zaproponował Rob. – Odwiedzisz krewnych.

– Jeśli to zrobimy, stracimy dwa dni – lojalnie ostrzegł go towarzysz.

Robert uśmiechnął się tylko, wzruszając ramionami. Polubił starego żeglarza.

Miasto było piękne. Rój rzemieślników wznosił właśnie wielką katedrę, która miała zwieńczyć i przewyższyć urodą widne ulice i kształtne budynki Strasburga. Zajechali prosto przed dom Etienne’a, który wypadł z piekarni i wzniecając tuman mąki porwał brata w objęcia.

Zanim jeszcze tasiemcowe powitania dobiegły końca, rodzinną pocztą pantoflową rozeszła się wieść o ich przybyciu, toteż na wieczór zeszli się do piekarni wraz z całymi rodzinami dwaj rośli synowie Etienne’a i trzy jego czarnookie córki. Czwarta, jeszcze niezamężna Szarlotta, przygotowała z tej okazji wystawną wieczerę – trzy pieczone gęsi nadziewane marchewką i suszonymi śliwkami.

Podano dwa rodzaje świeżego chleba. Okrągłe przekładańce z pszennego i żytniego ciasta, nazywane tu „psim” chlebem i przeznaczone dla uboższych klientów, mimo swojej nazwy były doskonałe. Etienne namawiał Roba do skosztowania droższego podłużnego chleba pieczonego ze starannie przesianej mąki z różnych zbóż, gościowi jednak najbardziej smakował „psi”

Wieczór upłynął wesoło. Bracia Ludwik i Etienne służyli za tłumaczy ku ogólnej uciechu. Niewiasty śpiewały, dzieci tańczyły, a Etienne grał na dudach, w czym okazał się nie gorszy niż w pieczeniu chleba. Najedzony za wszystkie czasy Rob odwdziczył się pokazem żonglerki. Rozchodząc się w końcu do domów, wszyscy bratańcy i bratanice solennie wycelowali obu podróżnych. Szarlotta wciągnęła brzuch i wypięła młode piersiątko; w jej wielkich ciepłych oczach malowała się jawna zachęta. Leżąc później w łóżu Rob wyobrażał sobie, jak by było, gdyby wżenił się w taką rodzinę i osiadł w tak pięknej okolicy.

W środku nocy wstał.

– Trzeba ci czegoś? – dobiegł go cichy głos.

Etienne siedział po ciemku obok śpiącej córki.

– Pęcherz mnie goni.

– A to i ja pójdę – rzekł piekarz.

Wyszli więc razem i w najlepszej komitywie obsikali ścianę stodoły. Potem Rob wrócił na posłanie, a Etienne na zydel, pilnować córki.

Rano pokazał im z dumą swoje wielkie okrągłe piece i zaopatrył ich na drogę w wór „psiego” chleba pieczonego dwukrotnie, dzięki czemu był twardy i nie pleśniał; podobny zabierali żeglarze w dłuższe rejsy.

Strasburczycy naczekali się tego dnia na pieczywo, Etienne bowiem zamknął kram, wsiadł na konia i odprowadził ich kawałek.

Rzymska droga zawiodła ich wkrótce nad Ren i pobiegła dalej wzdłuż rzeki do odległego o parę mil brodu. Tam bracia pochylili się ku sobie z siodeł i ucałowali na pożegnanie.

– Jedźcie z Bogiem – rzekł Etienne i zawrócił do domu.

Przeprawili się bezpiecznie, choć kłębiący się nurt był zimny i jeszcze trochę mulisty po wiosennych powodziach. Na drugim brzegu droga biegła stromo pod górę, toteż Klaczka musiała zdrowo się namęczyć, nim wciągnęła wóz do Szwabii.

Niebawem znaleźli się w górach. Jechali przez wysoki świerkowo-jodłowy las. Charbonneau jakby przycichł. Rob przypisywał to tęsknocie za rodziną, ale po jakimś czasie Lotaryńczyk splunął i burknął:

– Nie lubię Szwabów. I nie lubię zapuszczać się na ich ziemie.

– Skoro urodziłeś się tuż za rzeką, od dzieciństwa miałeś ich za sąsiadów – przypomniał mu Rob.

– Można żyć tuż nad morzem i nie kochać rekinów – skrzywił się stary.

Mimo wszystko Robertowi podobał się ten kraj; powietrze było tu rześkie i słodkie. Zjechawszy długim zboczem ujrzeli w dolinie wieśniaków, którzy przetrząsali siano, a wyschnięte znosili do stodół na paszę tak samo, jak czyniono w Anglii. Mozolnie wspięli się na następny grzbiet górski; tu młodzież pilnowała krów i kóz wypędzonych wiosną na hale z niżej położonych zagród. Rzymski trakt – ostatni chyba na tej dalekiej rubieży dawnego cesarstwa – biegł wysoczyzną; niebawem ujrzeli zeń stojący na nieco niższym wzniesieniu zamek zbudowany z ciemnoszarych kamiennych ciosów. Na dziedzińcu grupa konnych potykała się na włócznie; musiały to jednak być tylko ćwiczenia, groty bowiem były czymś grubo omotane.

Charbonneau znów splunął.

– W tej warowni siedzi potwór – powiedział. – Tutejszy landgraf, hrabia Sygund Równoręki.

– Równoręki? To wcale nie brzmi strasznie.

– Dziś to starzec, lecz przydomek zdobył sobie w młodości, kiedy najechał Bamberg i wziął dwustu jeńców. Jednej setce kazał odciąć prawe dłonie, a drugiej lewe.

Popędzili konie, chcąc jak najszybciej pozostawić za sobą złowrogą warownię.

Jeszcze przed południem zobaczyli kamień znaczący drogę do Entburga i postanowili skrócić z gościńca, żeby dać tam występ. Ujechawszy kawałek, tuż za zakrętem natknęli się na jeźdźca na chudym kasztanie o kaprawych ślepiach, który stał na środku traktu, blokując im przejazd. Łysy krępy mężczyzna o nalanym karku odziany był w szorstki samodział i pomimo tuszy wyglądał krzepko, podobnie jak balwierz w czasach, gdy Rob go poznał.

Rob zdał sobie sprawę, że nie zdoła go ominąć, ściągnął więc lejce. Tamten najwyraźniej nie miał zamiaru się usunąć, nie sięgał jednak do broni. Mierzył ich przez chwilę taksującym spojrzeniem, a potem coś powiedział.

– Pyta, czy masz wino – przetłumaczył Charbonneau.

– Powiedz, że nie.

– Ten przeklęty psi syn nie jest sam – dodał Charbonneau nie zmieniając tonu.

Spomiędzy drzew wyłoniło się jeszcze dwóch jeźdźców. Jednym był młodzik na mule; gdy podjechał do łysiego, można było dostrzec rodzinne podobieństwo. Trzeci siedział na ciężkim, z gruba ciosanym koniu, najpewniej pociągowym. Drobny, około trzydziestki, miał przebiegłą lisią gębę i podobnie jak kotce Roba brakowało mu lewego ucha. Zatrzymał się tuż za wozem, odcinając im odwrót. Dwaj nowo przybyli miecze mieli już w dłoniach.

Łysy znów się odezwał.

– Powiada, żebyś zszedł z wozu i zdjął ubranie – rzekł Charbonneau. – Chcą cię zabić, a szkoda im niszczyć porządnych szat.

Rob w ogóle nie zauważył, skąd jego przewodnik wyjął nóż. Postyszał tylko wysilone stęknięcie, nóż śmignął w powietrzu i wbił się po rękojeść w pierś najmłodszego jeźdźca.

Oczy jego ojca zmartwiały, lecz zanim uśmiech zdążył spełznąć mu z warg, Rob dał susa na szeroki grzbiet Klaczki, odbił się i skoczył, ściągając tamtego z siodła. Uderzyli o ziemię i zaczęli się toczyć spleceni w zacieklej walce. W końcu Rob zdołał przesunąć się za plecy przeciwnika i wbić mu przedramię pod brodę. Potężna pięść na oślep szukała jego lędźwi, lecz udało mu się przekręcić tak, że ciosy trafiały w udo. Były mocne; noga zaczęła mu drętwieć.

Dotąd zawsze walczył po pijanemu, zamroczony gniewem. Teraz był trzeźwy. W głowie tłukła mu się zimna, jasna myśl. Zabij go, powtarzał w duchu. Zabij.

Dławiąc się własnym panicznym łkaniem chwycił lewą dłonią za przegub prawej i szarpnął, chcąc udusić przeciwnika lub zgnieść mu tchawicę. Nie poskutkowało. Przesunął rękę wyżej i zaczął ciągnąć w nadziei, że skręci tamtemu kark, ale to był błąd; łysy miał krótką, mocno umięśnioną szyję, obrosłą na dodatek sadłem. No, złam się! – błagał w myśli.

Dłoń o długich czarnych pazurach dosięgła jego twarzy. Cofnął głowę, ale tamten zdążył rozorać mu policzek. Stękając z wysiłku, obłapiali się niczym rozpasani kochankowie. Dłoń łysego znów popęzła po twarzy Roba, szukając oczu. Paznokcie zahaczyły o powiekę; Rob krzyknął przeraźliwie.

Kątem oka zobaczył czyjś cień. Charbonneau stanął nad nimi, starannie wycelował szpicem miecza między żebra grubasa i pchnął

głęboko. Łysy stęknął jeszcze raz i westchnął, jakby iście osiągnął spełnienie, a potem znieruchomiał. Dopiero teraz Rob poczuł bijący od niego smród.

Minęła chwila, nim zdołał się ruszyć. Usiadł obejmując pokaleczoną twarz. Trup młodego, odgięty w tył na zad muła, wciąż trzymał się w siodle, zahaczony bosymi stopami w strzemionach. Charbonneau wyciągnął z niego nóż, wytarł go, schował do pochwy, a potem uwolnił ciało i położył je na ziemi.

– Gdzie trzeci? – wychrypiał Rob, nie mogąc opanować drżenia głosu.

Charbonneau splunął.

– Uciekł zaraz, gdy tylko się okazało, że nie damy się zarznąć jak barany.

– Pewnie do Równorękiego po posiłki?

Charbonneau pokręcił głową.

– To nie ludzie landgraфа, a zwykła rozbójnicza hołota.

Sprawnie obszukał ciała. Grubas miał na szyi mieszek z monetami, młody zaś poczerniałą srebrny krzyżyk. Broń była kiepska, lecz mimo to stary wrzucił ją do wozu.

Zostawili zabitych przy drodze; trup łysogo leżał twarzą w kałużę własnej krwi. Charbonneau uwiązał muła do wozu, sam ujął za cugle chabetę łysogo i tak zawrócili na gościniec.

W odpowiedzi na zadane wprost pytanie Lotaryńczyk przyznał, że rzucać nożem nauczył się za młodu, podczas pirackich rejsów.

– Przydawało się to, gdyśmy zdobywali statki na przeklętych Duńczykach... – zawahał się i dodał z chytrym uśmieszkiem: –

i przeklętych Anglikach też, a jakże!

W drodze obaj pozbyli się plemiennych uprzedzeń, nabrali też wzajem do siebie szacunku. To wstydlive wyznanie zostało więc skwitowane szerokim uśmiechem.

– Nauczysz mnie? – spytał Rob.

– Jak ty mnie nauczysz żonglerki.

Robert chętnie się zgodził. Co prawda odniósł z tej umowy znacznie większe korzyści, gdyż Charbonneau był już za stary na naukę tak skomplikowanej sztuki, a niewiele czasu im pozostało. Skończyło się więc tylko na dwóch piłeczkach, lecz i tak żeglarz świetnie się bawił podrzucając je i łapiąc. Rob miał nad nim przewagę młodości i lat żonglerki, które wzmocniły mu nadgarstki i wyrobiły refleks.

– Zwykły nóż nie nadaje się do rzucania – tłumaczył mu Lotaryńczyk. – Twój na przykład jest cienki, mógłby się złamać, a przeważnie uderzałby rękojeścią, bo tam ma środek ciężkości. Żeby można było nim celnie rzucać, nóż musi być przeważony na ostrze; wtedy szybki ruch nadgarstka wyrzuca go w stronę celu i już nie koziołkuje w powietrzu.

Rob wnet się nauczył miotać we właściwy sposób nożem Charbonneau. Znacznie trudniej było mu trafić w cel, lecz że żmudna dyscyplina ćwiczeń nie była mu obca, wprawiał się, ilekroć miał okazję, celując do co grubszych drzew.

Trzymali się głównych dróg, na których mijały się różnojęzyczne grupy. Raz zepchnął ich na pobocze orszak francuskiego kardynała. Jechał w asyście dwustu zbrojnych i stu pięćdziesięciu sług. Miał na sobie szkarłatną czapkę i ciżmy oraz szarą opończę na pociemniałej od kurzu białej szacie. Od czasu do czasu już z dala słyszeli bojowe okrzyki i mijały ich galopem oddziały uzbrojonych rycerzy upojonych zapałem bitewnym, często winem, a zawsze

żądzą sławy i łupów. Gościńcem posuwali się też pątnicy, czasem pojedynczo, częściej w mniejszych lub większych grupach. Wielu zmierzało aż do Jeruzalem; tych prowadzili często weterani, którzy już odbyli tę pobożną pielgrzymkę, o czym świadczyły zeschnięte palmowe liście zerwane w Ziemi Świętej. Gorliwsi – lub bardziej grzeszni – odziani we włosiennice czołgali się na zakrwawionych kolanach, spełniając widać ślub złożony Bogu lub jakiemuś świętemu. Zmęczeni i bezbronni, łatwo padali ofiarą grasujących na gościńcach łupieżców. Lokalni władcy nie byli w stanie ukrócić tego procederu. Toteż doraźnym wymiarem sprawiedliwości zajmowali się sami poszkodowani, jeśli udało im się przeżyć napad. Schwytanego na gorącym uczynku złodzieja albo zbroja wieszano zaraz bez sądu.

Rob trzymał broń pod ręką, obawiając się nieco, że człowiek bez ucha skrzyknąwszy nową bandę, będzie ich ścigał. Jego słuszny wzrost i groźnie pokiereszowana twarz odstraszały drobniejszych rzezimieszków, ale – i to było zabawne – najlepszym obrońcą był dla niego kruchy z pozoru starzec, którego najął jako tłumacza.

Zapas żywności uzupełnili w Augsburgu, będącym ośrodkiem handlu pomiędzy Germanią a Italią od czasu, gdy dwanaście lat przed narodzeniem Chrystusa założył go rzymski cesarz August. Po mieście przewalały się tłumy zajętych interesami kupców. Charbonneau pokazał mu Italczyków, łatwych do rozpoznania dzięki drogim materiom, w jakie się odziewali. Żydów także było tu więcej nawet niż we Francji; co rusz dostrzegał w ciżbie charakterystyczny ciemny chałat i skórzaną czapkę w kształcie dzwonu.

Dał tu przedstawienie, lecz nie sprzedał wiele driakwi; być może dlatego, że Charbonneau nie władał płynnie tutejszą gardłową mową i dowcipom brakło ognia. Nie miało to większego znaczenia,

bo w drodze Rob nabił już trzos grosiwem; zresztą dziesięć dni później, gdy przybyli do Salzburga, Charbonneau oznajmił, że tam po raz ostatni dadzą wspólny występ.

– Za trzy dni dotrzemy nad Dunaj – rzekł. – Tam się rozstaniemy.

Rob skinął głową.

– Nie miałbyś już ze mnie żadnego pożytku – dodał stary. – Za Dunajem siedzą Czesi, nie znam ich języka.

– Chętnie nadal cieszyłbym się twoim towarzystwem, z tłumaczeniem czy bez.

– Czas mi wracać do domu – uśmiechnął się Lotaryńczyk. – Tym razem już na stałe.

Wieczorem zjedli w gospodzie pożegnalną ucztę. Miejscowy specjał – mocno podprawiony mąką gulasz ze słoniną i kiszoną kapustą – nie bardzo przypadł im do gustu, splukali go więc mocnym czerwonym winem, które trochę uderzyło im do głów. Robert hojnie wynagrodził swego przewodnika. Dziękując Charbonneau ostrzegł go jeszcze:

– Wjeżdżasz do niebezpiecznego kraju. Mawiają, że ciężko tam odróżnić dzikiego zbója od drużynnika któregoś z czeskich panów. Nie wypuszczaj się sam; dołącz do jakiejś grupy, jeśli chcesz odbyć tę podróż bez szwanku.

Robert przyrzekł mu, że poszuka sobie silnej asysty.

Dunaj okazał się szeroką rwącą rzeką; groźniejszą, niż Rob przypuszczał. W ciemnym nurcie tworzyły się jakby oleiste wiry, co świadczyło, że woda jest tu głęboka. Charbonneau został z nim jeszcze dzień dłużej; odprowadził go do położonej nieco w dole rzeki skąpo zaludnionej osady Linz, skąd na wielkiej tratwie z bali przewożono podróżnych i towary na drugi brzeg szeroko rozlanych wód.

– A zatem... – rzekł, gdy dotarli na miejsce.

– Kto wie, może jeszcze się spotkamy?

– Wątpię – uśmiechnął się stary biorąc go w objęcia. – Żyj długo i szczęśliwie, Robercie.

– I ty, Ludwiku.

Starzec odjechał, prowadząc za sobą zdobytego na zbójach chudego kasztanka. Rob tymczasem zsiadł z wozu i poszedł szukać przewoźnika. Wskazano mu ponurego zakatarzonego osiłka, który nie dość, że wciąż zlizywał smarki z górnej wargi, to jeszcze nie sposób było go zrozumieć. Ugodzili się na migi. Nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że grubo przepłacił, Rob wrócił do wozu i obejrzał się na drogę. Ale Charbonneau nie było już widać.

Na trzeci dzień od przeprawy spotkał pięciu tęgich rumianych Niemców. Przemówił do nich w anglosaskim dialekcie, który jak sądził, winni byli zrozumieć, grzecznie proponując wspólną podróż. Oferował im zapłatę, gotowanie posiłków i pomoc w innych pracach obozowych, lecz w odpowiedzi zobaczył tylko pięć pozbawionych uśmiechu twarzy i pięć dłoni sięgających do mieczy.

– A niech was diabli! – prychnął zrezygnowany. W sumie nie mógł mieć do nich pretensji: w pięciu stanowili już pewną siłę, on był intruzem, zagrożeniem.

Klaczka zwiozła go z gór na dużą nieckowatą równinę otoczoną wieńcem łagodnych zielonych wzgórz. Ziemia miała tu szary odcień; uprawiano na niej poletka pszenicy, owsa, jęczmienia i buraków, ale większość polaci porośnięta była mieszanym lasem. Po zmroku usłyszał w pobliżu wycie wilków. Przez całą noc podrzucał więc do ogniska, choć nie było zimno. Nastroszona kotka miauknęła kilka razy z niepokojem, a w końcu mocno wtuliła się w niego kościstym grzbietem i tak zasnęła.

Charbonneau był mu pomocny w wielu rzeczach, lecz teraz Rob przekonał się, jak ważne było samo jego towarzystwo. Jadąc przez

kraj, w którym z nikim nie mógł się porozumieć, pojął, czym jest samotność.

Tydzień po rozstaniu ujrzął rankiem przy drodze nagiego okaleczonego wisielca. Poznał tę lisią twarz pozbawioną lewego ucha. Jakże chętnie zawiadomiłby Charbonneau, że trzeciego z rzezimieszków też dosięgła sprawiedliwość, choć wymierzył ją kto inny.

25

Karawana

Przemierzywszy równinę, znów wjechał w góry. Były niższe od tamtych, lecz dosyć strome, posuwał się więc teraz znacznie wolniej. Dwukrotnie widział na gościńcu orszaki kupieckie; chciał się do nich przyłączyć, lecz za każdym razem spotykał się z odmową. Któregoś ranka minęła go grupka oberwańców; wołali coś do niego w tym dziwnym języku. Skinął tylko i odwrócił wzrok. Wyglądali raczej na banitów; czuł, że podróż z nimi mogłaby się dla niego źle skończyć.

W końcu dotarł do sporego miasta rozłożonego u stóp górującej nad nim warowni. Od szynkarza, który ku jego radości znał parę germańskich słów, dowiedział się, że jest w Brnie, okoliczny kraj zaś zamieszkują Czesi. Udzielenie mu tej informacji wyczerpało skromne możliwości językowe gospodarza. Kiedy wrócił do wozu, zastał w nim człowieka grzebiącego w jego rzeczach. Dobył miecza i powiedział spokojnie:

– Złaź.

Złodziej był nadspodziewanie szybki; czmychnął z wozu i zniknął, nim Rob zdążył go zatrzymać. Trzos z pieniędzmi pozostał bezpiecznie przybity pod podłogą wozu, a jedyną rzeczą, jakiej

brakowało, okazał się worek z rupieciami przydatnymi do magicznych sztuczek. Myśl o minie, jaką zrobi tamten po otwarciu worka, sprawiła mu nielichą satysfakcję.

Odtąd jednak co dzień czyścił i smarował broń, by gładko wychodziła z pochwy. Nocami sypiał czujnie albo wcale; wytężył słuch łowiąc szmery mogące go ostrzec, że ktoś się podkrada. Wiedział, że gdyby napastników było kilku, miałyby niewielkie szanse. Osamotniony i niemal bezbronny jechał jeszcze przez długie dziewięć dni. Dziesiątego ranka droga wybiegła z lasu na otwartą przestrzeń. Ze zdumieniem, radością i wzbierającą nadzieją Rob zobaczył przed sobą małą wioskę, pod którą rozłożyła się obozem wielka karawana.

Osada liczyła raptem szesnaście chat, zaś samych koni i mułów różnych maści i rozmiarów można byłoby naliczyć parę setek. Część była osiodłana, inne przyprężone do rozmaitych wozów i wózków. Rob uwiązał swoją klacz do drzewa i ruszył w rojący się wokół tłum, atakowany zewsząd niezrozumiałym obcojęzycznym gwarem. Na początek wypatrzył człeka, który w pocie czoła zmieniał koło u wozu. Pomógł mu dźwignąć wóz, a gdy koło osiadło na piaście, spytał:

– Gdzie mogę znaleźć mistrza karawany?

Tamten jednak tylko uśmiechnął się z wdzięcznością i pokręcił głową na znak, że nie rozumie.

– Gdzie mistrz karawany? – spytał innego, karmiącego właśnie dwie pary wielkich pociągowych wołów. Zwierzęta miały drewniane kule nasadzone na końce długich ostrych rogów.

– *Der Meister?* Karl Fritta – odrzekł zapytany, wskazując przed siebie.

Najwyraźniej „Karl Fritta” było imieniem mistrza karawany, ilekroć bowiem Rob je wymówił, kiwano głowami i kierowano go

dalej. Bez trudu więc dotarł do miejsca, gdzie obok dużego wozu zaprzęzonego w sześć olbrzymich pociągowych kasztanów rozstawiono stół. Leżał na nim nagi miecz, a za stołem siedział mężczyzna o długich ciemnych włosach splecionych w dwa grube warkocze. Rozmawiał z pierwszym z czekających w długiej kolejce podróżnych. Rob stanął na końcu ogonka.

– Tamten człowiek to Karl Fritta? – spytał.

– Tak, to on – odparł stojący nieopodal mężczyzna i obaj wytrzeszczyli na siebie oczy.

– Anglik? – ucieszył się Rob.

– Szkot – sprostował tamten z niewiele mniejszą radością, chwytając go za obie ręce. – No, co za spotkanie!

Szkot był wysoki i chudy, miał długie siwe włosy i twarz wygoloną na modłę Brytów. Odziany był w dobrze skrojony podróżny strój ze starannie utkanej grubej ciemnej wełny.

– Jakub z Cullenów – przedstawił się. – Hoduję owce i handluję wełną. A teraz jadę z córką do Anatolii po zwierzęta na rozpłód.

– Robert Jeremiasz Cole, balwierz. Wybieram się do Persji, po cenne leki.

Cullen przyjrzał mu się z sympatią. Kolejka posuwała się do przodu, lecz mieli jeszcze dość czasu na rozmowę. Chyba nigdy jeszcze angielskie słowa nie brzmiały w uszach Roba tak piękną muzyką.

Szkot miał ze sobą najętego sługę i tłumacza, niechlujnego pokurcza o imieniu Seredy. Okazało się bowiem, że nie wiedząc o tym, Rob przed dwoma dniami wjechał na węgierską ziemię, a okupowana przez kupców osada nazywa się Vác. Podróżni mogli tu nabyć chleb i ser; wszystkie pozostałe towary były rzadkie i drogie. Karawana zawiązała się w mieście Ulm, w Szwabii.

– Fritta to Szwab – tłumaczył Cullen. – Gbur, ale lepiej jechać z nim, bo doszły mnie wiarygodne pogłoski, że madziarscy rozbójnicy bezlitośnie grabią samotnych podróżnych i mniejsze grupy, a drugiej takiej dużej karawany nie ma w tej okolicy.

Najwyraźniej nie tylko on słyszał o rozbójnikach, choć bowiem ogonek posuwał się do przodu, coraz to stawali w nim nowi chętni. Tuż za Robem podeszło trzech Żydów. Obejrzał się z zaciekawieniem.

– W takiej karawanie człek ma do czynienia zarówno ze szlachtą, jak i najpodlejszym plugastwem – rzekł głośno Cullen.

Rob zerknął na wyróżniających się strojem Izraelitów. Rozmawiali w swoim języku, lecz wzrok stojącego najbliżej powędrował w kierunku Cullena, jak gdyby zrozumiał, o czym mowa. Rob spuścił oczy.

Stanąwszy przed Frittą, Cullen załatwił własną sprawę, a potem kazał Seredyemu pomóc Robertowi, tłumacząc. Rozmowa przebiegła prędko; doświadczony Niemiec wypytał go o imię, rzemiosło i cel podróży.

– Mistrz Fritta mówi, że karawana nie jedzie do Persji – przełożył Seredy. – Za Konstantynopolem musicie znaleźć sobie inną.

Rob kiwnął głową. Przywódca karawany wypowiedział parę dłuższych zdań.

– Zapłata dla mistrza wynosi równowartość dwudziestu dwóch pensów w srebrze, ale angielskiej monety mistrz ma już nadto, bo płaci nią mój pan Cullen. Pyta, czy masz denary.

– Tak.

– Weźmie dwadzieścia siedem denarów – rzekł skwapliwie tłumacz.

Rob się zawahał. Miał denary, które zarobił we Francji i w Germanii, lecz nie wiedział, jak się mają do pensów.

– Dwadzieścia trzy – powiedział cichutko ktoś za jego plecami. Rob miał niemal wrażenie, że mu się przywidziało, ale rzekł stanowczo:

– Dwadzieścia trzy.

Mistrz karawany spojrzął mu zimno w oczy, lecz zgodził się na tę cenę.

– Podróżni sami muszą zaopatrzyć się w żywność i wszystko co potrzebne – ciągnął Serecy. – Jeśli się opóźnisz albo zostaniesz z tyłu, karawana ruszy dalej bez ciebie. Mistrz Fritta mówi, że ma tu dziewięćdziesięciu kupców, w sumie zaś ponad stu dwudziestu mężczyzn. Żąda, by każdego dziesięciu wystawiało co noc jednego wartownika.

– Zgoda.

– Nowo przybyli ustawiają się na końcu karawany, gdzie kurz i największe ryzyko napaści. Twoje miejsce będzie za mistrzem Cullenem. Jeśli odpadnie ktoś z przodu, wszyscy przesuwacie się o jedno miejsce w przód. Przybyli później będą jechać za tobą.

– Zgoda.

– Jeśli w drodze będziesz wykonywał swe rzemiosło, co w tak wielkiej kupie łącznie może być potrzebne, zyskiem podzielisz się na pół z mistrzem Frittą.

– Nie – odpalił bez namysłu. Miałby oddawać temu Szwabowi połowę zarobku? Toż to czysty rozbój.

Cullen chrząknął. Rob zobaczył niepokój na twarzy Szkota i przypomniał sobie, co od niego słyszał o madziarskich zbójcach.

– Powiedz: jedną dziesiątą, zgódź się na jedną trzecią – szepnął cichy głos za nim.

– Oddam jedną dziesiątą swoich zarobków – oświadczył Rob.

Fritta odpowiedział krótkim, jawnie obraźliwym słowem, po czym warknął coś jeszcze.

– Mistrz mówi: dwie piąte.

– Jedna piąta.

W końcu zgodzili się na jedną trzecią. Dziękując Cullenowi za tłumacza, Rob zerknął przelotnie na trzech Żydów. Byli średniego wzrostu, o śniadych, ogorzałych twarzach. Ten, który stał tuż za nim, miał mięsisty nos i wydatne wargi oraz długą brodę poznaczoną pasmami siwizny. Nie patrzył na niego; podszedł do stołu skupiony, jakby stawał do walki z wybadanym już przeciwnikiem.

Nowo przybyłym kazano zająć miejsca w szyku, nim jeszcze rozłożą się na nocleg, karawana bowiem miała wyruszyć o świcie. Rob ustawił wóz między Cullenem a Żydami, wyprzągnął Klaczkę i przywiązał ją kilka prętów dalej, żeby mogła poskubać nieco trawy. Mieszkańcy Vácu wyzbywali się zapasów, korzystając z niecodziennego najazdu. Roberta zaczepił chłop z serem i jajami, za które najbezczelniej zażądał czterech denarów. Po długich targach stanęło na trzech flaszkach driakwi i Rob zasiadł do wieczerzy.

Jedząc, przyglądał się sąsiadom, oni zaś jemu. U Cullenów także płonęło ognisko; Serecy naniósł wody, ale gotowaniem zajmowała się wysoka rudowłosa dziewczyna. Stojących za Robertem Żydów było pięciu. Sprzątnąwszy po posiłku, przeszedł się do nich. Podróżowali konno, mieli dobre wierzchowce, które właśnie czyścili, oraz dwa juczne muły, z których jeden nosił pewnie rozbity teraz namiot. Gdy się zbliżył, zamilkli. Rob zwrócił się do mężczyzny, który pomógł mu w targach z Frittą.

– Jestem Robert Cole. Przyszedłem podziękować.

– Nie ma za co, nie ma za co! – Mężczyzna opuścił rękę ze zgrzebłem. – Ja jestem Meir ben Aszer.

Przedstawił też pozostałych. Dwaj towarzyszyli mu wcześniej w kolejce do Fritty: niski i słupowaty Gerszom ben Szemuel z brodawką na nosie oraz wąskousty, ostronosy Juda ha-Cohen

o gęstych jak niedźwiedzie futro lśniących czarnych włosach i takiejże brodzie. Dwaj byli młodsi: Szymon ben ha-Lewi, tyczkowaty, poważny nedorostek z kłującą się dopiero brodą, i dwunastoletni syn Meira, Tuwe, który wszakże wyglądał na starszego i podobnie jak ongiś Rob zapowiadał się na rosnącego mężczyznę.

Rozmawiał z nim tylko Meir, pozostali przyglądali mu się z rezerwą.

– Jesteście kupcami?

Meir potwierdził skinieniem głowy.

– Nasza rodzina mieszkała dawniej w Hameln; w Germanii – wyjaśnił. – Dziesięć lat temu przenieśliśmy się wszyscy pod panowanie cesarza bizantyjskiego. Osiedliśmy w Angorze, stamtąd wyprawiamy się na Wschód i Zachód. Kupujemy w jednym miejscu, sprzedajemy w innym.

– Czym handlujecie?

– Tym i owym. – Meir wzruszył ramionami.

Rob omal nie parsknął śmiechem. Godzinami układał, co ma mówić o sobie, jeśli go ktoś zapyta. Nagle zrozumiał, że to niepotrzebne. Ludzie interesu nie są gadatliwi.

– A ty dokąd jedziesz? – zagadnął młody Szymon, zaskakując go swoją znajomością angielszczyzny. Rob skłonny był sądzić, że tylko Meir włada tym językiem.

– Do Persji.

– Wspaniale! Masz tam krewnych?

– Nie. Jadę tam po środki lecznicze. Zioła, maści...

– Ano tak – powiedział Meir.

Pokiwali głowami, przyjmując wyjaśnienie. Był to właściwy moment, żeby się pożegnać, i Rob wrócił do swoich.

Szkot przyglądał się jego rozmowie z Żydami i nie był już wobec niego tak wylewny. Nieco oschle przedstawił mu swoją córkę Maire, która wszakże pozdrowiła go całkiem mile. Z bliska jej miękkie rude włosy zdawały się zachęcać, by ich dotknąć. Oczy za to miała chłodne i smutne. Wysokie mocne kości policzkowe, nos i podbródek były kształtne, lecz bynajmniej nie subtelne. Dziewczyna była ponadto piegowata i nadzwyczaj wysoka jak na swoją płeć. Rob zaczął się zastanawiać, czy w ogóle jest ładna.

Ni stąd, ni zowąd pojawił się przy nich Fritta. Powiedział coś krótko do Węgra tłumacza.

– Mistrz Fritta wyznaczył mistrza Roberta do stróży dzisiaj w nocy – przełożył Sereidy.

O zmierzchu Rob zaczął więc miarowo obchodzić swój odcinek, rozpoczynający się od Cullenów i obejmujący dziewięć ognisk wraz z jego własnym. Uświadomił sobie, że oto stał się częścią najprzedziwniejszej ludzkiej zbieraniny. Przy krytym wozie karmiła niemowlę śniadoskóra niewiasta o płowych włosach; jej mąż siedział w kucki przy ognisku i natłuszczał uprząż. Za nimi dwaj inni mężczyźni czyścili broń. Dalej mały chłopiec karmił ziarnem trzy tłuste kury w niechlujnie skleconym kojcu. Jeszcze dalej przeraźliwie chudy mężczyzna wykłócał się – chyba po francusku – ze swą opasłą żoną.

Kiedy za trzecim razem mijał obozowisko Żydów, zauważył, że stoją razem, kiwają się i coś nucą. Widać były to ich wieczorne modły. Z lasu za wsią wytoczył się na niebo wielki biały księżyc. Rob poczuł się nagle silny i niezwyciężony. Teraz był częścią armii; miał u boku stu dwudziestu towarzyszy. To całkiem co innego niż samotna podróż przez obcy i wrogi kraj.

Czterokrotnie zdarzyło mu się okrzykiwać w nocy przemykającą się postać; zawsze jednak był to któryś z podróżnych gnany zwykłą

potrzebą. Nad ranem, kiedy był już nieznośnie senny, z ojcowskiego namiotu wyszła córka Cullena. Minęła Roba, chyba w ogóle go nie dostrzegając. On widział ją wyraźnie; w bladym świetle księżyca jej suknia zdawała się czarna jak smoła, a długie bose stopy, z pewnością mokre od rosy – śnieżnobiałe. Starając się nie robić hałasu odszedł w przeciwną stronę, ale patrzył za nią, dopóki się nie upewnił, że wróciła bezpiecznie. Dopiero wtedy ruszył dalej.

O brzasku zszedł z warty i pospiesznie ukroił sobie pajdę chleba z serem. Jedząc obserwował Żydów, którzy zebrali się przed namiotem na poranne modlitwy. Wyglądali na niezmiernie pobożnych, co mogło prowadzić do zadrażeń. Na czołach przywiązali sobie jakieś czarne puzderka, ramiona owinęli cienkimi rzemykami na wzór słupów majowych i okrywszy głowy frędzlowanymi szalami, pogrążyli się w niesamowitej zadumie. Poczł ulgę, kiedy wreszcie skończyli.

Pospieszył się nieco z zaprzęgnięciem Klaczki i teraz musiał czekać. Czoło karawany ruszyło wprawdzie tuż po świtaniu, lecz zanim przyszła jego kolej, słońce było już wysoko. Cullen dosiadł kościstego siwka; jego córka stąpającego dumnie karosza. Za nimi na parchatej siwej kobyle jechał Serecy, prowadząc trzy lekko objuczone konie. Na co tym dwojgu aż trzy luzaki? Zerknął za Szkotką. Na kształtnym końskim zadzie jej pośladki prezentowały się równie pięknie, uznał zatem, że będzie miał przyjemną podróż.

26

Farsi

Podróżni łatwo się dostosowali do rygorów karawany. Przez pierwsze trzy dni zarówno Szkoci, jak i Żydzi kłaniali się tylko

Robertowi z dala, nie narzucając się z towarzystwem. Możliwe, że odstraszała ich jego zaprawiona w bójkach gęba albo dziwne znaki na wozie. Pewna doza odosobnienia nigdy nie sprawiała mu przykrości, toteż rad pograżył się we własnych myślach.

Dziewczynę miał wciąż przed oczami; gdy stawali obozem, wzrok Roberta jakby z przyzwyczajenia też biegł za nią. Zauważył, że ma dwie ciemne suknie, które nosi na zmianę i dość często pierze. Była widać zahartowana w trudach podróży, bo nigdy nie wyrzekła ani słowa skargi, lecz i ją, i jej ojca otaczała aura ledwie ukrywanej melancholii. Robert doszedł do wniosku, że oboje są w żałobie.

Zdarzało się, że dziewczyna nuciła coś pod nosem. Czwartego dnia rano, gdy karawana z wolna opuszczała biwak, zobaczył, że idzie obok jego wozu, prowadząc konia za wodze. Uśmiechnął się do niej z góry. Oczy miała ogromne, ciemnoszafirowe niczym płatki kosaćców; twarz o zdecydowanych, pełnych wyrazu rysach, usta zaś pełne i dojrzałe, lecz przy tym dziwnie ruchliwe i wymowne – jak ona cała.

- W jakim języku są twoje piosenki? – zagadnął.
- *Gàidhlig* – odpowiedziała. – Inaczej mówiąc, po szkocku.
- Tak właśnie myślałem.
- Paradne. Jak *Sassenach* może rozpoznać nasz język?
- *Sassenach*?
- Tak nazywamy ludzi, którzy mieszkają na Południu.
- Jak rozumiem, to nie jest pochwała?
- Nie jest – przyznała, i tym razem się uśmiechnęła.
- Maira! – zawołał ją ostro ojciec.

Zawróciła doń posłusznie.

Jest w wieku Marian, pomyślał Rob niespokojnie. Siostra miała ciemne włosy, lecz z rudawym połyskiem... Nie, to nie ona, zbeształ się w duchu. Nie może dopatrywać się siostry w każdej młodej

kobiecie, bo w końcu popadnie w obłąd. Zresztą nie ma o czym myśleć; Cullenówna wcale go nie pociąga. Na świecie jest wiele rzeczy równie miękkich jak jej włosy. Postanowił trzymać się od niej z daleka.

Jakub za to najwyraźniej zamierzał dać mu jeszcze szansę, może dlatego, że Rob nie rozmawiał więcej z Żydami. Piątego wieczoru nawiedził go z bukłakiem jęczmiennego trunku. Rob zaprosił go do ogniska i łyknęli sobie po przyjacielsku.

– Znasz się na owcach, Robercie?

Kiedy Rob przyznał się, że nie, Szkot aż się rozpromienił, gotów oświecić go w tej materii.

– Są owce i owce – rzekł. – W Kilmarnock, gdzie Cullenowie mają siedzibę, owce z czasem karleją, nie dorastając nawet do dwunastu kamieni wagi. Ponoć na Wschodzie są dwakroć większe, włos mają długi i gęstszy od naszych, a tak tłusty, że po gotowej tkaninie deszcz spływa nawet jej nie mocząc.

Cullen planował zakup najlepszych sztuk na rozplód. Żeby przepędzić je do Kilmarnock, trzeba sporo grosza, pomyślał Rob i nagle zrozumiał, co niosą juczne konie Cullena. Mądrzej by zrobił, gdyby wziął ze sobą także zbrojną asystę.

– To długa podróż – zauważył. – Zostawiłeś dom, stada...

– Dogładną ich krewniacy; mam do nich zaufanie. Iście, nie było mi się łatwo zdecydować, ale... pół roku przed wyjazdem pochowałem żonę. Przeżyliśmy razem dwadzieścia dwa lata. – Po twarzy Cullena przemknął grymas. Podniósł bukłak i pociągnął z niego długi łyk.

Dlatego są tacy smutni, pomyślał Rob. Z zawodowej ciekawości zapytał, na co zmarła. Cullen kaszlnął.

– W obu piersiach narosły jej twarde guzy. Była coraz bledsza i słabsza, traciła apetyt i wolę, a potem dopadł ją straszny ból.

Długo to trwało, lecz i tak nie zdążyłem się pogodzić z myślą, że może odejść. Potem przez sześć niedziel piłem. Nie pomogło. – Zadumał się na chwilę. – Od lat zabawiałem się myślą, że sprowadzę sobie z Azji piękne stado. Ot, takie mrzonki. Ale teraz... postanowiłem jechać.

Podsunał mu bukłak. Rob potrząsnął głową. Szkot nie wyglądał na urażonego.

– Pora się wyszczać – uśmiechnął się łagodnie. Miał już w sobie znaczną część bukłaka, kiedy więc spróbował dźwignąć się na nogi, Rob musiał go podtrzymać.

– Spokojnej nocy, Jakubie. Zachodź do mnie, zapraszam.

– Dobrej nocy, Robercie. – Cullen oddalił się chwiejnie.

Kiedy odszedł, Rob uświadomił sobie, że Szkot ani razu nie wspomniał o córce.

Nazajutrz po południu spłoszony przez borsuka koń wyrzucił z siodła Francuza o przydomku Roux, trzydziestego ósmego od czoła karawany. Padając, jeździec usiłował podeprzeć się ręką i kość nie wytrzymała. Fritta posłał po Roba.

Nastawienie kości i unieruchomienie ramienia, choć bolesne dla pacjenta, poszło szybko i gładko. Napocił się dopiero później, gdy przywołując na pamięć zasłyszane francuskie słowa, usiłował wytłumaczyć Roux, że może jechać dalej, choć przez pewien czas będzie go boleć jak diabli. W końcu posłał po Seredyego i z jego pomocą pouczył Francuza, jak ma układać chorą rękę na temblaku.

Wracając zadumał się głęboko. Zgodził się przyjmować chorych kilka razy w tygodniu. Dotąd korzystał z usług Seredyego, lecz choć za nie płacił, nie mógł przecież na dłuższą metę zatrudniać cudzego sługę. Znalazłszy się przy wozie spojrzął na Szymona ben ha-Lewiego, który siedział na ziemi i naprawiał popręg. Po namyśle podszedł do młodego Żyda.

– Znasz mowę Franków i Germanów? – spytał.

Młodzieniec skinął potakująco głową, trzymając skórzany pas przy ustach i odgryzając nawoskowaną nić. Rob wyłuszczył, w czym rzecz. Szymon słuchał bez słowa, a ponieważ praca była niezbyt czasochłonna i dobrze płatna, zgodził się tłumaczyć dla balwierza. Ten odetchnął z satysfakcją.

– Skąd znasz tyle języków? – spytał z ciekawością.

– Handlujemy w różnych krajach, w wielu mamy krewniaków i prawie bez ustanku jesteśmy w podróży. Języki są niezbędne w naszym fachu. O, na przykład młody Tuwe uczy się mowy mandarynów, bo za trzy lata ruszy Jedwabnym Szlakiem i będzie pracował dla mojego stryja.

Stryj ów, Izachar ben Nachun, był głową rozplenionej gałęzi rodziny zamieszkałej w Kajfengu. Raz na trzy lata wyprawiał stamtąd karawanę obładowaną jedwabiem, pieprzem i innymi produktami Wschodu do Mashadu w Persji. I co trzy lata mężczyźni z Angory ruszali do Mashadu, gdzie przejmowali cenny towar i wieźli go dalej, do wschodniej Frankonii. Szymon podróżował tak od dziecka.

Słuchając go Robert powziął pewną myśl.

– Znasz perski?

– Farsi? Oczywiście. – Widząc, że Rob nie rozumie, młody Żyd wyjaśnił: – Język, którym mówią w Persji, nazywa się farsi.

– Nauczysz mnie?

Szymon się zawahał. To już było czym innym od dorywczego tłumaczenia; zajęłoby mu znacznie więcej czasu.

– Dobrze zapłacę.

– Po co chcesz znać farsi?

– Przyda mi się, kiedy dojadę do Persji.

– Chcesz to robić stale? Regularnie jeździć po zioła i leki, tak jak my jeździmy po jedwab i przyprawy?

– Być może. – Rob wzruszył ramionami w geście godnym Meira ben Aszera. – Trochę tego, trochę owego...

Szymon parsknął śmiechem.

Pierwsza lekcja odbyła się natychmiast. Szymon uczył go tak jak przed laty matka – poczynając od alfabetu. Perskie litery jednak były całkiem inne, składały się z upstrzonych kropkami krętych linii. Chryste! Złożone w słowa przypominały raczej gołębnie odchody, ślady ptasich łapek, wióry albo chędożące się robaki. Zapisane patykami na piasku z trudem dawały się odcyfrować, Rob przyniósł więc z wozu węgiel i sosnową deszczułkę.

– Nigdy się tego nie nauczę – stwierdził z rozpaczą.

– Nauczysz się, nauczysz – uspokoił go Szymon.

Wziął deszczułkę do wozu, lecz najpierw zjadł wieczerzę – bez pośpiechu, by poskromić emocje. Potem usiadł na koźle i zaczął się uczyć.

*

27

Milcząca straż

Z gór zeszli na równinę, którą rzymski gościniec dzielił równo na pół jak okiem sięgnąć, aż po sam horyzont. Po obu stronach ciągnęły się czarne orne pola, z których zbierano zboże i późne warzywa. Lato miało się ku końcowi. Trakt zaprowadził ich nad rozległe niczym morze jezioro i kolejne trzy dni posuwali się jego brzegiem, przystając w nadbrzeżnej miejscowości Siofok, gdzie uzupełnili zapas żywności. Przygarbionych, chylących się ku ziemi

chałup było tu niewiele, lud zaś chytry i kłamliwy, lecz jezioro, zwane przez nich Balatonem, wyglądało jak cud z innego świata. Rankiem z ciemnej tafli, jakby rżniętej z drogiego kamienia, unosiła się biała mgiełka. Rob napawał się tym widokiem, czekając, aż Żydzi skończą swoje modlitwy.

Żydzi byli dziwni. I śmieszni; kiwali się podczas modłów, jakby Bóg żonglował ich głowami, które tańczyły każda w swoim rytmie do wtóru niesłyszalnej melodii. Spytał, czy nie mają ochoty popływać. Wykrzywili się okrutnie, bo ranek był zimny, ale zaraz zaszwargotali po swojemu, Meir coś powiedział, a Szymon skinął głową i bez słowa zawrócił pilnować obozu. Pozostali wraz z Robem zbiegli na brzeg, zrzucili szaty i z pluskiem rzucili się na płyciznę niczym rozdokazywane dzieci. Tuwe pływał słabo, taplał się więc tuż przy brzegu. Juda ha-Cohen nieśmiało przebierał rękami, a Gerszom ben Szemuel, wystawiwszy do słońca krągły brzuch, zaskakująco biały przy opalonej twarzy, unosił się na plecach, głośnym basem zawodząc jakieś niezrozumiałe pieśni. Tym, kto naprawdę zaskoczył Roba, był Meir.

– To lepsze niż mykwa! – wykrzyknął biorąc głęboki wdech.

– Co to jest mykwa? – spytał Rob, ale przysadzisty Żyd zanurkował już pod powierzchnię. Odpłynął od brzegu, zagarniając wodę mocnymi równymi uderzeniami.

Rob ruszył za nim. Lepszym towarzystwem byłaby jakaś dziewczka, pomyślał przypominając sobie te, z którymi się kiedyś kąpał. Było ich kilka; zawsze kochali się przedtem albo potem, parokroć nawet w wodzie opływającej ich ciała...

Od pięciu miesięcy nie miał kobiety. Odkąd Edyta z Exmouth wtajemniczyła go w te sprawy, nigdy aż tak długo nie obywat się bez zaspokojenia. Wiercił się teraz w lodowatej wodzie, usiłując

zwalczyć bolesną potrzebę. Wyprzedził Meira i chlapnął mu mocno w twarz. Żyd zakrztusił się i rozkaszał.

– Cholerni chrześcijanie! – wrzasnął.

Rob znowu go ochlapał, lecz tym razem Meir go dopadł. Młody balwierz przewyższał go wzrostem, ale tamten był odeń znacznie silniejszy. Wepchnął Roba pod wodę, Rob zaś wplótł palce w długą brodę Żyda i pociągnął go za sobą. Zapadali się w głębinę. Miał wrażenie, że z mulistej wody wytrącają się drobinki lodu i oblepiają zimnym srebrzystym płaszczem.

Jeszcze głębiej...

Chyba w tej samej chwili ogarnął ich strach, że się potopią. Rozdzielili się i wypłynęli na powierzchnię, łapczywie chwytając oddech. Ponieważ żaden nie mógł się uznać za zwycięzcę, zgodnie skierowali się do brzegu. Wyszli z wody dygocząc w chłodnym, jesiennym już wietrze i z trudem wciągnęli odzienie na mokre ciała. Meir zauważył obrzezany członek Roba, spojrzął nań badawczo.

– Koń odgryzł mi koniuszek – wyjaśnił z powagą Rob.

– Zapewne kobyła – sprostował z nie mniejszą powagą Meir. Zagadał coś do swoich, a ci zachichotali.

Żydzi nosili na ciele pod szatą jakiś dziwny ozdobiony frędzlami przyodziewek. Nadzy nie różnili się właściwie od innych; wraz z ubraniem nakładali na siebie swoją obcość, stawali się cudzoziemcami. Spostrzegli, że im się przygląda, ale on nie zapytał o tę dziwną bieliznę, oni zaś nie kwapili się z wyjaśnieniami.

Gdy minęli jezioro, krajobraz posmutniał. Mila za milą posuwali się prostą jak strzelił, niemającą końca drogą. Monotonny widok wciąż takich samych lasów i pól powoli stawał się nie do zniesienia. Rob szukał ucieczki w wyobraźni. Oczyma duszy widział tę drogę taką, jaka była wkrótce po jej wytyczeniu – rzymską *via* w wielkiej sieci dróg prowadzących legiony cesarów

na podbój świata. Pierwsi szli zwiadowcy, później konna straż przednia. Za nią w rydwanie wódz w asyście przybocznych i trębaczy pełniących też rolę gońców. Za nimi las najeżonych oszczepów – dziesięć kohort najdoskonalszych zabójców w dziejach świata, po sześciuset w jednej kohorcie podzielonej na setki podległe centurionom. Po przejściu legionu rzesze niewolników, zręczniejszych od innych roboczych bydłat, ciągnęły tormenta, olbrzymie maszyny wojenne, dla których wszak budowano te drogi – masywne tarany do rozbijania bram i murów, przemysłne katapulty miotające na wroga grad pocisków czy wielkie balisty, godne bogów proce wyrzucające w powietrze głązy i ciężkie belki tak lekko jak strzały z łuku. I wreszcie na końcu jechały tabory, a z nimi żony i dziewczki, kupcy, posłańcy, urzędnicy – mrówki historii żywiące się resztkami rzymskiej uczy.

Teraz armie te przeszły do legendy, zarówno wielcy wodzowie, jak i ciągnący za wojskiem maluczcy dawno obrócili się w proch, drogi jednak istniały nadal – niezniszczalne, proste, otępiająco monotonne.

Ocknął się, kiedy ujrział córkę Szkota kroczącą obok wozu. Jej wierzchowiec uwiązany był do jednego z jucznych.

– Może usiadłabyś ze mną na wozie, panno? – zagadnął. – Zawsze jakaś odmiana.

Zawahała się. Gdy jednak wyciągnął rękę, złapała ją i zręcznie wspięła się na kozioł.

– Ładnie ci się zagoiło lico. – Zarumieniła się, ale paplała dalej: – Widać już tylko jedną cieniutką połyskliwą kresę. Przy odrobinie szczęścia nie będzie nawet blizny.

Rob poczuł, że i on się czerwieni. Wolałby, żeby mu się aż tak nie przyglądała.

– Od czego te rany?

– Od bitki z rabusiami na gościńcu.

Dziewczyna głęboko wciągnęła oddech.

– Modlę się, żeby Pan Bóg nas przed nimi ustrzegł. – Spojrzała na niego z powagą. – Niektórzy twierdzą, że to Fritta rozpuścił plotkę o madziarskich zbójach, żeby napędzić sobie podróżników.

Rob wzruszył ramionami.

– Z pewnością byłby do tego zdolny. Ci Madziarzy wcale nie wyglądają groźnie. – Wskazał mijane pola, z których wieśniacy obojga płci zbierali kapustę.

Zamilkli. Wóz podskakiwał na wybojach, nie pozwalając mu zapomnieć o bliskości miękkiego biodra i jędrnego uda, a zapach ciała dziewczyny miał w sobie ciepłą korzenną słodycz rozgrzanych w słońcu jagód. Rob, który do woli przebierał w niewiastach jak Anglia długa i szeroka, teraz chrypnął, ilekroć chciał coś powiedzieć.

– Zawsze tak do ciebie mówili? Maira? – wykrztusił.

– Zawsze. – Popatrzyła na niego zdumiona.

– Nie inaczej?

– W dzieciństwie ojciec mówił „Żółwik”, bo robiłam tak... – powolutku zmrużyła oboje oczu.

Pragnienie, by pogłodzić jej włosy, wytrącało go z równowagi. Pod szeroką kością lewego policzka miała maleńką bliznę widoczną tylko z bliska i bynajmniej nie szpecącą. Szybko odwrócił wzrok.

Stary Cullen obrócił się w siodle. Zauważył ich dwoje na wozie balwierza. Znowu widywał Roba w towarzystwie Żydów i kiedy przywołał córkę, w jego głosie wyraźnie było słychać gniew. Dziewczyna podniosła się prędko.

– A ty masz jeszcze jakieś imię, Robercie? – spytała na odchodnym.

– Jeremiasz.

– Nie inaczej? – zakpiła z udawaną powagą.

Jedną ręką zebrała suknie i skoczyła z wozu lekko jak sarna. Rob pochwycił jeszcze błysk białych łydek i trzepnął Klaczkę lejcami, wściekły, że stał się dla niej przedmiotem żartów.

Po wieczery zaszedł do Szymona na drugą lekcję i odkrył, że Żydzi mają ze sobą książki. W szkole u Świętego Botulfa, do której chodził jako dziecko, były trzy: Stary i Nowy Testament po łacinie oraz angielskie menologium, czyli spis obowiązujących świąt wydany przez króla Anglii. Karty były z welinu, wyprawnej jagnięcej, cielęcej lub koźłej skóry; każda litera żmudnie wykaligrafowana, tak starannie, że księga stanowiła cenną rzadkość.

W kuferku obciążonym wytłaczaną skórą Żydzi wieźli ich kilka – jak się potem okazało, aż siedem. Szymon wybrał jedną, spisaną po persku, i zaczęli ją przeglądać. Kazał Robertowi wyszukiwać w tekście poznane litery. Gdy uczeń szybko opanował alfabet, nauczyciel go pochwalił, po czym przeczytał mu fragment, każąc powtarzać każde słowo, by Rob wczuł się w wymowę i rytm języka farsy.

– Co to za księga? – zaciekał się Rob.

– Koran, Biblia islamu – rzekł Szymon i zacytował:

Chwała niech będzie Bogu litościwemu i miłosiernemu.

On stworzył wszystko, stworzył też człowieka

I dał mu pierwsze miejsce wśród swego stworzenia.

I zaszczycił go, by przez niego spełniała się Boża wola.

A na koniec natchnął go zrozumieniem,

Oczyścił jego uczucia i dał mu wgląd w ducha.

– Wypiszę ci codziennie dziesięć perskich słów i zwrotów – rzekł Szymon. – Będiesz się ich uczyć na pamięć.

– To za mało – zmartwił się Rob. W Konstantynopolu Szymon ruszy w swoją stronę i skończy się nauka. – Dawaj mi

po dwadzieścia pięć.

– Niech ci będzie – uśmiechnął się Żyd.

Nazajutrz Rob bez trudu nauczył się zadanych słów. Droga nadal była równa i prosta; Klaczka sama ciągnęła wóz, a jej pan uwiązawszy lejce studiował farsi. Zostało mu jeszcze trochę czasu, po lekcji z Szymonem poprosił więc Meira ben Aszera, żeby pozwolił mu zabrać na wóz perską księgę. Mógłby wtedy wykorzystać każdą wolną chwilę. Meir stanowczo odmówił.

– Nie spuszczę księgi z oka. Możesz ją czytać tylko przy nas.

– Wobec tego pozwól, by Szymon jechał ze mną na wozie.

Był pewien, że Meir znów odmówi, ale Szymon go poparł:

– Mógłbym przez ten czas sprawdzać księgi rachunkowe.

Meir się zawahał.

– Ten człowiek będzie uczonym – dodał ciszej Szymon. – Ma w sobie głód wiedzy.

Starszy Żyd przyjrzał się młodemu balwierzowi i w jego wzroku pojawił się cień szacunku. W końcu skinął głową.

– Możesz wziąć księgę na wóz.

Rob nie mógł się doczekać jutra. Zasnął niespokojnie; rano obudził się o brzasku, podniecony, boleśnie niemal wyczekujący. Czekanie było tym trudniejsze do zniesienia, że widział, jak Żydzi bez pośpiechu rozpoczynają nowy dzień. Meir stał przed namiotem i ziewał, Szymon poszedł do lasu za potrzebą, Tuwe zszedł nad strumyk, by się umyć. Potem wszyscy długo kiwali się mamrocząc modlitwy. Potem Gerszom z Judą nałożyli na miski owsiankę, rozdali chleb i Żydzi zasiedli do śniadania.

Żaden chyba kochanek nie wyglądał swej lubej tak tęsknie jak Rob Szymona.

– No chodźże już, leniu, ślamazaro! – syczał przez zęby, powtarzając wyuczone słówka.

Nareszcie przyszedł. Niósł w objęciach perski Koran, dość gruby zwój mieszczący zapewne rachunki handlowe oraz dziwną drewnianą ramę z rzędami paciorków na cienkich poprzeczkach.

– Co to?

– Abak. Liczydło, przydatne do sumowania – wyjaśnił Szymon sadowiąc się na wozie.

Karawana ruszyła. Pomysł Roberta okazał się trafiony – wprawdzie nawet na równej drodze wóz podskakiwał na kamieniach uniemożliwiając pisanie, ale czytało się wygodnie, toteż każdy wziął się do swojej pracy.

Trudno było co prawda nazwać czytaniem pracę nad zupełnie niezrozumiałym tekstem. Szymon kazał mu rozpoznawać litery i odczytywać obce słowa, żeby się oswoił z wymową. Natrafiwszy na znany już zwrot *chosz omadi* – „bądź pozdrowiony” – Rob poczuł się tak, jakby odniósł zwycięstwo na polu bitwy.

Od czasu do czasu podnosił wzrok i przyglądał się plecom Mairy. Jechała wyprostowana, z podniesioną głową, jak gdyby całe życie spędziła w siodle. Zauważył, że nie oddala się od boku ojca, zapewne na jego rozkaz; Szkot wyraźnie się nachmurzył, widząc Żyda wsiadającego na wóz Roberta.

Do południa Rob nauczył się kolejnych dwudziestu pięciu słów.

– Musisz mi zadawać więcej.

Szymon uśmiechnął się w odpowiedzi i dodał mu jeszcze piętnaście. Rzadko się odzywał, słychać było tylko prędkie stukot przesuwanych paciorków abaka. Rob wkrótce do niego przywykł.

W połowie popołudnia Żyd fuknął pod nosem; najwyraźniej znalazł błąd w rachunkach. Zwój musiał zawierać zapisy wielu przeprowadzonych transakcji. Robert nagle sobie uświadomił, że ci ludzie wiozą do domu zysk z kupieckiej wyprawy z Persji do Germanii. Nic dziwnego, że któryś z nich zawsze tkwił w obozie!

Tuż przed nim jechał Cullen z trzosem pełnym srebra na zakup owiec w Anatolii. Za nim Hebrajczycy mający przy sobie niechybnie znacznie większą sumę. Gdyby rabusie zwietrzyli ów bogaty łup, zebraliby dość liczną armię wyrzutków, by zaatakować nawet tak silną karawanę.

Pomimo to nie kusilo go, żeby się odłączyć. Podróżując samotnie, prosiłby się o śmierć. Odsunął więc obawy; co dzień siadał na koźle, puszczał Klacze lejce i zagłębiał się w świętą księgę islamu.

Pogoda była piękna. Jesienne niebo miało głęboką barwę przywodzącą Robertowi na myśl oczy młodej Szkotki, które rzadko teraz miał okazję oglądać. Unikała go, niewątpliwie na żądanie ojca.

Szymon skończył rachunki i stracił wymówkę, by jechać na wozie, ale zadziałała siła przyzwyczajenia. Meir nie strzegł już tak zazdrośnie perskiej księgi. Mając teraz więcej czasu, Szymon skrupulatnie kształcił Roba także w kupieckim rzemiośle.

– Jaka jest podstawowa perska jednostka wagi? – pytał.

– *Man*, Szymonie, czyli mniej więcej pół naszego kamienia.

– Wymień pozostałe.

– *Ratel*, szósta część *mana*. *Dirham*, pięćdziesiąta część *ratela*. *Meskal*, pół *dirhama*. I *dung*, szósta część *meskala* równa czterem ziarnom jęczmienia.

– Doskonale. Naprawdę szybko się uczysz!

Skończywszy odpytywać ucznia, młody Żyd sam musiał odpowiadać na niezliczone pytania, którymi zasypywał go Robert.

– Szymonie, jeśliś łaskaw... jak się mówi: pieniądz?

– *Raz*.

– A... czekaj chwilę, znalazłem w księdze taki zwrot: *Sonab-e karet*. Co to znaczy?

– Zasługi na życie przyszłe, czyli uczynki mające zapewnić miejsce w raju.

– A słuchaj, Szymonie...

Szymon jęczał i Rob zdawał sobie sprawę, że jest męczący. Powściągał się więc – do czasu gdy zaczęło go nurtować kolejne pytanie.

Dwa razy w tygodniu przyjmował chorych. Szymon służył mu za tłumacza, przyglądał się i słuchał. Wówczas to Rob awansował do roli mędrca, a zaciekawiony Żyd zadawał mu pytania.

Któregoś dnia przyszedł do niego głupkowato uśmiechnięty frankijski poganiacz. Skarżył się na ból pod kolanami, gdzie miał twarde guzy. Rob dał mu kojącą maść ziołową na owczym łożu i kazał wrócić za dwa tygodnie. Jednakże ten odwiedził go ponownie już po tygodniu. Guzy pojawiły się również pod pachami. Rob odesłał go z dwiema flaszками driakwi.

Kiedy załatwili już wszystkich, Szymon spytał:

– Co będzie z tym wielkim Frankiem?

– Możliwe, że dymienice znikną, choć nadzieja jest nikła. Jeśli pojawi się ich więcej, wkrótce umrze.

Szymon zmrużył oczy jak uderzony.

– Nic nie możesz dla niego zrobić?

Rob potrząsnął głową.

– Jestem tylko balwierzem. Może gdzieś jest jakiś wielki medyk, który mógłby mu pomóc.

– Nie robiłbym tego – rzekł powoli Szymon – dopóki nie nauczyłbym się wszystkiego, co możliwe.

Balwierz popatrzył na niego bez słowa. Młody Żyd od razu jasno dostrzegł to, czego zrozumienie zajęło Robertowi wiele – zbyt wiele – czasu.

W nocy obudził go gwałtownie Cullen.

– Pośpiesz się, człowieku, na miłość boską! – wołał. Z oddali wtórował mu krzyk kobiety.

– Maira?

– Nie. Chodź!

Noc była czarna, bezksiężycowa. Tuż za obozowiskiem Żydów paliły się pochodnie. W migotliwym świetle Rob ujrzał na ziemi ciało.

Mężczyzna konał. Leżał w połyskliwej ciemnej kałuży krwi uchodzącej wraz z życiem z poderżniętego gardła. Był to Kacper Raybeau, chudy Francuz jadący w karawanie o trzy miejsca dalej za Robem; ten, co wciąż się kłócił z żoną. Cullenówna obejmowała tęgą niewiastę, która nie przestawała krzyczeć.

– Trzymał straż dzisiejszej nocy – powiedział Szymon.

Rob przykucnął przy rannym, dotknął śliskiej rozpołowionej szyi. Raybeau wydał z siebie cichy gulgot, wyprężył się, jak gdyby chciał odpowiedzieć na bolesne nawoływania swej połowicy, potem targnął nim skurcz i umarł.

Po chwili doleciał ich tętent. Wszyscy poderwali się na nogi.

– To Fritta wysłał ludzi w pogoń za zabójcą – odezwał się z ciemności cichy głos Meira.

Nikt już nie spał; cała karawana chwyciła za broń. Konni nie natrafili w mroku na żadną większą bandę. Sprawca mordu mógł być złodziejem działającym w pojedynkę albo zwiadowcą rozbójników. Tak czy owak zniknął.

Przez resztę nocy nie zmrużyli już oka. Rano pogrzebali Raybeau nieopodal drogi, w niepoświęconej ziemi. Fritta pośpiesznie odmówił nad nim modlitwę. Podróżni nerwowo przebierali już nogami, pragnąc wyruszyć jak najszybciej. Żydzi przepakowali juki tak, by się nie zerwały podczas galopu. Poza innymi pakunkami każdy muł dźwigał wąską, wyraźnie ciężką sakwę. Rob domyślił

się, co zawierają. Szymon nie wsiadł na wóz; jechał konno obok Meira, w razie potrzeby gotów do walki lub ucieczki.

Dwa dni później przybyli do Nowego Sadu, ruchliwego miasteczka nad Dunajem. Tam się dowiedzieli, że niewiele wcześniej ofiarą zbójów padła grupa siedmiu frankijskich mnichów pielgrzymujących do Ziemi Świętej. Bandyci ich ograbili, wykorzystali do sprośnych uciech, a na koniec zabili.

Ruszyli dalej brzegiem szerokiej połyskliwej rzeki, zachowując się tak, jakby w każdej chwili groził im napad. Udało im się jednak bez złych przygód dojechać do Belgradu. Tam uzupełnili zapasy. Chłopi sprzedawali na targu małe, kwaśne, wyjątkowo aromatyczne czerwone śliwki i zielone oliwki, które Rob jadł ze smakiem. Wieczerzał w gospodzie, ale zalatujący zjełczałym tłuszczem gulasz z różnych mięs nie przypadł mu do gustu.

Część podróżnych odbiła od karawany już w Nowym Sadzie, spora grupa zaś w Belgradzie. Dołączyli z kolei inni. Cullenowie, Rob i grupka Żydów jechali teraz bliżej czoła karawany, gdzie ryzyko napaści było mniejsze.

Wkrótce po opuszczeniu Belgradu zaczęli się wspinać na łagodne wzgórza, które jednak niebawem ustąpiły miejsca znacznie wyższym i ostrzejszym od tych, które dotąd przekroczyli. Strome stoki jeżyły się skałami przypominającymi obnażone kły. Wyżej kasał ich porywisty wiatr, zwiastun niedalekiej zimy. Wędrując tędy w śniegu, przeżyliby istne piekło.

Teraz nie mógł już sobie pozwolić na chwilę nieuwagi. Na podjazdach popędzał Klaczkę lekkimi uderzeniami lejców, przy zjazdach hamował i przez cały czas badał wzrokiem wyboistą drogę. Gdy bolały go ręce i duch w nim upadał, mówił sobie, że Rzymianie wozili swe tormenta przez te wyniosłe góry. Oni wszelako mieli hordy niewolników, a Rob tylko jedną zmęczoną

klacz wymagającą nader zręcznego powożenia. Wieczorami śmiertelnie zmęczony włókł się do obozu Żydów i czasami udawało mu się jeszcze czegoś nauczyć. Szymon nie wsiadał już z nim na wóz; nieraz nawet dziesięć perskich słów stawało się zadaniem ponad siły.

Bałkany

Dopiero teraz Rob zaczął patrzeć z podziwem na Fritte. Mistrz karawany był wszędzie – pomagał przy uszkodzonych wozach, popędzał i kierował swoją trzódkę niczym dobry poganiacz. Droga była kamienista; w pierwszym dniu października stracili kilka godzin na usuwanie zrzucanych głazów tarasujących szlak. Częściej dochodziło do wypadków. Rob składał średnio dwie złamane ręce tygodniowo. Koń normńskiego kupca stanął dęba i wóz przygniótł właściciela, miażdżąc mu nogę. Musieli go wieźć w kolebce między parą koni, dopóki nie trafili na zagrodę, której mieszkańcy zgodzili się zaopiekować rannym. Odjeżdżając Rob miał gorącą nadzieję, że gospodarz nie zamorduje go z chciwości, gdy tylko karawana zniknie mu z oczu.

– Opuściliśmy już kraj Madziarów. Ten, który leży przed nami, zamieszkują Bułgarzy – powiedział mu któregoś dnia Meir.

Niczego to nie zmieniło: skały były równie niedostępne jak dotąd, górski wiatr chłostał ich z równą siłą. Robiło się coraz chłodniej. Podróżni dobyli z juków najróżniejsze okrycia, zwykle raczej ciepłe niż kształtne, toteż wkrótce stali się dziwną zbieraniną zakutanych w co się tylko dało oberwańców.

Któregoś pochmurnego ranka muł prowadzony za koniem Gerszoma ben Szemuela potknął się na kamieniach, przednie nogi ujechały spod niego i lewa ze słyszalnym trzaskiem pękła pod ciężarem juku. Nieszczęsne zwierzę wyło z bólu jak człowiek.

– Zróbcie coś! – krzyknął Rob.

Meir ben Aszer dobył długi nóż i pomógł mułowi w jedyny możliwy sposób – podcinając drżącą z wysiłku gardziel.

Żydzi zabrali się do ściągania juków z martwego zwierzęcia. Podłużną skórzaną sakwę Gerszom i Juda musieli dźwigać we dwóch i od razu się przy tym pokłócili. Mówili po swojemu, ale Rob łatwo się domyślił, o co poszło. Drugi muł dźwigał już taką samą sakwę. Gerszom słusznie się obawiał, że dodatkowy ładunek może doprowadzić do podobnego wypadku.

Z tyłu doleciały nagłące wołania zatrzymanych w pochodzie ludzi, którzy nie chcieli odstawać od reszty karawany. Rob zeskoczył z kozła i podbiegł do Żydów.

– Rzućcie sakwę na mój wóz.

Meir zawahał się, ale pokręcił głową.

– Nie.

– A to idźcie do diabła – prychnął Rob i obrócił się na pięcie, rozdrażniony tak jawnym brakiem zaufania.

Meir powiedział coś jeszcze i Szymon dogonił Roba.

– Przytroczy my sakwę do mojego konia. Czy mógłbym przez jakiś czas jechać z tobą? Dopóki nie kupimy drugiego muła?

Rob bez słowa wskazał mu miejsce na kozle i sam też wsiadł. Dość długo powoził w milczeniu. Nawet na lekcję perskiego nie miał już ochoty.

– Źle go zrozumiałeś – rzekł po jakimś czasie Szymon. – Meir musi trzymać sakwy przy sobie. To nie jego pieniądze. Owszem, część jest własnością rodziny, ale większość wyłożyli obcy. A on za nie odpowiada.

Wyjaśnienie poprawiło nieco Robertowi humor, lecz dzień trudno było zaliczyć do udanych. Droga wymagała nieustannej czujności, a dodatkowy pasażer dał się we znaki Klaczce. Była już bardzo zmęczona, kiedy zmierzch zaskoczył ich na wierzchołku wzniesienia, gdzie musieli rozbić obóz.

Nie zdążył nawet zjeść, już wzywano go do chorych. Tym razem na szczęście było ich niewielu; schronili się przed porywistym wichrem za wozem Fritty. Ku zdumieniu Roba i Szymona znalazł się wśród nich Gerszom ben Szemuel. Krzepki, przysadzisty Żyd uniósł kaftan, opuścił portki i Rob zobaczył paskudnie zaogniony wrzód na jego prawym pośladku.

– Każ mu się pochylić.

Gerszom stęknął, kiedy spod noża trysnęła cuchnąca żółta ropa. Gdy wszakże balwierz zaczął bezlitośnie wyciskać wrzód, dopóki nie ukazała się czysta krew, Żyd jęczał już głośno i klął w swoim języku.

– Nie usiedzi w siodle – rzekł Rob do Szymona. – Co najmniej przez kilka dni.

– Musi, nie możemy go przecież zostawić!

Robert westchnął. Miał już dziś serdecznie dosyć synów Izraela.

– No to weź jego konia, a on niech się położy w moim wozie.

Szymon skinął głową.

Następny w kolejce był wiecznie uśmiechnięty poganiacz. Nowe, małe jeszcze guzki wyskoczyły mu w pachwinach; tamte pod pachami i kolanami rozrosły się i zaczęły boleć. Rob ujął go za rękę.

– Powiedz mu, że umrze – mruknął do Szymona. Ten spiorunował go wzrokiem.

– Opętało cię?

– Powiedz mu.

Szymon z wysiłkiem przełknął ślinę i cicho przemówił do chorego. Rozlany na płaskiej głupkowatej twarzy uśmiech powoli zgasł. Frank wyjął rękę z jego dłoni i zacisnął ją w pięść wielkości szynki. Warknął coś.

– Nazwał cię jebanym łgarzem – przetłumaczył Szymon.

Rob patrzył Frankowi prosto w oczy. W końcu tamten splunął mu pod nogi i człapiąc niezdarnie odszedł.

Rob sprzedał driakiew dwóm chorym dręczonym dokuczliwym kaszlem, a następnie opatrzył pojękującego Madziara z wybitym kciukiem, który zahaczył mu się o popręg, gdy koń nagle uskoczył. Potem zostawił Szymona, mając ochotę uciec od niego i od tych ludzi. Karawana przypadła do ziemi, szukając większych głązów dla ochrony przed wiatrem. Minął ostatni wóz i na skale wznoszącej się nad szlakiem zobaczył córkę Cullena.

W szeroko rozpostartej opończy, z głową odrzuconą do tyłu i zamkniętymi oczami wyglądała jak zjawa. Porywisty wicher obmywał ją niczym rozpędzona rzeka. Ciężki barani kozuch wydymał się i łopotał, oblepiona na smukłym ciele czarna suknia podkreślała krągłość piersi o sterczących brodawkach, łagodną krzywiznę brzucha, zagłębienie pępka i kuszącą wklęsłość między mocnymi udami. Rob poczuł, że ogarnia go dziwne, tęskne ciepło. To musiał być urok; patrząc na nią, zyskał nagle pewność, że jest czarownicą. Długie włosy powiewały za nią jak wijący się czerwony płomień.

Przestraszył się myśli, że go zobaczy. Odwrócił się i odszedł.

W zagraconym wozie nie było dość miejsca, aby Gerszom mógł się wyciągnąć na brzuchu. Rob ponurym wzrokiem zlustrował swój dobytek i postanowił się pozbyć niepotrzebnych już desek, z których ongiś stawiali a to scenę, a to kram. Wyrzucił je z wozu wspominając dawne chwile, gdy wraz z mistrzem zabawiali widzów. Wzruszył ramionami, sięgnął po siekierę i połupał je na szczapy. W kociołku miał jeszcze żar; rozdmuchał ogień za osłoną wozu, a potem usiadł przy nim w gęstniejącym mroku, dorzucając kolejne drwa.

Cullenówna nie była jego siostrą. Imię było tylko podobne, a ciemne już w dzieciństwie włoski, choćby z rudym połyskiem, nie rozgorzałyby barwą pożogi.

Wracająca z nieudanych łowów Leotylda miauknęła potwierdzająco i wtuliła się w niego, wyciągając łapy w stronę ognia.

Rano dwudziestego drugiego dnia października w powietrzu zakłębiły się niesione wiatrem twarde białe grudki, bezlitośnie kłujące odsłoniętą skórę.

– Za wcześnie na to świństwo – mruknął smętnie Rob do Szymona, który wrócił na wóz, gdy Gerszomowi zagoił się pośladek.

– Nie na Bałkanach – odmruknął.

Wspinali się na coraz wyższe i ostrzejsze stoki, niżej porośnięte brzozą, dębem i sosną, lecz tu nagie i skaliste, jak gdyby rozłoszczone bóstwo jednym cięciem zmiotło fragment góry. Strumienie spadały w głąb stromych wąwozów, tworząc małe jeziora. Jadących przodem Cullenów, zakutanych w jednakowe baranice i czapy, rozróżniał po maści wierzchowców. Karosz należał do dziewczyny. Śnieg właściwie nie osiadał na ziemi; zamieć niosła go dalej, a karawana mozolnie parła wzwyż pod wiatr. Fritta dwoił się i troił, popędzając wszystkich do szybszego marszu.

– Nareszcie i Fritta zląkł się Pana Jezusa – zauważył Rob.

Szymon obrzucił go szybkim czujnym spojrzeniem. Ilekroć wspomniał o Chrystusie, zerkali na niego w taki sposób.

– Musi doprowadzić nas do Gabrowa, zanim drogę zasypie śnieg. Na drugą stronę gór prowadzi wielka przełęcz zwana Bramą Bałkańską, ale o tej porze roku nie można się już nią przedostać. Spędzicie zimę w Gabrowie, u stóp przełęcz. Są tam gospody i kwatery dla podróżnych. Inne miejscowości w pobliżu są za małe, żeby pomieścić taką liczną karawanę.

Rob kiwnął głową, dostrzegając jasną stronę przestoju.

– Całą zimę będę mógł się uczyć perskiego.

– Nie zatrzymamy się w Gabrowie z karawaną – powiedział Szymon. – Będziemy zimować trochę dalej, w Triawnie, gdzie mieszkają nasi. Księgę weźmiemy ze sobą.

– Jest mi potrzebna! Podobnie jak lekcje z tobą!

Szymon wzruszył ramionami.

Wieczorem, obrządziwszy Klaczkę, Rob poszedł do obozowiska Żydów. Zastał ich, jak debatowali nad podkowami o specjalnej żłobkowanej powierzchni.

Meir podał mu jedną.

– Powinieneś sprawić takie swojej klaczy. Nie będzie się w nich ślizgać na śniegu i lodzie.

– Mógłbym jechać z wami do Triawny?

Meir i Szymon wymienili spojrzenia. Rob domyślił się, że już o tym rozmawiali.

– Nie jestem w stanie zagwarantować ci gościny w Triawnie.

– Od kogo to zależy?

– Tamtejszej gminie przewodzi wielki mędrzec, rabbi Szlomo ben Elia.

– Rabbi?

– Inaczej rabin. Uczony. Rabbi znaczy dosłownie „nasz nauczyciel” i jest to bardzo zaszczytny tytuł.

– Jaki jest ten Szlomo? Wyniosły, nieprzystępny, niechętny wobec obcych?

Meir z uśmiechem pokręcił głową.

– Pozwólcie mi zatem, żebym udał się tam z wami. Sam poproszę go o gościnę. Zależy mi na dalszych lekcjach.

Meir nie wydawał się uszczęśliwiony. Przez dłuższą chwilę patrzył na niego w milczeniu, gdy jednak stało się jasne, że Rob nie pozwoli mu się wykręcić od odpowiedzi, zwiesił głowę i westchnął.

– Zabierzemy cię do rabbiego.

Triawna

Gabrowo było w istocie smętną dziurą, nieporządnym skupiskiem lichych drewnianych domów. Obywając się od miesiący własną podrózną kuchnią, Rob marzył o solidnym posiłku, który ktoś podałby mu pod nos. Żydzi przystanęli w Gabrowie na krótko, żeby zejść do jakiegoś kupca, zdążył jednak zamówić obiad w jednej z trzech gabrowskich gospód – i gorzko się rozczarować. Mięso miało gnilny odór, który karczmarz starał się zamaskować nadmiarem soli; chleb był czerstwy i dla odmiany cuchnął pleśnią, ponadto ziały w nim dziury w miejscach, skąd najpewniej wydłubano robaki. Warunki noclegowe bynajmniej nie były lepsze: ludzie spali pokotem na rozłożonych jeden obok drugiego siennikach. Jeśli w pozostałych dwóch gospodach było podobnie, karawanę czekała ciężka zima.

Droga do jeszcze mniejszej Triawny zabrała grupie Meira niecałą godzinę. Żydowską „wioskę” – raptem garść krytych strzechą chatynek z poszarzałych od deszczu desek, skupionych razem, jakby chciały się wzajemnie wspierać – dzieliły od Gabrowa uśpione już winnice i brunatne pola, na których krowy wyskubywały resztki ściętej mrozem trawy. Wjechali na udeptany majdan, gdzie miejscowi chłopcy zajęli się końmi.

– Zaczekaj tutaj – rzekł Meir do Roba.

Nie czekał długo. Wkrótce Szymon wrócił po niego i wprowadził go do jednej z chat. Z ciemnej, pachnącej jabłkami sieni weszli do izby mieszczącej tylko krzesło i stół, na którym piętrzyły się książki i zwoje. Na krześle siedział starzec o białych włosach i brodzie. Tęgi, lecz przygarbiony, miał głęboko zapadnięte duże ciemne oczy zażawione ze starości, choć zarazem przenikliwe. Rob poczuł, że rabbi preziera go nimi na wskroś. Nie wymieniono

imion; stał przed tym człowiekiem, jakby co najmniej hrabia udzielał mu posłuchania.

– Rabbi wie, że jedziesz do Persji i chcesz się nauczyć języka tego kraju, żeby móc tam prowadzić interesy – odezwał się Szymon. – Pyta, czy radość ze zdobywania wiedzy nie jest wystarczającym powodem do nauki.

– Nauka istotnie sprawia czasem radość – Rob zwrócił się bezpośrednio do starca – ale mnie znacznie więcej przysparza wysiłku. Uczę się języka Persów, bo mam nadzieję, że zaprowadzi mnie tam, gdzie pragnę.

Dwaj Żydzi szwargotali przez chwilę w swoim języku.

– Rabbi pytał, czy zawsze jesteś taki uczciwy. Ja na to: dostatecznie, by powiedzieć śmiertelnie choremu, że umiera. Rabbi stwierdził, że to jest zaiste uczciwe.

– Powiedz mu, że mam pieniądze i zapłacę za gościnę.

Mędrzec potrząsnął głową.

– To nie karczma. Kto tu mieszka, musi pracować – rzekł przez Szymona. – Jeśli tej zimy Niewysłowiony będzie dla nas miłosierny, nie przyda nam się balwierz.

– Są i inne prace. Chętnie będę robił wszystko, do czego się nadam.

Rabin zadumał się, wplatając długie palce w brodę. Po dłuższej chwili przemówił.

– Ilekroć zabity wół okaże się niekoszerny, zawieszysz mięso na sprzedaż do chrześcijańskiego rzeźnika w Gabrowie – przetłumaczył jego decyzję Szymon. – A w szabas, kiedy ludziom naszej wiary nie wolno pracować, będziesz chodził po domach i dokładał do ognia.

Rob się zawahał. Stary Żyd przyjrzał mu się uważniej, zaciekawiony błyskiem w jego oku.

– Coś nie tak? – szepnął Szymon.

– Skoro wam nie wolno pracować podczas szabasu, to czy rabbi się nie obawia, że każąc mi to robić, naraża moją duszę na wieczne potępienie?

Szlomo ben Elia uśmiechnął się, kiedy Szymon przełożył mu słowa Roba.

– Rabbi wyraził przekonanie, że nie pragniesz zostać Żydem.

Rob pokręcił głową.

– Zatem jest pewien, że możesz bez obawy pracować w żydowski szabas. Wita cię w Triawnie.

Rabin zaprowadził ich do wielkiej obory, gdzie Rob miał sypiać.

– W domu nauki są świece. Tu nie wolno ci czytać, bo zajmie się suche siano – przestrzegł Roba surowo i od razu zatrudnił go przy wyrzucaniu gnoju.

Wieczorem Rob umościł się na słomie, Leotylda zaś niczym lwica ułożyła się na straży u jego stóp. Od czasu do czasu opuszczała go na chwilę, by nauczyć moresu tutejsze myszy, ale zawsze wracała. Od wielkich krowich cielsk biło wilgotne ciepło i gdy tylko Rob oswoił się z ciągłym porykiwaniem i słodkawym odorem bydlęcego nawozu, zasnął jak kamień.

Zima zawitała do Triawny trzy dni po ich przyjeździe. Śnieg zaczął padać w nocy i przez następne dwa dni na zmianę albo zacinał z deszczem, albo sfruwał w postaci grubych puszystych płatków. Kiedy w końcu przestało sypać, Rob dostał szeroką drewnianą łopatę i pomagał odgarniać zasy przed wszystkich drzwi. Na głowę nasadził żydowską skórzaną czapkę, którą znalazł na kołku w oborze. Wysiętek na świeżym powietrzu poprawił mu humor, zwłaszcza gdy wznoszące się nad osadą białe szczyty rozbłysły w słońcu.

Poza odgarnięciem śniegu nie miał nic do roboty, udał się więc do domu nauki, drewnianego budynku o nieszczęśliwych ścianach, przez które wiało chłodem. Symboliczny ogieniek nie wystarczał, by zwalczyć zimno, i często w ogóle zapominano go rozpalić. Żydzi siadywali przy stołach z surowych desek i nieraz przez wiele godzin zgłębiali wiedzę, dyskutując przy tym głośno i zawzięcie.

„Język” – bo po prostu tak nazywali swoją mowę – był mieszaniną hebrajskiego i łaciny z dodatkiem nielicznych zwrotów wziętych od innych ludów, wśród których żyli lub które napotykali w swej wędrówce. Widocznie nadawał się do sporów, skoro nawet uczeni obrzucali się słowami niczym pociskami.

– O co oni się tak kłóć? – pytał zdumiony Rob Meira.

– O istotne kwestie prawne.

– A gdzie mają księgi?

– Niepotrzebne im księgi. Ci, którzy znają Prawo, wyuczyli się go na pamięć z ust swych nauczycieli. Ci, którzy go jeszcze nie znają, uczą się słuchając tamtych. Zawsze tak było. Istnieje oczywiście prawo pisane, ale do niego odwołujemy się tylko w razie wątpliwości. Każdy znawca prawa przekazanego ustnie wykłada je innym tak, jak nauczył go mistrz, stąd i wiele wykładni, ponieważ jest wielu mistrzów. Dlatego się spierają. W każdej takiej debacie dowiadują się nieco więcej o Prawie.

W Triawnie od początku nazywano Roba „mar Ruben”. W ich dziwnej mowie znaczyło to „mistrz Robert”. Słowo „mar” wyróżniało go spośród nich, albowiem do siebie nawzajem mówili „reb”. Był to również zaszczytny tytuł podkreślający uczoneść tak nazwanego mężczyzny, ale znacznie niższy od „rabiego”. Dziwili go ci ludzie różniący się od niego tak powierzchownością, jak obyczajem.

– Co on zrobił z włosami? – zagadnął Meira reb Joel Lewi, pasterz. W całym gronie tylko Rob nie miał pejsów zwieszających się przy uszach.

– On nie nosi pejsów. To goj, obcy – wyjaśnił Meir.

– Ale Szymon mówił, że jest obrzezany. Jak to możliwe? – wtrącił się mleczarz, reb Pinkas ben Symeon.

Meir wzruszył ramionami.

– To przypadek – odparł. – Nie ma nic wspólnego z Przymierzem Abrahama.

Przez kilka dni otwarcie gapili się na niego, on zaś po trosze na nich. Przyglądał się ich osobliwym nakryciom głowy, pejsom, krzaczastym brodom, ciemnym chałatom – i pogańskim obyczajom. Zafascynowany obserwował ich podczas modłów. Każdy z nich robił to na swój sposób. Meir nakładał szal skromnie i dyskretnie, recytując zaś modlitwy łagodnie się kołysał. Reb Pinkas rozwijał tałas, potrząsał nim niemal butnie i trzymając za dwa rogi, gwałtownym ruchem rąk wyrzucał go nad głowę, skąd szal spływał mu na ramiona lekko jak błogosławieństwo. Potem mocno kiwał się w przód i w tył, jakby miał do Wszechmogącego sprawę niecierpiące zwłoki. Szymon z kolei wybrał pośrednie tempo, każdy skłon zaś kończył lekkim drgnieniem i nieznacznym skinieniem głowy.

*

Zaczytany w swej księdze Rob nie przyciągał uwagi, toteż wkrótce przestał być dla nich atrakcją. Codziennie przez sześć godzin – trzy po porannych modłach nazywanych *szacharit* i trzy po wieczornych *maariw* – w domu nauki robiło się tłoczno, środek dnia bowiem większość mężczyzn poświęcała na pracę. Wtedy dom pustoszał, zaledwie jeden lub dwa stoły zajmowali uczeni, którzy poświęcili

się wiedzy bez reszty. Wkrótce Rob przestał czuć się skrępowany; oni go nie dostrzegali, on zaś nie słyszał ich hebrajskiego szwargotu pograżony w nauce farsi, w której wreszcie zaczął robić postępy.

W szabas przez cały dzień podkładał do ognia w domach świętujących Żydów. Od dnia, w którym odgarniali śnieg, po raz pierwszy rzeczywiście się napracował, lecz i tak mógł przeznaczyć część popołudnia na naukę. Dwa dni później pomógł cieśli Eliaszowi wymienić poprzeczki w krzesłach. Poza tym nie miał nic do roboty. Dopiero pod koniec drugiego tygodnia pobytu w Triawnie wnuczka rabina, Rachela, nauczyła go doić krowy. Rachela miała białą skórę, długie czarne włosy, które spletała w warkocz owinięty wokół głowy, twarz w kształcie serca, małe usteczka z odętą po kobiecemu dolną wargą, drobne znamię na szyi i wielkie brązowe oczy, wiecznie wpatrzone w Roba.

Byli właśnie w oborze, gdy jedna z krów, głupie bydlę, ubrdała sobie, że jest bykiem, i wspięła się na drugą. Twarz i szyję Racheli oblał krwisty rumieniec, lecz zaśmiała się tylko, przysunęła się z zydlem do mlecznej krowy tak, że jej czoło oparło się o ciepły bok, i przymknąwszy oczy, szeroko rozchyliła kolana. Jej palce zaigrały u napęczniałych wymion, ściskając kolejno grube dójki, a gdy mleko strzyknęło do skopka, wciągnęła głęboko powietrze i westchnęła. Różowy koniuszek języka zwilżył jej pełne wargi. Wtedy otworzyła oczy i spojrzała na Roba.

Robert stał sam w mrocznej oborze, trzymając cuchnącą końskim potem derkę, nieznacznie tylko większą od modlitewnego szala. Szybkim ruchem zarzucił ją na głowę i ramiona tak gładko jak reb Pinkas. Ten wyuczony gest wykonywał już pewnie, teraz przy wtórze krowich porykiwań ćwiczył powolne, pełne namysłu kołyszące się ruchy rozmodlonego Żyda. Wolał naśladować Meira niż energiczniejszych wyznawców w rodzaju choćby Pinkasa.

To wszystko było łatwe. Nie wyobrażał sobie jednak, jak poświęcając tyle sił na naukę farsi zdołałby jeszcze opanować ich język – skomplikowany i co gorsza brzmiący bardziej obco niż perski.

Żydzi byli rozmiłowani w amuletach. W górnej części prawej futryny drzwi każdego domu przybita była drewniana tuleja zwana mezuzą. Wedle słów Szymona każda zawierała zwitek pergaminu z wypisanymi kanciastym hebrajskim pismem dwudziestoma dwoma wersetami z szóstego i jedenastego rozdziału Księgi Powtórzonego Prawa, na odwrocie zaś widniało słowo *Szaddaj* – Wszchemogący.

Już w czasie podróży zauważył, że każdego rana, prócz sobotnich, wszyscy dorośli mężczyźni przywiązywali sobie do czoła i ramienia skórzane puzderka zwane *tefilin*, filakterie zawierające wyjątki ze świętych ksiąg. Ta u czoła miała być blisko umysłu, ta na lewym ramieniu – blisko serca.

– Księga Powtórzonego Prawa będąca piątą z Ksiąg Mojżeszowych – tłumaczył mu cierpliwie Szymon – nakazuje nam tak: „Weźcie przeto sobie te moje słowa do serca i duszy. Przywiążcie je sobie jako znak na rękę. Niech one będą wam ozdobą między oczami”

Rob miał kłopot z podpatrzeniem, jak Żydzi zakładają swoje filakterie. Nie mógł prosić Szymona, by mu to pokazał; chrześcijanin pragnący się nauczyć obrzędu żydowskiej religii wydałby się zaiste podejrzany. Udało mu się policzyć, że dziesięć razy owijali ramię wokół ramienia, ale sposób, w jaki przeplatali go między palcami, był znacznie bardziej skomplikowany i nie był w stanie go rozgryźć. Chował się w zimnej śmierzdzącej oborze, owijając ramię kawałkiem powroza, ale czuł, że robi to nie tak, jak trzeba.

Mimo to co dzień dowiadywał się czegoś nowego, Żydzi bowiem nauczanie mieli we krwi. W parafialnej szkółce u Świętego Botulfa słyszał ongiś, że Bóg Starego Testamentu zwie się Jehową. Kiedy jednak wymówił to słowo, Meir pokręcił głową.

– Wiedz, że nasz Pan, niech będzie błogosławiony, ma siedem imion. To jest najświętsze. – Zwęglonym drewnem wypisał na podłodze perskim i hebrajskim alfabetem: JHWH. – Nigdy go nie wypowiadamy, nie da się bowiem wyrazić istoty Najwyższego. Chrześcijanie to robią, ale mówią błędnie, tak jak ty. W każdym razie nie brzmi ono „Jehowa”, czy rozumiesz?

Rob skinął poważnie głową.

Co noc, zanim zasnął na posłaniu ze słomy, powtarzał w pamięci nowe słowa i zwyczaje – fragment błogosławieństwa, gest, wymowę jakiejś głoski, uniesienie widoczne na twarzy przy modlitwie. Gromadził całą tę wiedzę z myślą o dniu, w którym będzie mu potrzebna.

– Trzymaj się z daleka od wnuczki Szlomo – ostrzegł go chmurnie Meir.

– Nie ciągnie mnie do niej – odparł Rob.

Od spotkania w obozie minęło sporo czasu; prawie jej nie widywał. Za to poprzedniej nocy śniła mu się córka Jakuba Cullena. Obudził się o brzasku i leżał potem oszołomiony, trąc łzawiące powieki i usiłując przypomnieć sobie szczegóły tego snu.

– To dobrze. – Żyd wyraźnie się rozpogodził. – Kobiety zaraz spostrzegły, że dziewczyna goni za tobą oczami, i któraś z nich powiadomiła rabbiego. Prosił, żebym z tobą pomówił. – Meir przytknął palec do nosa. – Jedno słowo szepnięte mądrym człowiekowi więcej zdziała niż błaganie głupca przez cały rok.

Rob nieco się zaniepokoił. Zależało mu na tym, by pozostać w Triawnie. Zdawał sobie sprawę, że płynne opanowanie farsi

i zgromadzenie dostatecznej wiedzy o obyczajach Żydów zajmie mu jeszcze wiele czasu.

– Nie chciałbym mieć kłopotów przez kobietę – powiedział.

– Oczywiście – westchnął Meir. – Kłopot jest z dziewczyną, potrzeba jej męża. W dzieciństwie została zaręczona z rebem Meszulem ben Mojżeszem, wnukiem reba Barucha ben Dawida. Znasz Barucha? To ten wysoki, chudy, z pociągłą twarzą i cienkim szpiczastym nosem. W domu nauki zawsze siada tuż obok paleniska.

– A, ten. Stary, ale z ogniem w oku?

– Nie inaczej, bo płonie w nim żądza zgłębienia Prawa. Gdyby rabinem nie został Szlomo, byłby nim reb Baruch. Zawsze byli rywalami... i wiernymi przyjaciółmi. Wyswatali wnuki jeszcze w niemowlęctwie, ciesząc się, że w ten sposób połączą dwie rodziny. A potem się straszliwie powaśnili i to był koniec ich przyjaźni.

– O co poszło? – zaciekawiał się Rob. Poznał już mieszkańców Triawny na tyle, że z przyjemnością słuchał plotek.

– Zarznęli razem młodego byczka. Otóż trzeba ci wiedzieć, że prawa koszeru, bardzo stare i skomplikowane, określają dokładnie, co trzeba robić, a czego nie wolno. Na płucu byczka znaleziono niewielką skazę. Rabbi przytoczył szereg przykładów na to, że tak drobna wada nie kazi mięsa. Reb Baruch odparł je inną wykładnią, dowodząc, że mięso nie nadaje się do spożycia. Obstawał przy swoim, obrażony na Szlomo, iż ten kwestionuje jego wiedzę. Kłótnia trwała dotąd, aż rabbi stracił cierpliwość. „Przerąbcie zwierzę na dwie połowy”, rzekł. „Ja wezmę swoją, a Baruch swoją i niech robi z nią, co chce.” – Meir uśmiechnął się smętnie i pokręcił głową. – Zabrał przeto do domu swoją połówkę zamierzając ją zjeść. Ale gdy się zastanowił, zmienił zamiar. „Jakże to?”, mówił. „Jedna połowa leży na śmietniku Barucha, a ja mam

jeść drugą?” Wyrzucił mięso i odtąd nie zgadzali się już w niczym. Jeśli Baruch mówił „białe”, rabbi mówił „czarne”. Gdy rabbi mówił „mięso”, reb Baruch mówił „mleko”. Rachela skończyła dwanaście i pół roku, ale nikt nawet nie wspomniał o weselu, bo obie rodziny wiedziały, że jeśli się spotkają, zaraz będzie awantura. Potem Meszul, wnuk Barucha, wyjechał wraz z ojcem i krewniakami do kraju Franków. Powieźli miedziane kotły do Marsylii i siedzieli tam prawie rok, handlując tym i owym ze sporym zyskiem. Włącznie z podróżą nie było ich dwa lata; wrócili zeszłej jesieni z jukami pełnymi pięknych i cennych szat. Ale ślub się nie odbył, bo z winy dziadów obie rodziny nadal są skłócone. – Meir znowu westchnął. – Teraz – dodał – tę nieszczęsną Rachelę należałoby uznać za *agunę*, porzuconą żonę. Ma piersi, a nie karmi. Gdy dorosła kobieta pozostaje bez męża, to woła o pomstę do nieba.

Obaj zgodzili się, że Rob postąpi najrozsądniej nie zaglądając do obory w porze udoju.

Dobrze, że Meir wyraźnie dał mu do zrozumienia, że gościnność triawnieńskich Żydów nie rozciąga się na swobodne korzystanie z ich kobiet. Gdyby nie to, kto wie, co mogłoby się zdarzyć. Nocami miewał boleśnie zmysłowe wizje długich pełnych ud, rudych włosów i białych młodych piersi o brodawkach jak wiśnie. Żydzi na pewno mieli jakąś modlitwę przebłagalną za rozlewanie nasienia (mieli je na każdą okazję), lecz on nie znał żadnej. Ślady swych sennych marzeń zakrywał świeżą słomą i starał się wyżywać w pracy.

To nie było łatwe. Atmosfera wokół przesycona była zmysłowością, do której zachęcała ich nawet religia – wierzyli na przykład, że akt małżeński spełniony w wigilię szabasu cieszy się szczególnym błogosławieństwem (być może dlatego tak tęsknie wyczekiwali końca tygodnia). Młodzi mężczyźni swobodnie

rozprawiali o sprawach płci, żaląc się sobie, gdy żona któregoś była nietykalna. Nie wolno im było współżyć przez dwanaście dni od rozpoczęcia się miesiączki i siedem dni po jej zakończeniu bez względu na czas trwania okresu. Znak końca abstynencji dawała kobieta, oczyszczając się kąpielą w specjalnym basenie zwanym mykwą. Był to obmurowany zbiornik w łaźni nad strumieniem. Woda, aby mogła być użyta do rytuału, musiała pochodzić z naturalnego źródła albo rzeki. Mykwa służyła do oczyszczeń symbolicznych, nie normalnego mycia, z tym bowiem Żydzi radzili sobie w domu. Raz w tygodniu przed szabasem zbierali się w łaźni mieszczącej prócz basenu wielkie okrągłe palenisko z kotłem zionącym parą. Rob chodził tam z nimi. Rozebrani do naga pocili się w gorącej parze, chlustając na siebie wodą. Za największy przywilej uchodziło polewanie samego rabina, którego bez ustanku zarzucali pytaniami.

– *Szeela, rebe, szeela!* – wołali. – Mam pytanie!

Szlomo ben Elia udzielał na każde z nich przemyślanej odpowiedzi, popartej uczonymi przykładami i wyjątkami z Pisma, które Szymon lub Meir tłumaczyli Robowi aż nazbyt szczegółowo.

– *Rebe*, czy naprawdę napisano w Księdze Przysłów, że każdy musi oddać najstarszego syna na siedem lat wnikliwych nauk?

Nagi starzec z namysłem dłubał w pępku, skubał ucho, przebierał w długiej brodzie smukłymi białymi palcami.

– Nie tak jest napisane, moje dzieci. Z jednej strony... – rabbi wznosił wskazujący palec prawej ręki – tak nauczał reb Hananel ben Aszi z Lipska. Z drugiej strony... – unosił wskazujący palec lewej – według rabina Józefa ben Eliakima z Jaffy odnosi się to tylko do pierworodnych synów kapłanów i lewitów. Ale – tu wyciągał w przód obie dłonie – obaj ci mędracy żyli wieleset lat temu. Dziś są inne czasy. Pojęliśmy, że się nie godzi rezerwować nauki dla

pierworodnych, traktując innych synów jak niewiasty. Dziś każdy młodzieniec między trzynastym a szesnastym rokiem życia spędza cały dzień nad Talmudem. Potem ci nieliczni, którzy mają powołanie do nauki, mogą jej poświęcić całe życie. Inni wedle swej woli pracują na chleb, studiując tylko sześć godzin dziennie.

Wśród poruszanych problemów niewiele było takich, które mogły przyprawić obecnego w łaźni goja o żywsze bicie serca lub choćby na dłużej przykuć jego uwagę. Pomimo to Rob lubił piątkowe wieczory w łaźni. Nigdy wcześniej nie czuł się swobodnie pośród nagich mężczyzn. Jego obrzezany członek stawał się natychmiast celem zaciekawionych spojrzeń, kpin, pytań i sprośnych domysłów. Rzadki kwiat rosnący samotnie rzuca się w oczy. Co innego, gdy kwitnie na łące pełnej podobnego kwiecia.

Podsycając ogień w łaźni Żydzi nie skąpili drewna. Robert polubił zapach dymu zmieszanego z parą i odorem mocnego żółtego mydła, wyrabianego przez kobiety pod okiem córki rabina. Bawiła go też swoista ceremonia stopniowego dodawania wrzątku do zimnej źródlanej wody, by uzyskać w efekcie cudownie ciepłą kąpiel. On sam nie wchodził do mykwy, czując, że uznaliby to za świętokradztwo. Z przyjemnością natomiast wygrzewał się w gorącej parze obserwując Żydów, jak zbierają się na odwagę przed wejściem do zbiornika. Szepcząc lub – zależnie od usposobienia – głośno wyśpiewując modlitwy, schodzili po sześciu mokrych kamiennych stopniach do głębokiej wody. Gdy sięgała im twarzy, nabierali powietrza, akt oczyszczenia byłby bowiem nieważny, gdyby choć jeden włoszek pozostał na powierzchni.

Nawet gdyby go proszono, nie odważyłby się zanurzyć w tej chłodnej, ciemnej tajemniczej głębinie będącej dla nich miejscem spotkania z Bogiem. Jeśli ich Bóg istnieje, myślał, pewnie wie, że balwierz imieniem Robert zamierza się podszyc pod jedno z jego

dzieci. Czuł, że gdyby zszedł w tę nieprzeniknioną toń, wciągnęłaby go w głąb, w zaświaty, gdzie grzeszny plan zostałby ujawniony, jego zaś pożarłyby hebrajskie węże lub ukarał osobiście jego własny Bóg.

30

Zima w Triawnie

Było to najdziwniejsze zimowe przesilenie w ciągu dwudziestu jeden lat życia Roba. Balwierz nie wychował go w pobożności, ale msza z okazji Narodzenia Pana, świąteczna uczta, śpiewy i zabawy były dlań nieodzowną przyprawą tego okresu, pozbawiony jej czuł dojmującą samotność. Żydzi nie złożyli mu świątecznych życzeń bynajmniej nie ze złośliwości; w ich świecie po prostu Jezusa nie było. Mógł co prawda się wybrać do kościółka w Gabrowie, ale tego nie zrobił. Co najdziwniejsze, właśnie przez swe wyobcowanie poczuł się bardziej chrześcijaninem niż kiedykolwiek dotąd.

Tydzień później o świcie leżał zagrzebany w słomie, zastanawiając się, kim się stał i dokąd zmierza. Wędrując po angielskiej wyspie, uważał się za wytrawnego podróżnika. Teraz miał za sobą znacznie dłuższą drogę, a przed sobą wciąż bezkresny nieznaną świat.

Był pierwszy dzień stycznia; dzień, w którym rzymscy cesarze rozpoczynali nowy rok. Żydzi dzisiaj świętowali, ale obchodzili tylko pojawienie się nowego księżyca. Wedle ich pogańskiej rachuby mijała połowa roku 4792. Rob, dla którego trwał rok 1032, długo nie mógł się z tym oswoić.

W Triawnie zimy były śnieżne. Rob cieszył się jak dziecko każdym nowym opadem. Wkrótce rosły chrześcijanin atakujący łopata zapałem, jakim można by obdzielić kilku mężczyzn, stał się w osadzie powszednim widokiem. Tylko tak mógł się wyżyć

fizycznie; gdy nie odgarniał śniegu, ślęczał nad farsi. Umiał już tyle, że powoli zaczynał myśleć w tym języku. Kilku Żydów z Triawny bywało w Persji, toteż Rob wyciągał na pogaduszki każdego, kogo zdołał dopaść.

– Czy na pewno dobrze akcentuję? – do znudzenia wypytywał Szymona.

– Każdy Pers, który zechce cię wyśmiać, wyśmieje – warczał poirytowany Szymon. – Bez trudu poznają w tobie cudzoziemca. Oczekiwałeś cudu?

Pozostali mężczyźni kwitowali uśmiechem naiwność młodego goja.

Niech się śmieją do woli, myślał. Stanowili dla niego ciekawszy przedmiot badań niż on dla nich. Na przykład: w krótkim czasie odkrył, że Meir i jego krewni nie są w Triawnie jedynymi gośćmi. Wielu innych, których widywał w domu nauki, przerwało podróż, by przeczekać w osadzie srogą bałkańską zimę. Był zdumiony, gdy dowiedział się od Meira, że żaden z nich nie płaci za lokum i wyżywienie przez ponad trzy miesiące.

– Właśnie dzięki temu – tłumaczył mu Meir – możemy prowadzić handel z dalekimi krajami. Sam wiesz, jakie trudy i niebezpieczeństwa czyhają na podróżnych, a jednak każda gmina żydowska rozsyła kupców we wszystkie strony świata. Każda żydowska wioska w każdej krainie, czy to chrześcijańskiej, czy muzułmańskiej, przyjmie i ugości syna Izraela, da mu miejsce w zborze, jego zwierzętom zaś – w stajni. Każda gmina zawdzięcza taką pomoc innym, a kto dziś jest gospodarzem, za rok może być gościem.

Przybysze prędko zadomowiali się na miejscu, podchwytywali nawet lokalny dialekt. I tak pewnego popołudnia, gawędząc – po persku! – z anatolijskim kowalem Ezrą, Rob dowiedział się

od niego o mającej nastąpić nazajutrz konfrontacji. Rabin miał obowiązek dokonywać uboju zwierząt przeznaczonych na mięso dla członków gminy, niewielka zaś grupka najbardziej poważanych mędrców na zmianę nadzorowała ubój, pilnując, aby dochowane zostały skomplikowane wymogi rytuału. Tym razem w kolejce pod nóż czekały dwa własne byki rabina, a jego stróżem miał być dawny przyjaciel, a obecnie zawzięty wróg, reb Baruch ben Dawid.

Wieczorem Meir udzielił Robertowi lekcji z Księgi Kapłańskiej: spośród wszystkich żyjących na ziemi zwierząt Żydom wolno było spożywać te, które przeżuwają swój pokarm, ponadto zaś mają rozszczone kopyta, a więc owce, bydło, kozy i jelenie. Księga dopuszczała również niektóre gatunki ptactwa: kury, gołębie i synogarlice, domowe kaczki i gęsi. Natomiast konie, osły, wielbłądy i świnie, a także orły, strusie, sępy, kanie, kukułki, łabędzie, bociany, sowy, pelikany, czajki oraz nietoperze były „trefne”, czyli niekoszerne.

– Nie znam smaczniejszego mięsiwa niż młody łabędź obłożony soloną słoniną i upieczony na wolnym ogniu – rozmarzył się Rob.

Na obliczu Meira odmalowało się lekkie obrzydzenie.

– Tu takiego nie dostaniesz – uciął.

Ranek wstał jasny i zimny. Po porannych modłach dom nauki opustoszał, większość mężczyzn bowiem poszła oglądać ubój. Zebrali się w zagrodzie rabina, wydmuchując obłoczki pary w skrzepłe mroźne powietrze. Rob stanął obok Szymona. Zrobiło się trochę ruchu, gdy przybył Baruch z drugim maszgią, zgarbionym starcem o surowym obliczu, niejakiem Samsonem ben Zanwilem.

– Jest starszy niż reb Baruch i rabbi, ale mniej od nich uczony – szepnął Szymon. – A teraz się boi, że w razie sporu znajdzie się między młotem a kowadłem.

Czterej synowie rabina wyprowadzili z obory pierwszą sztukę – młodego czarnego byka o szerokim grzbiecie i zadzie. Zwierzę ryknęło i rzuciło łbem, ryjąc ziemię kopytami. Gapię musieli pomóc trzymać je na powrozach, gdy starcy dokładnie oglądali każdy cal jego ciała.

– Wystarczy najmniejsza ranka lub skaza na skórze, żeby nie nadawał się do spożycia – wyjaśnił Szymon.

– Dlaczego?

Szymon przewrócił oczami.

– Tak stanowi Prawo – rzekł krótko.

Oględziny wypadły pomyślnie. Byka podprowadzono do żłobu wypełnionego wonnym sianem. Rabin wziął długi nóż.

– Patrz. Nóż ma tępy czubek – tłumaczył dalej Szymon – żeby nie zadrapać skóry. Ale jest bardzo ostry.

Czekali na mrozie, ale nic się nie działo.

– Na co on czeka? – szepnął Robert.

– Na właściwy moment – odparł Szymon. – Zwierzę musi być nieruchome, gdy pada śmiertelny cios, inaczej nie byłoby koszerne.

W tejże chwili ujrzeli błysk noża, jednym czystym ciosem podcinającego przełyk, tchawicę i tętnice szyjne zwierzęcia. W ślad za nim trysnął czerwony strumień krwi. Oczy byka zasły mgłą, upadł na kolana, a po chwili był już martwy.

Wśród gapiów podniósł się szmer zadowolenia, który jednak szybko ucichł, gdy reb Baruch ściągając brwi pochylił się nad zakrwawionym nożem. Szlachetną starą twarz przebiegł grymas świadczący o wewnętrznej walce. Po chwili odwrócił się do rywala.

– Coś nie tak? – spytał chłodno rabin.

– Tego się obawiam. – Reb Baruch wskazał ledwie widoczną plamkę pośrodku idealnie wyszlifowanego ostrza.

Stary Samson ben Zanwil przygarbił się jeszcze bardziej, pewien, że jako drugi maszgija będzie musiał wydać sąd, do czego bynajmniej mu się nie spieszyło. Reb Daniel, najstarszy syn rabiego i ojciec Racheli, spurpurowiał ze złości.

– Cóż to za brednie? Każdy wie, jak starannie ostrzone są noże rabiego... – prychnął, lecz ojciec uciszył go uniesieniem ręki.

Szlomo ben Elia podniósł nóż do światła i wprawnie przeciągnął palcem wzdłuż ostrza. Westchnął. Rzeczywiście była na nim rysa. Przez ludzkie niedopatrzenie mięso nie nadawało się już do spożycia.

– Dziękujemy Bogu, że twe oczy, ostrzejsze od tego noża, wciąż nas strzegą, drogi przyjacielu – rzekł cicho.

I nagle atmosfera zelżała, jakby wszyscy na raz wypuścili powstrzymywany oddech. Reb Baruch się uśmiechnął. Wyciągnął rękę, klepnął rabina w dłoń i obaj spojrzeli sobie prosto w oczy. Potem rabbi odwrócił się i przywołał mar Rubena, balwierza. Rob podszedł z Szymonem, który uważnie wysłuchał polecenia.

– Rabbi prosi – przetłumaczył – żebyś zawiózł trefne mięso do chrześcijańskiego rzeźnika w Gabrowie.

Rob wyprowadził Klaczkę, która dawno już potrzebowała trochę ruchu, i przyprzągnął ją do płaskich sań, na które tymczasem z pomocą widzów załadowano byka. Rabbi wziął inny nóż, który wpierw we trzech dokładnie obejrzeni, i zabił drugie zwierzę. Uznano je za koszerne. Mężczyźni wzięli się do ćwiartowania, a Rob zaciął Klaczkę lejcami i wyjechał na drogę prowadzącą do Gabrowa.

Niespieszna przejażdżka sprawiła mu wielką przyjemność. Rzeźnika znalazł bez kłopotu tam, gdzie go skierowano, czyli trzy domy za gospodą będącą największym budynkiem w miasteczku. Rosły tęgi mężczyzna był chodzącym dowodem na jakość swych

wyrobów. Jak się okazało, brak wspólnego języka nie stanowił przeszkody.

– Z Triawny – powiedział Rob wskazując martwego byka.

– A, rabbi! – Na szerokiej czerwonej twarzy pojawił się domyślny uśmiech.

Nie zdołaliby we dwóch zdjąć zwierzęcia z sań, ale rzeźnik skrzyknął paru pomocników z gospody i omotawszy sztywne kończyny liną, wspólnymi siłami ściągnęli ciało na ziemię.

Szymon uprzedził Roba, że cena jest ustalona i nie musi się targować. Rzeźnik wręczył mu parę nędznych groszy, co w pełni tłumaczyło jego wesołą minę. Prawie darmo dostał górę pięknej wołowiny dlatego tylko, że ostrze rabina miało niewielką skazę. Rob nie był w stanie tego zrozumieć. Marnotrawienie dobrego mięsa bez ważnego powodu było czymś oburzającym. Wstydził się za tych głupich Żydów i chętnie wyjaśniłby rzeźnikowi, że nie jest jednym z nich, lecz mógł tylko przyjąć w ich imieniu zapłatę i pieczołowicie schować ją do sakiewki.

Załatwiwszy tę sprawę, Rob wstąpił do gospody. Długa wąska izba z poczerniałym stropem przypominała norę; wokół dymiącego paleniska rozsiadło się około dziesięciu pijących mężczyzn. W kącie wyczekująco przycupnęły trzy kobiety. Rob przyjrzał im się popijając mętny gorzkawy trunek. Ladacznice; dwie mocno już zniszczone, za to trzecią, jasnowłosą, można by wziąć za niewinne dziewczę, gdyby nie wyzywający uśmieszek na młodej buzi. Pochwyciła spojrzenie Roba i odtąd nie spuszczała z niego oczu. Wychylił z kubka resztę szczypiącej w język brei i podszedł do nich.

– Wątpię, żebyście znali mój język – mruknął stwierdzając oczywisty fakt.

Jedna ze starszych kobiet coś zagadała, pozostałe parsknęły śmiechem. Robert wyjął monetę – najlepszy środek porozumienia

we wszystkich krajach – i podał ją najmłodszej. Wstała bez słowa, zdjęła płaszcz z kołka i skierowała się do drzwi. Wyszedł za nią na zaśnieżoną ulicę i ujrzał idącą z przeciwka Maire, córkę Cullena.

– Witaj! – zawołał. – Jak żyjecie tu, w Gabrowie?

– Nędznie – odparła. Istotnie, było to po niej widać. Nos miała czerwony, miękki łuk górnej wargi zniekształcał pryszcz. – W gospodzie jest zimno, a jedzenie ohydne. Naprawdę mieszkasz u Żydów?

– Tak.

– Jak ci nie wstyd? – pisnęła.

Zapomniał już barwy jej oczu. Spoglądając w nie teraz, poczuł nagłą tkliwość, jakby znienacka ujrzał na śniegu dwie kraski.

– Śpię w cieple, dobrze jadam... – Uśmiechnął się szeroko.

– Ojciec mówi, że Żydzi cuchną. To się nazywa *foetor iudaicus* i jest karą za to, że natarli czosnkiem zdjęte z krzyża ciało Chrystusa.

– Nasi też czasem cuchną. Żydzi mają w zwyczaju kąpać się od stóp do głów w każdy piątek. Większość ludzi robi to znacznie rzadziej.

Dziewczyna pokraśniała. Domyślił się, że w podłej gabrowskiej gospodzie trudno jej utrzymać się w czystości. Zerknęła na kobietę, która cierpliwie czekała parę kroków dalej.

– Ojciec mówi, że ten, kto z własnej woli kuma się z Żydami, nie ma honoru.

– Twój ojciec wydał mi się dobrym człowiekiem. Ale – dodał Rob w zadumie – może się myliłem i jest zwykłym osłem. – Obrócił się na pięcie i w tej samej chwili ona zrobiła to samo.

Poszedł za ladacnicą do izby w pobliskim domu, zarzuconej brudnymi kobiecymi sukniami. Było ich sporo, pewnie mieszkały tu we trzy.

– To okrutne, mieć ciebie, kiedy się widziało tamtą – rzekł patrząc, jak dziewczka zrzuca odzienie. Nie zrozumiała ani słowa i uśmiechnęła się do niego. – Język ma ostry i wcale nie jest piękna, ale... mało jest panien mogących się z nią równać. A ty, biedaczko, już wyglądasz staro – dodał, gdy wsunęła się nago pod brudne futra.

Zanim się jednak okryła, zobaczył więcej, niż powinien. Zawsze pociągał go piżmowy zapach kobiety, lecz od tej bił kwaśny odór; włosy na łonie miała pozlepiane nasieniem innych mężczyzn, a szarawe od brudu i chłodu zużyte ciało wzbudziło w nim odrazę, choć zbyt długa wstrzemięźliwość uderzała mu już do głowy. Zrozumiał, że nie zdoła jej dotknąć.

– Niech diabli wezmą tę rudą czarownicę... – zaklął posępnie.

Dziewka spojrzała nań pytająco.

– To nie twoja wina, laleczko – rzekł sięgając do trzosa. Dał jej więcej, niż warta byłaby jej usługa. Chciwie zagarnęła monety pod futra.

Rob poprawił odzienie, kiwnął jej głową i wyszedł na świeże powietrze.

W lutym więcej czasu spędzał w domu nauki, biedząc się nad perską księgą. Niezmiennie go zdumiewała bijąca z niej wrogość wobec chrześcijan i pogarda dla Żydów.

– Pierwszymi nauczycielami Mahometa – tłumaczył mu Szymon – byli Żydzi i mnisi chrześcijańscy z Syrii. Gdy ogłosił, że nawiedził go archanioł Gabriel, zwiastując daną mu przez Boga misję stworzenia religii doskonałej, myślał, że ci dawni druhowie radośnie pójdą za nim. Ale chrześcijanie pozostali przy swojej wierze, a przerażeni jego bluźnierstwem Żydzi wystąpili przeciw arabskiemu prorokowi. Nigdy im tego nie wybaczył. Stąd tyle jadu w jego słowach.

Dzięki komentarzom Szymona perskie sury ożyły mu przed oczami. Przeczytał już prawie połowę i brnął dalej, wiedząc, że niebawem znów ruszą w drogę. W Konstantynopolu rozstanie się z grupą Meira, tracąc nie tylko nauczyciela, lecz co gorsza i księgę. Koran dał mu wgląd w kulturę odmienną od jego własnej; podobnie Żydzi z Triawny uchylili przed nim drzwi do jeszcze innego świata. W dzieciństwie całym światem była dla niego Anglia, teraz wiedział, że istnieją różne ludy, w pewnej mierze podobne, ale w sprawach istotnych bardzo od siebie oddalone.

Incydent podczas uboju pogodził rabina z Baruchem ben Dawidem i obie rodziny natychmiast zajęły się przygotowaniem zaślubin Racheli z młodym Meszulem. Żydowska osada tętniła radosną krzątaniną. Obaj starcy przechadzali się wśród niej z zadowoleniem, częstokroć ręka w rękę.

Rabin podarował Robertowi starą skózaną czapkę i pożyczył mu do przeczytania krótki wycinek Talmudu przełożony na język perski. Rob gorliwie rzucił się na okazję przyswojenia sobie farsi z innego niż Koran źródła; niestety, zrozumienie Księgi Praw przekraczało jego możliwości. Przepis zwany szatnez zezwalał Żydom nosić bieliznę z lnu i szaty z wełny, zakazywał natomiast przywdziewania ubiorów ze splotu lnu i wełny. Rob nie mógł tego pojąć. Ci, których pytał, albo nie wiedzieli, albo wzruszali ramionami stwierdzając, że tak każe Prawo. W piątek zebrał się na odwagę i w łaźni zawołał:

– *Szeela, rabbi, szeela!*

– Rabbi mówi: „Pytaj, synu” – przetłumaczył Szymon.

– Nie wolno wam jeść mięsa razem z mlekiem. Nie wolno wam nosić szat utkanych z lnu i wełny. Bardzo często nie wolno wam współżyć z żonami. Po co tyle zakazów?

– Byśmy mogli dowieść naszej wiary – odparł rabbi.

– Lecz dlaczego Bóg stawia Żydom takie dziwne żądania?

– By odróżnić nas od was. – W oczach rabina pojawił się błysk, lecz nie był on złośliwy.

Rob jęknął. To Szymon znienacka oblał go zimną wodą.

Zaślubiny Racheli z wnukiem reba Barucha odbyły się w drugi piątek miesiąca *adar* i wzięła w nich udział cała gmina.

Zaraz z rana wszyscy zebrali się przed domem Daniela ben Szlomo, ojca narzeczonej. Meszul wszedł do środka i zapłacił za żonę ładną sumkę piętnastu sztuk złota. Następnie podpisano ketubę, kontrakt ślubny, a reb Daniel obdarzył córkę świetnym wianem, dorzucając do tych piętnastu jeszcze piętnaście sztuk złota, wóz i zaprzęg koni. Natan, ojciec pana młodego, podarował młodej parze dwie mleczne krowy. Gdy wychodzili z domu, rozpromieniona Rachela nawet nie spojrzała na Roba.

Zebrani odprowadzili młodych do zboru, gdzie ci, stanąwszy pod baldachimem, wyrecytowali siedem błogosławieństw, a Meszul rozdeptał pucharek na znak, że szczęście jest nietrwałe i nie wolno zapomnieć zburzenia Świątyni. Wówczas byli już mężem i żoną i zaczęła się ucztą. Przygrywano do niej na fujarce, piszczałce i bębenku. Rozległa się zmysłowa pieśń: „Miły mój zstąpił do ogrodu swego, do łąków przyprawnych, aby się wśród nich pożywiać i lilie zrywać” (też uwieczniona w Piśmie, jak pouczył Roba Szymon). Obaj dziadkowie radośnie rozpostarli ramiona, strzelili palcami, odrzucili w tył głowy przymykając oczy – i poszli w tan. Weselisko trwało do późnej nocy. Rob objadł się mięsiwem i kołaczami, wypił też ponad miarę.

Długo jeszcze dumał, leżąc później na słomie w ciepłej mrocznej oborze, z kotką u boku. Wspomnienie jasnowłosej ladacznicy z Gabrowa nie dręczyło go już tak palącą odrazą. Usiłował nie myśleć o córce Cullena. Zazdrościł chuderlawemu Meszulowi

leżącemu w tej chwili z Rachelą. Miał nadzieję, że uczoność młodzieńca nie przeszkodzi mu docenić własnego szczęścia.

Obudził się na długo przed świtem i podskórnie wyczuł, że coś się zmieniło. Zasnął ponownie. Kiedy wreszcie wstał, słysząc już było wyraźny chlupot, ciurkot i kapanie. Szmer przybierał na sile, w miarę jak śnieg i lód topniały, łączyły się z wodami uwolnionej z okowów ziemi i spływały rwącymi potokami z gór, oznajmiając nadejście wiosny.

31

Łan pszenicy

Po śmierci żony Jakub Cullen oznajmił, że będzie ją opłakiwał do końca życia. Córka wraz z nim przywdziała ciemne szaty i wyrzekła się rozrywek, gdy jednak minął rok, spytała ojca, czy nie czas powrócić do normalnego życia.

– Nie zdejmę żałoby – rzekł Cullen.

– Ja tak.

Jakub skinął przyzwalająco głową.

W jukach był zwój cienkiej tkaniny utkanej z wełny ich własnych owiec. Rozpytawszy się w Gabrowie, Maira znalazła dobrą szwaczkę, ta jednak poradziła jej, by szarawe sukno ufarbować przed skrojeniem. Korzeń marzanny dawał różne odcienie czerwieni, ale każdy gryzł się z rudymi włosami Szkotki. Dąb farbował na szaro, brunatno i czarno, ale takich barw dość się już nanosiła. Klon i sumak dawały nazbyt frywolną żółć. Pozostawał brązowy.

– Całe życie chodzę w brązach – pożałowała się ojcu.

Nazajutrz przyniósł jej garnuszek żółtawej mazi o barwie lekko przyrumienionego masła.

– To farba – powiedział. – Zapłaciłem za nią krocie.

– Żółta? – bąknęła cichutko.

Ojciec się uśmiechnął.

– Indyjski błękit. Rozpuszcza się w wodzie, uważaj, żebyś nie poplamiła rąk. Wyjęte z kadzi sukno schnąc zmienia kolor, który potem już trzyma.

Tak pięknego i ciemnego lazuru jeszcze nie widziała. Materiału starczyło na suknię i płaszcz, a choć chętnie zaraz by się w nie wystroiła, zwinęła nowe szaty i schowała je w sakwie. Wyjęła je dopiero dziesiątego dnia kwietnia, gdy myśliwi przynieśli do Gabrowa wieść, że droga przez góry wreszcie stoi otworem.

Z całej okolicy jęli ściągać do Gabrowa podróżni zimujący pod Bramą Bałkańską. Kupcy natychmiast wystawili towar i zaczęły się głośnie przepychanki, każdy bowiem starał się zaopatrzyć na dalszą drogę. W gospodzie też panował rejwach; Maira musiała dać karczmarce parę drobnych monet, aby skłonić ją do nagrzania wody i wniesienia balii na wyżkę, gdzie sypiały niewiasty.

Najpierw klękała przy balii i umyła długie włosy, zmechacone już jak zimowe runo. Potem przykucnąwszy w wodzie wyszorowała się do białości. Włożyła nowe szaty, wyszła i usiadła na ławie przed gospodą, rozczesując drewnianym grzebieniem rude pasma, żeby wyschły na słońcu. Biegająca przez miasteczko droga z wolna wypełniała się końmi i wozami. W pewnej chwili liczna grupa wyraźnie pijanych jeźdźców runęła galopem poprzez tłum, nie zważając na spowodowane zamieszanie. Czyjeś spłoszone konie stanęły dęba, wywracając wóz, rżąc i młócąc kopytami. Mężczyźni klnąc głośno biegali wokół nich, próbując schwytać lejce.

Maira wbiegła do karczmy, choć włosy jeszcze nie wyschły. Pospiesznie spakowała rzeczy i nim wrócił ojciec z Seredym, była już gotowa do wyjazdu.

– Co to za poruszenie? – spytała.

– Rycerze zwący się chrześcijanami – rzekł chłodno ojciec. – Prawie osiemdziesięciu Normanów udających się z pielgrzymką do Palestyny.

– Są groźni, pani – dodał Serecy. – Nie rozstają się z bronią, piją na umór i... – Spuścił oczy. – Źle traktują niewiasty wszelkiego stanu. Błagam, trzymaj się blisko nas.

Podziękowała mu z powagą. Myśl, że ojciec i Serecy mieliby jej bronić przed osiemdziesięcioma rozzuchwalonymi wojownikami, rozśmieszyłaby ją, gdyby nie była tak ponura.

Właśnie bezpieczeństwo było przyczyną, dla której wędrowcy skupiali się w wielkie grupy. Nie tracąc czasu załadowali juki i wyprowadzili konie na rozległą łąkę u wschodnich obrzeży miasteczka, gdzie zbierała się już karawana. Mijając wóz Fritty, spostregli, że już rozstawił stół i pospiesznie rekrutował podróżnych.

Formowanie szyku miało posmak powrotu do domu. Witali ich starzy znajomi poznani w dotychczasowym marszu. Cullenowie mieli teraz miejsce w środku karawany, wielu bowiem przybyło po nich.

Maira rozglądała się pilnie, lecz dopiero o zmierzchu zobaczyła grupkę, na którą czekała – pięciu konnych Żydów, a za nimi jaskrawo malowany wóz ciągnięty przez małą kasztanową klaczkę. Gdy się zbliżył, serce nagle zabiło jej w piersi.

Robert prezentował się nie gorzej niż zwykle i chyba cieszył go powrót – pozdrowił ich tak radośnie, jak gdyby nie odszedł był w gniewie, gdy się ostatni raz widzieli. Dopatrzwszy swej klaczy, podszedł do niej. Zagadnęła go życzliwie, czy ma dość prowiantu, jako że w miasteczku niewiele można było kupić. Podziękował za troskę, wyjaśniając, że zaopatrzył się w Triawnie.

– A wy? – spytał.

– Tak, ojciec pomyślał o tym zawczasu – odparła, wściekła, że nie pochwalił jej nowych szat, chociaż zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

– Mają ten sam odcień co twoje oczy – bąknął wreszcie.

Wcale nie była pewna, czy to komplement.

– Dziękuję – powiedziała godnie, a ponieważ zbliżał się ojciec, zmusiła się, by odwrócić głowę w stronę stawiającego namiot Seredyego.

Minął następny dzień, lecz karawana wciąż stała pod Gabrowem, toteż wszędzie słyhać było narzekania. Jakub poszedł do Fritty i wróciwszy oznajmił, że mistrz karawany czeka na wyjazd Normanów.

– Chce ich puścić przodem – wyjaśnił. – Słusznie uważa, że tych awanturników lepiej nie mieć za plecami.

Jednak Normanowie nie ruszyli się z miasteczka również nazajutrz rano i Fritta w końcu uznał, że dość już zwłoki. Dał znak do wymarszu. Karawana rozpoczęła ostatni długi etap wiodący do Konstantynopola. Ruszali stopniowo; fala dosięgła wreszcie Cullenów. Zeszłej jesieni jechali za młodym Frankiem z żoną i dwójką dzieci. Rodzina zimowała poza miastem i nie stawiała się w dniu odjazdu, choć wcześniej zamierzali jechać dalej. Obawiając się o ich los, Maira poleciła ich Boskiej opiece. Teraz poprzedzali ich dwaj okrągłolicy bracia zamierzający się wzbogacić na tureckich kobiercach i innych cennych towarach. Żuli dla zdrowia czosnek i często oglądali się z siodeł, rozbierając ją wzrokiem. Nagle przyszło jej na myśl, że jadący za nią młody balwierz także się jej przygląda, czasami więc złośliwie wypinała się bardziej, niż zmuszał ją ruch wierzchowca.

Długi wąż podróżnych dotarł wkrótce do przełęczy prowadzącej przez wysokie góry. Poniżej krętego szlaku strome zbocza opadały do połyskliwej rzeki wezbranej od topniejących lodów, które skuwały ją przez całą zimę. Po drugiej stronie wielkiej rozpadliny ciągnęły się łagodniejsze już wzgórza przechodzące stopniowo w falistą równinę. Nocowali w karłowatym lasku, a nazajutrz skierowali się prosto na południe. Powietrze było tu łagodniejsze i z każdą godziną robiło się cieplej. Przekonali się, że Brama Bałkańska rozdziela dwa różne światy.

Na noc rozbili się w śliwkowych sadach otaczających wieś o nazwie Gornja. Miejscowi chłopcy, gdy ugłaskano już ich nieufność, sprzedawali mocny trunek z tych owoców, świeżą zieloną cebulę i sfermentowany napój mleczny, tak gęsty, że trzeba go było jeść łyżką. Następnego ranka, nim jeszcze zwinęli obóz, doleciał ich pomruk podobny do odległego gromu. Gdy się przybliżył, dało się w nim wyróżnić pohukiwania i wrzaski. Wybiegając z namiotu Maira zobaczyła białą kotkę zeskakującą z wozu balwierza wprost na drogę. Normañscy rycerze przegalopowali przez obozowisko niczym koszmarne demony; zwierzątko zniknęło w tumanie kurzu, lecz nim opadł, dziewczyna zdążyła dojrzeć dzieło pierwszych jeźdźców. Pobiegnęła w tamtą stronę, nie zdając sobie sprawy, że krzyczy.

Kotka nie była już biała. Kopyta wbiły ją w ziemię. Maira podniosła stratowane ciało i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że Rob wyszedł z wozu i stoi tuż za nią. Twarz miał bladą jak ściana.

– Zniszczysz sobie suknię – rzekł szorstko. Wyjął jej z rąk kotkę, zabrał łopatę i odszedł.

Kiedy wrócił, pozostawiła go w spokoju, z dala jednak widziała, że ma zaczerwienione oczy. Zakopanie zwierzęcia nie jest przecież tym samym co pogrzeb człowieka, a mimo to nie zdziwiła się,

że płakał nad Leotyldą. Pociągała ją w nim właśnie ta delikatność nieprzystająca do jego wzrostu i postury.

Przez kilka najbliższych dni starała się mu nie narzucać. Karawana skręciła znów na wschód, ale słońce z każdym dniem grzało mocniej. Uszyta w Gabrowie suknia zrobiła się za ciepła. Klnąc w duchu na zmarnowaną farbę, dziewczyna przerzuciła juki. Miała lżejszą sukienkę, lecz za dobrą i za cienką, by wycierać ją w siodle. Z ciężkim westchnieniem narzuciła na gieżło prostą roboczą szatkę, której próbowała nadać kształt ściągając ją paskiem. Głowę okryła skórzanym kapeluszem z szerokimi kresami, choć policzki i nos już miała usiane piegami.

Któregoś ranka, kiedy szła obok konia, chcąc rozruszać zdrewniałe w siodle pośladki i nogi, balwierz zawołał z uśmiechem:

– Siadaj do mnie na wóz!

Wsiadła bez zbędnych ceregieli. Tym razem nie czuła się skrępowana. Cieszyło ją szczerze, że może usiąść przy nim. Rob wydobył spod kozła kapelusz podobny do tego, który miała na głowie, lecz szpiczasto zakończony na modłę żydowską.

– Skądżeś go wytrzasnął? – roześmiała się.

– Dostałem w Triawnie od pewnego świątobliwego męża. – Rob dostrzegł kątem oka krzywe spojrzenie Cullena i też wybuchnął śmiechem. – Aż dziw, że ojciec pozwala ci ze mną gadać – zauważył.

– Przekonałam go, że od ciebie nic mi nie grozi.

Popatrzyli na siebie z sympatią. Mogąc wreszcie swobodnie się przyjrzeć Robertowi, Maira doszła do wniosku, że jest całkiem urodziwy, choć twarz szpeci mu złamany nos. Mocno ciosane rysy zachowywały kamienną obojętność, lecz kluczem do jego uczuć były oczy – głębokie, spokojne i jakby dojrzalsze niż on sam. Dostrzegła w nich samotność równie wielką jak własna. Ciekawe, ile mógł mieć lat? Chyba niewiele ponad dwadzieścia?

Z drgnieniem uświadomiła sobie, że Rob coś do niej mówi o uprawnej równinie, przez którą się posuwali.

– ... przede wszystkim owoce i pszenicę. Zimy muszą tu być krótkie i lekkie, bo zboże już wysokie.

Żal jej było tej ulotnej zażyłości, jaka ich ogarnęła jeszcze chwilę wcześniej. Powiedziała szczerze:

– W Gabrowie byłam na ciebie wściekła.

Inny byłby się zdziwił lub uśmiechnął. Rob nie zareagował.

– Jak mogłeś pójść z tą Słowianką? Jej też miałam ochotę wydrapać oczy – dodała.

– Szkoda twojej złości. Nad tamtą powinnaś się tylko litować, a zresztą nie wziąłem jej do łóża. Kiedy cię ujrzałem, straciłem na nią ochotę.

Czuła, że mówi prawdę. W jej sercu zakiełkował ciepły słodki triumf. Teraz mogli już paplać o błahostkach – o podróży, o tym, jak pędzić zwierzęta, by ją zniosły, o braku paliwa do gotowania strawy. Przez całe popołudnie siedzieli obok siebie na koźle gawędząc półgłosem o wszystkim prócz Leotyldy – i tego, co ich łączyło. O tym oczy Roba mówiły do niej bez słów.

Rozumiała ich mowę i bała się. Bała się z różnych przyczyn, ale za nic w świecie nie wyrzekłaby się tego miejsca na chybotliwym wozie, w palącym upale. Z oczarowania wyrwało ją dopiero stanowcze wezwanie ojca.

Od czasu do czasu mijali stadka owiec – przeważnie parszywych, lecz Jakub Cullen niezmiennie zsiadał z konia, oglądał zwierzęta i z pomocą Sereyego wypytywał pasterzy. Ze wszystkich tych rozmów wynikało jedno: prawdziwie dobrych owiec musi szukać w Anatolii.

Szli przez ziemie Bizancjum, dzień po dniu zbliżając się do Bosforu. Jakub Cullen nie próbował kryć podniecenia. Jego

córka przeciwnie; targana odmiennym zgoła podnieceniem robiła co w jej mocy, by ojciec go nie spostrzegł. Choć praktycznie w każdej chwili mogła rzucić balwierzowi uśmiech albo słówko, zmuszała się, by go unikać, nieraz nawet dwa dni z rzędu. Gdyby ojciec domyślił się jej uczuć, mógłby położyć kres ich spotkaniom.

Któregoś wieczora, gdy sprzątała po posiłku, Rob zjawił się przy ich ognisku. Skinął jej uprzejmie głową i podszedł do Jakuba, wręczając mu w pojednawczym geście gąsiorek miejscowego trunku.

– Siadaj – bąknął niechętnie Cullen.

Wino jednak wkrótce ociepliło atmosferę. W końcu miło posiedzieć z towarzyszem podróży, a zresztą Rob miał w sobie coś takiego, że wszyscy go lubili. Już po chwili Jakub Cullen opowiadał mu o swoich planach.

– Słyszałem, że na Wschodzie hodują całkiem inne owce; chude, o wąskim grzbiecie, lecz tłustych nogach i zadach, dzięki czemu łatwiej mogą znieść głód. Jagnięta mają jedwabiste, niesłychanie połyskliwe runo. Czekał, zaraz ci pokażę!

Skoczył do namiotu i po chwili wrócił z futrzaną czapką. Włós był popielaty, mocno skręcony.

– Piękne! – emocjonował się Szkot. – Takie kręte runo mają tylko do piątego dnia życia, a potem jeszcze przez dwa miesiące jest faliste.

Rob obejrzał czapkę przyznając, że jest śliczna. Cullen nasadził ją zawadiacko na głowę i wszyscy parsknęli śmiechem, bo nadawała się na mrozy, a wieczór wciąż był bardzo ciepły. Odniósłszy ją do namiotu, zasiadł znów przy ognisku i dał córce łyknąć ze swego kubka. Trunek rozgrzał jej wnętrze i poczuła się po nim spokojniejsza.

Sinym niebem potrzęsnał grzmot. Przez chwilę kąpali się wszyscy troje w świetle błyskawicy, która wyłuskała z cienia twarde płaszczyzny twarzy Roba, nie docierając wszakże do oczu, tych pełnych uczuć oczu, które dodawały mu urody.

– Dziwny kraj – mruknął Cullen – grzmi i błyska bez kropli deszczu. Pamiętam ranek, kiedy przysłała na świat ta oto pannica. Też grzmiało i błyskało, ale przy tym lało tak, jak gdyby niebo się oberwało.

– W Kilmarnock, gdzie macie ziemie? – zaciekawiał się Robert.

– Nie, w Saltcoats. Żona była z Tedderów. Zawiozłem ją do ich klanowej siedziby w Saltcoats, bo w czasie ciąży bardzo tęskniła za swoją matką. Podejmowali nas tak gościnnie, że zabawiliśmy tydzień, potem drugi, aż chwyciły ją bóle i okazało się, że już pora. I tak to zamiast w Kilmarnock, jak przystoi Cullenom, moja Maira urodziła się w domu swego matczynego dziada nad zatoką Clyde.

– Ojciec – wtrąciła łagodnie dziewczyna – mistrz Cole pewnie wcale nie jest tego ciekaw.

– Przeciwnie – obruszył się Rob, zasypał Cullena pytaniami i słuchał go z uwagą.

Maira modliła się w duchu, aby znów nie błysnęło. Ojciec nie powinien widzieć, że dłoń balwierza spoczęła na jej ramieniu, lekka niczym piórko. Mimo to przeszył ją dreszcz, jakby chłodnym muśnięciem dotknęła jej przyszłość.

Jedenastego maja dotarli nad zachodni brzeg Ardy. Fritta zarządził dzień przerwy w podróży; można było dokonać niezbędnych napraw i dokupić żywności u okolicznych wieśniaków. Cullen wziął Sereyego i przeprowił się z nim na drugi brzeg, niecierpliwie jak dziecko poszukując swych kędzierzawych owiec.

Niewiele później Maira i Rob dosiedli razem na oklep karej klaczy i wyjechali z gwarnego obozu. Kiedy mijali Żydów, jeden z nich –

ten młody, szczupły, który uczył Roba – przewrócił oczami, zachichotał i znacząco szturchnął stojącego obok towarzysza.

Nawet się nie zawstydziła. Kręciło jej się w głowie, może przez upał, bo słońce paliło jak ognista kula. Objęła Roba, żeby nie spaść z konia, zamknęła oczy i oparła głowę o szerokie męskie plecy.

Trochę dalej na drodze minęli dwóch wieśniaków, którzy gapili się na nich ponuro, nie odpowiadając na powitanie. Prowadzili osła obciążonego chrustem. Musieli iść z daleka; w pobliżu nie było drzew, a tylko rozległe pola, puste, bo siew już ukończono, a do żniw było jeszcze trochę czasu.

Znaleźli strumień. Rob uwiązał klacz do wątego krzaczka, zdjęli cizmy i przez pewien czas brodzili w rozmigotanej wodzie. Po obu brzegach rosły łany pszenicy. Rob rozgarnął wysokie źdźbła. Ziemia w ich cieniu była chłodna, kusiąca.

– Chodź – powiedział i jak dziecko na czworakach wczołgał się pomiędzy zboże. – Tu jest jak w jaskini!

Z wahaniem wsunęła się za nim. Pośród szeleszczących łodyg coś smyrnęło. Podskoczyła nerwowo.

– To tylko mysz – uśmiechnął się Rob. – Ona też się ciebie boi.

Pociągnął ją ku sobie w zielonozłoty chłód i spojrzął jej głęboko w oczy.

– Nie chcę, Rob.

– No cóż, trudno – skapitulował, ale w jego spojrzeniu odmalował się zawód.

– Czy mógłbyś... tylko mnie pocałować? – bąknęła speszona.

Ten pierwszy pocałunek wypadł niezgrabnie, płochliwie, z góry skazany na porażkę przez jej lęk.

– Tamtego... nie lubię. Już to kiedyś robiłam – wykrztusiła pośpiesznie, żeby mieć to za sobą.

– Masz doświadczenie?

– Tylko raz, z kuzynem w Kilmarnock. Strasznie bolało.

Delikatnie ucałował jej oczy, nos, a potem usta. Ona tymczasem starała się zwalczyć wątpliwości. No bo kimże jest ten balwierz? Malcolm ją znała od dziecka, był jej kuzynem i przyjacielem, a nie dość, że zadał jej ból, to jeszcze głośno śmiał się z jej cierpienia. Potraktował ją jak głupią dziewczkę, która dała sobie zrobić psikusa, ot, pozwoliła się wepchnąć w błoto.

Pogrążona w tych niemiłych rozmyślaniach nie od razu spostrzegła, że pocałunki Anglika były teraz inne. Pieścił językiem wnętrze jej ust, całkiem mile. Spróbowała zrobić to samo. Rozchylił zapraszająco wargi, szarpnął sznurówkę i zsunął jej z ramion suknię i gieżło. Zadygotała.

– Chcę je tylko całować – wyszeptał chrapliwie.

Miała dziwne uczucie patrząc z góry, jak nachyla się do jej pełnych jędrnych piersi, którymi w duchu nieśmiało się chlubiła, oblanych teraz różowawym pąsem. Potarł lekko językiem obwódkę sutka i poczuła dreszcz w całym ciele. Język zataczał coraz ciaśniejsze kręgi, aż w końcu usta Roba zwały się na stwardniałej brodawce. Ssał ją jak niemowlę, równocześnie głaszcząc wgłębienia pod jej kolanami i wnętrze ud. Po chwili dłoń przesunęła się wyżej.

Zesztywniała. Ścisnęła uda, czując, jak tężeją jej mięśnie brzucha. Rozluźniła się dopiero wtedy, gdy zabrał rękę.

Sięgnął pod koszulę, a potem przyciągnął do siebie jej dłoń i złożył w niej podarunek. Parokrotnie zdarzyło jej się podejrzeć ojca lub któregoś z pasterzy przy sikaniu. Malcolm pozwolił jej zobaczyć nieco więcej, ale nigdy nie miała okazji dokładnie się temu przypatrzeć. Mimo woli zerknęła w dół. Nie spodziewała się, że będzie taki... taki gruby, pomyślała z urazą, jakby należało za to winić Roba. Zebrawszy się na odwagę, pogłaskała go po jądrach i zaśmiała się cicho, gdy z kolei on zadrzał.

Pieścili się bez pośpiechu i Maira powoli zaczęła się uspokajać. Sama poszukała jego ust. Były ciepłe i słodkie jak rozgrzany owoc, jak całe jego ciało. Już się nie bała, nawet kiedy przeniósł dłoń z jej napiętych pośladków z powrotem między uda.

Nie za bardzo wiedziała, co ma zrobić z rękami. Delikatnie wsunęła mu palec w usta, powiodła nim po jego zębach i koniuszku języka, ale Rob cofnął głowę i znów przywarł ustami do jej piersi, a potem zsunął się niżej, całował jej brzuch, pachwiny i nagle najpierw jednym, potem dwoma palcami rozchylił jej srom i odnalazłszy w nim maleńki czuły groszek, zaczął go drażnić prędkimi kolistymi ruchami.

– Aaaach... – jęknęła, podciągając kolana. Jej ciało mimowolnie wygięło się w łuk, lecz zarazem wrócił lęk przed zapamiętanym bólem.

Tymczasem ze zdumieniem poczuła tam ciepło jego oddechu. Wścibiński natrętny język zwinnie niczym pstrąg zanurkował w wilgotnej szparce, której sama wstydziłaby się dotknąć. Jak zdołam potem spojrzeć mu w oczy? – pomyślała, lecz ta wątła myśl utonęła natychmiast w otchłani doznań. Maira czuła, że jej ciało porusza się samo, coraz szybciej i gwałtowniej, że rozwartym ustom brak tchu, a pod zaciśniętymi powiekami gorzeje płomień.

Nim zdołała oprzytomnieć, pchnął i wypełnił ją tak ściśle, jakby mieli się złączyć na zawsze, jakby cały był utkany ze śliskiego jedwabistego ciepła, które zdawało się teraz docierać do najgłębszych zakątków jej ciała. Nie czuła bólu, tylko ucisk, który zelżał, gdy Rob zaczął się w niej poruszać.

– Nie boli? – spytał, nieruchomiejąc na chwilę.

– Nie – wyszeptała.

Znów opuścił się na nią, a jej ciało zachłannie dążyło mu naprzeciw. Wkrótce już nie był w stanie dłużej się hamować: jego

ruchy przyspieszyły, stały się natarczywe, gwałtowne. Uchyliła powieki, chcąc się do niego uśmiechnąć, lecz on w tejże chwili odrzucił głowę w tył, jęknął chrapliwie, jakby z ulgą, i wygięty, z nagłą siłą wparł w nią lędźwie. Całym ciałem odczuła targający nim dreszcz i falę uderzającego w nią nasienia.

Długo jeszcze leżeli w pszenicy splątani namiętnością, zmęczeni. Milczeli. Lekki wiatr powoli osuszał ich ciała z potu i spermy.

– Kto wie, może jeszcze to polubisz – zażartował wreszcie Rob – jak słodowe piwo.

Uszczypnęła go mocno w ramię. Mimo wszystko nie zdołał jej rozśmieszyć.

– Właściwie dlaczego ludzie to lubią? – zapytała. – Przyglądałam się koniom. Dlaczego zwierzęta to lubią?

Zerknął na nią zaskoczony. Po latach zrozumiała, że właśnie to pytanie wyróżniło ją spośród innych znanych mu kobiet. W tej chwili jednak wiedziała tylko tyle, że Rob patrzy na nią z zadumą. Nie ośmieliłaby się mu wyznać, że stał się dla niej kimś wyjątkowym. Czuła, że potraktował ją w sposób szczególny, choć po jednym nieudanym doświadczeniu trudno jej było sprecyzować, na czym polega różnica.

– Myślałeś przede wszystkim o mnie, nie o sobie – bąknęła.

– Mnie nie skrzywdzono.

Pogłaskała go po twarzy. Rob złożył pocałunek we wnętrzu jej dłoni.

– Jesteś inny niż większość mężczyzn... i większość ludzi. Czuję to.

– Musisz wreszcie zapomnieć o tym przeklętym gburze z Kilmarnock – rzekł twardo.

Wraz z przyłączaniem się nowych podróżnych Rob zyskiwał także nowych pacjentów. Rozbawiło go, gdy się dowiedział, że Fritta wszem wobec rozповіда o jego niezwykłym kunszcie, zachwalając w ten sposób swoją karawanę.

Bardzo się ucieszył, spotykając ponownie na wiosnę ludzi, których leczył w pierwszym etapie podróży. Nigdy dotąd nie miał okazji opiekować się swymi pacjentami tak długo. Wiecznie uśmiechnięty frankijski poganiacz zmarł zimą w Gabrowie, tak jak Rob przewidział, ale potwierdzenie tej diagnozy bynajmniej nie poprawiło mu humoru.

– Zadowolenie dają mi urazy, które umiem wyleczyć – zwierzał się Mairze. – Kiedy widzę złamaną kość lub otwartą ranę, wiem, co mam robić, żeby przywrócić pacjentowi zdrowie. Nie znoszę zagadek; chorób, o których wiem mniej niż sam chory albo zgoła nic. Czasem nie sposób wykryć ich przyczyny, a jeśli uzdrowiciel nie rozumie, co się dzieje w chorym ciele, jakże ma je uleczyć? Ach, Mairo, ci ludzie są zdani na mnie, a ja tak mało wiem, tak niewiele potrafię...

Starła się go podnieść na duchu, choć niewiele z tego wszystkiego pojmowała. Dla niej to Rob był źródłem ciepła i otuchy – jak wówczas, gdy podczas miesięcznego krwawienia męczyły ją bolesne kurcze. Wtedy to opowiedziała mu o swojej matce. Zaczęło się tak samo, zwyczajną miesiączką; było piękne pogodne lato i nikt nie spodziewał się tragedii. Ale krwawienie nie ustało, było coraz silniejsze, matka z dnia na dzień gasła, aż w końcu umarła. Jej śmierć była dla Mairy miażdżącym ciosem, a teraz gdy co miesiąc rozpoczynał się okres, bała się, że go nie przeżyje.

– Ciii... – uspokajał ją przykładając ciepłą, kojącą dłoń do jej brzucha i ścierając jej łzy pocałunkami. – Sama wiesz, że to nie

zwykła miesięczka zabiła twoją matkę, a coś znacznie gorszego.

Parę dni później, gdy jechali razem na wozie, przyłapał się na tym, że rozmawia z nią o rzeczach, jakimi z nikim się nie dzielił – o śmierci rodziców, rozdzieleniu i utracie rodzeństwa. Rozpłakała się rzewnie, odwracając twarz, żeby ojciec tego nie widział.

– Tak cię kocham – chlipnęła.

– I ja cię kocham – rzekł wolno, zdumiony tymi słowami. Dotąd nie pragnął ich mówić żadnej innej kobiecie.

– Nie chcę się z tobą rozstawać – szepnęła Maira.

Od tamtej pory często oglądała się za nim z konia, dając mu znać, że o nim myśli, sekretnym gestem – dwoma palcami prawej dłoni przytkniętymi do ust jakby po to, by strzepnąć owada czy drobinę pyłu.

Jakub Cullen wciąż szukał zapomnienia w trunku. Czasem, gdy mocno zasnął, Maira spędzała część nocy z Robertem. Próbował jej wyperswadować wędrówki po zmroku, wartownicy bowiem w każdym cieniu dopatrywali się rabusia i kto wie, co mogło ją spotkać. Dziewczyna była jednak uparta, a on nie mógł udawać, że nie czerpie przyjemności z jej wizyt.

Szybko się uczyła. Wkrótce znali swe ciała i reakcje tak dobrze, jakby robili to od lat. To, że Maira była niemal równie wysoka jak on, dodawało ich stosunkom pikanterii; kiedy wili się złączeni, oczyma duszy widział smoki parzące się wśród huk grzmotów. Dla niego także była to nowość; miał co prawda wiele kobiet, lecz tamte brał pospiesznie, niedbale, byle rozładować napięcie. Teraz rozsmakował się w pieszczotach, pragnąc dać Mairze rozkosz.

Czuł niepokój. Nie pojmował, co się z nim dzieje. W ciągu niewielu dni tak wiele się zmieniło.

Każdy dzień drogi przez Trację zbliżał ich do Konstantynopola. Miejsce pszenicznych pól zajęły fałdziste zielone pastwiska,

na których coraz gęściej pojawiały się stada owiec.

– Ojciec ożywa! – śmiała się Maira.

Cullen z nieodłącznym Serezym u boku objeżdżał stada, rozmawiał ze smagłymi pasterzami w szerokich, ściągniętych pod kolanami nogawicach, uzbrojonymi w długie mocne kije.

Któregoś wieczora wpadł odwiedzić Roba, sam, bez córki. Usiadł przy ognisku i chrząknął z zakłopotaniem.

– Nie myśl, że jestem ślepy – zaczął.

– Bynajmniej tak nie myślę – odparł Rob z szacunkiem.

– Pozwól, że powiem ci coś o mojej córce. Uczyła się w klasztorze. Prócz waszego języka zna także łacinę.

– To tak jak moja matka. Mnie też trochę nauczyła.

– Posłałem Mairę do zakonnicy w Walkirk. Przyjęły ją w nadziei, że zrobią z niej mniszkę, choć ja z góry wiedziałem, że to próżny trud. Nie żeby nadto ciągnęło ją do ksiąg, ale kiedy kazałem dziewczynie się uczyć, przyłożyła się i teraz papie po łacinie jak ksiądz. To przydatna rzecz w obcych krajach, można się dogadać z urzędnikami. Już wtedy ciągnęło mnie na Wschód po piękne owce.

– Dognacie je do Szkocji żywe?

– Dognam. Znam się na owcach – rzekł z dumą Cullen. – Zawsze tylko marzyłem o takiej podróży, ale po śmierci żony postanowiłem jechać. Krewniacy orzekli, że boleść odjęła mi rozum. Nie mieli racji.

Umilkł. Rob czekał cierpliwie, nie przerywając brzemiennie w znaczenie ciszy.

– Byłeś kiedy w Szkocji, młodzieńcze?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nigdy nie zapuściłem się dalej na północ jak do gór Cheviot.

Cullen prychnął.

– Może dla was to północ, ale do Szkocji jeszcze daleko. Prawdziwa Szkocja jest wyżej, w znacznie piękniejszych górach. Mamy strumienie pełne ryb i dość wody, by zieleńły się pastwiska... Nasza siedziba to prawdziwe orle gniazdo. Mamy rozległe ziemie i liczne stada...

Urwał, jakby po to, by starannie dobrać słowa.

– Jeśli przyszedł mąż Mairy na to zasłuży, dostanie wszystko – dodał po chwili i nachylił się do Roba: – Za cztery dni dojeżdżamy do Babæski. Tam odłączam się od karawany. Ruszamy z Mairą prosto na południe, do Malkary, gdzie ponoć mają wielki targ zwierzęcy. A stamtąd do Anatolii, z którą wiązę szczególne nadzieje. Rad byłbym, gdybyś nam towarzyszył. – Cullen westchnął i zmierzył Roba trzeźwym spojrzeniem. – Jesteś silny i zdrowy, śmiałości też ci nie brakuje, inaczej nie wypuściłbyś się tak daleko za groszem i lepszym miejscem w świecie. Wolałbym ją wydać za kogoś innego, ale ona chce ciebie. A ja ją kocham. Mam tylko ją i chcę, żeby była szczęśliwa.

– Jakubie... – zaczął Rob, ale Szkot wpadł mu w słowo:

– Takiej propozycji nie składa się lekko i nie sposób ot tak na nią odpowiedzieć. Na pewno zechcesz to przemyśleć, jak i ja musiałem.

Rob podziękował grzecznie, zdając sobie sprawę, że ton tych podziękowań byłby bardziej na miejscu, gdyby Cullen poczęstował go jabłkiem lub kołaczem, Szkot zaś po chwili wstał i wrócił do swojego obozowiska.

W nocy nie mógł zasnąć. Długo leżał na wznak, wpatrzony w niebo. Nie był głupcem, zdawał sobie sprawę, że Maira jest wyjątkowa. To, że go pokochała, graniczyło z cudem. Drugiej takiej już nie spotka.

A do tego jeszcze... ziemia. Dobry Boże, ziemia!

Zaoferowano mu coś, o czym jego ojciec ani dziad nie śmieliby nawet marzyć. Miałby godne zajęcie i dochód, mir i odpowiedzialność. I własność, którą mógłby przekazać synom. Otrzymywał w darze wszystko, czego nigdy nie zaznał – kochającą kobietę, którą i on uwielbiał, i spokojną przyszłość w nie tak liczonym przecież gronie właścicieli ziemskich.

W męce przewracał się na pośłaniu.

Nazajutrz rano Maira przyniosła ojcowską brzytwę, żeby przystrzyc mu włosy.

– Tylko nie nad uszami! – zaprotestował.

– Właśnie tam są najbardziej skołtunione. Dlaczego się nie golisz? Z tą szczeciną wyglądasz jak dzikus.

– Będę podcinał brodę, jak urośnie. – Rob ściągnął ręcznik z karku.

– Wiesz, że twój ojciec miał ze mną rozmowę?

– Oczywiście. Najpierw rozmawiał o tym ze mną.

– Nie pojedę z wami do Malkary, Mairo.

Jej uczucia zdradziły tylko usta i ręce. Prawa dłoń wciąż leżała bez ruchu na podołku, ale pobielące knykcie zaciśniętych na rękojeści brzytwy palców omal nie przebiły skóry.

– Dołączysz do nas później?

– Nie – wykrztusił. Czuł się bezradny. Nie przywykł szczerze rozmawiać z kobietami. – Jadę do Persji.

– Nie chcesz mnie.

Dopiero słysząc, jak głucho, jak nienaturalnie brzmi jej głos, zrozumiał, że w ogóle nie liczyła się z odmową.

– Bardzo cię pragnę, ale wszystko dokładnie przemyślałem. Po prostu nie mogę.

– Dlaczego? Masz już żonę?

– Nie! Ale muszę się dostać do Isfahanu. Nie jadę tam po towar. Chcę się uczyć medycyny.

Na oszołomionej twarzy Mairy wyraźnie odmalowało się pytanie, czym jest medycyna wobec ziemi Cullenów.

– Muszę zostać medykiem – bąknął.

Zabrzmiało to niezbyt przekonująco i poczuł dziwny wstyd, jakby wyznał jej jakąś hańbiącą słabostkę. Nie starał się wytłumaczyć. Jego motywy były dość złożone i sam nie do końca je rozumiał.

– Leczenie cię unieszczęśliwia. Sam mi się skarżyłeś na tę ciągłą udrękę.

– Dręczy mnie własna niewiedza, nieumiejętność. W Isfahanie nauczę się pomagać chorym, dla których teraz nic nie mogę zrobić.

– Jedźmy razem! Ojciec mógłby jechać z nami i kupić owce w Persji...

Jej błagalny ton, błysk nadziei w oczach kosztowały go wiele wysiłku, by nie ulec.

Wyjaśnił jej, że chrześcijanom nie wolno się uczyć w muzułmańskich szkołach i co w związku z tym zamierza zrobić. Pobladła, gdy dotarł do niej sens jego słów.

– Narażasz się na wieczne potępienie!

– Nie wierzę, żeby Bóg uznał to za grzech.

– Chcesz udawać Żyda!... – Z wysiłonym skupieniem wytarła brzytwę o ręcznik i wsunęła ją do skórzanego mieszka.

– Tak. Sama widzisz, że muszę to zrobić sam.

– Widzę tylko, że postradałeś zmysły. Starałam się nie dopuszczać do siebie tej prostej prawdy, że nic o tobie nie wiem. Myślę, że porzuciłeś już tak wiele kobiet, czyż nie?

– To nie to samo!

Chciał jej wytłumaczyć różnicę, lecz nie dopuściła go do słowa. Myliłby się sądząc, że zapomniała, co jej mówił. Widział teraz, jak głęboko ją zranił.

– Nie boisz się, że opowiem ojcu, jak mnie wykorzystałeś? Wiele wówczas poświęci, żeby ujrzeć cię martwym. Albo pójdę do pierwszego napotkanego księdza i doniosę mu, co chcesz zrobić, kpiąc sobie ze Świętej Matki Kościoła!

– Powiedziałem ci prawdę. Nigdy bym cię nie zdradził ani nie naraził. Jestem pewien, że i ty tego nie zrobisz.

– Nie będę czekać na medyka – rzuciła gorzko, odchodząc.

Pokiwał głową, pełen pogardy do samego siebie.

Przez cały dzień patrzył na jej sztywno wyprostowane plecy. Ani razu się nie obejrzała. Po południu długo siedziała z ojcem przy ognisku. Myny mieli poważne; rozmawiali. Najwidoczniej jednak powiedziała ojcu, że to ona nie chce wychodzić za mąż, bo chwilę potem Rob podchwycił spojrzenie Cullena, w którym zadowolenie mieszało się z ulgą. Przed zmrokiem Seready sprowadził do obozu dwóch dziwnie odzianych mężczyzn. Musieli to być przewodnicy, bo nazajutrz rano Cullenów już nie było.

Zgodnie z regułą marszu wszyscy jadący dotąd za nimi przesunęli się o jedno miejsce do przodu. Rob miał teraz przed sobą dwóch tęgich braci, Franków. Gnębiło go poczucie winy, z którym wszakże mieszała się odrobina ulgi, nigdy bowiem nie myślał o ożenku i nie był na to przygotowany. Zastanawiał się, czy jego decyzja wynikła z prawdziwego powołania, czy to strach przed małżeńskimi więzami pchnął go do ucieczki, jak ongiś Henryka Crofta.

Pewnie jedno i drugie, osądził markotnie. Głupcze, rugał się w duchu, naiwny marzycielu! Na starość, kiedy zmęczy cię tułaczka, sam zechcesz się z kimś związać i wtedy weźmiesz sobie byle leniwą jędzę, która będzie ci ciosać kołki na głowie.

Dręczyła go samotność. Jakże żałował, że nie ma już przy sobie choćby kotki. Zgarbiony na koźle, spozierając z niesmakiem

na spaste zadki Franków, starał się nie myśleć o tym, co sam zniszczył.

Przez tydzień czuł się tak, jakby ktoś mu umarł. Gdy karawana dotarła do Babæski, jeszcze boleśniej nękała go świadomość, że tu właśnie znajdował się punkt zwrotny, w którym miał rozpocząć nowe życie z Mairą. Tłumaczył sobie, że lepiej mu samemu i że teść nieraz zalazłby mu za skórę, ale...

Ale wciąż myślał o Mairze.

Dwa dni później z apatii wyrwał go nikły dźwięk dzwonek. Zdało mu się, że za chwilę usłyszy chóry anielskie. Karawana wspięła się na kolejne porośnięte trawą wzgórze, dźwięk stał się wyraźniejszy i Rob po raz pierwszy w życiu ujrział sznur wielbłądów.

Szły dziwacznym, rozkolebanym krokiem, rytmicznie potrząsając dzwoneczkami, którymi miały obwieszoną uprząż. Były większe, niż Rob sobie wyobrażał, wyższe od człowieka i dłuższe od konia. Ich śmieszne pyski zdawały się zarazem dobrotliwe i groźne; miały wielkie rozwarłe nozdrza, obwisłe wargi i uwodzicielskie oczy o ciężkich powiekach z długimi rzęsami nadającymi im dziwnie kobiecy wygląd. Zdały się płynąć gęsiego, uwiązane jeden za drugim i objuczone snopami jęczmienia spiętrzonymi pomiędzy bliźniaczymi garbami. Na co siódmym lub ósmym zwierzęciu przycupnął ciemnoskóry półnagi poganiacz z głową owiniętą zawojem, wydając z siebie nagłocy okrzyk „hat, hat, hat!”, który wielbłądy zgodnie puszczały mimo uszu.

Zawładnęły całą falistą równiną; Rob naliczył ich niemal trzy setki, zanim malejące sylwetki znikły w dali, a słodki szmer dzwonek w końcu ucichł.

Teraz wszyscy już poczuli prawdziwy wiew Wschodu. Przyspieszając niecierpliwie, karawana zaczęła się posuwać wąskim

wydłużonym przesmykiem dzielącym (o czym Rob dowiedział się od Szymona) Marmarę od rozlewającego się na północy wielkiego Morza Czarnego. I rzeczywiście, powietrze miało tu ożywczy słonawy smak morza, który zbudził w sercu Roba nostalgiczną myśl o ojczyźnie, lecz zarazem wzmógł jego podniecenie.

Nazajutrz po południu ze szczytu wzgórza ujrzął leżące w dole miasto jak ze snu.

33

Perła cesarstwa

Fosa była szeroka i gdy wóz toczył się z turkotem po zwodzonym moście, Rob widział z kozła olbrzymie karpie w zielonej głębi. Na drugim brzegu wznosił się ziemny wał, a prawie tuż za nim masywny mur z ciemnego kamienia, wysoki chyba na sto stóp. Z dołu widać było tylko głowy przechadzających się po nim strażników. Pięćdziesiąt stóp dalej wyrastał drugi taki sam mur, stanowiący już czwartą linię obrony stolicy Wschodu.

Wjechali do środka przez dwie wielkie bramy. Wewnętrzną wieńczył potrójny łuk i zdobił wspaniały posąg, przedstawiający zapewne któregoś z dawnych władców, oraz dziwne zwierzęta wykute w brązie – krępe i masywne, o dużych, gniewnie uniesionych uszach, krótkich ogonach u zadów i dłuższych, które wyrastały im z pysków.

Rob ściągnął lejce, żeby lepiej im się przyjrzeć, ale z tyłu dobiegły go jęki i okrzyki.

- Ruszajże, Angliku! – ponaglił go Meir.
- Co to za stwory? – spytał.
- Słonie. Nigdy nie widziałeś słoni, biedaku?

Rob pokręcił głową i przejeżdżając wychylił się z kozła, podziwiając pierwsze ujrzane przez siebie słonie. Co prawda były one wielkości psów i zamarte w metalu pokrytym patyną wieków.

Karl Fritta doprowadził ich do olbrzymiego zajazdu dla podróżnych, który obyci w świecie Żydzi nazwali karawanserajem. Rozległe obejście mieściło różne składy, stajnie dla zwierząt i gospody dla ludzi. Jako doświadczony przewodnik, Fritta wyminął hałaśliwy tłum kłębiący się na majdanie i skierował swych podopiecznych do jaskiń wydrążonych przez człowieka w zboczu wzgórza, dających pewniejsze schronienie przed upałem, a także przed napaścią. Większość uczestników karawany zamierzała tu spędzić tylko dzień lub dwa, żeby odpocząć, naprawić wozy lub wymienić wierzchowce, a następnie rzymskim traktem ruszyć dalej na południe, do Jerozolimy.

– Wyjeżdżamy za parę godzin – powiedział Meir do Roba. – Stąd do Angory mamy już tylko dziesięć dni drogi, a spieszno nam wreszcie zobaczyć dom i pozbyć się odpowiedzialności.

– Ja zostanę trochę dłużej.

– Kiedy zechcesz wyruszyć – wtrącił Szymon – idź do karawanbaszy, tutejszego zarządcy karawan. Nazywa się Zewi. W młodości był poganiaczem, a potem przewodnikiem karawan; prowadził ludzi i wielbłądy na wszelkich możliwych szlakach. Zna się na tym. To Żyd i porządny człowiek – dodał Szymon z dumą. – Dopilnuje, żebyś uniknął złej przygody.

Rob pożegnał się z nimi, ściskając im kolejno dłonie. Bywaj w zdrowiu, tęgi Gerszomie, który nosisz ślad mego noża na zadku, pomyślał. Żegnaj i ty, ostronosy, czarnobrody Judo, i ty, Tuwe, miły dzieciaku, i ty, Meirze, któremu jestem winien wdzięczność. I ty, Szymonie, któremu zawdzięczam najwięcej.

Z żalem rozstawał się z tymi ludźmi, którzy okazali mu tyle przyjaźni. Odjechali zabierając ze sobą księgę, która była dla niego pierwszą lekcją Wschodu.

Potem sam ruszył przez ogromne miasto, większe nawet od Londynu. Oglądane z daleka, wydawało się unosić w czystym ciepłym powietrzu, ujęte w ciemnoniebieską ramę murów i jaśniejszy od nich błękit nieba i morza. Widziany od środka, Konstantynopol jeżył się kamiennymi kościołami pnącymi się ku niebu z wąskich ulic zatłoczonych ludźmi, końmi, osłami i wielbłądami, lektykami i wózkami wszelkich kształtów i rozmiarów. Krzepcy tragarze w luźnych szatach z brunatnego samodziału dźwigali niewiarygodne ciężary na plecach lub podstawkach nasadzanych na głowy niczym kapelusze.

Rob zatrzymał się na jakimś placu, by przyjrzeć się samotnej postaci patrzącej na miasto z wysokiej porfirowej kolumny. Łaciński napis na bazie kolumny uświadomił mu, że posąg przedstawia cesarza Konstantyna, zwanego Wielkim. Słyszał o nim w Londynie u Świętego Botulfa. Księża mieli go w wielkiej estymie, gdyż to on jako pierwszy rzymski cesarz przyjął chrześcijaństwo, kładąc podwaliny pod potęgę Kościoła. Upodobawszy sobie greckie miasto Bizancjum, zdobyte dla cesarstwa przez jednego z poprzedników, uczynił je stolicą i nazwał swym imieniem. Rosło odtąd i piękniało, aż stało się klejnotem chrześcijaństwa na Wschodzie.

Rob przedarł się przez ruchliwą dzielnicę handlową i zagłębił w labirynt ciasnych ulic zabudowanych wąskimi drewnianymi domami o nadwieszonych piętrach, łudząco podobnych do tych, które pamiętał z Anglii. Konstantynopol gościł wiele różnych nacji, jak przystało na miasto u styku kontynentów. W morzu Greków i Ormian rozpoznał kwartał żydowski, lecz minął go i ruszył dalej.

Nagle spośród niezrozumiałego różnojęzycznego gwaru doleciały go słowa wypowiedziane w farszi.

Zatrzymał się, żeby spytać o nocleg i stajnię. Polecono mu człowieka imieniem Ghiz. Istotnie, stajnia była porządna, toteż zostawił w niej Klaczkę, oporządziwszy ją wpierw godziwie, zasłużyła bowiem na odpoczynek i obrok. Ghiz wskazał mu drogę do swego domu stojącego na samym szczycie Trzystu Dwudziestu Dziewięciu Stopni, w którym miał izbę do wynajęcia.

Lokum okazało się warte wspinaczki. Izba była jasna i czysta, a przez okno wpadał do niej słony wiatr. Rob spojrzął z góry na hiacyntowy Bosfor, po którym sunęły żagle niczym unoszone przez nurt kwiaty. Na drugim brzegu zaczynała się już Azja. Nagle zrozumiał, że opasujący miasto podwójny pierścień murów nie jest tylko pamiątką bitewnej przeszłości ani też świadectwem obecnej potęgi. Świat islamu oddalony był jeszcze o wiele dni drogi, ale czaił się tam, obcy i groźny.

Długo patrzył na kontynent, w głąb którego wkrótce miał się zapuścić.

W nocy przyśniła mu się Maira. Zbudził się przygnębiony i szybko wyszedł. Nieopodal placu zwanego forum Augusta znalazł publiczne łaźnie, gdzie zażył krótkiej chłodnej kąpieli, a potem przeszedł do tepidarium, gdzie rozsiadł się niczym cesarz w kłębach pary, na przemian mydląc całe ciało i mocząc je w gorącej wodzie.

Na koniec jeszcze raz wskoczył do zimnego basenu i wytarłszy się do sucha, poczuł ożywienie – i głód. Na żydowskim targu kupił garść smażonych na brązowo rybek i kiść czarnych winogron. Skubiąc je po jednym, kluczył pośród straganów. Sprzedawano na nich kusą lnianą bieliznę, taką samą, jaką nosili Żydzi w Triawnie, ozdobioną frędzlami zwanymi *cycles* zgodnie z biblijnym nakazem, o którym opowiadał mu Szymon.

Znalazł kupca, który mówił po persku. Nawet ten zgrzybiały ponury Żyd w wyplamionej odzieży budził w nim strach przed zdemaskowaniem.

– To dla przyjaciela, jest mojego wzrostu – bąknął wyjaśniająco, lecz na szczęście starzec mu się nie przyglądał. Czując zarobek, niezdarnie grzebał w stosie koszul, aż w końcu znalazł dostatecznie dużą.

Rob bał się kupować całe odzienie na raz. Wrócił zatem do stajni sprawdzić, jak się miewa Klaczka. Ghiz powitał go słowami:

- Ładny wóz.
- A owszem – zgodził się Rob.
- Może bym go nawet kupił.
- Nie jest na sprzedaż.

Ghiz wzruszył ramionami.

– I tak musiałbym go przemaalować. Szkoda, że nie masz lepszego konia. Tej biednej szkapie brak temperamentu. Poznać po oczach. Będziesz miał szczęście, jeśli uda ci się jej pozbyć.

Rob zrozumiał, że wóz to tylko pretekst, a naprawdę Ghizowi wpadła w oko Klaczka.

– Konia też nie sprzedaję – mruknął powstrzymując śmiech. Też się Ghiz wybrał ze swymi niezdarnymi sztuczkami do kogoś, dla kogo mamienie ludzi było częścią rzemiosła!

Nieznacznie sięgnął do wozu, korzystając z tego, że stajenny wszedł do sąsiedniego boksu. Gdy wrócił, Rob wyciągnął rękę i udał, że wyjmuje mu z lewego oka srebrną monetę.

- O, Allahu! – wykrztusił zdumiony Pers.

Rob nie poprzestał na tym: sprawił, że drewniana kula zniknęła spod chustki, potem chustka zmieniła barwę z zielonej na niebieską, a następnie z niebieskiej na brązową.

- W imię Proroka... – szeptał jego widz.

Rozbawiony balwierz wyciągnął spomiędzy zębów czerwoną wstążkę i podał mu ją tak wdzięcznie, jakby obdarowywał rumieniącą się dziewczoję. Ghiz, rozdarty między podziwem a strachem (bo a nuż ten niewierny nie jest w istocie groźnym dzinnem?), w końcu roześmiał się klaszcząc w dłonie. Potem spędzili jeszcze mile sporo czasu na sztuczkach i żonglerce, a zanim skończyli, Pers był tak urzeczony, że Rob mógłby mu sprzedać z zyskiem nawet ślepą chabetę.

Do wieczerzy podano mu flaszkę ciemnego wina, za mocnego, za słodkiego i w zbyt dużej ilości. Nieopodal niego siedział jakiś ksiądz; Rob koślawą łaciną zaproponował mu poczęstunek.

Duchowni nosili tu długie, obszerne czarne szaty i wysokie sukienne kapelusze o wąskich rondkach. W przeciwieństwie do czystej, zadbanej szaty nakrycie głowy tego rumianego kapłana w średnim wieku nosiło ślady długiego użytkowania zapisane tłustymi plamami. Ksiądz chętnie przysiadł się do hojnego cudzoziemca; zwłaszcza gdy z łamanej rozmowy wynikło, że Rob przybył aż z zachodnich krańców Europy. Okazało się przy tym, że zna kilka języków. Ponieważ angielski się do nich nie zaliczał, Rob zaś nie znał francuskiego, a jego łacina pozostawiała bardzo wiele do życzenia, przeszli na perski, choć Grek posługiwał się nim z wahaniem i pewną niechęcią.

Po kilku dużych łykach mocnego trunku ojciec Tamas – bo tak miał na imię – wyraźnie się ożywił.

– Zamierzasz osiąść w Konstantynopolu? – zaciekawiał się.

– Nie. Za parę dni ruszam na Wschód, gdzie mam nadzieję zdobyć lecznicze zioła, które sprzedam w Anglii.

Ksiądz pokiwał głową. Im prędzej, tym lepiej, orzekł. Wojna wisi na włosku. Jaka? Ano ta, która zgodnie z wolą Pana wybuchnie

pomiędzy jedynym prawdziwym Kościołem a wyznawcami barbarzyńskiego bożka Mahometa.

– Widziałeś już świątynię Mądrości Bożej? – spytał i osłupiał, gdy Rob z uśmiechem pokręcił głową. – Ależ, przyjacielu, musisz ją zobaczyć, nim wyjedziesz! To najpiękniejsza katedra świata! Zaczął ją budować sam cesarz Konstantyn, a gdy ów wielki władca wszedł do niej po raz pierwszy, padł na kolana i zawołał: „Otom prześcignął Salomona...!” Nie bez powodu ma w niej siedzibę głowa naszego Kościoła.

Rob spojrział na niego zaskoczony.

– To papież Jan przeniósł się z Rzymu do Konstantynopola?

Ojciec Tamas przyjrzał mu się uważnie, a pojąwszy, że Rob wcale z niego nie kpi, uśmiechnął się zimno i rzekł:

– Jan jest patriarchą Kościoła Chrystusowego w Rzymie. Ale tu, w Konstantynopolu, namiestnikiem Pana naszego jest Aleksjusz i tylko jego pasterską opiekę uznajemy nad sobą.

Trunek i morskie powietrze pozwoliły mu zasnąć mocno i spać bez snów. Nazajutrz rano znów zażył luksusowej kąpieli w łaźniach Augusta, a po drodze na żydowski targ kupił sobie chleba i śliwek na śniadanie. Rozważnie oglądał szaty wystawione na kramach, zastanawiając się nad każdą sztuką. Parokrotnie widział w Triawnie lniane szale modlitewne, lecz najbardziej szanowani przez niego Żydzi nosili wełniane, sam więc też nabył taki, ozdobiony frędzlami podobnie jak kupiona dzień wcześniej koszula. Najdziwniej się czuł wybierając skórzane filakterie mocowane na czole i ramieniu do porannych modłów.

Każdy zakup poczynił u innego kramarza. Jeden z nich, szczerbaty, anemiczny młodzieniec, miał wyjątkowo duży wybór pięknych kaftanów. Nie znał farsi, porozumiewali się na migi. Ponieważ żadna z szat nie pasowała na rosnącego Anglika, dał mu znak, żeby

zaczekał, i pobiegł do starego Żyda, u którego Rob kupił wczoraj cyces. Wrócił z naręczem większych kaftanów, z których Rob bez trudu wybrał sobie dwa.

Opuścił bazar niosąc nowe nabytki w płóciennej sakwie i skręcił w ulicę, którą jeszcze nie szedł. Po krótkim spacerze ujrzął przed sobą kościół – tak wspaniała, że mogła to być tylko świątynia Mądrości Bożej. Olbrzymie brązowe wieże prowadziły do wysokiej nawy o pięknych proporcjach, ujętej kolumnami, które wyginały się w łuki, te zaś sklepiały w wyniosłą kopułę, wobec której ogromu poczuł się mały i nieważny. Rozległą przestrzeń nawy oświetlały tysiące lampek oliwnych, których migoczące płomyki odbijały się w złoconych ramach ikon i połyskliwych marmurowych płytach, jakimi wyłożone były ściany, krzesząc z nich roje blasków. Nigdy jeszcze nie widział takiego przepychu. Sam patriarcha Aleksjusz chyba był nieobecny, lecz w dali przy ołtarzu Rob dojrzał paru księży w bogato wyszywanym złotem kapach. Jeden z nich kołysał kadzielnicą; odprawiali mszę, lecz z tej odległości nie słyszał słów ani nawet nie czuł zapachu kadzidła.

Kościół był prawie pusty. Rob usiadł z boku, w misternie rzeźbionych stallach naprzeciw wygiętej w bólu postaci Ukrzyżowanego, który zdawał się unosić nad pełgającymi ognikami lampek. Miał wrażenie, że otwarte oczy Chrystusa przenikają go na wylot, że On dobrze wie, co Rob ma w sakwie...

Nie wychowano go na człowieka pobożnego, lecz to rozmyślnie popełnione odstępstwo targnęło jego sumieniem. Zrozumiał, że nie przypadkiem dotarł do bazyliki. Wstał i spojrzał prosto w te wszechwiedzące oczy, poddając się pod ich osąd. Po chwili rzekł głośno:

– Muszę to zrobić. Ale przecież się Ciebie nie zarzekam.

Kiedy wspiąwszy się po trzystu bez mała stopniach znalazł się w swojej izbie, nie był już taki pewien zbawienia własnej duszy. Oparł na stole wypolerowaną stalową płytkę, przed którą zwykł się golić, i za pomocą noża przyciął włosy, zostawiając tylko długie splecione pasma nad uszami. Kiedy skończył, łudząco przypominały żydowskie pejsy. Rozebrał się i z lękiem włożył *cyces*, na poły oczekując, że porazi go grom z nieba. Miał wrażenie, że frędzle pełzną mu po ciele jak macki. Długi czarny kaftan mniej już go przerażał; była to po prostu zwykła wierzchnia szata niemająca rytualnego związku z żydowskim Bogiem.

Brodę wciąż miał zbyt skąpą. Spuścił pejsy na uszy i nasadził skórzaną żydowską czapkę w kształcie dzwonu – na szczęście przynajmniej ona wyglądała na używaną. Pomimo to, kiedy wyszedł, czuł się jak przebieraniec. Był szalony, myśląc, że to się może udać. Wyśmiej go każdy, kto na niego spojrzy.

Potrzebne mi jeszcze imię, pomyślał. Ruben Balwierz był dobry w Triawnie, lecz do pełnej przemiany nie wystarczy mu grubymi nićmi szyta przeróbka.

Jesse... Zapamiętał to imię z Biblii, którą czytano mu w szkole. Należało do ojca króla Dawida i tchnęło mocą. Czuł, że mógłby z nim żyć.

Przybrał do niego imię angielskiego Żyda, który choć mimowolnie, pokazał mu, jaki powinien być medyk.

Będzie mówił, że pochodzi z Leeds. Dobrze znał to miasto i w razie potrzeby mógł je szczegółowo opisać.

Nagle ujrział idących naprzeciw trzech księży, z których jednym był ojciec Tamas, jego wczorajszy towarzysz przy wieczerzy. Z trudem pohamował paniczną chęć, by rzucić się do ucieczki. Pograżeni w rozmowie duchowni zbliżali się powoli, jak trzy przechadzające się czarne kruki. Zmusił się, by ruszyć z miejsca.

– Pokój wam – rzekł po łacinie, kiedy się zrównali.

Grecki ksiądz omiótł Żyda pogardliwym spojrzeniem i nie reagując na pozdrowienie, obrócił się do swych towarzyszy.

Kiedy go minęli, Jesse ben Beniamin z Leeds pozwolił sobie na uśmiech. Już spokojniej i pewniej poszedł dalej, opierając prawy policzek na dłoni, jak to miał w zwyczaju rabin z Triawny, kiedy głęboko się nad czymś zamyślił.

Część trzecia

Isfahan

34

Ostatni etap

Czuł się jak przebieraniec, wchodząc około południa do karawanseraju. Zbierała się właśnie liczna grupa podróżnych do Jerozolimy; na obszernym placu mijali się poganiacze ciągnący za sobą wielbłądy i osły, woźnice cofali wozy do szeregu, jeźdźcy kłębili się roztrącając pieszych, słychać było rzenie, porykiwanie i przekleństwa. Grupa normandzkich rycerzy rozłożyła się w jedynym ocienionym miejscu przy północnej ścianie składów, skąd raczyła przechodzących pijackimi obelgami. Rob nie miał pewności, czy to właśnie oni stratowali mu kotkę, lecz że mogło tak być, ominął ich ze wstrętem.

Przysiadł na zwoju modlitewnych dywanów, przyglądając się karawanbaszy. Był to przysadzisty mężczyzna w czarnym zawoju na posiwiątych, lecz wciąż jeszcze błyskających rudą barwą włosach. Rob wiedział od Szymona, że ten turecki Żyd imieniem Zewi może mu oddać nieocenione usługi, organizując bezpieczną podróż. Na razie przekonał się o jednym: Zewi budził respekt.

– Przekleństwo na ciebie! – wrzeszczał na jakiegoś nieszczęsnego poganiacza. – Won mi stąd, tępaku! Zabieraj bydłota i nie mieszaj ich ze stadem czarnomorskich kupców! Dwa razy już ci to mówiłem! Nie potrafisz zapamiętać swego miejsca w karawanie, ty spłodzony półdupkiem synu sprzedanej dziewczki? – I już biegł dalej, dwoił się

i troił, rozstrzygał spory kupców i przewoźników, omawiał trasę z przewodnikiem karawany, sprawdzał rachunki i listy towarów.

Gdy Rob tak patrzył, przycupnął obok niego niski wychudzony mężczyzna z głęboko zapadniętymi policzkami. Na głowie miał brudną rdzawą szmatę, a w brodzie resztki jaglanej kaszy, spożytej widać na śniadanie.

– Dokąd się wybierasz, Hebrajczyku?

– Chcę się dostać do Isfahanu.

– Do Persji? Ależ ja jestem Persem! Weź mnie za przewodnika, efendi! Urodziłem się w Gomie, o jeleni skok od Isfahanu. Znam każdy kamień, każdy krzak na tej drodze!

Rob się zawahał.

– Każdy poprowadzi cię dłuższą, trudną drogą wzdłuż wybrzeża, a potem przez góry – przekonywał go tamten. – Nie chodzą na skróty przez Wielką Pustynię Słoną, bo się boją. Tymczasem na pustyni nie grasują zbójcy, a ja dobrze wiem, gdzie jest woda.

Kusiło go, żeby nająć tego człowieka i wyruszyć od razu. Przypomniawszy sobie nieocenioną pomoc Charbonneau. Ale ten tutaj był jakby zbyt gładki, zbyt pokrętny, po namyśle więc Rob potrząsnął głową. Pers wzruszył ramionami.

– Jeśli zmienisz zdanie, efendi, zrobisz dobry interes. Nie biorę drogo.

Chwilę później jeden z normańskich rycerzy mijając Roba zatoczył się i runął wprost na niego.

– Żydowskie ścierwo! – wrzasnął i splunął. – Jak śmiesz...

Rob zerwał się na nogi, czując, jak krew uderza mu do głowy. Tamten sięgał już po miecz. Nagle tuż obok nich wyrósł Zewi.

– Tysiącrotnie przepraszam, wielmożny panie, przepraszam uniżenie! Już go stąd zabiorę. – Popchnął osłupiałego Roba przed sobą.

Gdy znaleźli się sami, Rob spokojnie wysłuchał lawiny niezrozumiałych hebrajskich słów, a potem pokręcił głową.

– Nie znam dobrze Języka. I sam dałbym sobie radę – rzekł, mozolnie dobierając perskie słowa.

– Czyżby? Zginąłbyś, ośle!

– To moja sprawa.

– A nie! W miejscu pełnym muzułmanów i pijanych chrześcijan zabić jednego Żyda to jak zjeść daktyla. Zginęłoby wielu naszych, więc to była jak najbardziej moja sprawa! – Zewi spojrział na niego wściekle. – Co z ciebie za *jahud*? Nie zna swego języka, po persku duka gorzej niż wielbłąd i szuka guza... Jak się zwiesz i skąd jesteś?

– Jesse, syn Beniamina. Z Leeds.

– Gdzie u licha jest Leeds?

– W Anglii.

– *Ingiliz!* – wykrzyknął Zewi. – No, jeszcze takiego nie spotkał!

– Mało nas, a że żyjemy w rozproszeniu, to i ze swoimi się nie spotykamy. Nie mamy własnej gminy. Ani rabina, ani szocheta, ani maszgiyah. Nawet synagogi. Rzadko słyszymy Język. Dlatego znam go tak słabo.

– Niedobrze chować dzieci tam, gdzie nie czują swego Boga i nie słyszą Języka – westchnął Zewi. – Nieraz ciężko być Żydem.

Rob spytał go o dużą obronną karawanę do Isfahanu. Zewi pokręcił głową.

– Zaczepił mnie jakiś przewodnik – dodał Rob.

– Perski wypierdek w ciasnym turbanie i z uświnioną brodą? – Żyd prychnął z pogardą. – Ten by cię zaprowadził prosto w łapy zbójów. Zostawiliby cię na pustyni z poderżniętym gardłem, a sami zaopiekowali się twoim dobytkiem. Nie. Lepiej ci będzie między swojakami. – Zastanowił się przez chwilę. – Reb Lonzano – oświadczył.

– Reb Lonzano? – powtórzył Rob.

Zewi kiwnął głową.

– Tak. On może pomóc.

Wśród poganiaczy wybuchła kłótnia; ktoś go zawołał. Zewi skrzywił się z niesmakiem.

– Wielbłądzie nasienie! Parszywe szakale! Nie mam teraz czasu. Przyjdź później, kiedy wreszcie wyprawię tę karawanę. A najlepiej pod wieczór. Znajdziesz mnie w przybudówce za gospodą. Wtedy postanowimy, co robić.

Wróciwszy po paru godzinach, Rob znalazł Zewiego w szopie służącej mu za kantorek. Było z nim trzech Żydów.

– To Lonzano ben Ezra – przedstawił najstarszego.

Reb Lonzano – dojrzały już mężczyzna o ciemnych włosach i brodzie bez śladu siwizny – wyraźnie przewodził całej trójce. Jego wiek zdradzała pobrużdżona twarz i powaga malująca się w oczach. Obaj towarzysze byli znacznie od niego młodszy. Wysoki, niedbale przygarbiony Loeb ben Kohen i tęższy, barczysty Arije Askari mieli ciemne, ogorzałe i nieprzeniknione twarze wędrownych kupców. Czekali spokojnie na to, co powie Lonzano.

– Ci ludzie to kupcy – wyjaśnił Robowi Zewi. – Wracają do domu, do Maskatu, który leży za Zatoką Perską.

Przerwał i posępnym głosem rzekł do Lonzana:

– Ten nieszczęśnik wychował się wśród chrześcijan, gdzieś na krańcu świata. Wie tyle co goj. Trzeba mu pokazać, że Żyd może wspomóc Żyda.

– Po co jedziesz do Isfahanu, Jesse ben Beniaminie? – zapytał reb Lonzano.

– Chcę się uczyć i zostać medykiem.

Lonzano kiwnął głową.

– W isfahańskiej madrasie studiuje krewniak Arijego, reb Mirdin Askari.

Rob aż wychylił się do przodu, czekając okazji, by zaspokoić swą ciekawość, reb Lonzano jednak nie należał do ludzi, którym można przerywać.

– Czy jesteś wypłacalny i możesz pokryć przypadającą na ciebie część kosztów podróży?

– Tak.

– I gotów jesteś dzielić z nami w drodze prace i obowiązki?

– Oczywiście. Czym handlujecie?

Lonzano spochmurniał. To on miał przepytować przyszłego towarzysza podróży, nie odwrotnie.

– Perłami – odburknął.

– Jak duża jest karawana, z którą jedzicie?

Tym razem w kącikach ust Żyda zadrgał cień uśmiechu.

– Ta „karawana”, jak mówisz, to my.

Rob spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Trzech ludzi? – Zwrócił się do Zewiego: – Trzech mężczyzn proponuje mi ochronę przed zbójami i wszystkim, co zagraża na szlaku?

– To wędrowcy – odparł Zewi. – Wiedzą, kiedy można zaryzykować, a kiedy lepiej się przyzaić. I gdzie szukać obrony lub pomocy. Znają tę drogę na pamięć.

Zerknął na Lonzana.

– Co powiesz, przyjacielu? Weźmiecie go ze sobą czy nie?

Spojrzenie Lonzana i jego dwóch towarzyszy zetknęły się, a choć nie padło ani jedno słowo, decyzję podjęli widać wspólnie. Po chwili Żyd jeszcze raz obrzucił Roba wzrokiem i skinął głową.

– Dobrze. Witaj w kompanii, Jesse. Wyruszamy jutro. Bądź o świcie przy pochylni w doku nad Bosforem.

– Przyjadę tam wozem.

Arije prychnął, a Loeb westchnął.

– Żadnych koni ani wozów – rzekł z naciskiem Lonzano. – Płyniemy łodzią przez morze, żeby oszczędzić sobie długiej i niebezpiecznej podróży lądem.

Zewi położył wielką łapę na kolanie Roba.

– Skoro chcą cię zabrać, warto, byś skorzystał z okazji. Sprzedaj konia i wóz.

Rob pokiwał głową. Podjął już decyzję.

– *Mazeł!* – ucieszył się Zewi i nalał wszystkim wina, by przypieczętować umowę.

Rob poszedł stamtąd prosto do stajni. Na jego widok Ghiz rozdziawił usta.

– *Jesteś jahud?*

– Jestem.

Pers kiwnął głową z lękiem, najwyraźniej przekonany, że ma do czynienia z dżinnem, który może dowolnie przybierać coraz to inną postać.

– Zmieniłem zdanie. Sprzedam wóz.

Ghiz z ponurą miną wymienił kwotę stanowiącą ułamek wartości wozu.

– Nie. Dasz przyzwoitą cenę.

– Możesz sobie zatrzymać tego grata. Gdybyś jednak chciał sprzedać konia...

– Konia dam ci za darmo.

Ghiz zmrużył oczy, wężąc podstęp.

– Jeśli zapłacisz mi uczciwie za wóz, konia dostaniesz w podarunku. – Rob podszedł do Klaczki i pogłaskał ją po chrapach, bez słów dziękując jej za wierną służbę. Potem odwrócił się do Ghiza. – Pamiętaj: jest chętna i posłuszna, tylko trzeba ją dobrze

karmić i utrzymywać w czystości, żeby nie dostała parchów. Jeśli po powrocie zastanę ją w zdrowiu, jeszcze cię pobłogosławię. Ale gdybyś jej zrobił krzywdę... – Wbił twarde spojrzenie w oczy Persa.

Ghiz zbladł i spuścił wzrok.

– Będę o nią dbał, panie. Przysięgam, że będę o nią dbał.

Kuglarski wóz, z którym teraz się rozstawał, przez lata był dlań jedynym domem. I ostatnią pamiątką po balwierzu. Większością jego dobytku miał się teraz wzbogacić Ghiz. Prócz odzieży i paru niezbędnych drobiazgów Rob zabrał tylko noże chirurgiczne, zioła i sosnową skrzyneczkę na koniki polne. I oczywiście broń.

Poczucie, że wyzbył się niemal wszystkiego, opuściło go nazajutrz rano, kiedy sapiąc taszczył przez jeszcze ciemne ulice wielką płócienną sakwę. Na przystań dotarł o brzasku. Reb Lonzano obrzucił kwaśnym spojrzeniem zginający mu plecy wypchany toból.

Zaspany młodzik przewiózł ich na drugą stronę cieśniny tejmilem, wąską dłubanką poruszaną za pomocą pary wioseł. Wysiedli w Uskudarze, skupisku chat i szop rozrzuconych bezładnie wzdłuż nabrzeża zatłoczonego stateczkami wszelkich kształtów i rozmiarów. Tam czekała Roba przykra niespodzianka: dowiedział się, że jeszcze godzinny marsz dzieli ich od zatoczki, w której cumuje statek mający ich powieźć Bosforem na Morze Czarne. Dźwignął na ramię swój toból i ruszył za Żydami. Kiedy dogonił Lonzana, ten rzekł:

– Słyszałem od Zewiego, że spiąłeś się z jakimś normańskim rycerzem. Panuj nad emocjami, bo inaczej wszystkich nas narazisz.

– Dobrze – westchnął poprawiając sakwę.

– Coś ci doskwiera, Angliku?

Potrząsnął głową. Przytrzymując pakunek na bolącym ramieniu otarł pot zalewający mu oczy, pomyślał o Zewim i uśmiechnął się szeroko.

– Ciężko być Żydem – powiedział.

Nareszcie dotarli do bezludnej zatoki, gdzie na falach kołysał się krępy, płaskodenny jednomasztowy statek do przewozu towarów.

– A cóż to za balia? – mruknął Rob do Arijego.

– Dobra – uciął tamten.

– Chodźcie! – ponaglił ich szyper, jasnowłosy Grek o pospolitej, ogorzałej na brąz twarzy, w której błyskały białe, choć niekompletne zęby. Na imię miał Ilias i najwyraźniej nie gardził żadnym zarobkiem, na brzegu bowiem czekało dziewięciu cudaków o wygolonych głowach, pozbawionych brwi i rzęs.

– Derwisze? – jęknął Lonzano. – A skądżeś tu ich wytrzasnął?

Żebrzący muzułmańscy mnisi odziani byli w brudne łachmany przepasane sznurem, przy którym wisiał kubek i proca. Każdy miał pośrodku czoła pociemniałe stwardnienie, jakby liszaj. Lonzano wyjaśnił później Robertowi, że nazywają je *zabiba* i często się je widzi u pobożnych muzułmanów, którzy pięć razy dziennie przyciskają czoło do ziemi przy modlitwie. Jeden z nich, starszy, przyłożył dłonie do piersi i skłonił się Żydom.

– *Salam*.

– *Salam alajkum* – odkłonił się Lonzano.

– No, wchodźcie! – zawołał Grek.

Brodząc w orzeźwiająco chłodnych falach podeszli do burty i z pomocą dwóch młodych półnagich marynarzy wspięli się na nią po sznurowej drabince. Stateczek nie miał pokładu, wewnątrz załadowane było drewnem oraz beczkami smoły i soli. Ilias zabronił pasażerom rozsiadać się pośrodku, bo załoga musiała mieć dostęp do żagli, toteż po załadowaniu bagaży Żydzi i muzułmanie stłoczyli się jak śledzie w beczce.

Gdy podniesiono kotwice, derwisze zaczęli wyć. Ich przywódca, Dedeh, mężczyzna o pobrużdżonej twarzy naznaczonej prócz zabiby trzema wypalonymi znamionami, zadarł głowę ku niebu i krzyknął:

– *Allahu akbar!*

Przeciągły okrzyk zawisł nad falami niczym pasmo chmur.

– *La ilaha illa Allah* – odpowiedzieli mnisi.

– *Allahu akbar...*

Statek wolno odbił od brzegu, po paru manewrach chwycił wreszcie wiatr w łopoczące żagle i popłynął na Wschód.

Rob siedział wciśnięty między reba Lonzana i chudego młodego derwisza ze znamieniem na czole. Po chwili muzułmanin uśmiechnął się do niego, wydobył z sakwy cztery sponiewierane skibki chleba i poczęstował nimi Żydów.

– Nie chcę – mruknął Rob do Lonzana. – Podziękuj mu w moim imieniu.

– Musimy zjeść, bo inaczej ciężko się obrażą.

– To chleb ze szlachetnej mąki – odezwał się po persku derwisz. – Naprawdę znakomity.

Lonzano zgromił Roberta wzrokiem. Gdyby użył Języka, nie zostaliby podsłuchani. Derwisz przyglądał się w milczeniu, jak jedzą chleb, który miał smak zestalonego potu.

– Jestem Melek abu Ishak – powiedział.

– Jesse ben Beniamin – przedstawił się Rob.

Muzułmanin skinął głową i zamknął oczy. Wkrótce już chrapał. Rob docenił jego mądrość, podróż była bowiem koszmarnie nudna. Ani morze, ani wciąż widoczna linia bliskiego brzegu w ogóle się nie zmieniały. Dla zabicia czasu rozmyślał o tym i owym. W końcu spytał Iliasa, dlaczego trzymają się tak blisko brzegu. Grek uśmiechnął się.

– Tu jest za płytko, żeby mogli nas dopaść – rzekł wskazując palcem otwarte morze. Niemal na horyzoncie widać było jakby małe białe obłoczki, żagle. – Piraci – dodał. – Czekają w nadziei,

że zniesie nas dalej od brzegu. Wtedy nas wymordują, zabiorą mój łaładunek i wasze złoto.

Kiedy słońce stanęło w zenicie, smród niemytych ciał derwiszy stał się nie do zniesienia. Rob łapczywie łowił ustami kapryśne podmuchy morskiej bryzy. Próbował się odsunąć od Meleka, lecz nie miał gdzie. Towarzystwo muzułmanów miało wszakże i dobre strony, bo przez ich rytuały Ilias pięć razy dziennie musiał przybijać do brzegu, a w tym czasie Żydzi mogli coś przekąsić lub załatwić potrzebę.

Jasna angielska skóra Roba dawno ogorzała na szlaku, teraz jednak słońce i sól garbowały ją na podeszwę. Zmrok był dlań błogostawieństwem, za to wkrótce uśpieni na siedząco towarzysze zwalili się na niego bezwładnie – z prawej chrapiący głośno Melek, z lewej Lonzano. Kiedy w końcu już nie mógł tego dłużej wytrzymać, użył łokci i z obu stron posypały się na niego przekleństwa.

Żydzi modlili się w łodzi. Każdego ranka Rob owijał ramię rzemieniem, tak jak to przećwiczył w Triawnie, a ponieważ wciąż nie wiedział, co robić z palcami, motał co drugi pochylając się nisko w nadziei, że nikt tego nie zauważy.

W czasie rejsu derwisze także intonowali głośne modły.

- Bóg jest największy! – wołał Dedeh.
- Nie ma Boga prócz Niego! – odpowiadali.
- A Mahomet jest Jego prorokiem!

Rob dowiedział się od Meleka, że należą do zakonu Salmana, golibrody Proroka. Przysięgli żyć w ubóstwie i wierze. Okrywające ich łachmany symbolizowały wyrzeczenie się światowych wygód. Nawet ich wypranie byłoby odstępstwem od zasad wiary, co tłumaczyło bijący od nich smród. Golili całe ciała, aby nawet owłosienie nie dzieliło ich od Boga, któremu służyli. Kubek

noszony u pasa wyobrażał głęboką studnię medytacji, proca miała służyć do obrony przed szatanem. Piętna na czole były znakiem pokuty, a okruchy chleba rozdawane obcym przypominały o chlebie, jakim karmił Adama w raju archanioł Gabriel. Pielgrzymowali do świętych miejsc, z których najświętsze znajdowały się w Mekce.

– Dlaczego owijacie rękę rzemieniem? – zaciekał się Melek.

– Bóg przykazał nam to czynić. – Rob bąknął, że ten nakaz spisany został w Księdze Powtórnego Prawa.

– A dlaczego okrywacie ramiona szalem przy modlitwie? Czemu nie przy każdej?

Rob nie znał odpowiedzi. W Triawnie liznął trochę wiedzy, podglądając i słuchając Żydów, lecz choć starał się to ukryć, pytania derwisza przyprawiały go o męki.

– Nieomyślny, niech będzie pochwalone Jego imię, to także kazał nam czynić – rzekł poważnie.

Melek z uśmiechem skinął głową.

Gdy Rob z ulgą odwrócił się od derwisza, poczuł na sobie czyjś wzrok. To reb Lonzano przyglądał mu się spod ciężkich zmrużonych powiek.

35

Słone rzeki

Przez pierwsze dwa dni wiatr był łagodny; trzeciego przybrał na sile i wzburzył morze. Ilias zręcznie prowadził niezgrabną łajbę tak, by z jednej strony nie wpaść w łapy piratów, z drugiej zaś nie pozwolić, by gwałtowny przybój cisnął statkiem o brzeg. O zachodzie słońca woda przybrała barwę krwi i nagle zaroily się w niej smukłe ciemne sylwetki, okrążając łódź. Rob omal nie umarł

ze strachu, lecz Ilias roześmiał się mówiąc, że to tylko morświny, niegroźne zwierzęta morskie, igrają w falach.

Nad ranem kołysało już tak mocno, że Rob znów uległ morskiej chorobie. Wymiotował tak gwałtownie, że nawet doświadczeni żeglarze odczuli mdłości i wkrótce niemal wszyscy wisieli przy burtach, modląc się w najróżniejszych językach, aby Bóg położył kres ich udręce. Rob błagał, by wysadzili go na brzeg, ale reb Lonzano potrząsnął tylko głową.

– Ilias nie przybije do brzegu – odezwał się po chwili, przełknąwszy ślinę. – Wierz mi, nawet derwisze wolą się modlić w łodzi wiedząc, że w tę okolicę zapuszczają się Turcy. Obcych zabijają albo biorą w niewolę. W każdym namiocie trzymają takich nieszczęsnych brańców. Kto raz popadł w ich ręce, już z nich nie ujdzie.

Opowiedział mu historię swojego krewniaka. Wraz z dwoma synami wiózł zboże do Persji.

– Zostali schwytani – rzekł głucho – związani i zakopani aż po szyję we własnej pszenicy. Zmarli z głodu i pragnienia. To straszna śmierć. Potem Turcy sprzedali ich ciała rodzinie, która chciała im wyprawić pogrzeb.

Toteż Rob potulnie siedział w łodzi, choć cztery wietrzne dni dłużyły mu się niczym kilka pechowych lat.

Po tygodniu Ilias wprowadził statek do niewielkiej przystani w otoczeniu czterdziestu chałup zbudowanych w większości – jeśli nie liczyć paru drewnianych szop – z suszonej na słońcu cegły. Rize, bo tak nazywała się osada, nie wyglądało gościnnie, Rob jednak jeszcze długo wspominał je z rozrzewnieniem. Muzułmanie także wykrzyknęli „Inszallah!”, gdy barka przybiła do nabrzeża, a reb Lonzano odmówił modlitwę dziękczynną.

Odmieniony, smagły i wychudzony niczym chart Robert zeskoczył z burty i niepewnie stawiając stopy na zdającej się chybotać ziemi, czym prędzej oddalił się od morza, które szczerze znienawidził.

Dedeh skłonił się rebowi Lonzano, Melek z uśmiechem mrugnął do Roba na pożegnanie i derwisze ruszyli w swoją stronę.

– Chodźmy – rzekł Lonzano.

Poczłapali za nim, jakby wiedzieli, dokąd idą. Rize było w istocie nędzną dziurą. Odprowadzani ujadaniem chudych płowych psów minęli rozchichotaną grupkę dzieci o zaropiałych oczach, niechlujną kobietę gotującą coś na palenisku pod gołym niebem, dwóch śpiących w cieniu mężczyzn przytulonych do siebie jak kochankowie. Jakiś starzec splunął w ślad za nimi.

– Żyją głównie ze sprzedaży wierzchowych i jucznych zwierząt – rzucił Lonzano tytułem wyjaśnienia. – Wielu podróżnych dociera tu drogą morską i rusza dalej przez góry. Loeb zna się na zwierzętach, kupi je dla nas wszystkich.

Rob dał więc Loebowi pieniądze i weszli do szałas w obszernej zagrodzie pełnej osłów i mułów. Sprzedawca był zezowaty, nie miał trzeciego i czwartego palca u lewej dłoni, a niezgrabne kikuty urągały sztuce medycznej, lecz przydawały mu się, kiedy ciągnął za uzdy oddzielając jedne zwierzęta od innych, by Loeb mógł je obejrzeć.

Loeb nie targował się i nie narzekał. Wiele sztuk ledwie zaszczycił spojzeniem. Czasem przystawał, żeby zajrzeć któremuś w oczy albo zęby, pomacać kłęby i pęciny. Na koniec wybrał tylko jednego muła. Gdy zaproponował cenę, sprzedawca zachnął się ze złością

– Za mało! – warknął.

Loeb wzruszył ramionami i odwrócił się do wyjścia. Jednakże mężczyzna zatrzymał go i z ponurą miną przyjął oferowaną kwotę.

Kolejne trzy sztuki kupili w innej zagrodzie, a gdy weszli do trzeciej, właściciel obrzucił baczny wzrokiem te, które prowadzili ze sobą, pokiwał tylko głową i wybrał kilka sztuk ze swojego stada.

– Dobrze wiedzą, czym kto handluje – rzekł półgłosem Arije. – Ten tu już widzi, że Loeb wybiera tylko najlepsze.

Wkrótce każdy z nich miał już wytrzymałego osła pod wierzch i silnego muła jako zwierzę juczne.

Lonzano stwierdził, że z Bożą pomocą w miesiąc dotrą do Isfahanu. Wieść ta tchnęła w Roba nowe siły. Cały dzień jechali przez nadbrzeżną równinę, a trzy dni przez pogórze. Potem szlak zaczął się stromo wznosić. Rob lubił górskie krajobrazy, lecz tu widać było tylko nagie skały, prawie całkiem pozbawione roślinności.

– Przez większą część roku panuje tu susza – wyjaśnił Lonzano. – Wiosną schodzą groźne powodzie, a potem już w ogóle nie pada. Jezior prawie nie ma, a i te przeważnie są słone. Na szczęście wiemy, gdzie szukać słodkiej wody.

Rankiem, gdy odmówili modlitwę, Arije splunął z pogardą, patrząc na Roba.

– Głupi goj. Nawet modlić się nie umie!

– Sam jesteś głupi – zgromił go Lonzano. – Tylko ostatnia świnia nazwie swojaka gojem.

– Patrz, jak on nakłada *tefilin*! – obruszył się Arije.

– Wychował się wśród obcych i jeśli nie umie, masz okazję go nauczyć. Ja, reb Lonzano ben Ezra ha-Lewi z Maskatu, nie będę ponad to, żeby go wprowadzić w nasze obyczaje.

Zaraz też wytłumaczył Robertowi, jak ma prawidłowo nakładać filakterie. Okręcony trzy razy wokół ramienia rzemień tworzył hebrajską literę *szin*; dalsze siedem obwojów wokół przedramienia,

dłoni i palców składało się na litery *dalet* i *jud*, dając w sumie zapis słowa *Szaddaj*, jednego z siedmiu niewymawialnych imion Bożych.

Zawijaniu rzemieni towarzyszyły specjalne modły, wśród nich fragment Księgi Ozeasza: „I poślubię cię sobie na wieki; poślubię przez sprawiedliwość i prawo, przez miłość i miłosierdzie. Poślubię cię sobie przez wierność i poznasz Pana”.

Powtarzając te słowa, Rob zadrżał. Przysiągł przecież Jezusowi, że choć zewnętrznie upodobni się do Żydów, w sercu pozostanie Mu wierny. Potem wszakże przypomniał sobie, że Chrystus także był Żydem; z pewnością tysiące razy zakładał *tefilin*, odmawiając te same modlitwy. Zrobiło mu się lżej na sercu, gnębiący go strach nagle pierzchnął. Powtarzał obce wersety za Lonzanem, mimowolnie obserwując siniejącą w więzach rękę, a było to nader ciekawe, wskazywało bowiem, iż silny ucisk zatrzymał obieg krwi. Odruchowo zaczął się zastanawiać, skąd krew płynie do palców i dokąd popłynie, kiedy zdejmie rzemień.

– Jeszcze jedno – powiedział Lonzano, gdy odwiązali filakterie. – Nie wolno ci zrezygnować z szukania Boskiego przewodnictwa wymawiając się tym, że nie znasz Języka. Napisane jest, że jeśli ktoś nie może odmówić stosownych modłów, powinien przynajmniej pomyśleć o Wszechmogącym. To też jest modlitwa.

Na osłach nie prezentowali się zbyt wytwornie, a raczej śmiesznie, już bowiem człowiek średniego wzrostu na tak niskim wierzchowcu wydaje się nieproporcjonalny. Rob nieomal szorował stopami o ziemię, ale osioł dźwigał go bez trudu, a przy tym był zwinny i świetnie dawał sobie radę na nachylonym to w górę, to w dół szlaku.

Mierziło go tylko narzucone przez Lonzana tempo. Przywódca grupy wciąż popędzał wierzchowca, używając w tym celu zerwanej po drodze kolczastej gałęzi.

– Musimy tak gonić? – sarknął w końcu Rob, lecz Lonzano nawet się nie obejrzał. Wyręczył go Loeb:

– Tutejsi górale to źli ludzie. Mordują podróżnych, szczególnie zaś nienawidzą Żydów.

Znali ten szlak tak dobrze, jakby mieli go wyrysowany w głowach. Rob zdawał sobie sprawę, że gdyby im się coś przytrafiło, sam nie przeżyłby w obcej i wrogiej okolicy. Szlak wił się stromymi perciami wśród wysokich posepnych gór. Piątego dnia pod wieczór natrafili na strumyk ciurkający leniwie w kamienistym korycie.

– To rzeka Koru – rzekł z pewnym przekąsem Arije.

Bukłak Roba był już niemal pusty. Ruszył do potoku, żeby go napełnić. Powstrzymał go przeczący ruch głowy Arijego.

– Jest słona – powiedział Żyd z przyganą, jakby Rob powinien był o tym wiedzieć.

Ruszyli dalej. Już o zmroku wyjeżdżając z zakrętu, wpadli na chłopca pędzącego stadko kóz. Na ich widok rzucił się do ucieczki.

– Może powinniśmy go złapać? – poddał Rob. – A jeśli doniesie o nas zbójom?

Lonzano się uśmiechnął. Napięcie widoczne w jego rysach, odkąd wjechali w góry, zaczęło ustępować.

– To Żyd – powiedział. – Dojeżdżamy do Bajburtu.

Wioska liczyła niecałą setkę dusz, z czego jedną trzecią stanowili Żydzi. Zamieszkany przez nich teren otoczony był mocnym wysokim murem opierającym się o zbocze góry. Gdy podjechali bliżej, brama się otworzyła, a ledwie ją przekroczyli, została zamknięta i zaryglowana. Zsiedli z osłów. Tu, w obwałowanej dzielnicy żydowskiej, mogli liczyć na bezpieczeństwo i gościnę.

– *Szalom* – powitał ich bez zdziwienia miejscowy rabin. Był niziutki, jakby wprost stworzony do jazdy na osle. Miał długą brodę i melancholijnie wygięte usta.

– *Szalom alejchem* – odpowiedział Lonzano.

Rob wiele się nasłuchał w Triawnie o gościnności Żydów w stosunku do będących w podróży rodaków; teraz miał okazję skorzystać z niej już nie jako goj, lecz jako swojak. Zabrano ich osły i muły do stajni, by je oporządzić, bukłaki umyto i napełniono słodką wodą ze studni. Kobiety przyniosły im mokre ręczniki, aby mogli się odświeżyć, a później nakarmiły świeżym chlebem, napiły polewką i kubkiem wina, nim przybysze wraz z mieszkańcami wioski udali się do synagogi na maariw. Po modlitwie usiedli z rabinem i starszyzną.

– Twoja twarz wydaje mi się znajoma – zagadnął rabbi Lonzana.

– Korzystałem już z waszej gościnności. Byłem tu sześć lat temu z bratem Abrahamem i naszym świętej pamięci ojcem, Jeremiaszem ben Labelem. Ojciec zmarł przed czterema laty. Zranił się lekko w rękę, ale wdała się zgorzel. Wola Najwyższego...

Rabbi kiwnął głową i westchnął:

– Niech spoczywa w pokoju.

– A mnie pamiętasz? – wtrącił szpakowaty Żyd drapiąc się po brodzie. – Jestem Josel ben Samuel. Jakies dziesięć lat temu zatrzymałem się u was w Maskacie. Wiozłem duży transport pirytu, karawana liczyła czterdzieści trzy wielbłądy! Twój wuj... jakże mu było? Izachar?... pomógł mi sprzedać piryt i kupić morskie gąbki, na których po powrocie zarobiłem niezły grosz.

– Jekiel – sprostował z uśmiechem Lonzano. – Mój wuj zwie się Jekiel ben Izachar.

– Ano tak, Jekiel! Jak tam, zdrów?

– Zostawiłem go w zdrowiu, wyjeżdżając z Maskatu.

- A tymczasem - rzekł rabin - na drodze do Erzerumu grasują tureccy zbóje, niech ich mór wytraci i wszystko co najgorsze. Ci, którzy ujdą z życiem słono się okupiwszy, mogą mówić o szczęściu. Nie ma na nich rady. Chcąc ich ominąć, musicie się przemknąć przez najwyższe góry. Damy wam przewodnika, żebyście się nie zgubili.

Nazajutrz wczesnym rankiem opuścili Bajburt i zaraz odbili od uczęszczanego szlaku. Młody Żyd poprowadził ich wąską kamienistą ścieżką biegnącą nad niemal pionowym urwiskiem. Zawrócił dopiero wówczas, gdy bezpiecznie trafili na główny szlak.

Na drugi dzień wieczorem przybyli do Karakoszy, gdzie mieszkał ledwie tuzin żydowskich rodzin. Byli to majątni kupcy cieszący się opieką możnego wojownika imieniem Ali al-Hamid. Jego twierdza wznosiła się nad miasteczkiem. Zbudowana w kształcie siedmiokąta, przypominała pozbawiony masztów okręt wojenny, wyniesiony przez fale na wysoką górę. W skale pod zamkiem wykute były cysterny, do których dowożono wodę z miasteczka; na wypadek oblężenia były zawsze pełne. W zamian za protekcję Hamida Żydzi z Karakoszy zaopatrywali zamkowe składy w proso i ryż. Rzecz jasna czterej wędrowcy nie zobaczyli wielmoży nawet z dala, a mając świadomość, że ich byt w Karakoszy zależy od kaprysu jednego człowieka, nazajutrz opuścili miasto.

Droga była trudna, okolice zaś niebezpieczne, lecz żydowska samopomoc działała niezawodnie. Co wieczór odnawiali zapasy słodkiej wody, zapewniano im wikt, nocleg i wskazówki na dalszą drogę. Wiecznie zatroskana twarz Lonzana prawie się wygładziła.

W piątek po południu dotarli do małej górskiej wioski Igdir, gdzie zatrzymali się na cały szabas, nie godziło się bowiem podróżować w dniu świątecznym. Ludzie mieszkali tu w małych kamiennych domkach i żyli głównie z sadownictwa, toteż czwórka wędrowców najadła się do syta soczystych czarnych wiśni

i słodkich konfitur z owoców pigwy. Arije wreszcie przestał zrzędzić, a Loeb posunął się nawet do tego, że nauczył Roba systemu umownych znaków, dzięki któremu żydowscy kupcy na Wschodzie dobijali targu bez słów.

– Wystarczą ręce – śmiał się Loeb. – Wyprostowany palec oznacza dziesiątkę, zgięty piątkę, a schowany tak, że widać tylko czubek, jedność. Cała dłoń to setka, a zwinięta pięść oznacza tysiąc.

Opuściwszy w niedzielę rano Igdir, jechali obok siebie i gestykując w milczeniu, targowali się na niby o cenne ładunki przypraw, złoto i całe królestwa. Szlak jednak, choć monotony, był stromy i kamienisty, musieli więc zachować czujność.

– Niedaleko stąd jest góra Ararat – odezwał się Arije.

Rob przyjrzał się stromym niedostępnym szczytom i jałowej ziemi.

– Ciekawe, co pomyślał Noe wychodząc z arki – zażartował.

Arije wzruszył tylko ramionami.

W Naziku, większej miejscowości położonej w szerokiej skalistej dolinie, spędzili aż cztery dni. Mieszkało tam osiemdziesięciu czterech Żydów i ponad dwa tysiące anatolijskich Turków.

– Muzułmanie szykują huczne wesele – powiedział im rabin, chudy starzec o przygarbionych plecach i stanowczych oczach. – Już zaczęli świętować, są podnieceni i skłonni do zacepek. Wolimy nie wypuszczać się do miasta.

Siedzieli więc zamknięci w dzielnicy żydowskiej. Jedzenia było pod dostatkiem, w studni dobra słodka woda, a Żydzi z Naziku odnosili się do nich z serdecznością i szacunkiem. Wypoczęli za wszystkie czasy, wylegując się na sianie w chłodnej kamiennej stodole, gdzie nie docierał letni upał. Zza murów dobiegały ich śpiewy i krzyki, odgłosy bójek i łamanych sprzętów, raz nawet na żydowską stronę sypnęły się kamienie, ale nikt nie ucierpiał.

Gdy po czterech dniach nareszcie zapanował spokój, jeden z synów rabina udał się na zwiad do miasta. Wróciwszy stwierdził, że weselnicy się wyszaleli i są teraz łagodni jak baranki. Nazajutrz rano Rob i jego trzech towarzysze opuścili Nazik ruszając w dalszą drogę.

Mieli przed sobą tereny, gdzie nie było żydowskich osad, i musieli liczyć tylko na siebie. Rankiem trzeciego dnia dotarli na płaskowyż, na którym lśniło wielkie jezioro otoczone szerokim kręgiem białego spękanego mułu. Zsiedli z osłów.

– To jezioro Urmia – rzekł Lonzano. – Płytkie i słone. Wiosenne deszcze wypłukują z gór żyły soli, która osadza się w jeziorze, bo nie wychodzi zeń żadna rzeka. Latem, gdy woda paruje, można zbierać sól z brzegu. Skosztuj!

Rob z wahaniem wziął do ust odrobinę białego proszku i skrzywił się z obrzydzeniem.

– Masz przedsmak Persji – zaśmiał się Lonzano.

Chwilę trwało, nim zrozumiał.

– Jesteśmy w Persji?

– Tędy biegnie granica.

Rob poczuł się zawiedziony. Przebył taki szmat drogi, by trafić na to pustkowie? Lonzano zdawał się czytać mu w myślach.

– Nie trać wiary – uśmiechnął się. – Ręczę ci, że Isfahan pokochasz całym sercem. Wsiadajmy. Przed nami jeszcze wiele dni drogi.

Nim jednak odjechali, Robert z zemsty nasikał do słonego jeziora, wzbogacając smak Persji szczególnym rodzajem driakwi, będącym specjalnością angielskich balwierzy.

Arije już się nie krył z niechęcią do Roba. Hamował się w obecności Lonzana i Loeba, ale gdy byli sami, nie szczędził Anglikowi przykrych słów. Nawet w stosunku do tamtych nieraz bywał opryskliwy. Rob był od niego większy i silniejszy; czasem kosztowało go sporo samozaparcia, żeby złośliwca nie uderzyć.

– Nie zwracaj na niego uwagi – doradził mu Lonzano widząc, co się święci.

– Arije to... – Na nieszczęście Rob nie znał żadnych perskich wyzwisk.

– Nigdy nie był zbyt miły, a do tego nie lubi podróżować. Niedawno się ożenił, zostawił w Maskacie maleńkiego synka. Dziwisz się, że mu ciężko? Przez to taki ponury. – Lonzano westchnął. – Cóż, każdy ma rodzinę, ale gdy jest tak daleko od domu, zwłaszcza w szabas lub święto...

– Jak długo jesteście w drodze? – zaciekał się Rob.

– Dwadzieścia siedem miesięcy.

– Po co wam to, skoro tak cierpicie i ryzykujecie głową?

Lonzano spojrział na niego poważnie.

– Żeby wyżyć – odparł.

Okrążywszy północno-wschodni kraniec jeziora Urmia, wjechali z powrotem w góry. Zatrzymali się w Tebrizie, potem w Takestanie. Podobnie jak w Anatolii były to ubogie osady na nieurodzajnej, skalistej ziemi. Centralny punkt każdej miejscowości stanowiła wspólna studnia, wokół której zbierali się ludzie i kozy. Kolejna miejscowość, Kaszan, wyglądała tak samo, ale na bramie w obwałowaniu wisiał lew. Prawdziwy wypchany lew.

– Wielki, prawda? To sławne zwierzę – rzekł z dumą Lonzano, jakby sam go upolował. – Przez siedem lat porywał bydło z okolicy, aż w końcu dwadzieścia lat temu zabił go szach Abdallah, ojciec

obecnego władcy. W Kaszanie co roku świętują rocznicę tego wydarzenia.

Ślepią Iwa zastąpiono suszonymi morelami, jęzor – kawałkiem czerwonego jedwabiu. Wypchany był szmatami i suchym zielskiem. Wyszła na wiór skóra wyliniała, lecz łapy były mocne jak kolumny, a zęby wielkie i wciąż ostre niczym groty oszczepów. Rob dotknął ich i się wzdrygnął.

– Cieszę się, że już nie żyje – mruknął.

Arije uśmiechnął się z wyższością.

– Ciesz się, że możesz go obejrzeć. Większość ludzi nigdy w życiu nie ma takiej okazji.

Rabbi z Kaszanu był krępyim jasnowłosym mężczyzną. Nazywał się Dawid ben Sauli i mimo młodego wieku cieszył się ogromnym autorytetem. Nosił zawój, nie skórzaną żydowską czapkę. Lonzano wdał się z nim w rozmowę i twarz mu zmierzchła.

– Południowy szlak nie jest bezpieczny – powtórzył słowa rabina.

– Grasują na nim Seldżucy.

– Co to za jedni? – spytał Rob.

– Wędrowni Turcy. Pasterski lud, który żyje w namiotach, nie w miastach – wyjaśnił Lonzano. – Straszni z nich wojownicy, a napadają wszystkich bez wyjątku.

– Nie możecie jechać przez góry – dodał rabbi. – Nawet rozbójnicy boją się Seldżuków.

Lonzano spojrzał na towarzyszy.

– Mamy dwa wyjścia. Albo zaczekamy w Kaszanie, aż Seldżucy odejdą, co może potrwać miesiące bądź lata; albo ominiemy ich jadąc przez pustynię, a dalej przez lasy. Nie byłem nigdy na Daszt-e Kawir, ale wiem, czym jest pustynia. Czy w ogóle można się przez nią przeprowadzić? – zapytał rabina.

– Nie przez całą, broń Boże – pocieszył go rabbi i zamyślił się na chwilę. – Musielibyście ściąć jej róg, kierując się na wschód, a potem na południe. To zajmie jakieś trzy dni. Jeżdżono już tą drogą. Wytlumaczmy wam, którądy iść.

Wędrowcy spojrzeli na siebie. Milczenie przerwał Loeb.

– Nie mam chęci się tu zestarzeć – rzekł za wszystkich.

Zanim wyruszyli z Kaszanu, kupili wielkie bukłaki z kozłej skóry i nabrali do nich wody.

– Nie trzeba nam aż tyle wody na trzy dni – zauważył Rob. – Przeciążymy zwierzęta.

– One też muszą pić, to nie wielbłądy – wytknął mu Lonzano. – Poza tym nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Przewodnik na siwym koniu wyprowadził ich z Kaszanu do miejsca, gdzie od drogi odchodził ledwie widoczny szlak. Wiódł gliniastym wzniesieniem, którym łatwiej było jechać niżli skalistymi górskimi ścieżkami. Posuwali się dość szybko, pełni dobrej wiary. Ale około południa, gdy słońce paliło już niemiłosiernie, na twardym podłożu zaczęły się pojawiać łachy drobnego piasku. Zwierzęta z coraz większym trudem wyciągały zeń kopyta. Musieli zsiąść. Dalej szli pieszo, prowadząc za sobą tak samo udręczone osły i muły.

Rob miał wrażenie, że śni. Posuwali się przez ocean piasku, miejscami zbałwaniony w wielkie wydmy, gdzie indziej płaski niczym jezioro, lekko tylko zmarszczone zachodnim wiatrem. Nie było tu śladu życia, ani ptaków, ani nawet robactwa. Po południu minęli stos zbieleńszych kości złożony w sąg niczym drewno. Lonzano wyjaśnił, że to znak orientacyjny pozostawiony przez koczowników. Nie tylko Rob poczuł nieprzyjemny dreszcz myśląc o ludziach, którzy czuli się w tym piekle jak u siebie. Uspokajali wystraszone osły, wiedząc, jak daleko niesie się ryk w spokojnym powietrzu.

Gdziekolwiek natrafiali na zagłębienia wypełnione grząskim słonym mułem jak brzegi jeziora Urmia. Po sześciu godzinach marszu byli skrajnie wyczerpani; stłoczyli się wraz ze zwierzętami w plamie cienia pod wydmą, żeby trochę odpocząć. Po godzinie ruszyli dalej i szli aż do zachodu słońca.

– Może lepiej byłoby iść nocą, a spać za dnia – podsunął Rob.

– Nie – rzekł szybko Lonzano. – W młodości przechodziłem raz Daszt-e Lut z ojcem, wujami i czterema kuzynami... niech spoczywają w pokoju. Daszt-e Lut jest słona, jak ta. Postanowiliśmy wędrować nocą nie wiedząc, że w dziennym upale grzędzawiska schną i na ich powierzchni tworzy się skorupa. Bardzo krucha. Pod nią jest solanka lub ruchome piaski. Nie, boję się iść nocą.

Nie chciał mówić więcej. Rob nie nalegał, czując, że przeżyli wówczas straszne chwile.

Po zmroku natychmiast zrobiło się zimno. Nie mieli opału, zresztą ogień mógłby ściągnąć pustynnych rozbójników. Rob był taki zmęczony, że padł na twardy piasek i spał kamiennym snem aż do brzasku.

Uderzyło go, że niedaleko stąd, w Kaszanie, było wody pod dostatkiem, tu zaś prawie wcale. Rano popił pajdę chleba paroma łykami i nalał wody do skórzanej czapki, z której napoił zwierzęta. Potem przez krótki czas mile chłodziła mu rozgrzaną głowę.

Mozolnie brnęli dalej. Gdy słońce stanęło w zenicie, Lonzano zaintonował: „Wstań i świeć, oto przyszło twoje światło i chwała Pana nad tobą.” Przyłączyli się do niego, chwaląc Boga wyschłymi z pragnienia ustami. Nagle Loeb wychrypiał:

– Jeźdźcy...

Od południa zbliżał się tuman kurzu, wzniecony niechybnie kopytami wierzchowców. Rob zamarł z trwogi. Za chwilę zetrą się

z ludźmi pustyni, którzy znaczą sobie drogę kośćmi. Okazało się jednak, że to burza piaskowa.

Zanim ich dopadła, osły i muły instynktownie odwróciły się tyłem do wiatru. Rob wtulił się między ich brzuchy, szukając osłony. Najpierw poczuł gorąco, zaraz potem pieczenie. Wiatr niósł piach i sól, które parzyły jak rozżarzone iskry. Z trudem łapał oddech. Czekali cierpliwie, a burza szalała, przysypując ich grubą na dwa palce warstwą pyłu.

W nocy znów śniła mu się Maira. Siedzieli obok siebie w milczeniu; Maira się uśmiechała i wiedział, że to dzięki niemu. Poczuł się szczęśliwy. Potem sięgnęła po ramię do haftu i nagle się przekonał, że to nie Maira, tylko jego matka. Przeniknęła go kojąca fala ciepła i bezpieczeństwa, jakiego nie zaznał od parunastu lat.

Obudził go własny kaszel. W ustach pełno miał słonego piasku. Pył wciskał się wszędzie, do oczu, uszu, za kołnierz, boleśnie ocierał między pośladkami.

Mieli za sobą dwa dni na pustyni. Dziś, jeśli wierzyć rabinowi z Kaszanu, powinni skręcić na południe. Od skraju pustyni dzielił ich jeszcze dzień drogi.

Rob nie po raz pierwszy zastanowił się w duchu, co będzie, jeśli Lonzano poplątał strony świata albo jeśli Dawid ben Sauli się pomylił. Ta część pustyni, którą mieli przeciąć, stanowiła zatoczkę wielkiego oceanu, którego nie zdołaliby przebyć. A jeśli kierują się w głąb Daszt-e Kawir? Wówczas ich los byłby przesądzony.

Przyszło mu na myśl, że surowy Bóg Żydów szykuje dlań karę za oszustwo. Ale byli z nim przecież inni; Arije, choć gbur, nie był złoczyńcą, a Lonzano i Loeb mieli szlachetne serca. Czyżby ich własny Bóg chciał ich poświęcić, by wymierzyć sprawiedliwość jednemu gojowi?

Nie tylko on wpadał powoli w rozpacz. Wyczuwając nastrój towarzyszy, Lonzano znów próbował skłonić ich do śpiewu. Lecz tym razem milczeli i po pewnym czasie on także umilkł.

Rob wlał do czapki trochę wody i napił zwierzęta. W bukłaku zostało ledwie kilka łyków – albo zatem zbliżali się do krańca pustyni, albo pobłądzili, a wówczas ta odrobina wody nie ocali mu życia. Postanowił ją wypić. Zmusił się, by sączyć ją powoli, lecz znikła w jednej chwili.

Ledwie odjął bukłak od ust, pragnienie stało się jeszcze dotkliwsze. Wypita woda sparzyła mu wnętrzności, głowę przeszył ból. Siłą woli zmusił do marszu uginające się nogi i ze zgrozą zrozumiał, że dalej nie podoła.

Nagle Lonzano głośno zaklaskał w dłonie.

– Aj, di-didi-didi-di... – zaśpiewał i okręcił się w tańcu, kiwając głową i unosząc w takt kolana.

W oczach Loeba zabłyśły łzy wściekłości.

– Przestań, głupcze! – krzyknął. Po chwili skrzywił się boleśnie i dołączył do Lonzana, podejmując rytm.

Po nim zrobił to Rob. A w końcu nawet skwaszony Arije.

Chrypieli wyschniętymi gardłami i przytupywali stopami pozbawionymi czucia. Potem milknąc stopniowo, przestali szaleć, ale szli dalej, przestawiając z wysiłkiem odporne nogi i broniąc się przed myślą, że mogli zabłądzić.

Wczesnym popołudniem posłyszeli grzmot. Zadudnił kilkakrotnie w oddali, a potem spadło kilka kropel deszczu. Godzinę później zobaczyli gazelę i parę dzikich osłów. Ich zwierzęta nagle się ocknęły. Zaczęły iść zwawiej, a po chwili z własnej woli ruszyły truchtem, węsząc coś w oddali. Po pewnym czasie grunt stał się twardszy; mogli dosiąść wierzchowców i po trzech mozolnych dniach nareszcie opuścić pustynię.

Równinę najpierw z rzadka pstrzyły kępki traw, lecz w miarę upływu drogi przybywało zieleni. Pod wieczór znaleźli stawek obrośnięty trzcina, nad którym roiło się od jaskółek. Arije skosztował wody.

– Słodka – mruknął.

– Nie dawajcie zwierzętom za dużo, bo padną – ostrzegł Loeb.

Ostrożnie napoili osły i muły, a potem uwiązali je do drzew, napili się sami i zdarłszy z siebie odzież, wyciągnęli się w płytkiej wodzie pośród trzin.

– Straciliście kogoś na Daszt-e Lut? – spytał Rob.

– Mojego kuzyna – rzekł cicho Lonzano. – Miał dwadzieścia jeden lat.

– Utonął w grzędawisku?

– Nie. Złamał się i wypił wszystką swoją wodę. Potem umarł z pragnienia.

– Niech spoczywa w pokoju – wtrącił Loeb.

– Jaka to śmierć?

– Nie każ mi o tym myśleć – oburzył się Lonzano.

Arije zgromił Roba wzrokiem.

– Nie pytam z ciekawości – bąknął ten przepraszająco. – Chcę zostać medykiem.

Lonzano milczał przez chwilę. W końcu skinął głową.

– A zatem ci powiem. Zabłądziliśmy. Każdy dostał swoją rację wody i sam miał ją sobie wydzielać. Kaleman oszalał od upału. Pił, aż wypił wszystko. Po pewnym czasie dostał torsji, ale nie wymiotował prawie nic. Język zaczął mu czernieć, podniebienie zrobiło się szarobiałe. Miał zwidy, myślał, że jest w domu, u matki. Dostał jakiegoś skurczu, tak że usta miał otwarte, a zęby odsłonięte aż po dziąsła, jak wilk. Charczał, potem zaczął rzezić. Nocą

po drugim dniu zwilżyłem szmatkę i wycisnąłem mu do ust trochę wody, ale było już za późno. Umarł.

Leżeli w mulistej wodzie, milcząc.

– Aj, di-didi-didi-di – zaśpiewał nagle Rob, patrząc rebowi Lonzano w oczy.

Ten uśmiechnął się z wysiłkiem.

Loeb plasnął się dłonią w policzek, na którym usiadł komar.

– Można znów napić zwierzęta – oznajmił.

Wygrzebali się więc z sadzawki i poszli po czworonogi.

Nazajutrz o świcie dosiedli osłów i ruszyli dalej – ku radości Roba mijając co rusz drobne zielone jeziora. Sięgająca do kolan trawa pachniała słodko. Roiło się w niej od pasikoników i cykad, a także, niestety, od drobnych komarów, które cięły jak wściekłe. Dzień wcześniej Rob oddałby wiele za widok owada; dziś nie zwracał uwagi na bajecznie kolorowe motyle, zajęty tłuczeniem komarów, rozcieraniem piekących bąbli i wyklinaniem na czym świat stoi.

– Boże, co to? – zawołał naraz Arije.

Rob spojrzął w ślad za jego wyciągniętą dłonią. Niebo było bezchmurne, lecz na wschodnim horyzoncie zbierała się ciemna nawałnica. Patrzył z rosnącym lękiem. Wyglądała tak samo jak burza piaskowa, którą przeżyli na pustyni. Z tumanu dobiegł jednak wyraźny tętent kopyt. Pędziła na nich armia.

– Seldżucy?... – szepnął.

Odpowiedziało mu milczenie. Pobladli, spięci, przyglądali się rosnącej chmurze. Łoskot narastał, zdawał się ogłuszać. Może pięćdziesiąt kroków od nich umilkł, jakby karna kompania na rozkaz osadziła konie.

Z początku nie widział nic. Kiedy kurz opadł, ujrzął olbrzymie stado dzikich osłów stojących naprzeciw, iście jakby w równym szyku. Zwierzęta przyglądały się im z zaciekawieniem.

– Kysz! – krzyknął ocknąwszy się Lonzano.

Stado zawróciło równocześnie i pognało na północ, pozostawiając ich w zadumie nad bogactwem życia.

W dalszej drodze mijali mniejsze stada osłów i olbrzymie tabuny gazeli, które często pasły się razem. Nikt tu chyba nie polował, bo nie bały się ludzi. Podróźni za to z obawą zerkali na ryjące w wysokich trawach dzikie świnie. Zewsząd dobiegało ich pochrząkiwanie, tu i ówdzie truchtała włochata maciora albo dzik z długimi groźnymi kłami. Rob dostał gęziej skórki na myśl, że jego odsłonięte długie nogi zwisając z niskiego osła rozgarniają trawę, sięgając niemal ziemi.

Lonzano wpadł na pomysł, żeby śpiewać: zawczasu ostrzegą świnie, nie płosząc ich znieścacka i nie prowokując do ataku. Tak też zrobili. I rzeczywiście, dziki słysząc ich usuwały się na bok.

Po pewnym czasie drogę przeciął im bystry strumień o stromych, porośniętych dzikim koprem brzegach. Ruszyli kawałek z prądem, a potem pod prąd, ale brodu nie było; musieli zmusić osły, by wskoczyły do wody. To poszło jeszcze łatwo, gorzej było po drugiej stronie, gdzie musieli je wciągać na stromy śliski brzeg. Ostry zapach miazdzonego kopru zmieszał się z głośnymi przekleństwami mężczyzn. Trwało to dość długo, ale w końcu wygodną szeroką ścieżką wjechali do lasu rosnącego za strumieniem. Przypomniawszy sobie lasy Anglii, choć był dzikszy, korony drzew spletały się w górze przesłaniając słońce, a w gęstym zielonym poszyciu harcowały króliki. Jadący przodem Rob dostrzegł także jeża, a raz przebiegł im drogę jeleń. Na drzewach przysiadły synogarlice i inne ptaki, podobne do przepiórek. Balwierzowi by się tu podobało, pomyślał i omal nie parsknął śmiechem wyobrażając sobie, jakie miny zrobiliby Żydzi, gdyby ni stąd, ni zowąd zadał w róg.

Kiedy minęli zakręt, jego osioł nagle stanął dęba, juczny muł też ryknął spłoszony, czując drapieżnika. Tuż przed nimi na grubym konarze ciał się wielki dziki kot. Rob gorączkowo sięgnął po broń, obawiając się, że nie zdąży. Zwierz skoczył, lecz w tejże chwili w jego ślepie wbiła się z impetem długa ciężka strzała.

Ostre pazury przeorały skórę osła i martwy już drapieżnik zwałił się na Roba, zrucając go z siodła. Legł, dławiąc się ostrą wonią gładkiego czarnego futra zmierzwionego na podogoni. Widział koci zad i niemal tuż przed twarzą wielką tylną łapę o grubych, jakby opuchniętych poduszkach. Jeden pazur był złamany, palec zakrwawiony, i dopiero ten widok uświadomił Robertowi, że kot nie jest wypchany, nie ma oczu z moreli i języka z czerwonego jedwabiu.

Z lasu wyszli ludzie. Ich dowódca trzymał jeszcze w dłoni długi łuk. Miał na sobie prosty płaszcz z czerwonego barchanu podbitego bawełną, zgrzebne nogawice, buty z miękkiej skóry i niedbale zawiązany turban. Był około czterdziestki, o mocno zbudowanej, wyniosłej sylwetce. W ogorzałej twarzy zwracała uwagę krótka ciemna broda i orli nos. Z niewygasłym jeszcze łowieckim błyskiem w oku przyglądał się, jak jego ludzie ściągają martwą panterę z rosnącego młodego mężczyzny.

Rob rozdygotany dźwignął się na nogi, całą siłą woli starając się opanować kurcze w żołądku.

– Złapcie tego przeklętego osła! – burknął, nie zdając sobie sprawy, że mówi po angielsku i nikt go nie zrozumie. Osioł zresztą sam wrócił, przewidując, że w lesie mogą się jeszcze czić inne podobne stwory, i stanął drżący obok Roba.

Lonzano podszedł bliżej, chrząknął zaskoczony, po czym on i inni rzucili się na kolana, składając przed myśliwym czołobitny pokłon. Widząc, że Rob nie reaguje, Lonzano silnie pociągnął go na klęczki

i przygiął mu kark ręką. Te zabiegi zwróciły uwagę łowcy. Rob posłyszał kroki, potem kątem oka dostrzegł miękkie buty zatrzymujące się tuż przed nim.

– Wielka martwa pantera i wielki bezczelny *zimmi* – zabrzmiał rozbawiony głos i buty się oddaliły. Słudzy w milczeniu zabrali zwierzę i ruszyli w ślad za swym panem.

Gdy odeszli, Żydzi powstali z klęczek.

– Jesteś ranny? – spytał Lonzano.

– Nie. – Rob miał rozdarty kaftan, lecz obeszło się bez obrażeń. – Kto to był?

– Ala ad-Daula, król królów.

Rob spojrział z niedowierzaniem na pusty już trakt.

– A co to znaczy *zimmi*?

– „Człowiek Księgi”. Tak nazywają tu Żydów.

37

Reb Jesse

Rozstali się dwa dni później w Kupaje, położonej przy rozstajach wiosce liczącej zaledwie kilkanaście lichych domostw z suszonej na słońcu cegły. Szlak przez pustynię wywiódł ich nieco na wschód od zwykłej trasy, lecz do Isfahanu był już tylko dzień drogi. Żydzi mieli przed sobą jeszcze trzy tygodnie wędrówki na południe i przeprawę przez cieśninę Ormuz.

Rob pożegnał ich serdecznie. Zdawał sobie sprawę, że bez nich i bez pomocy żydowskich gmin na całej trasie nigdy by tu nie dotarł.

– Z Bogiem, rebie Jesse – objął go Loeb.

– Z Bogiem, przyjacielu.

Nawet Arije zdobył się na wymuszony uśmiech. Może pożegnanie z Robem cieszyło go w równym stopniu jak Roba z nim.

– W isfahańskiej akademii pobiera nauki krewniak Arijego, reb Mirdin Askari. Pozdrów go od nas – rzekł Lonzano.

– Pozdrowię. – Rob uścisnął mu obie ręce. – Dziękuję ci, rebie Lonzano ben Ezra.

– Dobry z ciebie towarzysz i szlachetny człowiek, choć prawie goj – uśmiechnął się tamten. – Idź w pokoju, Angliku.

– I wy idźcie w pokoju.

Rozeszli się, życząc sobie wzajem szczęśliwej podróży.

Rob jechał na mule, dając poturbowanemu przez panterę osłu wypocząć pod lekkim jukiem. Posuwał się przez to wolniej, ale z drugiej strony mógł się dłużej napawać wyczekany końcowym odcinkiem długiej drogi. Po jakimś czasie posłyszał dźwięczne dzwonki i wkrótce dogonił kolumnę wielbłądów niosących po dwa kosze pełne ryżu. Ruszył za nimi w takt delikatnej melodii dzwonek.

Droga przez las wiodła na otwarty płaskowyż. W wilgotniejszych miejscach dojrzewał ryż i mak, z którego wyrabiano opium. Pola przedzielały płaskie skalne grzebienie. Na drugim krańcu równiny wznosiły się wapienne wzgórza mieniające się w słońcu i cieniu gamą jasnych barw. W zboczach ziały wyrwy, z których wydarto kamień.

Późnym popołudniem Rob przystanął na wzgórzu i poniżej, w dolinie niezbyt szerokiej rzeki, zobaczył miasto. Po dwudziestu miesiącach od wyjazdu z Londynu dotarł do Isfahanu.

Pierwszym wrażeniem była biel – jaskrawa biel lśniących w słońcu wysokich budowli wabiących oko krętymi liniami kopuł i łuków, w których zalegały ciemnobłękitne cienie. Górowały nad

nimi muzułmańskie świątynie z wieżycami sterczącymi jak włócznie. Niżej królowała zieleń rozległych ogrodów ocienionych przez rozłożyste platany i strzeliste cyprysy. Południowa dzielnica, pogrążając się z wolna w cieniu, przybierała różową barwę położonych naprzeciw piaszczystych wzgórz.

Teraz już nie mógłby zwlekać.

– Z drogi! – krzyknął i dźgnął muła piętami. Szybkim kłusem wyprzedził sznur wielbłądów, ciągnąc za sobą zdumionego osła.

Ćwierć mili przed miastem droga przeszła w szeroką, obsadzoną platanami brukowaną aleję – pierwszy bity gościniec, jaki widział od wyjazdu z Konstantynopola. Aleja biegła nad rzeką przez most pełniący zarazem rolę tamy. W zbiorniku irygacyjnym chlapali się nadzy smagłokórzy chłopcy.

Aleja prowadziła do sklepionej bramy w potężnych kamiennych murach. Wewnątrz ich pierścienia wznosiły się bogate domy z tarasami, sadami i winnicami. Drzwi, okna i furtki prowadzące do ogrodów wieńczyły ostre łuki o charakterystycznym, niespotykanym w Europie rysunku. Za dzielnicą bogaczy ujrzał meczet i kilka większych budowli nakrytych niewielkimi, krągłymi, lecz i szpiczasto zakończonymi kopułami – zdawać się mogło, że tutejszych budowniczych urzekł kształt kobiecej piersi. To tu wędrował kamień wydobyty z wapiennych wzgórz. Białe ściany zdobiły geometryczne wzory lub ułożone z niebieskich płytek wyjątki z Koranu. „Nie ma Boga prócz Niego, litościwego”; „Walcz w obronie wiary”; „Biada tym, którzy lekce sobie ważą modlitwę” – sylabizował z wysiłkiem Rob.

Po ulicach kręcili się mężczyźni w turbanach, kobiet za to w ogóle nie było widać. Minął rozległy plac, jakąś milę dalej drugi. Chłonał dźwięki i zapachy, rozkoszując się atmosferą municipium, bliską

dziecku Londynu, będącego jak i to miasto wielkim ludzkim mrowiskiem. Jechał powoli, jakby chciał oddać mu hołd.

Z minaretów na północnym brzegu odezwały się męskie głosy, jedne odległe, inne bliskie i czyste.

Wszelki ruch zamarł, mężczyźni obrócili się na południowy zachód – najwidoczniej w stronę Mekki – i wszyscy padli na kolana, kładąc dłonie przed sobą i dotykając czołami bruku. Rob z uszanowaniem zatrzymał muła i zsiadł.

Gdy skończyli się modlić, podszedł do mężczyzny w średnim wieku, który zwijał dywanik modlitewny wyjęty ze stojącego obok wozu zaprzęzonego w woły. Speszony zapytał, gdzie ma szukać żydowskiej dzielnicy.

– *Jahud*, tak? Jedź dalej prosto aż do żydowskiego targu. Na końcu targu jest brama, a za nią wasza dzielnica. Na pewno nie pobłądzisz, *zimmi*.

W stojących rzędami kramach sprzedawano domowe sprzęty, lampy i oliwę, chleb, ciastka pachnące miodem i korzeniami, odzież, garnki, warzywa i owoce, mięso, ryby, drób sprawiony i żywy – słowem wszystko, co niezbędne dla ciała. Zadość obyczajowi i wierze czyniły z kolei szale modlitewne, wykończone frędzlą koszule i filakterie. Rob ujrział po drodze skrybę zgarbionego nad kałamarzem; nieco dalej w otwartym namiocie jakaś kobieta przepowiadała przyszłość. Tu, w dzielnicy żydowskiej, kobiety chodziły po ulicach niosąc kosze z zakupami przewieszane przez ramię; siedziały też w kramach. Ubierały się na czarno i zakrywały chustą włosy, a niektóre również twarze jak muzulmanki. Mężczyźni nosili się podobnie jak Rob. Większość miała długie obfite brody.

Zwolnił jeszcze bardziej, rozkoszując się tym, co widzi i słyszy. Dwaj mężczyźni kłócili się zażarcie nad parą butów, inni żartowali

nawołując się głośno. Trzeba było tu krzyczeć, żeby zostać usłyszanym.

Minąwszy targ, przebył sklepioną bramę i wjechał w ciasne wąskie zaułki wijące się po nachylonym zboczu zabudowanym ubogimi domami, które przeważnie stykały się ze sobą. Tylko niektóre miały własny ogródek i te – choć w oczach Anglika dość nędzne – przy innych wyglądały jak dwory.

Isfahan był starym miastem, lecz „Jahudija” wydawała się jeszcze starsza. Stojące przy splątanych ulicach domy i synagogi zbudowane były z kamienia lub wyblakłej różowawej cegły. Rob minął gromadkę dzieci prowadzących kozę i kilka grup gawędzących wesoło mężczyzn. Zbliżała się pora wieczery; z domów dobiegały kuszące zapachy jadła.

Najpierw jednak Rob znalazł stajnię, w której zostawił swoje zwierzęta, przemywszy wprzód gojącą się już ranę na boku osła. Nieopodal była gospoda. Prowadził ją stary wysoki Żyd o serdecznym uśmiechu i zgarbionych plecach.

– Salman Mniejszy – przedstawił się Robertowi.

– Dlaczego Mniejszy? – zaciekał się Rob.

– We wsi, z której pochodzę, Salmanem Wielkim nazywano mojego wuja. Był bardzo uczony – wyjaśnił gospodarz.

Rob zapłacił za siennik w kącie dużej izby sypialnej, a potem z rozkoszą zasiadł przed miską, w której były kawałki pieczonego mięsa, gęsty ryż – pilaw, jak nazwał go Salman – i zrumienione nad ogniem cebulki.

– Koszerne? – spytał dla niepoznaki.

– Oczywiście! Jedz bez obaw!

Na deser Salman podał mu miodowe ciastka i smaczny napój nazywany tu szербetem.

– Z daleka? – zagadnął go Salman.

– Z Europy.

– Ano tak, z Europy.

– To poznać?

Staruszek uśmiechnął się szeroko.

– Dziwnie mówisz. – Ujrawszy minę Roba, dodał pocieszająco: – Prędko się wyćwiczysz. Jak jest Żydom w Europie?

Rob zawahał się, lecz naraz przypomniał sobie Zewiego i rzekł:

– Ciężko.

Gospodarz z powagą pokiwał głową.

– A jak jest Żydom w Isfahanie? – spytał z kolei Rob.

– Nieźle. Koran każe lżyć Żydów, więc nas lżą, ale i oni, i my przywykliśmy do siebie nawzajem. Mieszkamy tu od niepamiętnych czasów. Miasto założył Nabuchodonozor i wedle legendy osiedlił tu Żydów wziętych do niewoli po podbiciu Judei i zburzeniu Jerozolimy. Dziewięćset lat później szach Jazdegerd zakochał się w tutejszej Żydówce imieniem Szuszan-Docht i uczynił ją królową. Były to dobre czasy dla naszych ludzi i wielu się ich wtedy osiedliło w Isfahanie.

Rob powiedział sobie, że nie mógł wybrać lepszego przebrania. Kiedy pozna ich obyczaje, wtopi się pomiędzy Żydów niczym mrówka w mrowisku.

Po wieczery udał się z Salmanem do Domu Pokoju, jednej z wielu isfahańskich synagog. Był to czworokątny kamienny budynek o ścianach uszczelnionych miękkim brunatnym mchem, chociaż było tu ciepło i sucho. Zamiast okien miał tylko wąskie strzelnice i niskie drzwi, w których Rob musiał się pochylić. Ciemny przedsionek prowadził do wnętrza, w którym mdłe lampy oświetlały kolumny podpierające ginący w mroku strop. W głównym pomieszczeniu siedzieli mężczyźni, dla kobiet przeznaczono izdebkę za ścianą. Rob stwierdził, że łatwiej mu się

modlić w synagodze niż w towarzystwie paru Żydów na szlaku. Modlitwom przewodził chazan, reszta mrucała lub śpiewała wedle woli, kiwał się więc z nimi nieskrępowany tym, że nie zna języka i nie nadaża za recytacją.

W drodze powrotnej Salman uśmiechnął się do niego chytrze.

– Młodyś... Jeśli ci się marzą gorętsze rozrywki, na placach w muzułmańskich dzielnicach znajdziesz kobiety, trunki, muzykę i uciechy, o jakich ci się nie śniło.

Rob pokręcił głową.

– Chętnie, ale nie dziś. Jutro muszę mieć jasny umysł, bo czeka mnie bardzo ważna sprawa.

W nocy nie mógł spać, rzucał się na posłaniu, bez ustanku myśląc o jednym – czy uda mu się dogadać z Ibn Siną.

Rano znalazł publiczną łaźnię, ceglany budynek nad naturalnym gorącym źródłem. Mocnym mydłem i gałganami zdarł z siebie podróżny brud, a gdy włosy mu wyschły, wziął swój ostry nóż i przyciął brodę przed zwierciadłem. Urosła; wyglądał z nią jak prawdziwy Żyd. Włożył lepszy kaftan, nasadził czapkę i wyszedł na ulicę, gdzie spytał kalekiego żebraka o drogę do szkoły medyków.

– Madrasa jest przy szpitalu – odpowiedział żebrak. – Obok Meczetu Piątkowego, w samym centrum.

Rob rzucił mu monetę i otrzymał w zamian błogosławieństwo aż do dziesiątego pokolenia.

Do centrum było daleko. Po drodze miał okazję się przekonać, że isfahańczycy są ludźmi interesu – wszyscy zajęci byli pracą. Widział szweców i kowali, garncarzy i kołodziejów, wydmuchiwaczy szkła i szwacy, a także kilka bazarów pełnych wszelakiego towaru. Wreszcie dotarł do Meczetu Piątkowego, przysadzistej kwadratowej budowli ze wspaniałym minaretem,

na którym przysiadaly ptaki. Za meczetem rozciagal sie plac targowy, tu jednak mozna bylo dostac takze materiały piśmienne, a nawet ksiegi. Po chwili Rob zobaczył madrasę. Otaczały ją niskie podłużne budynki, najwyraźniej mieszkalne, bo bawiły się przy nich dzieci. Prócz nich kręciło się tu wielu mężczyzn, przeważnie młodych. W turbanach przeważał kolor zielony. Budynki madrasy wzniesiono z bloków białego wapienia w tym samym stylu co meczet. Otaczały je ogrody. Pod kasztanem obsypanym kolczastymi owocami siedziało w kucki sześciu młodzieńców, słuchając z uwagą siwobrodego mężczyzny w błękitnym zawoju.

– Logika każe nam uznać – mówił – że z dwóch prawdziwych przesłanek można wyprowadzić słuszny wniosek. Nazywa się to sylogizmem. Na przykład: wszyscy ludzie są śmiertelni, a Sokrates jest człowiekiem. Wynika stąd logicznie, że Sokrates jest śmiertelny.

Mijając ich Rob zwolnił, by posłuchać, o czym mówią, zaraz jednak poszedł dalej. Poczuł lęk; połowy słów nie rozumiał i nie był pewien, czy w ogóle uchwycił sens wypowiedzi. Zatrzymał się przed starym budynkiem przylegającym do meczetu i zapytał przechodnia w zielonym turbanie, gdzie jest szkoła medyków.

– W trzecim budynku. Tu uczą teologii, w drugim prawa, a medycyny tam. – Młodzieniec wskazał biały budynek łudząco podobny do reszty. Zerknąwszy na charakterystyczną kopułę, Rob nazwał go w duchu Wielkim Cyckiem. Obok stał następny, również piętrowy. Napis nad wejściem głosił, że jest to maristan – dom chorych. Zaintrygowany, Rob minął madrasę i po czterech marmurowych stopniach wszedł do maristanu przez wielkie okute żelazem drzwi.

Środek wewnętrznego dziedzińca zajmowała sadzawka, w której pływały kolorowe ryby. Wokół pod owocowymi drzewami stały ławki. Do sal wchodziło się z dziedzińca. Były obszerne, lecz i tak

przepełnione. Rob wytrzeszczył oczy: jeszcze nigdy nie widział tylu cierpiących ludzi w jednym miejscu.

W każdej sali leczono inne dolegliwości: w jednej zatem leżeli połamane, w drugiej malarycy, w trzeciej najwyraźniej chorzy cierpiący na biegunkę, gdyż wisiał w niej silny odór, choć przez duże okna przesłonięte tylko muslinem wpadało dość powietrza. Rob zastanowił się przelotnie, jak tu jest zimą, kiedy listwy u góry i dołu okien przytrzymują okiennice. Ściany były bielone, posadzka kamienna, łatwa do mycia i chłodna, choć na dworze panował upał. W każdej sali pluskała niewielka fontanna.

Błąkając się po maristanie, stanął przed zamkniętymi drzwiami z napisem: *Dar ul-Maraftan*. „Strzeżcie się, tu są ci, których trzeba było zakuć” – przetłumaczył sobie w duchu. Kiedy otworzył drzwi, ujrzał trzech nagich mężczyzn z ogolonymi głowami i związanymi rękami, w żelaznych obrożach przykutych do ściany. Dwóch zwisało bez czucia, trzeci ze łzami na wymizerowanej twarzy zawył jak zwierzę.

– Przepraszam – szepnął Rob i co prędzej opuścił salę obłąkańców.

W kolejnej sali musiał zwalczyć pokusę, by zajrzeć pod opatrunki kryjące kikuty amputowanych kończyn i inne rany. Jakiż byłby szczęśliwy, zachodząc tu codziennie i ucząc się nad każdym chorym od wielkich medyków. To tak, pomyślał, jakby człowiek, który całe życie spędził na pustyni, odkrył, że jest właścicielem oazy.

Napisu na drzwiach następnej sali nie zrozumiał, lecz po wejściu odgadł, że leczy się w niej oczy. Nieopodal wysoki mężczyzna kulił się pod gradem wyzwisk.

– Pomyliłem się, panie Karimie – bąkał. – Myślałem, że mam zmienić bandaż Eswedowi Omarowi.

– Ośli kutas! – prychnął pogardliwie drugi, młody i umięśniony jak atleta. Miał na głowie zielony turban studenta, lecz zachowywał

się tak pewnie, jakby cały maristan należał do niego. W okolonej lśniącymi czarnymi włosami męskiej twarzy o pięknych arystokratycznych rysach przyciągały uwagę głęboko osadzone oczy, w których skrzył się gniew. – Owszem, Rumi, pomyliłeś się. Kazałem ci zmienić bandaże Kuru Jezidiemu, a nie Eswedowi Omarowi. Ustad Dżuzdzani własnoręcznie zdjął mu bielmo z oczu i kazał dopilnować, żeby opatrunku nie ruszono przez pięć dni. Mówiłem ci o tym. Jak mogłeś zapomnieć, gnojku? Jeżeli Eswed Omar nie będzie wyraźnie widział, gniew Al-Dżuzdzaniego spadnie na mnie, a wtedy pokroję ci ten tłusty zad na plastry jak jagnięcą pieczeń... – Zauważył Roba, który przysłuchiwał im się urzeczony, i skrzywił się. – A ty czego tu szukasz?

– Chcę mówić z Ibn Siną o przyjęciu do szkoły.

– Co ty powiesz? Czy Księżę Medyków cię oczekuje?

– Nie.

– Idź do sąsiedniego budynku. Na piętrze znajdziesz hadżiego Dawuda Husajna, który zastępuje naczelnika szkoły. Naczelnikiem jest Rotum ibn Nasr, krewniak szacha i wielki wódz, ale ten nigdy tu nie bywa. Hadzi Dawud Husajn ma decydujące słowo i to z nim musisz mówić. – Karim z wściekłym grymasem odwrócił się do Rumiego. – Co, będziesz tu stał, aż się zaśmierdniesz? Może w końcu zmienilibyś opatrunek Kuru Jezidiemu?

*

Część studentów mieszkała w Wielkim Cycku – zajmowali ciemne ciasne cele przy bocznym korytarzu. Przez otwarte drzwi u stóp schodów Rob zobaczył dwóch mężczyzn, którzy najwyraźniej kroili leżące na stole zwłoki dużego płowego psa. Wszedłszy na piętro, poprosił, by zaprowadzono go do hadżiego. Wskazano mu komnatę, w której urzędował Dawud Husajn.

Zastępca naczelnika był niskim szczupłym mężczyzną w kwiecie wieku, o wyniosłej postawie, odzianym w szaty z dobrego szarego sukna i biały zawój świadczący, że odbył pielgrzymkę do Mekki. Miał małe czarne oczka, a wyraźna *zabiba* na czole świadczyła o jego pobożności.

Po wymianie pozdrowień wysłuchał prośby Roba, przyglądając mu się uważnie.

– Przybyłeś z Anglii, powiadasz? Z Europy? A konkretnie której części Europy?

– To wyspa na północy.

– Na północy? Jak długo byłeś w drodze?

– Prawie dwa lata, hadži.

– Dwa lata! Niesłychane! Twój ojciec jest medykiem? Kończył naszą szkołę?

– Nie, hadži.

– To może wuj?

– Nie. Będę pierwszym medykiem w rodzinie.

Hadži zmarszczył brwi.

– Mamy tu uczniów ze sławnych lekarskich rodów. Posiadasz listy polecające, *zimmi*?

– Nie, hadži... – Rob poczuł, że ogarnia go panika. – Jestem balwierzem, leczyłem już trochę...

– Nie skierował cię tu żaden z naszych byłych uczniów? – zdumiał się Husajn.

– Nie.

– Sądzisz, że przyjmujemy na naukę każdego, kto się tu przybłąka?

– To nie kaprys. Przebyłem szmat świata, bo chcę zostać dobrym medykiem. Nauczyłem się waszego języka...

– Dość kiepsko – prychnął hadži. – Nie szkolimy felczerów. Nasi uczniowie oprócz medycyny studiują teologię, logikę, matematykę,

astronomię i prawo, a gdy stąd wychodzą, mogą osiągać zaszczyty w każdej z tych dziedzin.

Rob słuchał z zamierającym sercem.

– Tak więc chyba rozumiesz, że to niemożliwe – zakończył hadzi.

Nie rozumiał. A raczej widział, że jest przeciwnie. Musiał zostać medykiem. Wiedział o tym, gdy rozstał się z Mairą. Wiedział, gdy chłostały go burze i śnieżyce, paliło słońce pustyni, gdy jak uparta mrówka pełzł przez góry i doliny, żeby tu dotrzeć.

– Nie odejdę, póki nie pomówię z Ibn Siną – rzekł stanowczo.

Dawud Husajn otworzył usta, lecz zobaczył w oczach Roba coś, co kazało mu je zamknąć. Przybladł i kiwnął skwapliwie głową.

– Poczekaj – rzekł wychodząc z komnaty.

Rob został sam.

Jakiś czas później do komnaty weszło czterech mężczyzn uzbrojonych w krótkie drewniane pałki. Byli niżsi od niego, lecz potężnie umięśnieni. Jeden z nich, o twarzy usianej dziobami po ospie, nonszalancko uderzał pałką w mięsistą dłoń lewej ręki.

– Jak się nazywasz, Żydzie? – spytał uprzejmie.

– Jesse ben Beniamin.

– Hadzi mówi, że nie pochodzisz stąd.

– To prawda. Przybyłem z Anglii. Z drugiego końca świata.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Nie usłuchałeś, gdy hadzi kazał ci wyjść?

– To prawda, ale...

– Wyjdiesz teraz, Żydzie. Z nami.

– Nie wyjdę, zanim nie porozmawiam z Ibn Siną.

Mężczyzna zamachnął się pałką.

Tylko nie w nos, pomyślał Rob w udręce. Natychmiast jednak poczuł ból i krew spływającą do ust. Ci czterej dobrze znali swoje

rzemiosło. Używali pałek sprawnie i skutecznie, a on nie mógł się nawet zamachnąć.

– A żebyście oparszywieli! – wybełkotał po angielsku.

Musieli się domyślić treści z tonu głosu, bo ciosy przybrały na sile. Jeden trafił go w skroń, zakręciło mu się w głowie i poczuł mdłości. Miał ochotę zanieczyścić komnatę hadżiego, lecz ból był zbyt silny. Kiedy zwisał im w rękach, odstawili pałki i dokończyli dzieła pięściami.

Wywlekli go z budynku trzymając pod ramiona. Na dziedzińcu stały cztery rosłe kasztanki. Wzięli Roba na powróż i ruszyli, zmuszając go do biegu. Trzykrotnie upadł, cucono go kopniakami. Droga zdawała się nieskończenie długa, choć w rzeczywistości nie odjechali daleko od madrasy. Zatrzymali się przed niewielkim ceglany budynkiem, dość lichym jak na posterunek muzułmańskiego prawa, którym się okazał. W środku stał tylko stół, za którym siedział poirytowany mężczyzna z wielką brodą, w czarnej urzędniczej szacie podobnej do kaftana Roba. Kroił właśnie melona.

Strażnicy podprowadzili Roba do stołu i stanęli czekając z uszanowaniem, aż sędzia brudnym paznokciem wydłubie pestki do kamiennej misy. Nie zwracając na nich uwagi, mężczyzna zjadł bez pośpiechu, otarł o szatę ręce, a później nóż, następnie zaś odwrócił się w stronę Mekki i podziękował Allahowi za pożywienie. Dokończywszy modłów westchnął i spojrzął na nich krzywo.

– To jakiś szalony europejski Żyd – wyjaśnił ospowaty. – Zakłócił spokój w madrasie i groził napaścią hadżiemu Dawudowi Husajnowi.

Mufti skinął głową, wydłubując spomiędzy zębów resztki melona. Popatrzył na Roba.

– Wniesiono przeciw tobie skargę, Żydzie. Cokolwiek powiesz, wiedz, że słowo niewiernego nic nie znaczy przeciw słowu wyznawcy Allaha. Znasz jakiegoś muzułmanina, który by przemówił w twojej obronie?

Rob nie był w stanie wyksztusić choćby słowa. Nogi ugięły się pod nim z wysiłku. Strażnik szarpnął go, żeby stanął prosto.

– Czemu zachowujesz się jak pies? No cóż, jako obcy nie znasz naszych obyczajów. Zasługujesz na litość. Odprowadźcie go do kalandara – polecił mufti strażnikom. – Niech go zamkną w karkanie.

Perszczyzna Roba wzbogaciła się w ten sposób o dwa nowe słowa. Jednego się domyślił, gdy wywleczono go od muftiego i pognano dalej. Kalandar, jak przypuszczał, był tutejszym prewotem i zarazem nadzorcą więzienia. Drugiego nie odgadł. Ujrawszy wielki ponury budynek, myślał, że to właśnie jest karkan. Ospowaty strażnik przekazał go dwóm innym, ci zaś popędzili go korytarzem, z którego otwierały się ziejące wilgocią wejścia do lochów. Minęli je wszakże i wyprowadzili go na oślepiająco jasny dziedziniec, gdzie w dwóch długich rzędach ustawione były dyby zajęte w większości przez jęczących z bólu lub całkiem nieprzytomnych więźniów. Znalazłszy wolne miejsce, jeden ze strażników otworzył dyby i rozkazał:

– Włóż głowę i prawą rękę do karkanu.

Rob cofnął się odruchowo, co zostało z pewną dozą słuszości poczytane za opór, i znów spadły na niego razy. Nie miał sił się bronić; zwinął się w kłębek, żeby ochronić krocze, i osłonił głowę rękami.

Gdy przestali się nad nim znęcać, podnieśli go jak worek mąki, ułożyli w odpowiedni sposób i opuścili mu na kark górną kłodę.

Zamocowawszy rygiel, odeszli. Robert, obolały i półprzytomny, zwiśł bezradnie w bezlitosnym żarze słońca.

38

Chylat

Dyby miały kształt trójkąta, w którego środku tkwiła głowa przykucniętego więźnia. Prawą rękę, służącą do jedzenia, unieruchamiała w przegubie drewniana obręcz zbita gwoździem – skazanych na karkan nie karmiono. Lewą, używaną do podcierania się, pozostawiano wolną. Kalandar był człowiekiem cywilizowanym.

Odzyskując co jakiś czas przytomność, Rob widział przed sobą długi rząd dybów. W każdym tkwił jakiś nieszczęśnik. Dalej na linii wzroku, w drugim końcu dziedzińca, stał duży drewniany pień.

Czasami śniły mu się diabły w czarnych płaszczach. Dręczyły na pniu ludzi, odcinając im dłonie ciężkim, większym od angielskiego mieczem, wyśpiewując przy tym swoje szatańskie modły. Ten sen powtarzał się najczęściej. Ale kiedyś przyśnił mu się człowiek leżący na wznak z głową na pniu i przerażonymi oczyma utkwionymi w niebie; Rob zląkł się, że odrąbią mu głowę, lecz tamtemu wyrwano język.

Gdy się ocknął, diabłów już nie było, ale na pniu i ziemi wokół niego widniały świeże i najzupełniej rzeczywiste ciemne plamy.

Każdy oddech sprawiał mu ból. Jeszcze nigdy go tak nie pobito, musiał mieć połamane żebra. Płakał bezradnie, starając się robić to ukradkiem.

Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że ulży mu, jeśli z kimś porozmawia. Ostrożnie wykręcił głowę, co było dość trudne, bo szorstkie drewno prędko ocierało do krwi skórę szyi. Na lewo

miał mężczyzną skatowanego do nieprzytomności. Młodzieniec po prawej przyjrzał mu się ciekawie, lecz albo był głuchy, albo nie rozumiał jego łamanej mowy. Po kilku godzinach strażnik zauważył, że ten z lewej nie żyje. Zabrano go, a na jego miejscu umieszczono innego więźnia.

Po południu szorstki obrzmiały język zaczął go dusić. Nie czuł potrzeby oddania moczu; słońce już dawno wysssało z niego całą wilgoć. Zdawało mu się, że znów jest na pustyni, a gdy chwilami przejaśniało mu się w głowie, przypominał sobie objawy śmierci z pragnienia wyraźnie opisane przez Lonzana – obrzmiały język, pocerniałe dziąsła, przeświadczenie, że jest się gdzie indziej.

Kiedy zerknął w lewo, napotkał spojrzenie nowego więźnia.

– Czy jest ktoś, u kogo moglibyśmy prosić o litość? – szepnął pokonując opór wyschniętych warg.

Ten nie odpowiedział od razu, może zbity z tropu jego akcentem.

– Allah – rzekł tak samo niewyraźnie, miał bowiem spuchnięte, poranione usta.

– A tu, na ziemi?

– Jesteś cudzoziemcem, *zimmi*?

– Tak.

– Zatem sądził cię mułła. – W głosie więźnia zabrzmiała nienawiść skierowana, o dziwo, w stronę Roba. – Święty człowiek. – Powiedziawszy to, odwrócił się obojętnie.

Zachód słońca spłynął nań jak błogosławieństwo. Wieczór przyniósł rozkoszny chłód. Zdrętwiały, Rob nie czuł już bólu. Może umierał.

W nocy sąsiad z lewej znowu się odezwał:

– Jest jeszcze szach.

Rob czekał.

– Wczoraj, w dniu naszych katuszy, była środa, *czahar szanbe*. Dziś jest *pandź szanbe*. Przygotowując się do *dżomy*, którą wy nazywacie szabasem, szach Ala ad-Daula jak każdy dobry muzułmanin dąży do doskonałej czystości ducha. Dlatego rankiem w *pandź szanbe* wysłuchuje skarg w Sali Kolumnowej i każdy może wówczas zdać mu sprawę z krzywdy, jaka go spotkała.

– Każdy? – spytał Rob czując, jak budzi się w nim nadzieja.

– Każdy. Nawet więzień może zażądać, żeby go zaprowadzono przed oblicze władcy.

– Nie rób tego! – syknął w ciemności czyjś głos. – Szach prawie nigdy nie zmienia wyroku muftiego. A mułłowie już czekają na powrót tych, którzy ośmielili się marnować czas szacha pochopną mową. Ucinają im za to języki albo wypruwają flaki. Ten parszywy łajdak, który ci to doradza, dobrze o tym wie. Możesz pokładać wiarę jedynie w Bogu.

Mężczyzna zachichotał, jakby zrobił komuś świetny kawał.

– Tutaj nie ma nadziei – rzekł inny głos.

Śmiech więźnia rozpułynał się w paroksyzmie duszącego kaszlu. Z trudem łapiąc oddech syknął:

– Poszukamy jej w rajku.

Po tych słowach nikt już się nie odezwał.

Nazajutrz Rob został zwolniony. Kiedy go rozkuto, zwałił się na ziemię. Minęło kilka długich i bolesnych chwil, zanim krew z powrotem napłynęła mu do stężałych mięśni.

– Wynoś się wreszcie – warknął w końcu strażnik, popierając swoje słowa kopniakiem.

Rob dźwignął się z trudem i utykając ruszył spieszenie do wyjścia, byle jak najszybciej opuścić to miejsce. Znalazłszy fontannę na obsadzonym platanami wielkim placu, przypadł do niej i pił, pił bez końca, nie mogąc zaspokoić pragnienia. Potem zanurzył głowę

w wodzie, aż zadudniło mu w uszach, starając się zmyć z siebie więzienny smród.

Na ulicach było tłoczno. Przechodnie przyglądali mu się ciekawie. Na wózku zaprzężonym w osła jakiś tłusty obdartus odganiał muchy znad garnka wetkniętego do naczynia z żarem. Od zapachu jada Roberta zakręciło się w głowie. Opanował się z trudem i sięgnął do sakiewki. Jednakże zamiast pieniędzy, które miały mu starczyć na długo, znalazł w niej jednego jedyne go miedziaka.

Okradli go, gdy był nieprzytomny. Zaklął bezradnie, nie wiedząc nawet, czy zrobił to ospowaty gwardzista czy któryś ze strażników więziennych. Zostawiając mu ten grosz złodziej albo kierował się złośliwym poczuciem humoru, albo jakimś przewrotnym religijnym miłosierdziem. Rob podał monetę sprzedawcy, który nałożył mu niewielką porcję tłustego korzennego pilawu z ziarnami grochu. Widocznie zjadł za szybko lub w ogóle był za słaby, bo od razu zwymiotował wszystko na ulicę. Otarty kark mu krwawił, pod powiekami dudniło. Przeszedł w cień pod platanem i przykucnął tam, myśląc z żalem o zielonej Anglii, o kotce Leotyldzie, o swym koniu i wozie z pieniędzmi pod podłogą.

Tłum zgęstniał, rzeka ludzi płynąca ulicą kierowała się w jedną stronę.

– Dokąd oni idą? – zapytał sprzedawcę.

– Na posłuchanie u szacha – odpowiedział tamten patrząc nań pytająco. Ale Rob wstał i bez słowa ruszył przed siebie.

Dlaczego nie? – mruknął po chwili pod nosem. Cóż innego mu pozostało? Przyłączył się do cizby, wraz z nią przeciął aleję Tysiąca Ogrodów i skręcił w piękny czysty bulwar zwany Bramą Raju. Szli tam młodzi i starzy, zdrowi i kalecy, mułowie w pięknych szatach i żebracy w łachmanach, hadziowie w białych turbanach, młodzi ojcowie z dziećmi na ręku, tragarze dźwigający lektyki, jeźdźcy

na koniach i osłach. Kołysały się turbany we wszystkich kolorach tęczy. Zauważył przed sobą grupę Żydów w czarnych chałatach, przyłączył się więc do nich jak zabłąkane pisklę.

Przeszli przez plamę cienia w zasadzonym ludzką ręką lesie, iście rajskim w tym gorącym bezdrzewnym kraju, i ruszyli przez wygon, na którym pasły się owce i kozy. Za nim, wciąż w obrębie miejskich murów, dwie kamienne kolumny tworzyły jakby wejście na szerokie zielone błonie, na którym wznosił się budynek większy od królewskiej siedziby w Londynie. Jak się jednak okazało, nie był to pałac szacha, tuż za nim bowiem stał drugi i następne, głównie z cegły i kamienia, z wieżami i gankami, a każdy otoczony był ogrodem. Mijali winnice, stajnie, tor wyścigowy, kwietne altany precudnej urody... Rob niemal zapomniał o swojej krzywdzie; gdyby się ośmielił, ruszyłby samopas na wędrowkę wśród tych cudów.

Wówczas jednak zobaczył budowle tak potężną, a zarazem pełną subtelnego wdzięku, że wydała mu się nierzeczywista. Garść rzuconych jakby od niechcenia szpiczastych kopuł otaczał pierścień zdobionych proporcami blanków, po których przechadzali się uzbrojeni strażnicy w błyszczących hełmach. Rob pociągnął za rękaw idącego przed nim krępego Żyda z frędzlami wystającymi spod koszuli.

– Co to za zamek?

– Rajski Dom, pałac szacha – Mężczyzna spojrział na niego z niepokojem. – Jesteś zakrwawiony, przyjacielu.

– To nic. Mały wypadek.

Szli długą aleją wjazdową w kierunku pałacu odgradzonego szeroką fosą. Most był podniesiony, lecz przy prowadzącym doń placu, stanowiącym jak gdyby wielki otwarty przedsionek, stał budynek, do którego zmierzał tłum.

Wnętrze było przestronne, choć w konstantynopolitańskiej bazylice zmieściłyby się dwie takie sale. Posadzka była wyłożona marmurem, przez ażurowe ściany wpadało do środka rozproszone światło. Wzdłuż nich stały rzędami wysokie rowkowane kolumny o bazach rzeźbionych na kształt łap i szponów rozmaitych zwierząt.

Sala była już prawie pełna. Rob wcisnął się do wnętrza wraz z grupką Żydów. Środkiem biegło oddzielone sznurami przejście. Rozejrzał się uważnie, starając się dostrzec jak najwięcej. Uwięzienie w dotkliwy sposób uzmysłowiło mu, że jest tu obcy. Postępowanie dla niego naturalne muzułmanie mogli uznać za dziwaczne lub groźne. Od tego, czy trafnie zrozumie ich czyny i zamiary, mogło zależeć jego życie.

Arystokraci w bogato wyszywanych nogawicach i tunikach, jedwabnych turbanach i wzorzystych butach, wjeżdżali do sali konno, osobnym wejściem. O sto pięćdziesiąt kroków od tronu oddawali wierzchowce pałacowym sługom, nagradzając ich monetą, i dalej szli już na własnych nogach, tak jak reszta.

Wśród tłumu zaczęli krążyć urzędnicy w szarych szatach i turbanach, wypytując, kto ma prośbę do szacha. Rob przepchnął się do przejścia i podyktował jednemu z nich swoje imię, które zostało zapisane na dziwnie cienkim półprzejrzystym pergaminie.

Na znajdujące się w głębi podwyższenie wszedł wysoki mężczyzna. Rob stał za daleko, by widzieć twarz, lecz domyślił się, że to nie szach, gdyż mężczyzna usiadł na niższym siedzisku po prawej stronie wielkiego tronu.

– Kto to? – zagadnął Rob poznanego po drodze Żyda.

– Wielki wezyr, świętobliwy imam Mirza abul Kandrasa – odparł tamten, patrząc nań z niepokojem, zauważył bowiem, że Rob zgłosił się z petycją.

Po nim na podwyższenie wstąpił szach Ala ad-Daula. Nim zasiadł na tronie, odpasał miecz i położył go w pochwie na posadzce. Wszyscy padli na twarze, a imam Kandrasa wezwał Allaha, by łaskawie wejrzał na tych, którzy szukają sprawiedliwości u Lwa Persji.

Posłuchanie rozpoczęło się bez zwłoki. W Sali Kolumnowej zrobiło się cicho jak makiem siał, lecz mimo to wypowiedane przed tronem słowa nie docierały na tyły sali; powtarzali je obwoływacze rozmieszczeni w strategicznych punktach.

Jako pierwszy przed oblicze władcy trafił spór dwóch smagłych pasterzy z Ardestanu.

Dwa dni szli do Isfahanu, aby szach rozsądził, który z nich ma prawo do kozłątka. Jeden był właścicielem kozy, która dotąd była jałowa. Drugi rościł sobie prawo do kozłęcia twierdząc, że to dzięki niemu cap mógł pokryć kozę z pożądanym skutkiem.

– Czy użyłeś magii? – zapytał imam Kandrasa.

– Nie, czcigodny. Połechtalem ją tylko piórkiem – odparł pasterz.

Tłum ryknął śmiechem, przytupując z uciechy. Po chwili imam ogłosił, że szach przyznał kozłę mistrzowi piórka.

Większość obecnych przychodziła tu z ciekawości i dla rozrywki. Szach się nie odzywał; może umownymi znakami komunikował swoją wolę Kandrasie, który w jego imieniu przesłuchiwał strony i ogłaszał wyroki, najwyraźniej tępiąc przy tym głupców.

Pewien nauczyciel o surowym obliczu, naoliwionych włosach i bródce przyciętej w równy szpic, wystrojony w haftowaną tunikę, która wyglądała, jakby dostał ją od kogoś bogatszego, złożył prośbę o pozwolenie na otwarcie szkoły w miasteczku Nain.

– W Nain są już dwie szkoły. – Kandrasa zmarszczył brwi.

– To nędzne szkoły i uczą w nich ludzie niegodni miana nauczycieli, czcigodny – rzekł gładko suplikant, a w tłumie poniósł

się szmer oburzenia.

Nauczyciel odczytał listę wymagań wobec naczelnika nowej szkoły, tak szczegółową, że niektórzy słuchacze parskali śmiechem – było jasne, że miał na myśli samego siebie.

– Dość – przerwał mu Kandrasa. – Obrażasz szacha, przedkładając mu suplikę, która ma na celu tylko twoje dobro. Niech kalendar wymierzy temu człowiekowi dwadzieścia batów w imię Boże.

Zaraz weszli gwardziści z pałkami i wyprowadzili gęsto protestującego nauczyciela. Na ich widok Rob poczuł bolesne pulsowanie w obitym ciele.

Następna sprawa nie była zabawna, tylko nudna. Dwóch ziemian w podeszłym wieku, odzianych w kosztowne jedwabne szaty, powaśniło się o pastwiska. Tasiemcowy wywód umów zawieranych w ciągu wieków przez ludzi od dawna już leżących w grobach wkrótce znużył słuchaczy. Zaczęli ziewać i szeptem narzekać na duchotę. Wreszcie ogłoszono werdykt, który w nikim nie wzbudził emocji.

– Niech wystąpi Jesse ben Beniamin, Żyd z Anglii!

Imię, powtarzane z ust do ust, poniosło się po całej sali. Rob pokuśtykał długim, wysłanym dywanem przejściem, dotkliwie świadom, jak wygląda w brudnym chałacie, podartej czapce i z pokiereszowaną gębą. Zbliżając się do tronu trzykrotnie padł na twarz – widział, że tak robią inni. Powstawszy, ujrzął przed sobą imama w czarnej szacie mułły, z wydatnym nosem w stanowczej twarzy otoczonej szpakowatą brodą.

Siedzący obok szach także nosił biały turban pielgrzyma do Mekki, lecz lśnił na nim cienki złoty diadem. Miał na sobie długą białą tunikę przetykaną niebieską i złotą nicią, łydki owinięte granatową taśmą, a spiczaste pantofle pokryte granatowo-

czzerwonym haftem. Twarz miał kamienną, lecz można się było domyślić, że posłuchanie nudzi go serdecznie.

– *Ingiliz* – zagaił imam – jedyny w Isfahanie. Czego szukasz w Persji?

– Prawdy, czcigodny.

– Chcesz przyjąć prawdziwą wiarę? – zapytał dość przyjaźnie Kandrasa.

– Nie, czcigodny, gdyż my także wyznajemy, że nie ma Boga jak On – odparł Rob, dziękując Najwyższemu za długie godziny nauk pobieranych u Szymona ben ha-Lewiego, uczonego kupca. – Napisane jest w Koranie: „Ja nie czczę tego, co wy czcicie, ani wy nie jesteście czcicielami tego, co ja czczę... Wy macie waszą religię, a ja mam moją religię”

Powinienem się streszczać, upomniał się w duchu. W bardzo krótkich słowach zatem napomknął o przygodzie z panterą w lasach zachodniej Persji. Odniósł wrażenie, że szach zaczął słuchać.

– Tam, skąd pochodzę, nie ma takich bestii – ciągnął. – Byłem bezradny jak dziecko. Żyję dzięki wielkiemu władcy Ali ad-Dauli, w którego żyłach płynie krew pogromcy lwa z Ka-szanu.

Znajdujący się najbliżej zaczęli głośno sławić szacha. Szmer wzrastał w miarę, jak opowiadanie Roba docierało do dalszych kręgów tłumu. Kandrasa siedział bez ruchu, lecz Rob wyczytał z jego oczu, że nie jest zachwycony żywą reakcją, jaką słowa Roba wywołały wśród słuchaczy.

– Pośpiesz się, Angliku – ponaglił go zimno. – Mów, o co chcesz prosić króla królów.

Rob zaczerpnął tchu.

– Napisano, że ten, kto ratuje życie, czyni się za nie odpowiedzialnym. Proszę najmiłościwszego szacha, by mi pomógł uczynić moje życie tak godnym, jak to możliwe – rzekł, po czym

opowiedział o swych bezowocnych staraniach o przyjęcie do szkoły medyków Ibn Siny.

Opowieść o panterze dotarła tymczasem do samego końca sali, która zatrzęsała się od rytmicznego tupotu. Szach z pewnością przywykł, że wzbudza cześć i lęk, chyba jednak nie co dzień sławiono go tak gorąco. Sądząc po jego minie, harmider ten brzmiał mu w uszach jak najpiękniejsza muzyka.

– Niech tak będzie! – Szach pochylił się, oczy mu zabłyśły; widać było, że pamięta przygodę z panterą. Jego spojrzenie na chwilę spoczęło na Robie. Potem zwrócił się do imama i przemówił po raz pierwszy od początku posłuchania. – Nadać *zimmiemu* chylat.

Słuchacze nie wiedzieć czemu wybuchnęli śmiechem.

– Chodź ze mną – rzekł do Roba oficer w skórzanym kaftanie i pływającym hełmie na szpakowatych włosach. Mimo podeszłego wieku emanował siłą i władzą. Jego blizny świadczyły o przebytych bitwach: na potężnych przedramionach bieleły podłużne szramy po mieczu, ucho miał zniekształcone, a twarz jakby skrzywioną wskutek starej kłutej rany pod kością policzkową. – Jestem Chuff – przedstawił się. – Dowódca Bram. Do mnie należy piecza nad takimi jak ty. – Zerknął na otartą szyję Roba i dodał z uśmiechem: – Karkan?

– Tak.

– Diabelstwo! – prychnął z uznaniem.

Wyszli z Sali Kolumnowej w stronę stajni. Na błoniach hasali teraz jeźdźcy, wymachując długimi laskami trzymanymi za koniec. Wyglądało na to, że się biją, ale nikt nie spadał z konia.

– Celują jeden w drugiego? – spytał Rob.

– W piłkę. To taka gra, jeźdźcy toczą piłkę kijami – wyjaśnił Chuff i spojrzał uważnie na Roba. – Niewielkie masz pojęcie o Persji. Wiesz, co to jest chylat?

Rob pokręcił głową.

– W dawnych czasach, gdy ktoś znalazł łaskę w oczach szacha, ten zdejmował część własnego przydomku i dawał mu go w dowód przychylności. „Chylat” znaczy „strój”. Ten prastary zwyczaj szanowany jest do dziś. Tyle że dzisiaj królewski „strój” obejmuje utrzymanie, dom i konia.

Rob stanął jak wryty.

– To znaczy, że jestem bogaty?

Chuff spojrzał nań z politowaniem.

– Chylat to zaszczyt, ale dar darowi nierówny. Poseł narodu sprzymierzonego z nami w czasie wojny dostanie najdroższe szaty, pałac prawie tak świetny jak Rajski Dom i wspaniałego rumaka z rzędem wysadzonym klejnotami. Ty, młodzieńcze, nie jesteś niczym posłem.

Za stajniami znajdował się obszerny wybieg, a na nim falujące morze końskich grzbietów. Rob przypomniał sobie słowa balwiera: wybierając wierzchowca, trzeba szukać zwierzęcia o łbie księżniczki i zadzie tłustej ladacznicy. Rob wypatrzył siwka, który dokładnie spełniał te wymogi, wyróżniając się ponadto królewskim spojrzeniem.

– Mogę wziąć tę kobyłkę? – spytał.

Chuff nie fatygował się z odpowiedzią, że siwa klacz stanowiłaby odpowiedni dar dla księcia krwi; uśmiechnął się tylko na swój krzywy sposób. Odwiązał od ogrodzenia osiodłanego konia i wjechał w środek stada, gdzie zręcznie schwytał mocnego, choć pozbawionego ognia kasztanowatego wałacha o krótkich nogach i masywnym kłębie. Pokazał Robowi piętno w kształcie tulipana wypalone na lewym udzie zwierzęcia.

– Wszystkie konie w Persji należą do szacha Ali. Możesz wymienić wierzchowca na innego z tym znakiem, ale nie wolno ci

go sprzedać. Gdyby zdechł, wytnij kawałek skóry z piętnem, a dostaniesz innego.

Prócz konia Rob otrzymał chudą sakiewkę (więcej zarobiłby jako balwierz w jednej wsi), później zaś w pobliskim magazynie wyszukano dla niego dość jeszcze porządne wojskowe siodło. Ubranie też było przyzwoite, choć skromne: szerokie portki ściągane sznurkiem w pasie, płócienne onuce do owijania łydek, luźna koszula zwana chamizą, wypuszczana na wierzch i sięgająca kolan, na to kaftan – durra, dwa płaszcze, krótki i lekki na lato oraz drugi długi i podbity kozuchem, mycka pod turban zwana galansuwą oraz pas brunatnej tkaniny na zawój.

– Wolałbym zielony – bąknął Rob.

– Ten jest lepszy. Szorstkie zielone zawoje noszą uczniowie i biedacy.

– Mimo wszystko.

Chuff spojrzał nań z pogardą i zamienił brązowy turban na tańszy zielony. Potem skinął na pachotków, którzy w mgnieniu oka doprowadzili mu konia. Jego własny ogier przypominał siwą klacz, która tak spodobała się Robowi.

Rob przerzucił przez siodło wór z nowymi ubraniami, wsiadł na swego wałacha i niczym wierny wasał ruszył za Chuffem przez miasto do Jahudii. Długo kluczyli wąskimi uliczkami żydowskiej dzielnicy. W końcu oficer zatrzymał się przed małym domkiem z ciemnoczerwonej cegły. Przy domku była stajnia, a właściwie wiata wsparta na czterech słupach, i maleńki ogródek. Wyjrzała z niego jaszczurka i spłoszona skryła się w szparze kamiennego ogrodzenia. Spomiędzy kolczastych zarośli sterczały cztery zaniedbane morelowe drzewka, dając nieco cienia. Dom składał się z trzech izb, jednej z polepą i dwóch z ceglaną posadzką wydeptaną

stopami wielu pokoleń mieszkańców. W kącie leżała zasuszona zdechła mysz, a w powietrzu unosił się lekki odór rozkładu.

– To twoje. – Chuff skinął mu głową i wyszedł.

Nim jeszcze ucichł odgłos kopyt jego konia, pod Robem ugięły się kolana. Bezsilnie opadł na klepisko, przewrócił się na wznak i zasnął kamiennym snem obok zdechłej myszy.

Spał prawie dobrą noc. Obudził się zdrętwiały i obolały jak starzec. Siedział przez chwilę, przyglądając się drobinkom kurzu w promieniach słońca wpadających przez dymnik. Musiał zrobić tu porządek. Gliniana zacierka na ścianach się łuszczyła, rama okienna wymagała naprawy, lecz od śmierci rodziców był to dla niego pierwszy własny dom.

Zajrzał do stajni i zrobiło mu się wstyd. Koń stał osiodłany, bez wody i obroku. Rozsiodłał go pospiesznie i w czapce nanosił wody z pobliskiej studni. Potem poszedł do stajni, w której zostawił muła i osła. Wracając kupił parę skopków, słomę i kosz owsa, które załadował na osła.

Ulokowawszy i obrządziwszy zwierzęta, wziął nowe ubranie i ruszył w stronę łaźni, najpierw jednak wstąpił do swojej gospody.

– Przyszedłem po rzeczy – oznajmił Salmanowi Mniejszemu.

– Przechowałem je, choć minęły dwie noce i byłem już pewien, że cię nie zobaczę. – Karczmarz przyjrzał mu się niepewnie. – Mówi się o *zimmim* z Europy, który poszedł do pałacu i dostał od szacha chylat. To ty? – upewnił się szeptem.

Rob skinął głową i ciężko opadł na ławę.

– Odkąd mnie nakarmiłeś, nic nie jadłem.

Salman bez zwłoki postawił przed nim posiłek. Rob zaczął ostrożnie, od chleba, niepewny, jak jego wygłodzony żołądek zareaguje na kozie mleko. Po chwili jednak głód wziął górę: pożarł

cztery gotowane jaja, prawie bochen chleba, gomółkę twardego sera i miskę pilawu. Wtedy dopiero poczuł, że wracają mu siły.

Potem długo pławił się w łaźni, obmywając zaschnięte rany. Kiedy po kąpeli włożył nowe ubranie, poczuł się dziwnie obco, choć nie tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy przebrał się w żydowski chałat. Drżącymi rękami zamocował owijacze, lecz ułożenie turbanu go przerosło, toteż wrócił do domu w swojej sfatygowanej czapce.

Na początek wyniósł mysz i zastanowił się nad swoim położeniem. Miał zapewniony byt, lecz właściwie nie o to prosił szacha. Poczuł lekki niepokój. Rozmyślenia przerwało mu przybycie Chuffa, który z równie jak wczoraj krzywą miną rozwinął cienki pergamin i odczytał na głos:

W imię Allaha!

Władca świata, pan wielki i szlachetny, opoka królestwa, Lew Persji, którego imię wystawiają nieprzeliczone ziemie, czyni wiadomym namiestnikowi oraz wszelkim królewskim urzędnikom miasta Isfahanu, swej stolicy, perły sztuk i nauk lśniącej w jego koronie, co następuje: Oto Żyd Jesse syn Beniamina, balwierz z miasta Leeds w Europie, przybył do naszego królestwa, słynącego na całej ziemi pokorą wobec prawa i litością dla uciśnionych, gdzie stawił się przed obliczem króla królów i pokorną prośbą zjednał sobie pomoc wiernego zastępcy Proroka, który jest w Raju, najmiłościwszego Ali ad-Dauli. Niechaj wszyscy wiedzą, że Jesse syn Beniamina z Leeds cieszy się królewską łaską i przyjaźnią. Obdarowany więc zostaje strojem królewskim, a wszyscy winni okazywać mu szacunek. Niechaj też będzie wiadome, iż rozkazom pana naszego nikt nie może uchybić pod karą najwyższą. Podpisano trzeciego pandź szanbe miesiąca radżab w imieniu Najwyższego ręką Jego pielgrzyma do najczcigodniejszych miejsc świętych, wodza

i nadzorcy Pałacu Kobiet Królewskich, imama Mirzy abul Kandrasy, wezyra. Niechaj Bóg będzie wam zbroją we wszystkich doczesnych sprawach.

– Czy to znaczy, że przyjmą mnie do szkoły? – wykrztusił ochryple Rob.

– Tego nie wiem – odparł Dowódca Bram i odjechał równie spieszenie, jak przybył.

Niedługo potem dwaj krzepcy tragarze postawili przed drzwiami lektykę, z której wysiadł hadži Dawud Husajn z misą fig na szczęście w nowym domu. Usiedli na ziemi w zarośniętym sadzie, oganiając się od mrówek i pszczoł i jedząc figi.

– Te drzewka morelowe będą jeszcze rodić. – Hadži przyjrzał im się bacznie i uraczył Roba przydługą poradą, jak powinien je pielęgnować, podlewać i nawozić końską mierzwą. Potem zamilkł.

– Słucham cię nadal, czcigodny – mruknął Rob.

– Mam zaszczyt przekazać ci pozdrowienia od czcigodnego Abu Alego al-Husajna ibn Abdullaha Ibn Siny.

Husajn przybladł; *zabiba* wyraźnie odcinała się od jego czoła, zroszonego teraz kropelkami potu. Robertowi zrobiło się go nawet trochę żal, to uczucie jednak szybko utonęło w cudownej, słodszej od zapachu maleńkich morelek, którymi zasłana była ziemia pod drzewami, oszałamiającej radości: oto hadži zapraszał Jessego syna Beniamina do madrasy, gdzie pilnie studiując może z czasem zostać medykiem.

Maristan

39

Ibn Sina

Pierwszy ranek w madrasie wstał upalny. Zapowiadał się ciężki dzień. Rob ubrał się starannie w nowe szaty, rezygnując z onuc; już było za gorąco. Zmarnował sporo czasu, usiłując dojść sekretu zawijania turbanu. W końcu dał za wygraną. Wyszedł na ulicę, gdzie pierwszy napotkany młodzik w zamian za drobną monetę nauczył go okręcać galansuwę pasem tkaniny, podwijając równo brzegi. Chuff miał rację, gdy odradzał mu zielone płótno; turban ciążył mu na głowie jak kamień. Spocony, Rob zdarł go z głowy i z ulgą założył starą skórzaną czapkę.

Dzięki niej od razu go rozpoznano, kiedy dotarł do Wielkiego Cycka. Przed budynkiem stała pogrążona w rozmowie grupka młodych ludzi w zielonych turbanach.

– Idzie twój Żyd, Karimie! – zawołał któryś.

Siedzący na schodach mężczyzna wstał. Robert poznał przystojną twarz: był to ten sam człowiek, który rugał pielęgniarza podczas jego pierwszej wizyty w szpitalu.

– Jestem Karim Harun – przedstawił się. – A ty jesteś Jesse ben Beniamin?

– Tak.

– Hadzi polecił mi, żebym oprowadził cię po szkole i szpitalu i odpowiedział na wszystkie twoje pytania.

– Jeszcze będziesz żałował, że nie zostałeś w karkanie! – zawołał jeden z uczniów i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Raczej nie. – Rob także się uśmiechnął. Najwyraźniej wszyscy już słyszeli o Żydzie z Europy, który się dostał do więzienia, a potem wyprosił u szacha przyjęcie do madrasy.

Zaczęli od szpitala. Karim szedł prędko, nie ukrywając, że chciałby już mieć z głowy nużące zadanie. Rob zdołał się w każdym razie dowiedzieć, że w dwóch odrębnych częściach szpitala leczy się mężczyźni i kobiety. Poza medykami i mężami chorych mężczyźni nie mieli wstępu do części kobiecej.

Minąwszy dwie sale „chirurgiczne”, Karim zatrzymał się w podłużnej izbie zastawionej półkami pełnymi schludnie opisanych garnuszków i flaszek.

– To *chazanat asz-szarat*, skarbiec leków – powiedział. – W poniedziałki i czwartki medycy przyjmują chorych w szkole. Po ich zbadaniu i opatrzeniu aptekarze sporządzają dla nich potrzebne leki. Nasi szpitalni aptekarze są dokładni i uczciwi. W mieście sprzedadzą ci szczyry klnąc się, że to woda różana.

Przeszli obok do budynku szkolnego, gdzie Rob obejrzał sale wykładowe i ćwiczeniowe, kuchnię, jadalnię oraz wielką łaźnię.

– Mamy czterdziestu ośmiu medyków i chirurgów, lecz nie wszyscy lubią nauczać. Wraz z tobą medycynę studiuje dwudziestu siedmiu ludzi. Praktykujemy dłużej lub krócej u różnych medyków. Zostajesz dopuszczony do egzaminów, kiedy mistrzowie uznają, że jesteś już tego godny. Jeśli zdasz, tytułują cię hakimem. Jeśli nie zdasz, uczysz się dalej i czekasz na drugą szansę.

– Jak długo tu jesteś?

Karim się nachmurzył. Najwyraźniej pytanie nie było mu w smak.

– Siedem lat. Dwa razy podchodziłem do egzaminów. W zeszłym roku wyłożyłem się na filozofii. Drugi raz, trzy tygodnie temu, na prawie. Jestem lekarzem, na co mi historia logiki albo procedury sądowe? – Westchnął gorzko. – Wykłady z prawa, teologii i filozofii są obowiązkowe. Wolno ci wybrać mistrza i najlepiej się go już trzymać, bo wtedy łatwiej się nad tobą zlituje przy egzaminie... Wykłady są rano – podjął. – Po południu przyszli juryści przysłuchują się rozprawom, teolodzy siedzą w meczetach, filozofowie czytają, a my pracujemy w szpitalu. Medycy często pozwalają nam badać pacjentów i pytają, jak byśmy ich leczyli. Wciąż zadają różne pouczające pytania. To doskonały sposób, żeby zdobyć wiedzę... albo wyjść na osła. – Karim uśmiechnął się kwaśno.

Rob przyjrzał się jego pochmurnej twarzy. Siedem lat, pomyślał z lękiem, i wciąż nie ma pewności, czy zostanie medykiem. A przecież Karim bez wątpienia przyszedł tu znacznie lepiej przygotowany niż on, który ledwie otarł się o wiedzę medyczną i nawet nie zna dobrze języka.

Obawy jednak pierchły, gdy weszli do biblioteki, zwanej tu Domem Mądrości. Rob nie przypuszczał, że w ciągu całego życia zobaczy tyle ksiąg. Część spisana była na znanym mu welinie, a część na takich samych cienkich kruchych arkuszach jak jego chylat.

– Macie tu kiepski pergamin – zauważył.

Karim parsknął drwiąco.

– To nie pergamin, kołku, tylko papier. Wymyślili go skośnoocy niewierni ze Wschodu, bardzo zręczni rzemieślnicy. Nie macie w Europie papieru?

– Nigdy go dotąd nie widziałem.

– Papier robi się ze szmat, zmielonych i zmieszanych z klejem ze ścięgien zwierzęcych, a potem sprasowanych. Jest tani, nawet jak na studencką kiesę.

Dom Mądrości oszołomił Roba bardziej niż wszystko, co dotychczas widział. Obszedł powoli salę, nieśmiało dotykając ksiąg i mozolnie odczytując nazwiska autorów, z których znał tylko kilka. Hipokrates, Dioskurydes, Ardegenes, Rufus z Efezu, nieśmiertelny Galen, Orybazjusz, Filagriusz, Aleksander z Tralles, Paweł z Eginu...

– Ile tu jest tomów?

– Prawie sto tysięcy – rzekł z dumą Karim. Uśmiechnął się, widząc niedowierzanie w oczach Roba. – Większość przełożono na perski w Bagdadzie. Tamtejsza uczelnia kształci tłumaczy i ma wielkie skrytorium, gdzie się przepisuje na papierze książki we wszystkich językach Wschodniego Kalifatu. Bagdadzka biblioteka liczy sześćset tysięcy ksiąg, a uniwersytet skupia ponad sześć tysięcy studentów i sławnych nauczycieli. Ale brakuje im czegoś, co mamy tutaj, w naszej małej madrasie.

– Czego? – zapytał Rob.

Karim doprowadził go do ściany, którą zajmowały dzieła jednego autora.

– Jego – powiedział.

Po południu Rob zobaczył w madrasie człowieka nazwanego przez Persów Księciem Medyków. Był rozczarowany. Spłowiały czerwony turban Ibn Siny zawinięty był niedbale, durra znoszona i pospolita. Sam medyk, niski i łysiejący, wyglądał jak każdy starzejący się Pers. Miał mięsisty, sino żyłkowany nos i obwisły podbródek pod siwą brodą. Dopiero spojrzawszy mu w oczy – przenikliwie i smutne, zarazem surowe i życzliwe, Rob zrozumiał, że Ibn Sina widzi rzeczy niewidoczne dla zwykłych ludzi.

On i siedmiu innych studentów obchodzili wraz z czterema medykami szpital, krocząc za Ibn Sina. Książkę zatrzymał się przy łóżku wycieńczonego mężczyzny o patykowatych kończynach.

– Kto z uczniów opiekuje się tą salą? – zapytał.

– Ja, panie. Mirdin Askari.

A więc to był kuzyn Arijego... Rob z zaciekawieniem zerknął na smagłego młodego Żyda z pociągłą szczęką i mocnymi białymi zębami, które upodobiały go do łagodnego inteligentnego konia.

Ibn Sina ruchem głowy wskazał pacjenta.

– Co o nim powiesz, Askari?

– To Amal Rahin, poganiacz wielbłądów. Przybył do szpitala trzy tygodnie temu z silnym bólem w dolnej części kręgosłupa. Zrazu myśleliśmy, że uderzył się po pijanemu, ale ból rozszerzył się na prawe jądro i udo.

– Jaki oddaje mocz?

– Przez pierwsze dwa dni przejrzysty, jasnożółty. Rano trzeciego dnia pokazała się w nim krew i po południu chory wydalil sześć kamieni moczowych: cztery jak ziarnka piasku, dwa wielkości małego groszku. Od tej pory nie ma już bólów i mocz jest czysty, tylko że chory nie je.

Ibn Sina zmarszczył czoło.

– Co mu podawano?

– To co zwykle – zmieszał się uczeń. – Pilaw, kurze jaja, baraninę, cebulę, chleb... Niczego nie tknął. Jelita przestały pracować, tętno spadło i chory słabnie.

Ibn Sina skinął głową i popatrzył na otaczających go słuchaczy.

– Kto wie, co mu dolega?

– Myślę, panie – ozwał się nieśmiało inny student – że wystąpił skręt kiszek, które nie przepuszczają pożywienia. Chory to czuje i dlatego nie chce nic jeść.

– Dziękuję ci, Fazilu ibn Parwizie – rzekł uprzejmie Ibn Sina. – Na ogół jednak przy takiej dolegliwości pacjent je, a potem zwraca pożywienie. – Odczekał chwilę, kiedy zaś nikt więcej nie zgłosił żadnych uwag, podszedł do człowieka na pościeli.

– Amalu – powiedział – jestem Husajn, medyk, syn Abdullaha, syna Al-Hasana, syna Alego, który był synem Siny. Ci ludzie to moi przyjaciele i są też twoimi przyjaciółmi. Skąd pochodzisz?

– Ze wsi Szaini, panie – wyszeptał chory.

– Z Farsu? Spędziłem ongiś w tej krainie szczęśliwe dni. Pamiętam daktyle z oazy Szaini, wielkie i słodkie, prawda?

W oczach Amala wezbrały łzy. Bez słowa skinął głową.

– Askari, przynieś naszemu przyjacielowi daktyli i miseczkę ciepłego mleka.

Po chwili chory dostał daktyle i mleko. Medycy i studenci zdumieni patrzyli, jak łapczywie się na nie rzucił.

– Powoli, Amalu. Powoli – mitygował go Ibn Sina. – Askari, dopilnuj, żeby naszemu przyjacielowi zmieniono dietę.

– Tak, panie – zgodził się skwapliwie Żyd.

– Trzeba pamiętać o zwyczajach ludzi, których mamy pod opieką – tłumaczył Ibn Sina. – Przybywając do Isfahanu nie stają się kim innym, niż byli, a często nie jadają tego co my. Lew nie lubi siana, choć odwiedza bydło... Mieszkańcy pustyni spożywają głównie mleko. Mieszkańcy Dar ul-Maraz jedzą ryż i kasze, Chorasanczy z kolei mączne zupy. Hindusi żywią się grochem i innymi roślinami strączkowymi, oliwą i ostrymi przyprawami, Transoksańczycy jedzą sporo daktyli, Beduini przywykli do mięsa, mleka wielbłądziego i szarańczy. Ludzie z Gurganu, Ormianie i Europejczycy zwykli pić alkohol przy jedzeniu, a ich pożywieniem jest mięso krów i świń. – Ibn Sina zerknął na zgromadzonych wokół siebie mężczyzn. – Nieraz zadajemy im ból, często nie jesteśmy w stanie pomóc, a czasami

nasze leczenie zabija. Postarajmy się ich przynajmniej nie głodzić. – To rzekłszy, Księżę Medyków zostawił studentów i odszedł zakładając ręce za plecy.

Nazajutrz rano Rob wysłuchał pierwszego wykładu w madrasie. Zażenowany, przyszedł za wcześnie i zasiadł samotnie na kamiennej ławie w czwartym rzędzie amfiteatralnej sali. Dopiero po pewnym czasie weszło kilku studentów.

Z początku nie zwrócili na niego uwagi. Rozmawiali o egzaminie Fazila ibn Parwiza, który miał się odbyć niebawem, nie szczędząc przy tym wyróżnionemu studentowi podszytych zazdrością kpinek.

– Masz tylko tydzień? – zaśmiał się niski tęgi młodzian. – Oj, będziesz srał w gatki ze strachu.

– Zamknijże tę tłustą gębę, Abbasie, oby Allah cię skarał żydowskim nosem i chrześcijańską fujarą! Ty się nie musisz bać egzaminu, bo poczekaś na niego dłużej niż Karim Harun – zdenerwował się Fazil.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– *Salam*, a to co? – zdumiał się Fazil, dostrzegłszy Roba. – Jak się nazywasz, *zimmi*?

– Jesse ben Beniamin.

– A, ten, co trafił do nas z więzienia? Żydowski balwierz z chylatem! Przekonasz się, że aby zostać medykiem, trzeba czegoś więcej niż chylat.

Sala się zapełniała. Kiedy po kamiennych stopniach zaczął wchodzić Mirdin Askari, Fazil krzyknął do niego:

– Askari! Przybył jeszcze jeden Izraelita! Niedługo żydowskich pijawek będzie tu więcej od nas.

Askari spojrział na niego chłodno i ruszył dalej, traktując Fazila jak dokuczliwą muchę.

Dalsze rozmowy przerwało pojawienie się wykładowcy. Sajjed Sadi był szczupłym mężczyzną o zatroskanej twarzy i nauczał filozofii. Rob szybko się przekonał, że nie będzie mu łatwo. Sajjed rozejrzał się po audytorium, a widząc nową twarz, zagadnął:

– Ty, *zimmi*, jak cię zwa?

– Jesse ben Beniamin, panie.

– Powiedz nam, Jesse ben Beniaminie, jak Arystoteles określa związek ciała z duchem.

Rob bezradnie pokręcił głową.

– Mówi o tym w księdze „O duszy” – niecierpliwie podpowiedział mu wykładowca.

– Nie znam księgi „O duszy”. Nie czytałem Arystotelesa.

Sajjed Sadi zrobił jeszcze bardziej zatroskaną minę.

– Musisz ją co prędzej przeczytać.

Rob niewiele zrozumiał z wykładu. Kiedy nauczyciel wyszedł i sala zaczęła się opróżniać, podszedł do Mirdina Askariego.

– Przynoszę ci pozdrowienia od twoich ziomków z Maskatu: reba Lonzana ben Ezry, reba Loeba ben Kohena i twojego kuzyna, reba Arijego Askariego.

– Coś takiego! – ucieszył się Mirdin. – Mieli udaną podróż?

– Ufam, że tak.

– Miło mi to słyszeć. Przybyłeś z Europy, tak? Pewnie obco się czujesz w Isfahanie? Pociesz się, że większość z nas jest przyjezdna.

Poinformował Roba, że medycynę studiuje czternastu muzułmanów ze Wschodniego Kalifatu, siedmiu muzułmanów z Zachodniego Kalifatu i pięciu Żydów ze Wschodu.

– Więc jestem dopiero szóstym Żydem? Ze słów Fazila można by sądzić, że jest nas znacznie więcej.

– Dla Fazila i jeden Żyd to za dużo. Isfahańczycy nie widzą świata poza Persją. „Żyd” albo „chrześcijanin” to dla nich wyzwiska.

A nazwanie innego muzułmanina *zimmim* uważają za świetny dowcip.

Rob pokiwał głową. To dlatego, kiedy szach go tak nazwał, ludzie wybuchnęli śmiechem.

– Złości cię to? – spytał.

– Zmusza do ciężkiej pracy, przez co boli mnie mózg i zadek. Wszystko po to, żebym mógł się śmiać ostatni, kiedy zostawię ich wszystkich w tyle. – Zerknął ciekawie na Roba. – Podobno jesteś balwierzem, to prawda?

– Prawda.

– Nie chwaliłbym się tym – poradził ostrożnie Mirdin. – Percy medycy uważają balwierzy za...

– Oszustów?

– W każdym razie nie patrzą na nich łaskawym okiem.

– Nie zamierzam się im podchlebiać. Ani przepraszać za to, że jestem tym, kim jestem.

W oczach Mirdina mignęło coś na kształt aprobaty, ale szybko zgasło.

– Ty nie musisz – rzekł sztywno, kiwnął mu głową i wyszedł.

Na wykładzie z teologii muzułmańskiej u tęgiego mułły imieniem Abul Bakr Robert poczuł się odrobinę pewniej. Wiedział już, że Koran dzieli się na sto czternaście sur liczących od kilku do kilkuset wersetów, ale ze zgrozą usłyszał, że nie ukończy szkoły, dopóki ważniejszych sur nie nauczy się na pamięć.

Następny wykładowca, mistrz chirurgii Abu Ubajd al-Dżuzdżani, kazał mu przeczytać „Dziesięć traktatów o oku” Humajna. Al-Dżuzdżani był drobny, smagły, nieludzko spostrzegawczy, a do tego miał temperament podrażnionego niedźwiedzia, przez co budził powszechny lęk. Zaległych lektur zaczynało się zbierać tyle, że Rob powoli wpadał w rozpacz, ale wykład al-Dżuzdżaniego

o zmętnieniu oka pozbawiającym chorych wzroku ogromnie go zaciekał.

– Uważa się, że ślepotę powoduje wyciek zepsutej wydzieliny – mówił al-Dżuzdzani. – Dlatego dawni perscy medycy nazwali tę chorobę *nazul i-ah*, zejście wody, co pospólstwo przerobiło na wodospad, czyli kataraktę.

Mówił dalej, że schorzenie się zaczyna najczęściej małym martwym punktem w soczewce oka, prawie niezakłócającym widzenia, ale stopniowo się rozszerza, aż cała soczewka staje się mlecznobiała.

Al-Dżuzdzani zademonstrował na zdechłym kocie, jak zdejmuje się kataraktę, a potem jego pomocnicy rozdali uczniom zwłoki zwierząt, by każdy mógł poćwiczyć na psie, kocie czy choćby kurze. Rob dostał pozbawionego przednich łap pręgowanego kundla o martwym spojrzeniu i rozwartym spazmatycznie pysku. Ręce mu się trzęsły i nie wiedział, co robić. Odwagi dodała mu myśl o Merlinie, który uwolnił skrybę od ślepoty, bo wyuczył się tego w tej szkole, może nawet w tej samej sali.

Al-Dżuzdzani pochylił się nad nim i przyjrzał oku zdechłego psa.

– Zaznacz igłą miejsce, które chcesz oczyścić – rzekł ostro. – Potem przesunij czubek igły w stronę zewnętrznego kącika, odrobinę nad środkiem źrenicy. Katarakta zejdzie pod nią. Jeżeli operujesz prawe oko, igłę trzymasz w lewej dłoni i odwrotnie.

Rob zastosował się do wskazówek, myśląc o ludziach, którzy przez tyle lat wchodzili za parawan szukając go zmętniałym wzrokiem i dla których nic nie mógł uczynić. Do diabła z Arystotelesem i Koranem, powiedział sobie w duchu. To jest właśnie to, po co przybyłem do Persji.

Po południu grupa uczniów obeszyła za al-Dżuzdzanem szpitalniczym ministranci za biskupem. Al-Dżuzdzani oglądał pacjentów,

tłumaczył, wygłaszał uwagi i przepytывał studentów, zdejmując równocześnie szwy i zmieniając opatrunki. Miał zręczne ręce i ogromną wiedzę. Jego pacjenci przychodzili do siebie po zdjęciu katarakty, amputacji zmiażdżonej ręki, wycięciu guzów, obrezaniu, a jeden chłopiec po zeszyciu rany w policzku przebitym kijem.

Potem Rob jeszcze raz przeszedł się po szpitalu, tym razem za hakimem Dżalalem ul-Dinem, składaczem kości. Przyglądał się z podziwem skomplikowanym rusztowaniom rozmaitych wyciągów, ścisków i szyn, w których unieruchamiano połamane kończyny. Bał się, że zostanie wywołany do odpowiedzi, ale ani jeden, ani drugi lekarz nie zwrócił na niego uwagi. Gdy Dżalal skończył obchód, Rob pomógł nakarmić chorych i uprzątnąć resztki.

Nareszcie pod wieczór dotarł do biblioteki. Koranu było w niej aż nadto, znalazł też księgę „O duszy”, natomiast jedyny egzemplarz „Dziesięciu traktatów o oku” czytał już kto inny, a w kolejce czekało jeszcze kilku studentów.

Domem Mądrości opiekował się uprzejmy Jusuf ul-Gamal, kaligraf, poświęcający każdą wolną chwilę na kopiowanie ksiąg sprowadzanych z Bagdadu.

– Za długo zwlekałeś – stwierdził. – Minie wiele tygodni, zanim dopchasz się do „Dziesięciu traktatów”. Kiedy mistrz zadaje lekturę, musisz zaraz biec do mnie, inaczej koledzy cię uprzedzą.

Rob ze znużeniem kiwnął głową. Uprosił, by wypożyczono mu dwie książki, i po drodze wstąpił na żydowski targ po lampę i oliwę. Sprzedawała je chuda szarooka kobieta z mocno zarysowanym podbródkiem.

– To ty przyjechałeś z Europy?

– Ja.

Rozpromieniła się

– Mieszkamy w sąsiedztwie! Trzy domy dalej na północ. Musisz nas odwiedzić. Jestem Hinda, żona Wysokiego Izaaka.

Podziękował jej z uśmiechem, trochę podniesiony na duchu.

– Policzę ci taniej. W końcu Żyd, co wyprosił chylat od wielkiego szacha, to nie byle kto!

Wstąpił do Salmana Mniejszego na pilaw. Ku jego zmieszaniu karczmarz także przedstawił mu dwóch sąsiadów, którzy chcieli poznać Żyda z chylatem. Byli to krzepcy młodzi ludzie, kamieniarze, synowie wdowy Netki Akuszerki, która mieszkała na końcu jego ulicy. Bracia klepali go po plecach, chwalili i częstowali winem.

– Mów, jak było u szacha! – zawołał Chofni.

– Opowiedz nam o Europie! – prosił równocześnie Szemuel.

Chętnie by z nimi posiedział, lecz niebawem wymówił się i wrócił do swej pustelni.

Zadbał o zwierzęta, a potem usiadł w ogrodzie z Arystotelesem, który okazał się nad podziw trudny. Rob nie rozumiał wielu słów i czuł się zdruzgotany własną niewiedzą.

Po zmroku przeniósł się do domu, zapalił lampę i sięgnął po Koran. Wiedział, że sury ułożone są od najdłuższych do najkrótszych, ale nie miał pojęcia, które były najważniejsze i których powinien się nauczyć. I jeszcze ten wstęp... Czy on też jest ważny?

Chciało mu się płakać, czuł jednak, że musi od czegoś zacząć. „W imię Boga miłosiernego i litościwego. On stworzył wszystko, takż i człowieka...” Powtarzał te wersety, lecz nim zapamiętał kilka pierwszych linii, powieki mu opadły. Tak jak siedział, w ubraniu, zasnął mocno przy lampie na podłodze, uciekając od trudnej rzeczywistości.

Zaproszenie

Co rano budziło go wschodzące słońce, które odbijało się od dachów krzywych domów Jahudii i zaglądało do niego przez wąskie okno. Już o świcie na ulicach pojawiali się ludzie; mężczyźni szli na poranne modły do synagog, kobiety na targ, by zdobyć najlepszy towar.

W domu sąsiadującym z nim od północy mieszkał szewc Jakub ben Raszi z żoną Naomi i córką Leą. Od południa – piekarz Mica Halewi z żoną Judytą i trzema córeczkami. Zaledwie po paru dniach od wprowadzenia się Roba Mica przysłał do niego Judytę z okrągłym płaskim bochenkiem ciepłego jeszcze chleba na śniadanie. Każdy witał tu przyjaźnie przybyłego z daleka Żyda, który uzyskał chylat od szacha Persji.

Mniej życzliwie odnoszono się do niego w madrasie. Muzułmanie nigdy nie zwracali się doń po imieniu, poprzestając na urągliwym „zimmi”, a nawet Żydzi mówili o nim „Europejczyk”.

Choć balwierskim doświadczeniem nikomu tu nie imponował, przydawało mu się w maristanie. W ciągu trzech dni dowiódł, że umie opatrywać rany, puszczać krew i nastawiać proste złamania nie gorzej od tutejszych medyków. Dzięki temu zwolniono go od prac porządkowych i odesłano do pielęgnowania chorych, co sprawiało mu znacznie większą satysfakcję.

Spytał Abula Bakra, które ze stu czternastu sur Koranu są najważniejsze.

– Wszystkie są tak samo ważne – odparł gruby mułła. – Jeden uczony przedkłada te, drugi inne...

– Nie zdam egzaminów, dopóki się nie nauczę na pamięć najważniejszych sur. Skąd mam wiedzieć których?

– Musisz pilnie studiować Koran – doradził mu mułła. – Allah, niech będzie pochwalony, z czasem cię oświeci.

Zaczynała mu już ciążyć wszechobecność Allaha. W szkole nie było przed nim ucieczki. Na każdym wykładzie siedział mułła, bacząc, by słowem lub czynem nie obrażono Boga.

Pierwsze zajęcia z Ibn Siną poświęcone były anatomii. Zrobili sekcję świni, której muzułmanom nie wolno było spożywać, lecz mogli ją wykorzystywać do innych celów.

– Świnia wyjątkowo nadaje się do badań, bo ma takie same organy wewnętrzne jak człowiek – mówił Ibn Sina, zręcznie zdejmując powłoki skórne. Zobaczyli pod nimi mnóstwo rakowatych guzów. – Te gładkie na pozór nie powinny czynić szkody, ale narosły gwałtownie... o, zobaczcie. – Medyk obrócił ciężki zewłok, żeby lepiej widzieli. – Piętrzą się jak cząstki kalafiora. Takie guzy są nieuleczalne.

– Czy występują u ludzi? – zapytał Rob.

– Tego nie wiemy.

– Nie moglibyśmy sprawdzić?

Wszyscy umilkli – studenci z pogardy dla niewiernego, asystenci z lęku przed obrazą Boską. Mułła, który zaszlachtował świnię, uniósł głowę znad Koranu.

– Napisane jest – rzekł ostrożnie Ibn Sina – że umarli powstaną. Prorok, niech będzie błogosławiony, powita ich w nowym życiu. Dlatego nie wolno okaleczać ciał.

Rob powoli skinął głową. Mułła wrócił do modlitwy, a Ibn Sina do sekcji.

Po południu Fazil ibn Parwiz pysznił się już w madrasie w czerwonym turbanie hakima, przyjmując od kolegów gratulacje z okazji zdanego egzaminu. Rob niespecjalnie go lubił, ale i tak się ucieszył – cudzy sukces ożywił w nim nadzieję, że może i jemu kiedyś się to uda.

Na obchód Fazil ruszył już jako medyk. Towarzyszył mu al-Dżuzdżani i pięciu studentów: Rob, Abbas Safi, Omar Nehawend, Sulejman al-Gamal i Sabit ibn Kurra. W ostatniej chwili przyłączył się do nich Ibn Sina. W zwyczajną atmosferę wkradło się podniecenie, jak zawsze w obecności Księcia.

Weszli do sali, gdzie leżeli chorzy na raka, i zatrzymali się przy pierwszym z brzegu pościeliu. Spoczywał na nim nieruchomy człowiek z zamkniętymi oczami.

– Jesse ben Beniaminie, co wiadomo o chorym? – zapytał al-Dżuzdżani.

– Zwie się Izmaił Gazali. Nie zna swojego wieku, ale mówi, że urodził się w Chno w czasie wielkiej wiosennej powodzi, ta zaś, jak słyszałem, miała miejsce trzydzieści cztery lata temu – rzekł pospiesznie Rob. Al-Dżuzdżani skinął głową z aprobatą. – Ma bolesne guzy na szyi, pod pachami i w pachwinach. Jego ojciec zmarł wcześniej na podobną chorobę. Bardzo cierpi przy oddawaniu moczu, który jest ciemny i pełen nitkowatych skrzepów. Nie może zjeść więcej jak parę łyżek kleiku, inaczej wszystko zwraca. Karmimy go więc lekkimi potrawami tak często, jak to możliwe.

– Czy puszczałeś mu dziś krew?

– Nie, hakimie.

– Dlaczego?

Rob pewnie by się nie zdradził, ale właśnie rozmyślał o lekcji anatomii, zastanawiając się, czy guzy Izmaiła wyglądają podobnie jak u tamtej świni.

– Nie trzeba mu już zadawać bólu – palnął bez namysłu. – Nim noc zapadnie, umrze.

Al-Dżuzdżani szeroko otworzył oczy.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytał Ibn Sina.

Wszyscy patrzyli na Roba, który ponieważ przyłapał się na nieostrożności.

– Jestem tego pewien – bąknął po chwili.

Fazil zachichotał, zapominając, iż medyk powinien zachowywać się z godnością. Al-Dżuzdżani poczerwieniał z oburzenia. Ale Ibn Sina uniósł rękę na znak, żeby szli dalej.

Po tym incydencie Rob stracił dobry nastrój, a wieczorem powiedział sobie jasno, że nie nadaje się do szkoły. Popełnił błąd, mając nadzieję, że zrobią tu z niego kogoś, kim nie jest. Widać nie jest mu pisane zostać medykiem.

Nazajutrz jednak poszedł na zajęcia i wysłuchał trzech wykładów, a po południu zmusił się, by towarzyszyć w obchodzie al-Dżuzdżaniemu. Z niepokojem stwierdził, że tak jak wczoraj przyłączył się do nich Ibn Sina.

W sali chorych na raka na posłaniu obok drzwi leżał młody chłopak.

– Gdzie Izmaił Gazali? – zagadnął pielęgniarza al-Dżuzdżani.

– Skonał w nocy, hakimie.

Al-Dżuzdżani powstrzymał się od komentarza, lecz przez resztę obchodu traktował Roba z zimną pogardą – ot, ciemnemu *zimmiemu* udał się trafny domysł.

Kiedy skończyli i zaczęli się rozchodzić, Rob poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Obejrawszy się napotkał niepokojące spojrzenie starego człowieka.

– Zjesz ze mną wieczerę – powiedział Ibn Sina.

Zdenerwowany i przygotowany na najgorsze, wsiadł wieczorem na swego wałacha i opuściwszy Jahudiję ruszył aleją Tysiąca Ogrodów kierując się wskazówkami Księcia Medyków. Ibn Sina zajmował wielką rezydencję zdobną dwiema wieżami i otoczoną tarasami ogrodów i winnic. On także otrzymał „królewski strój”

od szacha, lecz był to chylat dla sławnego i szanowanego mędrca, zatem iście królewski.

Bramę w murze otworzył mu odźwierny, który odebrał od niego konia. Dróżka prowadząca do domu wysypana była żwirem tak drobnym, że kroki wydawały tylko cichy szmer. Gdy podszedł do wejścia, otworzyły się boczne drzwi i wyszła z nich młoda, pełna wdzięku kobieta. Miała na sobie luźną szatę z czerwonego aksamitu, wyszywaną złotem na brzegach, a pod nią lekkie bawełniane gieszło w żółte kwiaty. Choć drobniutka, kroczyła jak królowa. Bransolety z paciorków obejmowały jej kostki pod ciasno ściągniętymi szkarłatnymi nogawicami wykończonymi wełnianą frędzlą, która muskała nagie różowe pięty. Córka Ibn Siny – jeśli to była jego córka – przyjrzała się Robertowi wielkimi ciemnymi oczami z równym zaciekawieniem jak on jej. Zaraz jednak spuściła wzrok, jak nakazywało jej prawo.

Za nią kroczył olbrzym w turbanie, groźny jak senna zjawa, trzymając dłoń na wysadzonej klejnotami rękojeści sztyletu. Eunuch nie odwrócił wzroku, przeciwnie, nie spuszczał oczu z Roba, zanim nie przeprowadził swojej podopiecznej przez furtkę do ogrodu.

Rob jeszcze patrzył za nimi, gdy główne odrzwia rozchyliły się na naoliwionych zawiasach i sługa wpuścił go do przestronnego chłodnego wnętrza.

– Witaj w moich progach, młody przyjacielu – rzekł Ibn Sina i poprowadził go przez szereg komnat o ścianach zdobionych wzorzystymi kaflami i miękkimi zasłonami w kolorach ziemi i nieba. Kamienne posadzki okrywały miękkie jak runo dywany. Przeszli do wewnętrznego ogrodu, gdzie obok szemrzącej fontanny ustawiono niski stół.

Sługa pomógł mu się usadowić, drugi wniósł chleb na płaskiej glinianej misie. Rob czuł się niezręcznie – nikt mu jeszcze nigdy nie

usługiwał. Ibn Sina odśpiewał muzułmańską modlitwę, fałszując bez skrępowania.

– Pewnie chciałbyś podziękować swemu Bogu za jadło – rzekł wielkodusznie, gdy skończył.

Rob wyuczył się już hebrajskiego rytuału, toteż wprawnie przełamał jeden z płaskich chlebów i wyrecytował dziękczynienie:

– Chwała Ci, Wiekuisty, Władco wszechświata, który stwarzasz chleb z ziemi.

– Amen – powiedział Ibn Sina.

Posiłek był wyśmienity, choć prosty: pokrojone ogórki z miętą, gęste zsiadłe mleko, lekki pilaw z kawałkami chudej jagnięciny i drobiu, kandyzowane wiśnie i morele oraz orzeźwiający szербet.

Gdy skończyli jeść, niewolnik z kółkiem w nosie wniósł wilgotne ręczniki, by otarli ręce i twarze. Inni wynieśli stół, zapalili dymne pochodnie przeciw owadom i podali misę orzeszków pistacjowych. Łupiąc je w zębach, gość i gospodarz gawędzili przez chwilę przyjaźnie.

– Ale do rzeczy... – Ibn Sina nachylił się do Roba i w jego niezwykłych, tak wymownych oczach pojawiło się skupienie. – Skąd wiedziałeś, że Izmaił Gazali umrze?

Rob chciał być z nim szczery. Opowiedział więc, jak w dzieciństwie, ujawszy matkę za rękę, uświadomił sobie, że wkrótce umrze. I w ten sam sposób przewidział nadchodzącą śmierć ojca. Mówił też o późniejszych przypadkach, kiedy ręce chorych przekazywały mu dojmujący lęk i straszną pewność. Ibn Sina wypytał go szczegółowo o wszystkie. W trakcie rozmowy rezerwa malująca się na jego twarzy stopniowo znikła.

– Pokaż mi, jak to robisz – zażądał.

Rob ujął jego dłonie, popatrzył mu w oczy i po chwili się uśmiechnął.

– Nie musisz się jeszcze obawiać śmierci, panie.

– Ty też nie – odpowiedział spokojnie medyk.

Chwilę trwało, nim uświadomił sobie znaczenie tych słów. Jezu Chryste, pomyślał.

– Też to czujesz, panie? Naprawdę?

Ibn Sina pokręcił głową.

– Nie w ten sposób co ty. Ja zyskuję wewnętrzną pewność. Instynkt mówi mi, czy pacjent umrze czy przeżyje. W ciągu lat rozmawiałem z wieloma medykami, którzy mają podobną intuicję, jest nas bowiem więcej, niż mogłoby ci się wydawać. Ale dotąd nie spotkałem człowieka, u którego ten dar byłby równie silny jak u ciebie. To wielka odpowiedzialność. Chcąc jej sprostać, musisz zostać doskonałym medykiem.

Rob wrócił nagle do przykrew rzeczywistości. Westchnął żałośnie.

– Najprawdopodobniej w ogóle nie zostanę medykiem. Jestem prostym człowiekiem. Muzułmańscy studenci od dziecka karmieni są książkową wiedzą, a Ży... inni Żydzi też zostali wdrożeni do pilnej nauki przez swoich starszych. Mają fundament, na którym mogą budować, tymczasem moje podstawy to alfabet i morze niewiedzy.

– Musisz więc budować szybciej i lepiej niż inni – rzekł Ibn Sina bez cienia współczucia.

Rozpacz dodała Robowi śmiałości.

– W szkole wymaga się wielu rzeczy niepotrzebnych. Filozofii, Koranu...

– Popełniasz pospolity błąd – przerwał mu z pogardą medyk. – Z góry zakładasz, że filozofia jest niepotrzebna, choć jej nie znasz. Medycyna opisuje ciało, filozofia umysł i duszę. Doprawdy, sądzisz, że medyk nie potrzebuje takiej wiedzy? Przeciwnie, jest ona równie ważna jak tamta, równie ważna jak pożywienie czy powietrze.

Co się zaś tyczy Koranu... znałem go na pamięć w wieku dziesięciu lat. Uczy wprawdzie o mojej wierze, nie twojej, ale ci nie zaszkodzi. Ponadto nauczenie się dziesięciu Koranów byłoby dla ciebie uczciwą ceną za zdobycie wiedzy medycznej.

Urwał na chwilę.

– Jesteś zdolny – podjął. – Widzę, jakie postępy robisz w farsi, do leczenia też nie brak ci talentu. Ale musisz się otworzyć na wiedzę, nauczyć się chłonać ją tak samo naturalnie, jak oddychasz. Przyjąć to wszystko, co możemy ci dać.

Rob milczał, obserwując go z uwagą.

– I ja mam pewien dar, równie ważny jak twój, Jesse ben Beniaminie. Widzę, kto urodził się na medyka. Czuję w tobie silną, nagłą niemal potrzebę leczenia. Ale to za mało. Chylat także z nikogo nie zrobi medyka, na szczęście, bo i bez tego głupców u nas dostatek. Szkoła pozwala odsiać plewy od ziarna; kiedy uczeń wart jest zachodu, poddajemy go najsurowszym próbom. Jeżeli uważasz, że te próby są dla ciebie za trudne, zapomnij o szkole, spraw sobie wóz i dalej sprzedawaj oszukańcze mazidła...

– Driakwie – obruszył się Rob.

– Dobrze. Oszukańcze driakwie. Ale na tytuł hakima trzeba zapracować. Jeżeli tego pragniesz, musisz wiele poświęcić i zrobić wszystko, by dorównać innym, a nawet ich prześcignąć. Rzucić się na wiedzę jak święty lub potępieniec.

Rob wziął głęboki oddech. Patrząc w płonące oczy Ibn Siny, powiedział sobie, że nie po to przewędrował pół świata, by zrezygnować. Wstał, żeby się pożegnać, i nagle wpadła mu do głowy myśl.

– Czy masz może „Dziesięć traktatów o oku”, panie?

– Mam. – Ibn Sina uśmiechnął się szeroko.

Wstał i wszedł do wnętrza. Po chwili wrócił z księgą, którą podał swemu uczniowi.

41

Noc na majdanie

Pewnego ranka przed domem Roba pojawiło się trzech żołnierzy. Zdrętwiał, gotów na wszystko, przybyli jednak w pokojowych zamiarach i pałki zostawili za pasem. Dowódca skłonił się przed nim nisko, zionąc zieloną cebulą.

– Wiedz, panie, że jutro po drugiej modlitwie uroczyście zbiera się dwór. Szach oczekuje przybycia obdarowanych chylatem.

Nazajutrz rano po raz drugi wszedł więc pod złocony dach Sali Kolumnowej. Tym razem tłumów nie było. Rob żałował, że nie widzą szacha w zwiewnej szacie, purpurowych pantoflach ze spiczastymi noskami, szkarłatnych nogawicach i owijaczach oraz ciężkiej koronie z kutego złota. Imam Mirza abul Kandraśa siedział przy nim na niższym tronie, jak zwykle odziany w czarne szaty mułły.

Ludzie zaszczyчени chylatem stali dalej od tronu i nie brali bezpośredniego udziału w ceremonii. Robertowi nie udało się zobaczyć Ibn Siny ani nikogo znajomego poza Dowódcą Bram. Posadzkę przed podwyższeniem zaścielały jedwabne dywany przetykane złotą nicią. Po obu stronach tronu i przed nim siedziała na poduszkach grupa mężczyzn w bogatych strojach.

Rob podszedł do Chuffa i lekko trącił go w ramię.

– Kim są ci ludzie? – szepnął.

Chuff spojrział na cudzoziemca z pogardą, lecz nauczono go cierpliwości, odpowiedział więc:

– Państwo ma czternaście prowincji, a w nich sto czterdzieści cztery ważniejsze miasta i zamki. Ci, których widzisz, to mirzowie, chanowie, sułtani i beglerbegowie, którzy zarządzają księstwami podległymi władzy szacha Ali ad-Dauli, niech będzie pozdrowione jego imię.

To rzekłszy, pospiesznie ruszył do drzwi. Najwyraźniej uroczystość miała się niebawem zacząć.

Pierwszy wjechał do sali poseł Armenii, mężczyzna w sile wieku, czarnowłosy i czarnobrody. Wyglądał trochę jak zjawa, jechał bowiem na siwej klaczy, a na szarą jedwabną szatę narzucony miał płaszcz z ogonów srebrnych lisów. Sto pięćdziesiąt kroków od tronu Chuff go zatrzymał, pomógł mu zsiąść z wierzchowca i podprowadził go do podwyższenia.

Ucałowawszy stopy królewskie, poseł przekazał szachowi dary od swego władcy. Była wśród nich duża kryształowa lampa, dziewięć zwierciadeł w złotych ramach, dwieście łokci purpurowej materii, dwadzieścia flaszek drogich pachnideł i pięćdziesiąt skórek soboli. Ledwie na nie spojrzawszy, Ala z powagą przywitał Ormianina, prosząc, by podziękował swemu panu za dary.

Następny wjechał poseł kagana Chazarów i ceremonia się powtórzyła, z tą różnicą, że przekazał w darze trzy piękne rumaki i nieoswojone lwiątko na łańcuchu, które ze strachu zanieczyściło złotolity dywan.

Blady strach padł na zebranych, lecz Ala z kamienną twarzą zaczekał, aż słudzy pospiesznie usuną dary, dywan i chazarskiego posła. Dworacy siedzieli u stóp szacha na poduszkach jak posągi, wpatrzni w króla królów i gotowi się poruszyć, gdy on się poruszy – niczym cienie. Po chwili, jakby ktoś nagle zdjął urok, atmosfera zelżała, zapowiedziano kolejnego gościa i na rdzawym kasztanie wjechał do sali wysłannik księcia z arabskiej dynastii Karmatydów.

Rob stał w pełnej uszanowania pozie, myślami jednak był daleko – powtarzał w pamięci to, czego się ostatnio uczył o wpływie na organizm ludzki czterech żywiołów, ich cechach rozpoznawalnych dotykiem i odpowiadających im temperamentach: sangwinicznym, flegmatycznym, cholerycznym i saturnicznym. Następnie wyobraził sobie kolejno części oka opisane przez Humajna. Potem powtórzył sobie w pamięci właściwości siedmiu ziół, siedem sposobów leczenia zimnicy i osiemnaście skutecznych na gorączkę. Przepowiedział nawet w duchu kilka razy pierwsze dziewięć wersetów trzeciej sury Koranu zatytułowanej „Rodzina Imrana”. Zaczęło mu to właśnie sprawiać przyjemność, gdy jego uwagę przyciągnęły ostre słowa skierowane do Chuffa przez władczego siwego starca na nerwowym kasztanie.

– Zepchnięto mnie na koniec jako Seldzuka. To rozmyślna obraza mojego ludu!

– Zawsze ktoś musi być ostatni, wasza wysokość – odparł ze spokojem Dowódca Bram.

Turek na wielkim koniu próbował go ominąć i podjechać do tronu. Szpakowaty żołnierz postanowił jednak udać, iż to koń poniósł; złapał za uzdę i trzepnął wierzchowca po chrapach, aż ten zarżał i cofnął się. Jego żołnierze szybko opanowali kasztana, a Chuff pomógł starcowi zsiąść, choć niezbyt delikatnie, i doprowadził go do tronu.

Obrażony Seldzuk nie padł na twarz, złożył tylko pokłon i zgrzytliwym głosem przekazał szachowi pozdrowienia od swego wodza, Togrul Bega. Nie miał ze sobą żadnych darów.

Nie zaszczycił go ani słowem, szach odprawił go chłodnym skinieniem ręki. Na tym zakończyła się część oficjalna. Rob

pomyślał, że gdyby nie ta awantura i srające lwiątko, na dworze byłoby potwornie nudno.

Rob chętnie by sobie przytulnie urządził mały domek otrzymany w darze od szacha Ali. Zajęłoby mu to co najwyżej kilka dni – cóż, kiedy każda godzina była niewymownie cenna, wciąż brakowało mu czasu, toteż okiennica nadal była pęknięta, w tynku ziały dziury, morelowe drzewka pozostały nieprzycięte, a w ogrodzie pleniły się chwasty.

U Hindy, kramarki z żydowskiego targu, kupił trzy mezusy, drewniane tulejki ze zwiniętymi wewnątrz skrawkami pergaminu zawierającymi Pismo. One również były częścią przebrania; przytwierdził je do prawej futryny każdych drzwi, nie mniej niż o dłoń od góry, tak jak przybijano je na drzwiach żydowskich domów w Triawnie.

Znalazł niedaleko stolarza Hindusa, któremu dokładnie opisał, co chce dostać, wspomagając się rysunkami patykiem na ziemi. Zręczny rzemieślnik bez trudu zbił mu prosty stół i sosnowy zydel w europejskim stylu. Zakupił parę miedzianych garnków. Z reszty wygód zrezygnował; iście mógłby żyć jak pustelnik w jaskini.

Zbliżała się zima. Po południu wciąż było gorąco, lecz nocami od okna ciągnął zimny powiew, zwiastując zmianę pór roku. Na ormiańskim rynku Rob znalazł tanie owcze skóry, pod którymi co wieczór wygodnie się mościł.

W piątek wieczorem jego sąsiad, szewc Jakub ben Raszi, namówił, go, żeby przyszedł zjeść w jego domu szabasową wieczerzę. Mieszkali skromnie, lecz przytulnie, i z początku Rob czuł się u nich swobodnie. Naomi, żona Jakuba, zakrywszy twarz odmówiła błogosławieństwo nad świecami. Dorodna córka szewca, Lea, podała na stół jadło – rybę, duszoną jagnięcinę, pilaw i wino – na przemian to skromnie spuszczać oczy, to znów uśmiechając się

do Roba. Była w wieku zdatnym do małżeństwa i dwukrotnie w ciągu wieczerzy Jakub napomknął o sowitym wianie. Wszyscy byli rozczarowani, kiedy Rob po posiłku podziękował i wrócił do swoich ksiąg.

Jego życie zaczęło się toczyć utartymi torami. Uczniowie madrasy obowiązani byli do uczestniczenia w nabożeństwach, w przypadku żydów jednak dotyczyło to ich własnych obrządków, toteż codziennie rano Rob szedł do synagogi. Znał już na pamięć hebrajskie modlitwy, choć wiele wciąż pozostawało dlań zlepkiem niezrozumiałych sylab. Pomimo to kołyszając się w takt śpiewnej recytacji, łagodnie otrząsał się z resztek snu.

Ranki wypełniały mu wykłady z filozofii i religii, na które uczęszczał z obowiązku, lecz także wiele zajęć związanych bezpośrednio z medycyną. Po persku mówił coraz lepiej, chociaż wciąż się zdarzało, że w trakcie wykładu musiał szeptem prosić o przetłumaczenie jakiegoś słowa lub zwrotu. Czasem siedzący obok uczeń mu pomagał, a czasem nie.

Któregoś razu Sajjed Sadi, nauczyciel filozofii, użył słów: *gasztag daftaran*. Rob nachylił się do Abbasa Safiego.

– Co to jest *gasztag daftaran*?

Ale pulchny student tylko spojrzył na niego z przyganą i pokręcił głową.

Rob poczuł szturchnięcie w plecy. Kiedy się odwrócił, zobaczył za sobą Karima Haruna, który szczerząc w uśmiechu zęby, szepnął:

– Starożytny zakon uczonych w piśmie. Jego członkowie spisali dzieje perskiej astrologii i innych nauk.

Miejsce obok Karima było wolne. Pers wskazał je wymownie. Rob natychmiast się przesiadł i odtąd, gdy tylko Karim był na wykładzie, siadał obok niego.

Najbardziej lubił popołudnia spędzane w maristanie. Jeszcze większą przyjemność zaczęły mu sprawiać, kiedy w trzecim miesiącu przyszła na niego kolej badać przyjmowanych do lecznicy chorych. Na początku zdumiała go skomplikowana procedura. Al-Dżuzdzani wytłumaczył mu, jak należy to robić.

– Słuchaj bacznie – rzekł – bo to ważne zadanie.

– Słucham, hakimie.

Nauczył się zawsze z wielką uwagą przysłuchiwać Al-Dżuzdzaniemu, bo prędko się przekonał, że po Ibn Synie był on w maristanie najlepszym medykiem. Rob wiedział od kilku osób, że Al-Dżuzdzani przez większość życia był przybocznym i pomocnikiem Ibn Siny, roztaczał jednak własny, zasłużony autorytet.

– Musisz zapamiętać, a najlepiej zapisać całą historię choroby i przy najbliższej okazji omówić ją szczegółowo ze starszym medykiem.

Każdego chorego pytano o zawód, zwyczaje, styczność z chorobami zakaźnymi, a także czy nie uskarża się na bóle w piersi, brzuchu lub drogach moczowych. Rozbierano go do naga, skrupulatnie badano plwocinę, treść wymiotów, mocz i kał, sprawdzano tętno i ciepłotę skóry.

Al-Dżuzdzani nauczył Roba, jak przesuwając jednocześnie dłońmi po obu rękach pacjenta, a następnie nogach i bokach. W ten sposób, mając do porównania drugą stronę, łatwo było wyczuć guz lub opuchliznę. Pokazał mu też, jak opukiwać pacjenta krótkimi mocnymi uderzeniami palców, wykrywając chorobę po odbiegającym od normy dźwięku. Większość tych sposobów była dla Roba nowością, ale bez trudu się do nich wdrożył – od lat przecież miał styczność z chorymi.

Trudności zaczynały się wczesnym wieczorem, kiedy wracał do Jahudii. Pragnienie nauki zmagало się w nim wówczas z potrzebą snu. Grek Arystoteles przy bliższym poznaniu okazał się mędrce, a przy okazji Rob się przekonał, że jeśli temat jest ciekawy, nauka przestaje być obowiązkiem, a staje się przyjemnością. Było to doniosłe odkrycie i chyba tylko ono dodało mu sił do ciężkiej pracy, wkrótce bowiem Sajjed Sadi zadał mu Platona i Heraklita, al-Dżuzdżani zaś – tak nonszalancko, jakby prosił o dorzucenie do ognia – kazał mu przeczytać dwanaście ksiąg „Historii naturalnej” Pliniusza, dotyczących medycyny, aby jak się wyraził, w przyszłym roku Rob opanował Galena.

Poza tym wciąż wisiał nad nim Koran. Im więcej zapamiętywał, tym bardziej rósł w nim opór. Koran, niezmienny od lat oficjalny zbiór nauk Mahometa, powtarzał wciąż to samo, nie pozostawiając przy tym suchej nitki na żydach i chrześcijanach.

Mimo to Rob się zaparł. Sprzedał osła i muła, by nie tracić czasu na ich obrządzanie, posiłki zjadał w biegu, ledwie czując smak, i nie pozwalał sobie na żadne zbytki. Co noc czytał, dopóki mógł. Nauczył się wlewać do lampy jak najmniej oliwy, żeby gasła sama, gdy opadnie mu głowa i zaśnie nad książkami. Teraz wiedział, dlaczego Bóg dał mu takie duże mocne ciało i dobry wzrok. Spisywały się nieźle, choć eksploatował je do granic możliwości, wprzęgnawszy w służbę umysłu.

Któregoś wieczora poczuł, że dłużej nie wytrzyma – musi gdzieś wyjść. Wymknął się z domu i rzucił w nocne życie majdanów. Dotąd poznał wielkie miejskie place za dnia, gdy prażyło je słońce, a nieliczni ludzie przecinali je spiesznie albo spali skuleni w skrawkach cienia. Nocą kipiały życiem, hałaśliwą zabawą gminu.

Miał wrażenie, że wszyscy mówią i śmieją się naraz – hałas mógłby zagłuszyć kilka jarmarków w Glastonbury. Widok

śpiewających żonglerów zręcznie posługujących się pięcioma piłkami ożywił w nim wspomnienia na poły zapomnianych czasów; miał ochotę się do nich przyłączyć. Muskularni zapaśnicy wysmarowani łożem, który miał utrudnić chwyt przeciwnikowi, zmagali się na środku placu. Widzowie wrzaskliwie udzielali im porad i robili zakłady. Gdzie indziej kukiełkowy teatrzyk wystawiał sprośną sztukę, akrobaci wywijali kozły, a sprzedawcy jadła i innych towarów zabiegali o klientów.

Rob zatrzymał się przy oświetlonym pochodniami kramie, na którym leżało kilka ksiąg. Podniósł pierwszą z brzegu. Był to zbiór rysunków przedstawiających mężczyznę i kobietę w umiejętnie oddanych pozycjach miłosnych, z jakimi nie zetknął się dotąd nawet w wyobraźni.

– Całe sześćdziesiąt cztery w obrazkach, panie – rzekł sprzedawca.

Rob nie miał najmniejszego pojęcia, o jakich sześćdziesięciu czterech mowa. Wiedział, że prawo islamu zakazuje sprzedawania i posiadania wizerunków ludzi, albowiem Koran głosi, że jedynym stwórcą żywych stworzeń jest Allah, niech będzie pochwalony. Księga jednak go zaciekawiła, a że nie była bardzo droga, kupił ją.

Wszedł do gwarnej gospody i kazał sobie podać wina.

– Nie ma wina. To czajchana – oznajmił mu sługa o zniewieściałych ruchach. – Mamy czaj, szербet albo wodę różaną z kardamonem.

– Co to jest czaj?

– Cudowny napój. Pochodzi, jak mi się zdaje, z Indii... a może przywożą go Jedwabnym Szlakiem.

Rob zamówił więc czaj i słodycze.

– Mamy tu ustronną izbę. Życzysz sobie chłopca, panie?

– Nie.

Napój był gorący, miał bursztynowy kolor i cierpki, ale trudny do określenia smaku. Rob nie mógł się zdecydować, czy w nim zagustuje, za to słodczyce były wyśmienite. Z galerii nad arkadami dobiegała łzawa melodia. Zerknąwszy na drugą stronę placu, stwierdził, że grają ją lśniące, długie na osiem stóp miedziane trąby. Siedział w mrocznej czajchance, pił herbatę i przyglądał się ludziom, dopóki na środek nie wyszedł opowiadacz, częstując klientów historią Dżamszida, czwartego króla bohatera. Ponieważ dawne dzieje pociągały Roba niewiele bardziej niż miłość z chłopcami, zapłacił i przepchnął się przez tłum na skraj placu. Tam przystanął, mierząc wzrokiem zaprzężone w muły powoziki, które objeżdżały majdan dookoła. Słyszał już o nich od kolegów z madrasy. W końcu się zdecydował i skinął na dobrze utrzymany wóz z wymalowaną na drzwiczkach lilią.

W środku było ciemno. Kobieta zaczęła, aż muły ruszą, i dopiero wówczas przysunęła się do niego. Kiedy wzrok Roba przywykł do ciemności, zobaczył, że była stara, mogłaby być jego matką. Ale dobrze знаła swe rzemiosło i nie udając wielkiej namiętności, zaspokoiła go delikatnie i umiejętnie. Potem pociągnęła za sznur, dając znak, że skończyli. Siedzący na koźle rajfur zatrzymał powóz.

– Zawieź mnie do Jahudii – zawołał do niego Rob. – Zapłacę za jej czas.

Leżeli przyjaźnie w siebie wtuleni, kołysząc się w takt ruchu powozu.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Lorna.

Nie zapytała o jego imię. Byłoby to wbrew zasadom.

– Ja jestem Jesse ben Beniamin – przedstawił się.

– Miło cię poznać, *zimmi* – powiedziała nieśmiało i dotknęła jego karku. – Mięśnie masz napięte jak postronki. Czego może się bać taki młody olbrzym?

– Obawiam się, że jestem wołem, a powinienem być lisem. – Uśmiechnął się w ciemnościach.

– Nie jesteś wołem. Już ja o tym wiem – stwierdziła sucho. – Czym się zajmujesz?

– Uczę się na medyka.

– U Księcia? Mój krewniak jest kucharzem jego pierwszej żony, odkąd Ibn Sina przybył do Isfahanu.

– Znasz imię jego córki? – zapytał po chwili.

– On nie ma dzieci. Ma dwie żony. Reziję Pobożną, starą i chorą, i Despinę Brzydką, która wbrew imieniu jest młoda i piękna. Ale żadnej z nich Allah, niech będzie pochwalone imię Jego, nie pobłogosławił dzieckiem.

– Ach tak – bąknął Rob.

W drodze do Jahudii jeszcze raz skorzystał z jej usług, po czym wskazał woźnicy drogę do swego domu. Nie poskąpił zapłaty; dzięki tej eskapadzie mógł znów zapalić lampę i stawić czoło swym najlepszym kochankom i najgroźniejszym przeciwniczkom – księżom.

42

Rozrywki królewskie

Rob żył w ludnym mieście, trochę jednak jak pustelnik. Rano spotykał się z kolegami, wieczorem z nimi rozstawał. Wiedział, że Karim, Abbas i kilku innych mieszka w madrasie. Mirdin i pozostali Żydzi mieli zapewne domy gdzieś w Jahudii, ale nie wyobrażał sobie, jak wygląda ich życie poza szkołą i szpitalem.

Możliwe, że podobnie do jego życia – wypełnione nauką. Sam miał za mało czasu, aby doskwierała mu samotność.

Przez dwanaście tygodni przyjmował nowych pacjentów w maristanie; potem przydzielono mu obowiązek, którego serdecznie nie znosił – asystę przy wyrokach wykonywanych na polecenie kalandara.

Pierwszego dnia omal nie dostał torsji znalazłszy się na więziennym dziedzińcu przy karkanach. Strażnik jednak wprowadził go do lochu, w którym jęczał głośno jakiś człowiek. Nie miał prawej dłoni; kikut owinięto szmatą owiązaną konopnym sznurem. Wylewało się z niej potwornie opuchnięte ramię.

– Słyszysz mnie? – Rob przykucnął obok chorego. – Jestem Jesse.

– Tak, panie – wybełkotał więzień.

– Jak cię zwa?

– Dżahel.

– Dżahelu, kiedy odcięto ci rękę?

– Dwa tygodnie temu – wtrącił strażnik.

Zdjawszy szmatę Rob zobaczył okład z końskiego łajna. W balwierskiej praktyce często takie widywał i wiedział, że metoda ta rzadko pomaga, a przeważnie szkodzi. Strząsnął nawóz. Ramię nad raną przewiązane było kolejnym kawałkiem sznurka, który wpił się w opuchnięte ciało, tamując dopływ krwi. Rob przeciął sznurek, ostrożnie obmył kikut, nasmarował go mieszanką drzewa sandałowego z wodą różaną i zamiast gnoju obłożył kamforą. Kiedy odchodził, Dżahel wciąż jęczał, ale jakby z ulgą.

To jednak było jego najprzyjemniejsze przeżycie tego dnia. Następnie bowiem wrócili na dziedziniec, gdzie właśnie się rozpoczęło wymierzanie kar. Widział je już kiedyś, zamknięty w karkanie, tylko że wtedy wmówił sobie, że to sen. Teraz też nie

mógł uciec, tkwił jak wryty pośród mułłów, którzy intonowali modły, gdy umięśniony kat unosił wielki zakrzywiony miecz.

Więzień osądzony za podżeganie i bunt został ciśnięty na kolana. Jego poszarzała twarz oparła się na pniu.

– Miłuję szacha, oby żył wiecznie! Całuję jego święte stopy! – krzyknął próbując uratować życie. Nikt go jednak nie słuchał. Miecz świsnął gładko i głowa skazańca potoczyła się pod karkan z oczyma jeszcze wytrzeszczonymi ze strachu.

Zwłoki usunięto i wprowadzono młodzieńca przyłapanego z cudzą żoną. Oprawca wziął długi wąski sztylet i rozpruł mu brzuch z lewa na prawo, wypuszczając wnętrzności na ziemię.

Na szczęście tego dnia nie tracono morderców skazanych na rozciąganie i ćwiartowanie, a następnie rzucanych psom i sępom.

Rob był potrzebny przy łagodniejszych karach. Pierwszy był złodziej, chłopiec jeszcze, który ze strachu i bólu popuścił w portki, gdy odcinano mu dłoń. Obok stał sagan gorącej smoły, lecz obeszło się bez niej – duża siła ciosu zasklepiła naczynia, wystarczyło obmyć i opatrzeć kikut.

Więcej kłopotu miał z tęgą zapłakaną niewiastą skazaną za drwiny z Koranu. Ponieważ dopuściła się ich już po raz drugi, wyrwano jej język. Długo krzyczała, dławiąc się krwią, nim Rob zdołał zatamować krwotok.

Czuł, jak kipi w nim nienawiść do islamskiej sprawiedliwości i sądów Kandrasy.

– Oto jedno z waszych najważniejszych narzędzi – rzekł z namaszceniem Ibn Sina, podnosząc w górę szklane naczynie na mocz. Miało dzwonowaty kształt i szeroki wywinięty kołnierz. Ibn Sina sam nauczył wydmuchiwać sporządzać takie dla szpitala.

Rob wiedział, że jeśli w moczu jest krew lub ropa, świadczy to o chorobie. Ale Ibn Sina wykładał o nim już przez dwa tygodnie!

Jest rzadki czy stężony? Godzinami omawiali niuanse zapachu: czy czuje się w nim jakby słodycz? Woń kredy wskazującą na kamice? Kwaśny odór suchot? A może tylko smrodek gnijącej trawy, charakterystyczny po zjedzeniu szparagów?

Obficie wydzielany mocz pomagał ciału pozbyć się choroby; skąpy świadczył, że trawi je wewnętrzna gorączka.

Ibn Sina nauczył ich patrzeć na barwę moczu okiem malarza, rozróżniać dwadzieścia jeden odcieni od prawie bezbarwnego przez żółć, ochrę i brąz do niemal czerni. Barwa wskazywała na zawartość różnych nierozpuszczalnych składników.

Po co tyle gadania o szczytach? – pomyślał znudzony Rob i spytał:

– Dlaczego mocz jest taki ważny?

– Pochodzi z wnętrza ciała, gdzie się dzieją ważne rzeczy – odparł mistrz z uśmiechem i odczytał uczniom fragment z Galena o tym, że mocz wydzielany jest przez nerki: „Wie o tym każdy rzeźnik, ogląda bowiem co dzień położenie nerek i moczowód biegnący z każdej do pęcherza, a zbadawszy ich budowę wnioskuje, czemu służą i jaka jest natura ich działania”.

Rob był zły. Czy naprawdę muszą się uczyć od rzeźników i oglądając zdechłe owce lub świnie zgadywać, jak zbudowany jest człowiek? Skoro tak ważna jest wiedza, co dzieje się w jego wnętrzu, dlaczego tam nie zajrzą? Mułowie nie czepiają się ladacznicy i pijaków; czemu mieliby się ich bać medycy? Stawką była przecież wiedza. Jakoś nikt nie protestował, gdy bez oglądania się na życie wieczne odcinano więźniom głowy, ręce i języki albo wypruwano flaki!

Nazajutrz rano dwóch pałacowych gwardzistów z oddziału Chuffa przyjechało do niego zaprzężonym w muła wozem pełnym wszelakiego jadła.

– Jego najdoskonalsza wysokość jedzie dziś w odwiedzinie i żąda, byś mu towarzyszył, panie – oznajmił jeden z żołnierzy.

Rob był ciekaw, o co tym razem chodzi.

– Dowódca Bram prosi o pośpiech. – Żołnierz chrząknął znacząco i dodał: – Powinieneś, panie, przebrać się w najlepsze szaty.

– Mam je na sobie – odparł Rob, sadowiac się na workach z ryżem.

Wyjechali z miasta taborem, w którym byli dworzanie konno i w lektykach, a także wozy z ekwipunkiem i żywnością. Rob, choć zajmował w tym orszaku poślednie miejsce, czuł się jak król – ostatecznie nikt go jeszcze nie wiozł drogami specjalnie wysypanymi świeżym żwirem i skropionymi wodą. Połowa traktu, którą miał jechać szach, zasłana była kwiatami.

Celem podróży okazał się dom dalekiego krewniaka Ali – Rotuna ibn Nasra, naczelnego wodza i honorowego zwierzchnika madrasy.

– To on – żołnierz wskazał rozpromienionego grubasa, który gestykulując szeroko, wygłaszał kwiecistą mowę.

Dwór był pięknie położony wśród rozległych gruntów. W wypielegnowanym ogrodzie pluskała marmurowa fontanna. Wokół niej rozłożono na ziemi złotolite kobierce i bogato haftowane poduszki. To tu właśnie rozpoczynało się przyjęcie. Słudzy niemal biegiem roznosili bakalie, ciasta, dzbany aromatycznych win i innych napojów. Przed furtą w ogrodowym murze stał eunuch z obnażonym mieczem, strzegąc Trzeciej Bramy prowadzącej do haremu. Zgodnie z prawem miał tam wstęp jedynie pan domu. Robert widział niedawno, co czekało intruzów, toteż skwapliwie skierował się w przeciwną stronę. Żołnierze, którzy go

tu przywieźli, zaprzeczyli, gdy spytał, czy ma im w czymkolwiek pomóc, ruszył więc spacerkiem przed siebie. Po chwili wyszedł z ogrodu na przylegające doń błonie gdzie – jak się okazało – kłębił się tłum szlachealnych gości, sług i całej armii kuglarzy, którzy równocześnie przedstawiali swoje sztuki.

Zgromadzono tu ponadto arystokrację wśród czworonogów. Co dwadzieścia kroków stał wspaniały arabski ogier mlecznobiałej maści. Robert nigdy nie oglądał równie pięknych zwierząt: smukłe, nerwowe, patrzyły nań zuchwale ciemnymi oczyma. Ich rzędy zdawały się pochodzić z bajkowego skarbcza. Dwa wysadzone były szmaragdami, dwa rubinami, trzy brylantami, a trzy innymi kamieniami, których nazw nie znał. Złotolite czapraki naszywane perłami spływały niemal do ziemi. Każdego konia uwiązano sznurem splecionym z jedwabiu i złota do wbitego w ziemię grubego złotego kołka zakończonego pierścieniem.

Trzydzieści kroków dalej na szkarłatnych dywanach wylegiwały się uwiązane w podobny sposób dzikie koty – dwa lwy, tygrys i lampart. Każdy miał przed sobą wodę w złotej misie. Jeszcze nieco dalej w zagrodzie tuliło się trwożnie stadko białych antylop o długich, prostych jak strzały rogach, całkiem niepodobnych do angielskich jeleni. Wielkie koty popatrywały na nie sennie spod zmrużonych powiek.

Rob minął je prędko, nie zaszczycił też uwagą zapaśników, łuczników i ludzi potykających się na różną broń, przywabiło go bowiem co innego. Po chwili stanął na odległość ręki przed pierwszym oglądanym w życiu żywym słoniem.

Zwierzę było olbrzymie; znacznie większe, niż sądził po brązowych rzeźbach widzianych w Konstantynopolu. Wzrostem przewyższało dwukrotnie rosnącego mężczyznę. Podpierały je cztery masywne, słupowate, tępo zakończone nogi. Pomarszczona skóra –

szarawa, usiana różowawymi plamami przypominającymi kępy porostu na skale – wydawała się nań za luźna. Grzbiet wznosił się łukowato nad barkami i zadem, u którego zwisał niczym powróż ogon zakończony pęczkiem włosów. W olbrzymim łbie ślepie, choć nie mniejsze od końskich, wydawały się maleńkie. Na ściętym czole zwierzę miało dwie bulwy, jakby próbowały mu się wyróżnić rogi. Słoń wachlował się lekko uszami wielkości tarcz, ale tym, co najbardziej zafascynowało Roba, był jego nos, dłuższy i grubszy od ogona.

Zwierzęciu towarzyszył drobny Hindus w przepasanej szarfą szarej koszuli, nogawicach i białym turbanie. Zagadnięty, odpowiedział, że nazywa się Harsza i jest mahutem, czyli opiekunem słoni. Ten tutaj był bojowym wierzchowcem szacha i nazywał się Zu, a właściwie Zulkarnain, czyli Dwurogi. Imię to jednak nie miało związku z wybrzuszeniami na czole, a z potężnymi kłami sterczącymi z górnej szczęki słonia.

– Gdy ruszamy do boju – rzekł dumnie Hindus – Zu ma na sobie zbroję, a do kłów przymocowane długie ostre miecze. Potrafi zabijać; gdy zaś jego wysokość szarżuje, Zu trąbi tak głośno, że wrogom krew krzepnie w żyłach.

Mahut popędził służących, którzy nosili wiadrami wodę. Napełniali nią złoty ceber, a słoń wciągał ją nosem i dopiero z nosa wlewał do paszczy. Rob tkwił przy nim dotąd, aż bębny i cymbały obwieściły przybycie szacha. Wówczas wraz z innymi wrócił do ogrodu.

Prosta biała szata Ali ad-Dauli wyróżniała się na tle tłumu przybranego w najkosztowniejsze tkaniny. Szach powitał skinieniem głowy zgiętych w pokłonie gości i zajął miejsce na zdobnym tronie nieopodal fontanny.

Występ rozpoczęli szermierze walczący na szable z taką gracją, że zdawać się mogło, iż tańczą do wtóru dźwięcznych uderzeń stali o stal. Zakrzywiona, lżejsza od angielskiego miecza broń wymagała od wojownika wprawy i siły, za to pięknie spisywała się przy cięciu. Rob szczerze żałował, gdy pokaz dobiegł końca.

Akrobaci pokazali spektakl przedstawiający siew. Rob przyglądał mu się z zawodową ciekawością. Zauważył oczywiście, jak jeden z kuglarzy uchylił chustę okrywającą „zasiane” ziarno i wetknął w ziemię liściastą gałązkę – uczynił to zaś w chwili, gdy pozostali utworzyli wyjątkowo efektowną piramidę. Rob znał te sposoby odwracania uwagi widzów, toteż zaśmiał się, gdy zdumionymi okrzykami powitali „magicznie” wyrosłe drzewko.

Po akrobatach wystąpili zapaśnicy, ale szach się nudził. Zażądał, by mu podano jego łuk. Bawił się nim niby od niechcienia, pokazując dworakom, jak łatwo naciąga ciężką broń. Siedzący najbliżej wyrażali półgłosem podziw; inni korzystali ze swobodniejszej atmosfery, oddając się pogawędkom. Rob domyślił się, dlaczego go zaproszono. Był takim samym egzotycznym dziwadłem jak wystawione tu zwierzęta. Persowie zasypywali go pytaniami:

– Czy macie szacha w... w tym waszym kraju?

– W Anglii. Mamy króla; zwie się Kanut.

– Czy twoi rodacy walczą konno? – zainteresował się jakiś starzec o mądrym spojrzeniu.

– To wielcy wojownicy i doskonali jeźdźcy – przytaknął skwapliwie Rob.

– Jaką tam macie pogodę?

Wyjaśnił, że chłodniejszą i bardziej deszczową.

– A jedzenie?

– Inne niż wasze. Mniej przypraw, bez pilawu...

Tym ich zaskoczył.

– Bez pilawu! – prychnął pogardliwie stary człowiek.

W ich pytaniach więcej było zaciekawienia niż życzliwości, toteż czuł się między nimi dotkliwie osamotniony.

Szach niecierpliwie zerwał się z tronu.

– Chodźmy lepiej do koni! – zawołał.

Tłum popłynął za nim na błonie, pozostawiając zmagających się zapaśników.

– Zagrajmy w piłkę i kij! – podniosły się głosy.

– Grajmy – zgodził się szach.

Wybrał trzech mężczyzn do swojej drużyny i czterech do przeciwnej. Stajenni podprowadzili im mocne kuce, co najmniej o dłoń niższe od pięknych białych rumaków. Gdy gracze siedzieli już w siodłach, każdy dostał długą, zagiętą na końcu laskę.

Na przeciwległych krańcach pola stały po dwa kamienne słupy, rozstawione na odległość ośmiu kroków. Obie drużyny rozjechały się prędko i ustawiły rzędem, każda przed swoją bramką niczym dwa wrogie wojska. Oficer gwardii szacha mający pełnić rolę sędziego stanął z boku i pchnął na środek pola drewnianą kulę wielkości jabłka.

Puszczone galopem konie pomknęły ku sobie jak strzały, jeźdźcy krzyknęli unosząc kije. Widzowie też zaczęli krzyczeć.

Boże! – pomyślał Rob ze zgrozą. Oni się pozabijają!

Trzy konie wpadły na siebie z mdlącym łomotem, jeden przewrócił się zrucając jeźdźca i potoczył po ziemi. Szach zamachnął się kijem i mocno uderzył drewnianą piłkę. Leżący koń rżał przeraźliwie, usiłując się dźwignąć na złamanej pęcinie. Podbiegło kilku stajennych, poderżnęli mu gardziel i zwlekli z pola, zanim jeszcze jeździec stanął na nogi. On także ucierpiał; prawą ręką

podtrzymywał lewe ramię, uśmiechając się mężnie przez zaciśnięte zęby.

Rob podbiegł do niego, obawiając się złamania.

– Czy trzeba ci pomóc, panie? – zapytał.

– Jesteś medykiem?

– Balwierzem i uczniem w maristanie.

Szlachcic spojrział na niego z jawną odrazą.

– Też coś! – prychnął. – Wezwijcie al-Dżuzdżaniego – rzekł, gdy go odprowadzano.

Inny jeździec natychmiast zastąpił go w grze. Obie strony zdawały się nie pamiętać, że to zabawa, nie wojna: starając się wywalczyć piłkę przepychały się końmi, ryzykownie wymachując kijami w kłębowisku ludzkich i zwierzęcych ciał bez specjalnych względów nawet dla własnych wierzchowców. Szach często sięgał do piłki pod brzuchem swego konia albo tuż za jego tylnymi kopytami.

Władca nie miał w grze żadnych forów. Ludzie, którzy w normalnych warunkach zapłaciliby życiem za najdrobniejszy objaw braku uszanowania, teraz bez pardonu walczyli z nim o piłkę. Z pomruków i szeptów widzów Rob wnioskował, że byliby uradowani, gdyby szach spadł z konia.

Ala ad-Daula nie dał im jednak tej satysfakcji. Tak jak pozostali jeździł brawurowo i z oszałamiającą wprawą. Mając zajęte ręce, kierował koniem za pomocą kolan i mimo swobodnej na pozór pozycji trzymał się w siodle pewnie jak przyrośnięty. Takiego mistrzostwa Rob jeszcze nie widział. Poczul wstyd na myśl o starcu, któremu z taką dumą przedstawiał kunszt angielskich jeźdźców.

Konie także były godne podziwu: biegały za piłką pełnym galopem, a ściągnięte, potrafiły zawrócić w miejscu i z tą samą prędkością ruszyć w przeciwną stronę. Nieraz zdawało się, że tylko

cud ustrzegł graczy i wierzchowce od roztrzaskania się o kamienne słupy bramki.

W powietrzu unosił się gęsty kurz, widzowie chrypli od wrzasku. Ilekroć ktoś trafił piłką między słupy, grzmiały bębny i cymbały. Kiedy drużyna szacha zdobyła piąte trafienie przeciwko trzem, gra dobiegła końca. W oczach Ali błyszczało zadowolenie – sam zdobył dwa punkty. Dla uczczenia wyniku po odprowadzeniu kuców uwiązano na boisku dwa byki i spuszczone z uwięzi dwa młode lwy. Rob nie rozumiał, dlaczego nie doszło do walki – w tejże bowiem chwili słudzy ogłuszyli byki toporami. Dopiero po chwili pojął, że lew jest symbolem władcy, Lwa Persji – nie mógł zatem ponieść szwanku, nawet przypadkiem.

W ogrodzie do wtóru piszczałek tańczyły cztery zawołowane kobiety, kołysząc miękko ciałami. Poeta śpiewał pieśń o hurysach, namiętnych dziewicach oczekujących wojownika w raj.

Imam Kandrasa nie mógłby wniesć zastrzeżeń co do stroju tancerek; choć bowiem spomiędzy luźnych, zwiewnych szat co chwilę wyłaniał się to skrawek pośladka, to jędrnej piersi, formalnie odsłonięte były tylko natarte czerwoną henną ruchliwe dłonie i stopy. Mężczyźni patrzyli na nie łakomie, myśląc o innych pomalowanych henną miejscach, osłoniętych czarnymi szatami.

Po pewnym czasie szach Ala wstał, opuścił gości zgromadzonych przy fontannie i nie zważając na eunucha z mieczem, wszedł do haremu. Chyba tylko Rob się za nim obejrzał. Chuff, Dowódca Bram, natychmiast stanął na straży wraz z eunuchem. Śmiechy zabrzmiały głośniejsz; Rotun ibn Nasr, gospodarz tego wspaniałego przyjęcia i pan domu, opowiadał właśnie dowcip, jakby nieświadom tego, że król na oczach całego dworu udał się do jego żon.

A więc tego można się spodziewać po najpotężniejszym władcy świata? – pomyślał Rob.

Po godzinie szach wrócił w doskonałym humorze. Chuff dyskretnie usunął się sprzed Trzeciej Bramy i dał znak, że można rozpocząć ucztę.

Na obrusach z kumeńskich tkanin rozstawiono piękne delikatne misy, wniesiono cztery rodzaje chleba i jedenaście rodzajów pilawu w srebrnych naczyniach, tak wielkich, że jedno zaspokoiłoby głód wszystkich gości. Każdy był innego koloru i smaku – ryż przyprawiono szafranem, cukrem, różnymi gatunkami pieprzu, cynamonem, goździkami, rabarbarem, sokiem z granatów lub cytryn. Na czterech olbrzymich drewnianych tacach podano po tuzinie piezzonego ptactwa, na dwóch – duszone szynki antylopy, na jednej – wielką górę gotowanej baraniny, na kolejnych czterech – jagnięta upieczone w całości na rożnie, soczyste i chrupiące.

Ach, balwierz, szkoda, że cię tu nie ma – pomyślał Rob. On sam, nauczony ongiś przez smakosza cenić dobre jadło, zaczął mieć już dość żywienia się w pośpiechu, byle czym i byle jak, żeby zaoszczędzić czas na naukę. Teraz westchnął z rozkoszą i popuścił pasa, ochoczo próbując wszystkiego, co podano.

Gdy długie cienie zgęstniały, niewolnicy zapalili grube świece przytwierdzone do pancerzy żywych żółwi. Potem wniesli na drągach wielkie kotły – jeden z jajeczną leguminą, drugi z tłustym ziołowym bulionem, trzeci z ostro przyprawionym siekanym mięsiwem, a ostatni pełen pociętej na dzwonka smażonej ryby, białej i rozpadającej się na płatki jak płastuga, lecz delikatnej jak pstrąg.

Zmrok zgęstniał w ciemność; odezwały się nocne ptaki. Prócz nich słyhać było tylko rzucane mimochodem ciche uwagi, mlaskanie

i żucie. Od czasu do czasu poruszał się któryś żółw, światło przesuwało się i migotało niby drżący na wodzie blask księżyca.

Biesiadnicy ucztowali, zagryzając mięsa marynowanymi warzywami, a także głęboko karbowaną kapustą z ostrą zieloną papryką, jakiej Rob jeszcze nie kosztował. Przed każdym stała czarka słodko-kwaśnego szербetu, a na koniec słudzy wnieśli bukłaki z winem, puchary, ciasta, orzechy w miodzie i solone pestki.

Rob siedział sam, sącząc wino. Nie starał się włączyć do rozmów; przysłuchiwał się im tylko tak samo ciekawie, jak wcześniej kosztował potraw.

Opróżnione bukłaki słudzy zastępowali pełnymi z niewyczerpanych zapasów szacha. Ludzie wstawali, odchodzili na stronę załatwić się lub zwymiotować, niektórzy leżeli pijani do nieprzytomności.

Żółwie zbiły się w grupkę, pewnie ze strachu, tworząc sadzawkę światła w kącie mrocznego ogrodu. Młody eunuch o kobiecym, słodkim głosie grał na lirze i śpiewał o miłości wojownika, choć tuż obok niego kłócili się dwaj goście.

– Babski kiep! – warczał jeden.

– Żydowska gęba! – odpowiedział mu drugi.

Zwarli się i potoczyli na ziemię, szamocząc się, dopóki ktoś ich nie rozdzielił.

W końcu szach również zwymiotował, potem stracił przytomność i odniesiono go do powozu.

Rob także opuścił ogród. Nie było księżyca i wciąż potykał się na drodze wiodącej do miasta. Dziwnie rozgoryczony, przekornie ruszył pasem przeznaczonym dla szacha, a po chwili się zatrzymał i złośliwie jak dziecko nasikał na rozsypane kwiaty.

Mijali go konni i wozy, lecz nikt nie zaproponował mu podwiezienia, toteż powrót do Isfahanu zajął mu parę godzin.

Strażnicy w bramie miejskiej machnęli na niego ręką; i tak wpuszczali co chwilę wracających z przyjęcia maruderów.

W połowie drogi przez miasto Rob zatrzymał się, przysiadł na niskim murku i zadumał się nad tym przedziwnym miejscem, gdzie Koran wszystkiego zabraniał, a ludzie mimo to nie wzdragali się przed niczym; gdzie mężczyźni wolno było mieć cztery żony, lecz wielu ryzykowało życie, by przespać się z inną, a władca jawnie korzystał z cudzych kobiet. Prorok zakazał tym ludziom picia wina, lecz wielu grzeszyło tu pijaństwem, nie wyłączając szacha, w którego posiadaniu znajdowały się olbrzymie składy najprzedniejszych win.

– Nie do pojęcia! – mruknął i chwiejnym krokiem ruszył dalej pod barwiącym się już perłowo niebem, odprowadzany dźwięcznym głosem muezina z Meczetu Piątkowego.

43

Wyprawa

Ibn Sina przywykł do krakania Kandrasy. Imam nie miał władzy nad szachem, lecz jego doradców napominał coraz srożej, że pijaństwo i rozpusta sprowadzą na nich karę wymierzoną przez moc wyższą od królewskiej. Dla poparcia swych słów wezyr zbierał wieści zza granicy na dowód, że Allah wszechmocny wrze gniewem na wszystkich grzeszników świata.

Podróźni z Jedwabnego Szlaku donosili o trzęsieniach ziemi i chorobliwych miazmatach pomiędzy wielkimi rzekami chińskimi. W Indiach po roku suszy przyszły wprawdzie ulewne wiosenne deszcze, lecz wschodzące zasiewy zniszczyła szarańcza. Gwałtowne sztormy zalały wybrzeże Morza Arabskiego; wielu ludzi utonęło. Z kolei w Egipcie zbyt niski przybór Nilu spowodował klęskę głodu.

W Beludżystanie otworzyła się dymiąca góra wylewając rzekę płynnej skały. Dwóm mułom z Nainu ukazały się we śnie demony. Miesiąc przed ramadanem zaćmiła się część słońca, a potem całe niebo ogarnęła pożoga. Także nocą widać było na firmamencie dziwne ognie.

Ostateczny dowód gniewu Allaha przedstawili królewscy astrologowie, którzy z trwogą donieśli, że w ciągu dwóch miesięcy dojdzie do niespotykanej koniunkcji trzech głównych planet, Saturna, Jowisza i Marsa, w domu Wodnika. Spierali się o dokładną datę, nikt jednak nie kwestionował wagi tego zdarzenia. Nawet Ibn Sina słuchał tego z powagą, już bowiem Arystoteles pisał o groźnych skutkach koniunkcji Marsa z Jowiszem.

Należało się więc spodziewać najgorszego. I rzeczywiście niewiele później Kandrasa wezwał do siebie Ibn Sinę. Ranek był piękny i jasny, ale twarz imama okrywał mrok, gdy oznajmił medykwowi, że w Szirazie, głównym mieście Anszanu, wybuchła zaraza.

– Jaka to zaraza? – zapytał lekarz.

– Czarna śmierć.

Ibn Sina zbladł. Kurczowo czepiał się nadziei, że imam został wprowadzony w błąd – czarna śmierć omijała Persję od trzydziestu lat. Tymczasem jednak trzeba było działać.

– Wyślij zaraz żołnierzy na Korzenny Szlak, panie. Niech zawracają wszystkie karawany i podróżnych z południa. Trzeba wysłać medyków do Anszanu.

– Anszan niewiele wnosi do królewskiego skarbcza – zauważył imam.

Ibn Sina gwałtownie pokręcił głową.

– Stracimy więcej, jeśli zaraza się rozszerzy. Czarna śmierć jest szybka.

Nim wrócił do domu, zrozumiał, że nie może wysłać do Anszanu kilku medyków. Jeśli plaga dosięgnie Isfahanu, będą potrzebni tutaj. Musi wystarczyć jeden z grupą pomocników. W niecodziennych warunkach najlepsi i najsilniejsi rozwinają skrzydła. Zastanowił się przez chwilę, a potem wziął pióro, zamacał je w kałamarnicy i napisał:

Hakim Fazil ibn Parwiz – dowódca
Sulejman al-Gamal
Jesse ben Benjamin
Mirdin Askari

Po namyśle dodał do listy kilku najślabszych. Niechże wykorzystają tę wyjątkową, zesłaną przez Boga okazję, by się zrehabilitować i mimo wszystko osiągnąć sukces.

Omar Nehawend
Abbas Safi
Ali Raszid
Karim Harun

Gdy zawezwał do siebie ośmiu młodych ludzi i oznajmił, że wysyła ich do Anszanu naprzeciw czarnej śmierci, zmieszali się i pospuszczali oczy.

– Weźcie broń – napomniął ich Ibn Sina. – W czasie plagi ludzie zdolni są do wszystkiego.

Ali Raszid westchnął przeciągle. Ten pyzaty szesnastolatek o łagodnych oczach tęsknił za rodziną w Hamadanie tak bardzo, że nocami popłakiwał i nie mógł się skupić na nauce.

Rob uczynił wysiłek, by opanować myśli i zapamiętać to, co mówi medyk:

– ... Nie nauczymy was, jak z nią walczyć, bo nie było jej tu za naszego życia. Mamy jednak księgę spisana przed trzystu laty przez medyków, którzy przeżyli zarazę w różnych miejscach. Weźmiecie ją ze sobą. Zapewne wiele zawartych w niej wskazówek nie ma żadnej wartości, ale może się wśród nich znaleźć coś, co wam pomoże. – Ibn Sina pogładził brodę. – Możliwe, że śmierć powodują zgniłe wyziewy przenoszące się powietrzem. W takim razie powinniście palić wielkie ogniska z aromatycznego drewna. Zdrowi muszą obmywać się winem i octem, skrapiać octem sprzęty, wąchać kamforę i inne wonne substancje... Dotyczy to również was, którzy będziecie troszczyć się o chorych. Najlepiej zbliżając się do nich trzymajcie pod nosem nasączone octem gąbki. Pamiętajcie o gotowaniu wody przed wypiciem, żeby pozbyć się z niej nieczystości. I nie zapominajcie o czyszczeniu i obcinaniu paznokci, pod którymi, jak mówi Koran, kryje się diabeł...

Medyk odchrząknął.

– Ci, którzy przeżyją – podjął – nie mogą wrócić wprost do Isfahanu, bo mogliby przywlec tu zarazę. Zatrzymacie się w domu na Skale Ibrahima, dzień drogi na wschód od Nainu, a trzy dni stąd. Tam spędzicie miesiąc. Dopiero wówczas będzie wam wolno wrócić. Zrozumiano?

– Tak, panie – przemówił w imieniu wszystkich świeżo upieczony hakim Fazil ibn Parwiz. Głos mu drżał. Po policzkach Alego Raszida płynęły łzy. Przystojna twarz Karima Haruna pociemniała od złych przeczuć.

– Mam żonę i dzieci... – bąknął Mirdin Askari. – Muszę ułożyć sprawy, żeby zapewnić im byt, gdybym...

Ibn Sina skinął głową.

– Oczywiście. Pospieszcie się, macie tylko kilka godzin.

Rob nie wiedział, że Mirdin jest ojcem rodziny. Żyd nie był wylewny, choć zawsze rzeczowy i pewny siebie. Teraz jednak jego zbielejące wargi poruszały się w modlitwie. Rob też się bał, że nie wróci, choć starał się tego nie okazywać. Sarkastycznie pocieszył się w duchu, że dzięki zarazie ominie go przynajmniej kolejna tura w więzieniu.

– Jeszcze jedno. – Ibn Sina ogarnął ich ojcowskim spojrzeniem. – Zapisujcie wszystko bardzo dokładnie. Zaraza wcześniej czy później wróci i następni będą musieli stawić jej czoło. Pamiętajcie... gdyby przyszło najgorsze... żeby zostawić zapiski w takim miejscu, gdzie będzie je można odnaleźć.

Rano, gdy słońce czerwieniło dopiero wierzchołki drzew, kopyta ich wierzchowców zatętniły na moście nad Rzeką Życia. Każdy prowadził ze sobą ponadto jucznego luzaka.

Po pewnym czasie Rob poradził Fazilowi, by jeden z nich jechał przodem jako zwiadowca, a drugi nieco z tyłu, w ariergardzie. Młody hakim udał, że się zastanawia, po czym głośno wydał rozkazy.

Wieczorem Fazil przystał od razu na propozycję pełnienia na przemian straży. (Rob podpatrzył ten sposób w karawanie Fritty). Siedząc przy ognisku z gałęzi głogu, młodzi wędrowcy to wybuchali śmiechem, to zapadali w posępne milczenie.

– Moim zdaniem najmądrzejsze, co wymyślił Galen, to jego rady dla medyka w czasie zarazy – mruknął Sulejman al-Gamal. – Rzecz on, iż medyk winien uciekać od zarazy, jeśli bowiem przeżyje, dalej będzie mógł leczyć. Sam zresztą tak postąpił.

– Wielki medyk Razi ujął to zgrabniej – wtrącił Karim i zanucił:

*Na zarazę lekiem słowa krótkie trzy,
A brzmią one: „już”, „hen” oraz „gdy”.*

*Pakuj się już zaraz, jedź hen, jak najdalej,
Wróć, gdy będziesz pewien, że nic nie zagraża.*

Zaśmiali się hałaśliwie; zbyt głośno.

*

Pierwszy pełnił wartę Sulejman. Właściwie więc nie zdziwili się nawet, kiedy rano odkryli, że zniknął, zabierając swoje konie. Byli jednak zgorzeleni i ruszyli dalej w posępnych nastrojach.

Na następną wartę Fazil wyznaczył Askariego i był to dobry wybór – Mirdin pilnował ich rzetelnie. Ale trzeciej nocy Omar Nehawend wziął przykład z Sulejmana i uciekł razem z końmi.

Fazil zwołał towarzyszy.

– To nie grzech bać się czarnej śmierci – rzekł. – Gdyby tak było, my tu wszyscy już bylibyśmy potępieni. Nie jest też grzechem uciec; w końcu zrobił to i Galen, i Razi, choć ja osobiście zgadzam się z Ibn Siną: medyk powinien walczyć z zarazą, nie pierzchać przed nią. Ale pozostawienie towarzyszy niestrzeżonych to grzech. A jeszcze cięższym grzechem jest zabranie im luzaka z zapasami, które mogą być potrzebne chorym. – Popatrzył na nich surowo. – Powiadam więc: jeśli kto chce odejść, niech idzie teraz. Przysięgam na swój honor, że nie stanę mu na przeszkodzie i nie poczytam mu tego za hańbę.

Słyszeć było tylko ich oddechy. Nikt nie wystąpił.

– To prawda – ozwał się Rob po chwili. – Każdy z nas powinien mieć taką możliwość. Ale jeśli odchodząc zostawi nas niestrzeżonych i bezbronnych albo weźmie ze sobą żywność i leki, to tak jakby zdradził nas na polu bitwy. Takiego trzeba ścigać i zabić.

Milczeli przez chwilę.

– Też jestem tego zdania – rzekł Mirdin oblizując spierzchnięte wargi.

– I ja – poparł go Fazil.

– Zgadzam się – powiedział Abbas Safi.

– Ja też – wyszeptał Ali.

– I ja – zakończył Karim.

Każdy z nich wiedział, że nie jest to czaa pogrożka, lecz uroczysta przysięga.

Dwie noce później przypadła warta Roba. Biwakowali w skalistym wąwozie; światło księżyca ożywiało spiętrzone głazy, zmieniając je w groźne monstra. Długa noc spędzona w samotności stała się okazją do smutnych wspomnień, na ogół skutecznie wymazywanych z pamięci. Wspominał więc rodzeństwo i zmarłych rodziców. Wiele myśli poświęcił też kobiecie, której powiedział „żegnaj”

Przed świtem, gdy stał w cieniu wielkiego głazu opodal śpiących towarzyszy, zauważył, że jeden zbiera się do ucieczki. Karim Harun cichutko wymknął się z obozu, a znalazłszy się na otwartej przestrzeni, ruszył biegiem i wkrótce zniknął mu z oczu.

Karim nie wziął zapasów i nie zostawił towarzyszy bez opieki, toteż Rob nie próbował go zatrzymać. Poczuł jednak gorzki zawód: polubił tego przystojnego kpiarza, który od tylu lat usiłował zostać medykiem.

Może godzinę później wystraszył go odgłos zbliżających się kroków. Zerwał się dobywając miecza i... stanął nos w nos z Karimem, który zlany potem, dysząc ciężko, zagapił się na obnażoną broń.

– Widziałem, jak odchodzisz – wyjaśnił Rob. – Nie sądziłem, że wrócisz.

- No bo... - Karim z trudem łapał oddech - pobiegłem... i przybiegłem... bo... jestem biegaczem - wysapał patrząc z uśmiechem, jak Rob chowa miecz.

Karim biegał co rano i wracał spocony jak ruda mysz. Abbas Safi znał mnóstwo śmiesznych anegdot, śpiewał sprośne piosenki i potrafił naśladować każdego, nie wykazując przy tym ani krzty litości. Hakim Fazil był zapaśnikiem i kiedy siłowali się na popasach, tylko Rob i Karim mieli szansę podjąć z nim jakąkolwiek walkę. Mirdin okazał się doskonałym kucharzem i chętnie podjął się gotowania wieczornych posiłków. Młody Ali, który miał w sobie krew Beduinów, świetnie jeździł konno i najlepiej się czuł w roli zwiadowcy. Wypuszczał się daleko, a po powrocie w oczach błyszczały mu już nie łzy, lecz młodzieńczy entuzjazm, za który wszyscy go polubili.

Zżyli się ze sobą i długa podróż byłaby całkiem przyjemna, gdyby nie to, że w obozach i na popasach Fazil czytał im „Księgę zarazy” otrzymaną od Ibn Siny. Zawierała ona setki wskazówek różnych znanych medyków, którym się wydawało, że wiedzą, jak zwalczyć plagę. Niejaki Lamna z Kairu zalecał pojenie pacjenta jego własnym moczem i recytowanie przy tym inwokacji do Allaha, niech będzie pochwalone Jego imię. Z kolei Al-Hadżar z Bagdadu doradzał ssanie wonnych owoców, granatów lub śliwek, a ibn Mutillah z Jerozolimy wychwalał zalety soczewicy, indyjskiej fasoli, pestek dyni i czerwonej glinki. Metod było tyle, że oszołomieni ratownicy przestali w nich widzieć jakikolwiek sens. Ponadto Ibn Sina sporządził do księgi addenda, w których spisał zabiegi, jakie jemu wydawały się rozsądne: palenie silnie dymiących ognisk, zmywanie ścian wodą wapienną i spryskiwanie ich octem, podawanie ofiarom zarazy soków owocowych. Ostatecznie postanowili stosować się do rad nauczyciela, a inne zignorować.

Ósmego dnia na postoju Fazil wyczytał, że podczas epidemii czarnej śmierci w Kairze na każdym pięciu medyków czterech zmarło. Przygaszeni ruszyli w dalszą drogę, nie mogąc się oprzeć myśli, że ich los został przypieczętowany.

Nazajutrz rano wjechali do niewielkiej wioski. Nazywała się Nardiz; jak się okazało, byli już w Anszanie. Wieśniacy ugościli ich z szacunkiem, kiedy Fazil ogłosił, że są medykami z Isfahanu wysłanymi przez szacha na pomoc tym, których dotknęła zaraza.

– Tu jej nie było, hakimie – rzekł z ulgą naczelnik wioski. – Ale dochodzą nas słuchy, że śmierć i cierpienie szerzą się w Szirazie.

Pojechali dalej, gotowi na wszystko, ale w każdej z mijanych wsi ludzie byli zdrowi. W górskiej dolinie Naksz-e Rustam zobaczyli wykute w skale grobowce, w których spoczywało czterech kolejnych władców Persji. Dariusz Wielki, Kserkses, Artakserkses i Dariusz II patrzyli z tej omiatanej wiatrem doliny, jak przez tysiąc pięćset lat odchodzą w nicość zdobywcy, wojny i zarazy. Muzułmanie zatrzymali się, by odmówić modlitwę. Rob i Mirdin podeszli do jednego z grobowców, z podziwem odczytując wyryty napis:

*Jam jest Kserkses, król wielki, król królów,
władca rozlicznych ludów,
władca całego świata,
syn Dariusza króla, potomka Achemenesa.*

Nieco dalej minęli wielkie rumowisko potrzaskanych kolumn i kamiennych bloków. Rob dowiedział się od Karima, że było tu ongiś miasto zwane Persepolis, zniszczone przez Macedończyka Aleksandra dziewięćset lat przed narodzeniem ukochanego przez Boga Proroka.

Niedaleko ruin natknęli się na chłopską zagrodę. Panowała w niej cisza, tylko owce pobekując pasły się za chałupą. Ten swojski dźwięk niósł się wyraźnie w czystym powietrzu. Pod drzewem siedział pasterz, lecz gdy podjechali bliżej, zobaczyli, że jest martwy.

Fazil zbladł; siedział w siodle jak skamieniały. Widząc, że nikt inny też nie kwapi się ruszyć, Rob zsiadł w końcu z konia, by obejrzeć sztywne posiniałe zwłoki. Człowiek nie żył od dawna, wytrzeszczonych oczu nie dało się już zamknąć; zwierzęta poszarpały mu nogi i prawą dłoń. Przód koszuli był czarny od skrzepłej krwi. Rob rozciął ją nożem. Nie znalazł śladów zarazy, a kłutą ranę tuż nad sercem – na tyle dużą, że mogła pochodzić od miecza.

– Trzeba by się rozejrzeć – mruknął.

Dom był pusty. Na polu znaleźli szczątki kilkuset owiec, objedzone do czysta przez wilki. Ziemia była zdeptana; najprawdopodobniej zatrzymał się tu oddział wojska, który zabił pasterza i zabrał mięso.

Fazil wciąż patrzył przed siebie szklistym wzrokiem. Rob przejął więc dowodzenie: odciągnął ciało na bok i usypali nad nim kopiec z kamieni, żeby nie rozwłóczyły go zwierzęta. Potem z ulgą opuścili to miejsce.

Po pewnym czasie dotarli do pięknej posiadłości. Uprawne pola otaczały bogaty dwór, który też wyglądał na opuszczony. Pomimo to zsiadli z koni.

Karim załomotał do drzwi – raz, potem drugi. W końcu ktoś odemknął niewielką klapkę w drzwiach. Ujrzeni w niej jedno oko.

– Odejdźcie – dobiegł ich głos.

– Jesteśmy medykami. Jedziemy z Isfahanu do Szirazu – powiedział Karim.

– A ja jestem Izmail, kupiec. Z góry mogę wam powiedzieć, że w Szirazie pewnie już nikogo nie zastaniecie przy życiu. Siedem

tygodni temu najechali nas Seldżycy. Ludzie zbiegli wraz z kobietami, dziećmi i trzodą do Szirazu, za mury. Seldżycy oblegli miasto, ale że wybuchła pośród nich zaraza, odstąpili. Zanim jednak odeszli, z katapulty cisnęli za wały trupy zmarłych. Wyrzuciliśmy je zaraz, a gdy tylko poszli, spaliliśmy... ale było już za późno. Ludzie zaczęli chorować.

– Straszna ta zaraza? – Fazil odzyskał mowę.

– Straszniejsza, niż możecie sobie wyobrazić – odparł głos zza drzwi. – Niektórych oszczędziła, jak mnie, za co dzięki niech będą Allahowi, którego miłosierdzie jest niezmierzone, ale większość tych, co byli w mieście, umarła albo właśnie kona.

– Są tam jacyś medycy? – spytał Rob.

– Było dwóch balwierzy i czterech medyków, inni uciekli, ledwie Seldżycy znikli nam z oczu. Obaj balwierze i dwóch medyków zarazili się niebawem, ratując ludzi, i poumierali. Potem jeszcze jednego położyła zaraza i kiedy dwa dni temu opuszczałem miasto, został jeden.

– Zdaje się, że jesteśmy tam potrzebni – mruknął Karim.

– Mam duży czysty dom – powiedział kupiec – zapas jada i wina, a także octu i konopi w razie kłopotów. Chętnie przyjmę w gościnę uzdrowiciela. Zaczekajmy, aż plaga wygaśnie, potem jedźmy do Szirazu, gdzie wszyscy odniesiemy pożytki. Kto z was się do mnie przyłączy?

Zapadła cisza.

– Ja – rzekł ochryple Fazil.

– Nie rób tego, hakimie – odezwał się półgłosem Rob.

– Jesteś naszym przywódcą i jedynym medykiem – dodał Karim.

Fazil jakby ich nie słyszał.

– Wejdę do ciebie, kupcze.

– Ja też – dołączył do niego Abbas Safi.

Zsunęli się z koni. Słysząc było zgrzyt ciężkiego rygla; w szczelinie mignęła blada brodata twarz i drzwi uchyliły się odrobinę, na tyle tylko, by tamci mogli się precisnąć. Potem kupiec je zatrzaskał i znów zaryglował.

Pozostali przed domem czuli się jak rozbitkowie na otwartym morzu. Karim zerknął na Roba.

– Może to oni mają słuszość – szepnął.

Mirdin milczał, choć na twarzy malowała mu się rozpacz. Ali miał łzy w oczach.

– „Księga zarazy”! – Rob przypomniał sobie nagle, że Fazil miał ją w sakwie przewieszanej na ukos przez ramię. Podskoczył do drzwi i uderzył w nie pięścią.

– Odejdźcie! – W głosie Fazila słysząc było lęk. Może bał się, że go zabiją, gdy otworzy.

– Słuchaj no, mendo – warknął Rob z wściekłością. – Oddaj księgę, inaczej puszcę cały ten dom z dymem i zrobię to z rozkoszą, malowany medyku!

Posłyszeli zgrzyt, drzwi się uchyliły i sakwa z księgą wylądowała na ziemi u ich stóp. Rob podniósł ją, wsiadł na konia i ruszył przodem. Nie złościł się długo, bo w duchu sam przed sobą przyznawał, że zazdrości tamtym dwóm bezpiecznego schronienia w domu kupca.

Dopiero po dłuższym czasie odważył się spojrzeć za siebie. Mirdin i Karim byli daleko w tyle, ale jechali za nim. Kawalkadę zamykał Ali, prowadząc jucznego konia Fazila i muła Abbasa.

Trakt przecinał podmokłą równinę niemal idealnie prostą linią, a dalej wspinał się stromo pomiędzy nagie skały, które żmudnie pokonywali przez dwa dni. W końcu trzeciego ranka zjechali z gór i już z daleka zobaczyli dym. Pod murami Szirazu palono ciała zmarłych. Za miastem widać było zbocza górskie zbiegające do słynnego wąwozu Tang-i Allahu Akbar, czyli „Bóg jest wielki”. Krążyły nad nim stada wielkich czarnych ptaków. Tak wyglądała zaraza.

W bramie nie było straży.

– Czyżby Seldżuci jednak zdobyli Sziraz? – zdziwił się Karim, miasto bowiem wyglądało jak splądrowane. Zadbane niegdyś domy z różowego kamienia stały pośród zniszczonych ogrodów, z których na stosy wycięto nawet róże.

Jechali pustymi ulicami jak we śnie. W końcu wypatrzyli kulejącego mężczyznę, ale kiedy wołając ruszyli ku niemu, czmychnął, kryjąc się między domami. Po chwili napotkali innego; otoczyli go końmi, bo także próbował uciec. Rob dobył miecza.

– Odpowiadaj, to nic ci się nie stanie. Gdzie medycy?

Przerażony mężczyzna przyciskał do ust i nosa woreczek, najpewniej pełen ziół.

– U kalandara – wybełkotał niewyraźnie, wskazując w górę ulicy.

Po drodze minęli wóz ze zwłokami. Dwaj grabarze, okutani po oczy jak kobiety, zatrzymali się, żeby zabrać leżące na poboczu ciało dziecka. Na wozie leżały już trzy trupy, mężczyzny i dwóch kobiet.

W siedzibie kalandara zastali dwóch ludzi – ledwie trzymającego się na nogach starca i krępego mężczyznę o wyglądzie żołnierza. Obaj mieli zapadnięte, półprzytomne twarze ludzi, którzy od dawna nie zmrużyli oka. Kiedy przybysze przedstawili się jako medycy z Isfahanu, obaj mężczyźni wytrzeszczyli na nich zdumione oczy.

– Jestem Dehbid Hafiz, kalandar Szirazu – rzekł młodszy. – A to hakim Isfari Sandżar, nasz ostatni medyk.

– Dlaczego nikogo nie ma na ulicach? – zapytał Karim.

– Było nas tu czternaście tysięcy – odparł Hafiz. – Kolejne cztery tysiące schroniło się za murami przed najazdem Seldżuków. Po wybuchu zarazy jedna trzecia uciekła, w tym namiestnik, sędziowie i wszyscy bogacze, ufni, że ja i moi ludzie dopilnujemy im dobytku. – W głosie kalandara zabrzmiała gorycz. – Prawie sześć tysięcy umarło. Ci, których jeszcze nie zmiotła zaraza, kryją się po domach, błagając Allaha, który jest litościwy, aby pozwolił im zachować życie.

– Jak ich leczysz, hakimie? – pytał dalej Karim.

– Na czarną śmierć nie ma leku – odparł stary medyk. – Można co najwyżej przynieść trochę ulgi konającym.

– My właściwie nie jesteśmy jeszcze medykami – wyjaśnił Rob. – Uczymy się u Ibn Siny, który nas tu przysłał. Będziemy robić, co nam każeś, panie.

– A cóż ja wam mogę kazać! – zachnął się medyk. – Róbcie, co się da. Jedna rada – uniósł rękę – jeśli chcecie pozostać przy życiu jak ja, codziennie rano zjadajcie opieczony nad ogniem chleb umoczony w occie, a gdy będziecie z kimś rozmawiać, spłukujcie usta winem.

Rob pojął nagle, że to, co wziął u Sandżara za starczą niedołężność, jest po prostu wynikiem nadużycia wina.

Ktokolwiek znajdzie te zapiski po naszej śmierci, zostanie szczerze nagrodzony, jeśli dostarczy je Abu Ali al-Husajnowi ibn Abdullahowi Ibn Sinie, Pierwszemu Medykowi maristanu w Isfahanie.

19 dnia miesiąca rabi I, 413 roku od Hidżry:

Jesteśmy w Szirazie od czterech dni. W tym czasie zmarły 243 osoby. Choroba zaczyna się lekką gorączką, potem dołącza się ból głowy, czasami ostry. Gorączka wzrasta i osiąga szczyt przed wystąpieniem guzów w pachwinach, pod pachami i za uszami. Guzy takie, zwane też dymienicami, opisuje w „Księdze zarazy” hakim ibn al-Chatib z Andaluzji, twierdząc, że są dziełem diabła i dlatego mają węzowy kształt. Te, które widzimy tutaj, nie są węzowate, lecz okrągłe i wypukłe, jak guzy rakowe. Dochodzą do wielkości śliwki, lecz na ogół są mniejsze. Często występują też krwawe wymioty, co zawsze zapowiada bliską śmierć. Większość chorych umiera w ciągu dwóch dni od pokazania się guzów. U niewielu wybrańców losu guz pęka, a wówczas najwyraźniej z ciała wychodzą złe humory, bo ci na ogół wracają do zdrowia.

Zapisał Jesse ben Beniamin.

Chorych znoszono do więzienia, z którego wypuszczono skazańców. Umarli, konający i niedawno zarażeni leżeli prawie na sobie, tak ciasno, że nie sposób było komukolwiek przynieść ulgi. W powietrzu ciężkim od odoru wymiocin, krwi i odchodów krzyżowały się głośne jęki i wrzaski.

Rob naradził się z towarzyszami, po czym poszedł do kalandara i zażądał, by oddano im cytadelę, w której kwaterowali żołnierze. Uzyskawszy zgodę, obszedł kolejno wszystkich chorych, biorąc ich za rękę.

Przesłanie na ogół było takie samo: naczynie życia ciekło jak sito.

Umierających przeniesiono do cytadeli. Ponieważ była ich znakomita większość, tych, dla których istniała jeszcze nadzieja, można było pielęgnować w lepszych odtąd warunkach.

Trwała zima. Noce były mroźne, popołudnia ciepłe. Ośnieżone szczyty gór lśniły oślepiająco i rankami medycy wkładali kozuchy. Nad wąwozem coraz większymi chmarami unosiły się sępy.

– Twoi ludzie wrzucają trupy do wąwozu, zamiast je palić – wytknął Rob kalandarowi.

Hafiz kiwnął głową.

– Zakazałem im tego, ale sam widzisz, że brakuje drewna.

– Każde bez wyjątku ciało trzeba spalić – rzekł stanowczo Rob, powtarzając wyraźny nakaz Ibn Siny. – Musisz tego dopilnować.

Po południu ścięto trzech ludzi za wrzucanie ciał do wąwozu – jakby mała była wokół śmierci. Nie to było celem Roba, ale Hafiz miał do niego żal.

– A skąd mam wziąć drewno? – pytał. – W mieście nie ma już ani jednego drzewa.

– Wyślij żołnierzy w góry, niech narąbiają.

– Nie wrócą.

Rob polecił zatem Alemu, by przetrząsnął z żołnierzami opuszczone domy. Większość była z kamienia, lecz miała drewniane drzwi, okiennice i grube belki stropowe. Ali kazał żołnierzom wyrywać, co się da, i niebawem pod murami miasta zapłonęły stosy.

Isfahańczycy starali się stosować do zaleceń Ibn Siny i oddychać przez nasączone winnym octem gąbki, utrudniało im to jednak pracę i wkrótce z nich zrezygnowali. Idąc za przykładem Isfariego Sandżara żuli chleb moczony w winnym occie i wypijali sporo wina. Czasami o zmroku byli równie pijani jak stary medyk.

Mirdin w przypiływie pijackiego rozrzewnienia opowiedział im o swojej żonie Farze i synkach, Dawidzie i Isacharze, którzy w Isfahanie czekali na jego powrót. Wspominał z nostalgią ojcowski dom nad Morzem Arabskim i rodzinę, która skupowała perły wzdłuż wybrzeża.

– Lubię cię – oznajmił Robowi. – Jak możesz być przyjacielem tego wrednego gnojka Arijego?

Rob nagle zrozumiał, skąd brała się początkowa rezerwa Mirdina.

– Arijego? Wcale nie jestem jego przyjacielem. To wredny gnojek!
– przyświadczył solennie.

– Wredny – potwierdził Mirdin. – I gnojek...

Zaczęli się śmiać jak szaleni.

Karim snuł opowieści o swych miłosnych podbojach obiecując, że jak tylko wrócą do Isfahanu, znajdzie dla Alego parę najśłodszych piersiątek we Wschodnim Kalifacie. Nadal biegał – teraz po umarłym mieście. Czasami dotąd nudził, aż ruszali razem z nim na bezludne ulice pomiędzy zakażone śmiercią lub strachem domy. Po drodze mijali zwłoki wyniesione na ulicę, by zabrali je grabarze. Biegli, jakby chcieli uciec od strasznej rzeczywistości, pijani nie tylko winem – byli przecież młodzi i pełni życia, a zewsząd czyhała na nich śmierć. Zaklinali strach udając, że są nieśmiertelni.

28 dnia miesiąca rabi I, 413 roku od Hidżry

Puszczanie krwi, stawianie baniek i środki przeczyszczające nie pomagają. Zastanawia związek guzów ze śmiertelnością, potwierdza się bowiem, że jeśli guz pęka lub stale wydziela z siebie zieloną ciecz, chory może przeżyć.

Wielu może zabijać straszliwa gorączka, która spala tłuszcz w ich ciałach. Gdy jednak dymienice zaczynają ropyć, gorączka gwałtownie spada i zaczyna się powrót do zdrowia.

Widząc to, próbowaliśmy przyspieszyć dojrzewanie dymienic, żeby mogły pęknąć, stosując okłady z gorzycy i cebulek lili, okłady z gniecionych fig i gotowanej cebuli z dodatkiem masła oraz różne ściągające kompresy. Precinaliśmy też guzy podobnie jak wrzody – z niewielkim powodzeniem. Czasem, wskutek podrażnienia lub pod wpływem środków ściągających, twardniały tak, że nie można ich było przeciąć. Próbowaliśmy je wypalać żrącymi środkami, z miernym rezultatem. Wielu umarło szalejąc z bólu, część jeszcze

w trakcie operacji, należy więc przyznać, że zakatowaliśmy ich na śmierć. Niektórzy wyzdrowieli; może wcale nie dzięki nam, lecz pocieszamy się wiarą, że mogliśmy pomóc chociażby nielicznym.

Zapisał Jesse ben Beniamin.

– Wy hieny! – wrzasnął człowiek, którego dwóch służących rzuciło na posadzkę domu zarazy i uciekło, z pewnością po to, by go okraść. Złodziejstwo pleniło się nagminnie, zaraza bowiem niszczyła nie tylko ciała, lecz i dusze. Widząc jej oznaki u dzieci, przerażeni rodzice porzucali je bez wahania. Tego ranka ścięto trzech mężczyzn i kobietę za plądrowanie domów, a jednego żołnierza wychłostano za gwałt na chorej. Karim, który dowodził oddziałem żołnierzy zlewających wodą wapienną domy dotknięte zarazą, mówił, że widział już wszystko. Cieleśna przemoc zdawała się świadczyć, że ludzie chwytają się życia poprzez rozpasanie.

Przed południem kalendar, który nigdy nie wchodził do domu zarazy, przysłał bladego i rozdygotanego żołnierza po Roba i Mirdina. Wyszli na ulicę, gdzie zastali Hafiza wążającego jabłko nadziane korzeniami.

– Dobre wieści. Liczba zmarłych spadła wczoraj do trzydziestu siedmiu – oznajmił triumfalnie. Była to istotna poprawa, gdyż u szczytu epidemii, w trzecim tygodniu od jej wybuchu, umierało trzysta osób dziennie. Hafiz wyliczył, że miasto straciło 801 mężczyzn, 502 kobiety, 3193 dzieci, 566 niewolników, 1417 niewolnic, 2 chrześcijan i 32 żydów.

Rob i Mirdin wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Kolejność poszczególnych grup na liście nie uszła ich uwagi.

Ulicą nadszedł Ali. Rob poczuł ukłucie niepokoju: chłopak minąłby ich nie widząc, gdyby nie zawołał go po imieniu. Z bliska dostrzegł nieobecne spojrzenie Alego; dotknął jego czoła i poczuł znajomy żar. Serce w nim zamarło.

– Ali – powiedział łagodnie – musisz wejść ze mną do środka.

Widzieli już wielu umierających, ale przyglądanie się konaniu Alego Raszida było dla nich jak własna śmierć. Choroba zawładnęła nim ze straszliwą siłą. Co jakiś czas targały nim nagłe skurcze, jakby coś szarpało mu wnętrzności. Na przemian to dygotał, to prężył się z bólu. Obmyli go octem i po południu zaświtała im nadzieja, bo w dotyku był niemal chłodny. Lecz gorączka jakby zbierała siły: uderzyła od nowa, jeszcze silniejsza. Oczy chłopca uciekły w głąb czaszki, z popękanych warg dobywał się jęk, zagłuszany przez skargi innych chorych, ale trzech przyjaciele słyszeli go wyraźnie, bo żyli się z Alim jak z bratem.

Po zmroku czuwali przy nim na zmianę. Przed świtem Rob przyszedł zmienić Mirdina. Ali leżał nieprzytomny, wyprężony na skotłowanym pościeli. Niszcząca gorączka dodała mu lat, zaostriżyła wydatne kości policzkowe i orli nos Beduina, przedstawiając im obraz mężczyzny, jakim byłby w przyszłości – gdyby przeżył.

Rob ujął go za ręce i poczuł, jak życie gaśnie.

Od czasu do czasu, byle uciec od bezczynności, przesuwał palce na przegub, gdzie wyczuwał tętno, słabe i nierówne jak trzepot skrzydeł szamoczącego się ostatkiem sił ptaka.

Zanim Karim przyszedł go zmienić, Ali nie żył. Nie mogli dłużej udawać, że są nieśmiertelni. Było jasne, że w każdej chwili któryś z nich może być następny. Dopiero teraz poznali, co to lęk.

Odprowadzili ciało Alego na stos, a kiedy płonęło, każdy modlił się po swojemu.

Tego dnia nastąpił przełom. Do domu zarazy przyniesiono znacznie mniej chorych. Trzy dni później kalandar, nie kryjąc

nadziei, zameldował, że poprzedni dzień pochłonął tylko jedenaście ofiar.

Wracając do domu zarazy, Rob ominął stadko zdechłych i zdychających szczurów i nagle dostrzegł coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi. Przyjrzał się bliżej: wszystkie były chore, miały małe, ale widoczne guzy. Znalazł jeszcze ciepłego; zmierzwił futerko wciąż roło się od pcheł. Położył go na płaskim kamieniu i przeprowadził sekcję, tak dokładnie, jakby stał nad nim al-Dżuzdzani.

5 dnia miesiąca rabi II, 413 roku od Hidzry.

Prócz ludzi ginie też wiele zwierząt. Dochodzą nas wieści, że w okolicach Szirazu od zarazy padają konie, krowy, owce, wielbłądy, psy, koty i ptaki.

Przeprowadzono sekcję sześciu zarażonych szczurów. Zewnętrzne oznaki były podobne do występujących u ludzi: wytrzeszcz oczu, skurcz mięśni, rozwarte usta, język wysadzony i pocerniały, guzy w kroczu lub za uchem. Sekcja szczurów wykazała, dlaczego wycięcie dymienic nie skutkuje. Mają one masywne, sięgające w głąb korzenie, które po usunięciu samego guza pozostają w ciele i dokonują dalszych zniszczeń.

Po otwarciu jamy brzusznej stwierdziłem we wszystkich sześciu przypadkach zielonawy nalot żółci u ujścia żołądków i w górnej części jelit. Niżej jelita pokrywały plamy. Wątroby były zeschnięte, a serca skurczone. Żołądek jednego szczura był wewnątrz jakby odarty z wyściółki.

Czy choroba w ten sam sposób niszczy wnętrzości ludzkie? Karim Harun mówi, że według Galena anatomia człowieka jest taka sama jak świni i małpy, lecz odmienna od szczurzej.

Wciąż zatem nie mamy pewności, co bezpośrednio powoduje śmierć zarażonego człowieka. Pozostaje nam gorzkie przekonanie,

*że przyczyny są natury wewnętrznej, przeto niedostępne do badania.
Zapisał Jesse ben Beniamin.*

Dwa dni później, pracując w domu zarazy, Rob poczuł dziwny niepokój – ociężałość, miękkość nóg, trudności w oddychaniu i pieczenie w żołądku, jak gdyby zjadł za ostro przyprawione danie.

Wrócił do pracy, ufając, że dolegliwości miną, ale czuł się coraz gorzej. Starał się na to nie zważać, aż w końcu, spojrzawszy w twarz jednego z chorych – rozpaloną i ściągniętą, o nienaturalnie błyszczących oczach – nie mógł pozbyć się uczucia, że patrzy na siebie.

Poszedł do Mirdina i Karima. Odpowiedź wyczytał z ich twarzy.

Zanim pozwolił się położyć, przyniósł „Księgę zarazy” i swoje notatki. Podał je Mirdinowi.

– Jeśli wszystkich nas czeka śmierć, niech ostatni umieści je gdzieś, gdzie je znajdą i odeślą Ibn Sinie.

– Tak będzie, Jesse – przyrzekł mu Karim.

Rob poczuł spokój, jakby zdjęto mu z ramion ciężkie brzemię. Najgorsze się stało, był więc wolny: już nie miał się czego bać.

– Jeden z nas będzie przy tobie siedział – obiecał mu zrozpaczony Mirdin.

– Nie – szepnął. – Tylu ludzi was tu potrzebuje.

Przez cały czas jednak czuł, że ktoś nad nim czuwa.

Miał zamiar pieczołowicie analizować każde stadium choroby, ale dotrwał tylko do ataku gorączki. Głowa bolała go tak strasznie, że czuł ten ból w każdym calu skóry. Ciężył mu szorstki koc; z wysiłkiem zrzucił go z siebie. A potem zasnął.

Śniło mu się, że rozmawia z wysokim żylastym Bukerelem, dawno zmarłym starszym cechu cieśli w Londynie. Gdy się przebudził, poczuł, że gorączka przybrała na sile. W jego wnętrznościach szalało piekło.

Noc miał ciężką, dręczyły go coraz straszniejsze sny. Zmagał się w nich z niedźwiedziem, który wydłużał się i chudł, aż w końcu zmienił się w zgrzybiałego rycerza. Ofiary zarazy stały wkoło, przyglądając się ich zawziętej walce, z której żaden nie mógł wyjść zwycięski.

Rano obudzili go żołnierze wynoszący zwłoki na wóz pogrzebowy. Zdążył się oswoić z tym widokiem, lecz z pozycji chorego miał on całkiem inną treść. Serce Roba biło z wysiłkiem, w uszach mu szumiało. Był znacznie słabszy niż wczoraj, a w środku palił go ogień.

– Wody... – szepnął.

Mirdin biegiem przyniósł wodę, lecz kiedy Rob chciał się podnieść, przeszył go ostry ból. Jęknął i zawahał się, nim rozchylił koszulę. Wymienili z Mirdinem przerażone spojrzenia. Pod lewą pachą miał olbrzymi purpurowy guz. Chwytał Mirdina za rękę.

– Nie rozcinaj go. I nie wypalaj... Obiecujesz?

Mirdin uwolnił rękę i siłą położył go z powrotem.

– Obiecuję, Jesse – powiedział łagodnie i pobiegł po Karima.

*

Uwiązali mu rękę za głowę, żeby odstłonić dymienicę. Nagrzali różanej wody i sumiennie zmieniali okłady, kiedy stygły.

Gorączka rosła, a cały ból skupił się w guzie. Umysł Roba uciekł przed nim daleko w przeszłość.

W pszenicy było chłodno. Dotknął ust Mairy, całował jej twarz, rude włosy spływające nań jak ciemna mgła.

Usłyszał, jak Karim modli się po persku, a Mirdin po hebrajsku. Gdy Mirdin doszedł do Szma Israel, Rob podjął bezgłośnie:

– Słuchaj, Izraelu. Pan jest naszym Bogiem, jeden jest Pan...

Nagle się przeraził, że umrze z żydowskim Pismem na ustach. Desperacko szukał w myślach chrześcijańskiej modlitwy. Z zakamarków pamięci wypłynęły głosy mnichów, których słuchał w dzieciństwie:

Jesus Christus natus est.

Jesus Christus crucifixus est.

Jesus Christus sepultus est.

Amen.

Na posadzce przy pryczy usiadł Sam. Pewnie przyszedł, żeby go odprowadzić na tamtą stronę. Nic się nie zmienił, wciąż miał taką samą drwiącą minę. Rob nie był pewny, jak ma z nim rozmawiać – brat nadal był dzieckiem jak w chwili śmierci, on zaś tymczasem wyrósł na mężczyznę.

Ból się nasilił. Był nie do zniesienia.

– Chodźmy stąd – powiedział. – No chodź, Sam!

Ale chłopiec patrzył na niego bez słowa.

Potem Rob poczuł tak cudowną nagłą ulgę, że przeszła go jak nowy ból. Nie chciał sobie robić złudnych nadziei. Zmusił się do spokoju, czekając, aż ktoś przyjdzie.

Po czasie, który wydał mu się wiecznością, uświadomił sobie, że stoi nad nim Karim.

– Mirdin! Mirdin! – wrzeszczał. – Chwała niech będzie Allahowi!
Dymienica pękła!

Zobaczył nad sobą dwie roześmiane twarze, jedną smagłą i piękną, drugą brzydką, lecz tchnącą nadziejską dobrocią.

– Zrobie dren, żeby ją odsączyć – powiedział Mirdin i przez chwilę obaj byli zbyt zajęci, żeby się modlić.

Rob miał uczucie, że przeżył burzę morską i znalazł się w spokojnym porcie. Szybko wracał do zdrowia, podobnie jak inni, którym udało się zwalczyć chorobę. Był słaby i ledwie mógł ustać, co normalne po takiej gorączce, ale odzyskał jasność umysłu i nie mieszała już mu się przeszłość z teraźniejszością. Narzekał na bezczynność, ale przyjaciele kazali mu leżeć w łóżku.

– Leczenie to dla ciebie wszystko – stwierdził kiedyś przenikliwie Karim. – Wiem o tym, toteż nie protestowałem, kiedy objąłeś przywództwo nad grupą.

Rob otworzył usta, żeby zaprzeczyć, i prędko je zamknął pojąwszy, że Karim mówi prawdę.

– Byłem wściekły, gdy dowódcą mianowano Fazila – ciągnął Karim. – Łatwo zdał egzaminy i ma dobrą opinię, ale żadnego praktycznego wyczucia. Poza tym żółć mnie zalewa, gdy pomyślę, że zaczął naukę dwa lata po mnie i już jest hakimem, a ja ciągle studentem.

– Tym mniej rozumiem, jak mogłeś się zgodzić na mnie. Dołączyłem do was niecały rok temu...

– To co innego. Jesteś poza konkurencją. Leczenie to u ciebie nałóg.

– Ja patrzyłem na ciebie w tych trudnych tygodniach – uśmiechnął się Rob. – Myślę, że medycyna jest i twoją panią.

– Nie – odparł spokojnie Karim. – O, nie zrozum mnie źle, chcę być świetnym medykiem. Ale równie mocno pragnę zdobyć majątek. Tymczasem tobie wcale nie zależy na bogactwie, prawda?

Rob pokręcił głową. Karim mówił dalej:

– Urodziłem się we wsi Karsz pod Hamadanem. Byłem dzieckiem, kiedy przez naszą okolicę przeszła wielka armia szacha Abdallaha, ojca Ali. Wyprawił się wówczas na seldżuckich Turków. Jego wojska pustoszyły kraj jak szarańcza. Zabierali zbiory

i inwentarz, zostawiając ludzi, własnych rodaków, na śmierć głodową.

Milczał przez chwilę.

– Miałem wtedy pięć lat – podjął. – Pamiętam, jak matka zabiła moją nowo narodzoną siostrzyczkę. Roztrzaskała jej główkę o kamień... Ponoć dochodziło do ludożerstwa. Wcale mnie to nie dziwi. Pierwszy umarł ojciec, po nim matka. Przez rok żebrałem na ulicy, potem wziął mnie do siebie Zaki Omar, dawny przyjaciel ojca. Był sławnym biegaczem. Wykształcił mnie i nauczył biegać. I przez dziewięć lat brał mnie do łóża.

Karim znów umilkł. Ciszę mąciły tylko bolesne jęki chorego w drugim końcu sali.

– Kiedy zmarł, miałem piętnaście lat. Jego krewni wyrzucili mnie z domu, ale wcześniej zapewnił mi przyjęcie do madrasy, przyjechałem więc do Isfahanu. Po raz pierwszy w życiu byłem wolny. Przysięgłem sobie, że moich synów nie może spotkać taki los. A tylko bogactwo może przed nim zabezpieczyć.

Spotkało ich to samo na dwóch przeciwległych krańcach świata, pomyślał Rob. Gdyby on sam miał mniej szczęścia albo gdyby balwierz był innym człowiekiem...

Rozmowę przerwało przybycie Mirdina, który usiadł na podłodze z drugiej strony pryczy.

– Wczoraj nikt nie umarł – oznajmił.

– Allah jest wielki! – wykrzyknął Karim.

Nikt nie umarł...

Rob złapał ich za ręce. Karim i Mirdin też podali sobie dłonie. Nie mogli już się śmiać ani płakać; byli niczym starcy, którzy przeżyli razem całe życie. Siedzieli uściśnięci i patrzyli na siebie smakując myśl, że żyją.

Dopiero po dziesięciu dniach orzekli, że Rob może ruszyć w drogę. Wieść o końcu zarazy już się rozniosła. Miną wprawdzie lata, nim w Szirazie znów będą rosły drzewa, lecz do miasta zaczynali wracać ludzie, a niektórzy wieźli ze sobą drewno. Wyjeżdżając minęli dom, w którym wieszano okiennice, w paru innych wstawiano drzwi. Opuścili Sziraz z ulgą i skręcili na północ.

Podróżowali bez pośpiechu. Zahaczyli o dom kupca Izmaila. Zsiedli z koni i zakołatali do drzwi. Nikt nie odpowiedział.

Mirdin zmarszczył nos.

– Śmierdzi trupem – rzekł cicho.

Wewnątrz znaleźli rozkładające się zwłoki kupca i Fazila. Abbas zniknął – pewnie uciekł z tego „bezpiecznego” domu, kiedy ujrzął, że zagościła w nim zaraza.

Nim więc opuścili krainę czarnej śmierci, dopełnili jeszcze ostatniej posługi: pomodlili się i spalili ciała na wielkim stosie z kosztownych sprzętów kupca.

Z Isfahanu wyjechało ich ośmiu; wracało trzech.

Szkielet zamordowanego człowieka

Isfahan pełen zdrowych ludzi, wesołych lub zmierzłych, wydał się Robertowi jak nie z tego świata. Przez pewien czas czuł się w nim zgoła dziwnie.

Ibn Sina zmartwił się, lecz nie zdziwił, na wieść o ucieczce i śmierci ich towarzyszy. Wyrażnie się za to ucieszył z notatek Roba. W ciągu miesiąca, który spędzili w domu na Skale Ibrahima, aby mieć pewność, że nie przywloką zarazy, Rob wiele czasu poświęcił na pisanie. Szczegółowo zrelacjonował przebieg zarazy w Szirazie i ich codziennej pracy, podkreślając, że koledzy uratowali mu życie. Nie szczędził pochwał ich medycznym kwalifikacjom.

– Karim też jest taki dobry? – spytał bez ogródek Ibn Sina, kiedy byli sami.

Rob się zawahał, nie czuł się bowiem uprawniony do oceniania kolegi. Zacerpnął tchu i odpowiedział:

– Miał kłopoty z teorią, ale leczy wspaniale. W trudnej sytuacji zachowuje spokój i zdecydowanie, a przy tym jest wrażliwy na cierpienia chorych.

Ibn Sina wyglądał na zadowolonego. Zanim się rozstali, rzekł jeszcze:

– Idź zaraz do Rajskiego Domu zdać sprawę szachowi. Bardzo go interesuje obecność Seldżuków w Szirazie.

Zima miała się ku końcowi, lecz zwlekała z odejściem. W pałacu było chłodno. Ciężkie buty Chuffa dzwoniły na kamiennej posadzce, gdy prowadził Roba przez ciemne korytarze.

Szach Ala siedział sam przy wielkim stole.

– Przeszedł Jesse ben Beniamin, najmiłoścniejszy panie – oznajmił Dowódca Bram i wyszedł.

Rob padł na twarz przed władcą.

– Możesz usiąść ze mną, *zimmi*. Nakryj kolana brzegiem kobierca ze stołu – poinstruował go szach.

Rob wykonał polecenie. Czekająca go miła niespodzianka: stół ustawiono nad kratą w posadzce, przez którą wiało ciepło z umieszczonych pod spodem piecyków.

Wiedział, że nie wolno mu zbyt otwarcie przyglądać się władcy, lecz już pierwszy rzut oka potwierdził bazarowe plotki o jego słabostce. Szach oczy miał przekrwione niczym wilcze ślepie, skóra na szczupłej, jastrzębiej twarzy była jakby zmięta – niewątpliwie od nadmiaru wina.

Na stole leżała deska podzielona na jasne i ciemne kwadraty, zastawiona pięknie rzeźbionymi figurami. Obok dzban z winem i kubki. Ala nalał wina do dwóch pucharów i od razu podniósł swój do ust.

– Pij – mruknął rozkazująco. – Chcę, żebyś się weselił.

– Zechciej mnie od tego zwolnić, najmiłoścniejszy panie. Wino mi nie służy. Miast wesołym czyni mnie ponurym i nazbyt skłonny do bitki, nie mogę więc się nim rozkoszować jak ci, którzy mają więcej szczęścia.

Szach przyjrzał mu się z uwagą.

– Co dzień rano budzę się z silnym bólem za oczami i drżeniem rąk. Jesteś medykiem. Jaki lek mi zalecisz?

Rob się uśmiechnął.

– Mniej wina, najmiłoścniejszy panie, a więcej jazdy konnej w czystym perskim powietrzu.

Przenikliwe oczy omiotły jego twarz, podejrzewając kpinę, ale jej nie znalazły.

– Musisz więc jeździć ze mną, *zimmi*.

– Jestem do usług.

Ala machnął ręką. To było zrozumiałe.

– Pomówmy lepiej o Seldżukach w Szirazie. Opowiedz mi wszystko, co wiesz.

Uważnie wysłuchał relacji. Kiedy Rob skończył, skinął głową.

– Seldżycy zajmują terytoria nad naszą północno-zachodnią granicą. Wypuścili zagony na południowy wschód, chcąc zdobyć w Persji przyczółek. Gdyby podbili Anszan, Isfahan stałby się kąskiem w tych dwu seldżuckich szczękach. – Ala uderzył dłonią w stół. – Chwała Allahowi, że zesłał na nich zarazę! Kiedy wrócą, będziemy gotowi na ich przyjęcie.

Przesunął pokratkowaną deskę tak, że znalazła się pomiędzy nimi.

– Znasz tę grę? – spytał.

– Nie, wasza wysokość.

– Jest bardzo stara. Nazywa się *szatrandż*, „cierpienie króla”, bo jeden z walczących władców przegrywa. Zwykle jednak mówią o niej „gra szacha”, przedstawia bowiem wojnę. – Uśmiechnął się rozbawiony. – Nauczę cię gry szacha, *zimmi*.

Podał mu jedną z figur, przedstawiającą słońia. Była gładka jak jedwab.

– Wycięto je z kłów słoni – wyjaśnił. – Patrz: oba wojska stają w takim samym szyku. Król pośrodku, wierny hetman u jego boku. Po obu stronach słońie ocieniają tron. Za nimi dwaj szybcy gońcy na wielbłądach. Dalej konni gotowi do walki, gdy przyjdzie pora. Na każdej flance stoi roch, wojownik. Widzisz? Unosi do ust złożone dłonie, z których pije krew wroga. Pierwszą linię stanowi piechota. Jej zadaniem jest pomagać innym w walce. Gdy jednak taki piechur mężnie przedrze się przez całe pole przeciwnika, zostaje

podniesiony do godności hetmana i staje przy królu. Hetman nigdy nie opuszcza króla; może się oddalić tylko o jeden kwadrat. Potężne słonie przebiegają trzy kwadraty i ogarniają wzrokiem pole walki w zasięgu dwóch mil. Wielbłąd rycząc i tupiąc przebiega trzy kwadraty, tak albo tak. Konie również posuwają się o trzy kwadraty, przeskakując jeden. Dzielni wojownicy biegają na wszystkie strony, po całym polu walki.

Ala napił się wina i podjął:

– Każdy piechur idzie naprzód, nie zbacając. Jeśli kto w czasie walki zbliży się do króla, woła: „Ustąp, szachu” i król musi się wycofać ze swego kwadratu. Jeśli król przeciwnika, jego koń, roch, hetman, słoń lub cała wroga armia zastąpi mu drogę, szach rozgląda się na wszystkie strony. Jeśli jego wojsko zostało odepchnięte i zewsząd otacza go wróg, szach ginie z ran lub pragnienia, taki bowiem los zsyła niebo pokonanym w walce... – Dolał sobie wina, osuszył puchar jednym haustem i spojrzał surowo na Roba. – Rozumiesz?

– Chyba tak, wasza wysokość – bąknął Rob.

– To zaczynamy.

Rob mylił się, przesuwając niektóre piony, i szach za każdym razem karcił go groźnym pomrukiem. Gra nie trwała długo. Wkrótce wojska Roba zostały pokonane, a król ujęty.

– Jeszcze raz – powiedział Ala z zadowoleniem.

Druga bitwa trwała niewiele dłużej. Rob już się zorientował, że szach przewiduje jego ruchy i szykuje zasadzki, w które wciąga przeciwnika, jakby toczyli prawdziwą wojnę.

Po drugiej partii Ala odprawił go ruchem dłoni.

– Biegły gracz może unikać klęski całymi dniami – rzekł na pożegnanie. – Kto wygrywa w grze szacha, zdolny jest rządzić

światem. Ale spisałeś się dobrze jak na pierwszy raz. To nie hańba dla ciebie dostać *szatrandź*. W końcu jesteś tylko Żydem.

Rob z radością wrócił do swego domku w Jahudii i codziennych zajęć w maristanie. Na szczęście zwolniono go z obowiązków więziennego chirurga. Asystował za to przez jakiś czas wraz z Mirdinem specjalście od złamań, hakimowi Dżalalowi ul-Dinowi. Małomówny szczupły lekarz należał do najbardziej poważanych medyków w Isfahanie, ale pod wieloma względami bardzo różnił się od swych kolegów.

– To ty jesteś Jesse, ten balwierz? Słyszałem o tobie – powiedział, gdy Rob się przed nim stawił.

– Tak, mistrzu.

– Nie podzielam powszechnej pogardy dla balwierzy. To prawda, wielu wśród nich oszustów i głupców, ale są też ludzie uczciwi i zdolni. Uprawiałem ongiś inny zawód, z którego drwią medycy: byłem wędrownym nastawiaczem kości. Jak zresztą widzisz, nie przestałem nim być, choć mam tytuł hakima. Tak więc nie potępiam cię jako balwierza. Ale na moje uznanie musisz sobie ciężko zapracować, Europejczyku. Jeśli go nie zdobędziesz, wyrzucę cię stąd kopniakiem.

Obaj z Mirdinem chętnie przykładali się do pracy. Dżalal ul-Din potrafił zreperować strzaskaną kończynę za pomocą rozmaitych wyściełanych łubków i wyciągów. Nauczył ich „widzieć” palcami pod skórą odłamane fragmenty kości i przesuwając je we właściwe położenie, by natura mogła je znów połączyć. Dżalal był w tym mistrzem.

– Mam wrażenie, że dziwnie pociąga go zbrodnia – sapnął z niesmakiem Mirdin kilka dni później.

Rob przyznał mu w duchu rację, sam bowiem słyszał, jak medyk z zapałem opowiadał o mordercy, który ostatnio przyznał się

do winy przed sądem imama Kandrasy. Był to niejaki Tachr-e Ajn, pasterz: dwa lata wcześniej dopuścił się sodomii na innym pasterzu imieniem Kifti al-Ullah, a potem go zabił i zagrzebał za murami miasta. Sąd skazał go na ćwiartowanie i ścięcie. Egzekucję przeprowadzono od razu.

Dwa dni później Dżalal poinformował ich, że ciało zamordowanego ma zostać przeniesione na cmentarz ze stosownymi modłami zapewniającymi duszy przyjęcie do raju.

– Idźmy tam – powiedział. – To rzadka okazja. Zastąpimy grabarzy

Nie zdradził im, kogo przekupił, ale wkrótce obaj uczniowie i medyk, prowadząc obładowanego osła, wyruszyli wraz z mułłą i żołnierzem kalandara w odludne miejsce, które Tachr-e Ajn wskazał przed straceniem jako miejsce pochówku swej ofiary.

– Kopcie ostrożnie – upomniął ich Dżalal, gdy wzięli się do łopat.

Niebawem znaleźli kości dłoni, a wkrótce potem cały szkielet. Odkopali go i ułożyli na derce.

– Pora coś przekąsić – oznajmił nagle Dżalal, prowadząc osła w cień drzew, z dala od grobu. Odpięli juki i wydobyli pieczone ptactwo, wonny pilaw, dorodne daktyle, miodowe ciastka i dzban szербetu. Żołnierz z mułłą ochoczo zasiedli do posiłku. Dżalal i jego asystenci, rezygnując z ciężkich potraw skłaniających do drzemki, wrócili do wykopu.

Ziemia spełniła swe zadanie; kości były czyste, jeśli nie liczyć rdzawej plamy w miejscu, gdzie sztylet Tachra przebił mostek. Uklękli nad szczątkami, szeptem wymieniając uwagi. Prawie zapomnieli, że był to kiedyś żywy człowiek o imieniu Kifti.

– Zwróćcie uwagę na kość udową – szeptał Dżalal. – To największa i najsilniejsza kość u człowieka. Rozumiecie teraz, dlaczego tak trudno ją złożyć?... Żebra: dwanaście par. Patrzcie, tworzą jakby klatkę, chroniącą serce i płuca. Czyż to nie cudowne?

Istotnie, było to zupełnie co innego niż sekcja owcy.

– Czy widziałeś kiedy ludzkie serce i płuca, panie? – zaciekał się Rob.

– Nie. Ale Galen powiada, że niewiele się różnią od świńskich. Świńskie widzieliśmy wszyscy.

– Ale nie są takie same?

– Są – uciął Dżalal. – Nie marnotrawmy rzadkiej okazji do badań, bo tamci zaraz wrócą. Widzicie?... Górne siedem par żeber łączy z mostkiem elastyczna chrząstka, o, tu widać jej ślady. Następne trzy muszą być związane zwykłą tkanką, są inaczej zakończone. Ostatnie dwie pary w ogóle nie schodzą się z przodu. Czyż Allah, wielki i wszechpotężny, nie jest największym wynalazcą, *zimmi*? Patrzcie na tę cudowną konstrukcję, w którą wyposażył człowieka!

Rozkoszowali się tą lekcją anatomii, siedząc w kucki w palącym słońcu nad szczątkami ofiary mordy.

Po powrocie Rob i Mirdin spędzili sporo czasu w uczelnianej łaźni, spłukując z siebie cmentarny odór i wygrzewając obolałe mięśnie, nienawykłe do łopaty. Tam znalazł ich Karim. Pers miał taką minę, że Rob się wystraszył.

– Mam powtarzać egzamin – oświadczył.

– Przecież sam tego chciałeś.

Karim zerknął na dwóch nauczycieli rozmawiających w drugim końcu łaźni i zniżył głos.

– Boję się – przyznał. – Już straciłem nadzieję... To będzie trzecia próba. Jeśli nie zdam, będę musiał odejść. – Spojrzył na nich posępnie. – Teraz przynajmniej mogę leczyć...

– Zdasz galopem. W końcu jesteś biegaczem – pocieszył go Mirdin.

Karim jednak był daleki od beztroski.

– Nie martwi mnie medycyna, tylko filozofia i prawo.

- Kiedy masz zdawać? – spytał Rob.
 - Za sześć tygodni.
 - To mamy sporo czasu.
 - Będę z tobą powtarzał filozofię – dodał spokojnie Mirdin – a z Jessem popracujesz nad prawem.
- Rob jęknął w duchu. Trudno go było uznać za dobrego jurystę. Z Karimem jednak łączyło go podobne dzieciństwo, a przede wszystkim to, co przeżyli razem w czasie zarazy. Musiał spróbować.
- Zaczynamy dziś wieczorem – rzekł sięgając po ręcznik.
 - Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś został medykiem po siedmiu latach prób. – Karim nie starał się przed nimi ukryć przerażenia.
 - Zdasz – oświadczył Mirdin.
- Rob kiwnął głową.
- Muszę – powiedział Karim.

46

Zagadka

Przez dwa tygodnie z rzędu Ibn Sina zapraszał Roba do siebie na wieczerze.

- Oho, mistrz znalazł sobie ulubieńca! – żartował Mirdin, ale z dumą, nie zawiścią.

- To bardzo dobrze – rzekł poważnie Karim. – Al-Dżuzdzani był w młodości protegowanym Ibn Siny i został wielkim medykiem.

Rob tylko coś odmruknął. Nie miał ochoty dzielić się swoimi przeżyciami nawet z nimi. Trudno byłoby mu zresztą opisać, ile zyskiwał, rozmawiając przez cały wieczór sam na sam z Ibn Siną. Jednego wieczora mówili na przykład o ciałach niebieskich – to znaczy Ibn Sina mówił, a Rob słuchał. Kiedy indziej Ibn Sina

wykładał mu teorie greckich filozofów. Jakże wielką miał wiedzę! I jak łatwo umiał ją przekazać!

Rob tymczasem musiał dopiero sam się nauczyć tego, co chciał wpoić Karimowi. Przez sześć tygodni chodził tylko na wykłady z prawa i prawodawstwa. Pomagając Karimowi, pomagał też sobie, gdyż w tej właśnie dziedzinie był bardzo słaby. Korzystał więc z okazji, by się trochę podciągnąć.

Muzułmanie mieli dwa rodzaje prawa – *fikh*, stworzone przez ludzi, oraz *szariat*, prawo Boskie objawione przez Allaha. Do tego dochodziła *sunna*, wykładnia prawdy i sprawiedliwości na podstawie życia i nauk Mahometa. Łącznie system prawny był tak skomplikowany, że Robowi chciało się płakać.

Karim się starał, ale nie było mu łatwo.

– Za dużo tego wszystkiego – jęczał. Widać było po nim zmęczenie. Po raz pierwszy od siedmiu lat, wyjąwszy okres, kiedy walczyli z zarazą w Szirazie, nie chodził co dzień do maristanu. Bez kontaktu z chorymi czuł się nieswojo, jakby ktoś usunął mu grunt spod nóg.

Co rano o świcie, zanim zasiadł z Robem lub Mirdinem do nauki, Karim biegał. Rob próbował kiedyś mu towarzyszyć, ale prędko został w tyle. Karim gnał, jakby uciekał przed swymi lękami. Kilkakrotnie Rob jechał za nim konno. Biegacz przecinał budzące się ze snu miasto, mijał śmiejących się do niego strażników przy głównej bramie miejskiej i śmigał przez most nad Rzeką Życia na otwarte pola. Zdawał się biec, gdzie go oczy niosą, nie dbając o kierunek. Jego stopy podnosiły się i opadały, nogi poruszały się w równym monotonnym rytmie, uspokajając go i rozluźniając jak dawka bangu, silnego naparu z konopi, którym uśmierzano ból u nieuleczalnie chorych. Rob się martwił, że Karim traci za wiele sił.

– On się wykańcza – skarżył się Mirdinowi – a powinien teraz oszczędzać siły na naukę.

Ale Mirdin pociągnął się za nos, podrapał po długiej końskiej szczęce i pokręcił głową.

– Myślę, że właśnie bieganie pozwala mu to wytrzymać – orzekł i Rob miał dość rozsądku, by mu ustąpić, ufał bowiem mądrości Mirdina, która dorównywała jego wiedzy.

Któregoś ranka otrzymał wezwanie od Ibn Siny. Wsiadł na kasztanka i pojechał aleją Tysiąca Ogrodów, a dalej wąską drogą prowadzącą do rezydencji medyka. Ledwie odźwierny wziął od niego konia, w progu domu pojawił się Ibn Sina.

– Chodzi o moją żonę. Byłbym wdzięczny, gdybyś ją zbadał.

Rob skłonił się, zmieszany. Ibn Sina miał wielu znakomitych kolegów, którzy poczytaliby sobie za zaszczyt wezwanie do jego żony. Ruszył za swym nauczycielem do drzwi wieży i wspiał się za nim na spiralne kamienne schody.

Na łożu leżała stara kobieta. Patrzyła w dal niewidzącym wzrokiem. Ibn Sina ukląkł przy niej.

– Rezija... – szepnął.

Miała suche spieczone wargi. Medyk zwilżył chustkę w różanej wodzie i czule otarł jej usta i twarz. Miał za sobą doświadczenie całego życia, potrafił zapewnić chorej wygodę, ale mimo czystości panującej w komnacie i świeżutkiej pościeli smużki wonnego dymu z kadzielnicy nie były w stanie zagłuszyć przykrew woni choroby.

Skóra Rezii zdawała się przezroczysta, twarz miała woskowoblada, siwe włosy rzadkie i cienkie. Ciało niszczył zaawansowany rak kości; na wychudzonych ramionach i łydkach widać było rozrośnięte guzy. Kostki miała spuchnięte od gromadzącego się wysięku. Prawe biodro było zniekształcone, a koszula zasłaniała

z pewnością i inne guzy, które musiały pokrywać także wnętrzności chorej, sądząc po bijącym od niej odorze.

Mąż tej kobiety słynął jako największy medyk świata, ale nie był w stanie jej pomóc. Rob zrozumiał, że nie wezwano go po to, by postawił lub potwierdził oczywistą diagnozę. Wiedział, o co prosi go medyk. Delikatnie ujął kruche dłonie chorej i przemówił do niej łagodnym głosem. Trzymał je dłużej, niż było trzeba, patrząc kobiecie w oczy, które przez krótką chwilę spojrzały przytomnie.

– Daud? – szepnęła ściskając mocniej jego dłoń.

Rob spojrział pytająco na Ibn Sinę.

– Jej brat. Od dawna nie żyje.

Oczy kobiety znów wypełniła pustka, ręce zwiotczały. Rob ułożył je na posłaniu i wyszli z wieży.

– Kiedy?

– Niedługo, hakimie baszo. W parę dni. – Rob czuł się niezręcznie. Ten człowiek w porównaniu z nim stał o wiele za wysoko, by mu składać zwykłe wyrazy współczucia. – Nic nie można dla niej zrobić?

Usta Ibn Siny zadrżały.

– Mogę jej tylko okazywać miłość podawaniem coraz silniejszych naparów.

Odprowadził ucznia do drzwi dziękując mu za przybycie, po czym wrócił na wieżę.

– Panie... – odezwał się ktoś za Robem. Odwrócił się i ujrzał olbrzymiego eunucha drugiej żony Ibn Siny. – Bądź łaskaw iść ze mną.

Przeszli przez furtę do ogrodu, potem przez następną, tak niską, że obaj musieli się pochylić, do drugiego ogrodu pod południową wieżą.

– O co chodzi? – spytał Rob.

Niewolnik milczał. Z góry dobiegł szelest i Rob podniósł głowę. Z okienka w wieży przyglądała mu się zakwefiona kobieta. Ich oczy spotkały się na moment, po czym kobieta cofnęła się do środka.

Rob spojrział na eunucha. Ten uśmiechnął się lekko, wzruszając ramionami.

– Kazała mi cię przyprowadzić. Chciała cię obejrzeć, panie.

Może śniłby o niej w nocy, ale nie miał czasu. Borykał się z prawem własności. Lampa już się dopalała, kiedy usłyszał na ulicy odgłos kopyt, który ucichł pod jego drzwiami. Po chwili rozległo się pukanie.

Sięgnął po miecz. Pora była za późna na zwykłe odwiedziny.

– Kto tam?

– Wasif, panie.

Nie przypominał sobie żadnego Wasifa, ale głos wydał mu się znajomy. Unosząc broń, powoli otworzył drzwi. Nie mylił się. Za progiem stał eunuch Ibn Siny, trzymając za wodze osła.

– Hakim cię przysyła?

– Nie, panie, ona. Pragnie, żebyś do niej przyszedł.

Rob zaniemówił. Wasif nie pozwolił sobie na uśmiech, lecz zdumienie *zimmięgo* było tak widoczne, że w głębi poważnych oczu niewolnika mignęła jakaś iskierka.

– Zaczekaj – powiedział szorstko Rob i zamknął drzwi.

Ochlapał się pospiesznie i poprawił odzież, a potem dosiadł na oklep kasztanka i ruszył ciemnymi uliczkami za olbrzymim niewolnikiem, którego długie nogi zwisały z osłego grzbietu żłobiąc rowki w kurzu. Przejechali stępą między uśpionymi domami, skręcili w uliczkę, gdzie głębszy piach stłumił odgłos kopyt, a następnie przez pole dotarli pod mur posiadłości Ibn Siny. Niewielka furta

wiodła wprost pod drzwi południowej wieży. Eunuch otworzył je i wpuścił Roba z ukłonem.

Wyglądało to jak jeden z jego męczących zmysłowych snów: ciemna kamienna studnia, taka sama jak w północnej wieży, wiodła skręconymi jak muszla łodzika schodami do przestronnej komnaty. Na szerokim, zarzuconym poduszkami łożu ujrzał kobietę, która przysposobiła się do miłości. Dłonie, stopy i łono pomalowane miała henną i śliskie od oliwy. Ledwie zaznaczone piersi nie były zbyt kuszące.

Zdjął jej welon.

Włosy miała czarne, również natarte oliwą i gładko ulizane na okrągłej czaszce. Wyobrażał sobie niedostępną królową Saby lub Kleopatrze, a tymczasem zobaczył młodą dziewczynę o drżących wargach, które zwilżała nerwowo ruchliwym różowym językiem. Miała piękną twarz w kształcie serca ze spiczastym podbródkiem i krótkim prostym nosem. W prawym nozdrzu tkwiło metalowe kółko o średnicy nie większej niż jego mały palec.

Za długo już przebywał w tym kraju – jej odkryta twarz podnieciła go bardziej niż wygolone ciało.

– Dlaczego nazywają cię Despiną Brzydka?

– Na rozkaz Ibn Siny. Żeby zmylić złe oko – odparła, gdy kładł się obok niej.

Rano uczył się z Karimem praw regulujących małżeństwa i rozwody.

– Kto sporządza kontrakt ślubny?

– Mąż, a następnie przedstawia go oblubienicy. On też wpisuje do umowy *mahr*, wysokość wiana.

– Ilu musi być świadków?

– Nie wiem. Dwóch?

– Dwóch. Kto ma w haremie większe prawa, druga czy czwarta żona?

– Wszystkie mają równe prawa.

Przeszli do rozwodów i ich przyczyn: bezpłodności, kłótliwego charakteru lub cudzołóstwa.

Szariat nakazywał karać cudzołóstwo ukamienowaniem, lecz od dwóch wieków praktycznie tego nie przestrzegano. Zdarzało się, że cudzołożnym żonom ludzi bogatych i wpływowych ścinano głowy na więziennym dziedzińcu, lecz żony biedaków najczęściej karano surową chłostą, po czym mąż je odprawiał lub nie, zależnie od swej woli.

Karim dość dobrze znał *szariat*, wychował się bowiem w pobożnym domu. Najbardziej bał się o *fikh*, mieszczący wiele różnorodnych przepisów, których nie był w stanie spamiętać.

Rob zadumał się przez chwilę i znalazł rozwiązanie.

– Jeśli nie będziesz mógł sobie przypomnieć, jak brzmi odnośny przepis *fikh*, podeprzyj się *szariatem* albo *sunną* – poradził. – Podstawą praw są przecież nauki i pisma Mahometa. Szukaj odpowiedzi w Koranie albo w życiu Proroka. Może to ich zadowoli... – Westchnął. – Warto spróbować. Tymczasem módlmy się i starajmy zapamiętać tyle, ile tylko zdołamy.

Nazajutrz po południu towarzyszył al-Dżuzdżaniemu w obchodzie. Zatrzymali się przy wychudzonym jak szczurek chłopcu imieniem Bilal. Siedział przy nim wieśniak o tępych spojrzeniu człowieka pogodzonego już ze wszystkim.

– Oto przykład, jak ból niszczy także duszę – stwierdził al-Dżuzdżani. – Ile chłopiec ma lat?

Wystraszony, lecz zaszczycony, że zwrócono się do niego, wieśniak pochylił głowę.

– Idzie mu na dziesiąty, panie.

– Jak dawno choruje?

– Dwa tygodnie. Ta sama choroba zabiła już dwóch jego stryjów i mojego ojca. Strasznie boli. Boli, a potem przestaje, i znów boli, i znów przestaje. Ale jak zaczęło boleć trzy dni temu, trzyma do dziś.

Pielęgniarz wtrącił uniżenie, że chłopiec dostaje do jedzenia tylko szербet i słodkie soki.

– Ale i to na nic, bo wszystko wycieka z niego albo jedną, albo drugą stroną – dodał.

Al-Dżuzdzani skinął głową.

– Zbadaj go, Jesse – polecił.

Rob zdjął z chłopca koc. Pod brodą zauważył starą bliznę, niezwiązaną z chorobą. Kiedy przyłożył dłoń do chudego policzka, Bilal drgnął, lecz nie miał sił się poruszyć. Rob pogłaskał go po ramieniu.

– Ma silną gorączkę. – Powoli przesunął dłonie w dół. Gdy dotknął brzucha, chłopiec krzyknął. Starając się robić to jak najdelikatniej, Rob obmacał powłoki brzuszne, świadom, że każdym dotknięciem zadaje dziecku męki. – Po lewej stronie brzuch jest miękki, po prawej twardy – zameldował.

– To Allah stara się chronić chore miejsce – wyjaśnił medyk.

Rob opukał też plecy chłopca i obejrzał podrażniony biegunką odbył. Potem ułożył Bilala z powrotem, okrył go i ujął drobne dłonie. Posłyszał szyderczy śmiech zgrybiałego rycerza.

– Czy on umrze, panie? – zapytał rzeczowo ojciec.

– Tak – powiedział Rob.

Ojciec kiwnął głową.

Pozostali przyjęli to z powagą. Po powrocie z Szirazu Mirdin i Karim opowiadali o wszystkim w maristanie i wieść się rozniosła. Nikt już z niego nie drwił, kiedy ośmielał się przepowiedzieć czyjąś śmierć.

– Tę chorobę opisał Corneliusz Celsus. Proszę to przeczytać – rzekł al-Dżuzdzani przechodząc do następnego pacjenta.

Po obchodzie Rob poszedł do Domu Mądrości i poprosił Jusufa ul-Gamala, bibliotekarza, o pomoc w znalezieniu u Celsusa ustępu poświęconego bólowi w boku. Z podnieceniem przeczytał, że Rzymianin otwierał ciała zmarłych dla poszerzenia wiedzy, jednakże opis samej tej choroby nie był zbyt treściwy. Celsus określił ją jako zapalny rozstrój uchyłka jelita grubego połączony z ostrym bólem w prawej części brzucha.

Zaspokoiwszy ciekawość, Robert wrócił do sali, w której leżał Bilal. Ojca nie było; nad chorym tkwił tylko mułła, recytując płaczliwie wyjątki z Koranu. Dziecko wbiło nieruchomy wzrok w jego czarne szaty. Obok w misce leżały trzy owoce granatu, okrągłe jak piłki. Rob wziął je i zaczął podrzucać, najpierw po jednym, potem dwa, a wkrótce już wszystkie trzy tańczyły mu nad głową, śmigając z ręki do ręki jak za dawnych czasów. Wyszedł z wprawy, lecz żonglowanie trzema owocami nie było trudne, toteż pokazywał istne cuda.

Oczy chorego dziecka otwały się szeroko; były teraz okrągłe jak fruujące w powietrzu granaty.

– Brakuje nam tylko muzyki – uśmiechnął się Rob. Nie znał żadnej perskiej piosenki, a potrzebował czegoś skocznego. Przypomniała mu się sprośna marynarska śpiewka:

*Zaraz sobie pobrykamy,
Po to ręce, nogi mamy.
Hej, popłynie czas jak rzeka,
Więc się, miła, nie zarzekaj!*

Dalsze zwrotki były jeszcze mniej odpowiednie dla umierającego dziecka, ale wszak o jego duszę dbał mułła, który zdumiony

wytrzeszczył na niego oczy, a poza tym nikt nie rozumiał słów. Rob chciał dać malcowi chociaż trochę radości. Zdażył odśpiewać piosenkę do końca, nim ujrzął, jak śmiertelne konwulsje wyginają w łuk drobne ciało. Powtórzył refren, czując pod palcami gasnące uderzenia tętna.

Zamknął Bilalowi oczy, otarł nos, ułożył i obmył ciało, przyczesał włosy, a na koniec podwiązał szczękę.

Muła siedział ze skrzyżowanymi nogami recytując Koran. Oczy mu płonęły; widać umiał równocześnie modlić się i nienawidzić. Pewnie oskarży mnie o bluźniercze zachowanie, pomyślał Rob. I na pewno nie wspomni o tym, że Bilal tuż przed śmiercią się uśmiechnął.

Cztery razy w tygodniu przyjeżdżał po niego nocą Wasif. Rob zostawał na wieży prawie do świtu.

Wyczerpani miłością, uczyli się wzajem języków.

– Członek – mówił Rob po angielsku.

– *Lingam* – poprawiała go ze śmiechem. – A to moja *joni*.

Orzekła, że są świetnie dobrani.

– Mężczyzna jest zającem, bykiem albo koniem. Ty jesteś bykiem. Kobieta jest łanią, kobyłą albo słonicą, a ja jestem łanią. To dobrze. Zającowi trudno byłoby dać rozkosz słonicy – wywodziła z powagą.

Była nauczycielką, on uczniem; czuł się przy niej jak niedoświadczony chłopiec. Robiła rzeczy, które widział w zbiorze rycin kupionych niegdyś na majdanie – oraz takie, których nigdy nie widział nawet na obrazku. Pokazała mu „uścisk mleka i wody”, pozycję żony Indry, „spotkanie ust”.

Z początku był zachwycony, przeszli więc do „obrotu”, „pukania do drzwi” i „łoża kowala”. Kiedy jednak pouczyła go, że szczytując powinien wołać *sut!* lub *plat!*, poczuł się znużony.

– Nigdy nie chcesz sobie po prostu dogodzić? To gorsze niż uczenie się prawa na pamięć.

– Przyjemniej jest, jak się to umie – fuknęła urażona.

Jej karcący ton zaczął go razić. Poza tym stwierdził w duchu, że woli niegolone ciała.

– Mąż ci nie wystarcza? – zapytał kiedyś.

– Kiedyś wystarczał aż nadto. Jego męskość była sławna. Kochał wino i kobiety, a jak był w nastroju, potrafił zrobić węża... Samicę węża – dodała i mimo uśmiechu w jej oczach błysnęły łzy. – Ale od dwóch lat nie bierze mnie do łóża. Przestał, kiedy tamta zachorowała.

Despina była dzieckiem niewolników Ibn Siny, Hinduski i Persa. Matka odumarała ją w wieku sześciu lat; po śmierci ojca, kiedy miała dwanaście, medyk wziął ją za drugą żonę, ale jej nie wyzwolił.

Rob musnął palcem symboliczne kółko, które miała w nosie.

– Dlaczego?

– Jako jego własność jestem podwójnie chroniona.

– A gdyby teraz tu przyszedł? – spytał Rob myśląc o jedynej schodach.

– Na dole stoi Wasif, zajmie go czymś. Poza tym mój mąż siedzi przy Rezii i trzyma ją za rękę.

Popatrzył na Despinę i kiwnął głową. Mimo woli czuł wyrzuty sumienia. Polubił tę drobną piękną dziewczynę o oliwkowej skórze, małych piersiach, miękkim brzuszku i gorących ustach. Było mu jej żal, że żyje w ciasnym kręgu domu i ogrodu, w których zamykał ją muzułmański obyczaj, i nie winił jej, że pragnęła rozrywki. Ale zdążył już pokochać starego Ibn Sinę o wielkim nosie i wspaniałym umyśle.

Wstał i zaczął się ubierać.

– Zawsze będę twoim przyjacielem.

Despina nie była głupia. Przyjrzała mu się wnikliwie.

– Przychodziłeś tu prawie co noc i już się mną nasyciłeś. Ale kiedy przyślę Wasifa za dwa tygodnie, znów przyjdiesz.

Pocałował ją w nos tuż nad kółkiem.

Wracając stępa przez oblane księżycowym światłem ulice zastanawiał się, czy przez przypadek nie jest głupcem.

Jedenaście nocy później Wasif zapukał do jego drzwi.

Despina miała rację: omal nie uległ. Dawny Robert Jeremiasz nie wahałby się ani chwili i mógłby do końca życia chwalić się przy piwie, jak to miesiącami odwiedzał młodą żonkę, kiedy stary mąż siedział w innej części domu. Ale Jesse ben Benjamin pokręcił głową.

– Powiedz swojej pani, że nie mogę już do niej przychodzić.

Oczy Wasifa błysnęły pod ciężkimi uczerzonymi powiekami. Uśmiechnął się z pogardą dla nieśmiałego Żyda i zawrócił osła.

Rezija Pobożna umarła trzy dni później. Wybrała chwilę stosowną dla gorliwej muzułmanki – tę poranną porę, gdy muezini w całym mieście zawodzą wzywając do pierwszej modlitwy. W madrasie i maristanie mówiono, że Ibn Sina własnoręcznie przygotował jej ciało i wyprawił prosty pogrzeb, w którym wzięło udział tylko paru mułłów. Medyk nie przychodził do szkoły ani szpitala i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa.

Tydzień później Rob spotkał wieczorem al-Dżuzdzaniego w karczmie przy głównym majdanie.

– Siadaj, *zimmi*. – Al-Dżuzdzani skinął, by przyniesiono więcej wina.

– Jak miewa się Pierwszy Medyk, hakimie?

Ten jakby go nie słyszał.

– On ma cię za kogoś wyjątkowego – stwierdził z urazą.

Gdyby nie to, że Rob był tym, kim był, a al-Dżuzdżani sławnym al-Dżuzdżanim, pomyślałby, że mu zazdrości.

– Lepiej się postaraj być wyjątkowy, *zimmi*, inaczej sam się z tobą policzę. – Al-Dżuzdżani wbił w niego błyszczące oczy i Rob zorientował się, że chirurg jest pijany. Milczeli, kiedy podawano wino. – Miałem siedemnaście lat, kiedy go poznałem w Dżurdżanie. Był ledwie parę lat ode mnie starszy, ale na Allaha, czułem się tak, jak gdybym spojrział w słońce. Mój ojciec zawarł z nim umowę: Ibn Sina przyjmie mnie na praktykę, a ja będę mu wiernie służył.

Napił się, pogrążony w myślach.

– Służyłem mu. Nauczył mnie matematyki, używając do tego „Almagestu”. Przepisałem pod jego dyktando kilka ksiąg, w tym część „Kanonu medycznego”, bite pięćdziesiąt stron co dnia... Towarzystwem mu w podróży. W Hamadanie emir mianował go wezyrem, ale armia się zbuntowała i wtrącono go do lochu. Omal nie stracił życia, ale ten kobyli syn zawsze miał szczęście. Emir dostał kolki, Ibn Sina go wyleczył i znów był wezyrem...

Sięgnął po puchar.

– Nie odstępowałem go ani w pałacu, ani w więzieniu – podjął. Stał się dla mnie kimś więcej niż panem: był przyjacielem. Co wieczór uczniowie zbierali się w jego domu; czytałem na głos jego księgę „O uzdrawianiu”, a kto inny „Kanon”. Rezija podsyłała nam różne smakołyki. Potem piliśmy wino i szliśmy na kobiety. Był wesołym kompanem; zabawie oddawał się całym sobą, tak jak pracy... Mógł przebierać w kochankach. Pewnie był tak dobry w łożu, skoro i we wszystkim innym był lepszy od reszty. Rezija kochała go mimo to... – Odwrócił wzrok. – Teraz ona leży w grobie, a on rozpacza. Odepchnął starych przyjaciół, chodzi sam po mieście i rozdaje jałmużnę.

– Hakimie... – przerwał mu łagodnie Rob.

Al-Dżuzdżani otworzył szeroko oczy.

– Hakimie, odprowadzić cię do domu?

– Zostaw mnie, cudzoziemcze.

Rob skłonił się, podziękował za wino i odszedł.

Odczekał tydzień i znów udał się do domu Ibn Siny, tym razem w biały dzień. Konia zostawił odźwiernemu przy głównej bramie.

Ibn Sina był sam. W jego oczach malował się spokój. Usiadł wygodnie, na przemian to gawędząc, to milcząc.

– Byłeś już medykiem, kiedy się żeniłeś, panie?

– Hakimem zostałem mając szesnaście lat. Pobraliśmy się, gdy miałem dziesięć. Znałem już na pamięć Koran i zacząłem się uczyć o leczniczych ziołach.

Rob był pełen podziwu.

– Ja w tym wieku uczyłem się kuglarstwa i balwierstwa – zaśmiał się i opowiedział Ibn Sinie o swoim terminowaniu.

– Czym się zajmował twój ojciec?

– Był cieślą.

– Wiem, że w Europie rzemieślnicy tworzą cechy – rzekł powoli Ibn Sina – i nie przyjmują do nich Żydów.

On wie, pomyślał Rob z rozpaczą.

– Różnie to bywa – bąknął.

Miał wrażenie, że łagodne oczy medyka przeszywają go na wylot i widzą wszystko.

– Tak bardzo pragniesz posiąść wiedzę i sztukę leczenia?

– Tak, mistrzu.

Ibn Sina westchnął, skinął głową i odwrócił wzrok. Rob także odetchnął. Zaczęli mówić o czym innym. Ibn Sina wspominał swoje młode lata i ożenek z Rezią.

– Pochodziła z Buchary, była starsza ode mnie o cztery lata. Obaj nasi ojcowie byli poborcami. Przyjaźnili się, nie było więc przeszkód do zawarcia małżeństwa, choć jej dziadek zarzucał memu ojcu, że jest szytą i oddając cześć Bogu zażywa haszysz. Ale wkrótce się pobraliśmy. Nigdy mnie nie zawiodła...

Medyk urwał i spojrzął na Roba.

– Wciąż masz w sobie ogień. Czego najbardziej chcesz?

– Być godnym tego miana lekarzem – odparł Rob i dodał w duchu: „godnym ciebie, mistrzu”. Miał jednak wrażenie, że Ibn Sina to wie.

– Już jesteś lekarzem. A co do godności... – Ibn Sina wzruszył ramionami. – Dobry medyk musi umieć rozwiązać nierozwiązywalną zagadkę.

– Jaką zagadkę? – zaniepokoił się Rob.

Stary człowiek uśmiechnął się ze smutkiem.

– Może pewnego dnia odkryjesz, na czym polega. To też jest jej częścią.

47

Egzamin

W dniu egzaminu Karima Rob pełnił swoje zwykłe obowiązki ze szczególnym zaangażowaniem, starając się odwrócić myśli od sali zebrań w Domu Mądrości. Razem z Mirdinem skaptowali Jusufa ul-Gamala, dobrotliwego bibliotekarza, i wysłali go na przespiegi. Krążąc się po bibliotece, Jusuf łatwo się dowiedział, kto będzie egzaminował. Mirdin czekał na wieści pod oknem i przekazywał je Robertowi.

– Z filozofii będzie pytał Sajjed Sadi – dowiedzieli się najpierw. Nie było tak źle, filozof był dokładny, ale nie złośliwy.

Dalsze wieści były gorsze. Z prawa miał egzaminować Nadir Buch, surowy legalista z brodą jak łopata, który oblał Karima na pierwszym egzaminie. Mułła Abul Bakr miał sprawdzić wiedzę teologiczną Karima, a sam Książę Medyków – lekarską. Rob liczył na to, że w komisji zasiądzie również chirurg Dżalal, ten jednak pozostał w szpitalu. Jakiś czas później przybiegł Mirdin i szepnął, że ostatnim członkiem komisji jest ibn al-Natali, którego żaden z nich dobrze nie znał.

Rob skupił się na pracy. Pomógł Dżalalowi umieścić w zmyślnym wyciągu bark strażnika pałacowego, który spadł z konia podczas gry w piłkę i kij. Kiedy ranny wreszcie legł spętany jak dzikie zwierzę, zdumiał się, że ból nagle zelżał.

– Będziesz się wylegiwał, gdy inni są na służbie – oznajmił mu wesoło Dżalal. Potem wymienił leki, jakie trzeba było podać, i kazał Robertowi dopilnować, żeby pacjent był na kwaśnej diecie, dopóki się nie upewnią, że nie grozi zapalenie ani krwihak.

Na koniec Rob dość mocno obwiązał ramię chorego chustami, żeby całkiem je unieruchomić. Uporawszy się z tym, poszedł do biblioteki, gdzie zasiadł nad Celsusem. Nadstawiał uszu w stronę sąsiedniej sali, lecz mówili za cicho, by mógł wychwycić słowa. W końcu machnął ręką i wyszedł na schody, gdzie po chwili przyłączył się do niego Mirdin.

– Jeszcze nie skończyli – poinformował go Rob.

– Mam nadzieję, że nie będą tego ciągnąć w nieskończoność – westchnął Mirdin. – Karim nie należy do ludzi, którzy potrafią się długo bronić.

– Nie jestem pewien, czy w ogóle zdołał stawić im czoło. Rano przez godzinę rzygał.

Mirdin usiadł obok Roba na schodach. Przez chwilę rozmawiali o pacjentach, ale temat się szybko wyczerpał i zamilkli. Rob siedział

nachmurzony, Mirdin wzdychał.

Upłynęło jeszcze sporo czasu, nim Rob ujrział Karima przepychającego się do nich przez grupę uczniów.

– Idzie! – zerwał się z miejsca.

– Jaką ma minę?

Rob nie był pewien, ale wszelkie wątpliwości rozwiązał Karim, wołając z daleka:

– Mówcie do mnie „hakimie”, uczniaki!

Runęli ku niemu. Ściskali go i poklepywali, krzyczeli i tańczyli podnosząc taką wrzawę, że przechodzący Dawud Husajn pobladł z oburzenia na tak niegodne zachowanie.

Resztę dnia i wieczór zapamiętali na długo.

– Zapraszam do mnie – rzekł Mirdin. – Musimy to uczcić.

Po raz pierwszy jeden z trójki otworzył przed pozostałymi swój prywatny świat.

Mirdin mieszkał w dwóch wynajętych izbach tuż przy synagodze Domu Syjonu, w przeciwnej części Jahudii niż Rob. Jego żona Fara, nieśmiała ciemnowłosa kobietka o krótkich nogach i spokojnych oczach, mile ich zaskoczyła podając słodkie ciastka i wino, widać zawczasu przygotowane na tę okazję. Dwaj mali pyzaci chłopcy, Dawid i Isachar, dreptali za nią, ani na chwilę nie puszczając jej spódnic. Opróżniwszy gąsiorek, przyjaciele wrócili do miasta, gdzie znaleźli krawca, który zdjął miarę na stosowne czarne szaty dla świeżo upieczonego hakima.

– W taki wieczór trzeba hulać! – oświadczył Rob, zasiedli więc w gospodzie otwartej na wielki centralny plac miasta, popijając wyśmienite jadło muskatem, którego Karimowi właściwie nie było trzeba, bo kręciło mu się w głowie z samej radości, że oto otrzymał upragniony stopień.

– Ibn Sina – opowiadał z zapałem – wciąż zadawał mi pytania z medycyny. „O czym świadczy pot?... Co trzeba wiedzieć, by postawić diagnozę?... Jak powinien dbać o higienę podróży na lądzie?... A na morzu?...” Zupełnie jakby wiedział, że moją mocną stroną jest leczenie, i chciał mi pomóc. Sajjed Sadi kazał mi omówić twierdzenie Platona, że wszyscy ludzie dążą do szczęścia. Dobrze, że przestudiowaliśmy go tak dokładnie, Mirdinie! Odpowiedziałem wyczerpująco, nawiązując dodatkowo do słów Proroka, że szczęście to nagroda Allaha za posłuszeństwo i wierność w modlitwie. I tak przebrnąłem jedną próbę.

– A Nadir Buch? – zapytał Rob.

Karim aż się wzdrygnął.

– Zapytał, jak *fiqh* karze zbrodniarzy. Nie mogłem sobie niczego przypomnieć. Powiedziałem więc, że podstawą karania winnych są nauki Proroka, niech będzie pochwalony, które głoszą, że na tym świecie jesteśmy mniej lub bardziej zależni od siebie nawzajem, ale przede wszystkim, teraz i zawsze, zależyśmy od Allaha. Czas oddzieli dobrych i niewinnych od złych i buntowników. Każdy, kto zbłądzi, będzie ukarany, a posłuszny pozostanie w zgodzie z wolą Bożą, na której opiera się *fiqh*. Sąd nad duszą należy do Allaha, który zadba o ukaranie grzeszników.

Rob wytrzeszczył oczy.

– A cóż to ma znaczyć?

– Nie wiem. I nie sądzę, że wiedziałem, kiedy to mówiłem. Nadir Buch zaczął trawić tę moją perorę, szukając czegoś, do czego można by się przyczepić. Już otwierał usta, żeby mnie dobić, ale właśnie wtedy Ibn Sina zapytał mnie o krew, a ja zacytowałem prawie słowo w słowo fragmenty z jego własnych ksiąg... I powiedzieli, że zdałem.

Ryknęli śmiechem i wzniesli kolejny toast.

Kiedy już mieli dosyć, potykając się dobrnęli do uliczki za majdanem i przywołali zaprzężony w osła wózek z lilią na drzwiczkach. Rob siadł na koźle obok rajfura, Mirdin zasnął z głową na obfitym łonie ladacznicy Lorny, Karim zaś, oparłszy głowę o jej kolana, śpiewał czułe pieśni.

Spokojne oczy Fary zaokrągliły się ze strachu, kiedy wnieśli jej męża do izby.

– Chory?

– Pijany. Jak i my – wyjaśnił Rob i wrócili do wozu, który zawiózł ich na drugi kraniec Jahudii. Obaj z Karimem przewrócili się tuż za drzwiami i zasnęli w ubraniach.

W nocy obudził Roba cichy dźwięk, jakby łkanie.

O świcie zbudził się znowu. Jego gość już był na nogach. Rob uniósł się na łokciu i jęknął. Nie powinienem był pić, pomyślał.

– Wybacz, że cię zbudziłem. Idę pobiegać.

– Pobiegać? Dzisiaj? Po takiej nocy?

– Muszę się przygotowywać do chatiru.

– Co to jest chatir?

– Bieg po nagrodę.

Karim cicho jak dzinn zamknął za sobą drzwi. Po chwili uszu Roba dobiegło szczekanie psów odprowadzające świeżo upieczonego hakima, który biegł wąskimi uliczkami Jahudii.

48

Przejażdżka

– Chatir to doroczne zawody niemal tak stare jak sama Persja – tłumaczył Karim. – Odbywa się na zakończenie ramadanu, miesięcznego postu nakazanego przez Koran. Na początku, tak dawno, że nikt nie pamięta już nawet imienia władcy, który wtedy

panował, zawodnicy ścigali się o tytuł chatira, królewskiego gońca. Przez całe wieki bieg przyciągał do Isfahanu najlepszych biegaczy nie tylko z Persji, ale i z innych krajów, i z czasem stał się wielkim świętem.

Trasa zaczynała się u bram Rajskiego Domu i wiła ulicami Isfahanu na długości dziesięciu i pół rzymskiej mili, kończyła zaś rzędem słupów na pałacowym dziedzińcu. U każdego słupa wisiała rzemienna pętla z dwunastoma strzałami dla każdego biegacza. Dobiegając do słupa, brał strzałę, wkładał ją do swego kołczanu i zawracał, by zrobić następne okrążenie. Bieg zaczynał się wraz z pierwszą modlitwą i był morderczym sprawdzianem wytrzymałości. W dniu upalnym i dusznym zwyciężał ten, kto najdłużej wytrwał w biegu. Jeśli było chłodniej, niektórzy kończyli dwanaście okrążeń, wyjmując ostatnią strzałę już po piątej modlitwie. Przebiegali zatem sto dwadzieścia sześć mil w jakieś czternaście godzin. Ponoć dawni zawodnicy biegali szybciej.

– Dziś nikt nie pamięta, aby komuś udało się to w czasie krótszym od trzynastu godzin – powiedział Karim. – Szach Ala ogłosił, że kto pokona całą trasę w dwanaście lub mniej, dostanie wspaniały chylat, a ponadto pięćset sztuk złota i honorowy tytuł pierwszego gońca z przyzwoitą pensją.

– A, to o to chodzi! Dlatego tak pilnie ćwiczysz – domyślił się Rob.
– Myślisz, że możesz wygrać?

Karim wyszczerzył się i wzruszył ramionami.

– Każdy biegacz chce wygrać. Jasne, że chciałbym zdobyć chylat. Bo widzisz, jest jedna, i tylko jedna, rzecz lepsza od bycia hakimem: być bogatym hakimem w Isfahanie!

Pocieplało; łagodne, wilgotne powietrze zdawało się pieścić skórę. Miało się wrażenie, że cały świat odmłodził. Rzeką Życia toczyły się wezbrane wody z topniejących w górach śniegów.

W Londynie był teraz mglisty kwiecień, ale miesiąc szaban w Isfahanie jawił się piękniejszy i cieplejszy od angielskiego maja. Wciąż nieprzycięte drzewka morelowe w ogródku Roba okryły się właśnie przepysznym białym kwieciem, gdy któregoś ranka zjawił się Chuff z rozkazem szacha Ali, aby *zimmi* towarzyszył mu tego dnia w przejażdżce.

Rob, zdziwiony, że szach pamięta o danej mu obietnicy, nieco zmarkotniał. Nie czuł się zbyt pewnie w towarzystwie przebiegłego władcy.

W stajniach Rajskiego Domu czekał dosyć długo, aż wreszcie pojawił się szach z tak licznym orszakiem, że Rob nie wierzył własnym oczom.

– Witaj, *zimmi*.

– Pokłon waszej wysokości.

Szach zbył go niecierpliwym machnięciem ręki, chcąc widać jak najszybciej znaleźć się w siodle.

Wjechali pomiędzy wzgórza. Ala dosiadał białego araba, który biegł tak, jakby frunął. Rob jechał z tyłu. Po pewnym czasie władca zwolnił do lekkiego kłusa i skinieniem ręki przywołał go do siebie.

– Dobry z ciebie medyk, żeś mi przepisał jazdę konną, Jesse. Tonąłem już w tym dworskim gównie. Miło jest znaleźć się z dala od tłumu, prawda?

– O, tak, wasza wysokość.

Rob obejrzał się ukradkiem. Tłum jechał za nimi: Chuff z oddziałem gwardii, nie spuszczać czujnego oka z monarchy, stajenni z zapasowymi wierzchowcami i jucznymi, wozy toczące się z brzękiem i łoskotem po wertepach.

– Nie chciałbyś lepszego konia?

Rob się uśmiechnął.

– Szkoda by go było dla mnie, najłaskawszy panie. Ten jest w sam raz; żaden ze mnie jeździec – odparł. Zdążył już polubić swojego wałacha.

– Poznać, że nie jesteś Persem – prychnął Ala. – Żaden Pers nie przepuściłby okazji, żeby zdobyć lepszego wierzchowca. Jazdę konną cenimy ponad wszystko, chłopcy rodzą się już z siodłem między nogami. – Wbił pięty w boki araba. Koń uskoczył przed uschłym drzewem, król zaś odwrócił się w siodle, błyskawicznie napiął ciężki łuk, wypuścił strzałę przez lewe ramię za siebie i zaśmiał się głośno, kiedy okazało się, że chybił. – Wiesz, jaka historia wiąże się z takim strzałem? – spytał.

– Nie, najmiłościwszy panie. Ale widziałem, jak wykonywali go konni podczas przyjęcia na twoją cześć.

– Nazywamy go strzałem partyjskim i niektórzy dochodzą w nim do niebywałej wprawy. Partowie żyli w Persji prawie tysiąc lat temu. Zajmowali tereny na wschód od Medii. Wznoszą się tam dzikie góry, a resztę pokrywa straszniejsza od nich pustynia, Daszt-e Kawir.

– Znam Daszt-e Kawir. Przebyłem jej część w drodze do Isfahanu.

– Wiesz zatem, jacy ludzie zdolni byliby na niej przeżyć. – Ala ściągnął wodze, żeby kasztan Roba mógł za nim nadążyć. – Rzymianie walczyli wówczas między sobą o władzę. Staremu Krassusowi, namiestnikowi Syrii, potrzebny był jakiś podbój, żeby zaćmić rywali, Cezara i Pompejusza. Uderzył więc na Partów. Czterokrotnie słabszą liczebnie armią partyjską dowodził Suren. Miał przeważnie łuczników na małych, ale szybkich perskich koniach i niewielki oddział uzbrojonej we włócznie ciężkiej jazdy, tak zwanych katafraktów. Legiony Krassusa szły wprost na niego, toteż Suren wycofał się na Daszt-e Kawir. Krassus, zamiast zawrócić do Armenii, puścił się za nim w pościg przez pustynię. I tam stał się

cud: zanim budzące powszechny lęk rzymskie legiony zdążyły się przeformować, zaatakował je oddział katafraktów. Po pierwszej szarży włócznicy się cofnęli, a do walki weszła lekka jazda uzbrojona w łuki takie jak mój, o większym naciągu niż rzymskie. Ich strzały raniły Rzymian mimo tarcz i pancerzy, a przede wszystkim zaskoczyli legionistów cofając się, bo nadal skutecznie ich razili strzelając przez ramię.

– Partyjski strzał – powiedział Rob.

– Właśnie – przytaknął szach. – Rzymianie wciąż nie tracili ducha licząc na to, że przeciwnikom zabraknie strzał, ale Suren wiozł wielki ich zapas na jucnych wielbłądach. Rzymianie nie mogli więc stoczyć walki w zwarciu, do jakiej przywykli. Krassus pchnął oddział pod dowództwem swego syna, który miał zająć Partów z flanki. Odesłano mu potem jego głowę zatkniętą na włóczni. Pod osłoną nocy Rzymianie – najpotężniejsza armia świata! – rozpoczęli odwrót. Dziesięciu tysiącom pod wodzą Kasjusza, przyszłego zabójcy Cezara, udało się ująć. Dziesięć tysięcy wzięto do niewoli, a dwadzieścia tysięcy łącznie z Krassusem zginęło. Straty Partów były niewielkie. Od tego czasu każdy perski chłopak ćwiczy partyjski strzał.

Ala puścił wodze, strzelił jeszcze raz i wydał dziki okrzyk, gdy strzała mocno wbiła się w pień drzewa. Potem wysoko uniósł łuk, dając znak podążającej z tyłu świcie, by się zbliżyła.

Rozwinięto gruby dywan, nad nim żołnierze rozbili królewski namiot, a po chwili wniesiono jadło. Ala usiadł i skinął na Roba, żeby się przyłączył. Trzech grajków cicho brzękało na cymbałach. Podano piersi różnego ptactwa pieczone z wonnymi przyprawami, smaczny pilaw, chleb, melony przechowane przez zimę w chłodzie oraz trzy gatunki wina. Rob jadł z niekłamaną przyjemnością, szach za to gęściej popijał, nalewając sobie to z tej, to z innej flaszki.

Po posiłku władca kazał przynieść tablicę i ustawić figury do gry szacha. Tym razem Rob pamiętał dozwolone ruchy, lecz mimo to poniósł trzy szybkie porażki, chociaż Ala zażądał więcej wina i szybko się z nim uporał.

– Kandrasa ma zamiar zaostriżyć kary za pijaństwo – rzekł, kiedy skończyli grać.

Rob milczał, wolał bowiem nie ryzykować odpowiedzi. Szach mówił dalej:

– Kandrasa sądzi, że zadaniem władcy jest karanie wykroczeń przeciw Koranowi. Myli się. Szach winien dbać o potęgę państwa, nie o grzeszki pospółstwa. Ale imam uważa się za karzącą prawą rękę Allaha. Nie wystarcza mu, że z maleńkiego meczetu w Medii doszedł do wysokiej godności wezyra szacha Persji. Jest spokrewniony z Abbasydami, w jego żyłach płynie krew kalifów Bagdadu, dlatego pragnie władzy nad Isfahanem, by z wysokości mego tronu uderzać pięścią wiary.

Teraz już Rob nie byłby w stanie wydusić słowa, nawet gdyby chciał. Był przerażony. Szach po wytrzeźwieniu mógł pożałować nadmiernej gadatliwości i bez trudu pozbyć się świadka.

Władca jednak nie wydawał się zakłopotany. Przyniesiono mu szczelnie zakorkowany bukłak, który rzucił Robertowi i zawrócił do koni. Bez pośpiechu ruszyli dalej, nie starając się szukać zwierzyny, rozleniwieni coraz większym upałem. Wzgórza mieniły się od czerwonych, żółtych i białych tulipanów na grubych łodygach, podobnych jak ten wypalony na końskim zadzie. Rob wiedział już, że nie wyrastają z nasienia, tylko z cebul. W Anglii ich nie znano.

– Pokażę ci miejsce, którego nie wolno ci nikomu zdradzić – rzekł w pewnej chwili Ala i pierwszy przedarł się przez zarośla do osłoniętej paprociami groty. Wewnątrz, w ciepłym smrodzie

zgniłych jaj, stała brunatna sadzawka otoczona głazami, które pokrywały sine liszaje porostów.

Władca zrzucił z siebie szaty.

– No, na co czekasz, głupcze? Rozbieraj się!

Rob z ociąganiem zdjął ubranie, na poły przekonany, że władca gustuje w męskich ciałach. Ten jednak leżał już w wodzie i taksował go wzrokiem z zainteresowaniem, lecz bez krzty pożądania.

– Przynieś wino. Natura nie obdarzyła cię zbyt szczerze, *zimmi* – zauważył.

Rob ugryzł się w język, zanim zdążył powiedzieć, że i tak lepiej od jego wysokości. Szach jednak był bardziej domyślny, niż można by sądzić. Parsknął śmiechem.

– Ja nie muszę mieć fiuta jak ogier – rzekł po prostu. – I tak mogę wziąć sobie każdą kobietę. Zaszczycam je tylko raz, wiesz? Dlatego każdy wydaje dla mnie tylko jedno przyjęcie, no chyba że ma nową żonę.

Rob ostrożnie zanurzył się w gorącej wodzie, którą prócz jaj czuć było czymś mineralnym. Szach odetkał bukłak, pociągnął długi łyk, rozparł się wygodnie i zamknął oczy. Pot rosił mu tę część ciała, która wystawała z wody, cały więc był mokry. Rob przyglądał mu się dumając, jak to jest być władcą.

– Kiedy zaliczyłeś pierwszy raz? – zapytał Ala, nie otwierając oczu.

Rob opowiedział mu o wdowie, która nauczyła go tajników miłości.

– Ja też miałem dwanaście lat – rzekł szach, kiedy Rob skończył. – Ojciec kazał swojej siostrze, żeby wzięła mnie do łóża. Tak każe nasz obyczaj w przypadku młodych książąt. Bardzo mądry obyczaj... Ciotka była czuła, opiekuńcza jak matka i sporo mnie nauczyła. Przez długie lata myślałem, że po każdym chędożeniu dostaje się miseczkę ciepłego mleka i łakocie...

Rob też przymknął oczy. Moczyli się w błogim milczeniu.

– Będę królem królów – odezwał się Ala po dość długiej chwili.

– Jesteś królem królów, panie.

– Tak mnie nazywają. – Szach otworzył oczy i spojrzał na Roba ostro. – Kserkses, Aleksander, Cyrus, Dariusz... Byli wielcy, a choć nie każdy rodził się Persem, umarli jako władcy Persji. W Isfahanie ja jestem władcą. Na zachodzie wędrownym seldzuckim Turkom króluje Togrul Beg. Na wschodzie górskimi warowniami Gazny rządzi Mahmud. W Indiach gnieździ się dwa tuziny radzów, ale ci są groźni tylko dla siebie nawzajem. Jedyni, którzy się liczą, to Mahmud, Togrul i ja. Kiedy nadjeżdżam, chanowie i beglerbegowie dużych i małych miast wybiegają przed bramy z darami i pochlebstwem... Ale ja wiem, że tak samo witaliby i Mahmuda, i Togrul Bega, gdyby ci ich podbili...

Zadumał się na chwilę.

– Kiedyś, dawno temu – podjął – był już taki czas jak dziś, czas małych królów walczących o wielkie imperium. Na koniec zostało dwóch: Ardaszir i Artaban. Stoczyli pojedynek na oczach swoich wojsk. Dwóch wielkich zbrojnych wojowników starło się ze sobą na pustyni. Artaban padł rażony maczugą, Ardaszir zaś jako pierwszy przybrał miano szachinszacha. Nie chciałbyś być królem królów?

Rob pokręcił głową.

– Chcę być tylko medykiem.

Na twarzy Ali odmalowało się zaskoczenie.

– A to nowość! Odkąd żyję, nikt nie pominął okazji, żeby mi schlebić, tymczasem, jak widzę, ty byś się ze mną nie zamienił... Pytałem o ciebie – zaczął z innej beczki. – Podobno wyróżniasz się w maristanie. Masz zadatki na wielkiego hakima. Będą mi potrzebni ludzie zdolni do wielkich czynów, nie pochlebcy. Muszę

użyć całej przebiegłości i siły, żeby pozbyć się Kandrasy. Taka dola szacha: walczyć o utrzymanie Persji. Skieruję swój miecz przeciw innym władcom, a kiedy ich pokonam, Persja znów będzie wielka, a ja będę się mógł nazywać szachinszachem.

Chwytał Roba za rękę.

– Będiesz moim przyjacielem, Jesse ben Beniaminie?

Rob pojął, że chytry myśliwy zwabił go w zasadzkę. Ala skarbił sobie jego przyszłą lojalność dla własnych celów. Zrobił to z rozmysłem, nie pod wpływem chwili. Ten władca na pewno był kimś więcej niż pijakiem i rozpustnikiem.

Rob bał się polityki. Żałował, że doszło do tej przejażdżki. No cóż, stało się. Miał świadomość, że jest temu człowiekowi coś dłużny. Mocno uściśnął przegub ręki szacha.

– Będę ci wierny, panie.

Ala skinął głową. Zanurzył się głębiej w ciepłą wodę i poskrobał po piersi.

– No, jak ci się podoba moje ulubione miejsce?

– Śmierdzi jak bździna, wasza wysokość.

Szach uśmiechnął się tylko, ledwie uchyliwszy powieki.

– Możesz tu przyjechać z kobietą, jeśli chcesz – rzekł leniwie.

*

– To mi się nie podoba – orzekł Mirdin, usłyszawszy, że szach zaprosił Roba na przejażdżkę. – Ten człowiek jest nieobliczalny i niebezpieczny.

– To dla niego wielka szansa – sprzeciwił się Karim.

– Nie wiem, czy jej pragnę – uciął Rob.

Na szczęście dni mijały, a szach go nie wzywał. Czując potrzebę przyjaźni z niekoronowanymi ludźmi, Rob większość wolnego czasu spędzał z Mirdinem i Karimem.

Karim wchodził w życie młodego medyka. Nadal pracował w maristanie, ale teraz za codzienne badania i opiekę nad chorymi po zabiegach dostawał od al-Dżuzdzaniego skromną pensję. Mając dla siebie więcej czasu i trochę więcej pieniędzy, bywał na majdanach i w zamtuzach.

– Chodź ze mną – namawiał Roba. – Mam dla ciebie piękną dziewczkę: czarna jak kruk i gładka jak jedwab.

Rob pokręcił głową z uśmiechem.

– Nie chcę.

– A jaką chcesz?

– Rudą jak ogień.

– Takich nie ma! – roześmiał się Karim.

– Potrzebne wam żony – spokojnie podsumował tę dyskusję Mirdin, lecz żaden nie skorzystał z jego rady. Rob wkładał całą energię w studia, Karim uganiał się za kobietami, a jego nienasycony apetyt bawił wszystkich w maristanie. Znając jego historię, Rob wiedział, że za piękną twarzą i ciałem atlety kryje się samotny chłopiec szukający kobiecej miłości, żeby zatrzeć wspomnienia. Biegał coraz więcej, zaczynając i kończąc tym każdy dzień. Poza tym dużo ćwiczył. Nauczył Roba i Mirdina władać zakrzywioną perską szablą. Była cięższa od miecza Roba, wymagała siły i giętkości nadgarstków. Karim kazał podnosić i opuszczać na dłoni ciężkie kamienie i machać nimi w różne strony, żeby wzmocnić ręce. Mirdin był kiepskim atletą i nie miał zadatków na szermierza. Wcale go to zresztą nie martwiło, a przy jego zdolnościach umysłowych fizyczna siła miała drugorzędne znaczenie.

Karim nagle zaczął znikać wieczorami i równie nagle przestał ciągnąć Roba do ladacznic. Zagadnięty, bąknął, że jest zakochany

i że ona ma męża. Za to Mirdin coraz częściej zapraszał Roba na wieczerze do swej kwatery obok synagogi.

Kiedyś Rob zobaczył u niego pokratkowaną deskę, jaką dotąd widział tylko dwa razy w życiu.

– Czy to gra szacha? – zdziwił się.

– Tak. Znasz ją? Zawsze graliśmy w nią w domu.

Figury były drewniane, ale grało się tak samo. W przeciwieństwie do Ali Mirdin nie dążył za wszelką cenę do zwycięstwa. Dbał o to, żeby Rob się czegoś nauczył, i wkrótce dzięki jego cierpliwym wskazówkom Rob zaczął się wgrzyzać w tajniki gry.

U Mirdina Rob odzyskiwał spokój ducha. Pewnego ciepłego wieczoru, zjadłszy jarzynowy pilaw przygotowany przez Farę, poszedł wraz z Mirdinem ucałować do snu sześciolatniego Isachara.

– Abba, czy nasz Ojciec w niebie na mnie patrzy? – spytał chłopczyk.

– Tak, Isacharze. Widzi cię przez cały czas.

– A czemu ja go nie widzę?

– Bo jest niewidzialny.

Malec miał okrągłe śniade policzki i poważne oczy. Zęby i dolna szczęka już były za długie; wyraźnie wdał się w ojca. Odziedzyczył przy tym jego łagodny upór. Zastanowił się przez chwilę i zadał następne pytanie:

– Jeśli jest niewidzialny, to skąd wie, jak wygląda?

Rob omal nie parsknął śmiechem. Oto przez usta dziecka... No, odpowiedz na to pytanie, Mirdinie, mężu uczonej w prawie ustnym i pisany, mistrzu gry szacha, filozofie i medyku!

Ale Mirdin sprostał próbie.

– Tora mówi, że Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo. Dlatego gdy patrzy na ciebie, synku, widzi siebie. –

Ucałował syna. – Dobranoc, Isacharze.

– Dobranoc, abba. Dobranoc, Jesse.

– Śpij dobrze, Isacharze. – Rob cmoknął chłopca w czoło i razem z przyjacielem wyszedł z izby.

49

Pięć dni drogi na zachód

Do Isfahanu przybyła duża karawana z Anatolii i w maristanie pojawił się młody człowiek z koszem suszonych fig dla Żyda imieniem Jesse. Był to Sadi, najstarszy syn Dehbida Hafiza, kalandara Szirazu. Dar był wyrazem wdzięczności i szacunku jego ojca dla ludzi, którzy walczyli z zarazą w Szirazie.

Usiedli nad czarkami czaju, podjadając wielkie, mięsiste i słodsze od miodu figi. Sadi nabył je w Midjacie od kupca, który przywiózł je na wielbłądach aż z Izmiru. Już był podniecony czekając do podróży z powrotem do Szirazu i dumny, że powiezie ze sobą isfahańskie wina w podarunku dla swego czcigodnego ojca, Dehbida Hafiza.

Podróżni byli jedynymi nosicielami wieści, toteż Rob długo wypytywał młodzieńca. Dowiedział się, że gdy karawana opuszczała Sziraz, w mieście od dawna już nie było nowych przypadków zarazy. W górach wschodniej Medii widziano z dala wojska seldżuckie, lecz oddział musiał być niewielki, bo nie zaatakował karawany, chwała niech będzie Allahowi. W Gaznie ludzie cierpieli na swędzącą wysypkę i mistrz karawany ominął ją szerokim łukiem, żeby poganiacze się nie zarazili od miejscowych kobiet. Do Hamadanu epidemia nie dotarła, ale za to jakiś chrześcijanin przywłókł ze sobą cudzoziemską gorączkę i mułowie zakazali ludziom kontaktów z niewiernymi.

– Jak się objawia ta choroba? – spytał Rob.

Sadi ibn Dehbid bezradnie rozłożył ręce. Nie był medykiem i nie miał głowy do takich spraw. Wiedział tylko, że nikt się do chorego nie zbliża poza jego córką.

– Był sam z córką?

Sadi nie potrafił ich opisać, ale Budi, handlarz wielbłądów jadący z karawaną, widział tych chrześcijan na własne oczy. Rob poszedł z nim do chytrookiego starca, który strzykał czerwonym sokiem z betelu przez poczerńnięte zęby.

Budi długo drapał się po głowie, ale wsunięta w dłoń moneta poprawiła mu pamięć na tyle, że przypomniał sobie, iż widział cudzoziemców o pięć dni drogi na zachód od Isfahanu, a pół dnia od Daturu. Mężczyzna nie miał brody, za to długie siwe włosy. Ubrany był dziwacznie, w ciemne suknie. Kobieta była znacznie od niego młodsza, bardzo wysoka, i miała włosy koloru henny, tylko jaśniejsze.

Rob spojrział na niego ze zgrozą.

– Czy ten mężczyzna wyglądał na bardzo chorego?

Budi uśmiechnął się uprzejmie.

– Nie wiem, panie. Był chory, i tyle.

– Nie mieli ze sobą sług?

– Nikogo nie widziałem.

To było zrozumiałe. Przewodnicy uciekli na pierwszy znak choroby.

– Mieli dość żywności? – pytał dalej.

– Sam dałem jej koszyk grochu i trzy chleby, panie.

Wysoki Żyd wbił w niego taki wzrok, że Budi się przestraszył.

– A co wzięłaś w zamian? – syknął.

Handlarz wielbłądów wzruszył ramionami, pogrzebał w sakwie, wyjął z niej nóż i podał mu, trzymając za ostrze. Na każdym

perskim targu można było kupić lepsze i ładniejsze, ale ten nóż przekonał Roba ostatecznie. Ostatni raz widział go bowiem u pasa Jakuba Cullena.

Rob nie zwierzył się Karimowi i Mirdinowi, bo wiedział, że zechcą mu towarzyszyć, a wolał jechać sam. Zostawił dla nich wiadomość u Jusufa ul-Gamala.

– Powiedz im, że wyjechałem w ważnej osobistej sprawie i opowiem im wszystko, jak wrócę.

Prócz bibliotekarza rozmawiał tylko z Dżalalem.

– Wyjeżdżasz? A to czemu?

– To ważne. Idzie o kobietę.

– Zawsze chodzi o kobiety – sarknął Dżalal. Dał się jednak przekonać, że nie braknie mu pomocników, i w końcu kiwnął głową na znak, że Rob może jechać.

Wyruszył o świcie. Miał przed sobą pięć dni drogi i nie mógł zajeździć konia, ale na popasach nie trawił więcej czasu, niż to było konieczne. Wciąż miał przed oczyma obraz samotnej kobiety z chorym ojcem w obcym kraju.

Zaczęły się upały; słońce wysuszyło glebę i słonawy kurz Persji wciskał się wszędzie. Był w jukach, w jedzeniu, osiadał na wodzie cienkim rudawym kozuchem. Żar zwarzył dzikie kwiaty, lecz coraz to Rob widział uprawy na kamienistej glebie. Winnice i sady daktylowe nawadniano tu tak samo jak tysiąc lat temu.

Nikt go nie zaczepiał i nie zatrzymywał. Z niepokojem parł przed siebie i czwartego dnia o zmierzchu minął miasteczko Datur. Nocą nic nie mógł działać, lecz nazajutrz o wschodzie już był z powrotem w siodle. Tuż po południu kramarz zagadnięty w mijanej wiosce nadgryzł podaną mu monetę, a następnie oznajmił, że jak wszystkim wiadomo, chrześcijanie żyją w starej chacie tuż na zachód, koło wadi Ahmada.

Rob nie mógł znaleźć wyschniętego koryta, ale natknął się jednak na pasterzy, starca i chłopca ze stadkiem kóz. Zapytany o chrześcijan, starzec splunął.

Rob sięgnął po miecz, czując, jak ożywia go prawie już zapomniana chęć mordy. Pasterz też musiał to wyczuć, bo nie spuszczać oka z główki, wskazał mu kierunek. Chwilę później Rob postąpił, jak uderza o ziemię wyrzucony w ślad za nim kamień z procy.

Wadi otworzyło się przed nim zniecka. Wiosną musiała nim płynąć woda, bo w cieniu tu i ówdzie coś się zieleniło. Ujechał spory kawał brzegiem koryta, zanim dostrzegł chatę z kamieni zlepionych gliną, a przed nią Mairę nachyloną nad balią. Spostrzegłszy jeźdźca, skoczyła do domu jak spłoszone zwierzę. Zsiadając z konia słyszał, że zapiera drzwi czymś ciężkim.

– Maira! – zawołał.

– To ty?

– Ja.

Zapadła cisza. Potem usłyszał zgrzyt i drzwi lekko się uchyliły. Dopiero po chwili otworzyła je szerzej. Nie poznała go z brodą i w perskich szatach, choć na głowie miał wciąż tę samą skózaną żydowską czapkę.

Stała przed nim z ojcowskim mieczem w dłoni. O tym, co przeszła, świadczyła wymizerowana twarz, z której zostały właściwie tylko oczy, kości policzkowe i długi cienki nos. I wypryski na wargach, których jak dobrze pamiętał, dostawała z wyczerpania. Policzki miała ubrudzone sadzą, w której odcinały się dwie jasne smużki. Zamrugła oczami i zobaczył w nich dawną rzeczową Mairę.

– Proszę, pomóż mi – powiedziała prowadząc go szybko do chaty.

Serce mu się ścisnęło, kiedy ujrzął Jakuba. Nie musiał brać go za rękę – i bez tego wiedział, że jest umierający. Maira także musiała być tego świadoma, lecz patrzyła na Roba tak, jakby się spodziewała, że uleczy jej ojca samym dotknięciem.

W izbie śmierdziało odchodami.

– Ma biegunkę?

Maira ze znużeniem kiwnęła głową i bezdźwięcznym głosem złożyła mu raport. Gorączka zaczęła się dwa tygodnie wcześniej wymiotami i silnym bólem z prawej strony brzucha. Po jakimś czasie spadła i ku radości Mairy ojciec zaczął wracać do zdrowia. Przybrał nieco ciała i było już prawie dobrze, gdy choroba wróciła w jeszcze ostrzejszej postaci.

Twarz Cullena była blada i zapadnięta, oczy bez wyrazu, puls prawie niewyczuwalny. Targały nim na zmianę gorączka i dreszcze, biegunka i torsje.

– Słudzy myśleli, że to zaraza. Uciekli.

– To nie zaraza – uspokoił ją Rob. Wymiociny miały jasną barwę i nie zauważył żadnych guzów. Niewielka pociecha, bo brzuch z prawej strony był twardy jak deska. Kiedy go nacisnął, Cullen, choć nieprzytomny, głośno krzyknął.

Rob znał tę chorobę. Kiedy ostatnio miał z nią do czynienia, żonglował owocami i śpiewał, żeby dziecko mogło skonać bez strachu.

– To rozstrój ślepego jelita – rzekł. – Nazywają go też chorobą boku. Trucizna z wnętrzości rozeszła się już na całe ciało.

– Skąd to się bierze?

– Mógł nastąpić skręt jelit albo coś je zatkało.

Potrząsnął głową. Był bezradny. Robił jednak wszystko, co dawało cię szansy: lewatywy z silnego naparu rumianku, rabarbar i sole, gorące okłady na brzuch – i przez cały czas wiedział,

że to na nic. Czuwał nad Szkotem z Mairą, którą chętnie by odesłał, żeby trochę odpoczęła, gdyby nie był pewien, że koniec jest już bliski. Wkrótce będzie miała dość czasu na odpoczynek.

W środku nocy Cullen lekko się uniósł i wzdrygnął.

– Jestem przy tobie, ojcie – szepnęła Maira rozcierając mu ręce, ale już go nie było. Umarł tak cicho i spokojnie, że dopiero po chwili zrozumieli, że nie żyje.

*

Na parę dni przed śmiercią Maira przestała golić ojca; trzeba było zeszkrobać mu z twarzy siwą szczecinę. Rob uczesał go i podtrzymywał, kiedy Maira bez jednej łzy myła ciało.

– Dobrze, że choć to mogę zrobić – mówiła. – Nie dane mi było pomóc przy matce... Tę bliznę – wskazała podłużną szramę na prawym udzie – zarobił, gdy zdybał w krzakach dzika. Miałam wtedy jedenaście lat. Przez całą zimę musiał siedzieć w domu. Dopiero wtedy naprawdę się z nim zżyłam.

Rob przyniósł więcej wody i zagrzał ją nad ogniem. Gdy Maira się myła, poszedł kopać grób. Szło mu ciężko, bo grunt był skalisty, a on nie miał nawet łopaty. Rozbijał twarde grudy na przemian mieczem Cullena i drewnianym kołkiem i wygarniał je rękoma. Kiedy dół był gotowy, zrobił krzyż z dwóch kijów związanych pasem zmarłego.

Maira włożyła tę samą ciemną suknię, w której ją poznał. Za całun posłużył pled ze szkockiej wełny, tak ciepły i miękki, że aż szkoda go było kłaść do grobu. Nie mieli księdza, a Rob nie potrafił sobie przypomnieć łacińskich modlitw pogrzebowych. Pamiętał wszakże psalm, którego kiedyś uczyła go matka.

Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.

*Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach.
Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć;
Orzeźwia moją duszę.
Choćbym szedł ciemną doliną,
Zła się nie ulękne,
Bo Ty jesteś ze mną...*

Skończywszy zasypał grób i zatknął na nim krzyż. Potem odszedł, zostawiając Mairę samą. Klęczała nad mogiłą ojca z zamkniętymi oczami, szepcząc coś, co tylko zmarły – i Bóg – mogli usłyszeć.

Nie ponaglał jej. Powiedziała mu, że jej ojciec puścił konie wolno, żeby same szukały sobie paszy wśród rzadkiej roślinności nad wadi, pojechał więc ich poszukać. Po drodze znalazł otoczoną płotem z kolczastych gałęzi zagrodę, a w niej kości czterech owiec, najpewniej zagryzionych i pożartych. Szkot musiał ich kupić znacznie więcej, lecz rozkradli je ludzie.

Szaleniec! Jak mógł sobie roić, że uda mu się doprowadzić stado do Szkocji! Sam też już nie wróci. A córkę zostawiłby na pastwę losu we wrogim kraju.

U wlotu kamienistej dolinki znalazł szczątki konia. Możliwe, że złamał nogę i stał się łatwą zdobyczą dla drapieżników. Kości były ogryzione niemal do czysta. Rob wrócił do świeżego grobu i przywalił go ciężkimi płaskimi kamieniami, żeby szakale nie wygrzebały ciała.

Karego wierzchowca Mairy znalazł w drugim końcu tej samej dolinki. Pewnie uciekł, gdy szakale dobrały się do tamtego. Rob bez trudu nałożył mu uzdę. Widać koń zatęsknił za bezpieczeństwem, jakie mógł mu zapewnić człowiek.

Po powrocie do chaty zobaczył, że Maira jest bardzo blada, ale spokojna.

– Co ja bym zrobiła, gdybyś się nie zjawił? – powiedziała bezradnie.

– To, co byś musiała. – Uśmiechnął się na wspomnienie zabarykadowanych drzwi i miecza, z którym do niego wyszła.

Spojrzała na niego poważnie.

– Pojadę z tobą do Isfahanu.

– Pragnę tego ponad wszystko – odparł. Serce targnęło się w nim z radości, podskoczyło, ale ostudziły go następne słowa:

– Czy jest tam karawanseraj?

– Tak. Duży i ruchliwy.

– Znajdę chronioną karawanę kierującą się na zachód. Z nią dotrę do jakiegoś portu i wrócę do domu.

Podszedł i ujął ją za rękę – po raz pierwszy odkąd tu przyjechał. Były zniszczone, niepodobne do dłoni mieszkanek haremów, ale miał ochotę trzymać je do końca świata.

– Mairo... popełniłem straszny błąd. Nie mogę cię znowu stracić.

Patrzyła na niego spokojnymi oczyma.

– Jedź do Isfahanu, ale zostań ze mną.

Pokonując wewnętrzny opór, przyznał się, że w Isfahanie uchodzi za kogoś innego. Palce Mairy drgnęły, w jej oczach ujrzął gniew i zgrozę.

– Tyle kłamstw... – Odsunęła się od niego i wyszła z chaty.

Stanął w drzwiach i patrzył za nią, gdy schodziła nad kamienisty brzeg wyschłej rzeki. Długo jej nie było. Zaczął się niepokoić, ale w końcu wróciła.

– Powiedz mi, czy warto tak udawać.

Zmusił się, by ująć w słowa wszystkie kierujące nim uczucia. Pragnął jej i wiedział, że jest jej to winien.

– To tak jakbym został wezwany – zaczął. – Jakby Bóg mi powiedział: „Stworzyłem niedoskonałą istotę ludzką i musisz mi

pomóc naprawić niektóre błędy.” To było silniejsze ode mnie.

Przeraziła się.

– Błędnie uważając, że możesz naprawiać błędy Pana Boga!

– To nie tak. Dobry medyk jest Jego narzędziem.

Kiwnęła głową. Wydawało mu się, że w jej oczach błysnęło zrozumienie, może nawet odrobina zazdrości.

– Będę musiała dzielić cię z kochanką.

Przeszła mu przez głowę absurdalna myśl, że jakimś cudem wie o Despinie.

– Kocham tylko ciebie.

– Nie. Kochasz medycynę i to ona będzie pierwsza, przed rodziną, przede mną... Ale i ja cię kocham, Robercie. Chcę zostać twoją żoną.

Rob przyciągnął ją do siebie.

– Cullenowie biorą ślub w kościele – dodała z twarzą w jego ramieniu.

– Nawet gdybyśmy znaleźli w Persji księdza, nie związałby chrześcijanki z żydem. Musimy mówić, że pobraliśmy się jeszcze w Konstantynopolu. Kiedy skończę naukę, wrócimy do Anglii i pobierzemy się jak należy.

– A co teraz? – spojrzała na niego.

– Teraz poślubimy się przed Bogiem.

Ujął jej dłonie w swoje i popatrzył jej w oczy.

– Nawet przed Bogiem wypada coś powiedzieć – wytknęła.

– Biorę cię sobie za żonę, Mairo z Cullenów – rzekł ochryple. – Przysięgam cię strzec i miłować... – głos uwiązł mu w gardle.

– I ja biorę ciebie za męża, Robercie Jeremiaszu – odparła głośno i wyraźnie. – Pójdę za tobą wszędzie, dbając o twoje dobro bardziej niż o własne. Pokochałam cię w chwili, kiedy po raz pierwszy cię ujrzałam...

Ścisnęła go mocno za ręce. Poczuł siłę tętniącego w niej życia. Dziwnie było się radować nieopodal świeżego grobu, ale targała nim burza uczuć. Ten ślub jest lepszy od niejednego zawartego w kościele, powiedział sobie.

Spakował rzeczy Mairy na kasztanka, zostawiając jej pod wierzch karosza. Nazajutrz zamierzał przełożyć juki. Od czasu do czasu, gdy droga była równa i teren płaski, siadali oboje na jednego konia. Zwykle jednak ona jechała, a on szedł pieszo. Posuwali się więc powoli, ale przecież nigdzie im się nie spieszyło.

Maira prawie się nie odzywała. Świadom, że przeżyła wstrząs, Robert nie próbował się do niej zbliżyć. Drugiej nocy, gdy biwakowali w zaroślach blisko traktu, po raz pierwszy usłyszał jej płacz.

– Skoro mienisz się narzędziem Pana Boga, to dlaczego go nie uratowałaś? – rzuciła gorzko.

– Za mało umiem – odparł.

Nie mogła opanować odwlekanych tak długo łez. Przytulił ją mocno do siebie. Oparłszy jej głowę o swoje ramię, zaczął całować najpierw mokre policzki, potem usta – słodkie, chętne, o zapamiętanym smaku. Gładził ją po plecach i po kształtnym wgłębieniu u nasady kręgosłupa, a gdy pocałunki stały się gwałtowniejsze i poczuł w ustach jej język, sięgnął pod spódnicę. Rozpłakała się od nowa, lecz jej ciało wyszło mu naprzeciw.

Uroczysta, podniosła cześć była w nim chyba nawet silniejsza od żądz. Złączyli się delikatnie, kołysząc lekko, kojąco. Nie był jednak w stanie długo hamować namiętności. Chcąc uleczyć, sam został uleczony; pragnąc pocieszyć, doznał pocieszenia. Pieścił potem świeżo zaślubioną żonę, by jej wynagrodzić, że chwile uniesienia trwały zbyt krótko.

Na koniec ją przytulił i zaczął opowiadać – o Isfahanie i Jahudii, o madrasie, szpitalu i o Ibn Sinie. O swych przyjaciółach, muzułmaninie i żydzie.

– Są żonaci? – spytała.

– Mirdin tak, Karim ma wiele kobiet.

Usnęli objęci.

W szarym świetle poranka obudziło go powolne człapanie koni na piaszczystej drodze, skrzypienie siodeł, czyjs kaszel i rozmowa.

Wyjrzał przez kolczaste zarośla osłaniające ich obozowisko. Droga ciągnął zbrojny oddział. Wojownicy mieli w pochwach krzywe wschodnie szable, lecz łuki krótsze od perskich. Byli obdarci i brudni, białe niegdyś turbany pociemniały od potu i kurzu. Skulony za krzakami Rob czuł ich smród. Podświadomie oczekiwał chwili, gdy któryś koń zdradzi ich parsknięciem albo jakiś jeździec zboczy z traktu. Nagle dojrzał znajomą twarz Hadada, porywczego pośła seldżuckiego, którego widział na dworze.

A więc to Seldżuci. Ze zdumieniem zobaczył wśród nich mułkę Musę ibn Abbasa, głównego doradcę wezyra Kandrasy. Nim przejechali, spostrzegł jeszcze sześciu mułów. Wojowników naliczył dziewięćdziesięciu sześciu, ale nie wiedział, ilu ich minęło, kiedy spał.

Na szczęście konie stały cicho i obyło się bez konfrontacji. Nasłuchując cichnących w dali odgłosów, obudził Maireę pocałunkiem i nie tracąc czasu zwinął obozowisko. Teraz już mieli powód do pośpiechu.

– Wzięłaś sobie żonę? – Karim wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

– Coś podobnego! To jednak posłuchałaś mojej rady! – ucieszył się Mirdin. – Kto ułożył małżeństwo?

– Nikt. Właściwie – poprawił się szybko Rob – umowę małżeńską zawarto ponad rok temu, ale dopiero teraz można ją było wypełnić.

– Jak ma na imię? – wpadł mu w słowo Karim.

– Maira. Jest Szkotką. Poznałem ją i jej ojca w karawanie ciągnącej na Wschód.

W paru słowach napomknął o Jakubie Cullenie, jego chorobie i śmierci. Mirdin zdawał się go nie słuchać.

– Szkotka... Czy to znaczy, że pochodzi z Europy? – upewnił się.

– Tak. Ich kraj graniczy od północy z moim krajem.

– Chrześcijanka?

– Tak.

– Chętnie ją obejrzę – oznajmił Karim. – Ładna?

– Piękna! – wykrzyknął Rob i Karim buchnął śmiechem. – Zresztą sami ocenicie. – Odwrócił się do Mirdina, ale ten już odszedł.

Robert czuł się idiotycznie w roli szpiega, ale przysiągł Ali wierność i nie miał wyboru. Kiedy przyszedł do pałacu i poprosił o posłuchanie u szacha, Chuff uśmiechnął się kwaśno.

– W jakiej sprawie?

Rob w milczeniu pokręcił głową. Dowódca Bram zmierzył go kamiennym spojrzeniem, kazał poczekać i poszedł powiadomić władcę, że Żyd pragnie złożyć mu pokłon. Natychmiast potem go wpuścił.

Szach był lekko podchmielony, lecz w skupieniu wysłuchał wieści, że jego wezyr wysyła duchownych na narady z Seldżukami.

– Nie było doniesień o napaściach w Hamadanie – rzekł powoli – a zatem nie wybrali się tam, by grabić. Pozostaje tylko jedna

możliwość: spotkali się, by uknuć zdradę. – Spojrzył na Roba spod zmrużonych powiek. – Komu jeszcze o tym mówiłeś?

– Nikomu, wasza wysokość.

– I niech tak zostanie.

Ala najwyraźniej nie miał zamiaru dłużej z nim dyskutować na ten temat, bo sięgnął po tablicę do gry szacha. Ucieszył się stwierdziwszy, że Rob zrobił znaczne postępy.

– Niedługo będziesz zręczny i podstępny jak Pers, *zimmi!* – zaśmiał się.

Tym razem istotnie Rob bronił się dłużej, choć w końcu Ala sromotnie go rozgromił. Pomimo to obaj czuli, że gra przybrała nową jakość: teraz była to walka. Rob powiedział sobie, że kto wie, mógłby przez jakiś czas się opierać, gdyby tak bardzo nie spieszyło mu się do żony.

Isfahan oczarował Mairę, a wydał jej się tym piękniejszy, że była tu z ukochanym. Podobał jej się nawet skromny domek w biednej żydowskiej dzielnicy. Mniejszy od tego, w którym mieszkała z ojcem pod Hamadanem, był przynajmniej solidniej zbudowany.

Poprosiła Roba, żeby kupił gips i parę narzędzi, obiecała sobie bowiem, że w pierwszej sposobnej chwili doprowadzi dom do ładu. Kiedy poszedł do madrasy, zajęła się łątaniem ścian. Trwała pełnia lata, toteż w grubej ciemnej sukni z długimi rękawami Maira wkrótce była zlana potem.

Jeszcze przed południem do drzwi zapukał oszałamiająco przystojny Pers. Przyniósł kosz czarnych śliwek. Postawił go i sięgnął dłonią do jej rudych włosów, cmokając przy tym z miną, w której – choć przestraszona – rozpoznała podziw. Uśmiechnął się błyskając śnieżnobiałymi zębami w smagłej twarzy i przemówił do niej miłym, dźwięcznym głosem, lecz niestety po persku.

– Wybacz, ale... – przerwała mu.

– A! – W lot pojął, o co chodzi. Stuknąwszy się w pierś oznajmił: – Karim.

– Przyjaciel mojego męża! – ucieszyła się. – Opowiadał mi o tobie.

Karim uśmiechnął się jeszcze piękniej i posadził ją na krześle, ignorując jej protesty, których i tak nie był w stanie zrozumieć, po czym wręczył jej śliwki. Sam tymczasem wymieszał gips, zalepił trzy pęknięcia w ścianach i umocował parapet. Ośmielona, zaangażowała go do pomocy w karczowaniu wybujałych zarośli w ogrodzie.

Rob zastał ich przy pracy. Maira nalegała, żeby Karim zjadł z nimi posiłek, odłożyli go więc do zmroku, gdyż trwał właśnie ramadan i w ciągu dnia muzułmanów obowiązywał post.

– Miły ten Karim – stwierdziła Maira wieczorem, kiedy gość już poszedł. – Kiedy poznam Mirdina?

Rob pocałował ją i pokręcił głową.

– Nie wiem – odparł.

Ramadan, zarazem postny i świąteczny, wciąż zadziwiał Mairę. Rob, który oglądał go już po raz drugi, opowiadał jej, że jest to miesiąc powagi, modlitwy i umartwień. Z targów i ulic zniknęli sprzedawcy żywności, majdany przez cały miesiąc stały puste – a równocześnie wszyscy wciąż myśleli o jedzeniu i nocami obżerali się w rodzinnym gronie, żeby łatwiej znieść kolejny dzień postu.

– W zeszłym roku podczas ramadanu byliśmy w Anatolii – powiedziała w zadumie Maira. – Ojciec kupił parę jagniąt i wydał ucztę dla naszych muzułmańskich służących.

– Jeśli chcesz, możemy urządzić wieczerzę.

– Może później. Teraz jestem w żałobie – przypomniała mu. Targały nią sprzeczne uczucia: chwilami czuła się pólżywa z żalu, a innym razem rozpierało ją małżeńskie szczęście.

Rzadko wychodziła z domu i zawsze miała wtedy wrażenie, że ludzie patrzą na nią wrogo. W czerni nie wyróżniałaby się zbyt spomiędzy Żydówek, gdyby nie rude włosy. Starła się je chować, lecz mimo to kobiety pokazywały ją palcami na ulicy i traktowały z nie mniejszą rezerwą.

W tym wielkim ludnym mieście mogła się porozumieć z jednym tylko człowiekiem. Powinna właściwie czuć się wyobcowana, tymczasem nie opuszczało jej oszałamiające wrażenie, że na całym świecie są tylko we dwoje – ona i jej świeżo poślubiony mąż.

W ramadanie odwiedzał ich tylko młody perski medyk. Widziała go kilkakrotnie, jak biegł ulicami miasta. Patrzyła jak w transie; przypominał jej jelenie w górach Szkocji. Rob opowiedział jej o chatirze, biegu, który miał się odbyć pierwszego dnia święta Bairam, kończącego długi post.

– Obiecałem, że będę się nim opiekował podczas biegu – dodał.

– Tylko ty jeden?

– Mirdin też przyjdzie. Ale przydamy mu się obaj – bąknął przepraszająco.

Zrozumiała, że Rob ma skrupuły z powodu jej żałoby.

– To oczywiste, że musisz przy nim być – stwierdziła stanowczo.

– Sam bieg nie jest świętem. Nawet osoba w żałobie śmiało może mu się przyglądać.

Maira przemyślała to w ostatnich dniach ramadanu i doszła do wniosku, że Rob ma słuszność: obejrzy wraz z nimi chatir.

Pierwszy dzień miesiąca *szawwal* wstawał w gęstej mgle. Karim miał nadzieję, że będzie to dobry dzień dla biegacza. Spał bardzo niespokojnie, lecz pocieszał się myślą, że inni zawodnicy pewnie też się męczą, daremnie starając się zapomnieć o biegu.

Wstał, ugotował sobie spory garnek fasoli z ryżem i posypał go starannie odmierzoną dozą nasion selera. Zjadł cały, przemagając

opór ściśniętego żołądka, jakby nakładał drewno do pieca. Potem wrócił do łóżka, położył się i czekając, aż ziarna selera zaczną działać, próbował wyciszyć umysł modlitwą.

*O, Allahu, daj dziś chyżość i pewność moim stopom,
Daj moim mięśniom siłę i giętkość młodych drzew.
Niech me piersi pracują nieustrudzenie jak miechy,
Niech umysł będzie jasny, zmysły ostre,
A moje oczy wpatrzone tylko w Ciebie.*

Nie modlił się o zwycięstwo. Kiedy był dzieckiem, Zaki Omar często mu powtarzał: „Każdy tchórz modli się o zwycięstwo. Jakże Allah miałby spełnić te wszystkie błagania? Lepiej prosić Go o szybkość i wytrwałość i samemu zrobić z nich użytek, biorąc na siebie odpowiedzialność za zwycięstwo lub porażkę”.

Po chwili wstał, przykucnął nad cebrem i siedział na nim dotąd, aż poczuł, że jelita ma całkiem puste. Dobrze odmierzył ziarna; gdyby przesadził, kurcze mogłyby go powalić w połowie biegu.

Nagrzał wody, umył się w misce przy świecy i pospiesznie wytarł, bo ranek był chłodny. Następnie namaścił się oliwą dla ochrony przed słońcem i dwukrotnie wysmarował miejsca, w których mogły powstać otarcia: brodawki piersi, pachy, pachwiny i genitalia, rowek między pośladkami, a na końcu stopy ze szczególnym uwzględnieniem czubków palców.

Okrył biodra lnianą przepaską, włożył koszulę, lekkie skórzane buty stosowne dla piechura i barwną czapkę z piórem. Na szyi zawiesił talizman w szmacianym woreczku i kołczan na pasie biegnącym ukośnie przez pierś. Okrył się płaszczem, a potem wyszedł z domu.

Ruszył powoli. Po chwili przyspieszył i niebawem poczuł, jak ożywcze ciepło przenika mu mięśnie i stawy. Na ulicach było pusto;

skorzystał z tego, by nerwowo opróżnić pęcherz w krzakach. Jednakże przy zwodzonym moście do Rajskiego Domu, skąd zaczynał się wyścig, stało już kilkaset osób. Ostrożnie precyzyjnie się na tyły tłumu i w umówionym miejscu znalazł Mirdina. Po chwili przyszedł Jesse. Sztywno skinął głową Mirdinowi. Musieli się poróżnić, pomyślał Karim, lecz zaraz odsunął od siebie ich sprawy. On miał przed sobą tylko bieg.

Jesse uśmiechnął się do niego i pytająco uniósł brwi, wskazując wzrokiem woreczek, który Karim miał na szyi.

– To od mojej ukochanej. Na szczęście – wyjaśnił biegacz.

Nie powinien, nie może wdawać się w pogawędki, upomniał się w duchu. Uśmiechnął się przepaszająco do przyjaciół i zamknął oczy, przywołując pustkę. Niebawem przestał słyszeć rozmowy i głośne chełpliwe śmiechy. Trudniej było usunąć z umysłu zapach oliwy i sadła, wyziewy ciał i przepoconych ubrań.

Jeszcze raz odmówił modlitwę. Gdy otworzył oczy, mgła miała perłową barwę i prześwitywał przez nią czerwony krąg słońca. Zrobiło się duszno. Z ukłuciem lęku Karim zdał sobie sprawę, że dzień będzie potwornie upalny.

Niech będzie, co Bóg da. *Inszallah.*

Zdjął płaszcz i podał go Jessemu.

– Bóg z tobą – rzekł pobladły Mirdin.

– Biegnij z Bogiem, Karimie – powiedział Jesse.

Nie odpowiedział. Wokół zaległa cisza. Biegacze i widzowie utkwili oczy w najbliższym minarecie Meczetu Piątkowego, na który wspięła się maleńka postać w czerni. Doleciało ich nagłące wezwanie do pierwszej modlitwy. Karim padł na ziemię, zwracając twarz w stronę Mekki.

Po modlitwie podniósł się ogłuszający wrzask. Wyli biegacze i widzowie. Karim zadygotał z przejęcia. Jedni dopingowali

biegaczy, inni wzywali Allaha, a jeszcze inni wydawali bojowe okrzyki, jakby mieli uderzyć na nieprzyjacielskie wojska.

Pierwsze szeregi rzuciły się naprzód, przepychając się brutalnie, byle wyjść na prowadzenie. Nawet ci, którzy zaraz po modlitwie zerwali się na nogi, narażeni byli na razy i kopniaki. Karim czekał cierpliwie, aż odpłynie mu z drogi falujący, hałaśliwy, irytujący tłum.

Wreszcie i on ruszył. Znajdował się w ogonie długiego węża zawodników.

Zaczął się chatir.

Biegł powoli. Straci wiele czasu na pierwsze pięć i ćwierć mili, ale taki ułożył sobie plan. Miał też inną możliwość: wejść od razu do czołówki, a następnie – zakładając, że nie zostałby poturbowany w ścisku – wysforować się daleko w przód. Wówczas jednak zużyłby bardzo wiele sił na samym starcie. Wolał unikać ryzyka.

Wybiegli szerokimi Bramami Raju i skręcili w lewo, w długą na ponad milę, opadającą aleję Tysiąca Ogrodów. Potem trasa wiodła na łagodne wzgórze w pierwszej połowie okrążenia i krótkie, lecz bardziej strome wzniesienie za nawrotem. Dalej skręcała w prawo w ulicę Apostołów liczącą ledwie ćwierć mili, lecz obniżoną pośrodku, przez co najpierw zbiegali w dół, a potem musieli wspinać się na wzniesienie. Później znowu skręcili w lewo, w aleję Alego i Fatimy prowadzącą do madrasy.

W biegu brali udział najróżniejsi ludzie. Wśród młodych arystokratów panowała moda na pokonanie co najmniej połowy okrążenia, toteż dworacy w jedwabiach biegli obok nędzarzy w łachmanach. Karim trzymał się z tyłu. Na razie nie był to jeszcze prawdziwy wyścig, a radośnie pędzący tłum podniecony zakończeniem ramadanu. Łagodny początek działał na jego korzyść – oszczędzał siły i stopniowo pobudzał serce.

Było jeszcze wcześniej; później wzdłuż ulic będzie stał zwarty tłum. Bieg miał trwać niemal do wieczora. Mijając madrasę Karim zerknął na podłużny dach piętrowego maristanu, szukając na nim kobiety, której pukiel włosów niósł w woreczku na szyi. Dach był pusty, za to przed szpitalem stało dwóch pielęgniarzy.

– Hakim! Hakim! – wrzeszczeli.

Pomachał im ręką, świadom zawodu, jaki musieli odczuć widząc go na końcu stawki.

Minęli tereny madrasy, kierując się na główny majdan, gdzie ustawiono dwa wielkie otwarte namioty. Jeden, przeznaczony dla szlachty, wysłany dywanami, mieścił stoły uginające się od wytwornych potraw i win; w drugim podano chleb, pilaw i szербet dla gminu. Oba znalazły amatorów: niemal połowa uczestników biegu z okrzykami radości rzuciła się na poczęstunek.

Pozostali, w tym i Karim, minęli namioty i okrążywszy kamienne słupy do gry w piłkę i kij, zawrócili w kierunku Rajskiego Domu.

Teraz było ich mniej, zrobiło się miejsce i Karim wreszcie mógł rozwinąć własne tempo. Mógł postąpić jak ci, którzy parli naprzód, aby pierwsze okrążenia przebiec szybko, korzystając z porannego chłodu. Ale Zaki Omar zawsze mawiał, że na długich dystansach wygrywa ten, kto wybierze i utrzyma takie tempo, żeby zachować siły na końcówkę. Karim to potrafił. Biegł równo w rytmie końskiego kłusa. Rzymska mila liczyła tysiąc pięciostopowych kroków, lecz kroki Karima były nieco krótsze; mieściło się ich w mili około tysiąca dwustu. Trzymał się prosto, z uniesioną głową, a miarowy tupot własnych stóp o ziemię brzmiał w jego uszach jak głos przyjaciela.

Wyprzedził już niektórych, choć nie byli to poważni przeciwnicy. Swobodnie podbiegł do słupa i włożył pierwszą strzałę do swojego kołczanu.

Mirdin podał mu balsam chroniący przed słońcem, którego nie przyjął, i wodę, której napił się chętnie, lecz oszczędnie.

– Jesteś czterdziesty drugi – powiedział Jesse.

Karim kiwnął głową i ruszył dalej.

Było jasno, resztki mgły się rozwiały. Słońce wisało jeszcze nisko, lecz mocno już grzało, zapowiadając skwar. Zdarzało się, że Allah zlitował się nad biegaczami, ale większość chatirów rozgrywano w potwornym upale. Zaki Omar dwukrotnie zajął drugie miejsce – raz, gdy Karim miał dwanaście lat, i dwa lata później. Pamiętał swoje przerażenie na widok zmienionej, purpurowej z wysiłku twarzy Zakiego i jego błędnych wytrzeszczonych oczu. Zaki dotarł do granicy swoich możliwości, ale w obu wyścigach znalazł się inny biegacz, który potrafił biec dłużej i dalej od niego...

Wyrzucił tę myśl z głowy. On zwycięży.

Podbiegi nie zmęczyły go bardziej niż za pierwszym okrążeniem – prawie ich nie zauważył. Tłumy gęstniały; była piękna pogoda i Isfahan radował się świętem. Większość sklepów i warsztatów zamknięto na cztery spusty, widzowie grupowali się wedle zawodów, narodowości lub wyznań – osobno Ormianie, Hindusi, Żydzi, wykładowcy z madrasy, mułłowie...

Na dachu szpitala wciąż nie było kobiety, która obiecała mu, że przyjdzie. Poczł ukłucie zawodu. Chyba że to mąż jej zabronił...

Gęsty tłum przed madrasą machał mu jak oszalały. Na majdanie trwała już zabawa rozszalała niczym w czwartkowy wieczór. Przed rzeszami gapiów popisywali się muzykanci, żonglerzy, szermierze, akrobaci, tancerze i magicy. Biegacze przemykali skrajem placu, prawie niezauważeni.

Mijał wyczerpanych zawodników leżących lub siedzących na poboczu. Kiedy wkładał drugą strzałę do kołczanu, Mirdin znów

chciał go wysmarować maścią chroniącą od słońca, lecz Karim zaprotestował. Nie chciał się oszpeciść, bo przecież ona miała go oglądać. Poczłł wstyd, ale rozgrzeszył się myślą, że z maści może skorzystać w każdej chwili – umówili się, że od tego okrażenia Jesse ruszy za nim na kasztanku. Karim znał swój organizm. Czekala go pierwsza próba sił. Zawsze po dwudziestu pięciu milach przechodził kryzys.

Kłopoty pojawiły się zgodnie z rozkładem. W połowie wzniesienia alei Tysiąca Ogrodów zaczęła go boleć otarta prawa pięta. Na tak długim dystansie urazy były nieuchronne; wiedział, że musi je po prostu znieść. Wkrótce potem dostał kolki w prawym boku. Ilekroć uderzał o ziemię prawą stopą, przesywający ból zapierał mu oddech. Kiwnął na Jessego, który wiózł przy siodle bukłak, ale łyk ciepłej wody niewiele mu pomógł.

Za to widok Despiny na dachu maristanu podziałał jak cudowny balsam.

Rob, zdążający za Karimem niczym giemek, z uśmiechem pomachał do Mairy. W żalobnej sukni nie wyróżniałaby się spośród zebranych na dachu kobiet, gdyby nie to, że tylko ona miała odkrytą twarz. Muzułmanki stały z dala od niej, jak gdyby bały się zarazić jej europejskością. Towarzyszyli im niewolnicy; Rob poznał Wasifa górującego nad drobną kobiecą postacią w workowatej czarnej sukni. Kwef z końskiego włosia zasłaniał jej twarz, dostrzegł tylko błysk oczu. Patrzyły na Karima. On też spojrział na przyjaciela i aż zatchnął się ze zdumienia: mijając szpital Karim nie odrywał oczu od Despiny, a dłonią dotknął sakiewki zawieszanej na szyi.

Było to jak publiczne wyznanie, ale ton wiwatów się nie zmienił. Rob rozejrzał się po tłumie, szukając Ibn Siny, lecz nie zauważył go

wśród widzów.

Po pewnym czasie ból w boku zelżał, a obite stopy wciąż go niosły. Wielu zawodnikom brakło już sił; wzdłuż całej trasy zbierano ich na wózki zaprzężone w osły.

Włożywszy do kołczanu trzecią strzałę, Karim pozwolił się natrzeć maścią z olejku różanego i muszkatołowego z cynamonem, która zabarwiła mu skórę na żółto, lecz chroniła ją przed oparzeniem. Jesse w tym czasie rozmasował mu nogi, a na koniec Mirdin przytknął mu do popękanych warg pełen kubek wody.

– Nie! Będę sikać – zaprotestował Karim.

– Za mocno się pocisz, żebyś sikał – uciał Mirdin.

Miał słuszną rację. Karim wypił wodę i po chwili był już daleko.

Tym razem mijał madrasę ze świadomością, że wygląda jak potwór. Rozmazany na jego ciele żółty tłuszcz znaczyły strużki potu i smugi kurzu.

Słońce stało wysoko; nagrzało ziemię tak, że parzyła przez skórzane podeszwy butów. Stojący przy trasie widzowie podawali biegaczom naczynia z wodą. Od czasu do czasu Karim zwalniał, polewał sobie głowę i pędził dalej nie dziękując.

Kiedy zabrał czwartą strzałę, Jesse na chwilę zniknął, ale zaraz wrócił na karym wierzchowcu żony. Z pewnością zostawił kasztankę, by mógł się napić i odpocząć w cieniu. Mirdin czuwał przy słupie ze strzałami, obserwując innych biegaczy, jak mu obiecał.

Coraz częściej mijał tych, którzy odpadli z biegu. Na środku drogi stał zgięty wpół zawodnik szarpany pustymi torsjami. Inny, Hinduś, który od jakiegoś czasu już utykał, mruknął coś pod nosem, rzucił buty, przebiegł kilka kroków zostawiając czerwone ślady krwawiących stóp, po czym stanął spokojnie, by zaczekać na wóz.

Za piątym okrążeniem Despiny nie było już na dachu. Może przykro jej było oglądać go w takim stanie? To nie miało znaczenia, najważniejsze, że przyszła. Od czasu do czasu zaciskał palce na woreczku z długim czarnym kosmykiem, który sam jej obciął.

Wozy, biegacze i wierzchowce pomocników wzbijały tumany kurzu. Pył wciskał się do nosa i gardła, powodował kaszel. Karim zaczął się wyłączać, tłumił wszelkie doznania, aż jego świadomość zbiła się w małą kulkę gdzieś głęboko w środku, ciało zaś samo powtarzało ruchy, które znało na pamięć.

Wezwanie do drugiej modlitwy było dla niego wstrząsem.

Na całej trasie biegacze i widzowie dotknęli czołem ziemi, zwracając się ku Mekce. Karim dygotał; jego ciało nie mogło uwierzyć, że w tej chwili nikt nic od niego nie żąda. Marzyło mu się zdjęcie butów, ale wiedział, że już by ich nie włożył. Po skończonej modlitwie klęczał jeszcze przez moment.

– Ilu? – zapytał.

– Osiemnastu. Teraz to już wyścig – odparł Jesse.

Karim ruszył dalej, rozgarniając drżące od skwaru powietrze. Jesse się mylił; to jeszcze nie był wyścig.

Wzniesienia pokonywał z większym wysiłkiem, ale wciąż utrzymywał równe tempo, choć było mu coraz trudniej. Słońce prażyło niemiłosiernie, a prawdziwa próba była dopiero przed nim. Pomyślał o Zakim. Gdyby żył, biegłby dalej, choćby i po drugie miejsce.

Karim dotąd nie osiągnął nawet tego, ale za rok jego ciało może okazać się za stare na taką torturę. Jeśli ma zwyciężyć, musi to zrobić dzisiaj. Ta myśl pozwoliła mu znaleźć zapas sił, których inni nie mogli już z siebie wykrzesać. Wsuwając szóstą strzałę do kołczanu spytał:

– Ilu?

– Zostało sześciu – odpowiedział ze zdumieniem Mirdin.
Karim kiwnął głową i pobiegł dalej. Teraz to był wyścig.

Widział przed sobą trzech biegaczy. Najpierw wyprzedził niskiego szczupłego Hindusa. Pozostałych dwóch znał. Osiemdziesiąt kroków przed Hindusem biegł młody żołnierz z gwardii pałacowej. Daleko w przodzie Karim rozpoznał znanego biegacza z Hamadanu, Harata.

Hindus zwalniał, ale znów się zmobilizował, kiedy Karim go minął, i pobiegli ramię w ramię. Skórę miał ciemną jak heban, pod nią grały w słońcu długie płaskie mięśnie.

Zaki też miał ciemną skórę, pomyślał Karim. Dzięki temu nie musiał się smarować maścią. Karim był znacznie bledszy. Zaki twierdził, że którąś z jego przodkiń musiał posiadać jasnowłosa Grek przybyły z Aleksandrem. Mogło tak być w istocie – Grecy kilkakrotnie najeżdżali Persję. Stąd niektóre Persjanki miały śnieżnobiałe piersi...

Na drogę nie wiedzieć skąd wyskoczył łaciaty kundel i ujadając pognał za nimi.

Mieszkańcy rezydencji przy alei Tysiąca Ogrodów podawali zawodnikom plastry melona i kubki z sherbetem, ale Karim nie chciał jeść w obawie, że dostanie kurczów. Wziął tylko od kogoś wodę w naczyniu i wlał ją do czapki, którą włożył na głowę. Doznał chwilowej ulgi, choć czapka błyskawicznie wyschła w słońcu. Hindus porwał z czyichś rąk zielonego melona i pożarł go w biegu, a skórę rzucił za siebie.

Razem minęli młodego żołnierza. Jak się okazało, miał tylko pięć strzał w kołczanie, wyprzedzali go więc o całe okrążenie. Jego koszulę znaczyły czerwone smugi krwi z otartych sutek. Nogi uginały mu się lekko przy każdym kroku i widać było, że nie wytrzyma już długo.

Hindus błysnął w uśmiechu białymi zębami, zerkając na Karima. Utrzymał tempo, a twarz miał wprawdzie czujną, lecz nie było na niej zbytniego napięcia. Karim poczuł niepokój; intuicja mu podpowiadała, że tamten jest od niego silniejszy i mniej zmęczony. Być może również szybszy, gdy przyjdzie do finiszu.

Psiak, który od pewnego czasu biegł równo z nimi, skręcił raptownie przecinając im drogę. Karim zdążył uskoczyć, otarł się tylko o ciepłą sierść. Hindusowi pies wpadł mu prosto pod nogi i biegacz runął na ziemię.

Karim zawrócił. Hindus uczynił wysiłek, by się podnieść, lecz opadł z powrotem. Prawą stopę miał skrzywoną pod dziwnym kątem. Patrzył na nią z niedowierzaniem, jakby nie potrafił pojąć, że dla niego wyścig się skończył.

– Biegnij! – zawołał Jesse do Karima. – Ja się nim zajmę. Ty biegnij!

I Karim pobiegł. Biegł, jakby siły Hindusa przeszły w niego, jakby sam Allah przemówił doń głosem *zimmiego*, teraz bowiem uwierzył, że może zwyciężyć.

Przez większą część tego okrążenia biegł dość daleko za Haratem. Na ulicy Apostołów zmniejszył dystans i tamten się obejrzał. Znali się jeszcze z Hamadanu i Karim widział w oczach starszego biegacza, że też go poznaje. Mignęła w nich ta sama co niegdyś pogarda:

Oto dupcia Zakiego Omara...!

Harat przyspieszył i wkrótce znów go wyprzedzał o dwieście kroków.

Kiedy Karim wziął siódmą strzałę, Mirdin podał mu wodę i smarując go żółtą maścią powiedział:

– Jesteś czwarty. Prowadzi jakiś Afgańczyk, nie znam jego imienia. Mahdawi z Reju jest drugi, dalej Harat i ty.

Przez półtora okrążeńa szedł za Haratem jak sługa, który zna swoje miejsce. Ci dwaj z przodu byli tak daleko, że ich nie widział. W wysokich górach Gazny Afgańczycy biegali stromymi perciami w rozrzedzonym powietrzu i podobno dzięki temu nie męczyli się w dolinach. Maħdawi z Reju także miał opinię świętego biegacza.

Na krótkiej pochyłości alei Tysiąca Ogrodów zobaczył na skraju drogi mężczyznę, który szłochał trzymając się za bok. Minęli go; po chwili Jesse doniósł mu, że to Maħdawi.

Karima też kłuło w boku, bolały go obie stopy. Wezwanie do trzeciej modlitwy zastało go na początku dziewiątego okrążeńa. Przed wyścigiem bał się tej chwili; o zachodzie słońca spływał chłód, który mógł ściąć mu mięśnie. Dziś jednak bezlitosny upał okrył go jak gruby koc. Po modlitwie wstał wciąż spocony i pobiegł dalej.

Choć tempo utrzymywał niezmiennie, odniósł wrażenie, że dogania Harata. Istotnie, biegacz z Hamadanu zwolnił. Widząc, że Karim go mija, próbował się jeszcze poderwać, ale dyszał już głośno i znosiło go na boki. Pokonał go skwar. Karim przyjrzał mu się z niepokojem; wiedział, że od porażenia upałem człowiek może umrzeć, lecz na szczęście rywal miał twarz bladą i wilgotną. Pomimo to przystanął, kiedy tamten znów się potknął. Harat obrzucił go nienawistnym wzrokiem, ale chyba wreszcie uznał w nim rodaka, bo krzyknął:

– Biegnij, głupcze!

Karim pobiegł.

W dole prostego odcinka białej drogi ujrział małą figurkę, która właśnie zaczynała pokonywać następne wzniesienie. Na jego oczach Afgańczyk upadł, podniósł się i ruszył dalej, znikając za zakrętem ulicy Apostołów. Nogi Karima same zerwały się do biegu, ale

pohamował je, utrzymał tempo i zobaczył tamtego dopiero w alei Alego i Fatimy.

Odległość była już znacznie mniejsza. Afgańczyk znowu upadł i wstał, biegł teraz nierówno. Może i miał płuca jak miechy, ale w górach Gazny było chłodno. Isfahański upał sprzyjał Karimowi, który wciąż zmniejszał dzielący ich dystans.

Przebiegając obok maristanu nie widział ani nie słyszał nikogo. Całą uwagę skupił na rywalu. Doścignął go po czwartym, ostatnim upadku. Krępy ciemnoskóry mężczyzna o szerokich ramionach leżał dysząc jak wyrzucona na brzeg ryba. Ludzie poili go wodą i okładali mokrymi płótnami. Lekko skośne ciemne oczy Afgańczyka patrzyły łagodnie na Karima, gdy go mijał.

Zwycięstwo dało mu więcej udręki niż radości. Teraz musiał bowiem podjąć decyzję, czy stać go na podjęcie walki o chylat szacha: „królewski strój”, pięćset sztuk złota i honorowe, lecz dobrze płatne stanowisko pierwszego gońca dla biegacza, który pokona sto dwadzieścia sześć rzymskich mil w czasie krótszym niż dwanaście godzin.

Okrążając majdan, znalazł się twarzą do słońca. Przebiegł dotąd prawie dziewięćdziesiąt pięć mil. I zwyciężył. Boleśnie pragnął oddać dziewięć zdobytych strzał i odebrać nagrodę, a potem wskoczyć do Rzeki Życia, gdzie moczyli się już pozostali zawodnicy. Pławić się wraz z nimi w srebrzystej wodzie, a także w ich zazdrości i podziwie, na które przecież bardziej niż zasłużył.

Słońce chyliło się nad horyzont. Czy zdąży? Czy ma jeszcze dość sił? Czy taka jest wola Allaha? Czasu zostało niewiele; musi zrobić jeszcze trzy okrążenia, nim o zmierzchu muezin wezwie do czwartej modlitwy. Wahał się, ale wiedział, że choćby miał wszystkie kobiety świata, tylko pełne zwycięstwo zdoła przepędzić Zakiego Omara z jego złych snów.

Wyjąwszy kolejną strzałę, nie zбочył do namiotu sędziów; ruszył na dziesiąte okrążenie. Biała droga słała się przed nim, pusta. Ściagał się tylko z mrocznym widmem człowieka, który miał zastąpić mu ojca, zrobił z niego ladacznicę.

Gdy poniosła się wieść o wygranej Karima, widzowie zaczęli się rozchodzić. Jednakże na widok samotnego biegacza natychmiast zawracali, widząc, że zwycięzca próbuje zdobyć chylat szacha.

Mieszkańcy Isfahanu byli dobrze obeznani z trudami całodziennego biegu w porażającym upale. Zaczęli krzycheć z podziwu i ich ochrypły krzyk poniósł Karima lekko przez całe okrążenie. Przed szpitalem zdołał dojrzeć promieniejące dumą twarze al-Dżuzdżaniego, pielęgniarza Rumiego, bibliotekarza Jusufa, hadżiego Dawuda Husajna, nawet Ibn Siny. Widząc starego medyka zerknął na dach. Wróciła. Teraz wiedział, że prawdziwą nagrodę otrzyma od niej, kiedy znajdą się tylko we dwoje.

Pod koniec okrążenia pojawiły się kłopoty, i to poważne. Mocząc głowę, oblał sobie lewy but. Wilgotna skóra natychmiast zaczęła ocierać spuchniętą stopę. Jego prędkość spadła, a wkrótce złapały go kurcze w udzie. Kiedy dotarł do Bram Raju, ujrział słońce niżej, niż się spodziewał – dotykało niemal wzgórz. Rozpoczynając przedostatnie okrążenie, widział, jak czerwony dysk się zapada. Teraz był już prawie pewien, że nie zdąży.

Wszystko mu ciążyło. Wciąż biegł, ale stopy miał jak kamienie, pełen strzał kołczan przy każdym kroku boleśnie tłukł go w plecy, nawet woreczek z kosmykiem włosów stał się jak brzemię. Coraz częściej polewał głowę i czuł, że słabnie.

Mieszkańców Isfahanu ogarnęła gorączka. Każdy stał się Karimem Harunem. Kobiety krzychały, mężczyźni składali tysięczne przysięgi, sławili jego imię, wzywali Allaha, Proroka i dwunastu imamów męczenników. Słyszając, że nadbiega, polewali ulicę, rzucali

mu kwiaty pod nogi, biegli przy nim wachlując go albo spryskując mu twarz, ramiona i nogi pachnącą wodą.

Ich ogień udzielił się Karimowi. Jego krok odzyskał rytm i pewność. Stopy podnosiły się i opadały. Utrzymywał tempo. Teraz nie uciekał od myśli o bólu; pomagała mu pokonać śmiertelne znużenie. Koncentrował się na bólu w boku, w stopach, w łydkach...

Kiedy wyjmował jedenastą strzałę, zza wzgórz widać było złoty półokrąg słońca.

W zmierzchającym świetle zataczał ostatnie okrążenie swego tańca – najpierw pod górę, potem w dół stromą aleją Tysiąca Ogrodów, dalej kawałek płasko i znów długi podbieg... Serce waliło mu z wysiłkiem.

W alei Alego i Fatimy chlusnął sobie w twarz wodą i w ogóle jej nie poczuł. Bólu też już nie czuł. Przestał szukać wzrokiem znajomych twarzy, próbując ustalić, gdzie są jego nogi.

Nogi tymczasem biegły same, niosły go dalej, pod górę i w dół, człap, człap, człap, człap...

Na majdanie nikt nie przyglądał się występom. Tłum ryczał; Karim jednak nie słyszał go ani nie widział; zamknięty w kapsule ciszy biegł do kresu dojrzałego gasnącego dnia.

Z alei Tysiąca Ogrodów ujrział czerwoną łunę oblewającą wzgórze. Powoli – och, jak powoli! – pokonał płaski odcinek i zaczął pełznąć pod górę, na ostatnie wzniesienie.

Za nim droga opadała. Przyspieszył. Ryzykował – gdyby pozbawione czucia nogi go zawiodły, nie zdołałby się podnieść.

Kiedy skręcał w Bramy Raju, słońca już nie było. Widział rozmazany tłum, który jakby unosił się nad ziemią gestykulując nagłoco. Znacznie wyraźniej jednak jawił mu się w wyobraźni

muezin wchodzący wąskimi spiralnymi schodami na mały balkonik wysokiej wieży, gdzie czeka, aż zgasną resztki dziennego światła...

Wiedział, że musi się pośpieszyć. Siłą woli próbował zmusić zdrętwiałe nogi do wydłużenia kroku. Przed nim jakiś chłopczyk wyrwał się ojcu, wyskoczył na drogę i zamarł bez ruchu, wytrzeszczając oczy na olbrzyma, który pędził ku niemu.

Karim porwał malca z ziemi i posadził sobie na ramionach, a wtedy usłyszał, jak potężny ryk wstrząsa ziemią. Dopadł do słupów, przy których czekał już szach. Gdy wyszarpnął dwunastą strzałę, Ala zdjął turban i nałożył na głowę jego przepoconą czapkę z piórem.

Tłum rzucił się ku nim, lecz powstrzymało go wołanie muezinów z minaretów całego miasta. Wszyscy zwrócili się ku Mekce i padli uderzając czołami o ziemię. Karim postawił płaczące dziecko i też ukląkł. Gdy modlitwa dobiegła końca, wielmoże wraz z szachem otoczyli go jak stadko rozjazgotanych szceniąt. Gmin napierał z tyłu, żądając swego bohatera. Tego wieczora władcą Persji był Karim Harun.

Część piąta

Wojna

51

Zwierzenia

– Dlaczego ci ludzie mnie tak nie cierpią? – zapytała kiedyś Maira.

– Nie wiem – odparł. Nie próbował zaprzeczać, bo widać to było gołym okiem. Halewi nie posyłał mu już ciepłego chleba, a kiedy przydreptała do nich z sąsiedztwa jego najmłodsza córeczka, Judyta podbiegła i wyniosła ją bez słowa, żeby uchronić dziecko przed zbrukaniem. Kiedy poszedł z Mairą na żydowski targ, przekonał się, że nikt już nie wita radośnie Żyda z chylatem. Przestał być ulubionym klientem Hindy, a Naomi i jej córka Lea z lodowatą miną odwróciły wzrok, jakby Jakub ben Raszi nie sugerował ongiś przy szabasowej wieczerzy, że chętnie przyjąłby Roba do rodziny.

Teraz na jego widok Żydzi milkli i tylko odprowadzali go wzrokiem, trącając się łokciami. W podchwyconych spojrzeniach widział żywą niechęć. Kiedyś słyszał, jak reb Aszer Jakobi, obrzezacz gminy, wyklina go jako bluźniercę, któremu się zachciało zakazanego owocu. Rob udawał, że go to nie wzrusza – ostatecznie kimże byli dla niego ci ludzie? Co innego Mirdin. Rob przestał się łudzić – Mirdin Askari go unikał. Z obojętną miną odpowiadał na pozdrowienie i odchodził.

Robert tęsknił za jego szerokim uśmiechem, odsłaniającym wielkie zęby, i za krzepiącym poczuciem koleżeństwa. W końcu

zdybał go pod orzechem w ogrodzie madrasy nad dwudziestym, ostatnim tomem „Al-Hawi” Raziego.

– Razi był świetnym lekarzem. Nie pomija niczego – bąknął niezręcznie Żyd.

– Na razie przeczytałem dwanaście tomów. Niedługo wezmę się do następnych. – Rob spojrział mu prosto w twarz. – Co w tym złego, że pokochałem kobietę?

W oczach Mirdina zapłonęła wściekłość.

– Jesse, to obca!

– Kobieta. I ma złote serce.

– „Miód płynie z warg obcej, podniebienie jej śliskie niczym oliwa...” Głupcze! Żyjemy w rozproszeniu, pośród wrogów! Ilekroć któryś z nas żeni się z kobietą innej wiary, zabiera nam przyszłe pokolenia. Jeśli tego nie rozumiesz, nie jesteś człowiekiem, za jakiego cię miałem. Nie chcę cię znać.

Przekonując się w duchu, że nie zależy mu na mieszkańcach Jahudii, Rob sam siebie okłamywał. Ci ludzie przyjęli go do swego grona. Mirdin zaś obdarzył go przyjaźnią. Rob nie miał aż tylu przyjaciół, by łatwo przeboleć stratę jednego z nich. Musiał mu zaufać.

– Nie wziąłem sobie kobiety obcej wiary – rzekł cicho.

– To chrześcijanka.

– Tak.

Mirdin zbladł.

– To jakiś głupi żart?...

Kiedy Rob nie odpowiedział, złożył książkę i dźwignął się na nogi.

– Jeśli to prawda... jeśli nie postradałeś zmysłów, narażasz nie tylko własną głowę, ale także moją. Przypomnij sobie *fikh*; chyba rozumiesz, że mówiąc mi o tym, czynisz mnie współwinnym

oszustwa, jeśli na ciebie nie doniosę? – Splunął. – Synu szatana, ściągniesz nieszczęście na moje dzieci. Przeklinam dzień, w którym cię poznałem! – Obrócił się na pięcie i odszedł pospiesznie.

Mijały dni, lecz nie przyszli po niego ludzie kalandara. Mirdin dochował sekretu.

W szpitalu nikt nie gorszył się jego ożenkiem. Wiedziano, że wziął sobie chrześcijankę, ale i tak wszyscy go mieli za dziwaka. Ekscentryczny związek został więc uznany za kolejne dziwactwo cudzoziemskiego Żyda, który z więzienia doszedł do chylatu. Zresztą w społeczności muzułmańskiej, gdzie każdy mógł mieć cztery żony, była to sprawa małej wagi.

Niemniej Rob boleśnie odczuł utratę przyjaźni Mirdina. Karima też rzadko widywał: dwór zagarnął go dla siebie, dniem i nocą fetując wystawnymi ucztami. Od chatiru jego imię było na ustach wszystkich.

Pozostawało mu więc towarzystwo żony. Ona też miała tylko jego. Łatwo się ze sobą zżyli, a dzięki Mairze skromna chatka w Jahudii stała się prawdziwym domem. Rob spędzał w nim każdą wolną chwilę, z dala od Mairy nieraz tęsknie wspominał jej miękkie białoróżowe ciało, kształtną linię długiego nosa, skrzącą się w oczach inteligencję.

Jeździli na wzgórza i kochali się w ciepłych siarkowych wodach kryjówki szacha. Rob położył na wierzchu hinduską księgę z obrazkami i gdy wypróbował jedną z przedstawionych w niej pozycji, przekonał się, że Maira wnikliwie je obejrzała. Niektóre dawały im rozkosz, inne tylko bawiły, a nieraz tarzali się ze śmiechu. Rob nigdy nie pomijał okazji do naukowych badań.

– Skąd bierze się w tobie tyle wilgoci? – pytał. – Jesteś niczym studnia...

Maira zdzieliła go łokciem w żebra. Ale sama też często zadawała mu nietuzinkowe pytania.

– Ładny jest, gdy jest mały – mówiła mrużąc oczy. – Miękki i gładki jak atlas. Co go tak zmienia? Moja piastunka powiadała, że wzdyma się powietrzem. Myślisz, że to prawda?

Pokręcił głową.

– Nie powietrzem, a krwią. Widziałem raz wisielca; miał wielką sztywną fujarę, czerwoną jak łosoś.

– Przecież ja cię nie wiem!

– To musi być reakcja na widok albo zapach. Kiedyś w długiej podróży mój koń już ledwie powłóczył kopytami ze zmęczenia. Nagle zwęszył kobyłę i zanim żeśmy ją zobaczyli, członek stwardniał mu jak drąg. Puścił się galopem, musiałem go hamować.

Miłość do Mairy wynagradzała mu każdą stratę, lecz któregoś dnia serce podskoczyło w nim radośnie, kiedy w drzwiach ujrzął znajomą postać.

– Wejdz, Mirdinie! – Rob zerwał się na powitanie.

Przedstawiona gościowi Maira zmierzyła go baczny wzrokiem, po czym prędko podała wino i ciasteczka i zostawiła ich samych. Wiedziona intuicją, którą Rob u niej cenił, poszła nakarmić zwierzęta.

– Jesteś chrześcijaninem? – zapytał Mirdin bez ogródek.

Rob skinął twierdząco.

– Mogę cię zabrać daleko stąd, do miasteczka w Farsie, gdzie mój krewniak jest rabinem. Poprosisz uczonych mężów o nawrócenie i może się zgodzą ci pomóc. Nie będziesz musiał kłamać.

Rob spojrział mu w oczy i powoli pokręcił głową.

Mirdin westchnął.

– Łajdak zgodziłby się od razu. Ale ty w gruncie rzeczy jesteś uczciwy. Dlatego nie mogę się od ciebie odwrócić.

- Dziękuję ci.
- Nie nazywasz się Jesse ben Beniamin.
- Nie. Naprawdę mam na imię...

Mirdin ostrzegawczo potrząsnął głową, unosząc rękę.

- Nie mów. I dla mnie, i dla innych musisz pozostać Jessem, synem Beniamina. - Przyjrzał mu się z uwagą. - Wtopiłeś się między nas, ale mimo to niektóre twoje czyny mają posmak fałszu. Tłumaczyłem sobie, że w Europie twój ojciec nie zadbał o to, by przekazać ci tradycję... Musisz być czujny i popełniać jak najmniej błędów. Jeśli ktoś cię zdemaskuje, staniesz przed sądem mułtów i zostaniesz skazany na śmierć. Ponadto ściągniesz represje na Żydów, choć nie ponoszą winy za twoje oszustwo. W Persji łatwo karze się niewinnych.

- Jesteś pewien, że chcesz się narażać wraz ze mną? - zapytał spokojnie Rob.

- Przemyslałem to. Jesteś moim przyjacielem.

- Bardzo cenię tę przyjaźń.

- Ale nie za darmo - przerwał mu Mirdin. - Musisz wiedzieć, kogo udajesz. Być Żydem to coś więcej, niż włożyć cyces i zapuścić brodę.

- Co mam zrobić?

- Musisz się nauczyć Bożych przykazań.

- Znam dziesięcioro przykazań.

Mirdin pokręcił głową.

- To zaledwie część praw zawartych w Torze. W sumie jest ich sześćset trzynaście. Musisz poznać wszystkie, a następnie przestudiować Talmud, czyli komentarze. Tylko wtedy wnikniesz w ducha mojego narodu.

- Mirdinie, to gorsze niż *fikh*... - jęknął Rob z rozpaczą. - Nie mam już gdzie mieścić całej tej wiedzy!

W oczach Mirdina błysnęła groźba.

– To moja cena – oznajmił.

– Niechże cię! Zgoda.

Dopiero wtedy Mirdin się uśmiechnął. Nalał sobie wina i gardząc europejskim krzesłem, usiadł z podwiniętymi nogami na podłodze.

– A zatem do dzieła. Pierwsze przykazanie brzmi: „Bądź płodny i się rozmnażaj”

Ileż radości sprawiał Robertowi widok jego ciepłej brzydkiej gęby.

– Staram się! – parsknął. – Robię, co w mojej mocy!

52

Nauki

– Ma na imię Maira, podobnie jak matka Jezui – powiedział Mirdin żonie po hebrajsku.

– To jest Fara – rzekł Rob po angielsku do Mairy.

Kobiety przyjrzały się sobie.

Mirdin przyszedł do nich z Farą i synkami. Kobietom brakowało wspólnego języka, ale wkrótce zdołały się porozumieć osobliwą mieszaniną chichotów, gestów, przewracania oczami i okrzyków bezsilności. Być może to Mirdin kazał Farze potraktować Mairę życzliwie, lecz choć tak bardzo się różniły, wzajemny szacunek okazał się trwały.

Fara nauczyła Mairę upinać długie włosy i przed wyjściem z domu nakrywać je chustą, żeby nie rzucały się w oczy. Niektóre Żydówki wzorem muzułmanek zasłaniały twarze, większość jednak poprzestawała na włosach. Już dzięki temu Maira przestała zwracać na siebie powszechną uwagę. Od Fary dowiedziała się również, gdzie są dobre warzywa i świeże mięso, a od których straganów

lepiej trzymać się z daleka. Nauczyła się przyrządzać koszerne mięso, moczyć je i solić, by pozbyć się resztek krwi, później przesypywać mielonym pieprzem, czosnkiem, liśćmi laurowymi i solą w glinianym garnku, który przykryty stawiało się w gorących węglach. Pieczeń taka, zwana czulentem, dochodziła powoli przez cały szabas. Wieczorem była gotowa do jedzenia, krucha i aromatyczna. Rob rozsmakował się w niej bez miary.

– Tak bym chciała móc z nią porozmawiać, wypytać o wiele rzeczy i różne rzeczy powiedzieć – skarżyła mu się Maira.

– Będę cię uczył Języka – zaproponował, ale żona nie chciała słyszeć o językach obcych: ani żydowskim, ani perskim.

– Nie mam głowy do nauki jak ty – powiedziała. – Z trudem opanowałam angielski, a łacina to była męka. Poza tym wrócimy chyba do domu? Tam będę mówić tylko po gaelicku.

– Wrócimy, gdy przyjdzie pora – rzekł, nie precyzując terminu.

Mirdin postanowił doprowadzić do tego, by Jahudia z powrotem przyjęła Jessego ben Beniamina. Ostatecznie – jak stwierdził – od króla Salomona, a nawet przed nim, Żydzi brali obce kobiety za żony i nadal żyli w swojej społeczności, co dzień świadcząc swoim postępowaniem, że nie wyrzekli się wiary swoich ojców.

Za jego radą Rob dwa razy dziennie chodził na modły: rano na *szacharit* do małej synagogi zwanej Domem Pokoju, którą szczególnie lubił, i pod koniec dnia na *maariw* do synagogi Domu Syjonu obok kwatery Mirdina. Nie było to dlań ciężarem. Kiwanie się w rytm wyśpiewywanych modlitw zawsze go uspokajało. Coraz sprawniej posługiwał się Językiem, a czasami zapominał, że tylko udaje, i wtedy odnosił nawet wrażenie, że Bóg go słyszy – nie żyda Jessego czy chrześcijanina Roberta, a człowieka, który szuka u Niego pociechy. Wszyscy wokół recytowali słowa tak stare, że zapewne używał ich syn cieśli z Nazaretu. Tymi samymi słowy Rob zwracał

się do Jezusa, Matki Bożej albo któregoś ze świętych, do których modliła się jego matka.

Z biegiem czasu przestał budzić zainteresowanie, aż w końcu nikt już nie zwracał na niego uwagi. Jahudia przywykła, że wysoki angielski żyd w Sukkot, święto zbiorów, macha na cztery strony świata wiązką gałązek palmy i cytryny, pości z nimi w Jom Kippur i uczestniczy w dziękczynnych procesjach wokół synagogi. Jakub ben Raszi w rozmowie z Mirdinem zauważył, że Jesse wyraźnie chce odpokutować pochopny ożenek z gojką.

Tylko Mirdin dostrzegał różnicę między kamuflażem a prawdziwą wiarą.

– O jedno cię proszę – powiedział. – Nie wolno ci być dziesiątym.

Rob zrozumiał. Gdyby szukano dziesiątego do *minjanu*, czyli grupy pobożnych Żydów wymaganej przez Torę do publicznych modłów, zgzeszyłby ciężko, jeśliby się do nich przyłączył. Bez wahania przyrzekł to Mirdinowi i obietnicy dotrzymał.

Niemal co dzień znajdowali trochę czasu na roztrząsanie przykazań. Nie używali Księgi, Mirdin bowiem znał je na pamięć.

– Wszyscy są zgodni co do liczby przykazań – tłumaczył – ale nie co do ich szczegółowej wykładni. Jeden uczoney uważa dany nakaz za osobne przykazanie, według innego może on stanowić rozwinięcie poprzedniego. Ja ci podaję wersję przekazywaną w mojej rodzinie od wielu pokoleń, tak jak nauczył mnie ojciec, reb Mulka Askari z Maskatu.

Dwieście czterdzieści osiem micwot stanowiły nakazy, na przykład zalecenie opieki nad wdowami i sierotami, trzysta sześćdziesiąt pięć zaś – zakazy głoszące na przykład, że Żydowi nie wolno przyjmować łapówki. Nauka z Mirdinem miała i tę zaletę, że nie wisi nad Robem egzamin. Lubił słuchać o żydowskim

prawie nad kubkiem wina, a wkrótce się przekonał, że lepiej teraz rozumie prawo muzułmańskie.

Mimo że spadły nań nowe obowiązki, każdy dzień go cieszył. Życie w Isfahanie miało dla niego więcej uroków niż dla Mairy i choć biegł do niej wieczorem, rano znów zostawiał ją samą w domu i z równą radością śpieszył do madrasy i szpitala. Z zapałem studiował Galena. Wczytując się w jego opisy anatomiczne, poznawał to, czego nie mógł ujrzeć wzrokiem – czym różnią się żyły od tętnic, jak badać tętno, jak pracuje serce, tłocząc krew niczym zaciskająca się i rozwierająca na przemian pięść.

Zakończył praktykę przy składaniu kości u Dżalala i teraz uczył się chirurgii od al-Dżuzdzaniego, a ściślej mówiąc – dbał o jego narzędzia.

– On mnie nie lubi. Nie pozwala mi robić nic oprócz mycia i ostrzenia noży – skarżył się Karimowi, który asystował al-Dżuzdzanemu przez ponad rok.

– Każdy tak zaczyna – pocieszył go Karim. – Nie zniechęcaj się.

Łatwo mu było teraz doradzać Robertowi cierpliwość. W ramach chylatu dostał wielki elegancki dom, a jego pacjentami były głównie rodziny dworzan. Leczenie się u sławnego chatira należało wśród arystokracji do dobrego tonu, byłby więc zamożnym człowiekiem nawet bez nagrody i pensji przyznanej mu przez szacha. Odziewał się w kosztowne szaty, znosił przyjaciółom wspaniałe podarki, przysmaki i napoje, a Mairze w prezencie ślubnym ofiarował gruby hamadański dywan. Posyłał jej uwodzicielskie spojrzenia i czynił po persku jawne wyznania, których na szczęście nie rozumiała, choć domyślała się ich treści. Lubiła go jednak bardzo i traktowała jak niesfornego braciszka.

Rob spodziewał się, że w szpitalu Karim będzie wielbiony bardziej powściągliwie, ale się mylił. Młody hakim odwiedzał

chorych w asyście tłumu uczniów, jakby był najmądrzejszym z mędrców. Mirdin śmiał się, że najpewniejsza droga do medycznej kariery to ćwiczenie biegów.

Od czasu do czasu al-Dżuzdzani zaskakiwał Roba pytaniem o nazwę lub zastosowanie jakiegoś narzędzia. Było ich znacznie więcej niż w balwierskiej praktyce; do każdego zabiegu służyło inne. Szorował więc i ostrzył noże i nożyki, proste, zakrzywione i zaokrąglone, piłki do cięcia kości, łyżeczki do uszu, sondy, nożyki do przecinania torbieli, świdry do usuwania obcych ciał z kości...

O celowości tej metody przekonał się wówczas, gdy pozwolono mu asystować przy zabiegach. Ilekroć chirurg szeptem czegoś zażądał, mógł natychmiast wybrać i podać mu właściwy instrument.

Prócz niego terminowało u al-Dżuzdzaniego jeszcze dwóch uczniów, i to od dawna. Wolno im było wykonywać tylko proste zabiegi pod ścisłym nadzorem mistrza. Wysłuchiwali przy tym wielu sarkastycznych uwag. Rob przez dziesięć tygodni tylko przyglądał się operacjom, zanim al-Dżuzdzani pozwolił mu wykonać raptem jedno cięcie, bacznie patrząc na ręce. Okazja się nadarzyła przy amputacji palca wskazującego tragarzowi, któremu wielbłąd zmiażdżył dłoń kopytem.

Nie na darmo Robert patrzył, jak pracuje wytrawny chirurg. Al-Dżuzdzani zawsze zakładał krępulec, uciskową opaskę z cienkiego rzemienia, jakiej używano przy puszczeniu krwi. Rob zręcznie ją zacisnął i bez wahania odciął palec. Miał wprawę, przez wiele lat robił to jako balwierz. Zawsze przeszkadzała mu wówczas konieczność osuszania rany. Dzięki opasce sprawnie i szybko nałożył skórę na kikut, a pacjent stracił bardzo niewiele krwi.

Al-Dżuzdzani przyglądał się jego czynnościom uważnie, ze zwykłym marsem na czole. Kiedy Rob zeszył ranę, chirurg

odwrócił się bez słowa pochwały, ale też i bez krytyki. Rob uprzątnął stół po zabiegu z poczuciem, że odniósł drobne zwycięstwo.

Czterej przyjaciele

Jeśli szach czynił jakiegokolwiek kroki, by ukrócić swego zdradzieckiego wezyra, to robił to dyskretnie. Mułłowie Kandrasy wydawali się wszechobecni i wszechwładni, dbając o to, by nikt w stolicy nie śmiał obrażać Allaha.

Minęło siedem miesięcy, w ciągu których ani razu nie wezwano Roba do pałacu. Był temu rad, bo wypełniony do ostatka czas z trudem dzielił między żonę a studia medyczne. Pewnego ranka wszakże ku przerażeniu Mairy przed domem zjawili się żołnierze.

– Szach życzy sobie, żebyś udał się z nim na przejażdżkę, panie – rzekł dowódca.

– Nie bój się, wszystko jest w porządku – uspokoił żonę i pojechał z nimi.

Pod wielkimi stajniami za Rajskim Domem zastał Mirdina z twarzą szarą jak popiół. Wspólnie doszli do wniosku, że za tym wezwaniem stoi Karim, który od wygrania biegu został ulubionym kompanem władcy.

Nie pomylili się. Niebawem do stajni wkroczył szach, a tuż za nim szeroko uśmiechnięty medyk. Mirdin upadł na twarz, mrużąc coś w swoim języku. Uśmiech Karima nieco przybladł, gdy szach rzekł ostro:

– Gadaj po persku, żeby było wiadomo, co mówisz.

– To błogosławieństwo, panie. Modlitwa odmawiana przez Żydów, kiedy oglądają króla – wyjąkał Mirdin. – Bądź pochwalony,

Boże nasz, Królu wszego świata, który wypełniasz swoją chwałą ciało człowieka...

– *Zimmi* zanoszą modły dziękczynne oglądając szacha? – zdziwił się Ala, wielce rad.

Rob wiedział już, że modlitwę „Baruch Atta” odmawia się przed każdym władcą, ale ani on, ani Mirdin nie uważali za stosowne podkreślać tego szczegółu. Ala w dobrym humorze dosiadł swojego siwka i wyjechali za miasto.

– Podobno wzięłeś sobie Europejkę za żonę. – Szach obrócił się w siodle.

– To prawda, najjaśniejszy panie.

– Ponoć włosy ma jak malowane henną?

– Tak, wasza wysokość.

– Kobieta powinna mieć czarne włosy.

Rob nie zamierzał się sprzeciwiać. Poczł ulgę, że władca nie interesuje się jego żoną.

Dzień spędzili w większości tak jak poprzednią przejażdżkę, w której brał udział tylko Rob. Dziś towarzyszyli szachowi we trzech, nastrój był więc swobodniejszy. Ala z zachwytem odkrył, że Mirdin dysponuje głęboką wiedzą o dziejach Persji; jadąc stępa dyskutowali o złupieniu przez Aleksandra Persepolis, co Ala jako Pers potępiał, jako wojownik zaś pochwalał.

Przed południem Ala z Karimem stoczyli w cieniu walkę na szable, a w tym czasie Rob z Mirdinem, nie zważając na szczęk broni, spokojnie porównywali zalety nici chirurgicznych z jedwabiu, lnu (który jak zgodnie uznali, zbyt łatwo się rozkłada), włosa końskiego i ludzkiego, najchętniej używanego przez Ibn Sinę. Około południa w królewskim namiocie podano obfity posiłek i napoje, a potem Ala rozgromił ich po kolei w grze szacha. Najdzielniej

opierał mu się Mirdin; jednej partii omal nie wygrał, czyniąc zwycięstwo Ali tym słodszy.

Później moczyli ciała w ciepłej siarkowej wodzie, krzepiąc ducha obfitymi zapasami świętego wina. Karim z uznaniem posmakował trunku, nim go przełknął, i uśmiechnął się do szacha.

– Byłem żebrakiem... Mówiłem już o tym waszej wysokości?

Władca pokiwał głową, odwzajemniwszy uśmiech.

– ... a teraz piję wino z królem królów – dokończył Karim.

– Istotnie, wybrałem na przyjaciół żebraka i dwóch Żydów – zaśmiał się Ala. Zawtórowali mu nieśmiało. – Mam co do mojego pierwszego gońca wielkie plany, a tego *zimniego* lubię od dawna. – Szturchnął Roba poufale. – Teraz zaś się okazuje, że drugi *zimmi* także jest godnym uznania człowiekiem. Musisz zostać w Isfahanie po skończeniu nauk w madrasie, Mirdinie Askari. Będziesz służył mi jako dworski medyk.

Mirdin zaczerwienił się ze zmieszania.

– Panie, wielki to dla mnie zaszczyt, ale błagam, abys mi pozwolił wrócić w rodzinne strony, gdy zostanę hakimem. Mój ojciec jest już stary i niedołężny. Chciałbym, żeby przed śmiercią mógł się mną nacieszyć.

Ala beztrąsko skinął głową.

– Czym się zajmuje?

– Mieszkamy nad Zatoką Perską, najjaśniejszy panie. Od pokoleń mężczyźni z naszej rodziny objeżdżają wybrzeże i skupują perły od nurków.

– Perły? To się świetnie składa, bo i ja kupuję perły, gdy się trafi piękny okaz. Niech znajdą dla mnie wielką perłę bez skazy, a uczynię z nich bogaczy.

W drodze powrotnej wszyscy chwiali się w siodłach. Władca starał się trzymać prosto i odnosił się do nich ze szczerą sympatią,

choć nie mogli być pewni, czy przetrwa ona bolesne objawy trzeźwienia. Obok stajen, gdzie otoczyli ich słudzy i pochlebcy, Ala wykrzyknął tak głośno, że słyszało go pół dworu:

– Jesteśmy przyjaciółmi! Czwórką przyzwoitych ludzi, których wiąże przyjaźń!

W Isfahanie wieści roznosiły się szybko. Jakiś czas później Ibn Sina w rozmowie z Robem mruknął:

– Uważaj, z kim się przyjażnisz...

Spotkali się na przyjęciu wydanym dla szacha przez Fatha Alego, bogatego kupca, który zaopatrywał w wina Rajski Dom i większość możliwych. Rob ucieszył się bardzo, ujrawszy tam Ibn Sinę, odkąd bowiem przywiózł do miasta Maire, medyk z właściwą mu przenikliwością znacznie rzadziej zapraszał go na wieczór. Przechadzając się razem minęli otoczonego wielbicielami Karima, który zdawał się w równej mierze więźniem co obiektem adoracji.

Mając chylat, Rob musiał bywać na tych przyjęciach, lecz wkrótce zaczęły go nudzić. Pominąwszy szczegóły, wszystkie były takie same, marnotrawił tylko czas.

– Wolałbym być w tej chwili w maristanie. Tam jest moje miejsce – powiedział.

Ibn Sina rozejrzył się ostrożnie. Przechadzali się sami, korzystając z rozprężenia, jakie zapanowało, gdy szach zniknął w haremie Fatha Alego.

– Nigdy nie zapominaj, że król to nie to samo co zwykły człowiek – przestrzegł Roberta. – Starczy, że kiwnie, a ktoś taki jak ty lub ja może stracić lub przeciwnie, ocalić życie. Takiej władzy nie jest w stanie się oprzeć nikt zrodzony z kobiety. Nawet najlepszym monarchom miesza w głowach.

Rob wzruszył ramionami.

– Nie ubiegam się o łaski. Nie mam też zamiaru mieszać się do polityki.

Ibn Sina kiwnął głową z aprobatą.

– Władcy Wschodu lubią mianować medyków swymi wezyrami, sądząc, że uzdrowiciele cieszą się szczególną łaską Allaha. Władza kusi; wiem, bo sam jej skosztowałem. W młodości dwukrotnie przyjąłem godność wezyra w Hamadanie. Ryzyko okazało się znacznie większe niż w medycynie. Za pierwszym razem ledwie uniknąłem egzekucji. Przez wiele miesięcy gniłem w twierdzy Fardadżan. Potem już wiedziałem, że nawet jako wezyr nie jestem w Hamadanie bezpieczny. Razem z al-Dżuzdżanim i całym domem przenieśliśmy się do Isfahanu i odtąd jestem pod opieką Ali.

Zawrócili do ogrodów, w których odbywało się przyjęcie.

– Na szczęście dla Persji szach pozwala wybitnym medykom uprawiać swój zawód – zauważył Rob.

Ibn Sina się uśmiechnął.

– Marzy mu się sława wielkiego władcy, protektora sztuk i nauk – rzekł sucho. – Od dziecka pragnął rządzić imperium. Teraz musi je zbudować, pożerając nieprzyjaciół, zanim oni połkną jego.

– Seldżycy?

– Gdybym ja był wezyrem w Isfahanie, obawiałbym się przede wszystkim Seldżuków – przyznał Ibn Sina. – Lecz nasz władca najwięcej uwagi poświęca Mahmudowi z Gazny, obaj są ulepieni z tej samej gliny. Ala dwukrotnie najechał Indie i zdobył dwadzieścia osiem bojowych słoń. Mahmud ma do Indii bliżej, toteż słoń ma pięćdziesiąt. Ala mu zazdrości i boi się go. Chcąc zrealizować swe marzenia, musi najpierw pozbyć się Mahmuda... – Ibn Sina przystanął i położył dłoń na ramieniu Roba. – Postępuj bardzo ostrożnie. Mówi się, że dni Kandrasy na stanowisku wezyra są policzone. I że jego miejsce zajmie młody medyk.

Rob zmilczał. Nagle przypomniały mu się słowa szacha o planach, jakie wiąże z Karimem.

– Jeśli to prawda – ciągnął Ibn Sina – Kandrasa postara się wyprzedzić cios i uderzy bez litości w każdego potencjalnego sprzymierzeńca Ali... Nie wystarczy nie mieszać się do polityki. Kiedy medyk ma do czynienia z ludźmi u władzy, musi działać elastycznie, inaczej nie przeżyje.

Rob nie był pewien, czy umie być elastyczny.

– Nie zamartwiaj się – usłyszał. – Szach często i szybko zmienia plany. Nigdy nie można mieć pewności, co zrobi.

Wrócili do ogrodu chwilę wcześniej, nim człowiek, o którym rozmawiali, wyszedł odprężony z haremu gospodarza.

Robert był ciekaw, czy Ibn Sina także wydał przyjęcie dla swego protektora. Jakiś czas później zagadnął o to Chuffa. Szpakowaty Dowódca Bram zastanowił się przez chwilę, mrużąc oczy.

– Tak, parę lat temu – kiwnął głową.

Rezija nie wchodziła zatem w grę, była już stara. Rob wyobraził sobie szacha, jak idzie krętymi schodami wieży, u której drzwi staje Chuff...

...i bierze w posiadanie młode jędrne ciało Despiny.

Zafascynowany, spojrział na trzech mężczyzn, z których każdy przyciągał ku sobie innych. Szacha otaczał tłum uniżonych pochlebców. Ibn Sina, opanowany jak zwykle, odpowiadał półgłosem na pytania ludzi o wyglądzie uczonych. Karima ledwie było widać wśród roju wielbicieli pragnących zamienić z nim choć słowo, dotknąć jego szat, zanurzyć się w podniecającym blasku jego sławy.

W Persji każdy prędzej czy później zostawał rogiaczem.

Rob z wyczuciem posługiwał się narzędziami chirurgicznymi, które stawały się naturalnym przedłużeniem jego rąk. Al-Dżuzdzani

poświęcał mu coraz więcej swego cennego czasu, cierpliwie ucząc coraz to innych zabiegów. Persowie znali sposoby na skuteczne unieruchomienie i znieczulenie pacjenta. Po wypiciu jęczmiennego kleiku, w którym przez wiele dni moczyły się konopie, chory nie tracił przytomności, ale czuł znacznie mniejszy ból. Rob spędził dwa tygodnie w aptece, gdzie przyrządzano środki usypiające. Działały z różnym skutkiem, na ogół jednak pozwalały chirurgom spokojnie operować, bez krzyków i konwulsyjnych drgnień.

Księga receptur bardziej przywodziła mu na myśl magię niż medycynę: „Weź mięso owcze. Oczyść je z sadła i pokrój na kawałki, te obtocz dokładnie ze wszystkich stron w gotowanych ziarnach lulka czarnego. Trzymaj w kamiennym dzbanie przykryte końskim nawozem, dopóki nie wylęgną się robaki. Przełóż robaki do szklanego naczynia i zaczekaj, aż wyschną. W potrzebie utrzyj dwie części robaków i jedną część opium i wsyp to do nosa chorego”.

Opium uzyskiwano z soku makowego. Mak uprawiano na polach pod Isfahanem, ale potrzeby i tak były większe, prócz medyków bowiem używali go izmailici, toteż sprowadzano opium z Turcji i Gazny. Stanowiło podstawowy składnik mocnego leku znieczulającego, który przyrządzało się następująco: „Weź czystego opium i gałki muszkatołowej. Zmiel, zagotuj razem w starym winie i odstaw na czterdzieści dni w słoneczne miejsce. Mieszanka niebawem zgęstnieje w pastę. Zrobiona z niej pigułka w parę chwil pozbawi każdego przytomności i czucia”.

Na ogół jednak stosowali inny przepis, który Ibn Sina uważał za lepszy: „Weź równe części lulka czarnego, opium, wilczomleczka i lukrecji. Zmiel każde z osobna i wymieszaj w moździerzu. Szczypta mikstury dodana do dowolnej potrawy sprawi, że ten, kto ją spożyje, natychmiast zapadnie w sen”.

Wbrew podejrzeniom Roba, że al-Dżuzdzani zazdrości mu zażyłych stosunków z Ibn Sina, już wkrótce zyskał niejedną okazję do doskonalenia swych umiejętności w chirurgii. Pozostali uczniowie uważali, że mistrz go faworyzuje, nie szczędzili mu więc złośliwych docinków. Puszczali je mimo uszu, szczęśliwy, że może się wiele nauczyć.

Któregoś dnia po południu wykonał wreszcie zabieg, który od dawna jawił mu się cudem – zdjął z niewidzących oczu kataraktę. Po operacji dziękował al-Dżuzdzaniemu, lecz chirurg mu przerwał:

– Masz dar do noża. Niewielu go posiada, toteż szkolę cię i dla własnej korzyści, bo czeka cię wiele pracy.

Istotnie, dzień w dzień amputował palce i kończyny, opatrywał rany, nakłuwiał brzuchy, by odprowadzić wysięk, usuwał żyłaki...

– Zaczynasz być pasjonatem krojenia ludzi – zauważył przenikliwie Mirdin, gdy pewnego wieczora siedzieli u niego nad grą szacha. W sąsiedniej izbie Maira usypiała synków Fary kołysanką w niezrozumiałym języku Szkotów.

– Lubię to – przyznał Rob. Zastanawiał się ostatnio, czy nie poświęcić się właśnie chirurgii. Co prawda w Anglii chirurg uważany był za kogoś gorszego od medyka, w Persji jednak nosił tytuł ustada i cieszył się nie mniejszym szacunkiem. Dręczyły go i inne wątpliwości. – Chirurgia daje zadowolenie. Ale wciąż ślizgamy się po powierzchni, czerpiąc wiedzę o wnętrzu człowieka z ksiąg spisanych przed tysiącem lat. W gruncie rzeczy prawie nic o nim nie wiemy.

– Tak już jest – rzekł łagodnie Mirdin i zbił mu wojownika jednym ze swych piechurów. – Wszyscy, chrześcijanie, żydzi i muzułmanie, uważamy za grzech profanację ludzkiego ciała.

– Nie mówię o profanacji. Mówię o chirurgii. O sekcji. Starożytni nie wiązali sobie rąk myślą o grzechu. Tę odrobinę wiedzy, jaką posiadamy, zawdzięczamy ludziom, którym wolno było zaglądać do wnętrza ludzkiego ciała. Rozcinali umarłych i badali, jak są zbudowani. W tych dawnych czasach rozpalili płomyk nauki medycznej, a potem świat od nowa pogrążył się w mroku. – Zadumał się. Korzystając z tego Mirdin zbił mu następnego wojownika i jednego wielbłąda. – Choć może tu i ówdzie wciąż płonęły małe ogniska... Być może niektórzy w tajemnicy otwierali ciała zmarłych wbrew zakazom kapłanów, bo chcieli leczyć ku chwale Boga.

Mirdin przestał zważać na grę.

– Sądzone by ich za czary!

– Toteż nie mogli przekazywać innym swojej wiedzy, ale zdobywali ją przynajmniej dla siebie.

Na twarzy Mirdina pojawił się lęk.

– Ja bym tego nie zrobił – uśmiechnął się do niego Robert. – Dostatecznie ryzykuję udając Żyda. Nie mam dość odwagi.

– Musimy być wdzięczni Bogu i za małe dary – uciął sucho Mirdin. Zbity z tropu, grał słabiej i oddał w paru ruchach słonia i dwa konie. Rob jednak nie nauczył się jeszcze skutecznie przec do zwycięstwa, toteż Mirdin szybko opanował sytuację, zwarł szyki i niebawem zaskoczył go *szatrandżem*, atakiem na króla.

Maira nie miała przyjaciółki poza Farą, lecz to jej wystarczało. Godzinami przesiadywały razem, porozumiewając się bez wymiany pytań i odpowiedzi. Raz mówiła Maira, a Fara przysłuchiwała się

potokom celtyckich słów, innym razem znów Fara snuła długie wywody w Języku, niezrozumiałym dla Mairy. Słowa były nieistotne, liczyła się gra uczuć widoczna na twarzy, wymowne gesty rąk, ton głosu, sekrety przekazywane wzrokiem.

Dzięki temu Maira mogła mówić z nią o sprawach, których nie zwierzyłaby tak niedawno poznanej osobie. Opowiadała o żalu po stracie ojca, o tęsknocie za chrześcijańską mszą, o tym, jak kiedyś, gdy zewsząd otaczała ją tylko wzgarda, przyśniła jej się matka, młoda i piękna. I jak gorzko płakała, kiedy obudzwszy się ze snu przypomniawszy sobie, że matka od dawna nie żyje. Mówiła też o rzeczach, o jakich nie ośmieliłaby się wspomnieć nawet bardzo starej przyjaciółce: że na myśl o Robie przeszywa ją czasem nieopanowany dreszcz rozkoszy; że czuje się wtedy jak klacz w rui i chyba już zawsze na widok parzących się zwierząt będzie myślała o ciele Roba w swych objęciach, jego smaku w ustach, zapachu rozgrzanego ciała w nozdrzach i o tym, jak mąż stara się dotrzeć gorącym członkiem do samego wnętrza jej istoty, a ona mu w tym pomaga.

Nie wiedziała tego na pewno, ale czuła szóstym zmysłem, że Fara także mówi jej o swoich ważnych intymnych sprawach. Chociaż były tak różne, łączyła je sympatia i szacunek – przyjaźń.

Pewnego ranka Mirdin ze śmiechem klepnął Roba po ramieniu.

– Cieszę się, że sumiennie wypełniasz przykazania, ty europejski ogierze!

– O czym ty mówisz?

– Jak to o czym? Sam zobaczysz. Fara się nie myli.

Dwa dni później rano Maira zbladła i zwróciła wszystko, co zjadła na śniadanie. Rob musiał wyszorować klepisko i przynieść świeżego piasku. Mdłości dręczyły ją odtąd regularnie, a kiedy nie pojawiała się miesiączka, wszystko było już jasne. Właściwie nie

powinni być zdziwieni, gdyż z niesłabnącym zapałem starali się o dziecko, Maira jednak bała się, że Bóg im nie pobłogosławi.

Comiesięczną przypadłość przechodziła dość ciężko, toteż z radością powitała odmianę, choć trudno było cieszyć się rzygając. Rob trzymał jej głowę i podawał wodę, z niepokojem myśląc, co też wyrośnie z jego nasienia. Wiezorami skwapliwie rozbierał żonę do naga; tkwiący w nim badacz obserwował zmiany spowodowane ciążą – poszerzenie się i pociemnienie obwódki sutków, zwiększenie piersi, nieznaczne z początku zaokrąglenie brzucha, lekkie obrzmienie warg i nosa. Kładł ją na brzuchu, szacując odkładanie się tłuszczu na biodrach, pośladkach i udach. Mairę najpierw podniecały te zabiegi, ale potem zaczęła się złościć.

– Palce u nóg też mi się zmieniły? – warknęła kiedyś zniecierpliwiona.

Rob obejrzał je sumiennie i zameldował, że są takie jak dawniej.

Chirurgia niestety wiązała się również z kastracją.

W Persji kastrowano setki mężczyzn. Eunuchowie strzegący haremów od zewnątrz, na pozór normalni mężczyźni, pozbawiani byli tylko jąder. Słudzy zatrudniani wewnątrz haremów byli na ogół brzydki i kalecy. Aby stali się całkowicie bezpłciowi, odcinano im także członek. Mocz oddawali przez rurkę.

Często kastrowano małych chłopców. Część z nich posyłano do szkoły w Bagdadzie, gdzie uczyli się śpiewu i muzyki albo zasad handlu i zarządzania. Kończyli ją jako fachowcy przedstawiający dużą wartość dla właściciela. W takiej właśnie szkole kształcił się Wasif, niewolnik Ibn Siny.

Technika kastracji była prosta – chirurg lewą ręką chwycił genitalia, a prawą, w której trzymał ostry nóż, odcinał je szybkim ruchem i natychmiast okładał ranę ciepłym popiołem. Operowany mężczyzna na zawsze tracił męskość. Al-Dżuzdzani napomknął,

że gdy kastracja jest karą, bywa, że nie stosuje się okładu z popiołu, pozwalając ofierze się wykrwawić.

Wracając do żony Rob starał się nie myśleć o tym, że żaden z operowanych przez niego mężczyzn nie wypełni kobiety życiem. Położył rękę na jej ciepłym brzuchu, niezbyt jeszcze sterczącym.

– Wkrótce będzie tej wielkości co zielony melon – powiedziała.

– Chcę go zobaczyć, kiedy będzie jak arbuz.

W Domu Mądrości przeczytał wszystko o płodzie. Ibn Sina pisał, że po zamknięciu się łona wokół nasienia życie tworzy się w trzech etapach. Najpierw maleńki skrzep przekształca się w serce, następnie powstaje inny skrzep i z niego rozwija się wątroba, a w trzecim stadium przybierają kształt wszystkie główne organy.

– Znalazłam kościół – oznajmiła któregoś dnia Maira.

– Chrześcijański?

Zdumiał się, gdy twierdząco skinęła głową. Nie wiedział, że w Isfahanie istnieje chrześcijańska świątynia.

Okazało się, że tydzień wcześniej była z Farą na ormiańskim targu po pszenicę. Przez omyłkę skręciły w jakiś zaułek, wąski i śmierdzący szczykami, i tam natknęły się na kościół pod wezwaniem Michała Archanioła.

– Grecki? – domyślił się.

Znowu skinęła głową.

– To mały smutny kościółek dla biedoty. Pewnie dlatego nikomu nie przeszkadza.

Była tam dwa razy; stała pod kościołem z zazdrością patrząc na wchodzących Ormian.

– Na pewno odprawiają msze po grecku – mitygował ją Rob. – Nic byś nie rozumiała.

– A ilu ludzi twoim zdaniem rozumie mszę po łacinie? W tym kościele obecny jest Chrystus!

– Nie możemy tam iść. Ryzykowałbym życie. Przejdź się do synagogi z Farą i po cichu módl się po swojemu. Ja potrafię się tam modlić do Jezusa i świętych.

Podniosła głowę i po raz pierwszy ujrział, jakim ogniem mogą zapłonąć jej oczy.

– Żaden Żyd nie będzie mi mówił, jak się mam modlić! – wrzasnęła z pasją.

*

Mirdin zgodził się z przyjacielem, gdy ten mu tłumaczył, dlaczego postanowił zrezygnować z chirurgii.

– Nie chodzi tylko o kastrację, choć to straszne – mówił Rob. – Bardziej o to, że wzywa się chirurgów do egzekucji. Wolę wykorzystywać zdobytą wiedzę do leczenia chorób i przynoszenia ulgi w bólu niż do zszywania kikutów po odrąbanych zdrowych członkach.

Siedzieli w porannym słońcu na kamiennych schodach madrasy. Mirdin westchnął, gdy Rob mu opowiedział o Mairze i jej tęsknocie za łącznością z Bogiem.

– Musisz odmawiać z nią wasze modlitwy, kiedy jesteście sami – poradził. – I jak najprędzej zabrać ją do swoich.

Rob skinął głową, przyglądając mu się w zadumie. Mirdin był bardzo przykry, gdy sądził, że Jesse wyrzekł się swojej wiary, ale odkąd się dowiedział, że jest gojem, znów był dlań najlepszym przyjacielem.

– Czy myślałeś kiedyś o tym – rzekł powoli – że każda wiara głosi, iż tylko dla niej Bóg ma serce i ucho. My, wy i muzułmanie, wszyscy twierdzimy to samo: że tylko nasza religia jest prawdziwa. Nie przyszło ci do głowy, że wszyscy się mylimy?

– A może wszyscy mamy słuszość? – odparł Mirdin.

Rob poczuł, że łązy palą go pod powiekami. Mirdin wkrótce zda egzamin na medyka i wróci do rodziny w Maskacie. On także pojedzie do ojczystego kraju, kiedy z Bożą pomocą zostanie hakimem. Z pewnością nigdy się już nie zobaczą.

Kiedy spojrział mu w oczy, był pewien, że przyjaciel myśli o tym samym.

– Spotkamy się w rajku? – spytał.

Mirdin popatrzył nań z powagą.

– Spotkamy się. Przysięgam.

Rob uśmiechnął się.

– Ja też ci to przysięgam.

Uścisnęli sobie mocno dłonie.

– Granicę między życiem a rajem wyobrażam sobie jak rzekę – powiedział Mirdin. – Jeśli przebiega nad nią wiele mostów, to czy Bóg bardzo się trapi tym, który most wybierze wędrowiec?

– Chyba nie – zgodził się Rob.

Pożegnali się serdecznie i każdy pospieszył do swoich zajęć.

Rob i jego dwaj koledzy zostali wezwani przez al-Dżuzdzaniego, który przestrzegł ich, by zachowali daleko posuniętą dyskrecję odnośnie do operacji, którą za chwilę przeprowadzą. Nie wyjawiał, kim jest chora, w trosce o jej dobre imię, ale dał im do zrozumienia, iż to bliska krewna znanej i potężnej osoby. Ma guz w piersi i aby go wyciąć, muszą złamać religijny zakaz niepozwalający nikomu poza mężem oglądać ciała kobiety od szyi do kolan.

Chorą wniesiono nieprzytomną, spojoną winem i narkotykiem. Była tęga i ciężka, spod chusty wymykały się kosmyki siwych włosów. Luźna zasłona okrywała jej ciało z wyjątkiem piersi, dużych, miękkich i obwisłych, co także świadczyło, że nie jest już młoda.

Al-Dżuzdzani polecił każdemu uczniowi delikatnie obmacać obie piersi, porównując tę zdrową z drugą, na której gołym okiem widać było narośl długości kciuka i niemal tejże szerokości.

Rob przyglądał się z zaciekawieniem. Nigdy jeszcze nie widział wnętrza piersi. Al-Dżuzdzani wbił nóż znacznie poniżej guza, chcąc wydobyć go w całości. Popłynęła krew. Kobieta jęknęła, toteż chirurg działał szybko, by skończyć, nim się obudzi.

W ranie widać było mięsień, szarą segmentowaną tkankę i kawałki żółtego tłuszczu jak u kury. Kilka różowych kanalików zbiegało się w brodawce niczym rzeki spływające do zatoki. Al-Dżuzdzani musiał zadrasnąć któryś z nich, gdyż z brodawki wyciekła kropla płynu o barwie różanego mleka.

Usunąwszy guz, medyk pospiesznie zszywał ranę. Wydawał się zdenerwowany, jak gdyby coś takiego było w ogóle możliwe. To krewna szacha, uświadomił sobie naraz Rob. Pewnie ciotka, może nawet ta sama, o której opowiadał w grocie – ta, która nauczyła go tajników miłości.

Gdy tylko al-Dżuzdzani skończył szyć, jęczącą i prawie całkiem już rozbudzoną chorą wyniesiono. Medyk westchnął.

– Nie ma na to lekarstwa. Rak ją zabije, możemy co najwyżej zwolnić jego postępy.

Ujrawszy przed maristanem Ibn Sinę, poszedł zdać mu sprawę z operacji. Uczniowie tymczasem sprząkali salę. Po chwili wszedł Ibn Sina, powiedział do Roba parę słów, klepnął go w ramię i wyszedł.

Oszołomiony tym, co usłyszał, Rob poczłapał do apteki, gdzie teraz pracował Mirdin. Spotkali się w korytarzu. Rob dostrzegł na twarzy Mirdina odbicie własnych uczuć.

– Ty też? – spytał.

Mirdin kiwnął głową i dodał:

– Za dwa tygodnie, tak?

– Tak. – Rob poczuł drgnienie paniki. – Nie jestem gotów, Mirdinie. Ty siedzisz tu cztery lata, ja dopiero trzy. Nie dam sobie rady.

Mirdin uśmiechnął się, zapominając o własnym strachu.

– Jesteś gotów. Byłeś balwierzem, a każdy, kto cię uczył, wie, kim jesteś teraz. Mamy dwa tygodnie na naukę. Potem przystąpimy do egzaminu.

55

Rysunek

Ibn Sina urodził się w małej osadzie zwanej Afszanach, nieopodal też niezbyt okazałego Charmażanu. Wkrótce po jego urodzeniu rodzina się przeniosła się do pobliskiej Buchary. Ojciec prędko postarał mu się o nauczycieli, toteż dziesięcioletni chłopiec znał na pamięć Koran i zdążył już przeczytać większość dzieł literatury muzułmańskiej. Uczony sprzedawca warzyw zwany Mahmudem Matematykiem nauczył go hinduskich rachunków i algebry. Młody Ali chłonał wiedzę jak gąbka. W lot przyswoił sobie zawiłości prawa i euklidesowej geometrii. Jego nauczyciele błagali ojca, by pozwolił mu poświęcić życie nauce.

Leczeniem zainteresował się w wieku lat jedenastu. Nim ukończył szesnaście, wykładał medycynę starszym od siebie uczniom i poświęcał wiele czasu na praktykę prawniczą. Jurystą i filozofem pozostał na całe życie, ciesząc się zasłużonym szacunkiem w społeczności, wkrótce jednak zrozumiał, że każdy człowiek najwyżej ceni swoje zdrowie i życie. Los uczynił go lekarzem kilku kolejnych władców i choć napisał dziesiątki rozpraw prawniczych i filozoficznych, zyskując czuły przydomek Drugiego

Nauczyciela (pierwszym był Mahomet), sławę i uwielbienie, które wszędzie go otaczało, zdobył jako Księżę Medyków.

W Isfahanie z uchodźcy stał się hakimbaszą, Pierwszym Medykiem. W mieście było wielu lekarzy, a jeszcze więcej mnożyło się samozwańczych uzdrowicieli. Tylko ułamek miał za sobą solidne studia, nie mówiąc już o zdolnościach umysłowych choćby zbliżonych do jego własnych. Pilnie trzeba było stworzyć system, który by odsiał ziarno od plew. Ibn Sina przekonał isfahańskich medyków, że decydujące słowo w tej mierze powinna mieć madrasa, i sam objął zwierzchnictwo nad komisją egzaminacyjną.

Akademia w Toledo specjalizowała się w historii naturalnej, Bagdad miał szkołę tłumaczy, Kair szczycił się wielowiekową tradycją medyczną. Każda z tych uczelni chlubiła się potężną biblioteką. Prowincjonalna isfahańska madrasa była w znacznej mierze uzależniona od darów większej i bogatszej uczelni w Bagdadzie, tutejszy maristan zaś nie mógł marzyć o dorównaniu wielkiemu bagdadzkiemu Adudi. Opromieniał je tylko autorytet najwybitniejszego medyka obu kalifatów.

Ibn Sina przyznawał w duchu, że grzeszy pychą. Jego własna sława była niedościgniona, za to poziom kształconych przez niego medyków stał się dlań sprawą osobistej ambicji.

Ósmego dnia miesiąca *szawwal* karawana z Bagdadu przyniosła mu list od Ibn Sabura Jakuta, naczelnego egzaminatora komisji medycznej z Bagdadu. W pierwszej połowie miesiąca *zulkada* Ibn Sabur zamierzał odwiedzić isfahański maristan. Ibn Sina znał go od dawna, przygotował się więc na to, że będzie musiał znosić wygłaszane protekcyjnym tonem przechwałki rywala.

Pomimo rangi i zamożności bagdadzkiej akademii egzaminatorzy nieraz dopuszczali się tam rażących zaniedbań. Tymczasem on miał

w madrasie dwóch uczniów, którymi wszędzie mógłby się chlubić. Pokaże tym pawiom, jakich medyków kształci Ibn Sina w Isfahanie.

Oto więc w obecności gościa miało się rozstrzygnąć, czy Jesse ben Beniamin i Mirdin Askari zdobędą upragniony tytuł hakima.

Ibn Sabur Jakut niewiele się zmienił w ciągu tych dwunastu lat, odkąd poznali się z Ibn Siną w Hamadanie. Powodzenie i dostatek nacechowały dumą jego oczy o lekko obrzmiałych powiekach i przydały mu sadła pod barwnymi szatami z kosztownych materii. Prócz tego odrobinę posiwiął. Zwiedził madrasę i maristan z łaskawym uśmiechem na ustach, wzdychając co rusz, jak rozkosznie łatwe musi być prowadzenie tak niewielkiej uczelni. Zaproszenie do komisji egzaminacyjnej przyjął jako należny mu dowód uznania.

W isfahańskiej madrasie nie było wielu sław, dość jednak uczonych cieszących się wystarczającym autorytetem, aby komisja wzbudziła szacunek i w Kairze, i w Toledo. Al-Dżuzdzani miał odpytywać z chirurgii, imam Jusuf Dżamali z Meczetu Piątkowego – z teologii, mułła Musa ibn Abbas, bliski współpracownik wezyra Persji – z zagadnień prawnych, sam Ibn Sina zaś z filozofii. Gościa z Bagdadu zachęcono, by osobiście sprawdził wiedzę medyczną kandydatów.

To, że obaj są Żydami, nie martwiło Ibn Siny. Rzecz jasna wśród *zimmich* byli i głupcy, i kiepscy lekarze, lecz ci bystrzejsi połowę drogi do wiedzy mieli już za sobą, albowiem dysputy religijne, do których zaprawiani byli od dziecka, kształciły w nich zdolność analizy danych i logicznego wnioskowania.

Jako pierwszego wezwano Mirdina Askariego. Na brzydkiej końskiej twarzy Żyda malowało się skupienie i spokój. Kiedy Musa ibn Abbas zadał mu pytanie o prawo własności, odpowiedział bez popisów, lecz wyczerpująco, cytując przykłady i precedensy z *fikhu*

i *szariatu*. Następnie Jusuf Dżamali rzucił kilka pytań z pogranicza prawa i teologii. Obawy, że kandydat, nie będąc wszak wyznawcą prawdziwej wiary, sobie z nimi nie poradzi, okazały się płonne. Swobodnie szermował przykładami z życia Proroka, sięgał po argumenty do jego pism, zwracał uwagę na przypadki, w których różnica między religią muzułmańską a żydowską rodziła skutki prawne i społeczne, oraz na te, w których nie miała ona znaczenia. Cytował Torę na poparcie Koranu i Koran na poparcie Tory.

Ten człowiek posługuje się umysłem jak mieczem, pomyślał Ibn Sina. Sztychuje i paruje, a co jakiś czas wyprowadza celny cios, docierając aż do sedna zagadnienia. Choć obecni dorównywali mu mniej więcej wykształceniem, jego wszechstronna erudycja wprowadziła ich w podziw.

Ibn Sabur zarzucił go salwą pytań. Odpowiedzi padały bez wahania, nigdy nie wyrażając prywatnej opinii kandydata. Askari zρέcznie łączył cytaty z Ibn Siny, Raziego, Galena i Hipokratesa, przytoczył również dzieło „O niskich gorączkach” Ibn Sabura Jakuta. Bagdadzki medyk z nieprzeniknioną twarzą wysłuchał własnych słów.

Egzamin trwał dłużej niż zazwyczaj. Nareszcie Mirdin umilkł, patrząc wyczekująco na komisję, której członkowie nie mieli więcej pytań. Ibn Sina podziękował mu uprzejmie i posłał po Jessego ben Beniamina.

Drugi kandydat wniósł ze sobą zauważalną zmianę atmosfery. Rosłą, umięśnioną postacią górował nad zaszuszonymi starszymi uczonymi. Twarz spaloną miał słońcem Wschodu i Zachodu, szeroko rozstawione oczy zarazem nieufne i naiwne, a ostry złamany nos nadawał mu wygląd raczej włócznika niż lekarza. Jego wielkie kanciaste dłonie zdawały się stworzone do gięcia żelaza, lecz Ibn

Sina widział już, jak łagodnie potrafią głaskać rozpalone gorączką twarze i jak pewnie kierują nożem, wcinając się w chore ciało. Ten wielki mężczyzna miał duszę lekarza.

Ibn Sina celowo tak ustawił kolejność, żeby Mirdin Askari odpowiadał pierwszy. Chciał od razu olśnić komisję, a na to Jesse ben Beniamin był zbyt nietuzinkowym uczniem. Prawdziwym probierzem jego zalet była praktyka, nie ustny egzamin. W ciągu trzech lat ciężkiej pracy opanował wymaganą wiedzę, lecz nie była to znajomość tak dogłębna jak Askariego. Na pierwszy rzut oka wszakże Jesse prezentował się nieźle, choć na pewno był zdenerwowany.

Stanąwszy przed komisją spojrzął na Musę ibn Abbasa i wargi nieco mu zbieleły. Zatem na pewno bał się bardziej niż Mirdin. Mułła zauważył obcesowo niemal wbite w siebie spojrzenie kandydata i bez żadnych wstępów zadał mu pytanie o jawnie politycznej naturze:

– Czy królestwo należy do meczetu czy do pałacu?

Odpowiedź padła od razu, choć w przeciwieństwie do imponującego poprzednika Rob mówił wolniej, z wahaniem, kalecząc słowa silnym obcym akcentem.

– Mówi o tym Koran w surze drugiej: „Wschód i Zachód należą do Pana”. O zadaniach ziemskiego władcy zaś Allah mówi w surze trzydziestej ósmej: „Dawidzie! Uczyniłem cię królem na ziemi, sądz ludzi według sprawiedliwości; nie trzymaj się ślepych żądz twoich, bo one cię sprowadzą z Mojej drogi”. Wszelka władza bowiem pochodzi od Boga.

Oddając królestwo Bogu, Rob zręcznie uniknął opowiedzenia się po którejkolwiek ze stron. Ten dyplomatyczny wywód był przy tym i mądry, i słuszny, mułła więc przyjął go bez zastrzeżeń.

Ibn Sabur zapytał o różnicę między odrą a ospą. Rob powołał się na „Podział chorób” Raziego, zaznaczając, że choć obie te choroby zapowiada gorączka, przy ospie towarzyszy jej ból w plecach, przy odrze natomiast gorączka jest wyższa, a chory wykazuje wyraźne oznaki rozkojarzenia. Dodał również, że wysypka przy odrze pojawia się na ogół nagle, w przypadku ospy zaś stopniowo. Na poparcie tych słów zacytował czwartą księgę „Kanonu” Ibn Siny, mówiąc o medyku w trzeciej osobie, jakby ten nie siedział tuż obok. Mówił spokojnie i pewnie, nie starając się wpleść w tok odpowiedzi napomknien o swych dokonaniach w czasie zarazy, co uczyniłby człowiek mniejszego formatu. Słusznie go wyróżniłem, myślał Ibn Sina. Spośród obecnych tylko on i al-Dżuzdzani wiedzieli, ile wysiłku kosztowały tego człowieka trzy minione lata.

– Jak leczysz nogę złamaną w kolanie? – spytał al-Dżuzdzani.

– Przede wszystkim trzeba ją unieruchomić. Można zrobić to w pozycji wyprostowanej, i wtedy wystarczą dwie deszczułki, albo zgiętej, i wówczas posłużyłbym się łubkami, które obmyślił hakim Dżalal ul-Din zarówno dla kolana, jak dla łokcia... – Przed gościem z Bagdadu leżały przybory do pisania i Rob wyciągnął po nie rękę. – Łatwiej byłoby mi to narysować – powiedział.

Ibn Sina zdrętwiał. Ten Europejczyk musiał przecież wiedzieć, że każdy, kto nakreśli wizerunek człowieka lub choćby jego części, skazuje się na potępienie. Grzechem byłoby nawet oglądanie takiego wizerunku. Dopuściwszy się w obecności mułły i imama tak gorszącego bluźnierstwa, kandydat mógł się pożegnać z tytułem hakima. Poszedłby wprost pod sąd.

Na twarzach uczonych odbiły się różne uczucia. Po obliczu Al-Dżuzdzaniego przemknęła rozpacz, Ibn Sabur pozwolił sobie na lekki uśmiezek, imam był zakłopotany, a mułła wściekły.

Pióro fruwało między kałamarnicą a papierem i po chwili Rob wręczył gotowy rysunek Ibn Saburowi. Ten wytrzeszczył oczy i przekazał kartę al-Dżuzdzaniemu. Chirurg wydał z siebie zduszone parsknięcie.

Ibn Sina miał wrażenie, że czas przestał płynąć. Nareszcie rysunek dotarł i do niego. Zobaczył na nim... gałąź. Zręcznie odmalowany wraz z liśćmi zgięty konar morelowego drzewka, nadłamany przy grubym sęku pełniącym rolę kolana i ujęty w łubki związane powyżej i poniżej pęknięcia.

Nie zadawano już więcej pytań o złamanie.

Ibn Sina zerknął na Jessego, starając się ukryć ulgę i wzruszenie. Wyraz twarzy gościa z Bagdadu sprawił mu niekłamaną rozkosz. Usiadłszy wygodniej, zaczął wypytować kandydata o skomplikowane kwestie filozoficzne, pewien, że Jesse ben Beniamin nie przyniesie wstydu isfahańskiej madrasie.

Rob zbladł ujrzawszy w komisji zausznika wezyra, Musę ibn Abbasa, którego widział na potajemnym spotkaniu z posłem Seldżuków. Szybko jednak dotarło do niego, że muła o tym nie wie, podglądał go bowiem z ukrycia, odetchnął więc spokojniej. Po egzaminie poszedł prosto do chorych – podobnie jak Mirdinowi trudno byłoby mu beczynn timer czekać na orzeczenie komisji. Zajął się pracą, którą mógł wykonywać rutynowo: badaniem pacjentów, zmienianiem opatrunków, zdejmowaniem szwów...

Czas mijał.

Do sali zajrzał Dżalal ul-Din, co mogło oznaczać, że komisja już się rozeszła. Pozdrowił go jak zwykle – jakby nie wiedział, że uczeń w udręce czeka na wiadomość. Rob nie zdobył się na to, żeby go zagadnąć.

Popzedniego dnia trafił do maristanu pasterz stratowany przez byka. Rob oczyścił i zeszył rany po rogach i kopytach, Dżalal zaś

nastawił i unieruchomił złamaną w dwóch miejscach rękę. Stał teraz nad pacjentem, krzywiąc się, że gruba warstwa bandażu nie pozwala ścisnąć łubków.

– Nie można by zdjąć opatrunku?

– Za wcześnie – odparł Rob speszony. Przecież Dżalal musiał o tym wiedzieć.

Dżalal wzruszył ramionami, spoglądając na niego ciepło.

– Skoro tak mówisz, hakimie... – Uśmiechnął się i wyszedł z sali.

Pod Robem ugięły się nogi. Oszołomiony stał przez chwilę, dopóki nie zyskał pewności, że zdoła zrobić następny krok.

Pierwsze ocknęło się poczucie obowiązku. Był medykiem; miał jeszcze czterech chorych do zbadania. Opanował zawrót głowy i przystawał nad każdym, skupiając na nim myśli, jasne i silne niczym promień słońca, który przejdzie przez kryształ.

Dopiero opatrzywszy ostatniego pacjenta dał się ponieść radości. Jak pijany pobiegł do domu, żeby się pochwalić żonie.

56

Rozkaz

Rob został hakimem na sześć dni przed dwudziestą czwartą rocznicą swych urodzin, lecz świąteczny nastrój nie opuszczał go przez kilka tygodni. Obaj z Mirdinem uznali, że ich awans jest zbyt doniosłym wydarzeniem, aby je fetować pijaństwem na majdanie. Obie rodziny spotkały się w domu Askarich na uroczystej wieczerzy.

Nazajutrz poszli razem obstalować czarne szaty hakimów.

– Wracasz zaraz do Maskatu? – zagadnął Rob.

– Dopiero za kilka miesięcy. Chcę się lepiej nauczyć sporządzania leków. A ty? Kiedy wracasz do Europy?

– Maira nie powinna teraz ruszać w taką drogę. Zaczekamy, aż dziecko się urodzi i nabierze dość sił, żeby zniosło podróż. – Rob uśmiechnął się do przyjaciela. – Krewniacy wyprawią ucztę na twoją cześć! Pisałeś im, że szach chce kupić wielką perłę?

Mirdin pokręcił głową.

– Oni jeżdżą po osadach poławiaczy pereł i skupują małe niedojrzałe perełki. Sprzedaje się je na miarki do wyszywania sukien. Wszyscy razem nie zebraliby sumy potrzebnej na zakup takiej perły, o jakiej marzy Ala. Ponadto władcy wolą przyjmować dary, niż płacić za klejnoty, które tak lubią. Już ja bym wolał nie robić interesów z szachem.

– Nie było cię wczoraj, a cały dwór wypytywał o ciebie – powiedział szach.

– Zajmowałem się śmiertelnie chorą kobietą – odparł Karim.

W rzeczywistości spędził ten wieczór u Despiny. Oboje byli śmiertelnie chorzy – na miłość. Nie mógł się nią dość nasycić, umknąwszy po raz pierwszy od pięciu dni zabiegającym o jego towarzystwo dworzanom.

– Tutaj też są chorzy, którymi powinieneś się zajmować – nadąsał się Ala.

– Oczywiście, najmiłociwszy panie.

Ala nie szczędził mu wyrazów swej łaski, lecz Karima nużyły pielgrzymki wielmożów przychodzących do niego z wyimaginowanymi dolegliwościami. W maristanie leczył naprawdę, a nie służył za ozdobę.

Pomimo to wciąż odczuwał wzruszenie, ilekroć strażę u bram Rajskiego Domu kłaniały mu się w pas. Często myślał, jaką minę miałby Zaki Omar na widok swego chłopca towarzyszącego szachowi Persji.

– ... mam pewne plany, Karimie – mówił Ala. – Szykują się wielkie wydarzenia.

– Niech Allah sprzyja twym zamiarom, panie.

– Wezwij swoich przyjaciół, tych dwóch Żydów. Chcę pomówić z wami trzema.

Do spotkania doszło dwa dni później. Dla Roba i Mirdina była to okazja do pogawędki z Karimem, któremu władca zajmował w tych dniach każdą wolną chwilę. Zanim Ala zszedł do stajen, zdążyli opowiedzieć Karimowi o egzaminie, później zaś dosiedli koni i wyjechali za miasto.

Wycieczki z szachem miały na ogół podobny przebieg, choć dziś dłużej niż zwykle ćwiczyli strzał partyjski, który zresztą umieli wykonać tylko Karim i Ala – a i to nie zawsze celnie. Potem zjedli, nie rozmawiając o niczym ważnym, a na koniec wszyscy czterej zanurzyli się w ciepłej siarkowej wodzie, popijając wino.

Wówczas to Ala najspokojniej oświadczył, że za pięć dni rusza z wojskiem do Indii.

– Z kim będziesz wojował, panie? – zapytał Rob.

– Chcę zdobyć pewną liczbę słoni.

– Panie, pozwól, bym ci towarzyszył! – Oczy Karima zabłyśły.

– Liczę na to, że wszyscy trzej ze mną pojedziecie – rzekł szach.

Czynił im w istocie nie lada zaszczyt, wtajemniczając ich szczegółowo w swoje najskrytsze plany. Na zachodzie Seldżycy wyraźnie przygotowywali się do wojny. Mahmud z Gazny również pozwalał sobie na zaczepki i trzeba go było ukrócić. Nadszedł czas, by zmobilizować armię. Szpiedzy Ali donieśli, że w Mansurze słaby hinduski garnizon strzeże liczego stada słoni. Wypad po nie będzie pożytecznym ćwiczeniem dla wojska, a przede wszystkim pozwoli mu zaopatrzyć się w bezcenne zwierzęta, które okryte zbroją, stawały się straszną bronią mogącą rozstrzygnąć bitwę.

– I jeszcze coś. – Ala sięgnął do pochwy leżącej na brzegu sadzawki i wyjął z niej sztylet o ostrzu z błękitnawej stali pokrytej drobnym falistym wzorem. – Takie ostrza robią tylko w Indiach. Stal jest lepsza od naszej, wytrzymałsza i tak twarda, że przecina perski miecz. Potrzebuję wiele takich głowni. Każda armia zwycięży, byle miała ich pod dostatkiem. – Podał im sztylet, aby każdy mógł go wypróbować. – Jedziesz? – zwrócił się do Roba.

Obaj wiedzieli, że to rozkaz, nie prośba. Nadszedł czas spłaty długu.

– Jadę, wasza wysokość – powiedział Rob, starając się tchnąć entuzjazm w te słowa. Serce zakołatało mu boleśnie, poczuł zawrót głowy, nie tylko od wina.

– A ty, *zimmi*? – Szach skierował to pytanie do Mirdina.

Żyd zbladł.

– Najjaśniejszy panie, zezwoliłeś mi na powrót do rodziny w Maskacie...

– Oczywiście, że tak – rzekł sztywno Ala. – Sam zdecyduj, czy jedziesz z nami czy nie.

Karim szybko chwycił bukłak i nalał wszystkim wina do pucharów.

– Jedź do Indii, Mirdinie!

– Nie jestem żołnierzem – odparł Mirdin powoli. Patrzył na Roba.

– Jedź z nami – bąknął Rob przemagając wewnętrzny opór. – Nie omówiliśmy jeszcze nawet trzeciej części przykazań. Będziesz mnie uczył w drodze.

– Armia potrzebuje chirurgów – dodał Karim. – Czyżby Jesse był jedynym walecznym Żydem w Isfahanie?

Był to zwykły przyjacielski żarcik, lecz spojrzenie Mirdina stwardniało.

– Głupstwa gadasz, Karimie, upiłeś się – wtrącił szybko Rob.

– Pojadę – oznajmił cicho Mirdin.

Pozostali wydali radosny okrzyk.

– Pomyślcie tylko! – rzekł Ala z zadowoleniem. – We czterech rzucimy sobie Indie do stóp!

Tego dnia po południu Rob zaszedł do Netki Akuszerki. Była to chuda, niestara jeszcze kobieta o ostrym nosie w ziemistobladej twarzy i surowych, małych jak rodzyнки oczach. Przyjęła go niezbyt gościnnie i z kamiennym obliczem wysłuchała, z czym przychodzi. Nie wdawał się w szczegóły, rzekł tylko, że musi wyjechać. Westchnęła, jakby nie było dla niej niczym nowym, że gdy na żonę przychodzi czas cierpienia, mąż udaje się w podróż.

– To ta ruda gojka – stwierdziła.

– Tak, jest chrześcijanką z Europy.

Netka przez chwilę patrzyła nań w zamyśleniu i nagle się zdecydowała.

– Dobrze. Zajmę się nią, jak przyjdzie jej czas. W razie kłopotów zamieszkać u was w ostatnich tygodniach.

– Dziękuję. – Podał jej cztery złote monety i jedną srebrną. – Tyle wystarczy?

– Wystarczy.

Zamiast pójść do domu, nieproszony odwiedził Ibn Sinę, który wysłuchał go z powagą.

– A jeśli zginiesz? – spytał. – W podobnej wyprawie poległ mój brat Ali. Nie dopuszczasz do siebie takiej możliwości, bo jesteś młody i silny. Myślisz, że będziesz żył wiecznie. A jeżeli nie?

– Zostawiam żonie pieniądze. Niewiele z nich sam zarobiłem, większość należała do jej ojca – przyznał uczciwie. – Mistrzu, jeśli zginę, czy zorganizujesz jej i dziecku bezpieczny powrót do domu?

Ibn Sina skinął głową.

– Lepiej dbaj o siebie, żebyś nie musiał marnotrawić czasu w karawanseraju – uśmiechnął się. – Myślałeś już nad tą zagadką, którą ci kiedyś zadałem?

Rob rozdziawił usta. Że też tak wielki umysł może się oddawać dzieciennym figlom!

– Nie, hakimbasz.

– Cóż, trudno. Jeśli Allah zechce, będziesz miał na to czas. A teraz usiądź bliżej, hakimie. Nie zaszkodzi, jeśli poświęcimy chwilę sposobom leczenia ran.

Mairze powiedział dopiero tuż przed snem. Wyjaśnił, że ma dług wobec Ali; poza tym prośba szacha równa się rozkazowi.

– Sama chyba rozumiesz, że ani ja, ani Mirdin nie pchalibyśmy się na tę szaleńczą wyprawę, gdybyśmy tylko mogli tego uniknąć.

Zamiast mówić o ryzyku, uprzedził ją tylko, że na czas rozwiązania zaopiekuje się nią Netka, a we wszelkich innych kłopotach pomoże jej Ibn Sina. Na pewno się przeraziła, lecz nie dała tego po sobie poznać. Kiedy wypytywała go o szczegóły, miał wrażenie, że słyszy w jej głosie raczej gniew. Może w głębi duszy sam był na siebie wściekły, czując się jak mały chłopiec podniecony zabawą w wojnę.

W nocy położył rękę na jej zaokrąglonym brzuchu.

– Chciałeś go zobaczyć, kiedy będzie jak arbuz – odezwała się w ciemności. – Teraz to wątpliwe.

– Na pewno zdążę – pocieszył ją.

W dniu wyjazdu prawie się nie odzywała. Patrzył na tę samą dzielną, twardą kobietę, która w wadi Ahmada mieczem gotowa była bronić konającego ojca.

Kiedy wyszedł z domu, była w stajni, czesała zgrzebłem swego karosza. Ucałowała go na pożegnanie i nie roniąc ani jednej łzy stanęła przy furtce patrząc, jak odjeżdża. Obejrząwszy się zobaczył w perspektywie ulicy wysoką, zgrubiałą w pasie sylwetkę

o ramionach pochylonych, jakby przygniatało je śmiertelne znużenie.

57

Wielbłądnik

Oddział był za mały na armię, a za duży na wypad łupieżczy – sześciuset zbrojnych i dwadzieścia cztery słonie.

Kiedy Rob zajechał na plac musztry na majdanie, Chuff zabrał mu kasztanka.

– Odbierzesz go sobie po powrocie do Isfahanu. Idą tylko zwierzęta oswojone z zapachem słoni.

Kasztanek dołączył do stada, które miano odprowadzić do królewskich stajni. Ku uciechu Mirdina speszony Rob dostał pod wierzch chytrą kosmatą wielbłądzicę, która spojrzała na niego wyniośle i przerwała na chwilę żucie, szczerząc zęby.

Mirdin otrzymał brunatnego dromadera. Jeździł na nich od dziecka, nauczył więc Roberta, jak szarpać wodze i krzyczeć, żeby zwierzę ugięło przednie nogi i uklękło, a następnie zgięło tylne przywierając do ziemi. Wówczas jeździec sadowił się bokiem w siodle, szarpał wodze i wydawał kolejną komendę, wielbłąd zaś wstawał, powtarzając cały manewr w odwrotnej kolejności.

Pieszycy żołnierzy było dwustu pięćdziesięciu, konnych dwustu i stu pięćdziesięciu na wielbłądach. Szach przybył na słoniu, o dwa łokcie wyższym od wszystkich pozostałych, ze złotymi pierścieniami zdobiącymi groźne kły. Na karku siedział mu mahut, który kierował słoniem bodąc go piętami w nasadę uszu. Władca przyodziany w pyszną ciemnoszafirową jedwabną szatę i czerwony turban siedział w wyłożonym poduszkami palankinie zamocowanym na grzbiecie zwierza. Tłum wiwatował, zapewne

także i na cześć zwycięzcy chatiru, bo tuż za królewskim słoniem na nerwowym siwym rumaku o dzikich ślepiach jechał Karim.

Chuff zdartym od wydawania komend głosem wykrzyczał rozkaz i ruszył konno za królem i Karimem; za nim w schludnym szyku pozostałe słonie, dalej konie, wielbłądy i setki jucznych osłów o chirurgicznie poszerzonych nozdrzach, by wydajniej oddychały przy pracy. Pochód zamykała piechota.

Podobnie jak w drodze na Wschód Rob i tu znalazł się w trzech czwartych odległości od czoła kolumny – widać taki był już mu pisany los. Wiązało się to z tumanami kurzu. Przewidziawszy to, obaj z Mirdinem zmienili turbany na żydowskie kapelusze o szerokich połach, które lepiej chroniły przed pyłem i słońcem.

Jazda na wielbłądzicy była męką. Kiedy Rob zmusił ją wreszcie do przykłonienia i usadowił na jej grzbiecie swój niemały bądź co bądź ciężar, kwiknęła przeraźliwie i odmówiła powstania. Znów zaczęła się szarpanina; w końcu pochrzając i stękając dźwignęła się na nogi. Znalazł się znacznie wyżej niż na koniu; kołysało nim na wszystkie strony i już po chwili miał boleśnie obite pośladki.

Gdy jechali przez most nad Rzeką Życia, Mirdin obejrzał się i zawołał:

– Musisz ją polubić!

Rob nie zdołał polubić wielbłądzicy. Przy każdej okazji strzykała na niego cuchnącą plwociną, kłapała zębami jak zły pies, a gdy związał jej pysk, użyła kopyt. Bez przerwy musiał mieć się na baczności.

Mimo to podobała mu się jazda w wojskowej kolumnie. Jak w dzieciństwie wyobrażał sobie, że jest Rzymianinem i prowadzi własny legion, niosąc rzymską kulturę barbarzyńskim plemionom. W obozie czar pryskał, nie przypominał bowiem schludnego rzymskiego *castrum*. Szach miał namiot, dywany, muzykantów,

kucharzy i rój służby; reszta kładła się pokotem na ziemi, zawijając w płaszcz. Smród ludzkich i zwierzęcych odchodów zapierał dech, a mijane strumienie zmieniały się w kloaki.

Wiezorami, leżąc w mroku na twardej ziemi, Mirdin nadal uczył Roba praw żydowskiego Boga. Uczenie i nabywanie wiedzy, znane i swojskie, pomagało zapomnieć o niewygodzie i strachu. Omawiając przykazania po dziesięć, robili szybkie postępy i Rob doszedł do paradoksalnego wniosku, że wojna może służyć studiom. Spokojny profesorski głos Mirdina działał nań kojąco, dawał nadzieję, że dożyją powrotu.

Przez tydzień zgodnie z planem korzystali z własnego prowiantu. Potem wyznaczono stuosobowy oddział piechoty, który szedł przodem, sprawnie przeczesując okolicę. Co rusz widzieli mężczyzn pędzących kozy lub owce, znoszących rozgdakany drób lub worki z ryżem. Najlepsze produkty wybierano dla szacha, resztę dzielono i noc w noc nad setką ognisk warzyło się jadło. Nikt z żołnierzy nie głodował.

Na każdym postoju wzywano chorych – nieopodał królewskiego namiotu, by spłoszyć symulantów. Mimo to było ich zawsze wielu. Któregoś wieczoru zajrzał do nich Karim.

– Nie chciałbyś popracować? – przywitał go Rob. – Przyda nam się pomoc.

– Nie mogę. Mam nie opuszczać szacha.

– Mhm... – mruknął Mirdin.

Karim uśmiechnął się kwaśno.

– Potrzeba wam jedzenia?

– Mamy dosyć.

– Mogę zdobyć, co chcecie. Nim dotrzemy do Mansury, minie kilka miesięcy. Nie musicie pościć w czasie marszu.

Rob przypomniał sobie historię, którą opowiedział mu Karim w ogarniętym zarazą Szirazie. Iluż to dzieciom, pomyślał, rodzice rozbijają głowy, by oszczędzić im głodowej śmierci, jaką niesie przemarsz wojsk.

Przez chwilę poczuł niechęć do Karima, potem wstyd: to nie wina przyjaciela, że idą na Indie.

– Mam prośbę – powiedział. – W każdym obozie powinno się z czterech stron kopać latryny. Załatw to.

Karim kiwnął głową.

Zalecenie wykonano bez zwłoki, opatrując je informacją, że żądają tego medycy. Nie przysporzyło im to sympatii wśród zmęczonych żołnierzy, których zapędzano do kopania rowów, ani tych, którzy wyrwani ze snu kurczami żołądka biegli po omacku szukać latryny. Przyłapani na łamaniu zalecenia dostawali kije. Ale za to mniej śmierdziało i rankiem zwijanie obozu szło sprawniej, bo nie trzeba było ciągle patrzeć pod nogi.

Większość żołnierzy odnosiła się do medyków z pogardą. Nie uszło ich uwagi, że Mirdin stawił się na wyprawę bez broni. Chuff zaopatrzył go w lichey gwardyjski miecz, którego zresztą Mirdin często zapominał przypasać. Wyróżniały ich też skórzane czapki oraz poranne modły za obozem, gdzie nakładali szale modlitewne i filakterie.

– Nie ma tu innych Żydów, którzy mogliby cię zdemaskować, więc po co się ze mną modlisz? – dziwił się przyjaciel.

Rob wzruszył ramionami.

– Może już się trochę nawróciłeś?

– Nie – uciął ostro Rob i opowiedział Mirdinowi, jak to w dniu, w którym po raz pierwszy przebrał się za Żyda, udał się do bazyliki Mądrości Bożej w Konstantynopolu i przysiągł Jezusowi, że nigdy się Go nie zaprze.

Mirdin poważnie skinął głową i więcej już o tym nie mówili. Obaj wiedzieli, że w pewnych kwestiach nigdy się nie zgodzą, bo każdego z nich wychowano w innych pojęciach o Bogu i duszy, toteż chętnie omijali drażliwe tematy, aby cieszyć się wzajemną przyjaźnią uczonych i medyków tymczasowo powołanych do wojska.

Gdy zbliżyli się do Szirazu, uprzedzony kalandar wyszedł im naprzeciw z karawaną zwierząt objuczonych prowiantem. Oszczędził w ten sposób swej prowincji bezlitosnych rekwizycji. Pokłoniwszy się szachowi, kalandar serdecznie powitał trzech medyków i długo wspominali przy winie czas zarazy. Potem Rob z Mirdinem odprowadzili go aż do bram miasta.

Wracając, nieco zawiani, urządzili sobie wyścig na płaskim odcinku drogi. Zdumiewające: podrygujący chód wielbłąda w biegu stał się płynny, wręcz lotny. Mknąc niczym wicher, zachwycony Rob pojął, dlaczego perscy Żydzi nazywali powszechnie hodowaną odmianę „latającymi wielbłądami”. Jego stara wielbłądzica walczyła jak szatan. Rob po raz pierwszy poczuł do niej iskrę sympatii.

– Pędź, ślicznotko! – wrzeszczał gnając w stronę obozu.

Zwyciężył Mirdin, ale wyścig sprawił Roba w dobry humor. Wyprosił u poganiaczy słoni dodatkową rację paszy dla swojej „ślicznotki”, która w podzięcie ugryzła go w ramię. Przez kilka dni chodził z bolesnym siniakiem. Odtąd mówił o niej „ta suka”.

58

Indie

Minąwszy Sziraz wkroczyli na Korzenny Szlak. Zeszli zeń dopiero w pobliżu Ormuzu, żeby ominąć góry sięgające niemal wybrzeża. Mimo zimy powietrze nad zatoką było ciepłe i wonne. Czasem

po rozbiciu obozu żołnierze i zwierzęta schodzili z rozgrzanych plaż do morza, gdzie kąpali się pod czujnym okiem strażników mających za zadanie wypatrywać rekinów. Spotykali teraz zarówno Persów, jak ciemnoskórych Beludżów. Ludzie ci byli rybakami albo rolnikami uprawiającymi daktyle i granaty w oazach na przybrzeżnych piaskach. Mieszkali w namiotach, lepiankach z płaskimi dachami lub jaskiniach – mijali takie posuwając się dnem wyschłego wadi. Rob widział wokół jałową krainę zamieszkaną przez nędzarzy, Mirdin za to rozglądał się wokół czule i z dnia na dzień był weselszy. Kiedy przechodzili przez rybacką wioskę Tiz, wziął Roba za rękę i zaciągnął go na brzeg.

– Po drugiej stronie – powiedział wskazując błękitną zatokę – leży Maskat. Łodzią dostalibyśmy się do domu mego ojca w parę godzin.

Jakże kusząco blisko...! Nazajutrz jednak zwinęli obóz i z każdym krokiem zaczęli się oddalać od domu Askarich.

Po miesiącu od wyruszenia z Isfahanu przekroczyli granicę. Odtąd nocą strzegły obozowiska trzy pierścienie straży wokół obozu i co rano zmieniano hasło. Ktokolwiek go nie znał, ginął przy próbie wejścia do obozu.

Na obcej ziemi żołnierze częściej dopuszczali się brutalnej grabieży, a któregoś dnia spędzili do obozu grupę kobiet powiązanych jak bydło. Szach oznajmił, że pozwoli im z nich skorzystać tylko ten jeden raz. Oddziałowi liczącemu sześciuset zbrojnych i tak trudno było przemieszczać się bez rozgłosu; nie chciał, by poprzedzała ich jeszcze wieść o dokonywanych gwałtach.

Noc zapowiadała się bezsenna. Karim starannie wybrał cztery spośród kobiet.

– Po co mu aż cztery? – zdziwił się Rob.

– Nie wybiera ich dla siebie – powiedział Mirdin.

Istotnie, zaprowadził je do królewskiego namiotu.

– Po cośmy w ogóle uczyli go prawa i filozofii? – rzekł Mirdin z goryczą.

Rob nie odpowiedział.

Pozostałe branki przechodziły z rąk do rąk. Żołnierze losowali kolejność, a oczekujący przyglądali się szczęściarzom, nagradzając triumfalnymi okrzykami ich dokonania. Zwolniono nawet wartowników, by i oni mogli skorzystać z pierwszych zdobyczy.

Mirdin z Robem siedli na uboczu z bukłakiem cierpkiego wina. Próbowali zająć się nauką, ale atmosfera nie była stosowna do roztrząsania praw Boskich.

– Nauczyłeś mnie już ponad czterystu przykazań – zauważył ze zdumieniem Rob. – Niedługo skończymy.

– Wyliczyłem je zaledwie – sprostował Mirdin. – Są mędrcy, którzy poświęcają całe życie zgłębieniu jednego jedyne go prawa.

W gęstniejącym mroku sły chać było krzyki kobiet i pijackie wrzaski.

Rob od lat unikał wina, dziś jednak, choć wokół działy się ohydne sceny, doskwierała mu wymuszona wstrze mię żliwość. Pił szybko i łapczywie.

Wkrótce nieźle mu szumiało w głowie. Mirdin, zdumiony przemianą, jaka zaszła w jego zwykle rozsądnym i spokojnym przyjacielu, byłby sobie poszedł, ale napatoczył się szukający zwady żołnierz i Rob już sięgał po miecz, musiał więc interweniować. Załagodził sprawę, uspokoił pijanego medyka jak rozkapryszone dziecko i położył go spać.

Rano kobiet już nie było, za to Rob ocknął się z potwornym bólem głowy, na który nie pomogła jazda na wielbłądzie. Dodatkową ceną za wczorajszą głupotę były ciągłe pytania Mirdina, który wykorzystał tę okazję do poszerzenia swojej wiedzy

medycznej. Dał mu spokój dopiero zebrawszy garść dowodów na to, że na niektórych wino działa jak trucizna lub zły urok.

Zamiast broni Mirdin wziął na wojnę grę szacha, która umilała im wieczory aż do zapadnięcia ciemności. W miarę jak Rob nabierał wprawy, ich zmagania stawały się coraz dłuższe i ciekawsze. Parokrotnie nawet wygrał.

Czasem przy grze zwierzał się przyjacielowi z niepokoju o Mairę.

– Nic jej nie będzie – pocieszał go Mirdin. – Fara mówi, że rodzenie dzieci to coś, co kobiety umieją od dawna.

Zastanawiali się, czy przyjdzie na świat chłopiec czy dziewczynka.

– Ile dni po miesiączce zostało poczęte? – spytał Mirdin.

Rob bezradnie wzruszył ramionami.

– Al-Habib pisze, że jeśli do stosunku doszło między pierwszym a piątym dniem po ustaniu krwawienia, urodzi się chłopak, a jeżeli między piątym a ósmym, dziewczynka... – Mirdin urwał.

Rob też czytał al-Habiba i wiedział, dlaczego przyjaciel zamilkł: mędrzec ów przestrzegał, że dziecko poczęte później niż w piętnastym dniu po miesiączce może się urodzić obojnakiem.

– Al-Habib pisze również, że ciemnoocy ojcowie płodzą synów, a niebieskoocy córki. Tyle że w moim kraju większość mężczyzn ma niebieskie oczy, a zawsze płodzili wielu synów – powiedział przekornie.

– Bo al-Habib pisał o normalnych ludziach, nie Anglikach – odciął się Mirdin.

Czasami zamiast gry powtarzali nauki Ibn Siny o opatrywaniu ran zadanych w bitwie albo przeglądali ekwipunek, upewniając się, czy mają wszystko, co potrzebne chirurgom. Przydało im się to, gdy któregoś wieczoru poproszono ich do namiotu szacha na wieczerzę. Karim, również w niej uczestniczący, powitał przyjaciół bardzo

zmieszany. Jak się okazało, szach polecił mu przeegzaminować ich obu i sprawdzić, czy są należycie przygotowani.

Przed posiłkiem słudzy wnieśli wodę i ręczniki. Ala zanurzył dłonie w pięknie cyzelowanej misie i wytarł je błękitnym płótnem haftowanym złotą nicią w wersety z Koranu.

– Powiedzcie, jak będziecie opatrywać rany cięte – pytał tymczasem Karim.

Rob powtórzył wskazówki Ibn Siny. Należy zagotować oliwę i wlać ją do rany jak najgorętszą, by zapobiec ropieniu i powstaniu szkodliwych jądów. Karim kiwał głową z aprobatą. Szach słuchał coraz bledszy, a w końcu powiedział, że jeśli zostanie ciężko ranny, mają mu podać środek na uśmierzenie bólu, gdy tylko muła rozpocznie modlitwy.

Posiłek był prosty – ptactwo z różną ziołami zebranych po drodze – ale znacznie lepiej przyprawiony niż żołnierska strawa i podany na misach. Kiedy wieczerza dobiegła końca, trzech muzykantów sięgnęło po cymbały, a Mirdin zmierzył się z szachem w grze i rzecz jasna został pokonany.

Była to cenna rozrywka w monotonnym pochodzie, wieczorem jednak Rob z ulgą pożegnał władcę. Nie zazdrościł Karimowi, który często miał konno jeździć z szachem w palankinie. Słonie nadal go fascynowały; korzystał z każdej okazji, żeby je sobie obejrzeć. Niektóre nosiły na sobie zbroje podobne do ludzkich. Na pięciu jechało dwudziestu dodatkowych mahutów zabranych z myślą o zwierzętach, które mieli zdobyć w Mansurze. Byli to Hindusi wzięci do niewoli w poprzednich wyprawach. Traktowano ich dobrze i sownie nagradzano ich cenne usługi, toteż Ala mógł być pewien ich lojalności.

Słonie pały się same. Pod koniec każdego dnia ciemnoskórzy poganiacze prowadzili je w zarośla, gdzie nażerały się trawy, liści,

drobnych gałązek i kory. Czasem bez wysiłku obalały całe drzewa, żeby dostać się do listowia. Któregoś wieczoru żerujące słonie wypłoszyły z lasu stadko jazgotliwych włośchatych stworzeń przypominających ludzi, lecz mniejszych i z ogonami. Rob wiedział już, że to małpy. Potem spotykali je co dzień; widywali też piękne wielobarwne ptaki, a często i węże pełzające po ziemi lub przyczajone na gałęziach drzew. Harsza, mahut szacha, powiedział Robertowi, że ukąszenie niektórych jest śmiertelne.

– Trzeba naciąć to miejsce nożem, wyssać cały jad i wypluć, a potem zabić jakieś drobne zwierzę i jego wątrobę przyłożyć do rany, żeby odciągnęła resztę jadu. Ten, który wysysa, nie może mieć w ustach choćby otarcia, bo i jemu jad dostałby się do krwi. A wtedy się umiera, nim zapadnie noc – ostrzegał.

Mijali po drodze posągi grubego siedzącego bożka i choć niektórzy chichotali pod nosem, nikt go nie obrażał. Choć bowiem dla Persów jedynym prawdziwym Bogiem był Allah, te lekko uśmiechnięte kamienne twarze tchnęły groźną mocą, uświadamiając im, że odeszli daleko od własnej ziemi. Rob na wszelki wypadek odmawiał „Ojcze nasz”, którego nauczyli go mnisi.

Mirdin chyba także odruchowo bronił się przed Buddą, wykładał mu bowiem przykazania swego Boga z niespotykanym zapałem. Doszli do pięćset dwudziestego czwartego, które brzmiało: „Gdy kto popełni grzech śmiercią karany, a skazany na śmierć zostanie powieszony, nie zostanie na drzewie trup jego, ale tegoż dnia będzie pogrzebany”.

– Dlatego nie rozcinamy umarłych, jak czynili poganie – rzekł z naciskiem Mirdin. Rob ożywił się, drgnął i usiadł prosto. – Mędracy i uczeni wywiedli z tego przykazania trzy prawa. Po pierwsze, skoro z czią traktujemy nawet zwłoki skazańca, tym

większa cześć należy się ciału człowieka uczciwego. Po wtóre, kto przetrzymuje niepochowane ciało przez noc, łamie Prawo. I wreszcie, ciało trzeba pochować w całości. Gdyby pozostał choć skrawek tkanki, to tak jakby w ogóle nie było pogrzebu.

– A więc to jest przyczyna... – zadumał się Rob. – Dlatego, że wasze prawo zabrania zostawiać ciało zbrodniarza bez pochówku, medycy trzech wyznań nie mogą badać tego, co chcą leczyć.

– To przykazanie Boskie – oświadczył surowo Mirdin.

Rob położył się z powrotem i zapatrzył w mrok. Obok głośno zachrapał jakiś piechur, nieco dalej ktoś kaszlał i pluł. Po raz setny zadał sobie pytanie, co robi wśród tych ludzi.

– To nieprawda, że szanujecie zmarłych – powiedział. – Grzebiecie ich w takim pośpiechu, jakbyście chcieli się ich co prędzej pozbyć.

– Za to po pogrzebie czcimy ich pamięć siedmiodniową żałobą, *sziwą*, odprawianą w domu zmarłego.

– Czy nie widzisz, że brak w tym logiki? Przecież... – Rob urwał. Wzburzenie uderzyło mu do głowy jak mocne wino.

– Nie zarzucaj Bogu braku logiki!

– Nie mówię o Bogu, tylko o barbarzyńskiej interpretacji Jego słowa, która od dziesiątków pokoleń więzi świat w niewiedzy!

Mirdin milczał przez chwilę.

– Nie musisz się z nią zgadzać – rzekł wreszcie. – Nikt nie wymaga od ciebie mądrości czy przyzwoitości. Umówiliśmy się tylko, że będziesz się uczył praw Bożych.

– Tak, zgodziłem się uczyć. Ale nie obiecywałem, że powstrzymam się od myślenia i sądu.

Tym razem Mirdin nie odpowiedział.

Dwa dni później dotarli nad rzekę Indus. Parę mil na północ znajdował się wygodny bród, ale szach dowiedział się od mahutów, że zwykle strzeże go wojsko. Oddział cofnął się więc na południe,

gdzie był inny bród, głębszy. Chuff wyznaczył grupę żołnierzy do zbijania tratew. Kto umiał, przepłynął wraz z wierzchowcami na drugi brzeg, pozostali przeprawili się na tratwach, odpychając się od dna tyczkami. Słonie przeszły po dnie, wystawiając nad wodę tylko trąby, a głębsze miejsca przepłynęły jak konie.

Na drugim brzegu sformowali szyk od nowa i ruszyli dalej na północ, w kierunku Mansury, szerokim łukiem omijając strzeżony bród.

Karim przyniósł wiadomość, że szach wzywa medyków, i pewien odcinek przejechali z nim na grzbiecie Zu. Rob nie mógł się skupić na słowach władcy, tak inny wydawał mu się świat oglądany z grzbietu słonia.

Szpiedzy Ali donieśli mu jeszcze w Isfahanie, że Mansura jest kiepsko strzeżona. Stary radża, który był wymagającym wodzem, niedawno zmarł, a jego synowie nie mieli żyłki do wojaczki, przez co posterunki były za słabo obsadzone.

– Muszę wysłać zwiadowców, żeby to potwierdzili – mówił szach.
– Wy pojedziecie. Dwóch żydowskich kupców zmierzających do Mansury nie wzbudzi podejrzeń.

Rob oparł się pokusie, żeby zerknąć na Mirdina.

– Miejcie oczy otwarte; wypatrujcie paści na słonie w pobliżu miasta. Często są to drewniane ramy najeżone żelaznymi pikami. Zagrzebują je w płytkich rowach przed obwałowaniem. Musimy się upewnić, czy ich tu nie ma, żeby nie wygubić zwierząt.

Rob skinął głową. Z wysokości grzbietu słonia wszystko wydawało się wykonalne.

– Tak jest, panie – odpowiedział.

W oczekiwaniu na powrót zwiadowców najeźdźcy rozbili obóz. Rob i Mirdin zostawili w nim wielbłądy, które ze względu na ich

szybkość wyszkolone zostały jako wierzchowce bojowe, nie juczne, i wsiedli na osły.

Był rześki słoneczny poranek. W gęstym lesie przenikliwie nawoływały się ptaki, a z mijanego drzewa obrzuciło ich wyzwiskami stadko małp.

– Chętnie bym zrobił sekcję małpy – odezwał się Rob.

Mirdin wciąż był naburmuszony; w dodatku rola szpiega jeszcze mniej mu odpowiadała niż rola żołnierza.

– Po co? – burknął.

– Żeby się czegoś nauczyć. Galen też kroił małpy.

– Myślałem, że chcesz być medykiem.

– Na tym polega medycyna.

– Sekcja to nie medycyna. Ja będę medykiem, do końca swych dni troszcząc się o chorych w Maskacie, bo tym właśnie winien się zajmować lekarz. Ty chciałbyś być wszystkim: chirurgiem, anatomem, lekarzem, a nawet akuszerką!

Rob uśmiechnął się i powstrzymał od odpowiedzi. Niewiele mógłby rzec na swoją obronę; Mirdin miał sporo racji.

Jechali dalej w milczeniu. Dwukrotnie spotykali Hindusów: raz wieśniaka stojącego po kostki w błotnistym rowie nawadniającym, drugim razem dwóch mężczyzn niosących na drągu kosz pełen żółtych śliwek. Ci dwaj pozdrowili ich w swoim języku. Nie rozumując ni słowa, zwiadowcy odpowiedzieli im uśmiechem. Rob miał nadzieję, że żaden z tubylców nie natknie się na obóz, natychmiast bowiem zostałby wzięty do niewoli lub zabity.

Wkrótce potem z za zakrętu wyłoniło się kilku ludzi prowadzących osły i na ponurej gębie Mirdina nagle jakby zajaśniało słońce. Podróżni mieli na głowach takie same jak oni czapki i pokryte kurzem drogi czarne chałaty.

– *Szalom!* – zawołał, gdy się zbliżyli.

– *Szalom alejchem!* Co za spotkanie!

Przywódcą grupy, Hillel Naftali, kupiec korzenny z Ahwazu – otwarty i wesoły człek, którego lewy policzek szpeciło jaskrawoczerwone znamię – przedstawił im swych towarzyszy: brata, syna i trzech zięciów. Następnie bez pośpiechu przystąpił do ustalania paranteli. Nie znał ojca Mirdina, lecz słyszał o rodzinie Askarich z Maskatu, wyliczanie znajomych trwałoby więc do wieczora, gdyby nie padło nazwisko dalekiego kuzyna Naftalego, którego Mirdin znał. To ostatecznie upewniło obu, że nie są sobie całkiem obcy.

– Jedziecie z północy? – zapytał Mirdin.

– Byliśmy w Multanie, niedaleko stąd. – Naftali uśmiechnął się szeroko, zatem interesy musiały wypaść korzystnie. – A dokąd wy jedziecie?

– Do Mansury. Handlujemy wszystkim po trosze – rzekł Rob, tamci zaś z szacunkiem pokiwali głowami. – Znacie Mansurę?

– Bardzo dobrze. Właśnie tam spędziliśmy ostatnią noc u Ezry ben Husika, który handluje ziarnistym pieprzem. Wielce czcigodny człowiek, zawsze można liczyć na jego sławną gościnność.

– Widzieliście tamtejszy garnizon? – zapytał Rob.

– Garnizon? – zdumiał się Naftali.

– Ilu żołnierzy strzeże Mansury? – spytał cicho Mirdin.

Nagle zrozumieli. Naftali cofnął się przerażony.

– W takie sprawy się nie mieszamy – szepnął.

Pospiesznie powiadali na osły. Rob zdał sobie sprawę, że lojalność nakazuje ich ostrzec.

– Tędy nie jedźcie, bo możecie postradać życie. I nie zawracajcie do Mansury.

Popatrzyli na niego blednąc.

– To dokąd mamy jechać? – zapytał Naftali.

– Zejdźcie z drogi i ukryjcie się w lesie. Siedźcie tam, dopóki nie przeciągnie tędy duży oddział. Wtedy wróćcie na drogę i co prędzej ruszajcie do Ahwazu.

– Dzięki – westchnął kupiec.

– Czy możemy bezpiecznie dojechać do Mansury? – upewnił się Mirdin.

– Tak. Wszyscy przywykli do widoku żydowskich kupców.

Rob nie czuł się usatysfakcjonowany. Przypomniał sobie mowę ręk, której nauczył go Loeb w drodze do Isfahanu, tajne znaki pozwalające żydowskim kupcom na Wschodzie targować się bez słów. Wyciągnął rękę i wygiął dłoń.

„Ilu?”

Naftali wytrzeszczył nań zdumione oczy. Po chwili dotknął prawą dłońią lewego łokcia sygnalizując setki i rozpostarł pięć palców, a następnie chowając kciuk lewej dłoni rozpostarł pozostałe palce i przyłożył je do prawego łokcia.

– Dziewięciuset żołnierzy?

Naftali kiwnął głową.

– *Szalom* – rzekł z ironicznym uśmieszkiem.

– Pokój z wami – pożegnał go Rob.

Za lasem ujrzeli z dala Mansurę. Leżała w niewielkiej kotlinie u stóp skalistego zbocza. Z góry widać było garnizon: baraki, place musztry, zagrody dla koni i osobne dla słońi. Zwiadowcy perskiego szacha uważnie przyjrzeni się ich rozmieszczeniu, notując je w pamięci.

Osadę i garnizon otaczała pojedyncza szczelna palisada z zastrzonych bali. Kiedy zbliżyli się do niej, prowadząc osły, Rob dźgnął swojego kijem. Osioł ryknął i zerwał się do biegu, on zaś wśród krzyków i śmiechu dzieciarni zaczął go gonić wzdłuż

ostrokołu. Mirdin wskoczył na siodło i zajęchał z drugiej strony. Wyglądało na to, że chce odciąć osłu drogę.

Nie widzieli nawet śladu pułapek na słońce, toteż prędko zawrócili do obozu.

Hasłem tego dnia było *mahdi*, zbawca. Okrzyknęli się trzem liniami straży i Chuff zaprowadził ich przed oblicze szacha.

Ala skrzywił się słysząc o dziewięciuset żołnierzach. Przekonywano go, że posterunek w Mansurze jest słabszy. Nie wpłynęło to jednak na jego morale.

– Zyskamy przewagę dzięki zaskoczeniu – oświadczył pewnym głosem.

Rob i Mirdin narysowali patykami na ziemi plan umocnień i rozmieszczenie zagród dla słoń. Szach uważnie wysłuchał ich raportu, po czym zajął się obmyśleniem ataku. Żołnierze tymczasem przeglądali ekwipunek, nacierali oliwą uprzęż i ostrzyli miecze. Słonie napojono winem.

– Nie dostały dużo; tyle, żeby były podniecone i chętne do walki – wyjaśnił Harsza Robowi, który ze zdumieniem pokręcił głową. – Dajemy im wino tylko przed bitwą.

Zwierzęta dreptały niespokojnie, jakby wszystko rozumiały. Mahutowie musieli mieć się na baczności przy rozwijaniu i nakładaniu im zbroi. Na słoniowe kły nasadzono specjalne długie i ciężkie klingi z pierścieniem zamiast rękojeści. Uzbrojone w ten sposób, potężne zwierzęta budziły jeszcze większą grozę.

W końcu władca dał rozkaz wymarszu i wszyscy poderwali się nerwowo. Ruszyli dalej Korzennym Szlakiem, powoli, bo szach chciał przybyć do Mansury z końcem dnia. W drodze nikt się nie odzywał. Napotkanych nieszczęśników od razu chwymano, wiązano i oddawano pod straż, żeby nie podnieśli alarmu. Mijając miejsce, gdzie rozstali się z Żydami z Ahwazu, Rob pomyślał, że pewnie

siedzą w lesie, nasłuchując teraz odgłosu kopyt, ludzkich kroków i cichego pobrzękiwania zbroi.

Na otwartą przestrzeń wyszli o zmierzchu. Pod osłoną zapadającego zmroku perskie wojsko ustawiło się w szyku na grzbiecie wzgórza. Na każdym słoniu siedziało plecami do siebie czterech łuczników. Pod ich osłoną stanęli jeźdźcy na koniach i wielbłądach, a za nimi piechurzy uzbrojeni we włócznie i szable.

Na dany znak dwa słonie bez zbroi, niosące tylko mahutów, ruszyły powoli w stronę Mansury. Persowie ze wzgórza odprowadzali wzrokiem wielkie szare cienie. W dole pełgały płomyki kuchennych ognisk, nad którymi indyjskie kobiety przygotowywały wieczerzę.

Szach uniósł w górę dłoń, gdy słonie znalazły się przy ostrokole i wparłszy w niego łby, zaczęły pchać. Rozległ się głośny trzask, palisada zachwiała się i runęła.

Szach opuścił dłoń.

Słonie ruszyły ze zbocza. Za nimi pędziły konie i wielbłądy. W miasteczku podniosły się pierwsze krzyki.

Rob dobył miecza, żeby płazem zachęcić do biegu „tę sukę”, lecz wielbłądzicy nie trzeba było popędzać. Z początku słychać było tylko tętent kopyt i szcęk zbroi, potem z sześciuset gardeł wydarł się bojowy okrzyk spotęgowany głosami zwierząt: rzeniem koni, kwikiem wielbłądów i przenikliwym trąbieniem słoni.

Rob poczuł dreszcz. Z dzikim wrzaskiem wdarł się do miasta.

Rob widział wszystko niczym serią oderwanych od siebie obrazów. Rozpędzona wielbłądzica przeskoczyła nad szczątkami

palisady i pognęła dalej, pomiędzy domy. Lęk na twarzach rozpierchających się ludzi napoił Roba osobliwym poczuciem, że jest niezwyknięty; była to wiedza płynąca z ciała, nie z umysłu, świadomość własnej siły podszyta odrobiną wstydu, jak wówczas gdy w Anglii wypędził z karczmy starego Żyda.

Wokół zagród wrzała już zacięta walka. Hindusi walczyli pieszo, ale znając słonie, wiedzieli, jak je atakować; uzbrojeni w długie włócznie, celowali w oczy. Udało im się oślepić jednego z nieuzbrojonych słoni, które obaliły częstokół. Mahut zniknął w tłumie i na pewno już nie żył. Zwierzę stało bezradnie, drżąc i trąbiąc żałośnie.

Rob nagle zdał sobie sprawę, że patrzy w wykrzywioną brunatną twarz i widzi równocześnie odwiedzioną w tył głownię miecza, która właśnie zaczyna się do niego zbliżać. Nie zastanawiając się, odruchowo pchnął; sztych szerokiej saskiej głowni wszedł w gardło Hindusa. Napastnik osunął się na ziemię, a Rob odwrócił się do kolejnego, który próbował go sięgnąć z drugiej strony, i nachylając się z grzbietu wielbłądzicy, zaczął rąbać na oślep.

Hindusi, uzbrojeni w topory i szable, cięli słonie po trąbach i grubych jak pnie nogach, była to jednak nierówna walka. Podwinawszy trąby pod brzuch, wywijając wściekle okutymi w mordercze ostrza kłami, słonie szły do ataku. Z uszami rozpostartymi na kształt żagli wyglądały jak flotylla taranujących okrętów. Roztrącając padających ludzi, raz po raz unosiły nogi jakby w dzikim tańcu i opuszczały je z siłą, od której drżała ziemia, miażdżąc ciała niczym winne grona.

Rob był zamknięty w klatce wypełnionej głosami piekieł – krzykiem, rżeniem, wyciem, rżeniem, klątwami i jękami konających.

Wokół Zu, największego słonia okrytego królewską zbroją, Hindusów skupiło się najwięcej. Chuff stracił konia i walczył teraz pieszo obok swego władcy, robiąc zamaszyste młyńce ciężkim mieczem i głośno złorzecząc przeciwnikom. Szach przyklęknął na grzbiecie zwierzęcia szyjąc strzałami z łuku.

Ludzie w pocie czoła kłuli, cięli, rąbali i siekli niczym tłum oszalałych rzeźników.

Ścigając hinduskiego włócznika, Rob zobaczył Mirdina, który pieszo, z niedobytych mieczem w pochwie, usiłował wywlec z zamętu rannego, trzymając go pod ramiona. Żyd zdawał się nie widzieć, że wokół trwa walka. Ten widok podziałał na Roba jak kubek zimnej wody. Zamrugnął półprzytomnie, ściągnął wodze i zsunął się z wielbłądzicy, nim zdążyła przyklęknąć. Pomógł Mirdinowi dźwignąć rannego w szyję mężczyznę, który już szarzał z upływu krwi.

W tejże chwili zapomniał o zabijaniu i na powrót stał się medykiem.

Znosili rannych do jednej z chat, lecz niewiele im mogli pomóc, bo starannie dobrane środki zostały na grzbietach sześciu osłów rozproszonych w tej chwili nie wiadomo gdzie. Nie mieli ani opium, ani oliwy, ani czystych płócien; do tamowania krwi darli odzież poległych.

Walka szybko zmieniła się w rzeź. Wielu zaskoczonych Hindusów nie zdążyło sięgnąć po oręż; bronili się kijami i kamieniami. Ginęli jak muchy, lecz walczyli desperacko, świadomi, że jeńców czeka haniebna śmierć lub niewola i kastracja w Persji.

Zapadł zmrok, a masakra trwała dalej. Rob z mieczem w jednej ręce i pochodnią w drugiej udał się na rekonesans do sąsiedniej chaty. Zastał w niej drobnego szczupłego mężczyznę, kobietę

i dwoje małych dzieci. Cztery ciemne twarze podniosły się ku niemu, wbijając wzrok w obnażony miecz.

– Uciekajcie, póki zdołacie – rzekł do mężczyzny.

Nie zrozumieli go. Mężczyzna powiedział coś w swoim języku.

Rob podszedł do drzwi, wskazał ciemniejący w dali las i ponaglił ich gestem. Hindus skinął głową na znak, że rozumiał. Minę miał nietęgą, ale dzikie zwierzęta były niczym w porównaniu z tym, co groziło im tutaj. Prędko zebrał rodzinę i skuleni wymknęli się za drzwi.

W chacie Rob znalazł lampy, w następnych oliwę i płótno i zniósł to wszystko do tymczasowego lazaretu.

Późną nocą, gdy walki nareszcie ustały i skończyło się dobijanie rannych, żołdactwo ruszyło na poszukiwanie łupów i kobiet. Medycy z garstką żołnierzy przeszli z pochodniami całe pole bitwy. Zbierali tylko tych, których można było jeszcze uratować, pozostawiając zabitych i konających. Przy okazji Mirdin schwytał dwa juczne osły. Zapaliwszy kilka lamp, wzięli się do zalewania ran gorącą oliwą, zszywania ich i opatrywania. Cztery posiekane lub zmiażdżone kończyny musieli amputować. W trakcie operacji jeden z żołnierzy zmarł.

Tę straszną noc przeżyło trzydziestu jeden zniesionych do chaty rannych. Kiedy nowy dzień oświetlił budzące grozę pobojuwisko, znaleźli jeszcze siedmiu.

Po pierwszej modlitwie Chuff wezwał ich do słoni, ważniejszych od ludzi. Trzy miały rany cięte nóg, jednemu strzała przeszła ucho, a piąty utracił trąbę. Na polecenie Roba żołnierze dobili zwierzę, podobnie jak słonia oślepionego na początku bitwy.

Pospiesznie przełknąwszy poranny pilaw, mahutowie weszli do zagród i zabrali się do segregowania słoni, przepędzając zwierzęta

z miejsca na miejsce za pomocą zakrzywionych ościeni zwanych ankusami, którymi chwyтали je za uszy.

– Tędy, ojczy – mówili do nich łagodnie. – Nastąp się, córko. Spokojnie, synu! No, pokażcie, co potraficie, moje dzieci.

Albo:

– Uklęknij, matko, pozwól mi wsiąść na swój piękny łeb.

Oddzielali zwierzęta już oswojone od tych, które były jeszcze na pół dzikie. Do Isfahanu mogli zabrać tylko te, które poddadzą się przewodnikom. Resztę trzeba było wypuścić na wolność.

Miękki szmer głosów mahutów zagłuszył niebawem inny dźwięk – brzęczenie much, które wyczuły padlinę. Smród wzrastał się w miarę, jak narastał upał, i wkrótce stał się nie do zniesienia. Poległo siedemdziesięciu trzech Persów; Hindusów zaledwie stu trzech przeżyło, poddając się najeźdźcom. Szach darował im życie i wcielił do oddziału jako tragarzy. Zdobywając z czasem zaufanie nowych panów, będą mogli służyć w perskim wojsku, a lepszy wszak los żołnierza niż eunucha. Toteż jeńcy z wyraźną ulgą zabrali się natychmiast do kopania zbiorowej mogiły dla poległych.

Mirdin spojrział na Roba. Jego oczy mówiły: „To jest jeszcze okropniejsze, niż sądziłem”. Rob miał podobne odczucia, ale pocieszał się myślą, że już po wszystkim. Mogą wracać do domu.

I wtedy właśnie zjawił się u nich Karim. Powiedział, że Chuff zabił hinduskiego oficera, którego miecz niemal przeciął na dwoje szeroką perską głownię. Karim przyniósł miecz Chuffa i pokazał im głęboką szczerbę. Zdobywczy hinduski oręż kuty w drobny falisty wzór nosił teraz szach. Ala osobiście uczestniczył w przesłuchiowaniu jeńców, dopóki nie dowiedział się od nich, że broń pochodzi z warsztatu niejakiego Wangalala z Kauszambi, wsi położonej o trzy dni drogi na północ od Mansury.

– Ala wydał rozkaz wymarszu do Kauszambi – powiedział Karim.

Szach chciał pojmać hinduskiego rzemieślnika i zabrać go do Isfahanu. Miał nadzieję, że dzięki jego mieczom podbije sąsiadów i przywróci Persji minioną świetność.

Łatwo było postanowić, trudniej wykonać.

Złożona z kilkudziesięciu zapadających się w piach drewnianych chat Kauszambi leżała na zachodnim brzegu Indusu. W osadzie był garnizon wojsk radży, lecz i tym razem udało im się uderzyć z zaskoczenia. Podkradli się lasem, który otaczał zewsząd przycupniętą nad samą rzeką osadę. Na widok napastników hinduscy żołnierze czmychnęli z posterunku jak stado spłoszonych małąp i znikli w gęstwinie.

Sądząc, że tchórzliwy nieprzyjaciel zapewnił mu łatwe zwycięstwo, Ala nie mierzając czasu, przystawił miecz do gardła jednemu z pojmanyh Hindusów i kazał się prowadzić do Wangalala. Płatnerz, żyłasty mężczyzna o krzaczastej siwej brodzie kryjącej pozbawioną wieku twarz, spojrział na Persów wzrokiem, w którym nie było zdziwienia. Zgodził się jechać do Isfahanu i pracować dla szacha pod warunkiem, że weźmie ze sobą żonę, dwóch synów i córki. Jeśli nie, mogą go od razu zabić. Ala zgodził się bez wahania. Załadowano również narzędzia i sporą ilość kęsów twardego indyjskiego żelaza.

Nim jednak opuścili wioskę, wrócili zwiadowcy z wieścią, że żołnierze radży nie uciekli, lecz okrążyli Kauszambi, zajmując pozycje w lesie i wzdłuż drogi.

Oczywiście nie mogli ich oblegać bez końca. Byli nie lepiej uzbrojeni niż ci w Mansurze i nie mieli żywności – musieliby polować, żeby jeść. Mogli jednak liczyć na posiłki i z pewnością rozesłali już gońców. Najbliższy godny tego miana garnizon, o jakim wiedzieli szpiedzy, znajdował się w Sehwanie odległym o sześć dni drogi.

– Trzeba będzie ich wykurzyć z tego lasu – rzekł Ala.

Żołnierzy podzielono na dziesięć pieszych drużyn liczących po pięćdziesięciu mężczyzn. Oddziały weszły między drzewa i rozpoczęły się łowy. Ilekroć dochodziło do spotkania, wywiązywała się zawzięta i krwawa walka.

Ala kazał wynosić z lasu poległych, żeby nieprzyjaciel nie mógł oszacować zadanych strat. Zwłoki układano w szarym kurzu na biegnącym przez wieś trakcie. Jeńców z Mansury znów zapędzono do kopania grobów. Pierwszym, kogo przyniesiono już na początku leśnej bitwy, był Dowódca Bram. Zginął od hinduskiej strzały, która trafiła go w plecy. Ten zdyscyplinowany, surowy żołnierz już za życia stał się legendą. W bliznach na jego ciele zapisana była jak w księdze historia wojen, które stoczył w służbie dwóch szachów. Przez cały dzień Persowie podchodzili do zwłok oficera, żeby oddać im cześć.

Śmierć Chuffa wyzwoliła w żołnierzach zimną zawziętość. Tym razem nie brali jeńców, głusi na wszelkie błagania. To z kolei wzmogło zajadłość Hindusów, świadomych, że nie mogą liczyć na łaskę. Walka toczyła się już nie o zwycięstwo, a o całkowite zniszczenie przeciwnika. Ostrza mieczy i strzały o szczyrbatych grotach bez ustanku wbijały się w ludzkie ciała przy wtórze niecichnącego wrzasku.

W ciągu dnia dwukrotnie znoszono rannych na polanę. Jeden z medyków pod silną eskortą szedł udzielić im pierwszej pomocy i zabrać opatrzonych do osady. Bitwa trwała trzy dni. Z trzydziestu ośmiu ranionych w Mansurze jedenastu umarło jeszcze przed wymarszem. Dalszych szesnastu nie wytrzymało trzydniowego pochodu do Kauszambi. Jedenastu przeżyło dzięki staraniom Mirdina i Roba. Teraz dołączyło do nich trzydziestu sześciu żołnierzy

okaleczonych w leśnej bitwie. Kolejnych czterdziestu siedmiu poległo.

Mirdin wykonał jeszcze jedną amputację, a Rob trzy. Raz nie musiał się trudzić, zeszył tylko skórę na kikucie ręki równo odciętej poniżej łokcia. Z początku zalewali rany oliwą, jak ich uczył Ibn Sina, lecz ostatniego dnia nie mieli już ani kropli. Rob przypomniał sobie, że balwierz używał na zranienia meteglinu. Wziął bukłak wina i przed założeniem opatrunku obmywał nim każdą świeżą ranę.

Ostatnia potyczka miała miejsce trzeciego dnia o świtaniu. Późnym rankiem odstawiono do Kauszambi nową partię rannych. Tragarze położyli w lazarecie przyniesione na noszach zwłoki owinięte w hinduski koc.

– Tylko rannych! – warknął na nich Rob.

Zerkali na niego spłoszeni. Nagle spostrzegł, że spod koca wystają buty Mirdina.

– Żołnierzy kładziemy na ulicy – wyjaśnił jeden z noszowych. – Ale że to hakim, przynieśliśmy go do hakima.

W drodze powrotnej wyskoczył na nich z gąszczy Hindus z toporem. Żołnierze rozsiekli go w jednej chwili, ale najpierw zdążył dosięgnąć medyka.

Rob zduszonym głosem wybąkał słowa podziękowań i odeszli.

Zostawszy sam, odsunął koc z głowy zabitego. To rzeczywiście był Mirdin. Twarz zastygła mu w wyrazie zaskoczenia i lekkiego żalu.

Rob delikatnie zamknął mu powieki i podwiązał końską szczękę. Poruszał się bezmyślnie, jak pijany. Od czasu do czasu szedł pocieszyć konających lub zająć się rannymi, potem wracał i siadał obok przyjaciela. Ucałował go w zimne usta, ale Mirdin już chyba tego nie czuł. Trzymając go za rękę Rob wiedział, że go już nie ma.

Odszedł. Z Bożą pomocą przedostał się do raju którymś z tych swoich mostów.

Po pewnym czasie pozostawił go wreszcie i wrócił do pracy. Przyniesiono żołnierza z okaleczoną prawą ręką. Jak w transie dokonał ostatniej w tej wojnie amputacji, odejmując dłoń tuż nad nadgarstkiem. Kiedy w południe wrócił do Mirdina, nad ciałem kłębiły się już muchy.

Zdjął koc. Ostrze topora całkiem rozplątało klatkę piersiową. Rob przyklęknął nad ogromną raną i rozchylił jej brzegi.

Nie czuł ani wiszącego w namiocie odoru śmierci, ani dolatującego z zewnątrz zapachu ciepłej, deptanej stopami trawy. Jęki rannych, brzęczenie much, dalekie odgłosy walki – wszystko umilkło. Znikł dojmujący ciężar bólu po stracie przyjaciela.

Oto sięgał w głąb ludzkiego ciała, dotykając serca.

60

Powrót

Rob obmył Mirdina, obciął mu paznokcie, uczesał go i owinał szalem modlitewnym, z którego wedle obyczaju odciął połowę frędzli. Potem odszukał Karima. Usłyszawszy o śmierci przyjaciela, Pers drgnął i zmrużył oczy jak uderzony w twarz.

– Nie dopuszczę, żeby leżał w zbiorowym grobie – powiedział Rob. – Rodzina zechce go zabrać do Maskatu, żeby spoczął wśród swoich, w uświęconej ziemi.

Wybrali miejsce u stóp głazu tak wielkiego, że słonie nie zdołałyby go poruszyć, a następnie dokładnie wymierzili krokami odległość do skraju drogi. Karim wykorzystał swoje przywileje do zdobycia pergaminu, pióra i atramentu; po wykopaniu grobu Rob naszkicował dokładny plan okolicy. W Isfahanie przerysuje go

na czysto i wyśle do Maskatu. Musiał zapewnić rodzinie niepodważalne świadectwo, że Mirdin nie żyje. W przeciwnym wypadku Fara, jako porzucona żona, nie mogłaby wyjść powtórnie za mąż. Tak stanowi żydowskie prawo, którego Mirdin go nauczył.

– Trzeba powiadomić szacha – powiedział.

Karim udał się do namiotu, w którym Ala z oficerami opijał zwycięstwo. Jednym uchem wysłuchał młodego medyka i odprawił go niecierpliwym gestem.

Rob poczuł gwałtowną falę nienawiści. Jeszcze tak niedawno, w grocie, nie kto inny, a właśnie szach nazywał ich czwórką przyjaciół.

Nie czekając dłużej, pogrzebali Mirdina. Gdy zasypywali grób, Karim szeptał muzułmańskie modlitwy. Rob nawet nie próbował zwracać się do jakiegokolwiek Boga. Mirdin zasługiwał na donośny *haszkawot*, lament pogrzebowy, i porządny *kadisz*. Do odmówienia *kadiszu* potrzeba było jednak dziesięciu Żydów, on zaś nie był nawet jednym z nich. Niemy i otępiały stał patrząc, jak ziemia zamyka się nad jego druhem.

Po południu w lesie nie było już żywych Hindusów. Mogli wracać do domu.

Nowym Dowódcą Bram szach mianował twardego weterana imieniem Farad i natychmiast rozległy się jego donośne ryki, którymi ponaglał zwijających obóz żołnierzy.

W atmosferze triumfu Ala przeprowadził bilans strat i zysków. Zdobył upragnionego hinduskiego płatnerza; w Mansurze stracił wprawdzie dwa słonie, lecz wiedli do Isfahanu dwadzieścia osiem nowych. Kolejne cztery młode zdrowe słonie mahutowie znaleźli w zagrodzie w Kauszambi. Były to zwierzęta robocze, nie bojowe, mimo to cenne. Drobne i mało wytrzymałe indyjskie konie nie przedstawiały dla Persów wartości. Co innego wielbłądy –

w Mansurze zagrabili niewielkie stado wspaniałych szybkich dromaderów, w Kauszambi zaś kilka tuzinów juczych. Ogólnie rzecz biorąc, szach miał powody do zadowolenia.

Z sześciuset ludzi, którzy wyszli z Isfahanu, stu dwudziestu poległo, a czterdziestu siedmiu było rannych – wielu zbyt ciężko, by mieli szansę przeżyć drogę powrotną. Nie można ich było wszakże pozostawić w splądrowanej osadzie. Posiłki z pewnością były już w drodze; zdybanego Persa mogła czekać znacznie gorsza śmierć.

Rob rozesłał żołnierzy po wszystkich chatach, by zbierali pedy, derki i wszelkie większe kawałki tkanin. Wiążąc nimi dwa drągi, robili nosze, na których mieli dźwigać rannych pojmani Hindusi.

Wyruszyli o świcie. Forsowny marsz do niestrzeżonej przeprawy zajął im trzy i pół dnia. W tym miejscu Indus był płytki, ale silny nurt już na wstępie porwał dwóch ludzi, którzy utonęli. Mahutowie ustawili powyżej brodu żywy falochron ze słoni, dowodząc, jak wszechstronnie da się wykorzystywać te zwierzęta.

Najpierw pomarli ludzie z ranami brzucha i klatki piersiowej oraz ten ranny w szyję, którego Mirdin ocalił z bitwy. Jednego dnia musieli pochować sześciu. Po dwóch tygodniach marszu wkroczyli do Beludżystanu i tam w polu rozbili pierwszy porządny obóz. Rob umieścił rannych pod zadaszeniem pełniącym rolę stodoły. Poszedł do Farada i poprosił go o posłuchanie u szacha. Nowy Dowódca Bram, przejęty swym stanowiskiem, dwukrotnie go odesłał. Na szczęście znalazł się Karim, który natychmiast zaprowadził przyjaciela do namiotu władcy.

– Zostało mi dwudziestu dwóch rannych, najjaśniejszy panie – oznajmił Rob. – Ale muszą leżeć, dopóki nie wydobrzeją, inaczej też umrą.

– Nie możemy tu na nich czekać. – Ali marzył się już triumfalny wjazd do Isfahanu.

– Wobec tego pozwól mi zostać z nimi.

Szach przyjrzał mu się bacznie.

– Dobrze – powiedział. – Ale nie zostawię tu obu medyków. Karim musi wracać z nami.

Rob kiwnął tylko głową.

Oddano mu pod komendę piętnastu Hindusów i dwudziestu siedmiu żołnierzy do ochrony i dźwigania noszy, a korzystając z okazji obarczono też pięcioma rannymi słoniami pod opieką dwóch mahutów. Karim wystarał mu się o dostateczny zapas ryżu. Nazajutrz o świcie obóz wypełnił się zwykłą gorączkową krzątaniną. Potem oddział wyszedł na szlak i wkrótce zniknął w oddali. Rob został sam ze swymi podopiecznymi i nagle stwierdził, że brakuje mu irytującego, lecz zarazem krzepiącego gwaru.

Odpoczynek od słońca, kurzu i ciągłego kolebania był dla rannych błogosławieństwem. Dwóch zmarło pierwszego dnia, jeszcze jeden czwartego, ale tych, którym hart ducha pomógł wykrzesać z siebie wolę przeżycia, decyzja o postojach ocaliła od śmierci.

Żołnierze byli wściekli. Ich towarzysze wkrótce mieli się znaleźć w Isfahanie, gdzie bezpieczni będą pławić się w glorii zwycięzców, gdy tymczasem oni wciąż ryzykowali życie. Drugiej nocy dwóch wymknęło się z obozu i więcej ich nie zobaczyli. Hindusi, bezbroni w obcym kraju, nie próbowali uciekać. Nie zrobili tego również pozostali żołnierze. Prędko do nich dotarło, że w wojennym rzemiośle każdy z nich naraża się na ciężkie rany. Poczuli wdzięczność do hakima, który zrezygnował z własnego bezpieczeństwa, by nieść pomoc takim jak oni.

Rob co rano wysyłał kilku na polowanie. Przynosili na ogół drobną leśną zwierzynę, którą oprawiano i duszono z ryżem. Dobrze odżywiani ranni z dnia na dzień odzyskiwali siły.

Słonie leczył tak samo jak ludzi: zmieniał opatrunki i przemywał rany winem. Olbrzymie zwierzęta spokojnie znosiły jego zabiegi, nawet gdy zadawał im ból, jak gdyby rozumiały, że to dla ich dobra. Tak samo dzielnie znosili je ludzie, choć rany ropiały i nieraz musiał je otwierać, żeby wyciąć martwiczą tkankę i spłukawszy winem, zaszyć ponownie.

W tym czasie dokonał pewnego odkrycia: niemal wszystkie obrażenia, które zalewali gorącą oliwą, goiły się źle. Wdawała się ropa, opuchlizna i gorączka; leczeni w ten sposób umierali w pierwszej kolejności. Tymczasem większość pacjentów, których opatrywał po wyczerpaniu się oliwy, przeżyła. Zaczął robić zapiski, podejrzewał bowiem, że to jedno spostrzeżenie może się okazać warte więcej od wszystkich zdobytych słoni. Wino też się już kończyło, lecz produkując ongiś sławetną driakiew, nauczył się, że w każdej wsi znajdzie się gąsiorek trunku. Dokupi go w drodze.

Gdy po trzech tygodniach zwinęli obóz, czterech rannych było już na tyle silnych, by utrzymać się w siodle. Dwunastu żołnierzy szło bez obciążenia, mogli więc się zmieniać przy noszach i odpoczywać w marszu. Rob przy pierwszej okazji sprowadził swoją małą karawanę z Korzennego Szlaku i ruszył okrężną drogą. Sarkali, powrót bowiem wydłużył się przez to o tydzień, ale niósł ze sobą znacznie mniejsze ryzyko niż ciągnięcie się w ogonie wojsk, które – w co nie wątpił – zostawiały za sobą opróżnione spichrze i palącą nienawiść.

Trzy słonie wciąż kulały, nie obciążali ich więc ładunkami. Pozostałe dwa niosły juki – i Roba, który wybrał sobie olbrzyma z gojącą się już trąbą, rad, że nie musi jechać na „tej suce”

Postanowił na przyszłość unikać wielbłądów. Zupełnie inaczej jechało się na szerokim grzbiecie słonia, który zapewniał wygodę, równowagę i zgoła królewski ogląd świata.

Przez tę wygodę miał za wiele czasu na myślenie. Pamięć Mirdina mąciła mu radość z oglądanych cudów – przelotu tysięcy ptaków, które zerwały się wszystkie naraz niczym burza piaskowa, płomienistych zachodów słońca czy zabawnych reakcji słoni, ot, jak tego, który zaczął zsuwać się ze skarpy, szybko więc przysiadł i zjechał na grubym zadku.

Władcy chętnie prowadzą poddanych na rzeź, myślał z goryczą. Przeżywa ją wielu ludzi małych, nieraz wręcz podłych. A równocześnie Bóg pozwala, by zginął człowiek o duszy świętego i umyśle wielkiego mędrca. Człowiek, który chciał poświęcić całe życie leczeniu i służbie bliźnim.

Jezusie, Allahu czy Ty, którego imienia Żydzi nie wymawiają, jak mogłeś dopuścić do takiej straty...?

Do stolicy dotarli późnym popołudniem. Ukazała mu się taka sama jak wówczas, gdy ujrzął ją po raz pierwszy – biała, rzeźbiona niebieskimi cieniami i podmalowana różowawym refleksem nagich wzgórz. Skierowali się prosto do maristanu, gdzie osiemnastu rannych przekazał pod opiekę lekarzom. Następnie udali się do Rajskiego Domu i tam pozbył się zwierząt, żołnierzy i jeńców. Nareszcie wolny, poszedł po swego kasztanka. Farad, nowy Dowódca Bram, który akurat był w stajniach, obruszył się na samą myśl, że stajenny miałby tracić czas na szukanie jednego wałacha w wielkim stadzie.

- Daj hakimowi innego wierzchowca – rozkazał.
- Chuff mi obiecał, że dostanę z powrotem tego samego konia – rzekł twardo Rob, jakby na gwałt szukał czegoś, co się nie zmieniło.
- Chuff nie żyje.

– To nie ma nic do rzeczy – warknął, zaskoczony własnym tonem. Wracał z rzezi, po której wciąż go mdliło, i miał ochotę się na kimś wyładować. – Chcę tego samego.

Farad znał się na ludziach, a w głosie medyka usłyszał wyzwanie. Na awanturze z nim niczego by nie zyskał, a wiele mógł stracić, wzruszył więc ramionami i odszedł.

Szukali kasztanka na tyle długo, że Rob zdążył się zawstydzić swojego uporu. Przyglądający mu się z dala Farad nie krył pogardy dla dziwaka, który gotów był się bić o tak nędzną chabetę.

W gęstniejącym zmierzchu kasztanek raźnie potruchtał do Jahudii.

Usłyszawszy hałasy w stajni, Maira wzięła ojcowski miecz, lampę i wyszła przed dom.

Wrócił...!

Rob wprowadzał do boksu rozsiodłanego już kasztanka. Obejrzał się; w nikłym świetle zobaczyła, jak zmizerniał. Wyglądał jak tamten chudy, na pół dziki chłopak, którego poznała w karawanie.

Przypadł do niej w trzech susach i przytulił bez słowa. Potem dotknął jej płaskiego brzucha.

– Jak poszło?

Zaśmiała się niepewnie. Jeszcze nie zdążyła dojść do siebie po porodzie. Gdyby wrócił pięć dni wcześniej, byłby świadkiem jej wrzasków.

– Twój syn rodził się dwa dni.

– Syn...

Pieszczotliwie objął jej twarz swoją wielką dłonią. Zachwiała się z ulgi; omal nie wylała oliwy z lampy. Płomień zamigotał, kryjąc łzy wzbierające jej w oczach. Pod jego nieobecność była twarda i mocna – jak rzemień. Dobrze było znów mieć przy sobie kogoś, komu może zaufać, kto zawsze ją obroni. Móc zmienić się z rzemienia w jedwab.

Odłożyła miecz, wzięła go za rękę i wprowadziła do domu. W wyścielonym kocem koszyku spało dziecko. Nagle zobaczyła je oczami Roba – małą ludzką istotkę z okrągłą główką obsypaną ciemnym puchem i czerwoną buzią jeszcze nabrzmiałą po trudnych narodzinach. Mógłby coś powiedzieć, zezłościła się w duchu na męża; nie wiadomo, czy się cieszy, czy trapi. Kiedy podniósł wzrok, na jego twarzy mieszała się radość i udręka.

– Jak Fara? – zapytał.

– Karim ją zawiadomił. Obchodziłam razem z nią siedmiodniową żałobę. Potem wraz z dziećmi przyłączyła się do karawany idącej do Maskatu. Z pomocą Bożą jest już pośród krewnych.

– Ciężko ci będzie bez niej.

– Jej jest ciężiej – powiedziała Maira gorzko.

Dziecko zakwiliło. Rob wyjął je z koszyka i podał mu mały palec, który niemowlę skwapliwie chwyciło.

Maira miała na sobie uszytą przez Farę luźną suknię z dekoltem ściągany tasiemką. Rozwiązała tasiemkę, wyjęła pełne piersi i wzięła synka na rękę. Kiedy zaczęła karmić, Rob ułożył się obok nich na macie. Wtulił twarz w drugą pierś i po chwili poczuła spływające po niej łzy.

Jej ojciec nigdy nie płakał. Widok szlochającego rozpaczliwie mężczyzny ją przeraził.

– Kochany mój... – szepnęła.

Wolną ręką nakierowała jego głowę, aż dotknął ustami sutka. Ssał delikatniej niż jego syn, a kiedy przełknął pokarm, poczuła wzruszenie splecione z rozbawieniem: choć raz to ona dała mu coś ze swego ciała. Pomyślała o Farze i czując wyrzuty sumienia podziękowała Maryi Dziewicy za to, że jej mąż wrócił.

Dwoje ust, jedno maleńkie, drugie duże i znajome, napełniło ją łaskoczącym ciepłem. Może to właśnie Matka Boża na chwilę

połączyła ich troje w jedno.

Rob usiadł, a gdy się pochylił, żeby ją pocałować, poznała z jego warg smak własnego mleka.

– Nie jestem Rzymianinem – powiedział.

Hakim

61

Nominacja

Rano w dziennym świetle Rob obejrzał synka i orzekł, że jest piękny. Dziecko było silne, miało ciemnoniebieskie oczy Anglika, duże dłonie i stopki. Namaszczone przez matkę, pachniało jak tłocznia oliwy. Rob ze wzruszeniem policzył paluszki u wszystkich kończyn i pobawił się krzywymi nieco nóżkami. Potem malec zapachniał mniej pięknie i Rob zmienił pieluszkę po raz pierwszy od czasu, gdy opiekował się rodzeństwem. W głębi ducha wciąż marzył, że je kiedyś odnajdzie. Z radością pokazałby bratanka dawno utraconym Cole'om.

Pokłócili się z Mairą o obrzezanie.

– To mu nie zaszkodzi – przekonywał Rob. – Każdy tu jest obrzezany, muzułmanin czy żyd. Dzięki temu łatwiej uznają go za swego.

– Nie chcę, żeby uznano go za swego w Persji – odparła ze znużeniem. – Chcę, żeby nikt mu się nie dziwował we własnym kraju, gdzie ludzi się nie przystrzyga, tylko pozostawia takimi, jakich stworzył ich Bóg.

Rob wybuchnął śmiechem, a Maira płaczem. Utulił ją i wkrótce wyszedł, spieszo mu bowiem było porozmawiać z Ibn Siną.

Księżę Medyków powitał go serdecznie, dziękując Allahowi za zachowanie go przy życiu. Westchnął ze smutkiem, wspominając

Mirdina, i uważnie wysłuchał relacji Roba o leczeniu rannych w dwóch bitwach. Szczególnie zainteresowała go różnica między skutecznością oliwy a wina do obmywania otwartych ran.

Rob stwierdził z radością, że Ibn Sinę bardziej obchodzi prawda niż własna sława. Choć spostrzeżenia jego ucznia zaprzeczały temu, co sam głosił, nalegał, aby Rob je opisał.

– Powinieneś wziąć zastosowanie wina na rany za temat pierwszego wykładu w madrasie. – Spojrzał bacznie na Roba i rzekł: – Chciałbym, żebyś pracował ze mną, Jesse ben Beniaminie. Jako mój przyboczny.

Rob nawet nie śmiał o tym marzyć. Chciał powiedzieć hakimbaszy, że przybył do Isfahanu z drugiego końca świata tylko po to, by dotknąć rąbka jego szaty. Ale skinął jedynie głową i wykrztusił:

– Bardzo bym tego pragnął.

Maira nie robiła mu wyrzutów. Poznała już Isfahan i nie wyobrażała sobie nawet, by jej mąż mógł odrzucić taki zaszczyt, zapewniający prócz przyzwoitego wynagrodzenia także spory prestiż, jakim cieszyli się współpracownicy Księcia Medyków czczonego niczym półbóg i kochanego bardziej niż władca.

– Zabiorę cię do domu, obiecuję. – Rob wziął ją w ramiona. – Ale jeszcze nie teraz. Proszę, zaufaj mi.

Skoro więc mieli zostać tu dłużej, musiała się jednak nagiąć do perskich obyczajów.

Niechętnie ustąpiła w kwestii obrzezania.

Rob udał się po radę do Netki Akuszerki.

– Chodź – powiedziała i zaprowadziła go dwie ulice dalej, do reba Aszera Jakobiego, mohela.

– Chcesz obrzezać syna... – rzekł do niego mohel i w zadumie obejrzał się na Netkę, przebierając palcami w brodzie. – Ale jego

matka to gojka...

– To nie musi być *berit* ze wszystkimi modlitwami – sarknęła zniecierpliwiona akuszerka. Sprowadziwszy na świat syna niewiernej, teraz gorąco stanęła w jego obronie. – Jeżeli ojciec prosi dla syna o pieczęć Abrahama, powinienes chwalić Boga, że możesz go obrzezać, prawda?

– Prawda... – przyznał reb Aszer i zerknął znów na Roba. – A gdzie twój ojciec? Czy będzie trzymał dziecko?

– Mój ojciec nie żyje.

Reb Aszer westchnął.

– A inni członkowie rodziny?

– Tylko moja żona. Nie mam w Persji rodziny. Dziecko będę trzymał sam.

– To podniosła chwila – wtrąciła łagodnie Netka. – Jeśli się zgodzisz, przyjdą moi synowie, Szemuel i Chofni, i paru sąsiadów...

Rob kiwnął głową na znak, że się zgadza.

– Zajmę się wszystkim – obiecała.

Nazajutrz przyszła pierwsza wraz ze swymi krępyimi milkliwymi synami. W ślad za nią pojawiła się straganiarka Hinda i jej mąż, Wysoki Izaak, siwobrody uczony o wiecznie zadumanych oczach. Hinda powitała Mairę bez uśmiechu, ale wręczyła jej podarek – powijaki dla dziecka. Szewc Jakub ben Raszi i jego żona Naomi przynieśli pękata fłaszę wina. Przybył też Mica Halewi, piekarz; jego żona Judyta taszczyła dwie wielkie chałki.

Rob drżącymi rękami położył sobie synka na kolanach. Mimo wszystko nie był pewien, czy Bóg nie skarze go na miejscu.

Reb Aszer ściął napletek z maleńkiego członka i podnosząc nieco głos, bo malec się rozkrzyczał, rzekł uroczyście:

– Niechaj rośnie w zdrowiu i sile dla dobrych uczynków...

Sąsiedzi wznieśli kubki z winem, a Rob nadał synowi żydowskie imię: Mirdin ben Jesse.

Dla Mairy każda chwila była udręką. Kiedy po godzinie sąsiedzi się rozeszli i zostali z dzieckiem sami, zamoczyła palce w jęczmiennym kleiku i lekko dotknęła czoła, brody i najpierw jednego, a potem drugiego uszka syna.

– Robercie Jakubie, ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – powiedziała głośno.

Malec otrzymał więc imiona ojca i dziadka. Gdy byli sami, często nazywała go obydwoma albo mówiła po prostu „mały Rob”.

Do Wielce Szanownego Reba Mulki Askariego, kupca perłowego z Maskatu:

Bądź pozdrowiony!

Mirdin Askari, niech spoczywa w pokoju, był moim przyjacielem. Służyliśmy obaj jako medycy w Indiach, skąd po jego śmierci przywiozłem te rzeczy, które przesyłam Ci dzięki życzliwości reba Moszego ben Zawila, kupca z Gomy, którego karawana wyrusza dziś z oliwą do Maskatu.

Reb Mosze odda Ci pergamin z dokładną mapą indyjskiej osady Kauszambi. Zaznaczyłem na niej grób, abyś jeśli zechcesz, mógł pewnego dnia sprowadzić jego kości. Przesyłam także tefilin, którymi co rano owijał ramię, a które dostał od Ciebie, kiedy mając lat czternaście wstępował do minjanu. Dołączam też figury i tablicę do gry szacha, nad którą spędziliśmy z Mirdinem niejedną szczęśliwą godzinę. Nie miał z sobą w Indiach nic więcej. Pochowaliśmy go w tałasie.

Modlę się, aby Bóg zesłał zrozumienie nam, pogrążonym w żałobie. Wraz z odejściem Mirdina zgasło światło w moim życiu. Był wspaniałym człowiekiem i szlachetnym towarzyszem. Jestem

pewien, że przebywa na łonie Pana, i mam tylko nadzieję okazać się godnym tego, by tam się z nim spotkać.

Racz złożyć ode mnie wyrazy przyjaźni i szacunku wdowie po Mirdinie i jego synom. Przekaż im, proszę, że moja żona powiła zdrowego syna, który będzie nosił imię Mirdin ben Jesse.

Niechaj Bóg Cię błogosławi i zachowa.

Jesse ben Beniamin

hakim.

Od lat przybocznym Ibn Siny był al-Dżuzdżani. Spośród wszystkich asystentów Pierwszego Medyka to on zyskał największą sławę jako uznany chirurg. Zresztą wszystkim im dobrze się wiodło. Ibn Sina ich nie oszczędzał, wymagał zarówno ciężkiej pracy, jak i dalszego pogłębiania wiedzy, czyniąc z nich mistrzów. Obowiązki Roba nie ograniczały się zatem do podawania narzędzi; Ibn Sina zastrzegł sobie co prawda ostateczną decyzję w trudniejszych przypadkach, ale młody hakim cieszył się jego zaufaniem i miał leczyć samodzielnie.

Rob czuł się szczęśliwy. Wygłosił w madrasie wykład o obmywaniu ran winem. Słuchaczy nie było wielu, bo tegoż ranka przyjezdny medyk z Reju mówił o miłości fizycznej. Hakimowie tłumnie uczęszczali na tego rodzaju prelekcje, co niezmiennie zdumiewało Roba. W Europie medycy nie zajmowali się sztuką kochania. Zaciekawiony, sam także wysłuchał wielu cennych nauk, dzięki którym – a może wbrew którym – jego małżeństwo było bardzo udane.

Maira szybko doszła do siebie po porodzie. Zastosowali się do wskazówek Ibn Siny, zachowując przez sześć tygodni wstrzemięźliwość. Oliwa i mieszanka miodu z kleikiem jęczmiennym, którymi mistrz radził nacierać srom młodej matki, istotnie działały cuda. Sześć tygodni co prawda zdało im się

wiecznością, ale kiedy minęły, Maira Ignęła do niego nie mniej namiętnie niż on do niej.

Kilka tygodni później zaczęła tracić pokarm. Byli zdumieni; dotąd miała go zbyt wiele, śmiała się, że mogłaby wyżywić pół świata. Nieraz czuła w piersiach bolesny ucisk, który ustępował dopiero, gdy nakarmiła dziecko. Teraz – zbyt szybko – rzeka mleka wyschła i Maira cierpiała fizyczne męki słysząc kwilenie głodnego synka. Musieli znaleźć mamkę. Rob wypytał się u akuszerki i dzięki ich pośrednictwu sprowadził brzydką, ale zdrową Ormiankę imieniem Priska, której pokarmu starczało i dla własnej córeczki, i dla synka hakima. Czterokrotnie w ciągu dnia Maira szła z malcem do warsztatu rymarskiego męża Priski, Dikrana, gdzie najadał się do syta. Na noc Priska przychodziła do nich i spała z obojgiem dzieci w drugiej izbie. Maira i Rob mogli więc bez przeszkód kochać się co noc, starając się robić to jak najciszej.

Zaspokojona i wyspana, Maira kwitła. Promieniowała z niej odzyskana pewność siebie. Zdawać się mogło, że mały krzykacz jest jej wyłącznym dziełem. Rob śmiał się i tym bardziej ją kochał.

W pierwszych dniach miesiąca *szaban* karawana Moszego ben Zawila wracając do Gomy znów zatrzymała się w Isfahanie. Kupiec przywiózł podarki od Mulki Askariego i jego synowej Fary. Fara przysłała małemu sześć koszulek uszytych tak starannie, że z każdego szwu biła serdeczna czułość. Mulka ofiarował Robowi grę szacha należącą ongiś do Mirdina.

Maira po raz ostatni zapłakała za Farą. Kiedy się uspokoiła, Rob ustawił figury na tablicy i nauczył ją gry szacha. Odtąd często grywali. Wbrew jego oczekiwaniom – ostatecznie była to wojenna gra dla mężczyzn – jego żona w lot opanowała zasady i zbijała mu figury, wydając okrzyki godne seldzuckiego rabusia. Jej nieprzeciętny talent do dowodzenia wojskiem w gruncie rzeczy

wcale go tak bardzo nie zdziwił, bo już dawno doszedł do wniosku, że Maira jest ponadprzeciętną niewiastą.

Karim nie zdołał się przygotować do ramadanu. Grzech posiadał go całego; sama myśl o zachowaniu czystości sprawiała mu fizyczny ból. Modlitwy i post nie zdołały przepędzić z jego myśli Despiny ani ugasić płonącego w nim pożądania. Ibn Sina chodził teraz wieczorami do meczetów, a nocą wieczerzał z mułłami i badaczami Koranu, okazji zatem nie brakowało; Karim bywał u Despiny jeszcze częściej niż dotąd.

W czasie ramadanu także szach miał więcej obowiązków i Karim po raz pierwszy od dawna wyrwał się do maristanu. Na szczęście Ibn Siny akurat nie było; wezwał go któryś z dworzan złożony gorączką. Karim źle się czuł w jego towarzystwie. Mistrz zawsze traktował go dobrze i sprawiedliwie, młodego hakima więc dręczyły wyrzuty sumienia.

Wizyta w szpitalu gorzko go rozczarowała. Uczniowie otoczyli go kołem jak dawniej, może nawet liczniej, bo był dla nich legendą. Równocześnie jednak stał się tu obcy. Nie znał żadnego z chorych. Ci, których kiedyś leczył, wyzdrowieli lub pomarli. Kiedyś czuł się tu jak król, dziś wahał się, pytał, błędził po omacku. Udało mu się nie zrobić z siebie błazna, ale zdał sobie sprawę, że jeśli nie znajdzie czasu na rzeczywistą praktykę, zdobyte z takim trudem umiejętności przypadną. Tymczasem Ala nie dawał mu tej możliwości, powtarzając, że czeka ich przyszłość tak wspaniała, iż medycyna przy niej blednie.

W tym roku nie brał udziału w biegu. Przytył i zaniedbał ćwiczenia, obserwował więc tylko chatir razem z szachem.

Pierwszy dzień święta Bairam wstał jeszcze gorętszy niż w zeszłym roku i tempo było dość wolne. Król ponowił obietnicę chylatu dla każdego, kto zdoła powtórzyć wyczyn Karima i przebiec

dwanaście okrążeń do ostatniej modlitwy, lecz jasne było, że nikt tego nie dokona.

W piątym okrążeniu liczyli się już tylko dwaj biegacze: Harat z Hamadanu i żołnierz imieniem Nafis Dżurdżis. W zeszłym roku obaj narzucili sobie zbyt szybkie tempo i obaj zasłabli. Dziś, chcąc się przed tym ustrzec, pobiegli za wolno.

Karim zagrzewał do walki młodego żołnierza, z którym przeżył wyprawę do Indii. Tak przynajmniej sądził szach; w istocie Karim lubił Nafisa, ale przed wszystkim nie chciał, żeby wygrał Harat. Harat, którego pogarda nie pozwalała mu zapomnieć, czym był dla Zakiego Omara.

Niedługo po wyjęciu ósmej strzały Nafis opadł z sił i pozostał tylko Harat. Popołudniowy upał był nie do zniesienia, toteż Harat dał znak, że dokończy dziewiąte okrążenie i upomni się o nagrodę.

Karim z szachem, którzy towarzyszyli mu konno, przyspieszyli teraz, by powitać biegacza na mecie chatiru. Karim odzyskał dobry humor widząc, że nieprędko ktokolwiek mu dorówna. Widzowie wykrzykiwali jego imię, sławiąc go jako bohatera wyścigu, a także wojownika z Mansury i Kauszambi. Szach uśmiechał się do niego serdecznie, a Karim wykrzesał w sobie dość wielkoduszności, by spojrzeć na Harata łaskawszym okiem. Ostatecznie był to tylko ubogi rolnik, a on miał wkrótce zostać wezyrem Persji.

Na dachu szpitala dostrzegł eunucha Wasifa, a przy nim drobną postać w kwefie. Uśmiechnął się, czując drgnienie serca. O ileż godniej prezentował się przed nią w jedwabiach, na cennym rumaku, niż słaniając się ze zmęczenia, brudny, ociekający potem, który zalewał mu oczy.

Obok Despiny jakaś kobieta z odkrytą, zarumienioną z gorąca twarzą zdjęła czarną chustę i potrząsnęła głową, jakby naśladując

konia, na którym jechał. Jej długie włosy rozsypały się na wietrze, a słońce rozpało w nich wszystkie odcienie złota i czerwieni.

– To niewiasta *zimiego*? Ta Europejka? – postyszał głos szacha.

– Tak, najjaśniejszy panie. Żona Jessego ben Beniamina.

– Tak też myślałem – mruknął Ala, przyglądając się stojącej na dachu kobiecie.

Karim pospiesznie zajął go rozmową o hinduskim kowalu i mieczach powstających w nowej kuźni za stajniami Rajskiego Domu.

62

Propozycja

Rob nadal rozpoczynał każdy dzień w synagodze. Robił to przede wszystkim dlatego, że przedziwna mieszanka płynących z zewnątrz żydowskich modłów z odmawianym w duchu chrześcijańskim pacierzem dawała mu spokój i siłę. Równocześnie jednak spłacał dług zaciągnięty u Mirdina.

Nie potrafił się przemóc, by wejść do Domu Syjonu, gdzie ongiś chadzał Mirdin. W Domu Pokoju uczeni Żydzi także zbierali się co dzień, by dyskutować o Prawie. Mógłby poprosić któregoś z nich, żeby wyłożył mu osiemdziesiąt dziewięć przykazań, których nie zdążył mu objaśnić Mirdin. Ale nie miał już do tego serca. Powiedział sobie, że fałszywemu Żydowi wystarczą pięćset dwadzieścia cztery, i uciekł myślą do innych spraw.

Ibn Sina zgłębił chyba całą dostępną wiedzę. Jako uczeń madrasy Rob czytał jego rozprawy medyczne, teraz jednak poznawał inne traktaty – o muzyce, poezji, astronomii, metafizyce, języku i rozumie – i coraz bardziej go podziwiał. Jego mistrz opatrzył komentarzem wszystkie pisma Arystotelesa, a ponadto, tkwiąc przed laty

w fardadżańskim lochu, napisał „Przewodnik” sumujący całą myśl filozoficzną. Będący jego dziełem podręcznik zatytułowany „Dowodzenie i zaopatrzenie żołnierzy, oddziałów niewolniczych i armii” niewątpliwie byłby się przydał Robertowi przed wyprawą do Indii w roli wojskowego medyka. Ibn Sina pisał o matematyce, duszy i istocie smutku. A także o wierze, którą wyniósł z domu i którą mimo swej rozległej wiedzy wyznawał całym sercem.

Dlatego go kochano. Ludzie bowiem widzieli, że choć cieszy się bogactwem i łaskami szacha, chociaż mędracy i możni zjeżdżają się z całego świata, prosząc, aby użyzył im swej mądrości, chociaż nawet dla władcy miano jego protektora jest zaszczytem, Ibn Sina jak najnędzniejszy z nędznych unosi wzrok do nieba i woła: *La ilaha illa l'lah*. Nie ma Boga prócz Niego.

Co rano przed pierwszą modlitwą gromadziły się przed jego domem setki osób. Byli tam żebracy, mułłowie, pasterze, kupcy – ludzie wszelkiego stanu. Książę Medyków wynosił dywanik modlitewny i oddawał cześć Bogu wraz z nimi, a gdy jechał do maristanu, szli przy jego koniu, sławiąc Proroka i recytując wersety Koranu.

Wiezorami często zbierali się u niego uczniowie. Od ćwierci wieku raz w tygodniu al-Dżuzdżani czytał na głos dzieła Ibn Siny, najczęściej słynny „Kanon”. Czasem również Rob odczytywał fragmenty książki „O uzdrawianiu”. Toczyli potem żywe dyskusje przy winie, często gorące, nieraz dowcipne, a zawsze pouczające.

– W jaki sposób krew dociera do palców? – powtarzał czyjeś pytanie al-Dżuzdżani, wznosząc oczy ku niebu w udawanej desperacji. – Czyżbyś zapomniał, co pisze Galen? Serce ją tłoczy.

– Ha! – wpadał mu w słowo Ibn Sina. – Podobnie jak wiatr pcha żaglowce. Tylko jak znajdują drogę do Bahrajnu?

Wychodząc, Rob często widywał olbrzymiego eunucha w cieniu przy drzwiach do południowej wieży. Któregoś wieczoru przeszedł się na pola za posiadłością i nie zdziwił się, ujrawszy uwięzianego w chaszczach nerwowego siwego araba. Wiedział, czyj to koń. Wracając po własnego kasztanka zerknął ku wąskim oknom komnaty na wieży. Migotało w nich żółte światło. Bez zazdrości czy żalu przypomniał sobie, że Despina lubi miłosne igraszki w blasku sześciu świec.

Ibn Sina zwracał mu uwagę na niewyjaśnione jeszcze tajemnice bytu.

– Jest w nas jakby odrębna istota; jedni zwą ją umysłem, inni duszą, a ma ona ogromny wpływ na nasze ciała i zdrowie. Pierwszy dowód na jej istnienie zdobyłem za młodu w Bucharze. Zainteresowałem się wówczas tętnem i przy każdej okazji prowadziłem badania, których wyniki opisałem później w traktacie „O pulsowaniu krwi”. Miałem pacjenta, młodzieńca w moim wieku imieniem Ahmed. Chudł i tracił apetyt. Jego ojciec, zamożny bucharski kupiec, bał się o niego i błagał mnie o pomoc. Zbadałem Ahmeda, lecz nie znalazłem w nim żadnej choroby. Zanim jednak odszedłem, ująłem go za przegub, żeby zbadać puls. Gawędziliśmy o okolicach Buchary. Zaobserwowałem wówczas coś bardzo dziwnego: jego tętno, słabe i równe, przyspieszyło gwałtownie, kiedy wspomniałem moją rodzinną wieś Afsane. Zmiana była tak silna, że aż się przeraziłem. Zacząłem wymieniać kolejne uliczki. Puls stopniowo się uspokajał, lecz przy zaułku Jedenastego Imama znów przyspieszył i stracił rytm. Nie pamiętałem już wszystkich rodzin mieszkających przy tej uliczce, zadawałem więc kolejne pytania i uzyskałem od Ahmeda informację o niejakim Ibn Razim, który zajmuje się obróbką miedzi i ma trzy córki. Najstarsza z nich, Ripka, była bardzo piękna. Kiedy Ahmed o niej mówił, miałem wrażenie,

że w jego przegubie trzepocze się zraniony ptak, usiłując się wyrwać na wolność... Powiedziałem jego ojcu, że zdrowie syna zależy od małżeństwa z ową Ripką. Posłał swaty i wkrótce odbył się ślub. Kiedy spotkałem Ahmeda kilka lat później, był tęгим, zadowolonym z życia mężczyzną.

Książę Medyków sięgnął po puchar, by przepłukać gardło.

– Galen pisze – podjął – że serce i wszystkie arterie pulsują tym samym rytmem, a zatem zbadawszy jedną, można wydać sąd o wszystkich. Powolne i miarowe tętno jest oznaką dobrego zdrowia. Ale od czasów Ahmeda przekonałem się wielokroć, że można na jego podstawie orzec, czy człowiek jest spokojny czy wzburzony. To pewny zwiastun, który nigdy nie kłamie.

Rob dowiedział się w ten sposób, że gdy bierze pacjentów za ręce, by dzięki swemu darowi ocenić ich siłę życia, może wykorzystać dodatkowy wskaźnik ich stanu i nastroju. Okazji nie brakowało: zrozpaczeni chorzy tłoczyli się u drzwi Księcia Medyków oczekując cudownego uzdrowienia. Ibn Sina nie robił różnicy między bogatymi i biednymi, ale nawet z pomocą Roba nie mógł przyjąć wszystkich. Resztę kierowano do innych medyków.

Wiele czasu zajmowała mistrzowi opieka nad Rajskim Domem – poczynając od szacha, a kończąc na najbardziej cenionych z jego sług. Któregoś ranka posłał Roba do Siddhy, żony hinduskiego pługnerza, która dostała ataku kolki.

Rob poprosił znajomego mahuta Harszę, by posłużył mu jako tłumacz. Siddha była miłą siwiejącą niewiastą o krągłych policzkach. Czczyła Budę, nie dotyczył jej więc aurat i Rob mógł obmacać jej brzuch bez obawy, że popełni występki przeciw muzułmańskim prawom. Brzuch był miękki, dalsze badanie też nie wykazało żadnych niepokojących objawów, doszedł więc do wniosku, że ból musi wynikać z zaburzeń trawiennych.

Od Harszy dowiedział się, że pałacowy intendent wydziela im za mało kminku, kurkumy i pieprzu, do których Hindusi przywykli od dziecka. Rob zadbał, by odtąd dostawali ich więcej. Już wcześniej, lecząc ranne słonie, zdobył uznanie mahutów; teraz do grona ludzi mu oddanych dołączył płatnerz Wangalal.

Odwiedził go raz z Mairą i synkiem w nadziei, że wspólne problemy obcokrajowców w Persji mogą się stać fundamentem przyjaźni. Tym razem jednak bariera okazała się dla kobiet zbyt wysoka; nie zaiskrzyła między nimi nic porozumienia, jaka ongiś połączyła Mairę z Farą. Przyglądały się sobie z zakłopotaniem, a Maira z wysiłkiem omijała wzrokiem okrągłe czarne znamię na czole Siddhy.

Odtąd Rob wpadał do kuźni sam, przyglądając się zafascynowany temu, co robił w niej Wangalal.

Nad płytkim dołem w ziemi zbudował dymarkę o glinianych ścianach obudowanych z zewnątrz kamieniami spojonymi gliną. Opasywały ją dodatkowo obręcze z silnych młodych drzewek. Piec sięgał ramion dorosłego mężczyzny, miał średnicę jednego kroku u podstawy i zwężał się nieco ku górze, aby skupić żar. Wangalal wytapiał w nim żelazo, układając na przemian węgiel drzewny i perską rudę w grudkach nie większych od orzecha. Wokół pieca wykopany był płytki rów. Płatnerz siadał, spuszczał nogi do rowu i uruchamiał miechy ze zdartej w całości koziej skóry, miarowo wprowadzając powietrze do paleniska. W najgorętszym miejscu z rozżarzonej masy wytapiał się metal i ściekał kropla po kropli na dno pieca. Po ostygnięciu Wangalal rozbijał gliniany czop i wydobywał z dymarki silnie zanieczyszczone łupy. Należało je teraz dopiero oczyścić przez wielokrotne kucie. Był to długotrwały proces, w którym sporo żelaza szło na marne.

Uzyskany metal był kowalny, lecz miękki, jak dowiedział się Rob przez tłumacza. Wangalal łączył go z twardszym żelazem, które przywiózł w sztabach z Kauszambi. Stopione i wystudzone stawało się kruche; kowal rozbijał je na drobne odłamki i rozdmuchiwał ogień w kuźni.

Teraz chudy Hindus o mięśniach jak węzowe sploty brał w jedną rękę cęgi, w drugą młot i uwijał się jak szalony między paleniskiem a kowadłem. Rozgrzewał kawałki twardych sztab oraz świeżo wytopione kęsy, zbijał je razem, znów grzał, rozkuwał je na blachę, którą składał na pół i na czworo, jakby miesił glinę lub ciasto, rozgrzewał, walił młotem, znów zwijał i znów kuł.

Rob przyglądał się temu z podziwem. On sam nie zdołałby się chyba nauczyć tak złożonego kunsztu, prócz siły wymagającego wyczucia i wiedzy, którą hinduscy kowale przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie. Zasypując Wangalala pytaniami, zyskał jednak jakieś takie pojęcie o istocie przemian zachodzących w metalach.

Był świadkiem powstawania krzywej szabli, którą Wangalal zahartował na koniec w cedratowym occie zmieszonym z sadzą. Gotowa klinga miała przydymiony niebieskawy odcień i mieniła się warstewkami połączonych metali. Wykonana z miękkiego żelaza byłaby tępą; z twardego – krucha. Skuty razem bułat dawał odpowiednią giętkość i ostrze zdolne przeciąć nić w powietrzu.

Broń zamówiona przez szacha była nieozdobna, nie miała bowiem służyć królom, lecz żołnierzom. Czekąca na przyszłą wojnę, w której pozwoli perskim wojskom pokonać nieprzyjaciół i odnowić imperium.

– Za kilka tygodni braknie mu hinduskiej stali – zauważył pewnego dnia Harsza.

Pomimo to kowal chciał odwdziżyć się hakimowi za to, co zrobił dla jego żony i rodaków. zaproponował, że wykuje mu sztylet. Rob odmówił; ostrza Wangalala uzekały swą urodą, lecz on nie zamierzał poświęcić się zabijaniu. Po chwili zmieszany rozwiązał sakwę i pokazał Hindusowi swoje noże chirurgiczne, w tym dwa używane do amputacji – jeden cienki i zakrzywiony, drugi masywny, ząbkowany, do piłowania kości.

Płatnerz uśmiechnął się szeroko, ukazując szczyrby po zębach, i pokiwał głową.

Tydzień później wręczył Robowi pieczołowicie wykonane noże z doskonałej stali o ostrzach tak cienkich, jakich dotąd nie widział. Rob uświadomił sobie, że nie zdążą się stępić za jego życia. Był to królewski dar, za który powinien się hojnie odwdziżyć, w tej chwili jednak był zbyt przejęty, aby o tym myśleć. Nie znając hinduskich słów, porwał kowala w objęcia. Widząc jego radość, Wangalal także rozpromienił się w jej blasku. Razem naoliwili noże, każdy z osobna owinęli szmatką i Rob starannie umieścił je w sakwie.

Wyjeżdżając natknął się na szacha, który wracał z łowów. W prostym myśliwskim stroju wyglądał tak samo jak wtedy, gdy Rob ujrzął go po raz pierwszy.

Medyk zatrzymał konia i skłonił się nisko w nadziei, że go miną, lecz chwilę później przykłusował do niego Farad, Dowódca Bram.

– Jego wysokość cię wzywa – oznajmił i zawrócił konia.

Rob pojechał za nim.

– Dotrzymaj mi przez chwilę towarzystwa, *zimmi*. – Ala dał znak świcie, by została z tyłu, i ruszył stępą w stronę pałacu. – Nie nagrodziłem cię za twoje zasługi w Indiach.

Rob był zaskoczony. Wyprawa przeszła już do historii; kilku oficerów awansowano, żołnierze dostali złoto, Karim wspiał się tak

wysoko, że lada dzień oczekiwano jego nominacji na któreś z najwyższych stanowisk w państwie. Rob starał się zapomnieć o wojennych przeżyciach, rad, że i o nim zapomniano.

– Mam zamiar obdarzyć cię nowym chylatem obejmującym większy dom i włości, w których mógłbyś mnie podejmować.

– To zbytek łaski – odparł Rob oschlej, niż zamierzał. – Udziałem w wyprawie spłaciłem ledwie część długu, jaki mam wobec ciebie, najjaśniejszy panie.

Taktowniej uczyniłby mówiąc o miłości do monarchy, lecz jakoś nie mógł się na to zdobyć. Zresztą Ala i tak nie słuchał.

– Zasługujesz na nagrodę – powtórzył.

– Proszę więc, by mój władca pozwolił mi w nagrodę pozostać w moim domku. Żyję tam wygodnie i szczęśliwie.

Szach przez chwilę patrzył nań twardym wzrokiem. Potem skinął głową.

– Możesz odejść, *zimmi* – warknął. Wbił pięty w boki białego wierzchowca, który zerwał się do galopu. Eskorta ruszyła za nim, z łomotem kopyt wyprzedzając Roba.

Pogrążony w myślach zawrócił do domu, by pokazać Mairze nowe narzędzia.

63

Szpital w Izadzu

Tego roku zima była wczesna i ostra. Któregoś ranka szczyty gór zbieleły, a już nazajutrz silny zimny wicher zasypał Isfahan śniegiem zmieszany z drobnym słonym piaskiem. Straganiarze nakrywali towar płachtami i czekali wiosny. Okutani w grube, sięgające kostek kaby, kulili się nad koszami z żarem, rozgrzewając plotkami z pałacu. Wybryki Ali częściej budziły chichot niż

zgorzenie, lecz po ostatnim skandalu twarze poddanych krzywiły się nie tylko z zimna.

Rozdrażniony codziennym pijaństwem i rozpustą szacha Kandrasa wysłał swego przybocznego i druha, mułłę Musę ibn Abbasa, by przypomniał władcy, że Prorok zakazał picia mocnych trunków, które obmierzłe są Bogu.

Przyjmując go, Ala miał już w sobie morze wina. Z powagą wysłuchał Musy. Wychwyciwszy w jego słowach ton ostrożnej nagany, wstał z tronu i zbliżył się do starca.

Nie wiedząc, co począć, Musa mówił dalej. Król tymczasem skinieniem kazał sobie podać dzban wina i nie zmieniając wyrazu twarzy, jął polewać nim głowę mułły. Wysłuchawszy w ten sposób napomnień i opróżniwszy dzban, wzgardliwym gestem odprawił mokrego i upokorzonego wysłannika.

Obraza świętego męża wymierzona była pośrednio w całe isfahańskie duchowieństwo i dla wielu stanowiła dowód, że dni Kandrasy jako wezyra są policzone. Mułłowie przywykli już do wpływów i przywilejów, jakie mu zawdzięczali, toteż nazajutrz we wszystkich meczetach miasta usłyszano posępne proroctwa co do przyszłości kraju.

Karim przyszedł się naradzić w tej sprawie z Ibn Siną.

– W głębi duszy nie jest zły. Potrafi być dobrym kompanem, bezinteresownym i serdecznym. Widziałeś go w Indiach, Jesse – zwrócił się do Roba, który był obecny przy tej rozmowie. – To dzielny wojownik. Ma wielkie ambicje, ale to dlatego, że pragnie potęgi Persji.

Słuchali w milczeniu.

– Próbowałem go powstrzymać od picia, ale... – Karim spojrział na nich żałośnie.

Ibn Sina westchnął.

– Najbardziej agresywny będzie rano, dopóki nie pozbędzie się mdłości po wypitym winie. Podawaj mu napar z senesu, który oczyszcza ciało z trucizn i uśmierza ból głowy. Potem posyp jądro sproszkowanym armeńskim kamieniem leczącym melancholię. Niestety nikt nie obroni go przed nim samym. Kiedy pije, staraj się go unikać. – Stary medyk ze smutkiem popatrzył na Karima. – I strzeż się chodząc po mieście. Jako faworyt szacha jesteś powszechnie uważany za głównego rywala Kandrasy. Masz więc potężnego wroga, który nie cofnie się przed niczym, aby zamknąć ci drogę do władzy.

– I pilnuj, żeby twoje życie było bez zarzutu – wtrącił Rob patrząc Karimowi prosto w oczy. – Wrogowie wykorzystają każdą twoją słabość.

Pamiętał, jak brzydził się sam sobą, przyprowadzając mistrzowi rogi. Znał Karima; wiedział, że ma dobre serce i choć kocha Despinę, musi cierpieć podobnie.

Karim skinął powoli głową. Żegnając się, z uśmiechem podał mu rękę. Rob także się uśmiechnął – jak zawsze. Karim zachował nieodparty urok, choć stracił dawną bez troskę. Twarz miał ściągniętą napięciem, na dnie oczu czaił się lęk. Rob odprowadził go współczującym spojrzeniem.

Za to niebieskie oczka małego Roba patrzyły na świat bez trwogi. Próbował już raczkować i wprowadził rodziców w dumę, gdy nauczył się pić z kubeczka. Za radą Ibn Siny zaczęli go karmić wielbłądzim mlekiem, stanowiącym ponoć najzdrowszy pokarm dla dziecka. Miało silny, niezbyt przyjemny zapach i pływały w nim żółte grudki zbrylonego tłuszczu, ale malec rzucał się na nie żarłocznie. Podziękowali więc mamce i odtąd Rob codziennie rano nosił w kamiennym dzbanie mleko z ormiańskiego targu. Priska, zawsze z którymś z dzieci na kolanach, wołała doń ze straganu rymarza:

– Panie *zimmi!* Jak się miewa mój chłopaczek? – po czym uśmiechała się promiennie, gdy zapewniał, że dziecko ma się dobrze.

Przenikliwy mróz przysparzał im pacjentów z katarą, bólem kości, zapalnym obrzmieniem stawów. Pliniusz Młodszy pisał, że katar przechodzi po ucałowaniu włochatego pyszczka myszy, ale Ibn Sina uważał go za szarlatana. Miał własne lekarstwo na przeziębienia i reumatyzm. Nauczył Roba mieszać po dwa dirhamy bobrowego skromu, galbanu, wonnej i cuchnącej asafetydy, nasion selera, kozieradki, kotewki, ruty, słodkiej mirry i pestek z dyni. Suche składniki należało utłuc, żywice moczo no przez noc w oliwie i potem ucierano, następnie zalewano ciepłym odcedzonym miodem i mieszano z ziołowym proszkiem. Maść trzeba było przechowywać w polewanym garnku.

– Podaje się jeden miskal – mówił Ibn Sina. – Z Bożą pomocą skutkuje.

Rob odwiedzał stajnie słońi, gdzie smarkali i kaszleli mahutowie, źle znoszący zimę znacznie ostrzejszą od hinduskich. Leczył ich dymnicą, szałwią i maścią Ibn Siny, lecz efekty były mierne; bardziej by im chyba pomogła balwierska driakiew. Słonie także straciły wiele majestatu obwieszane kocami, w których wyglądały jak namioty.

Przystanął z Harszą patrząc, jak Zu, wielki słoń szacha, żre siano.

– Biedne moje dzieci – rzekł cicho Harsza. – Przed Buddą, Brahmą, Wisznu i Sziwą słonie były wszechmocne i do nich ludzie się modlili. Teraz znalazły się o tyle niżej bogów, że chwytamy je i zmuszamy, by nam służyły.

Zu zadygotał. Widząc to, Rob kazał Harszy grzać mu wodę do picia. Hindus spojrział nań z powątpiewaniem.

– Wyprowadzamy je do pracy i radzą sobie dobrze mimo zimna.

Ale Rob sporo dowiedział się o słońcach w bibliotece madrasy.

– Słyszałeś o Hannibalu? – spytał.

– Nie – przyznał mahut.

– Był wielkim wodzem.

– Tak wielkim jak szach?

– Co najmniej, ale żył w dawnych czasach. Przeprowadził swoją armię przez wysokie strome góry pokryte śniegiem i lodem. Miał trzydzieści siedem słoń i nie stracił ani jednego. Ale chłód i wspinaczka osłabiły je i później w znacznie niższych górach trzydzieści sześć padło. Z tego wniosek, że musicie je oszczędzać i trzymać w ciepłe.

Harsza skinął głową z szacunkiem.

– Czy wiesz, hakimie, że ktoś cię śledzi? – spytał, a widząc zdumienie Roba, dodał: – Siedzi tam, w słońcu.

Pod ścianą stajni kulił się przed wiatrem jakiś człek w grubej kabie.

– Jesteś pewien?

– Tak, hakimie. Już wczoraj za tobą chodził. Teraz też nie spuszcza cię z oka.

– Czy po moim odejściu możesz ostrożnie pójść za nim i dowiedzieć się, kim jest?

– Oczywiście, hakimie! – Oczy Harszy zabłyśły.

Późnym wieczorem odwiedził Roba w Jahudii.

– Ten człowiek szedł za tobą do samego domu, panie, a później zawrócił w stronę Meczetu Piątkowego. Kroczyłem za nim jak cień; w potrzebie umiem stać się niewidzialny. Wszedł do domu przy meczecie w tej swojej podartej kabie, a po kilku chwilach zjawił się znów w dobrych czarnych szatach i udał się do świątyni na ostatnią modlitwę. To muła, hakimie.

Rob podziękował mu i zamyślił się głęboko. Mułta bez wątpienia był szpiegiem Kandrasy. Widziano, jak Karim się z nim spotykał. Pewnie chcieli sprawdzić, jak blisko Rob jest związany z kandydatem na nowego wezyra.

Najwyraźniej uznali, że nie jest groźny, bo nazajutrz nikt go nie śledził, a choć odtąd rozglądał się uważnie, nie dostrzegł żadnych „cieni” także w następnych dniach.

Chłód trzymał, lecz powoli zbliżała się wiosna. Śnieg bielił już tylko wierzchołki sinych gór, a w ogrodzie nagie gałęzie drzewek morelowych najeżyły się małymi kulistymi pączkami.

Któregoś ranka dwóch żołnierzy wezwało Roba do Rajskiego Domu. Po zimnej kamiennej sali snuły się grupki skostniałych dworzan. Karima wśród nich nie było. Szach siedział przy stole nad kratą w podłodze. Kiedy Rob padł przed nim na twarz, skinieniem nakazał mu usiąść. Pod grubą filcową narzutą nogi Roba owionęło rozkoszne ciepło.

Figury były już ustawione i Ala bez słowa zrobił pierwszy ruch. Po pewnym czasie rzucił tylko:

– No, no, *zimmi*, stałeś się wygłodniałym kotem!

Istotnie, Rob nauczył się atakować. Szach grał z marszem na twarzy, nie odrywając oczu od tablicy. Rob wysunął dwa słońce i prędko dokonał wyłomu w szeregach władcy, zbijając wielbłąda, konia, gońca i trzech piechurów. W sali zapadła pełna napięcia cisza. Dworzanie dyskretnie obserwowali grę – jedni przerażeni, inni zachwyceni myślą, że ten cudzoziemiec i innowierca lada chwila pokona szacha.

Ala był jednak doświadczonym strategiem. Podczas gdy Rob już zaczął się wbijać w dumę, poświęcił jeszcze parę pionów i wciągnął go w zasadzkę, a następnie wykorzystał dwa słońce na planszy lepiej niż Hannibal swoje trzydzieści siedem. Rob, choć stracił słońce

i konnych, wciąż stawiał zawzięty opór, przywołując w pamięci wszystko, czego nauczył go Mirdin. Minęło jeszcze trochę czasu, nim dostał *szatrandż*. Dworzanie powitali zwycięstwo szacha pochlebnymi okrzykami.

Zadowolony, Ala zdjął z palca ciężki złoty pierścień i włożył go w prawą dłoń Roba.

– A chylat i tak dostaniesz – powiedział. – Musisz mieć dom na tyle duży, by wyprawić przyjęcie na moją cześć.

I zaprosić cię do haremu, pomyślał Rob. Do Mairy...

Obecni wielmoże nastawili uszu.

– Z dumą i wdzięcznością będę nosił ten pierścień, najjaśniejszy panie – odparł. – Co się zaś tyczy chylatu... Okazałeś mi dostateczną hojność, mój królu. Z radością pozostanę w swoim domu.

Mówił z uszanowaniem, lecz jeszcze zbyt stanowczo i nie dość szybko spuścił oczy. Na dodatek wszyscy usłyszeli, co odpowiedział władcy.

Nazajutrz rano jego słowa dotarły do Ibn Siny. Nie darmo Pierwszy Medyk dwukrotnie był wezyrem. Miał w Rajskim Domu kilku informatorów, od których się dowiedział o krnąbrności swego protegowanego.

Jak zawsze w krytycznych chwilach usiadł i zamyślił się głęboko. Wiedział, że jego osoba błyszczy w perskiej stolicy niczym klejnot; dzięki niej Ala może się równać z kalifami Bagdadu jako światły władca i opiekun nauk. Znał jednak granice swoich wpływów; jego wstawiennictwo nie ocali Jessego ben Beniamina.

Ala przez całe życie pragnął nieprzemijającej sławy. Teraz przygotowywał się do wojny, która miała mu przynieść nieśmiertelność lub strącić w otchłań zapomnienia. Nie mógł pozwolić, by ktokolwiek sprzeciwiał się jego woli.

Jesse ben Beniamin zapłaci za to głową.

Możliwe, że już wysłano za nim skrytobójców. Mógł też zostać zatrzymany, postawiony przed sądem i skazany w majestacie islamskiego prawa. Ala był zręcznym politykiem, wyciągnąłby z tej egzekucji wszelkie możliwe korzyści.

Ibn Sina znał go od lat, wiedział, jak rozumuje. Wiedział zatem również, co sam musi zrobić.

Zaraz z rana wezwał wszystkich szpitalnych medyków.

– Doszły mnie wieści, że w Izadżu jest wielu chorych w zbyt ciężkim stanie, żeby znieśli podróż do Isfahanu – rzekł zgodnie z prawdą. – A zatem – zwrócił się do Jessego – musisz jechać do Izadżu i urządzić tam maristan.

Uzgodnili, jakie zioła i leki musi ze sobą zabrać, a jakie znajdzie na miejscu. Ibn Sina przekazał mu to, co wiedział o chorych w Izadżu, po czym młody medyk pożegnał się, wsiadł na konia i odjechał, prowadząc za sobą objuczonego osła.

Izadż leżał na południu, oddalony o trzy dni uciążliwej jazdy. Zorganizowanie szpitala zajmie mu co najmniej dalsze trzy dni. Ibn Sina miał dość czasu, by przeprowadzić swój zamiar.

Nazajutrz po południu wybrał się samotnie do Jahudii, do domu swego przybocznego. Otworzyła mu kobieta z dzieckiem na ręku. Na widok Księcia Medyków po jej twarzy przemknęło zdumienie i zmieszanie, lecz skłoniła się wdzięcznie i zaprosiła go do środka. Dom był niebogaty, lecz czysty i wygodnie urządzone. Na ścianach wisały zasłony z prostych tkanin, podłogę zaścielały tkane chodniki. Z godnym pochwałą pośpiechem gospodyni postawiła przed nim glinianą misę pełną sezamowych ciasteczek i różany szербet z kardamonem.

Nie przewidział jednego: że nie zna języka. Kiedy do niej przemówił, szybko się przekonał, że jej zasób perskich słów dałoby się zliczyć na palcach jednej ręki.

Przyszedł po to, żeby ją przekonać. Chciał jej powiedzieć, że gdy poznał umysł i duszę rosnącego młodego cudzoziemca, zapragnął go tak, jak skąpiec pragnie skarbu, a mężczyzna kobiety. Pragnął go dla medycyny, ponieważ sam Bóg stworzył go na uzdrowiciela.

– Będzie jaśniał jak słońce. Już się wznosi, ale jeszcze za wcześnie, trzeba mu więcej czasu...

Bezradnie rozpostarł ręce.

– Wszyscy królowie są szaleni – podjął z rozpaczą. – Mając władzę absolutną, równie łatwo jest odebrać komuś życie, jak obsypać go złotem. Ale jeśli uciekniecie, w głębi ducha zawsze będzie cię winił. Przyjechał przecież z tak daleka, tyle ryzykował... Wiem, że nie jest Żydem.

Patrzyła na niego z rosnącym napięciem. Powtórzył to samo po hebrajsku. Nie zrozumiała. Turecki i arabski również mu się nie przydały. Ibn Sina był filologiem i lingwistą, lecz uczył się tylko tych języków, które były mu potrzebne do studiowania ksiąg. Zagadnął ją po grecku, bez skutku. W końcu przeszedł na łacinę. Zamrugnęła i lekko skłoniła głowę.

– *Rex te venire ad se vult. Si non, maritus necabitur.* Król chce, żebyś do niego przyszła. Jeśli nie pójdziesz, twój mąż zginie.

– *Quid dicas?* Co mówisz? – zapytała.

Powtórzył wolniej.

Dziecko na jej rękach zaczęło się wiercić, ale kobieta nie patrzyła na nie. Wbiła wzrok w Ibn Sinę. Jej pobladła twarz była jak z kamienia, ale medyk dostrzegł w niej coś, czego wcześniej nie zauważył – siłę. Odetchnął. Znał się na ludziach. On wszystko zorganizuje, a ona już robi to, co konieczne.

Szach przysłał po nią niewolników z lektyką. Nie miała co zrobić z dzieckiem, wzięła je więc ze sobą. Okazało się to szczęśliwym

rozwiązaniem; w haremie Rajskiego Domu tłum zachwyconych kobiet natychmiast zajął się małym Robem.

Zaprowadzono ją do łaźni, gdzie musiała się rozebrać pod krępującymi spojrzzeniami usługujących niewolnic. Wiedziała od Roba, że muzułmanki co dziesięć dni usuwają włosy łonowe za pomocą wapna z arsenikiem. Podobnie pozbywały się włosów pod pachami – raz na tydzień mężatki, raz na dwa tygodnie wdowy i raz na miesiąc dziewice. Służebne patrzyły na nią z jawnym niesmakiem.

Po kąpeli podały jej trzy tace z pachnidłami i szminkami, lecz wzięła tylko parę kropel wonnego płynu. Potem wprowadzono ją do jakiejś komnaty i polecono czekać. Znajdowało się tam tylko szerokie łóże, poduszki, koce i zamknięta szafka, na której stała miska z wodą. Gdzieś w pobliżu grali muzykanci. Czekwała na tyle długo, że zrobiło jej się chłodno. Owinęła się kocem zdjętym z łóża.

Po jakimś czasie do komnaty wszedł szach. Drgnęła przerażona, lecz on się roześmiał, widząc ją okutaną w pled. Gestem rozkazał, by go z siebie zrzuciła i zdjęła także suknię, w którą ją odziano. Wiedziała, że jest chuda w porównaniu z większością tutejszych kobiet. Często, gestykulując żywo, dawały jej do zrozumienia, że piegi to kara Allaha na bezwstydnicę, która nie osłania twarzy kwefem.

Szach dotknął jej bujnych rudych włosów, chwycił ich całą garść i podniósł do nosa. Skrzywił się, nie czując pachnidła.

Maira uciekła myślą do synka. Czy będzie pamiętał, że go tu przywiozła? Czy pozostanie mu wspomnienie gruchających doń kobiet, ich uśmiechów i pieszczot?

Szach wciąż obmacywał jej włosy. Mówił po persku; nie wiedziała, czy do siebie, czy do niej. Bała się pokręcić głową na znak, że nie rozumie, aby nie wziął tego za odmowę.

Cofnął się o krok i dokładnie obejrzał jej łono. Widać ciekawie go włosy.

– Henna? – zapytał.

To słowo zrozumiała, zapewniła go więc na migi, że nie są farbowane. Zacerpnął w dłoń wody z miski i ująwszy delikatnie długie pasmo jej włosów sprawdził, czy go nie okłamała. Zaraz potem zdjął luźną bawełnianą szatę, pod którą był nagi. Miał szerokie ramiona i duży owłosiony brzuch. W ogóle był znacznie bardziej owłosiony od Roba, za to członek miał mniejszy i ciemniejszy.

W drodze do pałacu Maira snuła różne fantazje. W jednej, wzorowanej na żywocie jakiejś świętej, tłumaczyła szachowi z płaczem, że Jezus zakazał chrześcijankom pozamażeńskich stosunków, władca zaś, ulitowawszy się nad jej łzami, odsyłał ją do domu. W innej wzięta przemocą zaznawała wyuzdanej rozkoszy w ramionach mężczyzny, który wybrał ją, choć na jedno skinienie mógł mieć najpiękniejsze kobiety Persji.

Rzeczywistość nie przypominała ani jednej, ani drugiej wersji. Szach obejrzał jej piersi dotykając brodawek – może barwą różniły się od tych, do jakich przywykł. Były twarde z zimna, lecz nie przyciągnęły na dłużej jego uwagi. Pchnął ją na łożo. Maira z trwogą westchnęła o pomoc do Matki Boskiej. Rob potrafił ją rozpalić pieściami tak, że całe jej ciało rozpływało się z żaru. Teraz płonął w niej tylko gniew na tego mężczyznę, który gotów był uśmiercić jej męża. Była więc niechętnym i suchym naczyniem. Na dodatek członek króla nie sterczał poziomo, a lekko zwisał, wejście w nią nastroczyło mu więc nieco kłopotu. Zniecierpliwiony sięgnął po oliwę i chlusnął nią na podbrzusze Mairy. Zacisnęła oczy.

Czuła, że w przeciwieństwie do niej on się nie kąpał. Poruszał się wolno, jakby znudzony, posapując cicho. Bardzo prędko zadygotał

zgoła nie majestatycznie i wydał cichy jęk, w którym zabrzmiało coś na kształt obrzydzenia. Potem król oderwał się od niej z ohydny mlaśnięciem, wstał i bez słowa wyszedł z komnaty.

Maira leżała lepka i upokorzona, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Postanowiła jedno: nikt tu nie zobaczy jej łez.

Po chwili przyszły po nią te same kobiety i zabrały ją do syna. Ubrała się pospiesznie i porwała go w ramiona. Włożyły jej do lektyki sznurkową torbę pełną zielonych melonów. Miała ochotę wyrzucić je po drodze, ale uznała, że nie będzie robić scen. Znalazszy się z synkiem w Jahudii, zabrała owoce i odesłała lektykę.

Na targu można było kupić melony, lecz przechowywane przez całą zimę w jaskiniach, były zwiędłe i często nadpsute. Te zaś wyglądały jak świeże, a smak miały wyśmienity, co stwierdzili z Robem, kiedy wrócił z Izadzu.

64

Beduinka

Maristan był dla Roba świątynią – chłodną, przesyconą wyziewami chorób i drażniącym kadzidłem leków, wypełnioną chóralną pieśnią bolesnych jęków i pospiesznej krzątaniny. Kiedy do niej wchodził, wciąż tak samo zdumiewał go i przejmował dreszczem widok grupki uczniów ufnie zdążających za nim niczym gąsięta. Jak niedawno on sam chodził tak za innymi!

Przystawał przy chorych, wysłuchiwał raportu któregoś z uczniów, potem nachylał się nad pacjentem, wypytywał go, obmacywał, wachał, starając się wywęszyć chorobę jak lis łup. Usiłował przechytryć zgrzybiałego rycerza. Na koniec omawiał dany przypadek z uczniami i wysłuchiwał ich opinii – czasem

bezwartościowych lub nawet bzdurnych, czasem jednak zdumiewająco wnikliwych. Dla nich była to nauka, dla niego okazja, by czynić z ich umysłów precyzyjne narzędzia analizy i diagnozy. Nieraz ucząc, sam dochodził do wniosków, które bez tego pewnie by mu umknęły.

Ibn Sina namawiał go, by prócz tego wykładał, lecz stojąc przed słuchaczami, Rob nigdy nie czuł się swobodnie. Wiedzę miał dostateczną, lecz krępowała go świadomość, jak bardzo się spomiędzy nich wyróżnia – wzrostem, pokierszowaną gębą i fatalnym akcentem. Znał już farsi na tyle, że sam słyszał, jak go kaleczy.

Ibn Sina kazał mu również pisać. Rob mozolnie ułożył lakoniczną rozprawkę o zastosowaniu wina do obmywania ran. Nie był z niej zadowolony, nawet gdy przepisana na czysto spoczęła w Domu Mądrości.

Zdawał sobie sprawę, że powinien przekazywać wiedzę i umiejętności, tak jak jemu je przekazano. Ale Mirdin się mylił – nie czuł w sobie powołania do robienia wszystkiego. W przeciwieństwie do Ibn Siny nie zamierzał zostać filozofem, nauczycielem i teologiem, nie czuł potrzeby pisania i uczenia innych, choć odczuwał przymus, by wciąż uczyć się sam. Spełniał się w działaniu; każdy chory był dla niego wyzwaniem i gdy ujął jego rękę, wciąż znajdował w sobie tę samą magiczną moc, którą odkrył mając dziewięć lat.

Któregoś ranka beduiński szwacz namiotów przyprowadził do maristanu córkę imieniem Sitara. Miała mdłości, wymiotowała i skarżyła się na straszny ból z prawej strony u dołu stwardniałego brzucha. Rob wiedział, co jej jest, ale nie wiedział, jak ją leczyć. Dziewczynka jęczała i ledwie mogła mówić; mimo to dręczył ją licznymi pytaniami, szukając jakiegokolwiek wskazówki.

Zastosował środek na przeczyszczenie, gorące i zimne okłady, a wieczorem opowiedział o młodej Beduince żonie, prosząc, by się za nią pomodliła.

Maira posmutniała. Jej ojciec cierpiał na tę samą chorobę. Teraz leżał w nieodwiedzanym przez nikogo grobie w wadi Ahmada w Hamadanie.

Nazajutrz Rob puścił dziewczynce krew, podał leki i zioła, ale nic nie pomagało. Patrzył, jak gorączka rośnie, oczy stają się szkliste, ciało marnieje niczym ścięte mrozem. Trzeciego dnia umarła.

Raz po raz szczegółowo obracał w myśli wszystko, co o niej wiedział. Do pojawienia się ataków bólu była zdrowa. Dopiero niedawno rozpoczęły się u niej miesięczne krwawienia. Była dziewicą. Co mogła mieć wspólnego dwunastoletnia Beduinka z małym Persem lub podstarzałym Szkotem? A przecież wszystkich troje zabiła ta sama choroba.

Rozdźwięk pomiędzy szachem a jego wezyrem upublicznił się w czasie audiencji. Imam jak zwykle zasiadł na niższym tronie po prawej ręce władcy, zwracając się do niego z szacunkiem, lecz tak oziębło, że wszystko było jasne.

Wieczorem Rob siedział u Ibn Siny przy grze szacha. Grając z nim, czuł się jak początkujący uczeń. Miał wrażenie, że Ibn Sina całą partię ma już z góry ułożoną w głowie. Przesawiał piony bez wahania, nie dając się przy tym zaskoczyć. Rob nie zdołał z nim wygrać, pojął jednak, że przewidywanie i planowanie na wiele kroków naprzód jest niezbędną częścią strategii.

– Ludzie szepczą na ulicach – odezwał się w pewnej chwili.

– Boją się tego, co może przynieść waśń kapłanów Allaha z władcą Rajskiego Domu. Dla nich to koniec świata. – Ibn Sina zbił mu rocha swoim jeźdźcem. – Ale to minie. Zawsze mija. Przeżyje ten, kogo Bóg sobie upodobał.

Grali przez jakiś czas w milczeniu. Potem Rob opowiedział Pierwszemu Medykowi o Beduince, wyliczył objawy i porównał je z dwoma innymi przypadkami tej samej choroby brzucha.

– Moja matka miała na imię Sitara. – Ibn Sina westchnął. – Na wiele pytań nie dano nam poznać odpowiedzi.

– I nie poznamy ich, jeżeli nie będziemy szukać – rzekł z naciskiem Rob.

Ibn Sina wzruszył ramionami. Chcąc zmienić temat, przytoczył garść pałacowych plotek, między innymi tę, że szach szykuje wyprawę do Indii – tym razem nie zbrojną, lecz handlową. Grupa upoważnionych przez niego kupców miała przywieźć indyjską stal lub rudę, z której się ją wytapia. Wangalalowi brakło bowiem surowca do wyrobu bułatowych głowni, które szach tak ceni.

– Zabronił im wracać bez niej, choćby mieli przemierzyć cały Jedwabny Szlak.

– Co jest na końcu Jedwabnego Szlaku?

– Olbrzymi kraj Czungkuo.

– A dalej?

Medyk ponownie wzruszył ramionami.

– Ocean.

– Podróżnicy twierdzą, że świat jest płaski i otoczony ogniem. A za jego krawędzią czyhają na śmiałka diabły.

– Wygadują brednie – prychnął z pogardą starzec. – To nieprawda. Czytałem, że poza granicami zamieszkanego przez ludzi świata jest sól i piasek, jak na Daszt-e Kawir. Inni znów piszą, że wielką część świata pokrywa lód. – W zamyśleniu popatrzył na Roba. – Co jest za granicami twojego kraju?

– Brytania to wyspa. Za morzem jest Dania, kraj ludzi Północy, z którego pochodzi nasz król. A jeszcze dalej znajduje się kraina lodu.

– Podróżni do krainy Rusów także twierdzą, że na północ od nich rozpościera się lód. Chyba rzeczywiście pokrywa on znaczną część świata – powiedział Ibn Sina. – Ale na krańcach ziemi nie ma żadnego ognistego piekła. Ludzie mądrzy wiedzą, że jest okrągła jak śliwka. Pływałeś po morzu. Wiesz zatem, że patrząc z dala na zbliżający się statek, widzisz najpierw szczyt masztu, później żagiel, a dopiero na końcu kadłub. Dzieje się tak, bo statek jakby się wspinał po wypukłej powierzchni wody.

Ibn Sina niemal mimochodem osaczył jego króla, kończąc grę, i skinął na niewolnika, by ten przyniósł winnego szербetu i orzeszków pistacjowych.

– Pamiętasz, co pisał Ptolemeusz? – spytał.

Rob uśmiechnął się. Astronomii liznął zaledwie tyle, by przystąpić do egzaminu.

– Ten grecki astronom z Egiptu?

– Ten sam. Twierdził, że Ziemia jest okrągła. Zawieszona pod wklęsłym firmamentem stanowi środek wszechświata. Wokół niej krążą Słońce i Księżyc, dając nam dzień i noc.

– Kulista Ziemia... – zadumał się Rob – o powierzchni pokrytej morzami i lądami, górami i rzekami, lasami, piaskiem i lodem... Ciekawe, jaka jest w środku. Pusta czy pełna? A jeśli wypełniona, to czym?

Ibn Sina znowu wzruszył ramionami, lecz tym razem na twarzy miał uśmiech. Był w swoim żywiole.

– Tego nie wiemy. Jest ogromna, z czego sam zdajesz sobie sprawę, przewędrowawszy taki jej kawałek. Nie jesteśmy w stanie dokopać się tak głęboko, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

– Ale gdybyś miał środki, by zajrzeć do wnętrza Ziemi, zrobiłbyś to, mistrzu?

– Oczywiście.

– A przecież do wnętrza ludzkiego ciała mógłbyś zajrzeć w każdej chwili, lecz nigdy tego nie zrobiłeś.

Uśmiech Ibn Siny zgasł.

– Człowiek różni się od zwierząt tym, że żyje wedle ustalonych reguł. Bez nich cofnąłby się do pierwotnej dzikości i przypadł. Jedno z owych praw zabrania okaleczania umarłych, których Prorok pewnego dnia wywiedzie z grobów.

– Skąd bierze się choroba brzucha?

– Otwórz brzuch wieprza i zbadaj go – zachnął się Ibn Sina. – Organy wewnętrzne ma takie same jak człowiek.

– Jesteś tego pewien, panie?

– Tak. Piszą o tym w księgach od czasów Galena, któremu zresztą Grecy zabronili rozcinać ludzi. Żydzi i chrześcijanie także tego zakazują. Wszystkich nas łączy wstręt do sekcji. – Pierwszy Medyk spojrzał na niego z sympatią. – Pokonałeś wiele trudności, żeby zostać lekarzem. Ale lecząc, pamiętaj: nie wolno ci łamać zasad wiary i występować przeciw woli ogółu. Inaczej cię zniszczą.

Rob jechał do domu zapatrzony w niebo. Po pewnym czasie jasne punkty zaczęły mu się rozpląwać przed oczami. Poza Księżycem umiał odnaleźć na firmamencie tylko Gwiazdę Wieczorną, którą Rzymianie nazwali imieniem swojej bogini. Szukał innych planet, lecz ginęły w poświacie gwiazd.

Dzisiaj pojął, że Ibn Sina nie jest półbogiem, a tylko mądrym starym człowiekiem rozdartym między medycyną a wiarą, w której go wychowano. Ten ludzki rys jeszcze wzmógł jego miłość do nauczyciela, lecz zarazem poczuł się oszukany, jak syn, który odkrywa słabość ojca.

Zamyślony, oporządził kasztanka i na palcach wszedł do domu. Maira i dziecko już spali. Rozebrał się po cichu i położył, lecz nie

usnął, wciąż roztrzęsając w myślach możliwe przyczyny choroby brzucha.

W środku nocy Maira się obudziła i wybiegła na dwór, dławiąc się wymiotami. Wybiegł za nią, przerażony myślą o chorobie, która zabrała jej ojca, a której pierwszym objawem były torsje. Wbrew protestom Mairy obmacał jej brzuch. Był miękki, gorączki też nie miała, toteż w końcu pozwolił jej zasnąć.

Po pewnym czasie zawołała ze strachem przez sen:

– Rob! – I po chwili znowu: – Rob!!!!...

– Cicho, bo zbudzisz małego – szepnął zdziwiony, bo nigdy nie miewała koszmarów.

Głaskał ją po głowie, a ona przylgnęła do niego jakby z rozpaczą.

– Jestem przy tobie, kochanie... – Szeptał do niej czule po angielsku, persku i hebrajsku i wreszcie się uspokoiła.

Potem zerwała się jeszcze raz, lecz dotknęła twarzy męża, westchnęła i objęła ramionami jego głowę. Leżał przytulony do jej miękkiej piersi, aż powolne, znajome bicie jej serca i jego ukołysało do snu.

65

Karim

Słońce grzało coraz mocniej. Z ziemi strzelały bladozielone kielki. W powietrzu śmigały ptaki znoszące w dziobach słomki i gałązki na gniazda. Górskie potoki niosły masy wody, z hukiem wlewając się do wezbranej Rzeki Życia. Isfahan brała w posiadanie wiosna. Rob miał takie uczucie, jakby ujął w dłonie rękę ziemi i poczuł jej nieokiełznaną odwieczną żywotność. W łonie Mairy też rosło nowe życie. Wciąż miewała mdłości, lecz tym razem już bez Fary domyślili się, że jest brzemienna. Rob nie posiadał się z radości,

choć jego żona cierpiała na huśtawkę nastrojów i złościła się łatwiej niż zwykle. Spędzał teraz więcej czasu z synem. Malec aż piszczał z uciechy na jego widok; gonił za nim na czworakach niczym rozbawione szczenię. Rob pozwalał mu na wszystko.

– Szarp tatę za brodę – mówił pęczniąc z dumy, że dziecko ma tyle sił. – Szarp tatę za uszy... Szarp tatę za nos...!

Nic dziwnego, że pierwszym słowem, jakie wymówił mały Rob, było „tata”. W tym samym tygodniu postawił też pierwszy ostrożny krok. Szczebiotliwe „tata!” budziło w ojcu takie wzruszenie, że trudno mu było uwierzyć we własne szczęście.

Pewnego ciepłego popołudnia namówił Mairę, żeby poszła z nim na ormiański targ. Niósł malca na rękach. Nieopodal straganu rymarza postawił go na ziemi, żeby sam przeszedł kilka kroków dzielących go od Priski, która z radosnym okrzykiem porwała go w ramiona.

Wracając przez Jahudię, z uśmiechem pozdrawiali ludzi. Od wyjazdu Fary Maira nie zdołała pozyskać sobie żadnej przyjaciółki, ale Żydzi stopniowo do niej przywykli i nikt już nie wyklinał europejskiej gojki.

Później, gdy Maira gotowała pilaw, a Rob przycinał drzewko morelowe, z sąsiedniego ogrodu przybiegły córeczki Micy Halewiego, żeby pobawić się z jego synem. Ich dziecinne krzyki i niemądre figle sprawiły mu prawdziwą radość.

Żydzi nie są tacy źli, powiedział sobie, a Isfahan też nie jest najgorszym miejscem.

*

Dowiedziawszy się, że al-Dżuzdżani ma przeprowadzić pokazową sekcję świni, Rob zgłosił się do asystowania. Potężny knur obrośnięty twardą siwą szczecina, z morderczymi kłami wielkimi

niemal jak u słonia i długim owłosionym członkiem, został zabity poprzedniego dnia, co czuć było po zapachu. Ponieważ jednak karmiono go ziarnem, z otwartego żołądka wionął kwaśny odór fermentującego piwa. Rob już dawno przestał traktować wonie jako przykre czy miłe. Każdą należało się zainteresować, albowiem każda o czymś mówiła. Ani nos jednak, ani oczy, ani ręce nie poddały mu niczego, co mogłoby tłumaczyć śmiertelną chorobę brzucha. Al-Dżuzdzani, któremu wszak zależało na tym, by nauczyć czegoś przyszłych medyków, słusznie się irytował, że jego asystent tak długo grzebie w świńskich wnętrznościach.

Niewiele mądrzejszy, poszedł do maristanu na spotkanie z Ibn Sina. Ledwie na niego spojrzął, wiedział już, że coś się stało.

– Moja Despina i Karim... – wykrztusił stary medyk – zostali uwięzieni.

– Usiądź, proszę, panie i spróbuj się uspokoić – rzekł cicho Rob.

Mistrz słaniał się na nogach, miał błędny wzrok i wyglądał, jak gdyby przybyło mu trzydzieści lat.

Spełniły się najgorsze obawy Roba. Zmusił się, żeby zadać stosowne pytania. Nie zdziwiła go wieść, że dwojgu młodym zarzucono cudzołóstwo. Rano szpiedzy szli za Karimem do domu Ibn Siny. Niewiele potem mułowie z żołnierzami wpadli do wieży i przyłapali kochanków.

– Przecież eunuch... – wyrwało się Robertowi.

Ibn Sina spojrzął na niego przelotnie i Rob przeklął sam siebie, zdając sobie sprawę, ile zdradził tymi dwoma słowami. Ale starszy medyk potrząsnął tylko głową.

– Wasif zginął. Żywy nie wpuściłby ich do wieży.

– Jak możemy im pomóc?

– Pomóc im może tylko szach – powiedział Ibn Sina. – Muszę zwrócić się do niego.

Kiedy jechali ulicami Isfahanu, ludzie odwracali wzrok, nie chcąc zawstydzać swego Księcia jawnym współczuciem.

Dowódca Bram powitał Pierwszego Medyka tak samo uprzejmie jak zwykle, lecz zamiast przed oblicze władcy zaprowadził ich do przedsionka, w którym oczekiwało się na posłuchania. Tu ich zostawił, niebawem zaś wrócił z wieścią, że szach żałuje, ale dziś nie może poświęcić im czasu.

– Zaczekamy tutaj – odparł Ibn Sina. – Może trafi się okazja.

Po twarzy Farada przemknął powściągany uśmiech świadczący, że rad ogląda upadek wielkich. Skłonił się i wyszedł.

Czekali całe popołudnie. W końcu Rob odwiózł mistrza do domu.

Nazajutrz rano wrócili. Farad i tym razem był bardzo uprzejmy. Wprowadzeni do tej samej komnaty czekali w samotności, dopóki nie stało się jasne, że władca ich nie przyjmie. Mimo to nie odchodzili, czepiając się resztek nadziei.

Ibn Sina prawie się nie odzywał. Raz tylko westchnął:

– Zawsze była dla mnie jak córka... – Po długiej chwili dodał jeszcze: – Szachowi łatwiej jest potraktować ten cios jako drobną porażkę, niż rzucić wyzwanie wezyrowi.

Siedzieli tam do wieczora, uświadamiając sobie stopniowo, że mimo wysokiego stanowiska Ibn Siny i przyjaźni szacha, jaką cieszył się Karim, Ala nie robi w tej sprawie niczego.

– Szach poświęci Karima, chcąc uniknąć starcia z Kandrą – stwierdził posępnie Rob. – To tak jak w grze: Karim jest figurą, którą zdoła przeboleć.

– Za dwa dni przypada publiczna audiencja – rzekł Ibn Sina. – Spróbuję mu ułatwić działanie. Publicznie zwrócę się doń z prośbą o ułaskawienie. Jestem znany, a Karim to ulubieniec ludu. Głos poddanych poprze moją prośbę, żeby ratować bohatera chatiru, a szach wtedy będzie mógł się do niej przychylić.

Gdyby tak się stało, Karim dostałby dwadzieścia kijów, a Despina chłostę i wyrok dożywotniego zamknięcia w domu swego pana.

Jednakże wychodząc z Rajskiego Domu spotkali al-Dżuzdzaniego, który na nich czekał. Miłując Ibn Sinę jeszcze bardziej od innych, spieszył z wieściami, ale wieści były złe. Karima i Despinę postawiono już przed sądem. Zeznawało trzech świadków w osobach świątobliwych mułłów. Zapewne chcąc uniknąć tortur, oskarżeni nie próbowali się bronić. Mufti skazał oboje na śmierć. Egzekucja miała się odbyć nazajutrz rano.

– Despina zostanie ścięta – powiedział. – Karima skazano na rozplatanie brzucha.

Spojrzeli na siebie z przerażeniem. Rob spodziewał się, że Pierwszy Medyk przedstawi druhowi plan ratunku, ale Ibn Sina pokręcił tylko głową.

– Nie możemy odwrócić wyroku – rzekł głucho. – Możemy im tylko zapewnić łżejszą śmierć.

– Zaraz się tym zajmę – mruknął al-Dżuzdzani ścisząc głos. – Trzeba przekupić strażę i zamiast ucznia posłać do więzienia zaufanego medyka.

Pomimo wiosennego ciepła Rob poczuł chłód.

– Ja pójdę – powiedział.

Noc spędził bezsennie. Wstał przed świtem i wyruszył konno przez ciemne miasto. Przed domem Ibn Siny odruchowo rozejrzył się za Wasifem. W oknach komnaty na wieży było ciemno.

Ibn Sina dał mu dzban winnego szербetu.

– Jest w nim duża domieszka leku usypiającego i bang, proszek z nasion konopi – wyjaśnił. – Wiedz, że ryzykujesz. Muszą wypić tego sporo, ale nie za dużo, bo jeśli któreś nie będzie w stanie utrzymać się na nogach, umrzesz razem z nimi.

Rob skinął głową na znak, że zrozumiał.

– Wszystko w rękach Boga.

– Wszystko w rękach Boga – powtórzył Ibn Sina. Wychodząc, Rob posłyszał, jak stary mędrzec recytuje Koran.

W więzieniu oznajmił strażom, że jest medykiem. Zaprowadzono go pod eskortą najpierw do cel kobiecych. W korytarzu rozlegał się głośny śpiew przerywany spazmatycznym łkaniem.

Przeraził się, że ten upiorny głos należy do Despiny, ale tak nie było. Czekwała w maleńkiej celi. Była nieumyta i nieuparfumowana, włosy wisiały jej w smętnych strączkach, drobne ciało okrywała brudna czarna szata.

Postawił dzban i uniósł jej zasłonę. Była dlań uosobieniem kobiecości łączącej w sobie cechy jego siostry, żony i ladaczniczy z majdanu. Teraz stała się dodatkowo symbolem kobiecej krzywdy.

– Przyniosłem ci coś do picia – rzekł cicho.

Oczy miała pełne niewylanych łez, lecz potrząsnęła przecząco głową.

– Wypij. To ci pomoże.

Jej zalękniony wzrok mówił: „wkrótce będę w raju”

– Podaj to jemu – szepnęła.

Skłonił się przed nią nisko i wyszedł. Słyszał echo własnych kroków, idąc za strażnikiem przez korytarz, potem schodami w dół, do innego kamiennego tunelu i kolejnej maleńkiej celi.

Karim był blady jak płótno.

– Bywaj, *zimmi* – uśmiechnął się krzywo.

– Bywaj, przyjacielu.

Uścisnęli się mocno.

– Czy ona...

– Widziałem się z nią. Jest dzielna.

– Uwierz mi, przez wiele tygodni trzymałem się od niej z daleka. Chciałem tylko posłyszeć jej głos, tylko... Byłem pewien, że nikt

za mną nie idzie.

Rob skinął głową.

Wargi Karima drżały. Gdy Rob podał mu dzban, chwycił go i łapczywie wypił ponad połowę.

– Podziła – rzekł półgłosem Rob. – Ibn Sina osobiście przyrządził napój.

– Jakże ty go czcisz... – westchnął Karim. – A ja marzyłem, by go otruć i mieć ją tylko dla siebie.

– Każdy miewa złe myśli. Nie zrobiłeś tego. – Zależało mu, żeby Karim to pojął, zanim narkotyk zacznie działać. – Nie zrobiłeś tego, rozumiesz?

Karim kiwnął głową. Rob przyjrzał mu się bacznie. Miał obawy, że przyjaciel wypił za dużo bangu. Jeśli napar odbierze mu przytomność, sąd muftiego zbierze się ponownie, żeby skazać kolejnego medyka.

Karim przymknął oczy. Był przytomny, ale nie chciało już mu się mówić. Siedzieli w milczeniu, dopóki nie usłyszeli zbliżających się korytarzem kroków.

– Karimie... – szepnął Rob.

Młody lekarz zamrugnął oczami.

– To już?

– Pomyśl o zwycięstwie w chatirze – rzekł łagodnie Rob. Kroki się zatrzymały. Otwarto drzwi; stanęło w nich trzech żołnierzy i dwóch mułłów. – Pomyśl o najszcześniejszym dniu swojego życia.

– Zaki Omar mógł być dobrym człowiekiem... – zadumał się Karim i uśmiechnął blado.

Dwóch żołnierzy wzięło go pod rękę. Rob ruszył za nimi przez korytarz i schody na dziedziniec, gdzie jaskrawe słońce uderzyło go w twarz niczym gong. Ranek był ciepły i piękny – cóż za okrutna

ironia! Pod Karimem ugięły się nogi, lecz widzowie mogli myśleć, że to ze strachu.

Minęli podwójny rząd karkanów i podeszli do pnia, który Rob pamiętał ze swych koszmarnych majaków. Na zbryzganej krwią ziemi leżała skulona drobna postać w czerni, obok zaś...

Konopny napar zakpił z mułłów – Karim tego nie widział.

Kat był niewiele starszy od Roba, krępy, o potężnych ramionach i obojętnym spojrzeniu. Złoto Ibn Siny opłacało jego pewną rękę i cienkie jak włos ostrze.

Karim miał szkliste oczy, gdy żołnierze prowadzili go do pnia. Nie było pożegnań. Kat uderzył szybko i pewnie, trafił prosto w serce i zadał śmierć od razu, za co także wziął zapłatę. Z ust Karima zdążyło się tylko wyrwać głośne, jakby rozczarowane westchnienie.

Rob musiał jeszcze dopilnować, by Despinę i Karima zanieśono z więzienia na cmentarz za murami miasta. Hojnie zapłacił za odśpiewanie modłów nad świeżymi grobami. Podjęli się tego ci sami mułłowie, którzy asystowali przy egzekucji.

Po pogrzebie wypił resztę naparu z dzbana i puścił wodze kasztanka, by sam zaniósł go do domu. Przejeżdżając nieopodal pałacu, zatrzymał się jednak i przyjrzał mu się bacznie. Tego dnia Rajski Dom wyglądał szczególnie pięknie. Barwne proporce wiły się w wiosennym wietrze, słońce lśniło w każdej złotej nici, rozpałało do białości broń i zbroje straży.

Słyszał głos szacha. „Jesteśmy przyjaciółmi...!”

Potrząsnął pięścią.

– Łajdak!!! – krzyknął.

Jego głos pobiegł ku murom i wyrwał wartowników z błogiej bezmyślności. Do najbliższego z nich podbiegł oficer.

– Co to za jeden? Znasz go? – spytał.

– Tak, panie. To hakim Jesse, ten *zimmi*.

Przyjrzeni się mężczyźnie na koniu, który jeszcze raz uniósł pięść. Spostreegli dzban i luźno puszczone wodze. Oficer pamiętał Żyda, który nie wrócił razem z wojskiem z Indii, lecz został z rannymi żołnierzami.

– Pijany jak bela – parsknął – ale suczy syn ma dobre serce. Dajcie mu spokój.

Patrzyli, jak kasztanek niesie medyka ku bramom miasta.

66

Ponure miasto

Z trzech przyjaciół pozostał przy życiu tylko on. Na myśl, że i Mirdin, i Karim leżą w grobach, ogarniała go zmieszana z żalem wściekłość. Ich śmierć jednak przewrotnie uczyniła mu życie słodszy niż pocałunek ukochanej. Rozkosz sprawiało mu wszystko: każdy haust powietrza, jedzenie, sen, nawet sikanie. Smak czerstwego chleba, dotknięcie sterczącego brzucha żony, odgłos jej pochrapywania. Cmokał synka w brzusek, a gulgoczący pisk rozbawionego dziecka wytaczał mu z oczu łzy wzruszenia.

Napawał się życiem, choć Isfahan stał się ponurym miastem. Skoro bowiem Allah i imam Kandrasi pokonali zwycięzcę chatiru, bohatera Isfahanu, jakże zwykły człowiek ośmieliłby się łamać prawa zaprowadzone przez Proroka?

Zniknęły ladacznice, zamarło bujne nocne życie majdanów. Mułowie parami snuli się po ulicach, wypatrując twarzy nieszczelnie zakrytej kwefem, mężczyzny zbyt opieszale klękającego do modlitwy na wezwanie muezina, oberżysty na tyle głupiego, by podawać wino. Nawet w Jahudii Żydówki, które dotąd okrywały tylko włosy, zaczęły teraz nosić zasłony na twarzach.

Jedni ukradkiem wzdychali z żalu za weselszymi czasami, inni jawnie wyrażali aprobatę. W maristanie hadži Dawud Husajn dziękując Allahowi w porannej modlitwie rzekł: – Wiara i państwo wyszły z jednego łona, by nigdy się nie rozłączać.

Z dnia na dzień coraz więcej ludzi przybywało pod dom Ibn Siny i towarzyszyło mu w modlitwie, teraz jednak Księżę Medyków po modłach zniknął w domu i pojawiał się dopiero przed następną modlitwą. Pograżony w żałobie i posepnych rozmyślaniach, nie przychodził nawet do maristanu, aby uczyć lub leczyć. Jego pacjentami zajmował się Rob, a tych, którzy nie chcieli, by dotykał ich *zimmi*, przejął al-Dżuzdzani. Niewielu jednak ośmielało się grymasić, toteż Rob, mający oprócz tego własnych pacjentów, z trudem znajdował czas na sen.

Któregoś ranka przydreptał do szpitala wychudzony starzec o cuchnącym oddechu, brudnych krzywych nogach i wystrzępionej brodzie kształtu wrzeciona. Kasem ibn Sadi nie znał swego wieku i nie miał domu, gdyż przez całe życie był poganiaczem w karawanach. Nie miał także rodziny, ale jak twierdził, czuwał nad nim Allah.

– Przewędrowałem cały świat – chełpił się.

– Europę też? Bo stamtąd pochodzę.

– Prawie cały świat – poprawił się poganiacz. – Przybyłem tu wczoraj z karawaną, która przywiozła wełnę i daktyle z Gomy. W drodze musiał dopaść mnie zły džinn, bo strasznie boli.

– Gdzie?

Kasem chwycił się za prawy bok i jęknął.

– Masz mdłości?

– Panie, wyrzygałem już chyba wszystkie flaki i ledwie chodzę. Ale we śnie przemówił do mnie Allah i objawił mi, że niedaleko

jest ktoś, kto mnie uleczy. Zbudziłem się, rozpytałem u ludzi, gdzie tu blisko leczą, i skierowali mnie do tego maristanu.

Zaprowadzono go na posłanie, obmyto i nakarmiono lekką strawą. Był pierwszym pacjentem, którego Rob mógł obserwować w początkowym stadium zagadkowej choroby. Tylko jeden Allah mógł go uleczyć. Rob wiedział, że on tego nie potrafi. Przesiadywał w bibliotece, aż w końcu Jusuf ul-Gamal zagadnął go, czego tak szuka.

– Tajemnicy choroby, która ma siedlisko w prawej części brzucha. Chcę znaleźć zapiski starożytnych, którzy otwierali ludzkie ciała, zanim tego zakazano.

Sędziwy bibliotekarz przymrużył oczy i lekko kiwnął głową.

– Spróbuję ci pomóc. Może mnie uda się coś znaleźć.

Ibn Sina nie przyjmował gości, Rob udał się więc do al-Dżuzdzaniego, któremu jednak brak było cierpliwości Księcia Medyków.

– Większość chorych umiera – powiedział al-Dżuzdzani – ale niektórzy przychodzą do maristanu z bólem w prawej dolnej części brzucha, a potem ból mija i wracają do domu.

– Dlaczego jednym mija, a innym nie?

Al-Dżuzdzani zachnął się z irytacją. Nie lubił tracić czasu na teoretyczne rozważania.

Kasem istotnie wydobrzał po paru dniach, ale Rob nie chciał go wypuścić ze szpitala.

– Dokąd pójdziesz? – spytał.

Starzec wzruszył ramionami.

– Poszukam jakiejś karawany, panie. One są mi domem.

– Nie wszyscy, którzy tu przychodzą, mogą wyjść. Niektórzy umierają, sam rozumiesz.

Kasem poważnie skinął głową.

– Każdy musi kiedyś umrzeć.

– Mycie umarłych i przygotowywanie ich do pogrzebu to służba Allahowi. Możesz podjąć się takiej pracy?

– Tak, hakimie. Jak sam rzekłeś, to zbożna praca – oświadczył uroczyście stary. – Allah mnie tu sprowadził, więc może chce, żebym został.

Do dwóch sal służących jako kostnica przylegała mała celka. Wysprzątała ją razem i Rob zakwaterował w niej Kasema ibn Sadiego.

– Po nakarmieniu chorych i ty dostaniesz posiłek – obiecał. – Tu będziesz jadał i spał, a myć się możesz w łaźni maristanu.

– Dobrze, hakimie.

Rob dał mu matę do spania i glinianą lampkę. Rozwinąwszy swój wytarty dywanik modlitewny stary poganiacz orzekł, że to najpiękniejszy dom, jaki miał w życiu.

Minęły prawie dwa tygodnie, nim zagoniony Rob znalazł wolną chwilę na rozmowę z bibliotekarzem. Chcąc mu się odwdzińczyć za pomoc, przyniósł podarunek. Co prawda na straganach nęciły wzrok dorodne orzechy pistacji, ale Jusuf ul-Gamal miał już niewiele zębów. Rob kupił więc trzcinowy koszyk pełen słodkich daktyli.

Późnym wieczorem zasiedli do nich w Domu Mądrości. Biblioteka była już pusta.

– Cofnąłem się w czasie – rzekł Jusuf – aż do starożytności. Wyobraź sobie, że nawet Egipcjan, którzy jak sam wiesz, patroszyli swoich zmarłych, uczono, że otwieranie ciał jest złe.

– Jak wobec tego robili mumie?

– Uciekając się do fałszu. Opłacali wyrzutek zwanymi paraszytami, by brali na siebie ich grzech wykonując pierwsze cięcie. Potem paraszyta uciekał, żeby go nie ukamienowano,

przyznając się tym samym do winy, a balsamiści mogli z czystym sumieniem wydobyć narządy z jamy brzucha i zająć się utrwalaniem ciała.

– Czy badali te narządy? Są jakieś zapiski?

– Przez pięć tysięcy lat zabalsamowali wiele milionów ludzi zmarłych od różnych chorób, a ich wnętrzności umieszczali w urnach z gliny, wapienia lub alabastru albo po prostu wyrzucali. Nie ma jednak żadnych świadectw, żeby kiedykolwiek przyglądali im się wnikliwiej.

Jusuf zaczerpnął następną garść daktyli.

– Grecy... to inna sprawa. Zresztą pozostajemy nad Nilem. Aleksander, uważasz, młody bóg wojny, przemknął przez nasz kraj jak burza dziewięćset lat przed narodzeniem Proroka. Podbił cały ówczesny świat i na północno-zachodnim skraju delty Nilu, między Morzem Śródziemnym a jeziorem Mareotis, założył piękne miasto, któremu nadał swe imię. Dziesięć lat później zmarł na gorączkę bagienną, lecz Aleksandria stała się ośrodkiem greckiej kultury. Po Aleksandrze panował w niej Ptolemeusz, człek uczyony. Założył on szkołę, którą nazwał Muzeum, i wielką bibliotekę. Rozkwitły tam wszelkie nauki, a uczelnia medyczna przyciągała najtęższe umysły świata. Po raz pierwszy i jedyny w długich ludzkich dziejach zgłębiano anatomię i przez trzysta lat powszechnie wykonywano sekcje zwłok.

Rob pochylił się niecierpliwie.

– A zatem musieli spisywać, co widzieli?

Jusuf pokręcił głową.

– Księgi zgromadzone w bibliotece przepadły, gdy legiony Oktawiana rabowały Aleksandrię. Większość została zniszczona. Ocalałe resztki zebrał Celsus w swym dziele „De re medicina”, ale jest w nim tylko krótka wzmianka o „dolegliwości grubego jelita

atakującej tę jego część, w której, jak wspomniano, znajduje się jelito ślepe. Towarzyszy jej silne zapalenie i ostry ból skupiony głównie po prawej stronie”

Rob prychnął rozczarowany.

– Znam ten cytat. Ibn Sina przytacza go na wykładach.

Jusuf wzruszył ramionami.

– A zatem nie posunąłeś się ani o krok dalej mimo moich starań. Zapisków, których szukasz, już nie ma.

Rob ponuro pokiwał głową.

– Dlaczego sądzisz – spytał – że tylko za Greków otwierano dla nauki ludzkie ciała?

– Bo nie dane im było poznać jedyne go potężnego Boga, który zakazuje profanowania swoich stworzeń. Czčili hałastrę słabych i kłótliwych nierządników. – Bibliotekarz wypluł w garść pestki daktyli, uśmiechnął się błogo i dodał: – Ostatecznie byli tylko barbarzyńcami, hakimie.

67

Przybysz

Ciąża Mairy była zbyt zaawansowana, aby mogła jeździć konno, poszła więc na targ pieszo, prowadząc osła, który dźwigał zakupy i małego Roba jadącego w juku. Ciężar nienarodzonego dziecka odzywał się bólem w krzyżach, toteż człapała powoli najpierw na jeden targ, potem drugi. U Ormian jak zwykle przystanęła przed kramem rymarza i chętnie przyjęła od Priski kubek szербetu i pajdę gorącego jeszcze płaskiego perskiego pieczywa.

Priska zawsze radośnie witała dawną chlebobawczynię i malca, którego wykarmiła własną piersią, tego dnia jednak mówiła szczególnie dużo i szybko. Maira już dawno przestała się buntować

i podjęła naukę perskiego, ale było to ponad jej siły. Z całej paplaniny Priski zrozumiała ledwie parę słów: obcy, daleko, hakim, ty. Za mało, żeby odgadnąć, o co chodzi.

Na twarzy Priski odbił się zawód, toteż Maira wróciła do domu niespokojna, wyglądając powrotu męża. Już w drzwiach opowiedziała mu o porannej rozmowie. Rob wiedział, co chciała jej przekazać Priska, nowina bowiem szybko dotarła do maristanu.

– Do Isfahanu przyjechał jakiś Europejczyk.

– Skąd?

– Z Anglii. To kupiec.

– Anglik? – Maira szeroko otworzyła oczy i zarumieniła się z podniecenia. Bezwiednie przycisnęła rękę do serca. – Dlaczego zaraz do niego nie poszedłeś?

– Mairo...

– Idź! Wiesz, gdzie się zatrzymał?

– W dzielnicy ormiańskiej, stąd Priska o nim wie. Na początek oświadczył, że nie wejdzie pod dach innowiercy, ale gdy zobaczył te nędzne chałupiny, w których mieszkają ormiańscy chrześcijanie, prędko wynajął od muzułmanina lepszy dom – dokończył Rob z rozbawieniem.

– Albo napisz do niego. Zaproś go na wieczerzę.

– Nie znam nawet jego imienia.

– Czy to ważne? Najmij posłańca. Każdy w ormiańskiej dzielnicy wskaże mu drogę. Rob! Przecież on będzie miał wieści!

Ostatnią rzeczą, jakiej Rob pragnął, był niebezpieczny kontakt z rodakiem. Czuł jednak, że Maira by mu nie darowała, gdyby pozbawił ją okazji wysłuchania nowin z krain bliższych jej sercu niż Persja. Westchnął, usiadł i zabrał się do pisania.

– Karol Bostock – przedstawił się przybyły.

Rob poznał go od razu. Gdy po długiej wędrówce z balwierzem wracali do Londynu, przyłączyli się dla bezpieczeństwa do Bostocka, wiozącego sól z warzelnii w Arundelu. Rob był wtedy ledwie chłopcem. Na postojach popisywali się żonglerką i kupiec dał mu dwa pensy.

– Jesse ben Benjamin. Jestem tu medykiem.

– Mówisz po angielsku. Zaproszenie też było napisane w tym języku.

– Wychowałem się w mieście Leeds. – Rob konsekwentnie trzymał się swojej isfahańskiej tożsamości.

Sytuacja bardziej go bawiła, niż niepokoiła. Minęło czternaście lat. Szczeniak, którym był wtedy, wyrósł na brytana i ryzyko, że Bostock pozna małego angielskiego żonglera w potężnym perskim Żydzie, było nikłe.

– A to moja żona – przedstawił Mairę. – Jest Szkotką z Północy.

– Witaj, pani.

Ciąża uniemożliwiła Mairze wystrojenie się na tę okazję w najlepszą niebieską suknię. Zrezygnowana, włożyła szeroką jak namiot czarną szatę. Za to umyła włosy, które lśniły jak płomień, i przewiązała je haftowaną wstążką ozdobioną jedynym klejnotem – półkolistą broszą obramowaną perełkami, które kołysały się jej nad brwiami.

Bostock wciąż nosił długie włosy ściągnięte z tyłu, lecz teraz więcej w nich było siwych niż płowych. Strojna szata z czerwonego sukna, jeszcze zmięta po wydobyciu jej z juków, była za ciepła na tutejszy klimat i zbyt obcesowa na wizytę w Jahudii. Oczy kupca otwarcie szacowały wartość ich zwierząt, domu, ubrań, każdego sprzętu. Kiedy zaś zwracały się na postawnego brodatego Żyda, rudą Szkotkę mocno już zaokrągloną od ciąży i śpiące w koszyku

dziecko – kolejny dowód gorszącego związku tej mieszanej pary – pojawiał się w nich niesmak.

Pomimo to gość równie jak oni spragniony był dźwięku ojczyściej mowy i wkrótce gawędzili swobodnie wszyscy troje. Rob i Maira na wypródkę zarzucali przybysza pytaniami:

- Masz wieści ze Szkocji, panie?
- Co słychać w Londynie?
- Czy panował tam pokój?
- Czy Kanut nadal zasiada na tronie?...

Bostock musiał ciężko odpracować wieczerę. To, co mógł im powiedzieć, dotyczyło czasów odległych niemal o dwa lata. Nie wiedział nic o kraju Szkotów ani o północy Anglii. Czasy wciąż były pomyślne, Londyn się rozrastał, co roku wznoszono więcej domów, a przy nabrzeżach ledwie się już mieściły handlowe statki z różnych krain. Na dwa miesiące przed jego wyjazdem król Kanut zmarł naturalną śmiercią, a gdy Bostock przybił do Calais, dowiedział się o śmierci Roberta, księcia Normandii.

– Po obu stronach Kanału panują teraz bastardi – mówił. – W Normandii dzięki przyjacielom i krewniakom zmarłego ojca sukcesję objął małoletni Wilhelm, nieprawy syn Roberta. W Anglii tron należał się Kanutowi, synowi Kanuta i Emmy. Temu jednak widać miłsza Dania, gdzie siedzi dotąd i gdzie już nazywają go Srogim. Toteż w Anglii rządzi Harold Zajęcza Stopa, którego stary Kanut miał z niejaką Elgifu z Northampton.

– A co się dzieje z Edwardem i Alfredem, których Emma zrodziła Etefredowi, nim została żoną Kanuta? – zagadnął Rob.

– Przebywają w Normandii pod ochroną Wilhelma i zapewne łakomie patrzą na drugą stronę Kanału – zaśmiał się Bostock.

Gdy rozeszły się zapachy przygotowywanej przez Mairę wieczerzy, głód wieści ustąpił miejsca zdrowemu apetytowi

na jadło. Wzrok kupca nieco zmiękł, gdy ujrzął dwa bażanty nadziewane na perską modłę ryżem z winogronami, natarte oliwą i długo duszone we własnym sosie, do tego letnie warzywa, słodkie melony i kołacz z morelami na miodzie. A także dobre różowe wino, którego zakup niósł ze sobą teraz znaczny wydatek i ryzyko. Maira była po nie z Robem na żydowskim targu. Zagadnięta wprost Hinda gwałtownie zaprzeczyła, jakoby miała wino, oglądając się z lękiem, czy ktoś ich nie słyszy. Dopiero trzykrotnie wyższa cena skłoniła ją do wyjęcia bukłaka schowanego w worku z kaszą. Maira ukryła go przed wzrokiem mułłów w chuście podtrzymującej śpiącego synka i tak przyniosła do domu.

Bostock zjadł dużo i chętnie. Potem beknął i oświadczył, że za kilka dni wraca do Europy.

– Będąc w Konstantynopolu w sprawach Kościoła, matki naszej, nie oparłem się pokusie zwiedzenia Wschodu. Czy wiecie, że nasz król obiecał nadania i tytuł tana podróżnym kupcom, którzy odbędą trzy wyprawy w obce kraje, przecierając szlaki dla angielskiego handlu? Tak jest, i w ten piękny sposób człek wolny może się wznieść pomiędzy możnych, a przy tym i wiele zyskać. Pomyślałem zaraz o jedwabiu. Gdybym dotarł do końca Jedwabnego Szlaku, za sprowadzony towar kupiłbym cały Londyn! W Persji jedwab jest drogi, toteż zamiast niego zakupiłem kobierce i delikatne tkaniny. Ale już tu nie wrócę, bo zysk będzie niewielki, a muszę jeszcze opłacić silną straż, żeby dowieźć to do Anglii...

Rob był ciekaw, czy Bostock dotarł na Wschód tą samą drogą, lecz jak się okazało, kupiec zawadził najpierw o Rzym.

– Połączyłem własne interesy z misją powierzoną mi przez Etelnoda, biskupa z Canterbury. Byłem z nią na Lateranie, gdzie papież Benedykt, obiecawszy hojnie mnie wynagrodzić

za *expeditiones in terra et mari*, nakazał mi w imieniu Chrystusa zawieźć po drodze listy patriarsze Aleksemu z Konstantynopola.

– Jesteś więc papieskim posłem, panie! – zawołała Maira.

Raczej gońcem, pomyślał sarkastycznie Rob, ale Bostock nadał się dumą.

– Od sześciuset lat trwa waśń między Rzymem a Konstantynopolem – perorował. – Ci odszczepieńcy mają Aleksego za równego papieżowi! Co więcej, ich popi pojmują sobie żony, co od dawna gani Stolica Piotrowa. Nie darzą należytych szacunkiem Trójcy Świętej i kpią sobie z Matki Bożej. Toteż papież wciąż śle listy, w których napomina patriarchę.

Rob wstał i wyniósł pusty dzban do drugiej izby, żeby dolać do niego wina z bukłaka. Posłyszał, jak Bostock pyta:

– Jesteś chrześcijanką?

– Tak – odparła Maira.

– Jakim więc sposobem dzielisz łożę z tym Żydem? Sprzedali mu cię piraci?

– Jestem jego żoną – głos Mairy zabrzmiał twardo.

Rob przerwał nalewanie wina i uśmiechnął się kwaśno. Ten Anglik tak nim gardził, że nie zniżył nawet głosu.

– Zabiorę cię z dzieckiem do kraju. Poniosą cię w lektyce, póki nie urodzisz i nie będziesz mogła dosiąść konia.

– Nie, panie. Należę do mego męża z własnej i nieprzymuszonej woli. – Ton Mairy stał się lodowaty.

Bostock oświadczył na to grzecznie i z powagą, że spełnił tylko chrześcijański obowiązek. Tego samego oczekiwałby od innych, gdyby, uchowaj Boże, podobny los spotkał jego córkę.

Robert Cole wrócił dysząc żądzą mordy, ale Jesse ben Benjamin z wylewną wschodnią gościnnością dolał gościowi wina, miast go

udusić. Odtąd jednak rozmowa już się nie kleiła i Anglik wkrótce się pożegnał.

Zostali sami. Zatopieni we własnych myślach, sprzątnęli resztki posiłku. W końcu Maira spytała:

- Masz zamiar wrócić do kraju?
- Oczywiście! – odparł zdumiony.
- Więc Bostock nie był moją jedyną szansą?
- Mogę ci to przysiąc.

W jej oczach zabłyśły łzy.

– Nie dziwota, że kupiec najmuje całą armię do obrony. Tyle niebezpieczeństw czyha po drodze... Jak zdołamy uchronić dzieci?

Objął ją delikatnie, sięgając nad wielkim brzuchem, który mu zawadzał.

– Kiedy dojedziemy do Konstantynopola, ujawnię się jako chrześcijanin i dołączymy do jakiejś silnej karawany.

– A do Konstantynopola?

– W drodze poznałem pewien sposób. – Rob pomógł jej się położyć. Była bardzo już niezgrabna i w każdej pozycji chwytały ją kurcze. Przytulił ją, mówiąc takim tonem, jakby opowiadał dziecku bajkę do snu: – W Azji będę Żydem. Dzięki temu w każdej żydowskiej osadzie ktoś nas przenocuje, nakarmi, wskaże drogę; zupełnie jakbyśmy przeprawiali się przez rzekę skacząc z kamienia na kamień. – Pogłaskał ją po policzku i przeniósł dłoń na wypukły brzuch. Poczuł ruchy nienarodzonego dziecka. Wypełniły go współczucie i wdzięczność. Tak będzie, zapewnił się w duchu. Nie wiedział jeszcze tylko kiedy.

Rob układał się zwykle do snu zgięty w pałąk wokół wielkiego brzucha żony. Którejś nocy zbudził się czując wilgoć i ciepło. Przytomniejąc gwałtownie, drżącymi rękami narzucił ubranie i pobiegł po akuszerkę. Choć z pewnością przywykła, że ludzie

dobijają się do niej w nocy, otworzyła mu zirytowana i kazała być cicho i czekać.

– Ale wody już odeszły! – denerwował się Rob.

– Dobrze, dobrze...

Wkrótce ciemną ulicą ruszyła cała wyprawa: przodem Rob z pochodnią, za nim Netka z worem czystych szmat, a za nią Chofni i Szemuel, sapiąc pod ciężarem krzesła do porodów.

Ustawili je jak tron przy palenisku, a Netka zagoniła Roba do niecenia ognia, bo noc była chłodna. Maira siadła na krześle niczym naga królowa. Synowie Netki wyszli wcześniej, zabierając ze sobą małego Roba. Obiecali, że zajmą się nim, dopóki nie będzie po wszystkim. W Jahudii sąsiedzi oddawali sobie takie przysługi. Maira była gojką, ale też i sąsiadką.

Już przy pierwszej fali bólu jej królewska postawa znikła, a z gardła wyrwał się chrapliwy wrzask. Rob był przerażony. Netka najspokojniej przekładała swoje szmaty, niewiele uwagi zwracając na położnicę, która z łkaniem czepiała się masywnych uchwytów krzesła. Nogi jej drżały; w czasie skurczów rzucała nimi gwałtownie. Przy trzecim Rob stanął za nią i przyciągnął jej ramiona do oparcia krzesła. Obnażyła zęby warcząc jak wilczyca. Nie zdziwiłby się, gdyby go ugryzła.

Odcinał już ludziom kończyny, uodpornił się na widok cierpień, teraz jednak cała krew spłynęła mu do nóg. Netka zerknęła na niego bacznie i silnymi palcami uszczypnęła go w rękę. Ból przywrócił mu zmysły i tylko dzięki temu nie zhańbił się omdleniem.

– Wynocha na dwór – usłyszał. – Sio!

Wyszedł do ogrodu. Stał w ciemności, nasłuchując głosów dobiegających z wnętrza. Było chłodno i cicho. Pomyślał o żmijach gniazdujących w kamiennym ogrodzeniu, ale było mu wszystko

jedno. Czas mijał niepostrzeżenie. W pewnej chwili przypomniał sobie, że powinien dołożyć do ognia. Wszedł do izby.

Maira miała szeroko rozwarte kolana.

– Teraz przyj – mówiła stanowczo Netka. – Do roboty, kochana.

Jak we śnie ujrzął między udami żony czubek główki – wilgotną czerwoną tonsurę. Nie wytrzymał; uciekł do ogrodu. Siedział tam dotąd, aż posłyszał cienki płacz. Wtedy wrócił do domu i zobaczył dziecko.

– Znowu chłopak! – oznajmiła Netka, wybierając końcem palca śluz z ust noworodka. Gruba jak postronek pępowina w bladym świetle brzasku zdawała się niebieska.

– Poszło o wiele łatwiej niż za pierwszym razem – szepnęła Maira.

Netka wytarła dziecko i owinęła je w pieluszki. Rob dostał łożysko z poleceniem, by zakopał je w ogrodzie. Wręczył akuszerce hojną zapłatę. Z zadowoleniem kiwnęła głową i poszła do domu.

Rozradowany, uściskał żonę. Potem Maira poprosiła, żeby podał jej wodę, i sama ochrzciła dziecko nadając mu imię Tam. Rob wziął synka na ręce. Był nieco drobniejszy od starszego brata, ale zgrabny i silny. Miał okrągłe ciemne oczka i ciemną czuprynkę połyskującą rudo jak włosy matki. Oczami, kształtem głowy, szerokimi ustami i długimi szczupłymi palcami przypominał Robertowi braci, Wilhelma i Jona, których widział zaraz po urodzeniu.

– Wszyscy mali Cole'owie wyglądają tak samo – rzekł do żony.

Diagnoza

Po dwóch miesiącach pracy w szpitalu Kasem miał następny atak.

– Jak cię boli? – pytał Rob.

– Strasznie, hakimie! – biadał starzec, choć widać było, że ból jest słabszy niż poprzednim razem.

– Tępo czy ostro?

– Tak jakby siedział we mnie dżinn i pazurami orał mi wnętrzności.

Myśl, iż mógł naprawdę dostać się we władanie złego ducha, przeraziła go nie na żarty. Spojrzał błagalnie na medyka, jakby prosząc o słowo pociechy.

Tym razem nie gorączkował, a brzuch miał miękki. Rob zalecił mu niewielkie dawki wina zmieszanego z miodem, które Kasem gorliwie spijał, albowiem jako pijak z trudem znosił wymuszoną przez mułłów abstynencję. Dzięki kuracji przez kilka tygodni chodził lekko zawiany, spędzając czas na lenistwie i plotkach. Te zaś krążyły licznie. Wedle najświeższych wieści Kandrasa uciekł z miasta, mimo że odniósł polityczne i taktyczne zwycięstwo nad szachem. Ponoć skumał się z Seldżukami i zamierzał przy ich pomocy obalić Alę i osadzić na tronie pobożniejszego władcę – a może sam na nim zasiąść.

Tymczasem jednak życie toczyło się jak zwykle. Mułłowie dwójkami patrolowali miasto, chytry stary imam pozostawił bowiem na straży wiary muzulmańskiej swego zausznika, Musę ibn Abbasa.

Szach nie opuszczał Rajskiego Domu, nie udzielał posłuchań – można było sądzić, że się ukrywa. Od egzekucji Karima Rob nie był już wzywany na przyjęcia, przejażdżki czy partyjki gry szacha. Kiedy w Rajskim Domu potrzebny był medyk, posyłano po al-Dżuzdżaniego lub innego lekarza, nigdy Roba. Ibn Sina także tkwił w swojej posiadłości, pogrążony w żałobie.

Toteż Rob był zaskoczony, gdy szach przysłał mu prezent z okazji narodzin syna, zwłaszcza że pierworodnego nie uhonorował żadnym darem. Był to piękny kobierczyk z błękitnej wełny przetykanej jedwabiem w tym samym odcieniu. Ciemnoniebieski wzór przedstawiał godło królewskiego rodu Samanidów.

Podarek dostarczono w dniu, gdy Rob – tym razem już z własnej inicjatywy – sprosił sąsiadów na żydowską uroczystość nadania dziecku imienia. Reb Aszer Jakobi, mohel, poprosił Boga, aby dał chłopcu siłę i zdrowie i kierował go ku dobrym uczynom, po czym ściał mu napletek. Rozkrzyczany malec ucichł, gdy dostał do ssania szmatkę umoczoną w winie, a zebrany ogłoszono w hebrajskim języku, że oto w ich wspólnocie zawitał Tomasz, syn Jessego.

Rob miał ochotę położyć dywanik przy kołysce, ale Maira, wciąż rozdrażniona po porodzie, stanowczo się temu sprzeciwiła. Kupiła skrzynkę z drewna sandałowego, którego zapach odstraszał mole, i schowała w niej prezent od szacha.

Rob zasiadł w komisji egzaminującej uczniów. Zdawał sobie sprawę, że zastępuje w niej tylko nieobecnego Ibn Sinę. Czuł się skrępowany i rumienił się na samą myśl, iż ktoś mógłby go posądzić o nieskromną chęć zajęcia miejsca przynależnego mistrzowi.

Ponieważ jednak nic nie mógł na to poradzić, dołożył wszelkich starań, by nie okryć się wstydem. Przygotował się tak, jakby to on miał być egzaminowany. Starannie obmyślił pytania, które nie

pograżając kandydata pozwalały określić stan jego wiedzy, i uważnie słuchał udzielanych odpowiedzi. Przed komisją stawiło się czterech uczniów. Trzem jednogłośnie przyznano uprawnienia hakimów, czwarty jednak nie dorastał im do pięt. Gabri Baizawi studiował w madrasie od pięciu lat. Już dwa razy oblał egzamin, ale jego ojciec był człowiekiem bogatym i wpływowym. Przekabacił hadżiego Dawuda Husajna, który zażądał, aby Baizawiego przepytano jeszcze raz.

Rob znał go jeszcze z czasów, kiedy sam był uczniem. Baizawi grzeszył lenistwem i nonszalancją, a chorych traktował szorstko. Podchodząc do egzaminu po raz trzeci nie zadał sobie nawet trudu, by lepiej się przygotować. Rob wiedział, co na jego miejscu zrobiłby Ibn Sina.

– Odrzucam kandydata – rzekł stanowczo i bez żalu. Pozostali zgodzili się z nim bez wahania i zakończono posiedzenie.

Kilka dni później w maristanie pojawił się Ibn Sina.

– Jak dobrze, że wróciłeś, panie! – ucieszył się Rob.

Ibn Sina potrząsnął głową. Na jego wymizerowanej twarzy malowało się znużenie.

– Nie wróciłem.

Przyszedł po poradę, o którą poprosił al-Dżuzdżaniego i Roba. Siedli we trzech, starając się w rozmowie ustalić przebieg choroby, tak jak sam ich nauczył.

Stary medyk najpierw czekał, aż wrócą mu siły i będzie mógł podjąć swoje obowiązki. Utrata najpierw Rezii, a potem Despiny, była dla niego ciężkim ciosem. Czuł się źle; znużony i apatyczny, nie mógł się zdobyć na najbłahszy wysiłek. Początkowo przypisywał to ostrej melancholii.

– Wszyscy wiemy – mruknął – jak dziwne i straszliwe rzeczy potrafi czynić duch z ciałem.

Jednakże ostatnio zaczęły go nękać biegunki; wydalął z siebie stolec zmieszany ze śluzem, krwią i ropą. Dlatego zwrócił się do nich.

Zbadali go tak drobiazgowo, jakby miał być ich ostatnim w życiu pacjentem. Ibn Sina cierpliwie znosił obmacywanie, opukiwanie, osłuchiwanie, naciskanie i setki pytań. Kiedy skończyli, al-Dżuzdżani uśmiechnął się z wysiłkiem.

– To zwykła krwawa biegunka wywołana ciężkimi przeżyciami, mistrzu.

Intuicja Roba mówiła mu co innego. Podniósł wzrok na ukochanego nauczyciela.

– Moim zdaniem to wczesne stadium *szirri*.

Ibn Sina przymknął oczy i otworzył je na powrót.

– Rak trzewi? – zapytał tak spokojnie, jakby mówił o kimś obcym.

Rob skinął głową, starając się nie myśleć o powolnych męczarniach, jakie go czekały.

Al-Dżuzdżani spurpurowiał i już miał ostro go usadzić, lecz Ibn Sina podniósł rękę, patrząc na niego tkliwie. Rob nagle zrozumiał, dlaczego stary medyk wezwał ich obu: wiedział, że al-Dżuzdżani zaślepiony miłością nie dopuści do siebie strasznej prawdy.

Usiadł, czując miękkość w kolanach. Ujął dłoń Ibn Siny i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Masz jeszcze wiele sił, panie – powiedział. – Dbaj o częste wypróżnienia, żeby w trzewiach nie gromadziła się czarna żółć, sprzyjająca rozrostowi raka.

Pierwszy Medyk pokiwał głową.

– Daj Boże, abym się mylił – szepnął Rob.

– Tylko w Nim nadzieja – Ibn Sina uśmiechnął się blado.

Rob spytał, czy mógłby kiedyś wpaść na partyjkę gry szacha.

– Zawsze będziesz mile widziany w moim domu – odparł Książę Medyków.

69

Zielone melony

Pewnego suchego i skwarneego dnia pod koniec lata na zamglonym północno-wschodnim widnokręgu pojawiła się karawana złożona ze stu szesnastu wielbłądów. Zwierzęta kroczyły rzędem uginając się pod ciężkimi koszami; z pysków snuły im się nitki zgęstniałej śliny. Do miasta weszły późnym popołudniem. Niosły rudę żelaza dla Wangalala, na wiele nowych mieczy. Później okazało się, że wytopione z niej żelazo jest zbyt miękkie, tymczasem jednak wieści przyniesione przez karawanę wywołały ogólne poruszenie.

Mistrza karawany wezwano do pałacu, aby złożył szachowi szczegółowy raport. Prosto stamtąd porwała go grupa uczonych, w której większość stanowili medycy.

Mahmud, sułtan Gazny, od wielu miesięcy chorował. Miał gorączkę, a w piersiach zebrało mu się tyle ropy, że na plecach powstała duża miękka cysta. Tamtejsi medycy orzekli, że jeśli sułtan ma żyć, trzeba ją oczyścić. Karawanbasza o imieniu Chendi opowiadał, że najpierw pokryto całe plecy sułtana cienką warstwą garncarskiej gliny.

– Dlaczego? – spytał jeden ze świeżo upieczonych medyków.

Chendi wzruszył tylko ramionami. Al-Dżuzdzani, który dowodził w maristanie pod nieobecność Ibn Siny, wyjaśnił:

– Glina schnie w ciepłe. To miejsce, które wyschnie pierwsze, wskaże najgorętszą część ciała, a więc ośrodek zapalenia. Tam należy ciąć.

Wedle słów karawanbaszy po nacięciu pęcherza trysnęła ropa, chirurdzy założyli więc sączki, żeby ściągnąć ją do końca.

– Jakiego noża użyto? – zainteresował się al-Dżuzdzani i natychmiast posypały się pytania:

– Czy sułtan został uśpiony przed zabiegiem?

– Sączki były blaszane czy z lnianych nici?

– Jaką barwę miała ropa?

– Czy była w niej krew?

– Szlachetni panowie! – wykrzyknął zdesperowany Chendi. – Panowie! Jestem poganiaczem, nie hakimem. Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania. Wiem tylko jeszcze jedno...

– Co takiego?

– Trzy dni po zabiegu sułtan Gazny już nie żył.

Ala i Mahmud byli niczym dwa młode lwy. Obaj wcześniej objęli tron po silnych ojcach i nie spuszczały się nawzajem z oka, świadomi, że prędzej czy później dojdzie do starcia, w którym Gazna pożre Persję lub Persja Gaznę.

Przez długie lata obchodzili się dokoła, zadając niezbyt groźne ciosy. Obaj zwlekali czując, że jeszcze nie nadeszła odpowiednia pora do walki na śmierć i życie. Ala nigdy nie przestał myśleć o Mahmudzie. Często o nim śnił; zawsze tak samo: oto wojska stoją w szyku, a on jedzie sam naprzeciw zajadłym Afgańczykom i rzuca Mahmudowi wyzwanie jak Ardaszir Artabanowi. Ten, który przeżyje, sięgnie po swe przeznaczenie i obwoła się jedynym prawdziwym królem królów.

Lecz oto wkroczył między nich Allah, przywołując do siebie Mahmuda, nim zdążyli się zmierzyć. W ciągu czterech następnych dni przybyli do Isfahanu trzej wytrawni zaufani szpiedzy i każdy długo rozmawiał z Alą na osobności. Z ich słów wyłonił się dość jasny obraz tego, co zaszło w Gaznie.

Natychmiast po śmierci sułtana władzę chciał objąć starszy syn Mahmuda, Mohamed, lecz uprzedził go młodszy brat, Abu Said Masud, dzielny wojownik cieszący się poparciem wojska. W ciągu paru godzin zakuty w kajdany Mohamed trafił do lochu, a sułtanem został Masud. Uroczysty pogrzeb zmarłego władcy stał się z jednej strony gwałtowną manifestacją bólu, z drugiej zaś – radości. Po zakończeniu obrzędów Masud zwołał swych wodzów i ogłosił zamiar dokonania tego, na co nie powążył się jego ojciec. Ruszali na Isfahan.

Ta ostatnia wieść wywabiła nareszcie Alę z Rajskiego Domu.

Myśl o wojnie była mu całkiem miła. Po pierwsze, Masud był porywczym nieopierzonym młodzikem; Ala miał nad nim przewagę doświadczenia. Po wtóre, każdy Pers w głębi duszy kocha wojnę. Ala doskonale wiedział, że udręczony przez mułłów licznymi zakazami lud przyjmie ją jak wyzwolenie.

Narady wojskowe miały posmak święta; było wino, a w stosownej chwili pojawiały się kobiety – jak za dawnych czasów. Z map wynikało, że tak liczna armia może dotrzeć do Isfahanu tylko jedną drogą: przez ilaste wzgórza na północ od Daszt-e Kawir, a następnie skrajem wielkiej pustyni aż w głąb Hamadanu. Tam skręci na południe.

Ala postanowił zatem wyjść Afgańczykom naprzeciw. Zatrzyma ich w Hamadanie.

Przygotowania do wojny były stałym tematem rozmów i nawet w maristanie Rob, mimo wszelkich starań, nie mógł ich uniknąć. Tymczasem on nie chciał brać w tym udziału. Swój dług wobec Ali, acz wielki, już spłacił. Wyprawa do Indii uświadomiła mu, czym naprawdę jest wojna. Podświadomie jednak oczekiwał wezwania, a troskę głuszył pracą.

Dręczące Kasema bóle brzucha ustąpiły. Ku radości staruszka hakim nadal codziennie wydzieliał mu wino, tyle że zagonił go znów do mycia zmarłych. Rob miał teraz jeszcze więcej pacjentów, gdyż al-Dżuzdżani, pełniąc obowiązki hakimbaszy, musiał część swoich chorych przekazać innym.

Właśnie od chirurga, który albo przestał już się na niego złościć, albo po prostu przestał mu to okazywać, dowiedział się Rob, że Ibn Sina ochotniczo stanął na czele medyków, którzy ruszą z wojskiem na północ. Osłupiał.

– To grzech posyłać taki umysł na rzeź!

– Chce przeżyć jeszcze jedną, ostatnią wyprawę – rzekł spokojnie Al-Dżuzdżani.

– Nie przeżyje jej. Jest za stary!

– Zawsze wyglądał staro, ale nie ma jeszcze sześćdziesięciu lat. – Chirurg westchnął z goryczą. – Moim zdaniem liczy na zabłąkaną strzałę albo włócznię. Chętnie powita śmierć szybszą od tej, która go czeka.

Ibn Sina ogłosił nazwiska jedenastu lekarzy mających mu towarzyszyć – czterech uczniów, trzech świeżo upieczonych hakimów i czterech doświadczonych weteranów.

Odtąd al-Dżuzdżani został Pierwszym Medykiem także i z nazwy. Smutna to była nominacja, przypieczętowała bowiem bolesną świadomość, że Ibn Sina już nie wróci, aby im przewodzić.

Ku wielkiej konsternacji Roba al-Dżuzdżani scedował na niego te sprawy, którymi sam się wcześniej zajmował u boku Ibn Siny, choć miał do wyboru wielu medyków z dłuższym stażem. Ponieważ pięciu z dwunastu wykładowców zostało wcielonych do wojska, Rob musiał też więcej czasu poświęcać nauczaniu – zarówno w maristanie, jak w madrasie. Wszedł również na stałe do komisji egzaminacyjnej i rady nadzorującej współpracę szpitala ze szkołą.

Pierwsze zebranie, w którym uczestniczył, odbyło się w pięknej posiadłości Rotuna ibn Nasra, naczelnika szkoły. Był to tytuł honorowy, toteż ibn Nasr w ogóle nie zaszczylił ich obecnością, lecz wyjeżdżając, zostawił polecenia, by podjęto medyków wspianą ucztą.

Na początek podano plastry wielkiego zielonego melona o specyficznym smaku, słodkiego i tak soczystego, że rozpływał się w ustach. Rob kosztował ich dotąd tylko raz w życiu i właśnie miał o tym napomknąć, gdy jego dawny nauczyciel, Dżalal ul-Din, uśmiechnął się do niego szeroko i rzekł:

– Za ten pyszny owoc możemy być wdzięczni nowej żonie naszego naczelnika.

Widząc, że Rob nie zrozumiał aluzji, nastawiacz kości mrugnął znacząco i dodał:

– Pewnie wiesz, że Rotun ibn Nasr jest nie tylko krewnym szacha, ale i jednym z najwyższych oficerów sztabu. Ala urządził tu w zeszłym tygodniu naradę wojenną, a przy tej okazji pewnie poznał najmłodszą żonę ibn Nasra. Tam, gdzie Ala pozostawi swe nasienie, pojawia się zawsze kosz jego ulubionych melonów. Jeśli zaś nasienie wyda męski owoc, składa kolejny dar, kobierzec Samanidów.

Rob nie zdołał dotrwać do końca przyjęcia; wymówił się złym samopoczuciem i jak ogłuszony pojechał prosto do domu. Mały Rob bawił się z matką w ogrodzie, a Tam spał w kołysce. Rob wziął go na ręce i przyjrzał mu się uważnie.

Zwyczajne dziecko. To samo, które kochał, kiedy rano wychodził z domu.

Położył malca z powrotem, podszedł do skrzynki z sandałowego drewna i wyjął z niej dywan, dar szacha. Rozłożył go na podłodze przy kołysce.

Kiedy podniósł wzrok, w drzwiach stała Maira.

Popatrzył na nią i ujrzał w jej oczach prawdę. Przeszył go ból i litość nad tą kobietą. Podeszedł, chcąc ją objąć, lecz nagle zdał sobie sprawę, że z całych sił wpija palce obu rąk w jej barki. Usiłował coś powiedzieć, ale gardło odmówiło mu posłuszeństwa.

Maira wyrwała mu się i roztarła obolałe ramiona.

– To ty chciałeś tu zostać. A żyjesz tylko dzięki mnie – syknęła pogardliwie. Smutek w jej oczach stwardniał w coś, co nie miało już nic wspólnego z miłością.

Po południu wyprowadziła się do drugiej izby. Kupiła wąskie łóżko i kazała je ustawić między kołyskami dzieci, na królewskim dywanie Samanidów.

70

Izba Kasema

Rob nie zdołał zasnąć. Czuł się tak, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg i leciał w przepaść. Ktoś inny mógłby nawet zabić oboje, pomyślał nagle. Szalona myśl przyprawiła go o zawrót głowy. Nie, powiedział sobie. On nie jest szalony. Tam i Maira nie muszą się go obawiać.

Rano poszedł do maristanu, lecz i tam źle się działo. Ibn Sina zabrał na wojnę czterech pielęgniarzy do dźwigania noszy i zbierania rannych, al-Dżuzdzani zaś nie znalazł jeszcze nowych, którzy by się nadawali. Pozostali chodzili skwaszeni i nie nadążali z pracą, toteż Rob sam obszedł pacjentów, tu i ówdzie przystając, by dopatrzeć czegoś, co zaniedbali pielęgniarze. Zwilżał rozpalone czoła i podawał wodę wyschłym z gorączki wargom.

W jednej z sal znalazł Kasema ibn Sadiego, który leżał na podłodze w kałuży wymiocin, blady jak trup. Stary wyznał,

że gdy poczuł się źle, wyszedł ze swej izdebki i położył się przy chorych, wiedząc, że tam go znajdują. Jak się okazało, już w zeszłym tygodniu miał kilka ataków.

– Dlaczego nic nie mówiłeś?!

– Miałem wino. Piłem i ból ustępował. Ale teraz wino już nie pomaga, panie. Ból jest nie do wytrzymania.

Miał gorączkę, lecz niezbyt wysoką, brzuch miękki. Kiedy ból się nasilał, dyszał ciężko jak pies, zionąc nieświeżym oddechem. Miał obłożony język.

– Przygotuję ci napar.

– Niech cię Allah błogosławi, panie.

Rob poszedł prosto do apteki, gdzie odmierzył środek uśmierzający i bang i rozpuścił je w ulubionym czerwonym winie Kasema. Podał staruszkowi miksturę, a gdy ten ją pił, widział w jego oczach lęk.

Przez cienkie płócienne zasłony wiszące w otwartych oknach maristanu dobiegł narastający gwar. Rob wyszedł przed budynek. Całe miasto wyległo na ulice, by pożegnać żołnierzy.

Dał się ponieść tłumowi na główny majdan. Armia liczyła nie setki, jak w wyprawie na Indie, lecz tysiące ludzi. Nie mieściła się na placach; płynęła ulicami, zalewając pół miasta. Najpierw długie szeregi pancerne piechoty. Potem jeszcze dłuższe łęej zbrojnych. Oszczepnicy. Włóznicy na koniach. Ciężka jazda konno i na wielbłądach. Ciżba była coraz gęstsza, gwar przeradzał się w krzyk; słychać było głośnie pożegnania, płacz kobiet, sprośne żarty, rozkazy, słowa otuchy.

Rob zaczął przepychać się naprzód, pod prąd ludzkiej fali, w smrodzie ciał ludzkich, wielbłądziego potu i końskiego nawozu. Odblask słońca w wypolerowanych zbrojach oślepiał. Na czele

kolumny szły bojowe słonie. Naliczył ich trzydzieści cztery – szach zabierał więc wszystkie.

Nie udało mu się zobaczyć Ibn Siny. Dzień wcześniej pożegnał się z kilkoma wyruszającymi z wojskiem medykami. Ibn Sina nie przyszedł ani go nie wezwał. Widać wolał odejść bez słów.

Idący w pochodzie królewscy muzykanci dęli w długie złote trąby lub potrzęsali srebrnymi dzwonekami, zwiastując zbliżanie się władcy. Za nimi niczym wielka szara góra sunął kołyszącym się krokiem Zu, kierowany przez Harszę, całego w bieli. Siedzący w palankinie szach zaś miał na sobie niebieskie szaty i czerwony turban, w którym zawsze ruszał na wojnę.

Na widok króla wojownika ryk tłumu osiągnął zenit. Gdy szach uniósł dłoń w łaskawym pozdrowieniu, tłum wiedział, że tym gestem obiecuje im Gaznę. Rob patrzył na wyprostowaną postać, która dla ludu nie była już Alą, lecz Kserksesem, Dariuszem i Cyrusem Wielkim – wcieleniem wszystkich wielkich zdobywców.

„Jesteśmy przyjaciółmi...” Rob poczuł zawrót głowy na myśl, ile razy mógł zabić tego człowieka. Dziś stał za daleko, w tłoku. A nawet gdyby znalazł się w pierwszym rzędzie, zginąłby, zanim zdążyłby dopaść króla.

Zawrócił. Znużyło go oglądanie ludzi idących po chwałę lub śmierć. Wydostał się z ciżby i szedł bez celu dotąd, aż znalazł się na brzegu Zajendy, Rzeki Życia.

Zdjął z palca pierścień z litego złota, dar od Ali za służbę w Indiach, i cisnął go w brunatną wodę. Z oddali niósł się przeciągły ryk tłumu. Rob poszedł z powrotem do maristanu.

Po naparze Kasem był półprzytomny i wyglądał źle. Wzrok miał błędny, twarz bladą i zapadniętą. Dygotał, choć dzień był ciepły. Rob przykrył go kocem. Wkrótce koc przesiąkł potem, a twarz starca płonęła od gorączki.

Pod wieczór ból tak się wzmógł, że gdy Rob dotknął brzucha staruszka, ten krzyknął.

Rob nie wrócił do domu. Został w maristanie i co jakiś czas zaglądał do Kasema.

W porze zmierzchu na chorego spłynęła nagle ulga. Zaczął oddychać spokojniej i równiej, potem zasnął. Rob pozwolił sobie na krztynę nadziei, lecz po paru godzinach gorączka wzrosła, tętno stało się szybkie i chwilami ledwie wyczuwalne. Kasem rzucał się niespokojnie na posłaniu.

– Nuwas! – zawołał. – Nuwas!

Przez jakiś czas jakby spierał się z ojcem, wspomniawszy coś o stryju i znów krzyknął:

– Nuwas!

Rob ujął go za ręce i serce w nim zamarło. Trzymał je nadal, bo nie mógł temu człowiekowi dać już nic poza swoją obecnością i tą skromną pociechą, jaką niesie uścisk drugiego człowieka. Po pewnym czasie wysilony oddech zwolnił, a potem ustał. Rob siedział jeszcze przez chwilę trzymając stygnące, pokryte odciskami dłonie.

Zaniósł ciało do kostnicy chwyciwszy je pod pachy i sękate kolana. Potem wszedł do sąsiedniej izby. Śmierdziało w niej, będzie musiał kazać komuś tu posprzątać. Usiadł i zaczął przeglądać mizerny dobytek starca. Znoszona zapasowa koszula, wystrzępiony dywanik modlitewny, kawałek wyprawionej skóry, na której skryba wypisał kilka wersetów z Koranu, dwie flaszki zakazanego wina, bochenek czerstwego ormiańskiego chleba, miska skisłych oliwek, tani sztylet z wyszczerbionym ostrzem.

Było już po północy. Wszyscy spali; czasem tylko któryś z chorych krzyknął lub zajęczał. Nikt nie widział, jak Rob wynosił z izby nędzne mienie Kasema. Kiedy wracał, dźwigając kilka

ciężkich desek, spotkał znużonego pielęgniarza, który wbrew przyjętym obyczajom czmychnął nawet na niego nie patrząc, w obawie że hakim znajdzie mu kolejną pracę.

Rob zdjął siennik z pryczy Kasema i podparł ją deskami z jednej strony, żeby uzyskać odpowiednie nachylenie. Pod niższy brzeg podstawił miskę. Potrzebował światła. Przetrzęsnał szpital i przyniósł cztery lampy i kilkanaście świec, które rozstawił dokoła jak przy ołtarzu. Potem przydźwigał z kostnicy ciało Kasema i położył je na stole.

Nim jeszcze starzec skonał, Rob już wiedział, że złamie zakaz. Teraz jednak, kiedy chwila nadeszła, zabrakło mu tchu. Nie był egipskim balsamistą, nie miał komu rozkazać, by otworzył ciało i wziął na siebie grzech. Kara spadnie na niego.

Wybrał zakrzywiony, ostro zakończony nóż chirurgiczny i naciął powłokę brzucha od krocza po mostek. Ciało się rozchyliło brocząc krwią.

Nie wiedział, od czego zacząć. Zdjął skórę z mostka i zawiodły go nerwy. Miał w życiu tylko dwóch przyjaciół i obaj zginęli od takiego właśnie cięcia. Jeśli ktoś go nakryje, umrze w ten sam sposób, tylko najpierw obedrą go ze skóry.

Wyszedł na korytarz. Przez jakiś czas miotał się jak ćma po szpitalu, ale nawet ci, którzy nie spali, nie zwracali na niego uwagi. Wciąż czuł się tak, jakby spadał w przepaść, teraz jednak miał wrażenie, że widzi już jej dno.

Przyniósł do izby Kasema drobno ząbkowaną piłkę do kości i naciął mostek, odsuwając z myśli obraz zwłok Mirdina. U dołu także rozkroił ciało od krocza do środka uda. Teraz mógł odchylić cały duży wiotki płat ciała i zajrzeć do jamy brzusznej. Zobaczył czerwoną ścianę żołądka, białawe włókna mięśni i – mimo wychudzenia – żółte grudki tłuszczu.

Cienka błona wyściełająca brzuch była zaogniona i pokryta jakąś krzepnącą substancją. Oszołomiony, oglądał po kolei narządy. Wydawały się zdrowe poza silnie przekrwionym jelitem cienkim. Znaczące je żyłki wyglądały jak strużki czerwonego wosku. Nieduży workowaty fragment jelita, nienaturalnie ciemny, przywarł do wyściółki. Kiedy Rob delikatnie spróbował go odlepić, błona się rozdarła odsłaniając niewielką ilość ropy. Tu zatem ulokowało się zakażenie, które przysporzyło Kasemowi tyle bólu. Ulga musiała nastąpić wtedy, gdy chore jelito pękło, uwalniając do jamy brzusznej rzadki, ciemny cuchnący płyn. Rob zanurzył w nim palec i podniósł go do nosa. Oto trucizna powodująca gorączkę i śmierć.

Miał ochotę zbadać pozostałe narządy, ale zanadto się bał. Starannie zaszył nacięcie, aby Kasem był cały, gdyby rzeczywiście przyszło mu kiedyś zmartwychwstać. Potem skrzyżował mu ręce w nadgarstkach, związał je i szerokim kawałkiem płótna opasał biodra zmarłego. Dokładnie owinął ciało w całun i zaniósł je do kostnicy, by nazajutrz rano mogli je pochować.

– Dzięki, Kasemie ibn Sadi – rzekł z powagą. – Spoczywaj w pokoju.

Pobieżnie sprzątnął izbę, a następnie ze świecą udał się do łaźni. Wyszorował całe ciało, zmienił ubranie, lecz wciąż czuł na sobie odór śmierci. Sięgnął po pachnidło i wysmarował nim dłonie i przedramiona.

Na ulicy, w ciemnościach, nadal drżał ze strachu. Trudno mu było uwierzyć, że to zrobił.

Położył się tuż przed świtem. Rano spał jeszcze, gdy Maira wstała i jej twarz stężała jak kamień. W izbie unosił się obcy kwiatowy zapach – zapach innej kobiety, który brukał jej dom.

Błąd mistrza

Jusuf ul-Gamal kiwnął na Roba, zapraszając go do cichej biblioteki.

– Chcę ci pokazać skarb – powiedział.

Była to gruba księga, nowiutka kopia „Kanonu”, największego dzieła Ibn Siny.

– Ta kopia nie jest własnością biblioteki – wyjaśnił Jusuf. – Zrobił ją jeden mój znajomy skryba. Chce ją sprzedać.

Robert ostrożnie wziął księgę do ręki. Skryba włożył w nią wiele serca. Welinowe karty o barwie kości słoniowej wypełnione były równym czarnym pismem. Miała formę kodeksu, zszytych razem arkuszy, które można było swobodnie odwracać. Drewniana okładka obita była miękką jagnięcą skórą.

– Droga?

Jusuf przytaknął skinieniem głowy.

– Ile?

– Ten człowiek sprzeda ją za osiemdziesiąt srebrnych baiz, bo potrzebuje pieniędzy.

Rob zacisnął usta. Nie miał tyle. Maira zachowała spory trzos po ojcu, ale Maira... Bezradnie pokręcił głową.

Jusuf westchnął.

– Pomyślałem, że właśnie ty powinienes ją mieć.

– Skrybie pewnie się spieszy?

Jusuf wzruszył ramionami.

– Poczeka, ale nie dłużej niż dwa tygodnie.

– Dobrze. Poproś go, żeby zaczekał.

Bibliotekarz spojrział na niego z powątpiewaniem.

– A za dwa tygodnie będziesz miał pieniądze, hakimie?

– Jeśli Bóg da.

– No tak – uśmiechnął się Jusuf. – *Inszallah*.

Rob zaopatrzył drzwi izby przy kostnicy w mocny skobel zamykany na kłódkę, do środka wstawił stół, przyniósł kleszcze, widełki, kilka noży, dłuto, a także pulpit, papier, węgle i ołowiane rysiki, szczypce, glinę, wosk, pióra i kałamarz.

Któregoś dnia wziął na targ paru silnych studentów i razem przytaszczyli świeżo ubitego wieprza. Nikt nie był zdziwiony, kiedy Rob zapowiedział, że będzie go kroił.

Tej samej nocy przyniósł i położył na pustym stole zwłoki młodej kobiety zmarłej parę godzin wcześniej. Na imię miała Melia.

Tym razem bał się mniej i chciał zobaczyć więcej. Przemyślał wszystko. Był pewien, że nie jest opętany przez diabła ani dżinna. Wierzył, że skoro Bóg pozwolił mu zostać medykiem i nieść pomoc Jego najdoskonalszym stworzeniom, to nie będzie miał mu za złe tego, że chce o nich wiedzieć jak najwięcej.

Rozciął wieprza i kobietę i jął porównywać ich budowę.

Zaczął od siedliska śmiertelnej choroby brzucha i od razu zauważył różnicę. Jelito ślepe świni, workowata kiszka u wlotu do jelita grubego, było długie na łokieć. U kobiety okazało się znacznie, wielokrotnie mniejsze, a na dodatek wyrastało zeń coś dziwnego o kształcie i barwie dżdżownicy.

Leżący na drugim stole wieprz nie miał żadnego robakowatego wyrostka. Co więcej, Rob nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek widział coś podobnego w zwierzęcych wnętrznościach.

Nie wyciągał pochopnych wniosków. Tak małe jelito ślepe mogło być anomalią, a cienki wyrostek – rakowatą naroślą. Przygotował ciało Melii do pogrzebu równie starannie jak Kasema i odniósł je do kostnicy.

W ciągu następnych nocy zrobił sekcję młodzieńca, kobiety w średnim wieku i sześciomiesięcznego chłopca. W każdym kolejnym ciele z rosnącym podnieceniem znajdował taki sam

wyrostek. „Robaczek” występował u wszystkich ludzi. Oto miał przed sobą dowód, że organy ludzkie różnią się od świńskich.

– Niech cię diabli, Ibn Sino – szepnął. – A jednak się myliłeś!

Wbrew temu, co pisał Celsus, wbrew temu, czego nauczano od tysiąca lat, ludzie są jedyni w swoim rodzaju. A skoro tak, ileż wspaniałych tajemnic można znaleźć i rozwiązać w ludzkich ciałach!

*

Dopóki nie spotkał Mairy, był sam. Teraz znów był samotny i nie mógł już tego znieść. Wróciwszy którejs nocy do domu, położył się obok niej między śpiącymi dziećmi.

Nie próbował jej dotykać, lecz i tak zerwała się jak dzikie zwierzę i strzeliła go w twarz. Była duża i silna – dostatecznie silna, by zadać mu ból. Złapał ją za rękę i przycisnął je do jej boków.

– Oszalałaś?

– Nie przychodź do mnie od perskich ladacznic!

Domyślił się, że poczuła pachnidło.

– Smaruję się wonnościami, bo robię sekcje zwierząt w maristanie i nie mogę się pozbyć smrodu – wyjaśnił.

Milczała przez chwilę, potem spróbowała wyszarpnąć rękę. Poczuł przy sobie jej znajome ciało, zapach jej rudych włosów.

– Maira...

Znieruchomiła. Może sprawił to ton jego głosu. Nachylił się, żeby ją pocałować, i choć nie zdziwiłby się, gdyby go ugryzła, nie zrobiła tego. Dopiero po chwili sobie uświadomił, że Maira oddaje mu pocałunki. Puścił jej rękę i z nieopisaną wdzięcznością dotknął piersi stężyłych podnieceniem, nie śmiercią.

Jęknęła. Nie wiedział, czy płacze czy to jęk rozkoszy. Spróbował mleczych brodawek i musnął ustami pępek. W tym ciepłym brzuchu niczym kłębowisko morskich węży wiły się lśniące różowe

i szare trzewia, ale obejmujące go ramiona nie były sztywne ani zimne. Sięgnął do jej łona, gdzie znalazł gorącą wilgoć, siedlisko życia.

Wszedł w nie i uderzyli o siebie jak klaszczące dłonie, jakby chcieli zgnieść to, czemu nie mogli stawić czoła. Egzorcyzmowali dżinna. Paznokcie Mairy orały plecy Roba, wymierzały mu zasłużoną kaźń. W mroku słychać było tylko głośne oddechy i rytmiczny odgłos zderzających się ciał, aż wreszcie Maira krzyknęła, a chwilę później krzyknął Rob. Pobudzili dzieci; Tam zaczął wrzeszczeć, mały Rob się rozpłakał i w końcu wszyscy czworo śmiali się i płakali równocześnie.

Po pewnym czasie znów zapanował porządek. Starszy malec zasnął, młodszy dostał pierś, a karmiąc go, Maira zaczęła opowiadać, jak przyszedł do niej Ibn Sina i co jej powiedział.

Uratowali mu życie.

Interwencja Ibn Siny go zaskoczyła. Co do Mairy, domyślił się, co musiała przeżyć. Kiedy Tam też usnął, objął ją mówiąc, że zawsze będzie kochał tylko ją. Przygłodził jej rude włosy i ucałował biały kark, na który nawet piegi nie ośmielały się zaglądać. W końcu i ona usnęła. Rob długo leżał wpatrzony w ciemny strop.

Od tej nocy Maira znów zaczęła się uśmiechać, lecz z goryczą dostrzegał w jej uśmiechu cień lęku. Starał się jak mógł, by wszystkimi czynkami przekonać ją o swej miłości.

Któregoś ranka wezwano go do chorego dziecka jednego z dworzan. Przed łóżkiem zobaczył niebieski kobierczyk Samanidów. Chłopczyk miał śniadą cerę, już zakrzywiony nos i coś szczególnego w oczach. Rob znał tę twarz – widział ją, ilekroć spojrział na swego młodszego syna.

Tego dnia nie poszedł do maristanu. Wrócił do domu, wziął Tama na ręce i podniósł go do światła. Malec bliźniaczo przypominał mu

tamto chore dziecko. A przecież tak samo wydawał się podobny do Willa, jego rodzzonego brata... Kochał się z Mairą przed wyjazdem do Izadżu i po powrocie. Równie dobrze Tam może być owocem jego nasienia.

Zmienił mu pieluszkę, dotknął małej rączki, ucałował mięciutki policzek i włożył z powrotem do kołyski.

W nocy kochali się z Mairą czule i delikatnie. Oboje odczuli ulgę, ale nie było już tak jak dawniej. Potem Rob wyszedł z domu i siedział w zalanym księżycową poświatą ogrodzie przy przekwitających jesiennych kwiatach, na które jego żona przelała ongiś część swoich uczuć.

Zrozumiał, że nic nie będzie już takie samo. Maira nie była już tą dziewczyną, która ufnie poszła za nim w łan pszenicy, ani on tym młodzikem, który ją tam prowadził.

Za ten dług także chciał się odpłacić szachowi Ali.

72

Szklany człowiek

Na wschodzie pojawił się tuman kurzu. Ludzie spodziewali się ujrzeć wielką karawanę, a może nawet kilka zmierzających do miasta. Tymczasem było to wojsko.

Gdy stanęło pod murami, poznali Afgańczyków z Gazny. Ich dowódca, młodzieniec w granatowej szacie i śnieżnobiałym turbanie, wkroczył do Isfahanu w asyście czterech oficerów. Nikt ich nie zatrzymywał – armia pod wodzą szacha wyszła do Hamadanu; bram strzegła garstka weteranów, starców, którzy pierchli na widok oddziałów nieprzyjaciela.

Masud nieniekajony przez nikogo dojechał pod Meczeta Piątkowy, gdzie on i jego przybocznicy zsiadli z koni i weszli

do środka. Wraz ze zgromadzonymi wiernymi odmówili trzecią modlitwę, a następnie przez kilka godzin rozmawiali na osobności z imamem Musą ibn Abbasem i grupą jego zaufanych mułłów.

Sułtana oglądała drobna część mieszkańców Isfahanu, wielu za to weszło na mury, by zobaczyć wojska Gazny, gdy rozniosła się wieść o ich przybyciu. Afgańczycy wyglądali na zahartowanych w bojach wojowników, choć większość odziana była tylko w obszarpane nogawice i długie luźne koszule. Dla ochrony przed kurzem owijali usta i nosy końcami turbanów. Dosiadali drobnych, niepozornych koników; przy siodłach wieźli tylko bukłaki z wodą, zwinięte pikowane maty do spania i kołczany pełne strzał. Gładzili je palcami, a niektórzy już sięgali po łuki, patrząc na bogate miasto pełne bezbronnych kobiet tak, jak wilki patrzą na stado zajęcy. Znali jednak posłuch, toteż nie doszło do żadnych gwałtów. Wojownicy czekali na wodza, który przebywał w meczecie. Stojąc obok al-Dżuzdżaniego Rob zastanawiał się, czy jest wśród nich człowiek, który tak dzielnie biegł w chatirze z Karimem.

– Czego może chcieć Masud od mułłów? – zagadnął chirurga.

– Szpiedzy na pewno donieśli mu o waśni szacha z meczetami. Chcąc objąć tu rządy, targuje się o ich błogosławieństwo i... uległość.

Widać osiągnęli porozumienie, bo wkrótce Masud wrócił do swoich oddziałów. Był bardzo młody, ledwie sypał mu się wąs, ale jego twarz była dumną, bezwzględną twarzą drapieżcy; mogliby uchodzić z Alą za krewniaków. Rob z al-Dżuzdżanim patrzyli, jak Masud zdejmuje z głowy czysty biały turban, który starannie chowa w juku, i przed wyruszeniem w dalszą drogę wkłada czarny.

Odjechali na północ tropem wojsk Ali, pozostawiając miasto nietknięte.

– A zatem szach się mylił sądząc, że nadejdą od strony Hamadanu
– zauważył Rob.

– Podejrzewam, że się nie mylił i główne siły Gazny już są w Hamadanie – odparł posepnie al-Dżuzdżani.

Istotnie, wojska towarzyszące Masudowi były znacznie słabsze od armii perskiej, nie miały też słoni. Nie była to więc cała armia Gazny.

– Czy to znaczy, że Masud szykuje zasadzkę?

Chirurg powoli pokiwał głową.

– Możemy ostrzec naszych!

– Gdyby tak było, Masud nie zostawiłby nas przy życiu – mruknął ironicznie starszy lekarz. – Z pewnością już za późno. Zresztą w gruncie rzeczy to, czy Ala pokona Masuda, czy Masud Alę, nie ma znaczenia. Jeśli Kandrasa sprowadzi do Persji Seldżuków, w ostatecznym rozrachunku zwyciężą i tak oni. To straszny lud, liczny jak ziarnka piasku na pustyni.

– Co się stanie z maristanem, jeśli miasto zajmie Masud albo Turcy?

Al-Dżuzdżani wzruszył ramionami.

– Zamkną go, a my będziemy się ukrywać. Potem wychyniemy z nor i wszystko potoczy się dawnym trybem. Wraz z naszym mistrzem służyłem już kilku panom. Władcy przychodzą i odchodzą, a medycy zawsze są potrzebni.

Rob poprosił Mairę o pieniądze i kupił od Jusufa „Kanon”. Z czią brał go do ręki, napawając się posiadaniem pierwszej własnej książki. Marzył, że kiedyś będzie ich więcej.

Nie mógł wszakże poświęcić jej wiele czasu, bo ciągnęło go do izby Kasema. Zarywał kilka nocy w tygodniu na sekcje, z których robił szczegółowe rysunki, a potrzebował przecież snu, by za dnia pełnić swoje obowiązki w maristanie.

U młodego człowieka, który zginął od noża podczas burdy w winiarni, znalazł ów mały wyrostek jelita ślepego powiększony, zaczerwieniony i chropowaty z wierzchu, domyślił się więc, że ogląda chorobę w początkowym stadium. Młodzieniec najpewniej odczuwał już pierwsze sporadyczne bóle. W ten sposób Rob zyskał obraz postępu zmian aż do śmierci pacjenta. Skrupulatnie zapisywał spostrzeżenia i wnioski:

U sześciu zmarłych pacjentów stwierdziłem zapalenie jelita. Jego pierwszą oznaką jest nagły ból brzucha, zazwyczaj silny. Czasem towarzyszą mu febryczne dreszcze, częściej nudności i wymioty.

Po pierwszych bólach chory w każdym badanym przypadku gorączkował. Przy badaniu dotykowym prawej dolnej części brzucha wyczuwa się opór, mięśnie są napięte i twarde, a nacisk wywołuje silny ból.

Nasilenie objawów zależy od stanu wyrostka na jelicie ślepym, który ma postać zbliżoną do tłustej różowej dżdżownicy. Schorzały czerwienieje, a następnie czernieje, wypełnia się ropą i wreszcie pęka, a jego zawartość wylewa się do jamy brzucha. Wówczas już prędko, bo od pół godziny do półtorej doby po wystąpieniu wysokiej gorączki, chory umiera.

Badał te części ciała, które można było łatwo zeszyć i ukryć pod całunem. Głowy nie powazył się tknąć, przez co dręczył go ciągły niedosyt. Przy całym szacunku dla swego mistrza wiedział już, że Ibn Sina miał błędne pojęcie o anatomii człowieka i takie przekazywał swoim uczniom.

Cierpliwie odslaniał, oglądał i rysował postronkowate mięśnie przyczepione do kości ścięgnem z jednego lub obu końców, a czasem płasko. Niektóre były pełniejsze, inne tylko wrzecionowate, czasem podwójne lub potrójne – możliwe, że przy uszkodzeniu jednego brzuśca drugi przejmował jego funkcje. Kiedy zaczynał tę

fascynującą przygodę, wiedział niewiele; teraz, półprzytomny z podniecenia, stopniowo uczył się coraz więcej. Szkicował kości i stawy, ich kształt i wzajemne ułożenie, świadom, iż rysunki te mogą być nieocenioną pomocą w nauczaniu młodych medyków, jak leczyć urazy i złamania.

Po skończonej pracy zawsze owijał ciało w całun i odnosił do kostnicy, a szkice zabierał ze sobą. Nie dręczyła go już wizja piekielnej otchłani, ale też nie zapominał, że jeśli go przyłapią, umrze w mękach. Pochylony nad stołem w małej dusznej izbie wzdrygał się na każdy szmer i zamierał z przerażenia, ilekroć słyszał kroki.

Kiedyś tuż przed brzaskiem wynosił z kostnicy ciało starej kobiety. Już za drzwiami podniósł wzrok i ujrzął pielęgniarza taszczącego zmarłego mężczyznę. Rob przystanął bez słowa. Ręka kobiety wysunęła się spod całunu i zwisała bezwładnie. Rob patrzył na pielęgniarza, który z szacunkiem skłonił głowę.

– Pomóc, hakimie?

– Nie, nie jest ciężka.

Zawrócił i wniósł zwłoki do kostnicy. Tuż za nim pielęgniarz położył obok drugie ciało.

Pierwsza świnia po czterech dniach śmierdziała już tak ohydnie, że musiał się jej pozbyć. Z rozpruwanych ludzkich trzewi bił wszakże odór znacznie gorszy od słodkawego smrodu psującej się wieprzowiny. Utrzymał się w izbie mimo ciągłego mycia.

Kupił nową świnie. Po południu tegoż dnia mijając zamkniętą izbę zobaczył hadźiego Dawuda Husajna szarpiącego się z drzwiami.

– Dlaczego są zamknięte? – spytał poirytowany hadźi. – Co tam jest w środku?

– Świnia, którą będę kroił – odpowiedział spokojnie Rob.

Administrator szkoły popatrzył na niego z obrzydzeniem, w którym wszakże pozostał cień podejrzliwości. Miał obowiązek baczyć, by w madrasie i maristanie przestrzegano muzułmańskiego prawa. Tego dnia Rob jeszcze kilkakrotnie widział go wężącego pod drzwiami izdebki, toteż wieczorem poszedł wcześniej do domu, a nazajutrz rano ujrzął wyłamany skobel.

Nakryta płachtą świnia leżała tak, jak ją zostawił, za to narzędzia z pewnością ktoś przekładał, choć żadnego nie brakowało. Na szczęście nie zostawił żadnych dowodów, lecz włamanie podziałało na niego trzeźwiąco. Prędzej czy później ktoś odkryje, co tu robi.

Ale pęd do wiedzy, gromadzenia bezcennych faktów, zawładnął nim zbyt silnie. Rob jeszcze nie był gotów, by je przerwać.

Odczekał dwa dni. Husajn więcej go nie nachodził. Ale kolejnej nocy zmarł pewien starzec. Stało się to w czasie, gdy spokojnie gawędził sobie z Robem. Rob otworzył jego ciało, by sprawdzić, co zsyła tak łagodną śmierć. Arteria zasilająca serce i dolne członki była zmacerowana i wyschnięta jak zwiędły liść.

Badając zmarłe dziecko zobaczył, skąd wziął nazwę rak. Wydłużone narośle żarłocznie sięgały po zdrową tkankę niczym kleszcze. W innych zwłokach ujrzął żółtą, jakby zdrewniałą wątrobę, choć zdrowa była miękka i miała ciemną, czerwono-brązową barwę.

Tydzień później przeprowadził sekcję kobiety w kilkumiesięcznej ciąży. Odrysował jej postać, przedstawiając otwartą macicę, niczym odwrócony dzban niszczącą w swym wnętrzu kształtującą się dopiero życie. Podpisał ją „Brzemienna” i dał jej twarz Despiny, której nie było dane macierzyństwo.

Pewnej nocy narysował młodego mężczyznę o niedoskonałych, lecz rozpoznawalnych rysach Karima. Przedstawił go tak, jakby miał

skórę z przejrzystego szkła. Narządy, których nie oglądał na własne oczy, rozmieścił posiłkując się opisami Galena. Wiedział, że mogą one być niedokładne, lecz gotowy rysunek go zachwycił, ukazywał bowiem organy i arterie tak, jak widzi je Bóg, którego wzrok przenika wszystko.

W uniesieniu postawił na pergaminie datę i swoje imię, a także podpis: „Szkłany człowiek”.

73

Dom w Hamadanie

Nie mieli żadnych wieści. Zgodnie z wydanym wcześniej rozkazem cztery karawany z zapasami wyruszyły w ślad za wojskami szacha, a ponieważ nie wracały, zakładano, że odnalazły armię i wchłonęła je wojna. Wreszcie któregoś popołudnia, tuż przed czwartą modlitwą, konny goniec przyniósł tragiczną nowinę.

Tak jak przypuszczano, trzon armii Gazny pod wodzą Abu Sahla Hamadaniego i Taska Farrasza posuwał się szlakiem przez Hamadan. Zanim jeszcze Masud dotarł do Isfahanu, afgańscy dowódcy rozdzielili swoje siły, ukryli je w pobliżu wsi Karadz i wysłali tylko zwiad w stronę, z której miał nadciągnąć nieprzyjaciel. Persowie weszli prosto w zasadzkę. Oddziały Hamadaniego runęły na nich pomiędzy chat Karadzu, a z drugiej flanki, okrążywszy wieś, uderzyli wojownicy Farrasza ściskając Persów niczym w kleszczach. Połączywszy się Afgańczycy stworzyli szeroki półkolisty front podobny do stopniowo zaciąganej sieci.

Persowie walczyli dzielnie, wróg miał jednak przewagę liczebną i taktyczną. Cofali się przez kilka dni, a wtedy na ich tyły uderzył trzeci oddział pod wodzą samego Masuda. Opierali się rozpaczliwie,

choć wiadomo już było, że nie zdołają się przedrzeć. Z przodu napierały na nich zwarte szyki dwóch wodzów z Gazny, z tyłu szarpała ich jazda sułtana, nieliczna, lecz zażarta. Bój z nimi przypominał nieco ową starożytną bitwę Persów z Rzymianami, o której opowiadał niegdyś Ala. Tym razem jednak to Persowie walczyli z morderczym, a nieuchwytnym wrogiem. Wojownicy Masuda po uderzeniu znikali i pojawiali się jak spod ziemi na innym odcinku tyłów.

Na koniec, wykrwawiwszy i otumaniwszy przeciwnika, Masud pod osłoną burzy piaskowej pchnął na niego wszystkie swoje siły.

Nazajutrz rano cichnący wiatr omiatał przysypane piaskiem trupy ludzi i zwierząt. Większa część Persów poległa, znacznie mniejsza umknęła. Podobno, mówił goniec, uratował się również szach, ale to nie było pewne.

– Czy wiadomo, co się stało z Ibn Siną? – zapytał al-Dżuzdżani.

– Opuścił szeregi jeszcze przed Karadżem, hakimie. Powalił go atak straszliwych boleści i za przyzwoleniem szacha najmłodszy z medyków, niejaki al-Guri, zabrał go do Hamadanu, gdzie Ibn Sina posiada dom należący niegdyś do jego ojca.

– Znam ten dom – powiedział al-Dżuzdżani.

Rob domyślił się, że al-Dżuzdżani pojedzie do Hamadanu.

– Weź mnie ze sobą – poprosił.

W oczach chirurga mignęła iskierka zawistnej niechęci, lecz prawie natychmiast zgasła. Skinął głową.

– Ruszajmy bez zwłoki – powiedział.

Była to wyczerpująca i smutna podróż. Popędzali konie, nie wiedząc, czy zastaną jeszcze Ibn Sinę przy życiu. Al-Dżuzdżani milczał jak głaz. Rob wiedział, co czuje. On sam miłował mistrza znając go tak krótko; al-Dżuzdżani czcił go niczym ojca i Boga przez całe swoje życie.

Musieli zbroczyć na wschód, by ominąć walki, toczące się wciąż w rejonie Hamadanu. W samym mieście panował senny spokój, jakby straszliwa rzeź zaledwie o parę mil stąd w ogóle nie miała miejsca.

Dom w Hamadanie zdawał się odpowiedniejszy dla Ibn Siny niż bogata isfahańska rezydencja. Zbudowany z kamieni i gliny, przypominał szaty noszone na co dzień przez mistrza, niepozorne, sfatygowane i wygodne. Unosił się w nim jednak odór choroby.

Al-Dżuzdzani zazdrośnie strzegł swoich praw. Rob musiał zaczekać pod drzwiami izby, w której leżał mistrz. Słyszał szmer głosów, a potem wyraźny odgłos uderzenia. Zaniepokojony, zerwał się na nogi. Drzwi się otworzyły i z izby wybiegł młody medyk, al-Guri, blady i zapłakany. Minął go bez powitania i wypadł z domu.

Chwilę później wyszedł al-Dżuzdzani, a za nim siwy mułła.

– Ten gówniarz go zabił! Kiedy tu przybyli, podał mistrzowi nasiona selera, żeby uśmierzyć kolkę. Tylko że zamiast dwóch danak odmierzył pięć dirhamów i spowodował krwotok.

Jeden dirham zawierał sześć danak. Chory otrzymał więc piętnastokrotnie zawyżoną dawkę silnie przeczyszczającego leku. Al-Dżuzdzani popatrzył na Roba z rozpaczą.

– I to ja go odpytywałem. Kiedy zdawał egzamin... – rzekł gorzko.

– Nie mogłeś przecież zajrzeć w przyszłość i tego przewidzieć – powiedział łagodnie Rob.

Al-Dżuzdzani usiadł, obejmując głowę rękami.

– Cóż za okrutna ironia losu – szepnął. – Żeby niedouczony hakim stał się przyczyną śmierci największego lekarza na świecie!

– Jest przytomny?

Mułła przytaknął.

– Wyzwolił niewolników i rozdał swoje dobra ubogim.

– Mogę do niego wejść?

Al-Dżuzdzani machnął ręką.

Znalazłszy się w izbie, Rob przeżył wstrząs. W ciągu czterech miesięcy, odkąd widział Ibn Sinę po raz ostatni, został z niego strzęp. Oczy zapadły się w głąb czaszki, twarz jakby zmałała, a skóra przybrała barwę wosku. Al-Guri wyrządził mu krzywdę, lecz błąd w terapii przyspieszył tylko nieuniknione skutki raka.

Rob ujął dłonie starego medyka i wyczuł w nich tak niewiele życia, że odjęło mu mowę. Ibn Sina otworzył oczy. Ich przenikliwe spojrzenie mówiło: „Ja też to wiem. Nie musisz udawać.”

– Powiedz, mistrzu – odezwał się z goryczą – dlaczego medyk, choć niby wiele może zdziałać, jest bezradny jak liść na wietrze, a prawdziwą władzę ma tylko Allah?

Ku jego zdumieniu wyniszczona twarz chorego nagle jakby się rozpromieniła. W ułamku sekundy pojął, dlaczego Ibn Sina próbuje się uśmiechnąć.

– Więc to jest ta zagadka? – bąknął niepewnie.

– To właśnie ona... przyjacielu. Całe życie... szukaj... odpowiedzi.

– Mistrzu?

Ibn Sina nie odpowiedział. Zamknął oczy. Rob także milczał.

– Mogłem jechać gdzie indziej, jawnie i bez przebieranek – rzekł wreszcie po angielsku. – Do Zachodniego Kalifatu... do Toledo, Kordoby... Ale usłyszałem o pewnym człowieku, którego w moim kraju zwał Awicenną, a którego imię przeniknęło mnie dreszczem i uwięziło jak zakłęcie. Abu Ali al-Husajn ibn Abdullah Ibn Sina.

Stary medyk otworzył oczy i lekko ścisnął jego dłoń.

– Chciałem dotknąć choć rąbka twojej szaty. Ujrzeć największego medyka na świecie... – szepnął Rob.

Ledwie pamiętał Nataniela Cole’a – zmęczonego, sponiewieranego przez życie cieślę. Balwierz traktował go dobrze,

ale nie kochał. W głębi serca Ibn Sina był dla niego jedynym ojcem. Wybaczył mu wszystkie błędy; pragnął jeszcze tylko jednego.

– Pobłogosław mi, nauczycielu.

Ciche urywane słowa były arabskie, lecz nie musiał ich rozumieć. Wiedział, że Ibn Sina zawsze mu błogosławił.

Ucałował go na pożegnanie. Gdy wychodził, przy łożu siadł z powrotem mułła. Wkrótce dały się słyszeć śpiewne słowa Koranu.

74

Król królów

Rob wrócił do Isfahanu. Al-Dżuzdzani pozostał z umierającym mistrzem, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że w ostatnich chwilach chce zostać z nim sam.

– Nie zobaczymy już Ibn Siny – powiedział Rob po powrocie. Maira odwróciła głowę i rozplakała się jak dziecko.

Gdy tylko odsapnął, pojechał do maristanu. Bez Ibn Siny i al-Dżuzdzaniego w szpitalu zapanowało rozprężenie. Dwoił się i troił, by je opanować, całe dni badając pacjentów i wykonując zabiegi. Zrobił uczniom wykład o opatrywaniu ran i przemógłszy lęk, spotkał się z Dawudem Husajnem, by omówić z nim sprawy administracyjne. W obliczu zagrożenia wielu uczniów porzuciło praktykę i wróciło na prowincję; hadzi skarżył się, że nie ma kto pracować w szpitalu. Na szczęście pacjentów też było mniej: ludzie instynktownie bardziej bali się najazdu niż choroby.

Wieczorem Maira miała zaczerwienione i podpuchnięte oczy. Przywarli do siebie z prawie już zapomnianą czułością.

Wychodząc rano z domu, Rob wyczuł w powietrzu zmianę, jak wilgoć przed burzą w Anglii. Na żydowskim targu większość

straganów była pusta. Hinda gorączkowo pakowała swój towar.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Afgańczycy!

Popędził konia ku murom.

Koronę murów szczelnie oblepili milczący ludzie. Wspiąwszy się na samą górę, zobaczył przyczynę: liczne wojska Gazny stojące pod miastem. Piechota zajęła połowę powierzchni równinnego terenu od zachodu. Jazda stała już obozem na pagórkowatym pogórzu, a bojowe słonie zgromadzono nieco wyżej na zboczach, w pobliżu skupiska namiotów i szałasów, nad którym w suchym wietrze łopotały proporce wyższych rangą dowódców. Pośrodku obozowiska górował nad innymi długi sztandar Masuda z głową czarnej pantery na pomarańczowym polu.

Wedle pobieżnego szacunku armia ta była czterokrotnie silniejsza od oddziału, który Masud przeprowadził przez Isfahan w drodze na zachód.

– Dlaczego nie weszli do miasta? – zapytał jednego z żołnierzy kalandara.

– Chcą szacha. Jest w pałacu.

– I to ich powstrzymuje?

– Masud żąda, żebyśmy sami go wydali. Jeśli to zrobimy, daruje nam życie. Jeśli nie, poprzysiągł usypać na majdanie górę z naszych kości.

– Wydacie go?

Żołnierz zgromił go spojrzeniem i splunął.

– Jesteśmy Persami, a to nasz król.

Rob pokiwał głową, choć nie do końca mu wierzył.

Zszedł z murów i zawrócił do domu. Swój angielski miecz trzymał dotąd w skrzyni, zawinięty w natłuszczone szmaty. Teraz przypiął go do pasa i przykazał Mairze, by także trzymała na podorędziu

ojcowski miecz, a po jego wyjściu zabarykadowała drzwi. Potem dosiadł kasztanka i pojechał do Rajskiego Domu.

W alei Alego i Fatimy stały tu i ówdzie grupki przerażonych mieszkańców Isfahanu. Znacznie mniej ludzi było w szerokiej alei Tysiąca Ogrodów, a u bram Rajskiego Domu nie zobaczył nikogo. Wypielęgnowane drzewa i kwietniki nosiły ślady zaniedbania. W bramie stał samotny strażnik, wystraszony chłopiec, który zastąpił mu drogę.

– Jestem Jesse, hakim z maristanu. Szach mnie wzywał.

Strażnik zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową i przepuścił konia. Rob minął sztuczny las zasadzony dla królów, zielone pole do gry w piłkę i kij, tory wyścigowe i pawilony. Zatrzymał się za stajniami, przy kuźni Wangalala. Płatnerz i jego starszy syn z pewnością poszli z armią do Hamadanu. Nie wiedział, czy przeżyli, ale reszta rodziny zniknęła. Domek opustoszał; ktoś rozwalił dymarkę zbudowaną z takim trudem przez Hindusa.

Ruszył długim pięknym podjazdem do pałacu. Na blankach nie było straży. Kopyta kasztanka zadudniły głucho po zwodzonym moście. Uwiązał go przed wielką bramą i wszedł do Rajskiego Domu.

Jego kroki obudziły głośnie echo w pustych korytarzach. W kącie sali audiencyjnej, gdzie przyjmował go władca, ujrzął Alę. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. Przed nim stał opróżniony do połowy dzban wina i tablica do gry szacha z rozstawionymi pionami.

Wyglądał jeszcze bardziej niechlujnie niż jego ogrody. Brodę miał skołtunioną, oczy wpadnięte i podkrążone. Zeszczupłał, przez co jego nos ostatecznie upodobił się do ptasiego dzioba. Spojrzył na Roba, który stanął przed nim z dłonią na rękojeści miecza.

– Co, *zimmi*? Przychodzisz się odegrać?

Dopiero patrząc, jak Ala cofa piony na pozycje, Rob pojął, że mówił o grze szacha. Wzruszył ramionami i przesunął nieco pochwę, tak by usiąść wygodnie na posadzce naprzeciw króla.

– Moja świeża armia – rzekł kwaśno Ala i wykonał pierwszy ruch piechurem z kości słoniowej.

Rob przesunął czarnego żołnierza.

– Gdzie Farad? Poległ? – Nie spodziewał się zastać szacha samego. Myślał, że będzie musiał przedtem zabić Dowódcę Bram.

– Nie. Uciekł. – Ala zbił czarnego żołnierza białym jeźdźcem, a Rob wykorzystał swego hebanowego jeźdźca i zabrał mu piechura.

– Chuff by cię nie porzucił – mruknął.

– Nie, Chuff by nie uciekł – przyznał z roztargnieniem Ala. Przyjrzał się szachownicy i wysunął z flanki wyciętego z kości słoniowej rocha, zabójcę z dłońmi stulonymi przy ustach, pijącego krew wroga.

Rob krok po kroku wciągał go w zasadzkę. Poświęcił swojego jeźdźca i zbił białego rocha. Szach podniósł na niego wzrok. Odtąd jego ruchy były lepiej przemyślane i dłużej się nad nimi zastanawiał. Oczy mu zabłyśły, gdy zdobył drugiego czarnego jeźdźca, ale ostudziła go utrata słonia.

– Co się stało z Zu? – spytał Rob.

– Ach, to był świetny słoń... Jego też straciłem pod Karadzem.

– A Harsza?

– Zginął jeszcze przed Zu. Dostał w pierś włócznią. – Nie częstując Roba, napił się wina prosto z dzbana, oblewając i tak już brudny kaftan. Otarł usta i brodę wierzchem dłoni. – Dość pogaduszek. – Nachylił się nad tablicą, gdzie hebanowe figury miały lekką przewagę.

Posępnie skupiony, szach ruszył do ataku. Próbował podstępów, które ongiś działały, lecz Rob w ostatnich latach grywał z tęższymi od siebie umysłami. Mirdin pokazał mu, kiedy opłaca się brawura, a kiedy ostrożność; Ibn Sina nauczył go przewidywania. Teraz wciągał Alę w ślepe zaułki, w których figury z kości słoniowej czekała zguba.

Czas płynął. Czoło szacha zrosiły kropelki potu, choć w wyłożonej marmurem sali panował chłód. Rob czuł się tak, jakby jego pionami kierowali Mirdin i Ibn Sina. W końcu na tablicy pozostał biały król, hetman i wielbłąd.

Patrząc Ali prosto w oczy, Rob zbił swym hetmanem wielbłąda.

Ala zasłonił swojego króla hetmanem. Lecz Rob miał jeszcze pięć figur: króla, hetmana, rocha, wielbłąda i piechura. Doprowadził nie zagrożonego piechura na przeciwległy skraj tablicy, gdzie przepisy gry pozwalały go wymienić na rocha. Zaraz zresztą go poświęcił, żeby w trzech ruchach zbić białego hetmana. Jeszcze dwa i czarny hetman stanął na wprost białego króla.

– Usuń się, szachu – rzekł cicho Rob.

Powtórzył to jeszcze trzy razy, aż w końcu biały król nie miał już dokąd uciec.

– *Szatrandż*.

– Tak. Upadek króla. – Ala zmiotł pozostałe figury z tablicy.

Spojrzeli na siebie. Rob sięgnął do miecza.

– Masud ogłosił, że jeśli poddani cię nie wydadzą, jego wojska wymordują ludzi i splądrują miasto.

– Afgańczycy i tak utopiają Isfahan we krwi, czy mnie kto wyda, czy nie. Jest tylko jedna szansa. – Ala dźwignął się na nogi. Rob też wstał; nie wypadało, by plebejusz siedział przy stojącym władcy. – Wyzwę Masuda. Niech król potyka się z królem.

Rob poczuł mimowolny podziw. Zmarszczył brwi. Przyszedł tu zabić, a nie podziwiać.

Ala zgiął ciężki łuk, który mało kto mógł napiąć, i nałożył nań cięciwę. Wskazał wiszącą na ścianie miecz z wzorzystej stali, dzieło Wangalala.

– Podaj mi tę broń, *zimmi*.

Rob przyniósł miecz i patrzył, jak Ala troczy go do pasa.

– Wyjdiesz przeciw Masudowi?

– Chyba już pora.

– Chcesz, żebym ci towarzyszył?

– Nie! – W głosie Ali zabrzmiała obraza i wzgarda.

Istotnie, dziwnym byłby giermkim i jako Anglik, i jako Żyd. Poczuł ulgę; ofiarował się porywczo i bez namysłu, jak gdyby miał powód ginąć u boku Ali.

Sępia twarz szacha złagodniała.

– Jesteś mężnym człowiekiem. Doceniam to, co powiedziałaś. Zastanów się, czego byś chciał w nagrodę. Otrzymasz ją, jak wrócę.

Rob wspiął się wąskimi schodami na pałacowe blanki. Z ich zawrotnej wysokości widział domy bogaczy, ludzi stojących na murach, równinę za murami i wojska afgańskie ciągnące się aż na wzgórza.

Wiatr rozwiewał mu włosy i brodę. Czekał dość długo; Ali nigdzie nie było. Zaczął sobie wyrzucać, że go nie zabił, zanim ten wystrychnął go na dudka i uciekł.

Po chwili stwierdził, że był w błędzie.

Ze swojego miejsca nie widział zachodniej bramy, ujrzął więc go dopiero na równinie. Szach jechał na swym ulubionym wierzchowcu, pięknym białym arabie, który zadziornie rzucał łbem i przebierał nogami jak tanecznicą. Kierował się prosto do obozu nieprzyjaciela. Zbliżywszy się ściągnął wodze, stanął

w strzemionach i uniósł dłoń do ust. Wyzywał Masuda. Do Rajskiego Domu dobiegł tylko cichy niezrozumiały dźwięk, jednakże część ludzi na murach dosłyszała słowa. Wychowali się na legendzie Artabana i Ardaszira, ich pojedynku, który rozstrzygnął o wyborze króla królów. Zerwał się ryk. Z tej części afgańskiego obozu, w której stały namioty dowództwa, wyjechała grupka konnych. Prowadził ich człowiek w białym turbanie, być może Masud, choć trudno było mieć pewność. Nie wiadomo, czy słyszał o Artabanie i Ardaszirze, dość, że nie dbał o legendy.

Z afgańskich szeregów wypadł oddział łuczników na szybkich koniach.

Biały arab był najściglejszym wierzchowcem, jakiego Rob w życiu oglądał, lecz Ala nie próbował uciekać. Znow stanął w strzemionach. Rob podświadomie czuł, że obrzuca wyzwiskami młodego sułtana, który nie chciał z nim walczyć.

Łucznicy byli już blisko, Ala napiął łuk i zawrócił konia. Nie miał dokąd uciec. W pełnym galopie odwrócił się w siodle i wypuścił strzałę, która powaliła jadącego na przedzie wojownika. Piękny partyjski strzał wzbudził aplauz na murach.

Ale chmara strzał wycelowanych w szacha Persji była już w powietrzu.

Kilka trafiło konia. Na pysku ogiera wykwitła czerwona plama. Zwolnił, przystanął chwiejnie i runął na ziemię wraz z martwym jeźdźcem.

Rob mimo woli poczuł łzy w oczach. Patrzył, jak łucznicy przywiązują sznur do nóg trupa i wloką go do obozu, znacząc swój ślad tumanem szarego pyłu. Z powodów, których nie rozumiał, najbardziej zabolalo go to, że powlekli króla twarzą do ziemi.

Rozsiodłał kasztanka i wpuścił go na wybieg przy królewskich stajniach. Namęczył się, otwierając ciężkie wrota, ale w Rajskim

Domu nie było już nikogo; musiał sam sobie poradzić.

– Żegnaj, przyjacielu – powiedział, klepnął konia po zadzie, a gdy kasztanek przyłączył się do tabunu, zamknął starannie wrota. Bóg jeden wie, kto rano będzie właścicielem jego konia.

W zagrodzie dla wielbłądów wziął z szopy dwie uprzęże, a następnie wybrał dwie młode silne wielbłądzice. Klęczały, przeżuając, i mierzyły go spokojnym wzrokiem.

Pierwsza próbowała ugryźć go w ramię, gdy chciał jej nałożyć uzdę, ale Mirdin, ten najłagodniejszy z ludzi, nauczył go nie patyczkować się z wielbłądami. Kopnął ją w żebra tak mocno, że ze świstem wypuściła powietrze zza wielkich żółtych zębów. Nie buntowała się dłużej, druga zaś w ogóle nie sprawiła mu kłopotu, jakby wystarczyło jej to, co widziała. Wsiadł na większą, mniejszą wziął na postronek.

W bramie nie było już młodego strażnika, za to całe miasto ogarnęło szaleństwo. Objuczeni dobytkiem ludzie miotali się we wszystkie strony, ciągnąc za sobą osły i wielbłądy. W alei Alego i Fatimy kotłowało się jak w ulu; obok Roba przemknął uciekający koń płosząc jego wielbłądzice; na straganach leżały porzucone towary. Zauważył, że ludzie spozierają łakomie na jego zwierzęta, przesunął więc miecz tak, by go widzieli – i by w razie potrzeby błyskawicznie dobyć go z pochwy. Musiał nadłożyć drogi; cała wschodnia dzielnica zatkana była ciżbą pracą do wschodniej bramy, by umknąć wrogim wojskom obozującym po zachodniej stronie miasta.

Dotarłszy wreszcie do domu, zawołał Maireę. Otworzyła drzwi z twarzą jak popiół i mieczem ojca w dłoni.

– Wracamy do kraju – powiedział.

Jej usta poruszyły się w dziękczynnej modlitwie.

Rob zdjął turban i perskie szaty, włożył czarny chałat i skórzaną żydowską czapkę. Spakował „Kanon” Ibn Siny, rysunki anatomiczne zwinięte i ukryte w wydrążonym bambusie, swoje notatki, narzędzia chirurgiczne, grę szacha należącą kiedyś do Mirdina, trochę żywności, leki i pieniądze Jakuba Cullena. Jego miecz wzięła Maira, resztę załadował na mniejszą wielbłądnicę. Większej przytroczył trzcinowy kosz z jednej strony garbu, a z drugiej worek z rzadko tkanego płótna. Przyniósł w małej fiolce odrobinę bangu, umoczył w nim palec i dał go do ssania małemu Robowi, a potem Tamowi. Kiedy posnęli, wsadził starszego do kosza, malca do worka, Mairze zaś pomógł usadzić się obok nich w siodle.

Nie czekali do zmierzchu – Afgańczycy w każdej chwili mogli wtargnąć do miasta. Sporo czasu zajęło im jednak przedarcie się przez ogarnięty chaosem Isfahan. W zapadającym zmroku wymknęli się opuszczoną przez strażę zachodnią bramą, tak blisko nieprzyjacielskiego obozu, że słyszeli śpiewy, nawoływania i ochrypłe komendy. W pewnej chwili posłyszeli tętent; zdawał się kierować wprost na nich, ale zбочzył i ucichł.

Narkotyk powoli przestawał działać. Mały Rob pojękiwał, potem się rozplakał. Zdrętwieli ze strachu, pewni, że słyszą ich na mile. Maira prędko wyjęła synka z kosza i uciszyła go piersią.

Prowadząc oba wielbłądy, Rob ruszył myśliwskim szlakiem na wzgórze. Nie słyszeli za sobą pogoni. Wkrótce obozowe ogniska zostały daleko w tyle, a nieco później, oglądając się, ujrzeli nisko na niebie czerwona węża łunę. Isfahan płonął.

W pierwszym bladym świetle brzasku upewnił się, że nie pobłądzili. Wzgórze mieli już za plecami, a Afgańczyków nigdzie nie było widać. Całe ciało miał obolałe, a stopy paliły go jak ogniem. Czuł, że jeśli się zatrzyma, może już nie wstać.

Obaj malcy szlochali żałośnie, szara na twarzy Maira jechała z zamkniętymi oczami, ale nie pora była jeszcze na odpoczynek. Zacisnął zęby i zmusił do wysiłku strudzone nogi, prowadząc wielbłądy na zachód, ku pierwszej znanej mu żydowskiej wiosce.

Powrót do domu

75

Londyn

Przeprawili się przez Kanał i zeszli ze statku na nabrzeże Królowej późnym popołudniem dwudziestego czwartego marca roku Pańskiego 1043. Może gdyby przybyli do Londynu w ciepły letni dzień, ich życie potoczyłoby się inaczej. Ale Maira, dźwigając w lodowatej mżawce młodszego syna, który tak samo jak jego ojciec rzygał od brzegów Francji aż do końca podróży, znienawidziła Londyn już od pierwszej chwili.

Przy nabrzeżu było ledwie tyle miejsca, żeby zmieścić trap. Samych długich czarnych okrętów wojennych Rob naliczył ponad czterdzieści. Prócz nich stał w porcie rój wszelkiego pokroju statków handlowych. Umęczeni podróżą, zatrzymali się w gospodzie przy targowisku Southwark, którą Rob pamiętał z lat dzieciństwa. Okazała się nędzną zapluskwioną norą, co do reszty odebrało im humor.

Nazajutrz o świcie Rob wybrał się na poszukiwanie lepszego lokum. Zszedł nadbrzeżną groblą do mostu londyńskiego, który jako jedyny wyglądał tak jak dawniej. Londyn bardzo się rozrósł. Tam, gdzie niegdyś były łąki i sady, ujrział las budynków i uliczki równie kręte jak w Jahudii. Północnej części miasta Rob w ogóle nie poznał. Przed laty stały tu otoczone polami i ogrodami dwory największych rodów. Teraz część sprzedano i na zielonych niegdyś błoniach

wyrosły kuźnie, skupione blisko siebie warsztaty i sklepiki złotników, podobnie rzemieślników pracujących w srebrze i miedzi. Rob nie miał ochoty mieszkać w okolicy zasnutej dymem i smrodem garbarni, rozbrzmiewającej hałasem kowalskich młotów i wiecznym turkotem wozów dowożących rudę do pieców.

Każda dzielnica pozostawiała coś do życzenia. Cripplegate leżała tuż przy nie osuszonym mokradle, Holborn i Fleet były za daleko od centrum, na Cheapside skupiło się zbyt wielu drobnych handlarzy. Niżej położona część miasta była jeszcze gęściej zaludniona, ale to tam rozpoczęła się jego historia, wrócił więc na nabrzeże.

Najważniejszą ulicą Londynu była ta biegnąca wzdłuż Tamizy. W odchodzących od niej wąskich zaułkach gnieździli się tragarze, dokerzy i podobna im drobica, lecz wzdłuż głównej ulicy kwitł handel na wielką skalę. Po jej południowej stronie wał rzeczny i nabrzeża wymuszały zabudowę w linii z grubsza prostej; po północnej panował chaos: tu była węższa, tam szersza, nadbudowane piętra domów zwieszały się nad nią jak brzemiennie brzuchy; gdzieniegdzie przed cofniętym od ulicy składem śmiało wysuwał się naprzód otoczony płotem warzywnik, o każdej zaś porze przewalała się tędy gwarna fala zwierząt i ludzi, którą Rob pamiętał jeszcze z dzieciństwa.

W pierwszej napotkanej karczmie zapytał o kwatere do wynajęcia i skierowano go do domu u wlotu zaułka biegnącego nad kanałem zasilającym fosę. Tuż obok stał niewielki przygarbiony kościół Świętego Asafa, uznał więc, że Maira będzie zadowolona. Parter zajmował właściciel, piętro było do wynajęcia. Składało się z jednej małej i jednej dużej izby. Strome schody prowadziły wprost z góry na ruchliwą ulicę. Nie zauważył robactwa, czynsz wydawał się

uczciwy, a sąsiedztwo też było niezłe: po lepszej stronie, na zboczu wznoszącym się ku północy, mieli domy bogaci kupcy.

Nie mierzając czasu, wrócił na Southwark po rodzinę.

– To jeszcze nie jest prawdziwy dom, ale tymczasem chyba się nada? – zagadnął żonę, sprowadziwszy ją na miejsce.

Maira była wyraźnie speszona, a jej odpowiedź utonęła w huku dzwonu od Świętego Asafa.

Gdy tylko się wprowadzili, Rob przybił do drzwi tabliczkę z wymalowanym na czarno napisem: „Robert Cole, *medicus*”.

Na początku Maira odetchnęła, znalazłszy się pośród ludzi, których mowę bez trudu rozumiała. W domu mówiła do synów po gaelicku, chciała bowiem, żeby znali ten język.

Łatwość, z jaką w Londynie można było wszystko dostać, przyprawiała ją o zawrót głowy. Wyszukała zaraz szwaczkę i obstalowała sobie suknię z pięknej brązowej wełny. Marzyła o błękitnej w odcieniu letniego nieba – jak ta, którą kiedyś sprawił jej ojciec. Tu jednak nie było indygowych barwników; za to nowa suknia miała piękny krój i rękawy tak szerokie, że wdzięcznymi fałdami spływały prawie do ziemi.

Dla Roba zamówili porządne szare nogawice i kaftan. Wbrew jego protestom kupiła mu też dwa czarne płaszcze, jakie nosili medycy – jeden lekki na lato, drugi ciepły z kapturem, podbity lisim futrem. Odzież, którą kupił sobie w Konstantynopolu, wytarła się już do nitki.

Pierwszy etap podróży szlakiem żydowskich osad, którym poruszali się krok po kroku, jakby nizali paciorki na sznurek, doprowadził ich w końcu do Konstantynopola. Tam Rob przystrzygł krzaczasty zarost w krótką klinowatą bródkę i przebrał się w zachodni strój. Nim się przyłączyli do karawany, Jesse ben

Beniamin zniknął, a na jego miejscu pojawił się Robert Jeremiasz Cole, Anglik wracający z rodziną do kraju.

Pomimo wszystko szkoda było wyrzucać tamto odzienie i Maira przerobiła je na ubranka dla synów. Tammy nosił koszulki i tuniki po małym Robie, choć zawsze musiały się trochę przeleżeć, bo Rob był duży jak na swój wiek, a Tam trochę mniejszy od rówieśników. W podróży przeszedł ciężką chorobę. Byli już we frankońskim mieście Freising, gdy obaj chłopcy dostali zapalenia gardła z długotrwałą wysoką gorączką. Bała się, że ich straci. Na szczęście obaj przeżyli. U małego Roba choroba nie pozostawiła żadnych widocznych śladów; Tamowi poraziła lewą nogę, która stała się blada, bezkrwista i jakby martwa.

Karawana wkrótce miała ruszyć dalej i przewodnik oświadczył, że nie będzie czekał na chorych.

– To idź do diabła – powiedział mu krótko Rob. Najpierw dzieci musiały wrócić do zdrowia. Okładał nogę Tama gorącymi kompresami, nie sypiał po nocach, by ciągle je zmieniać, brał małą nóżkę w swoje wielkie dłonie i zginał ją w kolanie, zmuszając mięśnie do pracy, oklepywał, ugniatał, szczypał i nacierał niedźwiedzim sadłem.

Rekonwalescencja trwała długo. Malec miał niespełna dwa lata, gdy zachorował. Potem musiał od nowa uczyć się poruszać – raczkować, wstawać, a w końcu i chodzić. Tym razem sprawiało mu to znacznie więcej trudności, lewa nóżka pozostała bowiem nieco krótsza.

Spędzili we Freisingu prawie rok, najpierw czekając na wyzdrowienie Tama, a potem na silną grupę podróżnych, zdążającą na Zachód. Chociaż Rob nie zdołał polubić tamtejszych mieszkańców, nauczył się życzliwiej patrzeć na ich zwyczaje. Przychodzili do niego po poradę, choć nie znał ich języka, widzieli

bowiem, z jaką troską i czułością opiekuje się swoim dzieckiem. Do dziś zresztą walczył o pełną sprawność Tama, który wciąż pociągał nogą, będąc zarazem najruchliwszym chyba dzieckiem w Londynie.

Chłopcy czuli się w mieście znacznie swobodniej niż ich matka. Maira nie mogła się tu zadomowić. Klimat wydawał jej się zbyt wilgotny, a Anglicy zbyt oziębli. Na targu musiała się pilnować, by gestykulując przesadnie, nie wyklócać się o cenę, do czego przywykła i co w sumie polubiła. Ludzie tu na ogół byli mniej przyjaźni, niż się spodziewała. Nawet Rob stwierdził, że brak mu wylewnej elokwencji Persów.

– Te ich wszystkie pochlebstwa warte były tyle co kozie bobki, ale miło się ich słuchało – rzekł i w jego głosie zabrzmiała nutka żalu.

Martwił ją. W łóżu czegoś między nimi brakowało; jakby przyprószył je smutek. Kupiła zwierciadło i przyjrawszy się sobie, stwierdziła, że jej ogorzała w podróży cera straciła dawną świeżość, twarz wychudła, rysy się wyostrzyły. Piersi, którymi wykarmiła dwoje dzieci, też nie były już takie jak kiedyś. Tymczasem po Londynie włóczyły się rzesze ladacznic, a niektóre z nich były naprawdę piękne. Prędzej czy później Rob da się skusić. Wyobraziła go sobie, jak opowiada sprzedajnej dziewczce, czego się w Persji nauczył o miłości, i oboje tarzają się ze śmiechu – tak jak oni dawniej. Zrobiło jej się przykro.

Londyn był dla niej czarnym bagnem, w którym już zanurzyli się po kostki. Porównanie samo się nasuwało, bo Londyn śmierdział gorzej od wszystkich bagien, jakie zdarzyło im się mijać w Azji i Europie. Otwarte rynsztoki i brud nie różniły się co prawda od isfahańskich, ale mieszkało tu wielokrotnie więcej ludzi

stłoczonych jak śledzie – zwłaszcza w niektórych dzielnicach, toteż połączony smród odchodów i odpadków wołał o pomstę do nieba.

Kiedy po ucieczce z Isfahanu dotarli na tereny wschodniego cesarstwa i znów znalazła się wśród chrześcijan, wchodziła do każdego napotkanego kościoła. Teraz jednak straciły dla niej urok, a zaczęły przytłaczać. W Londynie było ich znacznie więcej niż meczetów w Isfahanie. Górowały nad innymi budynkami, jakby całe miasto przycupnęło u ich stóp, i przemawiały grzmiącym głosem dzwonów, przyprowadzającym ją o dreszcz. Nieraz miała wrażenie, że kołyszące się dzwony wzbijają potężny wiatr, który porwie ją i uniesie. Kościół Świętego Asafa, choć nieduży, dzwon miał wielki, jego dźwięk trząsał całym domem, a przyłączały się do niego inne – ogłuszający chór domagający się uwagi skuteczniej niż cała armia muezinów. Dzwony wzywały wiernych na modlitwę, dzwony uświęcały podniesienie w czasie mszy, dzwony ostrzegały zapóźnionych o zamknięciu bram, ogłaszały chrzciny i śluby, odprowadzały posępnie i uroczyście każdą odchodzącą duszę. Dzwony biły na trwogę, ostrzegały o pożarze, witały dostojnych gości, obwieszczały każde święto i głuchym tonem oznajmiały klęski. Dla Mairy stały się całym miastem.

Znienawidziła te przeklęte dzwony.

Pierwszym, kogo nowy szyld sprowadził do drzwi Roba, nie był pacjent.

– Mikołaj Hunne, medyk – przedstawił się szczupły przygarbiony mężczyzna o badawczym spojzeniu rozbieganych oczu. – I sąsiad – dodał znacząco, a następnie jak ptak przekrzywił szpakowatą głowę, czekając, co powie gospodarz.

– Widziałem twój szyld, mistrzu – uśmiechnął się Rob. – Ty mieszkasz w jednym końcu ulicy, ja w drugim. Ta zaś jest dość długa, aby kilkunastu pracowitych medyków miało tu zajęcie.

– Nie tak wiele, jak sądzisz – prychnął przybyły. – Chorych może i się znajdzie, jeno płacić nie ma komu. Moim zdaniem nowy medyk powinien osiąść w nowej dzielnicy.

Spytał, gdzie mistrz Cole pobierał nauki. Rob zełgał jak rasowy sprzedawca dywanów mówiąc, że przez sześć lat praktykował we wschodniej Frankonii.

– A ile będziesz liczył? – usłyszał.

– Czego? – nie zrozumiał.

– Pieniędzy, człowieku, pieniędzy! Ile będziesz brał za swe usługi?

– Jeszcze o tym nie myślałem.

– To lepiej szybko pomyśl. Albo nie myśl, sam ci powiem, ile się bierze, bo nie może tak być, żeby przybysz zbijał nam ceny. Górna granica... co tu kryć, zależy od zamożności pacjenta. Ale nawet w niebogatym domu nie wolno ci zejść poniżej czterdziestu pensów za puszczenie krwi, bo to bądź co bądź podstawa naszego rzemiosła, ani poniżej trzydziestu sześciu pensów za badanie moczu.

Rob spojrział nań badawczo. Podane przez medyka kwoty były drastycznie zawyżone.

– I nie zawracaj sobie głowy hołotą, która gnieździ się przy końcach ulicy. Starczą im balwierze. A, i o szlachetnie urodzonych też możesz nie marzyć, bo ci mają własnych medyków: Dryfielda, Hudsona, Simpsona i im podobnych. Niemniej, co tu kryć, jest tu jeszcze wielu bogatych kupców do wydojenia, choć ja tam biorę zapłatę z góry, bo jak pacjent wyzdrowieje, to już się nie boi. – Spojrzął na Roba bystro. – Moglibyśmy czerpać zyski z naszej konkurencji. Nic nie robi takiego wrażenia na kupczykach jak konsylium. Wzywając się nawzajem, nabijemy sobie kiesy. Co ty na to?

Rob zrobił parę kroków ku drzwiom, nakierowując medyka w stronę wyjścia.

– Wolę pracować sam – rzekł chłodno.

Tamten poczerwieniał. Trudno było nie zrozumieć odmowy.

– Możesz się nie martwić, mistrzu Cole – syknął. – Tak cię odmaluję, że nikt z naszego fachu się do ciebie nie zbliży. – Skinął głową i wyszedł.

Pacjenci co prawda się zdarzali, lecz nieczęsto.

Nic dziwnego, mówił sobie Rob. Był nowy i musiało minąć trochę czasu, nim go zauważą. Lepiej siedzieć i czekać, niż bawić się w brudne gierki z takimi jak Hunne.

Tymczasem od nowa poznawał Londyn. Razem z żoną i dziećmi wybrał się na cmentarz przy kościele Świętego Botulfa, by odwiedzić groby bliskich. Malcy ganiali się wesoło pośród mogił. Rob w głębi serca pogodził się już z myślą, że nigdy nie odnajdzie siostry ani braci. Źródłem radości i dumy była teraz dla niego własna rodzina. Miał nadzieję, że rodzice i Sam widzą ją z góry.

Upodobał sobie karczmę „Pod Lisem” na Cornhill, do której chadzali głównie prości wyrobnicy. To w takich ojciec szukał pociechy, gdy Rob był mały. Mając to w pamięci, unikał mocnych trunków, poprzestając na piwie.

W karczmie poznał niejakiego Markhama, budowlańca, który należał do cechu w tym czasie co jego ojciec. Markham był postawnym rumianym mężczyzną o czarnych włosach siwiejących na skroniach i brodzie. Należał do innej setki niż Nataniel, ale go pamiętał. Okazało się również, że jest siostrzeńcem Ryszarda Bukerela, ówczesnego starszego cechu, i przyjaźnił się niegdyś z Horne’em, mistrzem ciesielskim, u którego mieszkał Sam, zanim zginął pod kołami wozu w dokach.

– Horne’a i jego żonę razem z ich najmłodszym zabiła gorączka bagienna pięć lat temu – powiedział. – Ech, to była straszna zima!

– A znacie może ucznia ciesielskiego, zwali go... Tite? – zagadnął Rob.

– Był już towarzyszem stolarskim, kiedy rok temu umarł na piersi. Rob kiwnął głową i przez jakiś czas popijali w milczeniu.

Od Markhama i innych bywalców karczmy dowiedział się też o przepychankach na angielskim tronie, jakie miały miejsce pod jego nieobecność. Część tej historii poznał z ust Bostocka w Isfahanie, teraz usłyszał jej dalszy ciąg. Harold Zajęcza Stopa okazał się słabym władcą, lecz znalazł oparcie w Godwinie z Kentu, ksiązęciu zachodnich Sasów. Kiedy z Normandii przybył Alfred, jego przyrodni brat nazywający siebie Aethelingiem, czyli następcą tronu, wojska Harolda wycięły w pień jego ludzi, jemu samemu zaś wydłubano oczy i wtrącono go do lochu, gdzie wkrótce zmarł straszną śmiercią od ropy, która wdała się w rany. Harold niebawem zapił się na śmierć, a tron po nim objął syn Kanuta i Emmy, zwany Srogim, gdy odparłszy Norwegów od brzegów Danii wrócił do Anglii.

– Kanut Srogi kazał zabrać ciało Harolda z Westminsteru i cisnąć je w rozlewiska przy wyspie Thorney – powiedział Markham, kiedy język mu się rozwiązał pod wpływem trunku. – Wyobrażasz to sobie? Człeka, co po ojcu był mu bratem, a do tego królem Anglii! Jak ścierwo psa... Kolebotał się tam w trzcinach, no tośmy poszli w paru... A zimno było tej nocy! A mgła, że ani księżycy nie było widać... Aleśmy znaleźli zewłok, wyłowili i zabrali. Leży pochowany jak należy na cmentarzu przy Świętym Klemensie. Przecieśmy chrześcijanie, nie pogany. – Przeżegnał się i pociągnął długi haust z kufła.

Nowy król rządził ledwie dwa lata; skonał nagle jak rażony podczas uczyty weselnej jednego ze swych jarłów. Władza w Anglii

dostała się Edwardowi, który wziął za żonę córkę Godwina i również ulegał saskiemu wielmoży, ale przynajmniej był lubiany.

– Edward to dobry król – wybełkotał Markham. – Wystawił porządną flotę.

– Widziałem jego okręty – ożywił się Rob. – Są szybkie?

– Dość, żeby przegnać rozbójników z morskich szlaków.

Opowieści o królach, okraszane pijackimi żartami i wspominkami, wysuszały gardła. Trzeba je było zwilżać, wznosząc liczne toasty na cześć zmarłych władców i oczywiście panującego Edwarda. Toteż Rob, zapomniawszy, że trunki mu nie służą, przez kilka wieczorów wracał z „Lisa” zygzakiem. Maira musiała rozbierać go do snu, a on na dodatek się złościł.

Odtąd była jeszcze smutniejsza.

– Wyjedźmy stąd – powiedziała pewnego dnia.

– Dlaczego? I dokąd?

– Do Kilmarnock. Mam tam ziemię i krewniaków, którzy się ucieszą, że wracam z rodziną.

– Spróbujmy jeszcze tutaj – rzekł łagodnie.

Nie był głupcem; przysiągł sobie rzadziej zaglądać „Pod Lisa” i krócej tam przesiadywać. Nie powiedział Mairze, że nadzieje, jakie wiązał z Londynem, nie dotyczyły tylko praktyki medycznej. Marzyła mu się nieskrępowana wymiana wiedzy i myśli, do jakiej przywykł w Isfahanie, a jakiej tu nie było. Najlepszym miejscem dla niej byłby szpital. Londyn aż prosił się o maristan.

Tego roku po dłuższej niż zwykle wietrznej wiośnie przyszło mokre lato i co dzień rano gęsta mgła okrywała nabrzeża Tamizy. Jeśli nie padało, tuż przed południem słońce przedzierało się przez szare chmury, budząc miasto do życia. Rob lubił się przechadzać o tej czarodziejskiej porze. Któregoś szczególnie pięknego dnia mgła rozproszyła się właśnie w chwili, gdy szedł nabrzeżem, na którym

duża grupa niewolnych układała żelazne kęsy do załadowania na statek.

Na nabrzeżu stał już tuzin wysokich sągów ułożonych z okrytych rosą sztab, które lśniły matowo w czystych promieniach słońca. Rob z przyjemnością patrzył na ten widok, gdy woźnica dwukonnego zaprzęgu, trzaskając batem i szarpiąc lejcami, cofnął zbyt gwałtownie swoje siwki. Tył ciężkiego wozu z łoskotem uderzył w jeden z sągów. Może były za wysokie, a może któraś ze sztab legła krzywo...

Rob dawno sobie poprzysiągł, że jego synowie nie będą się bawili na nabrzeżu. Każdy z tych wozów przywodził mu na myśl Sama zmiążdżonego kołami. Teraz też doszło do nieszczęścia. Leżąca z wierzchu sztaba zaczęła się zsuwać, pociągając za sobą dwie następne.

Rozległ się ostrzegawczy krzyk, ludzie pierchli w popłochu. Dwaj niewolnicy zderzyli się i runęli na ziemię. Z jednego ciężki żelazny kęs w mgnieniu oka wydusił życie. Drugiego inna sztaba trafiła w nogę. Jego wrzask wyrwał Roba z osłupienia.

– Zdejmijcie to z nich. Ostrożnie – rozkazał.

Kilku niewolników dźwignęło sztabę. Kazał im przenieść ofiary dalej od sągów. Wystarczył mu rzut oka, by się upewnić, że niewolnik przygnieciony sztabą nie żyje: pierś miał wklęsniętą, zmiążdżoną tchawicę, twarz siną i nabiegłą krwią. Drugi już nie krzychał; zemdlał, kiedy go przenoszono. I całe szczęście, bo ze stopy została miazga. Ranny miał do wyboru amputację albo zgorzel. Rob posłał jednego z niewolników do swego domu po sakwę z narzędziami i przystąpił do zabiegu od razu, póki ranny był nieprzytomny. Naciął zdrową skórę nad raną i odwinął ją, by mieć zapas do zszycia, po czym wkroił się w ciało.

Rozpraszał go bijący od rannego fetor, zwierzęcy smród przepoconych, nigdy niepranych łachmanów, gęsty i niemalże dotykalny jak ogolona głowa albo ta stopa, którą odcinał. Przypomniawszy sobie dzień, kiedy dwaj podobnie cuchnący dokerzy przynieśli Nataniela do domu, by w nim umarł.

– Co ty u diabła robisz? – usłyszał nad sobą.

Podniósł wzrok i z trudem zapanował nad twarzą. Ujrzał mężczyznę, którego ostatni raz widział w Persji.

– Opatruję człowieka – odparł.

– Mówią, że jesteś medykiem.

– Owszem.

– Nazywam się Karol Bostock, jestem właścicielem tego składu i doku. Ale chyba masz mnie za głupca, jeśli sądzisz, że zapłacę ci za niewolnika.

Rob wzruszył ramionami. Wyjął z przyniesionej sakwy piłkę, odciął kość i zaszył krwawiący kikut tak równiutko, jakby stał nad nim al-Dżuzdzani.

Bostock nie odchodził.

– Powtarzam, co powiedziałem. Nie zobaczysz ani pół pensa.

Rob kiwnął głową i dwoma palcami lekko uderzył niewolnika w twarz. Ranny jęknął.

– Jak cię zwa? – dopytywał się Bostock.

– Robert Cole. Praktykuję przy ulicy Nadrzecznej.

– Znamy się, mistrzu?

– O ile wiem, nie.

Rob poskładał swoje rzeczy, po czym skinął mu głową i odszedł. Na końcu nabrzeża zaryzykował rzut oka przez ramię. Bostock tkwił w miejscu jak zauroczony albo ciężko zamyślony i patrzył w ślad za nim.

Tłumaczył sobie, że kupiec widział w Persji Jessego ben Beniamina, Żyda w turbanie, z krzaczastą brodą i w perskich szatach. Tu rozmawiał z wolnym londyńczykiem w prostej angielskiej odzieży, o twarzy... czy aby dostatecznie zmienionej krótko przystrzyżonym zarostem?

Możliwe, że Bostock go nie poznał. Ale jeśli poznał?

Nie dawało mu to spokoju. Oczywiście bał się także o siebie, lecz bardziej martwił go los Mairy i dzieci, gdyby wpadł w kłopoty. I gdy któregoś wieczoru Maira znów zaczęła mówić o Kilmarnock, nagle pojął, co robić.

– Pojedźmy tam – prosiła. – Wolałabym chodzić po własnej ziemi, wśród krewnych i rodaków.

– Mam tu jeszcze parę spraw do załatwienia – rzekł powoli, ujmując jej dłonie w swoje. – Ale ty z dziećmi powinnaś jechać.

– Bez ciebie?

– Tak.

Znieruchomiła. Bładość uwypukliła jej wydatne kości policzkowe i nadała wyrazistości szczupłej twarzy, a wpatrzone w niego oczy wydały się większe. Ruchliwe kąciki ust, które zawsze zdradzały jej uczucia, powiedziały mu, że nie tego oczekiwała.

– Jeśli tego chcesz, pojedziemy sami – odezwała się cicho.

W ciągu następnych kilku dni dziesiątki razy zmieniał zdanie. Nie było się czego obawiać. Nie przysłano po niego straży. Najwyraźniej, choć mógł się wydać Bostockowi znajomy, kupiec nie rozpoznał w nim Jessego ben Beniamina.

Chciał powiedzieć: „Nie jedź”, ale zawsze coś go powstrzymywało. Ciężyło mu brzemień lęku. Lepiej ich stąd wyprawić gdzieś, gdzie będą bezpieczni.

Rozmówili się więc ostatecznie. Maira chciała, żeby wysłał ich morzem do Dunbaru.

– Co takiego jest w Dunbarze? – spytał.

– Krewniacy. Synowie Fineasza. Dowiozą nas bezpiecznie do Kilmarnock.

Okazało się, że z dotarciem do Dunbaru nie będzie kłopotu. Lato dobiegało końca i szyprowie pospiesznie zbierali pasażerów na krótkie rejsy, zanim sztormy na całą zimę zamkną Morze Północne. Rob wywiedział się o jednym w karczmie „Pod Lisem”. Statek nazywał się „Elgifu” na cześć matki Harolda Zajęcej Stopy, a jego kapitan, szpakowaty Duńczyk, z radością powitał trójkę pasażerów, którzy zapłacą, a nie zjedzą wiele.

„Elgifu” wypływała za niecałe dwa tygodnie, trzeba się więc było pospieszyć – wybrać i ponaprawiać rzeczy, zdecydować, co zabrać, a co nie. Nagle się okazało, że zostało im już zaledwie parę dni.

– Przyjadę do ciebie, gdy tylko będę mógł.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

W ostatnią noc przed wyjazdem powiedziała:

– Gdybyś nie mógł przyjechać...

– Przyjadę!

– Gdybyś nie mógł... gdyby coś nas rozdzieliło, wiedz, że moi krewni wychowają chłopców na dzielnych mężczyzn.

Zapewne miało go to pocieszyć, ale przygnębiło jeszcze bardziej. Zaczął żałować, że poparł jej myśl o wyjeździe.

Tej nocy pieścili się ostrożnie, dotykając wszystkich znajomych miejsc niczym dwoje ślepców, którzy pragną zachować w dłoniach wspomnienia. Spełnienie było tak smutne, jakby miało być ostatnie. Potem Maira rozplakała się cicho, a on tulił ją bez słowa. Wiele chciał jej powiedzieć, lecz nie mógł.

Rano odprowadził Mairę i chłopców na „Elgifu”. Statek zbudowany był na wzór knary, bez pokładu, liczył jednak tylko

niespełna sześćdziesiąt stóp długości. Kadłub składał się z mocnych zachodzących na siebie dębowych desek. Trzydziestostopowy maszt dźwigał duży prostokątny żagiel. Większe i smuklejsze czarne królewskie okręty przepłoszyły piratów z wód przybrzeżnych, toteż „Elgifu” mogła spokojnie potoczyć się na północ, zawijając do licznych portów z ładunkiem i po ładunek, a także przy pierwszych oznakach zbliżającej się burzy. Rejs zapowiadał się bezpiecznie.

Maira przybrała swoją wojowniczą minę – zbroję, którą broniła się przed groźnym światem. Mimo że statek ledwie się kołysał, biedny Tam już pozieleniał i wiercił się niespokojnie.

– Masuj mu nogę! – zawołał Rob, pokazując na migi, o co mu chodzi.

Skinęła głową na znak, że zrozumiała.

Ktoś z załogi zdjął cumę i statek odsunął się od nabrzeża, a gdy dwudziestu marynarzy pociągnęło wiosłami, uniósł go odpływ.

Maira przewidująco usadziła chłopców na jakichś worach w samym środku, żeby nie powypadali za burtę. Kiedy podnoszono żagiel, pokazała się jeszcze z małym Robem, mówiąc mu coś do ucha.

– Miej się dobrze, tato! – posłusznie zawołał cienki głosik.

– Płyńcie z Bogiem! – odkrzyknął Rob.

Szybko, za szybko zniknęli mu z oczu, choć stojąc na nabrzeżu wyteęzał za nimi wzrok. Nie miał ochoty wracać do domu. Uświadomił sobie nagle, że znów znalazł się w tym samym punkcie, z którego rozpoczął swą wędrówkę mając dziewięć lat – został sam jak palec w Londynie.

Dziesiątego listopada po mieście gruchnęła wieść, że niejaka Swinda, wdowa, czarami przemieniła szesnastoletnią córkę w latającego konia i zajeździła dziewczkę, czyniąc z niej kalekę.

– No, jeśli to prawda – powiedział do Roberta gospodarz – to nie ma na nią dość kary. Jeno diablica mogłaby coś takiego uczynić własnemu dziecku.

Rob boleśnie tęsknił za dziećmi... i Mairą. Jesienne sztormy zaczęły się ponad cztery tygodnie po ich wyjeździe, na pewno zdążyli więc wcześniej dotrzeć do Dunbaru. Modlił się, by – gdziekolwiek są – mieli bezpieczny dach nad głową.

Znów wędrował samotnie. Odwiedził wszystkie znane niegdyś zakątki Londynu, poznał nowe, których jeszcze nie było w czasach jego dzieciństwa. Stojąc przed zamkiem królewskim, który ongiś zdawał mu się ucieleśnieniem monarszej wielkości, zdumiewał się różnicą między jego angielską prostotą a przepychem Rajskiego Domu. Choć Edward więcej czasu spędzał w Winchesterze, Rob widział go raz przed londyńską siedzibą. Szedł właśnie w otoczeniu huskarłów i pachołków, zatopiony w myślach. Miał czterdzieści jeden lat, ale wyglądał starzej. Mówiono, że włosy zbieleły mu w młodości na wieść o tym, co Harold Zajęcza Stopa uczynił jego bratu Alfredowi. Brakowało mu majestatu, którym emanował szach perski – ale tamten już nie żył, a Edward wciąż zasiadał na tronie.

Po świętym Michale zrobiło się zimno i wietrznie. Potem przyszła wczesna, ciepła deszczowa zima. Rob często myślał o rodzinie; nie wiedział wszak nawet, czy dotarli do Kilmarnock. Osamotniony, często zaglądał „Pod Lisa”, lecz starał się panować nad pragnieniem, nie chcąc wszczynać burd jak dawniej. Zresztą trunek bardziej go zasmucał, niż pocieszał, i czasem stawał mu przed oczami ojciec, który sporą część życia spędził w karczmach. Dzięki temu udawało mu się trzymać na wodzy i inne pragnienia, tym silniejsze, im

dłużej Mairy nie było. Powtarzał sobie, że nie może się stać Natanielem Cole'em, żonatym mężczyzną gustującym w ulicznych dziewczkach.

W Boże Narodzenie dręczył go szczególny smutek; prosiło się wszak, by tak wielkie święto obchodzić w rodzinnym gronie. Posilił się „Pod Lisem” baraniną pasztetem, zagryzając go serem i gęsto popijając miodem. W drodze do domu natknął się na dwóch żeglarzy bijących odzianego w czarny chałat człowieka. Jeden przytrzymał mu ręce na plecach, drugi walił pięściami, aż robiło się niedobrze.

– Przestańcie, u diabła! – zawołał.

Bijący przerwał i spojrzał na niego.

– Lepiej stąd idź, mistrzu, bo i tobie się oberwie.

– Co wam zrobił ten człowiek?

– Nie on, tylko jego rodacy tysiąc lat temu, i on za to beknie.

Odeślemy śmierzdla do Normandii w całunie.

– Zostawcie go.

– Skoro tak go lubisz, obciągnij mu fujarę na pożegnanie.

Alkohol zawsze budził w nim agresję, toteż niewiele myśląc, wyrznął pięścią w szpetną gębę tamtego. Jego pomagier wypuścił Żyda i uciekł.

– Ty suczy synu! – bełkotał powalony, dźwigając się na nogi. – Pewnie pijesz krew dzieci jak ci jebani żydzi!

Nie gonił go. Żyd, wysoki mężczyzna w średnim wieku, stał i płakał. Miał zakrwawiony nos i usta, szlochał chyba jednak bardziej z upokorzenia niż bólu.

– Hejże, a co się tu dzieje? – zagadnął jakiś przechodzień. Miał kędzierzawe rude włosy i brodę oraz wielki, żyłkowy sino nos.

– Nic wielkiego. Biedak został napadnięty – wyjaśnił Rob.

– Na pewno nie on zaczął?

– Na pewno.

Żyd tymczasem się opanował i odzyskał mowę. Jasne było, że wyraża swoją wdzięczność, czynił to jednak po francusku.

– Rozumiesz ten język? – zapytał Rob rudego, lecz ten pogardliwie pokręcił głową.

W obecności świadka Rob bał się odzywać po hebrajsku. Żyd zresztą prędko podniósł wdeptaną w błoto czapkę i zniknął. Rudy też sobie poszedł.

Pozostawszy sam, Rob znalazł na nabrzeżu małą karczmę i w nagrodę sprawił sobie dzban czerwonego wina. Ponieważ w izbie było ciemno i duszno, wyszedł z winem na zewnątrz i przysiadł na umocnieniu z grubych pali, które być może wbijał jego ojciec. Wiatr siekł mu w twarz dokuczliwym deszczem i podnosił groźne fale na szarej rzece.

Rob był zadowolony. Czyż mógłby wybrać lepszy dzień, by zapobiec ukrzyżowaniu?

Wino nie umywało się do perskiego i piekło go w przełyku, lecz mimo to bardzo mu smakowało.

Jest synem swego ojca i jeśli chce, to pije!

Przemiana się dokonała. Był Natanielem. A także Mirdinem i Karimem – i Alą, i Wangalilem, i Abu Alim al-Husajnem ibn Abdullahem Ibn Siną (zwłaszcza Ibn Siną!), a także tłustym rozbójnikiem, którego przed laty zabił na gościńcu, i pobożnym starym wieprzem Dawudem Husajnem...

W nagłym rozbłysku, który oszołomił go bardziej niż wino, zrozumiał, że jest nimi wszystkimi. Miał ich w sobie i gdy walczył z przeklętym zgrzybiałym rycerzem, walczył o własne życie. Musiał dopiero upić się w samotności, by to pojąć.

Dokończył wino i zlazł z obwałowania. Z pustym dzbankiem, który przyda mu się na lek lub mocz do zbadania (za uczciwą

zapłata!), zataczając się w licznym gronie tych wszystkich swoich towarzyszy, wrócił do domu.

Nazajutrz, gdy przetrzeźwiał, powiedział sobie surowo, że nie po to wyprawił z Londynu żonę i dzieci, by się rozpić.

Był medykiem i tym powinien się zajmować. Wybrał się więc do pobliskiego zielarza, żeby uzupełnić zapas leków. W Londynie łatwiej było kupić niektóre zioła, niż szukać ich na łąkach. Zielarza, drobnego i wiecznie zaaferowanego człowieczka o imieniu Rolf, poznał już wcześniej. Nad podziw biegły był w swoim fachu.

– Gdzie mógłbym poznać innych medyków? – zagadnął go Rob.

– Hm... Doradzałbym, żebyś przyłączył się do Lyceum, mistrzu Robercie. Zbiera się regularnie, tylko nie wiem kiedy. Ale tego dowiesz się od mistrza Rufusa. – Rolf wskazał mężczyznę, który z uwagą obwąchiwał gałązkę suszonej portulaki, i przedstawił mu Roba, dodając: – Mówiłem właśnie mistrzowi Robertowi o Lyceum, ale nie znam szczegółów.

Medyk z Fenchurch, poważny jegomość o jakieś dziesięć lat starszy od Roba, przygładził rzednące jasne włosy i skłonił się uprzejmie.

– Jemy razem wieczerze w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca na piętrze karczmy Itlinga na Cornhill. Zebranie jest w istocie pretekstem do obżarstwa – zaśmiał się. – Każdy sam płaci za to, co zje i wypije.

– Trzeba uzyskać zaproszenie?

– Nic podobnego. Chętnie witamy wszystkich londyńskich medyków. Ale jeśli wolisz zostać zaproszony, mistrzu, to zapraszam – rzekł dwornie Rufus.

Rob podziękował mu z uśmiechem i wyszedł.

W pierwszy poniedziałek stycznia, brnąc w śniegu z deszczem, zaszedł do karczmy, w której zastał blisko dwudziestu medyków.

Siedzieli nad kuflami, gawędząc ze śmiechem. Kiedy wszedł, stał się celem ukradkowych spojrzeń, jakimi zwykle zżyta ze sobą grupa szacuje nowego przybysza.

Najpierw zauważył swojego niegdysiejszego gościa, który skrzywił się na jego widok i mruknął coś do sąsiada. Nieco dalej siedział Rufus. Kiwnął na Roba, wskazując mu miejsce obok siebie, po czym przedstawił go innym jako przybyłego do Londynu medyka, który praktykuje przy ulicy Nadrzecznej. Ich wzrok w mniejszym lub większym stopniu zdradzał tę samą rezerwę, z jaką przyszedł do niego Mikołaj Hunne.

– U kogo praktykowałeś, mistrzu? – zainteresował się niejaki Brord.

– U Jerzego z Freisingu we wschodniej Frankonii. – Rob podał mu imię gospodarza, u którego mieszkali czekając na wyzdrowienie Tama.

– Hmm... – mruknął Brord, niewątpliwie wyrażając powątpiewanie co do rzetelności frankońskich medyków. – A jak długo?

– Sześć lat.

Na tym przesłuchanie się skończyło, uwagę zebranych bowiem przyciągnęły pieczone kapłony z duszoną rzepą i piwo, które Rob pił powściągliwie, nie chcąc zrobić z siebie błazna. Po posiłku odbył się wykład. Brord mówił o stawianiu baniek, kładąc nacisk na ich odpowiednią temperaturę. Tylko dobrze nagrzane bańki ściągają jady pod skórę, skąd można je będzie usunąć puszczając krew. Jeszcze bardziej wszakże podkreślał wagę, jaką ma dla leczenia pewność siebie medyka.

– Musicie wpoić pacjentowi wiarę, że stawianie baniek i puszczanie krwi przywróci mu zdrowie – mówił.

Wiara ponoć czyni cuda, ale o puszczaniu krwi i stawianiu baniek Rob więcej się nauczył od balwierza, zanim skończył jedenaście lat, niż wiedzieli ci wszyscy medycy do kupy.

Lyceum go rozczarowało. Drażniły go ciągłe napomknienia o pieniądzach. Nawet w głosie Rufusa dała się słyszeć zawiść, kiedy w żartach wypomniat siedzącemu u szczytu stołu królewskiemu medykowi o przydomku Dryfield, że co roku dostaje pensję i przyodziewek.

– Można leczyć za pensję nie służąc królowi – odezwał się Rob, ściągając na siebie uwagę zebranych.

– A jakim sposobem? – zapytał Dryfield.

– W szpitalu, specjalnym ośrodku, gdzie leczy się chorych i bada choroby.

Niektórzy wytrzeszczyli na niego oczy, ale Dryfield pokiwał głową.

– Istotnie, ten wschodni pomysł zyskuje zwolenników w Europie. Jak słyszałem, otwarto szpital w Salerno, a w Paryżu od dawna działa Hôtel Dieu. Ale muszę was ostrzec: Hôtel Dieu to umieralnia, ludzie konają tam w zapomnieniu. Straszny los.

– Przecież nie musi tak być – wtrącił Rob żałując, że nie może im opowiedzieć o maristanie.

– Takie coś może się sprawdzić u uleglejszych ludów – oznajmił mistrz Mikołaj. – Angielscy medycy są niezależnego ducha i muszą mieć swobodę w prowadzeniu interesów.

– Przecież medycyna to coś więcej niż interes – zaprotestował Rob.

– To mniej niż interes – poprawił go Mikołaj – przy tak oburzająco niskich stawkach. Do tego Londyn pełen jest przybłądów, którym się wydaje, że mogą leczyć. Może tacy widzą w tym interes, my nie.

– Mówiłem o powołaniu, mistrzu Mikołaju – odparł Rob. – Jedni mają święte powołanie do leczenia dusz, inni świeckie do leczenia ciał.

Brord prychnął urągliwie. Dryfield, który wyraźnie miał dość tej dyskusji, odchrząknął i spytał:

– Kto wygłosi wykład w przyszłym miesiącu?

W izbie zapadła cisza.

– Panowie, przecież się umówiliśmy! – zniecierpliwił się królewski medyk.

Rob nie miał zamiaru się wyrywać, ponieważ jednak nadal nikt się nie odzywał, rzekł nieśmiało:

– Ja mógłbym, jeżeli pozwolicie.

Dryfield zdziwiony uniósł brwi.

– Na jaki temat?

– O zapaleniu brzucha.

– Tak? Mistrzu... hmm... Ryszardzie?

– Robercie.

– A więc, mistrzu Robercie, to doskonały temat na wykład i do pogawędki – ucieszył się Dryfield.

Swinda przyznała się do konszachtów z diabłem. Na jej miękkim ciele, tuż pod lewą pachą, znaleziono szatańskie piętno. Jej córka zeznała, że matka siłą przytrzymywała ją na łożu i śmiała się, kiedy diabli zażywali jej ciała. Kilka osób oskarżyło wdowę o rzucanie uroków. Dopiero gdy uwięzono ją do zydła, żeby spławić wiedźmę w lodowatej Tamizie, zdecydowała się wyznać wszystko. Teraz słudzy Kościoła wypytывali ją szczegółowo o jej dokonania w czartowskim procederze. Rob starał się nie myśleć, jak może wyglądać przesłuchanie.

Kupił tłustą siwą kobyłę i umieścił ją w stajniach, które po Egglestanie przejął człek imieniem Torwulf. Klacz była niemłoda

i niezbyt ścigła, ale przecież nie zamierzał jej używać do gry w piłkę i kij. Jeździł na niej, gdy został gdzieś wezwany, choć przeważnie pacjenci przychodzili sami. Zimą jak zwykle szerzył się krup i choć wolałby stosować perskie leki – tamaryszek, granat i sproszkowane figi – robił napary z tego, co miał pod ręką. Portulaka zaparzona wodą różaną dawała płukanek na bolące gardło, napar z suszonych fiołków przynosił ulgę od bólu głowy i gorączki, mieszanka żywicy z miodem pozwalała oczyścić zaflegmione gardło i złagodzić kaszel.

Jednym z tych, którzy sami go znaleźli, był niejaki Tobiasz Czerwony Kaptur. Istotnie, włosy i brodę miał koloru marchewki, nawet nos czerwony. Jego twarz wydała się Robertowi znajoma, lecz dopiero po chwili rozpoznał w nim przechodnia, który był świadkiem ulicznej awantury z Żydem. Skarżył się na pleśniawkę, lecz nie miał czopów w gardle ani gorączki i jak na chorego bardzo był żwawy. Zasypał Roba setką pytań: skąd pochodzi, gdzie praktykował, kiedy przyjechał, czy ma rodzinę...

Ślepy by dostrzegł, że to nie pacjent, a szpieg. Rob zbył go paroma ogólnikami i po zbadaniu przepisał silny środek przeczyszczający wiedząc, że Czerwony Kaptur i tak go nie zażyje. Potem pożegnał natręta.

Czuł jednak niepokój. Nie miał pewności, czy rudzielca przygnało własne wścibstwo czy posłał go ktoś inny. I czy tylko przypadkiem znalazł się w pobliżu, gdy Rob dawał naukę pijanym żeglarzom.

Nazajutrz sporo się wyjaśniło. U zielarza spotkał się z Rufusem.

– Mikołaj Hunne źle o tobie mówi – ostrzegł go medyk. – Twierdzi, że zanadto jesteś wygadany, wyglądasz na zbója, i wątpi, czy w ogóle jesteś medykiem. Towarzysze krzywo patrzą na takich, którzy nie praktykowali w Anglii.

– Co mi radzisz?

– Odczekać. Mikołaj nie może się pogodzić z myślą, że miałby się z tobą dzielić pacjentami. Wszyscy wiemy, że za pieniądze sprzedałby jajka własnego dziadka. Nikt go nie będzie słuchał.

Rob wrócił do domu spokojniejszy.

Rozwieje ich wątpliwości wiedzą. Przygotował się do wykładu tak, jakby miał go wygłosić w madrasie. Arystoteles też wykładał w Lyceum, tym pierwszym, pod Atenami. On nie jest Arystotelesem, ale uczył się u Ibn Siny i pokaże tym londyńskim medykom, czym może być medycyna.

Wzbudził spore zainteresowanie, bo wśród członków Lyceum nie było medyka, który by nie stracił kilku pacjentów dotkniętych zapaleniem brzucha, jak je tu nazywano. Większość jednak potraktowała go lekceważąco.

– Robaczek? – powtórzył przeciągle zezowaty Sager. – W ludzkim brzuchu jest różowy robaczek?

– Podobny do robaczka wyrostek – sprostował sztywno Rob. – Połączony z jelitem ślepym. I skłonny do ropienia.

– Na rysunkach Galena go nie ma – wtrącił Dryfield. – Kto pisał o tym wyrostku? Celsus, Arystoteles, Dioskurides?

– Żaden, co nie znaczy, że go nie ma.

– Widziałeś trzewia świni, mistrzu Robercie? – zapytał Mikołaj.

– Oczywiście.

– Jako medyk musisz wiedzieć, że są takie jak ludzkie. Czy widziałeś kiedykolwiek różowy wyrostek na jelicie ślepym świni?

– Mistrz Robert oglądał wieprzowe kiełbaski – wtrącił jakiś dowcipniś i wszyscy ryknęli śmiechem.

– Świnia wygląda w środku prawie tak samo jak człowiek – wyjaśnił cierpliwie Rob. – Jedna z różnic to właśnie mały wyrostek na jelicie.

Rozwinął swój rysunek „szklanego człowieka” i przyspilił go do ściany.

– Racście zerknąć na to. Wyrostek jest tu przedstawiony we wczesnym stadium podrażnienia.

– Przypuśćmy, że nie mylisz się co do przyczyn – odezwał się medyk mówiący z wyraźnym duńskim akcentem. – Jak się to leczy?

– Tego nie wiem.

Z audytorium dobiegły jęki.

– W takim razie co za różnica, czy wiemy, skąd się to bierze, czy nie? – prychnął Duńczyk, a Sasi zgodnie mu zawtórowali, zapominając o zwykłej wrogości, byle pognębić przybysza.

– Medycyna jest jak powolne wznoszenie domu – odparł. – Buduje się go kamień po kamieniu; medyk ma szczęście, jeżeli uda mu się dołożyć choć jeden. Jeśli zdołamy wyjaśnić przyczynę schorzenia, być może ktoś, kto się jeszcze nie urodził, znajdzie na nie lek.

Odpowiedziały mu sarkania. Medycy skupili się przy wiszącym na ścianie „szklanym człowieku”, oglądając z uwagą rysunek.

– To wasze dzieło, mistrzu? – spytał Dryfield widząc podpis.

– Moje.

– Znakomite. Co ci służyło za model?

– Człowiek z rozprutym brzuchem.

– Więc widziałeś tylko jeden wyrostek – rzekł z satysfakcją Mikołaj. – Pewnie głos z niebios, który cię powołał, powiedział ci, że różowy robaczek występuje u każdego?

Przez izbę przetoczyła się kolejna salwa śmiechu. Teraz już Rob poczuł się urażony.

– Ośmielam się tak twierdzić – syknął – bo widziałem go u niejednej osoby.

– Tak? A u ilu? Czterech?

– Co najmniej u sześciu.

Teraz wszyscy patrzyli na niego.

– U sześciu? – powtórzył Dryfield. – Skąd wzięłeś pół tuzina rozprutych ciał?

– Większość poległa w walce. Nie wszyscy byli moimi pacjentami. To plon długich lat obserwacji. – Nawet w jego uszach nie brzmiało to prawdopodobnie.

– Sami mężczyźni czy również niewiasty?

– Niewiasty też – odparł bez namysłu Rob i ponieważ zrozumiał, że palnął głupstwo.

– Mhm... – Na twarzy Dryfielda bez trudu można było wyczytać, że ma go za łgarza.

– To Frankończycy mają babskie wojsko? – zagadnął Mikołaj głosem tak słodkim, że tym razem nawet Rufus ryknął śmiechem. – Rzeczywiście, nadzwyczajny zbieg okoliczności podsunął ci, mistrzu Cole, te wszystkie ciała. – W oczach medyka zaiskrzyła się złośliwa radość.

Powinien był odczekać, jak radził mu Rufus. Wykład, miast zyskać mu szacunek, okazał się potwornym błędem.

Swinda mimo wszystko spoczęła w Tamizie. Ostatniego dnia lutego o świcie ponad dwa tysiące rozwrzeszczanych gapiów patrzyło, jak oprawcy zaszywają czarownicę w worku razem z kogutem, węzem i kamieniem i rzucają w głębinę przy Świętym Egidiuszu.

Rob nie poszedł na topienie czarownicy, zabłąkał się natomiast na nabrzeże Bostocka. Zapytał o niewolnika, któremu amputował stopę. Nadzorca odpowiedział krótko, że nie ma go już w mieście. Rob miał złe przeczucia – los niewolnika zależał od jego zdolności do pracy. Wracając natknął się na innego, o plecach głęboko poszarpanych batem. Poszedł do domu, namieszał maści z owczego

i świńskiego łożu, oliwy, kadzidła i tlenku miedzi, wrócił na nabrzeże i zabrał się do smarowania ropiejących ran.

– Co tu się dzieje? – usłyszał.

Szedł ku niemu nadzorca z groźną miną. Niewolnik widząc go czmychnął, choć jeszcze nie skończył go smarować.

– To nabrzeże pana Bostocka – warknął nadzorca. – Wie, że tu jesteś, mistrzu?

– Nie pójde do niego po zapłatę – odparł Rob.

Nadzorca spojrzął na niego bykiem, lecz zmilczał, a Rob opuścił nabrzeże rad, iż na tym się skończyło.

Miał też pacjentów, którzy mu płacili. Popłakującą bladą kobiecinę wyleczył z fluksji gotowanym krowim mlekiem. Raz przyszedł do niego zakrwawiony od stóp do głów szkutnik z głęboko rozchlastanym nadgarstkiem; niewiele brakowało, a dłoń by odpadła. Mężczyzna od razu się przyznał, że zrobił to sam, kiedy po pijanemu postanowił ze sobą skończyć. Rana była poważna, sięgała prawie kości. Dzięki sekcjom przeprowadzonym w isfahańskim maristanie Rob wiedział, że tuż przy niej biegnie tętnica. Gdyby pijak ciął odrobinę głębiej, spełniłby swoje marzenie i umarł. Tymczasem poprzecinał tylko ścięgna poruszające kciukiem i pierwszym palcem. Rob zeszył je starannie i opatrzył nadgarstek, ale pozostały bez czucia.

– Odzyskam w nich władzę? – spytał ranny.

– To już jest w rękach Boga. Odwaliłeś kawał fachowej roboty, człowiecze. Następnym razem ci się uda, więc jeśli chcesz żyć, unikaj trunków.

Rob bał się, że w pijanym widzie szkutnik znów targnie się na swoje życie. Ludzie kiepsko znosili zimę. Brak jarzyn powodował zaparcia; leczył je nalewką z rabarbaru, którą rozdał w ciągu tygodnia. Opatrzył człowieka ugryzionego w kark przez osła,

przeciął wiele wrzodów, unieruchomił zwichnięty przegub i nastawił złamany palec. Kiedyś o północy przybiegła po niego wystraszona kobieta z „ziemi niczyjej”, jak w duchu określał płynną strefę jednakowo odległą od jego domu i domu mistrza Mikołaja. Przyszło mu żałować, że nie zwróciła się do konkurenta. Jej mąż był stajennym u Torwulfa. Trzy dni wcześniej skaleczył się w palec, a poprzedniego wieczoru kładł się spać z bólem w pachwinie. Teraz szczęki miał tak mocno ściśnięte, że z trudem wydostawała się z ust spieniona ślina; naprężone ciało wygięło się w łuk oparte na piętach i czubku głowy. Rob jeszcze nie oglądał tej choroby na własne oczy, ale znał ją z opisu Ibn Siny. Był to tężec, który zawsze powodował śmierć. Stajenny także umarł, nim nastał świt.

Nieudany występ na zebraniu medyków pozostawił mu smak goryczy. W pierwszy marcowy poniedziałek z trudem się zmusił, żeby iść do karczmy, przysięgając sobie, że będzie trzymał język za zębami. Zło jednak już się stało. Zyskał opinię głupca, pyszałka i kłamcy. Powitały go chłodne spojrzenia przemieszane z drwiącymi uśmiechami. Rufus odwrócił wzrok i tym razem nie zaprosił go do swego towarzystwa. Rob usiadł obok nieznajomych, którzy nie zaszczylili go nawet słowem.

Wykład dotyczył urazów: złamań ramienia, przedramienia i żeber, a także wybicia szczęki, barku i łokcia. Niski gruby medyk imieniem Tilla zmieścił w nim tyle bzdur, zarówno dotyczących faktów, jak i metod leczenia, że Dżalal chyba by się wściekł. Rob siedział w milczeniu.

Potem rozpoczęła się ożywiona dyskusja o topieniu czarownicy.

– Nie ona jedna, panowie, nie ona jedna! – perorował Sager. – Poczekajcie tylko, a wnet usłyszymy, że schwytano następne. Wiadomo, że do diabelskich orgii potrzebna jest liczniejsza grupa.

Powinniśmy donosić komu trzeba, jeśli badając chorą ujrzemy choćby najmniejsze znamię.

– Musimy dbać o opinię – zasępił się Dryfield. – Wielu ludzi i nas gotowych pomówić o czary. Sam słyszałem, jak gadano, że medycy kumają się z diabłem sprawiając, że chory toczy pianę z ust i sztywnieje niczym trup.

Rob z niepokojem pomyślał o stajennym Torwulfa. Nikt jednak nie wystąpił przeciw niemu z oskarżeniem.

– Po czym jeszcze można poznać czarowników? – zaciekawiał się Mikołaj.

– Okiem nie poznasz – rzekł Dryfield – choć niektórzy twierdzą, że mają przycięte członki jak Żydzi.

Genitalia Roberta skurczyły się ze strachu. Odczekał chwilę i przy pierwszej sposobnej okazji wyszedł wiedząc, że już tu nie wróci. Narażał życie. Wystarczyłoby, żeby któryś z mistrzów zdybał go przy sikaniu...

Pocieszał się myślą, że mimo porażki w Lyceum ma jeszcze dwie zdrowe ręce i co nieco w głowie, a to mu wystarczy do pracy.

Nazajutrz z rana zapukał do jego drzwi Tobiasz Czerwony Kaptur w towarzystwie dwóch zbrojnych pachołków.

– Czym mogę służyć? – zapytał zimno Rob.

Tobiasz uśmiechnął się szeroko.

– Zostałeś wezwany przed sąd biskupi.

– A to czemu? – spytał Rob, naraz wszystko pojmując.

Tobiasz z dużą przyjemnością odchrząknął, splunął na czystą podłogę i oświadczył: – Zostaniesz wzięty pod straż i osądzony, aby Bożej sprawiedliwości stało się zadość.

– Dokąd mnie prowadzicie? – zapytał po drodze.

– Zostaniesz przesłuchany przez biskupa w południowej kruchcie kościoła Świętego Pawła.

– Pod jakim zarzutem?

Tobiasz wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

Wprowadzono go do niewielkiego strzeżonego pomieszczenia, w którym czekali już inni. Miał uczucie, że przeżywa to samo po raz kolejny. Siedząc na twardej ławce i nasłuchując mamrotania mężczyzn w duchownych szatach, trafił jakby na powrót do królestwa Kandrasy, tyle że nie po to, by asystować przy egzekucji. Wiedział, że nie jest opętany. Równocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że wedle norm Kościoła może być największym zbrodniarzem spośród tych, których sprowadzono tu dziś na sąd. Lecz przecież nie był czarownikiem!

Dziękował Bogu, że zdążył wyprawić z Londynu Mairę i synków. Chętnie wszedłby pomodlić się do kościoła, ale u drzwi stały strażę, modlił się więc w ciasnej komnatce, czekając, aż go wezwą, i błagając Boga, aby nie zaszyto go w worku z kogutem, węzem i kamieniem i nie wrzucono do głębokiej wody.

Martwił się o to, co powiedzą świadkowie. Biskup mógł wezwać medyków, którzy słyszeli, jak mówił o grzebaniu w ludzkich trzewiach, albo żonę chorego, który przed śmiercią prężył się tocząc pianę z ust. Albo mistrza Mikołaja, łotra, który nie cofnie się przed żadnym kłamstwem, byle się go pozbyć... Zresztą świadkowie nie byli aż tak ważni, bo jeśli go obnażą i zobaczą, że jest obrzezany, będą szukać dotąd, aż znajdą na jego ciele choćby namiastkę znamienia. A potem... Na pewno znali nie mniej sposobów niż imam, by wymusić zeznania.

Dobry Boże...

Dali mu dość czasu, by lęk doprowadził go blisko obłądu. Został wezwany dopiero po południu. Ujrzał siedzącego na dębowym tronie niemłodego już mężczyznę w spłowiałej brunatnej sukni, stule i komży. Biskup patrzył na niego mrużąc oczy. Robert dowiedział się już, że ordynariusz u Świętego Pawła ma na imię Elfsig i jest bezwzględny w wymierzaniu kar. Na prawo od biskupa siedziało dwóch czarno odzianych księży w średnim wieku, a na lewo młody benedyktyn w ciemnoszarym habicie.

Jeden z księży podsunął mu Pismo Święte. Rob ucałował je przysięgając, że będzie mówił samą prawdę. Pytania zaczęły się od najprostszych:

– Jak cię zwaą?

– Robert Jeremiasz, a po ojcu noszę przydomek Cole.

– Gdzie mieszkasz i czym się zajmujesz?

– Jestem medykiem. Mieszkam przy ulicy Nadrzecznej i tam przyjmuję chorych.

Biskup skinął na księdza po prawej.

– Czy w dniu Bożego Narodzenia zeszłego roku wraz z Żydem obcokrajowcem napadłeś i znieważyłeś czynnie Edgara, syna Burstana, i Wilhelma, syna Symmy, ludzi wolnego urodzenia i chrześcijan z parafii Świętego Olafa?

Rob oniemiał, a potem poczuł ogromną ulgę. Nie został oskarżony o czary, a tylko żeglarze na niego donieśli, że ujął się za Żydem. To drobny występki, nawet gdyby mieli go uznać za winnego.

– To był Żyd z Normandii imieniem Dawid ben Aaron – dodał biskup, jeszcze bardziej mrużąc oczy, co mogło świadczyć, że ma po prostu słaby wzrok.

– Nigdy dotąd nie słyzałem imienia tego Żyda ani tych, co na niego skarżą – rzekł Rob. – Niemniej ci dwaj parafianie

od Świętego Olafa fałszywie przedstawili sprawę. To oni napadli na Żyda. Dlatego się wtrąciłem.

- Jesteś chrześcijaninem?
- Zostałem ochrzczony.
- Czy uczestniczysz regularnie we mszy?
- Nie, wasza świętobliwość.

Biskup westchnął i z powagą pokiwał głową.

- Wprowadź świadka – polecił benedyktynowi.

Rob miał uczucie, że tonie, gdy zobaczył Karola Bostocka w paradnych szatach i z wielkim pierścieniem na palcu. Przedstawiając się sędziom zaznaczył, że otrzymał szlachectwo od króla Kanuta, drugiego tego imienia, w nagrodę za trzy odkrywcze morskie wyprawy handlowe i że jest kanonikiem u Świętego Piotra. Duchowni odnosili się do niego z szacunkiem.

- Do rzeczy – zarządził biskup. – Czy znasz tego człowieka, panie?
- Znam. To Jesse ben Beniamin, żydowski medyk.

Biskup utkwiał w nim krótkowzroczne oczy.

- Jesteś pewien, że to Żyd?
- Wasza świętobliwość, cztery czy pięć lat temu podróżowałem po patriarchacie bizantyjskim jako kupiec i poseł ojca świętego Benedykta. W mieście Isfahan usłyszałem o chrześcijance osieroconej w Persji przez ojca, która wyszła za Żyda. Otrzymawszy od niej zaproszenie, nie mogłem się oprzeć chęci sprawdzenia tych pogłosek i udałem się do jej domu. Tam ze zgrozą się przekonałem, że były prawdziwe. Bez wątpienia pokładała się w łóżu z Żydowinem.

– Masz całkowitą pewność, szlachetny panie, że to ten sam człowiek? – odezwał się milczący dotąd mnich.

– Całkowitą, bracie. Widziałem go niedawno na moim nabrzeżu, gdzie okaleczył mego niewolnika i jeszcze próbował wyłudzić ode

mnie zapłatę. Oczywiście nie dostał ani grosza. Twarz jednak wydała mi się znajoma i zastanowiwszy się głęboko, przypomniałem sobie, skąd ją znam. To bez cienia wątpliwości ten sam żydowski medyk z Isfahanu, gwałciciel chrześcijańskich kobiet, o czym mogą zaświadczyć bękarty mieszanej krwi, jakie płodził z tą nieszczęśnicą.

Biskup pochylił się do przodu:

- Na wszystkie świętości, mów, jak się naprawdę zwiesz.
- Robert Jeremiasz Cole, wasza świątobliwość.
- Łże jak pies! – obruszył się Bostock. – To Żyd!
- Powiedz, panie – wtrącił się mnich – czy tylko raz widziałeś go w Persji?
- Tak, tylko raz – przyznał niechętnie Bostock.
- A teraz zobaczyłeś go dopiero po prawie pięciu latach?
- Bliżej czterech niż pięciu. Ale to prawda.
- I mimo to jesteś pewny, że się nie mylisz?
- Tak. Mówiłem już, że nie mam wątpliwości.
- Dobrze więc, panie. Dzięki, żeś przybył. – Biskup skinął mu krótko głową.

Kupca wyprowadzono, duchowni zaś spojrzeli na Roba, który z trudem zachowywał spokój.

– Skoro jesteś wolno urodzonym londyńczykiem – rzekł biskup z powątpiewaniem – to czy nie wydaje ci się dziwne, że z dwóch przedstawionych tu zarzutów jeden głosi, że pomagałeś Żydowi, a drugi, że sam jesteś Żydem?

– Zostałem ochrzczony jako Robert Jeremiasz pół mili stąd, w kościele Świętego Botulfa. Zaświadczą o tym księgi parafialne. Moim ojcem był Nataniel, towarzysz stolarski i członek cechu cieśli. Leży pogrzebany na cmentarzu Świętego Botulfa, tak jak i moja matka, Agnieszka, która za życia była szwaczką i hafciarką.

– Czy pobierałeś nauki? – zapytał chłodno mnich.

– Ledwie dwa lata. Właśnie u Świętego Botulfa.

– Kto nauczał tam Pisma Świętego?

Rob przymknął oczy i zmarszczył czoło.

– Ojciec... Filibert. Tak, ojciec Filibert.

Mnich zerknął pytająco na biskupa, który wzruszył ramionami mówiąc:

– Nie pamiętam księdza o tym imieniu.

– A łaciny? – mnich zwrócił się znów do Roba.

– Brat Hugolin.

– A, tak – przyznał biskup. – W szkole u Świętego Botulfa łaciny istotnie uczył brat Hugolin. Dobrze go pamiętam. Od wielu lat nie żyje. – Skubnął się po nosie i przez dłuższą chwilę przyglądał się Robertowi krótkowzrocznymi oczami. Wreszcie westchnął. – Oczywiście sprawdzimy w księgach parafialnych.

– Przekonacie się, że mówię prawdę.

– Mam nadzieję. Jeśli tak, będzie ci wolno złożyć uroczystą przysięgę, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Za trzy tygodnie od dziś staniesz przed nami w obecności dwunastu wolno urodzonych współporęczycieli gotowych przysiąc, że jesteś wolnym jak oni chrześcijaninem dwojga imion: Robert i Jeremiasz. Zrozumiałeś?

Rob przytaknął skinieniem głowy i został wypuszczony.

Kilka chwil później stał przed kościołem Świętego Pawła ledwie wierząc, że uszedł cało.

– Mistrzu Robercie! – zawołał ktoś za nim. Obejrzał się i zobaczył benedyktyna. – Wstąpimy na piwo? Chętnie z tobą porozmawiam.

A ten czego ode mnie chce? – pomyślał Rob z obawą, lecz pocłapał za mnichem na drugą stronę rozmięklej od deszczu ulicy.

Weszli do gospody i usiedli w spokojnym kącie. Zakonnik przedstawił mu się jako brat Paulinus.

– Koniec końców wyszedłeś z tego obronną ręką – zauważył.

Rob nie odpowiedział. Zakonnik zdziwiony uniósł brwi.

– Przecież uczciwy człowiek zawsze znajdzie dwunastu jak on uczciwych.

– Ja naprawdę urodziłem się w parafii Świętego Botulfa – mruknął Rob przygnębiony. – Tylko że opuściłem ją w dzieciństwie i przewędrowałem całą Anglię jako pomocnik balwiera. Trudno mi będzie znaleźć dwunastu ludzi, uczciwych czy nie, którzy mnie pamiętają i zechcą przybyć do Londynu, żeby to poświadczyć.

Brat Paulinus zadumał się, podnosząc kubek do ust.

– Jeśli nie znajdziesz świadków, wzbudzisz podejrzenia. Wtedy czeka cię sąd Boży.

Piwo Roba przybrało smak żółci.

– To znaczy?

– Kościół stosuje cztery rodzaje prób: zimnej wody, gorącej wody, gorącego żelaza i święconego chleba. Niestety biskup Elfsig najbardziej lubi żelazo. Dadzą ci święconą wodę do wypicia i poleją ci nią rękę, której zdecydujesz się użyć. Potem wyjmiesz rozpalone żelazo z ognia, przeniesiesz je na odległość trzech kroków, rzucisz i następnie pospieszysz do ołtarza, gdzie opatrzą ci rękę i przyłożą pieczęć na bandażach. Po trzech dniach bandaże zostaną zdjęte. Jeżeli ręka będzie biała i zdrowa, ogłoszą, żeś niewinny. Jeśli będzie się jadzić, zostaniesz obłożony klątwą i przekazany władzom świeckim.

Rob starał się panować nad sobą, lecz poczuł, że blednie.

– Możliwe, że sumienie masz czystsze niż my wszyscy – rzekł sucho Paulinus. – Ale moim zdaniem powinieneś uchodzić z miasta.

Przyglądali się sobie badawczo. Kędzierzawa broda mnicha i włosy wokół wystrzyżonej tonsury były wyprane z koloru niczym zwietrzała słoma. Oczy miał ciemnoszare jak łupek i jak on twarde. Zarazem jednak były to oczy człowieka, który nie zdradza swoich myśli. Usta wąskie i surowe. Zamknięta, obca twarz.

– Ja wiem, że jesteś Robert Jeremiasz, syn Nataniela Cole’a – odezwał się nagle.

– Skąd? – zdziwił się Rob.

– Nataniel Cole był i moim ojcem.

Rob uwierzył mu natychmiast. Od dwudziestu dwóch lat gotów był uwierzyć, marzył, by nareszcie usłyszeć te słowa. Zerwał się radośnie, lecz sparaliżował go niepokój. Nie miał czystego sumienia. I nie wszystko było tak, jak sobie ongiś wyobrażał.

Mnich nadal siedział, czujnie szacując go wzrokiem. Rob opadł z powrotem na zydel. Słyszał własny wysilony oddech.

– Jesteś starszy, niż byłby mały Roger – powiedział. – Sam nie żyje, wiesz o tym?

– Wiem.

– Jon?

– Nie. Wilhelm. – Mnich nie przestawał mu się przyglądać.

– Will... – powtórzył Rob. – Po śmierci taty wziął cię ksiądz Renald.

– Owszem. Zabrał mnie do klasztoru benedyktynów w Jarrow. Żył jeszcze tylko cztery lata. Potem, nie pytając mnie zresztą o zdanie, przyjęto mnie to nowicjatu. – Paulinus zawahał się przez chwilę, po czym streścił swą historię w kilku zdaniach: – Opatem w Jarrow był ojciec Edmund, który okazał mi wiele serca. To był *abbas et presbyter*, oddany całkowicie dziełu Bożemu, zwłaszcza zaś nauczaniu i księgom. Stawiał mi wysokie wymagania, ale tak mną kierował, że już w młodym wieku zostałem przeorem, jego prawą

ręką. Silną prawą ręką – dodał i uśmiechnął się przelotnie. – Niespecjalnie mnie za to lubiano. Gdy przed dwoma laty ojciec Edmund zmarł, nie wybrano mnie na jego miejsce, ale arcybiskup, który baczną opieką otacza nasz klasztor, kazał mi opuścić wspólnotę, która przez wiele lat była mi rodziną. Mam złożyć śluby kapłańskie i służyć mu jako biskup pomocniczy w Worcesterze.

Jakie dziwnie chłodne to spotkanie, pomyślał Rob. Sucha relacja z dobrze się zapowiadającej kariery.

– Czekają cię wielkie i zaszczytne obowiązki – mruknął.

Paulinus wzruszył ramionami.

– Wszystko jest w rękach Boga.

– No cóż – ożywił się Rob – zatem mam już jednego świadka. Pozostało jedenastu. Może biskup policzy słowo tak zasłużonego mnicha za więcej niż jedno.

Paulinus nie odpowiedział mu uśmiechem.

– Gdy ujrzałem twoje nazwisko na skardze, rozpytałem się tu i ówdzie. Bostock, jeśli by go zachęcić, może uzupełnić swoje zeznanie o parę interesujących szczegółów. A gdyby tak cię zapytano, czy podałeś się za Żyda i zaparłeś Kościoła, byle móc się uczyć w pogańskiej akademii?

Służebna zakręciła się koło nich, lecz Rob odprawił ją machnięciem ręki.

– Odpowiedziałbym, że to Bóg w swej mądrości pozwolił mi leczyć, bo nie stworzył ludzi tylko do cierpienia i śmierci.

– Bóg ma własnych wojowników i oni to wykładają Jego zamiary co do ludzkiej duszy i ciała. Nie powołał do tego ani balwierzy, ani kształconych przez pogan medyków. Prawo matki naszej, Kościoła, wam tego zakazuje.

– Utrudnia. Spowalnia. Ale zdaje mi się, że nie zdoła nam przeszkodzić.

– Wyjedziesz z Londynu.

– Przemawia przez ciebie braterska miłość czy obawy, że biskup pomocniczy Worcesteru będzie się musiał kiedyś wstydzić brata wyklętego przez Kościół i straconego za pogaństwo?

Przez bardzo długą chwilę obaj milczeli.

– Całe życie cię szukałem. Ciebie i resztę dzieci. Nigdy nie przestałem marzyć, że was odnajdę – rzekł w końcu Rob z goryczą.

– Nie jesteśmy już dziećmi. A rzeczywistość różni się od marzeń – odparł cicho Paulinus.

Rob kiwnął głową. Odsunął zydela od stołu.

– Wiesz, co dzieje się z resztą? – spytał.

– O Samie już słyszałeś. Marian...

– Co z nią?

– Nie żyje od sześciu lat.

– O, Boże... – Rob ciężko dźwignął się ze stołka. – Gdzie ją pochowano?

– Nie ma grobu. Zginęła w wielkim pożarze.

Pokiwał głową i wyszedł z gospody nie oglądając się za siebie.

Zastanawiał się, czy Will gotów byłby nasłać na niego zabójców, by uwolnić się od kłopotliwego brata. Był przecież dostatecznie wpływowy. Poszedł wprost do stajni Torwulfa, zapłacił i zabrał konia. W domu zabawił tylko tak długo, żeby pozbierać rzeczy, które stały się mu niezbędne. Miał już dość opuszczania w popłochu kolejnych miast i dalekich podróży – ale wciąż pamiętał, jak się to robi.

Kiedy o zmroku mnich Paulinus zasiadał do wieczerzy w refektarzu u Świętego Pawła, jego brat wyjeżdżał z Londynu rozmiękłą aż po końskie pęciny drogą prowadzącą do Lincoln i dalej na północ. Poganiał oporną kobyłę, jakby ścigały go furie.

Równocześnie jednak wiedział, że nie zdoła przed nimi uciec. Nosił je w sobie.

78

Znowu w drodze

Pierwszą noc przespał wygodnie w stogu siana przy drodze. Siano było zeszłoroczne, przegniłe od spodu, nie zakopał się więc głęboko, ale i tak chroniło przed chłodem, a noc nie była bardzo zimna. Kiedy ocknął się o świcie, pierwszą rzeczą, jaką sobie uświadomił, było to, że w Londynie zostawił grę szacha należącą niegdyś do Mirdina. Była mu tak droga, że przewiózł ją przez pół świata. Tym boleśniej odczuł jej stratę tu, w Anglii.

Głód skręcał mu kiszkę, ale nie chciał się zatrzymywać w mijanych zagrodach, gdzie dobrze by go zapamiętano i w razie czego skierowano pościg jego śladem. Jechał z pustym brzuchem, póki nie trafił do małej miejscowości, w której jednak był targ. Kupił chleba i sera, posilił się, a resztę zabrał ze sobą.

W drodze towarzyszyły mu ponure myśli. Takie spotkanie było znacznie gorsze, niż gdyby w ogóle nie odnalazł brata. Czuł się oszukany, okradziony. Powiedział sobie, że opłakał Willa, gdy musiał się z nim rozstać w dzieciństwie. Tamten był jego bratem; ten – obcym mnichem o zimnym spojrzeniu, którego z Bożą pomocą nigdy już nie zobaczy.

– Idź do diabła, Paulinusi, razem z twoim biskupstwem! – krzyknął w złości.

Splószył ptaki, które z trzepotem skrzydeł poderwały się z drzew, koń zastrzygł uszami i uskoczył. Rob wyjął stary saski róg i zadał weń, aby nikt go nie wziął za rzezimieszka. Znajomy jękliwy dźwięk cofnął go w dawne czasy, dając nieco pociechy.

Ścigano by go raczej wzdłuż głównych gościńców, zboczył więc z drogi na Lincoln i posuwał się wzdłuż wybrzeża, od wioski do wioski. Przejechał ten odcinek kilkakrotnie z balwierzem. Teraz nie dawał przedstawień ani nie szukał chorych, bojąc się ujawniać jako medyk. Nigdzie go nie poznawano; nie znalazłby tu świadków swojej tożsamości, a gdyby ludzie biskupa trafili na jego ślad, byłby stracony. Miał szczęście, że zdążył uciec. Gdy to pojął, poprawił mu się nastrój. Życie wciąż jeszcze pełne było niewyczerpanych możliwości.

Niektóre wioski poznawał. Gdzieniegdzie zapamiętane ongiś domy lub kościoły spalone były do fundamentów; w nowych osadach karczowano lasy. Posuwał się mozolnie i wolno – trakt w niektórych miejscach zmieniał się w bagno i klacz zaczęła ustawać. Stara, zajeżdżona i bez ognia, radziła sobie świetnie wożąc go na wizyty, ale nie nadawała się do dalszych jazd, zwłaszcza wczesną wiosną. Starał się ją oszczędzać, robił częste postoje – on wyciągał się wówczas nad jakąś rzeczką, ona skubała świeżą wiosenną trawę, nabierając sił. Nie mógł wszakże przywrócić jej młodości.

Oszczędzał też pieniądze. Wolał sypiać po stodołach; opłata – jeśli w ogóle jej żądano – nie nadwierała kiesy, a przede wszystkim unikał większych skupisk ludzkich. Tylko w wyjątkowych wypadkach korzystał z gospód.

Siedział właśnie w gospodzie portowego miasteczka Middlesborough, przypatrując się, jak dwaj mężczyźni wlewają w siebie morze piwa. Jeden z nich, krępy i czarnowłosy, uderzył pięścią w stół.

– Potrzebny nam żeglarz! – zawołał. – Płyniemy za śledziem na północ, wzdłuż brzegu do portu u ujścia Eye w Szkocji. Jest chętny?

Gwar ucichł. W karczmie było wielu mężczyzn, ktoś zachichotał, ale nikt się nie ruszył.

Odważyć się? – myślał Rob. Podróżowałby znacznie szybciej. Nawet morze wydało mu się lepsze od brnięcia w błocie. Wstał i podszedł do rybaka.

– Twoja łódź? – zapytał.

– Moja. Jestem Neal. A to Aldulf.

– Jonsson. – Rob wymienił pierwszy przydomek, jaki wpadł mu do głowy.

Neal podniósł głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Duży jesteś – mruknął. Chwytał dłoń Roba, odwrócił ją i prychnął pogardliwie.

– Potrafię pracować.

– To się jeszcze zobaczy – uciał szyper.

Kobyłę oddał za darmo pierwszemu chętnemu. Nie zdążyłby jej sprzedać, a zresztą niewiele by za nią dostał. Stara rybacka łódź prezentowała się równie nędznie jak jego klacz, ale zbliżywszy się zauważył, że Neal i Aldulf nie spędzili całej zimy w karczmie: dobrze uszczelniony i zasmołowany kadłub lekko kołysał się na fali.

Kłopoty się zaczęły, gdy tylko odbili od brzegu. Wychylony za burtę Rob rzygał jak kot; rybacy klęli i grozili, że zaraz go wyrzucą. Mimo mdłości i nawracających torsji zmusił się do pracy. Zarzucili sieć i ciągnęli ją przez jakiś czas płynąc pod żaglem, a potem wciągnęli ją z powrotem. Była pusta. Znowu zarzucili i znowu wyciągnęli. I znowu. Złowili bardzo niewiele. Neal wpadł we wściekłość. Rob był przekonany, że gdyby nie jego wzrost, rzeczywiście wyrzuciliby go za burtę.

Na wieczerę był czerstwy chleb, oścista wędzona ryba i woda, która cuchnęła śledziem. Rob zmusił się, by przełknąć parę kęsów, i od razu wszystko zwrócił. Aldulf za to dostał biegunki i wkrótce

pokładowy kubeł raził i nos, i oczy. Rob pracował w szpitalu; był odporny na smród. Opróżnił kubeł i porządnie wypłukał go w morskiej wodzie. Byli chyba zaskoczeni, że sam się podjął tego niewdzięcznego zajęcia, w każdym razie przestali go lżyć grubymi słowami.

Przez całą noc, zziębnięty i nieszczęśliwy w kołyszącej się łodzi, Rob pełzał w tę i nazad do burty, aż wreszcie nie miał już w sobie nic, co by mógł jeszcze wyrzucić. Rano od nowa zabrali się do pracy i dopiero gdy po raz szósty zaczęli wybierać sieć, coś się zmieniło. Tkwiała w wodzie jak zakotwiczona. Z trudem wciągnęli ją do łodzi. Wylał się z niej srebrzysty rozedrgany strumień.

– Jest śledź – rzekł z zadowoleniem Neal.

Trzy razy wyciągali pełną sieć, potem jeszcze trochę, a kiedy w łodzi zabrakło miejsca, skierowali się z wiatrem w stronę lądu.

Rano rybę rozebrali kupcy, by odsprzedać ją dalej – świeżą, suszoną na słońcu lub wędzoną – a oni znów wyszli w morze.

Rob miał na rękach pęcherze, lecz czuł, jak skóra mu twardnieje. Sieć się rwała, toteż musiał nauczyć się ją wiązać. Czwartego dnia mdłości nagle ustąpiły i później już ich nie odczuwał. Muszę powiedzieć o tym Tamowi, pomyślał z ulgą.

Z każdym dniem posuwali się odrobinę dalej w górę wybrzeża, zawijając coraz to do innej przystani, żeby sprzedać połów, nim się zepsuje. Zdarzało się, że w księżycową noc Neal zrywał ich z postania, dostrzegłszy tu i ówdzie maleńkie jak krople deszczu rybki, które wyskakiwały nad powierzchnię wody czmychając przed żerującą ławicą. Zarzucali wtedy sieć i wlekli ją po ścieżce ze srebrzystego blasku, łowiąc dary morza.

Neal coraz częściej się uśmiechał. Rob postłyszał kiedyś, jak mówił do Aldulfa, że Jonsson przyniósł im szczęście. Jeśli cumowali wieczorem, szli razem do gospody, gdzie Neal stawiał piwo i gorący

posiłek, a potem siedzieli i śpiewali. Rob nauczył się przy tej okazji wielu sprośnych piosenek.

– Będzie z ciebie rybak – orzekł Neal. – Posiedzimy w Eyemouth parę dni, żeby naprawić sieci, a potem popłyniemy z powrotem do Middlesborough. Zwykle tak właśnie bujamy się za śledziem z Middlesborough do Eyemouth i z powrotem. Chcesz z nami zostać?

Rob podziękował, dumny, że zapracował na uznanie, ale rzekł, iż z Eyemouth musi jechać dalej.

Przybili tam parę dni później. Eyemouth było przyzwoitym i ruchliwym portem. Neal wypłacił mu kilka monet i klepnął go z rozmachem w plecy. Ponieważ zaś Rob wspomniał, że będzie mu potrzebny koń, szyper poszedł z nim na drugi koniec miasta do handlarza, za którego uczciwość mógł ręczyć. Ten zmierzyszy Roba fachowym spojrzeniem zaproponował mu któregoś z dwóch koni: klaczkę albo wałacha. Klacz była co prawda zgrabniejsza, ale Rob oświadczył, że ongiś wałach przyniósł mu szczęście, zatem spróbuje jeszcze raz.

Rzecz jasna nie był to arab, a przysadzisty angielski kuc o krótkich kudłatych nogach i skołtunionej grzywie. Miał dopiero dwa lata, był żwawy i mocny. Rob przytroczył swój tobołek za siodłem i zasiadł na jego grzbiecie. Podniósł rękę na pożegnanie.

– Udanych połowów – uśmiechnął się.

– Jedź z Bogiem, Jonsson.

Wałaszek okazał się lepszy, niż mógł zapowiadać jego wygląd. Rob nazwał go Al-Burak na cześć konia, który według muzułmanów uniósł Mahometa do siódmego nieba.

Co dzień o najcieplejszej porze szukał jeziora lub strumienia, żeby wykąpać swego rumaka. Przy okazji rozplątywał mu palcami grzywę żałując, że nie ma zgrzebła. Al-Burak był niestrudzony, drogi

już obsychały, posuwali się więc dość szybko. Pokonawszy część trasy łodzią, Rob znalazł się znacznie dalej na północ, niż kiedykolwiek się zapędził, i z zaciekawieniem oglądał nieznaną krajobrazy. Przez pięć dni jechał wzdłuż rzeki Tweed aż do miejsca, gdzie skręcała na południe. Tu odbił ku północy i niebawem wjechał na wyżynny teren pocięty grzbietami, które były wszakże za niskie, by nadać im szumne miano gór. Z pofalowanych wrzosowisk wyrastały gdzieniegdzie skaliste ściany; każdą niemal pochyłością spływały obfite wody roztopów, a przeprawa przez lada strumyk urastała do rangi wyczynu.

Ludzkie siedziby – zarówno duże posiadłości, jak i skromne zagrody – były nieliczne i rzadko rozsiane. Uderzał panujący w nich porządek, jaki można utrzymać tylko ciągłym staraniem. Rob często dał w róg. Wieśniacy przyglądali mu się czujnie i z rezerwą, ale nikt nie szukał z nim zwady. Patrząc na tę krainę i żyjących tu ludzi, trochę lepiej zrozumiał Mairę.

Nie widział jej od wielu miesięcy. Nieraz się zastanawiał, czy nie jedzie na próżno. Mogła już żyć z innym mężczyzną, choćby tym przeklętym kuzynem.

Szkocka ziemia cieszyła ludzkie oko, ale stworzona została dla krów i owiec. Wierzchołki wzgórz były na ogół kamieniste, za to większość niżej położonych zboczy porastała bujna soczysta trawa. Pasterze korzystali z pomocy psów, których Rob nauczył się bać.

O pół dnia drogi za Cumnock zatrzymał się w napotkanej zagrodzie prosząc, by mu pozwolono przenocować na sianie. Jak się okazało, dzień wcześniej pies pogryzł gospodynię.

– Dzięki Ci, Jezu – wyszeptał jej mąż, gdy się dowiedział, że Rob jest medykiem.

Szkotka była tęgą kobietą, matką dorosłych już dzieci. Pies rzucił się na nią jak dziki zwierz i omal jej nie zabił. Pozostał jej tylko

szczętek piersi; odchodziła od zmysłów z bólu.

– Gdzie ten pies? – Rob rozejrzył się niespokojnie.

– Już go nie ma – odparł posępnie gospodarz.

Wspólnymi siłami napoili kobietę gorzałką. Krztusiła się mocnym trunkiem, lecz pomógł jej w czasie, gdy Rob czyścił, przycinał i zszywał poszarpane ciało. Pewnie i bez medyka by wyżyła, zaoszczędził jej jednak trochę cierpień. Siedział u nich cały tydzień, właściwie bez potrzeby, aż w końcu uświadomił sobie, dlaczego zwleka: Kilmarnock było już bardzo blisko, a on bał się tam jechać.

Powiedział gospodarzowi, dokąd się wybiera, ten zaś wskazał mu najlepszą drogę.

Dwa dni później, gdy jeszcze miał świeżo w pamięci rany wieśniaczki, wielki warczący kundel zabiegł drogę wałachowi. Rob chwycił za miecz, lecz ktoś odwołał psa. Młody jeszcze, ale już szpakowaty pasterz o twarzy wysmaganej wiatrem i równie czujnej jak pysk warującego mu u nóg owczarka powiedział do Roba coś po gaelicku.

– Nie znam waszego języka.

– To ziemia Cullenów.

– Tu właśnie chciałem trafić.

– A po co?

– Wyjaśnię to Mairze z Cullenów. – Przyjrzał się pasterzowi. – A ty kto?

Szkot odpowiedział mu równie baczным spojrzeniem. Miał taką minę, jakby się zastanawiał, czy przybysz zasługuje na odpowiedź.

– Craig Cullen – rzekł po chwili.

– Jestem Robert. Robert Cole.

Pasterz kiwnął głową. Chyba nie był zaskoczony, ale też nie miał zamiaru go witać.

– Chodź – mruknął i pieszo ruszył przodem.

Rob nie widział, żeby dał jakiś znak psu, zwierzę jednak pobiegło tuż za koniem, tak że znalazł się między człowiekiem a psem. Zaganiali go jak zbłąkaną owcę ze wzgórz.

Wielkie domostwo zbudowane było z kamienia, stare i solidne. Wjechał w obejście, odprowadzany spojrzeniami rozszeptanej gromadki dzieci. Dopiero po chwili dotarło do niego, że są wśród nich jego synowie. Tam zamruczał coś do brata po celtycku.

– Co on mówi?

– Zapytał: „Czy to tato?” Powiedziałem mu, że tak – odparł poważnie mały Rob.

Robert poczuł obezwładniającą radość. Zeskoczył z konia; chciał ich porwać w ramiona, lecz dzieciarnia rozbiegła się z krzykiem. Tam wciąż utykał, ale nadążał za innymi.

– Spesz yli się. Wróć a.

W drzwiach stała Maira. Miała odwróconą twarz i nie patrzyła mu w oczy. Pomyślał, że przybył na próżno. A potem nagle wtuliła się w jego objęcia i poczuł się tak, jakby nigdy jej nie wypuszczał. Jeśli nawet miała innego, to dziś na podwórzu przed oborą nie myślał o tym.

Całując żonę namiętnie, Rob zauważył, że brak jej jednego górnego zęba.

– Zaganiałam krowę do zagrody i wyrznęła mnie rogiem – bąknęła Maira i rozpłakała się. – Jestem stara i brzydka...

– Nie żeniłem się z zębem – uciął, pieszczotliwie dotykając jej ust. Pocz uł jej wilgotne, miękkie wargi, gdy pocałowała go w palec. – Ani nie brałem głupiego zęba do łóża – parsknął.

Uśmiechnęła się przez łzy.

– Nie do łóża, a w pszenicę – poprawiła go. – Na gołą ziemię, między myszy i robactwo. Jak tryk owcę. – Wytarła oczy. – Na pewno jesteś zmęczony i głodny.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do osobnego budynku z kuchnią. Dziwnie się poczuł, kiedy sobie uzmysłowił, że to jest jej dom. Podała mu placki owsiane i mleko. Jedząc, opowiedział jej o bracie, którego odnalazł i natychmiast stracił, i o ucieczce z Londynu.

– To straszne – westchnęła. – Gdyby nie to, przyjechałbyś?

– Prędzej czy później... – zaśmiał się. – To piękny kraj, choć tak surowy.

– Ładniej tu latem. Zanim się spostrzeżemy, przyjdzie pora na orkę.

Placek uwiązał Robertowi w gardle.

– Już jest pora na orkę – szepnął.

Zarumieniła się tak samo gwałtownie jak dawniej. To się nigdy nie zmieni, pomyślał z radością. Kiedy prowadziła go do sypialni, próbował ją objąć, ale nogi im się splątały, zderzyły biodra i tak ich to rozśmieszyło, że na chwilę zapomnieli o łożu...

Ale tylko na chwilę.

79

Wiosenne jagnięta

Nazajutrz rano posadzili synków przed sobą w siodłach i Maira zabrała go na objazd swoich ziem. Wszędzie pasły się owce. Kiedy je mijali, unosiły znad młodej trawy białe, czarne i brunatne pyski. Zapędzili się dość daleko, by Rob docenił rozmiary wielkiej pagórkowatej posiadłości. Okalało ją wieńcem dwadzieścia siedem mniejszych.

– Wszyscy ci zagrodnicy to moi krewni – powiedziała z dumą Maira.

– Ilu tu jest mężczyzn?

– Czterdziestu jeden.

– To cała twoja rodzina?

– Tylko Cullenowie. Synowie Fineasza siedzą o pół dnia drogi na wschód, o, tam, za tymi wzgórzami. Z kolei Tedderowie o dzień drogi na północ, za przełęczą i rzeką. Też są z nami spokrewnieni.

– To ilu będzie razem?

– Półtorej setki chłopa.

– Toż to armia! – Rob gwizdnął z podziwu.

– Owszem, można czuć się bezpiecznie – przyznała.

Chwilami Rob miał wrażenie, że płynie rzeką owczego runa. Maira od razu wprowadziła go w rodzinne interesy.

– Hodujemy je dla runa i skór. Mięso trzeba szybko zjadać, bo się psuje. Jeszcze znudzi ci się baranina! – zaśmiała się i mówiła dalej: – Owce już się kocą. Mamy teraz moc pracy, bo wielu trzeba pomóc, część jagniąt wytrzebić, a część zabić między trzecim a dziesiątym dniem życia, kiedy skórka jest najdelikatniejsza. – To rzekłszy, zostawiła go z Craigiem i zawróciła do domu.

Jeszcze przed południem pasterze uznali go za swego. Przekonali się, że radzi sobie z trudnymi porodami, potrafi ostrzyć noże i się nimi posługiwać. Rob natomiast osłupiał widząc, jak kastrują nowo narodzone barany. Robili to zębami. Odgryzali malutkie gonady i wypluwali je do cebra.

– Czemu tak robicie? – spytał.

Craig wyszczerzył w uśmiechu zakrwawione zęby.

– Za dużo tryków – wyjaśnił lakonicznie.

– Ale czemu nie nożem?

– Tak się robi. Szybko i mniej boli.

Rob wyjął z sakwy swój nóż z hinduskiego bułatu i wkrótce pasterze zmuszeni byli przyznać, że robi to równie szybko i zręcznie.

Nie przyznał im się, że nabrał wprawy kastrując niewolników. On z kolei docenił niezależność tych ludzi i ich umiejętności.

– Nic dziwnego, że wybrałaś mnie na męża – powiedział później do Mairy. – W tym piekielnym kraju każdy jest twoim krewnym.

Rzuciła mu zmęczony uśmiech. Przez cały dzień skórowali w szopie jagnięta. Obejście cuchnęło wełną, krwią i mięsem, przywołując Robertowi nostalgiczne wspomnienia maristanu, lecz także szpitalnych namiotów w Indiach.

– Sporo się dziś nauczyłem – rzekł. – Będę dobrym pasterzem.

Uśmiech Mairy ustąpił miejsca oburzeniu.

– Oszalałeś? – zachnęła się dość ostro, a potem wzięła go za rękę i zaprowadziła do kamiennej przybudówki podzielonej na trzy wybielone izdebki. W jednej stał stół na krzyżakach, a wzdłuż ścian biegły półki. W drugiej zobaczył dwie długie drewniane ławy. Trzecia, jeszcze pusta, czekała na medyka.

Stopniowo poznawał kolejnych członków rodu.

Ostric grał na dudach. Rob dowiedział się o tym, tamując mu krwotok i zszywając głęboką ranę przedramienia, którą Ostric zadał sobie niechcący przy ściąganiu skór.

– Będę mógł grać? – dopytywał się z niepokojem. – Ta ręka porusza jeszcze miechem...

– Za parę dni wszystko będzie dobrze – zapewnił go Rob.

Kilka dni później, przechodząc przez garbarnię, gdzie wyprawiano skóry, przyjrzał się uważniej Malcolmowi, ojcu Craiga. Stary miał spłaszczony i opuchnięty czubki palców, a paznokcie zawijały mu się jak szpony. – Nie męczy was czasem kaszel i nawracająca gorączka? – spytał półgłosem.

– A tobie kto to powiedział? – zdziwił się Malcolm.

Objaw taki, zwany przez Ibn Sinę „palcami Hipokratesa”, zawsze świadczył o chorobie płuc.

– Widzę po rękach. Nogi wyglądają tak samo?

Szkot kiwnął głową i spytał:

– Jest na to jakaś rada?

– Jeszcze nie wiem.

Nachylił się, przykładając ucho do piersi starego, i posłyszał delikatne trzaski podobne do tych, jakie wydaje gotujący się ocet.

– Macie w piersi pełno płynu. Przyjdźcie któregoś ranka, to wywiercę otworek między żebrami i będziemy po trochu spuszczać tę wodę. Zbadam również mocz, dostaniecie zioła do okadzania i wskazówki, co jeść, żeby osuszyć ciało.

Wieczorem Maira powiedziała z uśmiechem:

– Rzuciłeś chyba urok na starego Malcolma! Opowiada wszystkim, że masz czarodziejską moc uzdrawiania.

– Nic jeszcze dla niego nie zrobiłem.

Nazajutrz czekał na staruszka w swojej małej lecznicy, lecz Malcolm nie przyszedł. W ogóle nikt się nie pokazywał. Zmartwiony zwierzył się żonie. Potrząsnęła głową.

– Nikt nie przyjdzie, dopóki kocą się owce. Tak już jest.

I tak było. Jeszcze przez dziesięć dni wszyscy byli zajęci. Potem mieli chwilę oddechu przed strzyżą i Rob zajrzawszy rano do przybudówki zdumiał się widząc, że wszystkie ławy są zajęte. Stary Malcolm powitał go serdecznie. Odtąd co rano schodzili się pacjenci, bo po górach i dolinach poniosła się wieść, że mąż Mairy Cullen jest prawdziwym uzdrowicielem. W Kilmarnock nigdy nie było medyka i Rob uświadomił sobie, że jeszcze przez wiele lat będzie naprawiał skutki domowych kuracji. Okoliczni Cullenowie przyprowadzali też do niego swoje zwierzęta lub bez większego skrępowania wzywali go do swych zagród. Nabrał wprawę w leczeniu zgnilizny kopyt i opryszczki pyska. Przy pierwszej okazji dokładnie zbadał wnętrzności krowy i paru owiec, żeby wiedzieć,

co robi. Sekcja pokazała, że znacznie się różnią i od świni, i od człowieka.

Wieczorem, nim przystąpili z Mairą do swego ulubionego zajęcia, którym było płodzenie kolejnego potomka, jeszcze raz podziękował jej za urządzenie lecznicy. Dowiedział się już od krewniaków, że była to pierwsza rzecz, jaką zrobiła po powrocie do Kilmarnock.

Nachyliła się nad nim i spytała bez ironii:

– Jak długo wytrzymałbyś ze mną, hakimie, gdybyś nie mógł leczyć?

Zanim zdążył zaprotestować, osłodziła mu te słowa pocałunkiem.

80

Dotrzymane słowo

Rob zabierał synów do lasu i na łąki, gdzie szukali potrzebnych ziół, znosili je do domu, potem jedne suszyli, inne ucierali. W czasie tych wspólnych zajęć uczył ich rozróżniać poszczególne rośliny po liściach i kwiatach. Mówił, jakie zioła stosuje się na ból głowy, skurcze, gorączkę czy biegunkę; jakimi leczy się krwotoki z nosa, odmrożenia, zapalenie gardła i łamanie w kościach.

Craig, który był zręcznym snycerzem i nawet na pastwisku dłubał drewniane łyżki, zrobił dla Roba zamykane wieczkiem szkatułki, w których zioła nie tęchły i nie pleśniały. Ozdobił je, podobnie jak swoje łyżki, rzeźbionymi zwierzętami, duszkami i czarodziejkami. Ich widok natchnął Roba do narysowania kilku figur.

– Mógłbyś mi zrobić coś takiego? – spytał.

Craig spojrział na rysunki, potem na niego, i kiwnął głową.

Rob narysował więc wszystkie figury do gry szacha i podzieloną na kwadraty tablicę. Nie trzeba było wiele tłumaczyć. Craig potrafił

wyrzeźbić wszystko, wkrótce więc znów spędzał z Mairą wiele czasu nad grą, której nauczył go nieżyjący perski władca.

Rob z zapałem uczył się nowego języka. Ksiąg w Kilmarnock nie było, ale wielu znało pismo, odmienne od wszystkich, z jakimi Rob dotąd się zetknął. Nauka nie była mu straszna, pracował więc pilnie przez całe lato i jesień, a z początkiem zimy potrafił już pisać krótkie zdania i mówić ku wielkiej ucieście wszystkich Cullenów, nie wyłączając jego własnych synów.

Tak jak podejrzewał, zimy były tu srogie. Mróz ścisnął zaraz po Gromnicznej. Był to czas łowów, śnieg zdradzał tropy zwierząt, zajęcy i jeleni, a przede wszystkim wilków, które często teraz zagrażały stadom. Wiezorami zbierali się wszyscy przy ogniu w olbrzymiej świetlicy. Craig strugał, pozostali naprawiali uprząż lub wykonywali wszelkie inne prace, które dało się wnieść pod dach. Ostric przygrywał nieraz na dudach, śpiewano, opowiadano baśnie, wymieniano uwagi, kobiety przędły i tkały. W Kilmarnock tkano sławne wełniane sukno z najlepszego runa, farbowane na wrzosowy kolor w wywarze z porostów. Folowano je wspólnie: kobiety rozkładały mokre pasy tkaniny, a następnie tłukły je i tarły, śpiewając rytmiczne pieśni. Ich głosy spletały się z dudami Ostrica w przedziwną muzykę, która powoli wrastała w serce Roba.

Najbliższy kościółek oddalony był o trzy godziny jazdy, Rob sądził więc, że minie bardzo wiele czasu, nim zetknie się z jakimkolwiek duchownym. Jednakże drugiej wiosny zjawił się w Kilmarnock niski pulchny człowieczek ze spokojnym uśmiechem na zmęczonej twarzy.

– Ojciec Domnall! – wykrzyknęła Maira biegnąc mu naprzeciw.

Już po chwili ksiądz zniknął w gromadzie witających go ludzi. Z każdym zamienił parę słów; jednego o coś spytał, innego

pocieszył, jeszcze innego poklepał po ramieniu. Iście, dobry lord wśród poddanych, pomyślał kwaśno Rob.

Na koniec ojciec Domnall podszedł do Roba i obejrzawszy go sobie od stóp do głów, zagadnął:

– Jesteś mężem Mairy Cullen.

– Tak.

– Łowisz ryby?

Pytanie zbiło go z tropu.

– Łowiłem pstrągi.

– Każdy łowił. Jutro rano zabiorę cię na łososa.

Nazajutrz o szarym świcie udali się nad wąską rwącą rzeczkę. Książdz przytaszczył dwa potężne kije (Rob zachodził w głowę, po co mu takie grube), zwój mocnej liny i misternie wykonane z piórek przynęty, piękne same w sobie, ze zdradziecko ukrytymi we wnętrzu haczykami.

– Zupełnie jak niektórzy ludzie – zauważył Rob.

Ojciec Domnall kiwnął głową i przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Pokazał mu, jak zarzucić przynętę i ciągać ją po wodzie drobnymi szarpnięciami imitującymi ruchy małej rybki. Próbowali kilkakrotnie. Tymczasem wzeszło słońce, ale wciąż nic nie brało. Rob wcale się tym nie martwił. Przyjemność sprawiał mu sam szmer płynącej wody, orzeł unoszący się w przestworzach, pokrzykiwanie kuropatw...

Przynęta zanurzyła się gwałtownie. Łosoś plusnął ogonem i natychmiast ruszył pod prąd.

– Biegnij za nim, bo zerwie haczyk albo złamie wędzisko! – krzyknął Domnall.

Rob już był w wodzie. Chlapiąc pod niebiosa gonił łososa, który w pierwszej chwili omal nie wyrwał mu wędki z rąk. Ślizgał się

po nierównym kamienistym dnie i co chwilę przewracał w lodowaty nurt, klnąc na czym świat stoi.

Ryba miotała się od brzegu do brzegu. Ksiądz głośnym krzykiem udzielał mu porad, lecz po chwili rozległ się donośny plusk i głos ucichł. Rob obejrzał się przez ramię: Domnall stał prawie po pas w wodzie, walcząc z własną rybą.

Rob starał się utrzymać zdobycz w środku nurtu. W końcu wydało mu się, że zapanował nad łososiem, chociaż czuł jego groźny ciężar u końca linki. Nareszcie wydostał się na płyciznę, ciągnąc za sobą słabo już opierającego się olbrzyma. Chwyć za nasadę przynęty tuż przy pysku, lecz wówczas łosoś szarpnął się konwulsyjnie i uwolnił, zostawiając na haku strzęp krwawej tkanki wyrwany z gardzieli. Przez chwilę leżał nieruchomo, brocząc krwią, potem strzępnął ogonem i dał nura w głębinę.

Rob był wściekły na siebie. Rozpływająca się w wodzie plama krwi świadczyła, że zabił rybę – niepotrzebnie, skoro ją stracił. Pchnięty raczej instynktem niż nadzieją, ruszył powoli w dół strumienia. Po paru krokach ujrzął w wodzie srebrny błysk i rzucił się za nim. Dwa razy tracił go z oczu; ranny łosoś spływał unoszony prądem, aż wreszcie silny nurt przycisnął go do głazu. Konał, ale jeszcze żył. Rob zanurzył ręce w paraliżująco zimnej wodzie, chwycił go mocno i wytargał na brzeg, gdzie zakończył jego męki. Ryba ważyła co najmniej dwa kamienie.

Domnall właśnie wyciągał swoją zdobycz, znacznie mniejszą.

– Twoja starczy dla wszystkich, nie? – spytał.

Kiedy Rob skinął twierdząco głową, ksiądz ostrożnie wyjął haczyk i włożył swego łososa z powrotem do strumienia, przytrzymując go tak, by woda obmywała skrzela. Ryba leniwie poruszyła płetwami, jakby wcale nie zależało jej na życiu. Po chwili

jednak pokrywy skrzelowe zaczęły się rytmicznie otwierać i zamykać; łosoś wywinął się zgrabnie i zniknął.

Patrząc na to wszystko, Rob doszedł do wniosku, że z tym księdzem mógłby się zaprzyjaźnić.

Zdjęli przemoczone ubrania i rozłożyli je do wyschnięcia, a sami wyciągnęli się obok na wielkim nagrzanym głazie. Ksiądz westchnął.

– To nie to samo co łowienie pstrągów – zaśmiał się.

– Faktycznie, różnica jest taka jak między zrywaniem kwiatów a ścinaniem drzew – przyznał Rob, oglądając krwawiące rany na nogach i niezliczone sińce, którymi poznaczony był od stóp do głów.

Domnall podrapał się po okrągłym brzuszku, białym jak u ryby, i zapadł w milczenie. Rob oczekiwał pytań, ale zauważył, że ten ksiądz ma zwyczaj raczej słuchać i czekać. Cechowała go cierpliwość, która uczyniłaby go nadzwyczaj groźnym przeciwnikiem w grzeszacha. W końcu Rob sam przerwał ciszę.

– Maira i ja nie mamy kościelnego ślubu. Wiesz o tym, ojcze?

– Coś niecoś słyszałem.

– Ano właśnie. Od wielu lat jesteśmy mężem i żoną. Ale ślubowaliśmy sobie sami.

Duchowny tylko chrząknął. Rob nieponaglany opowiedział mu wszystko, nie pomijając i nie starając się zbagatelizować swoich londyńskich kłopotów.

– Chciałbym, żebyś związał nas sakramentem, ale przypuszczalnie zostałem wyklęty z Kościoła – zakończył.

Zadumali się obaj, obsychając leniwie w słońcu.

– Jeśli tylko była taka możliwość, ten twój biskup pomocniczy Worcesteru na pewno ukręcił łeb sprawie – stwierdził Domnall. – Człowiek o jego ambicjach woli mieć brata, po którym słuch

zaginał, niż dźwigać na sobie hańbę pokrewieństwa z wyklętym czarnoksiężnikiem.

– A jeśli nie zdołał tego zatuszować?

Ksiądz zmarszczył nos.

– Masz jakiś dowód, że zostałeś ekskomunikowany?

– Nie. Ale to możliwe.

– Możliwe? Mam uzależniać kapłańską posługę od twoich lęków?

Ech, ludzie, ludzie! Zdaje się wam, że Chrystus jest równie jak wy strachliwy.

Zamilkł na chwilę. Potem rzekł:

– Urodziłem się w Prestwick. Od wyświęcenia siedzę w tej górskiej parafii i mam zamiar tu złożyć swoje kości. W przeciwieństwie do ciebie nigdy nie byłem w Londynie ani Worcesterze. I nie otrzymuję poleceń od biskupów, a tylko od Jezusa... Czy twoim zdaniem nie chciałby, żebym zrobił z was porządną chrześcijańską rodzinę?

Robert potrząsnął głową i uśmiechnął się szeroko.

Mały Rob i Tam zapamiętali do końca życia huczne weselisko rodziców i opowiadali o nim jeszcze swoim wnukom. Msza ślubna odprawiona w świetlicy Cullenów była skromna i cicha. Maira włożyła suknię z jasnoszarej materii, przystroiła ją srebrną broszą i pasem z kozłej skóry, gęsto nabijanym srebrem. Mszy wysłuchała z powagą, lecz oczy jej rozblęły, gdy ojciec Domnall związał na zawsze ją i Roba przed obliczem Bożym.

Potem rozesłała gońców do wszystkich krewniaków, by przybyli poznać jej męża.

W wyznaczonym dniu na wschodnim szlaku pojawił się cały chyba ród Fineasza, a z przełęczu zjechali liczni Tedderowie. Wieźli podarunki: kołaczki z owocami, pasztety z dziczyzny, baryłki mocnego trunku i wielkie salcesony z owsa i podrobów. W obejściu

Cullenów zapłonęły ogniska, nad którymi powoli obracały się na roznach wół i byk, osiem owiec, tuzin jagniąt i wiele sztuk ptactwa. Grała harfa, dudy, piszczałki i gęśle, a kobiety wraz Mairą śpiewały.

Mężczyźni urządzili rodzinne zawody, kto silniejszy. Rob poznał przy tej okazji niezliczonych Tedderów i synów Fineasza. Jednych od razu polubił, innych nie, starał się wszakże nie patrzeć wilkiem na kuzynów Mairy. W miarę jak trunek robił swoje, wielu kurzyło się już z głów, a niejeden próbował upić oblubieńca. Robert wznosił toasty na cześć żony, synów i klanu, od pozostałych zaś wykręcał się z uśmiechem.

Wieczorem, gdy ucza wciąż trwała w najlepsze, wyszedł na łąki. Noc była gwiaździsta, piękna, choć jeszcze chłodna. Czuł zapach janowca, a gdy zostawił za sobą weselny gwar, posłyszał beczenie owiec, rzenie konia, wiatr na wzgórzach i szum strumieni. Wyobraził sobie wtedy, że ze stóp wyrastają mu korzenie, zapuszczając się coraz głębiej i mocniej w tę twardą kamienistą glebę.

81

Koło się zamyka

To, kiedy kobieta rozkwitnie nowym życiem, wie chyba tylko Bóg. Po urodzeniu dwóch synów i pięciu bezpłodnych latach Maira wkrótce po ślubie znów zaszła w ciążę. Bardziej teraz na siebie uważała, częściej prosiła mężczyzn o pomoc.

Przeważnie wyręczali ją synowie, którzy towarzyszyli jej wszędzie. Od razu było widać, który ma zadatki na owczarza. Mały Rob pracował przy owcach chętnie, ale wolał inne zajęcia. Tam zdawał się je rozumieć, sam rwał się do karmienia, a ostatnio i do nożyc.

Inny jego talent objawił w niezdarnych początkowo figurach kreślonych na ziemi patykiem. Przyjrzawszy się im, ojciec dał mu węgiel drzewny i sosnową deskę i nauczył przedstawiać ludzi i rzeczy. Wkrótce Tam odmalowywał, co mu w oko wpadło, nie pomijając ani wad, ani uroków swych modeli.

Nad jego posłaniem wisiał królewski dywan Samanidów. Wszyscy wiedzieli, że jest własnością chłopca, darem od przyjaciela rodziny z Persji. Tylko raz Robert poruszył w rozmowie z Mairą tę dawno pogrzebaną sprawę. Patrząc, jak Tam biegnie za odłączoną owcą, zrozumiał, że wiedza o związku krwi, jaki łączył go z dalekim obcym krajem, może go co najwyżej skrzywdzić.

– Nie mówmy mu – powiedział.

– To twój syn – odparła z naciskiem Maira.

Objęła go niezgrabnie, by nie uciskać brzucha, w którym szykowała się do przyjścia na świat Agnieszka, ich jedyna córka.

Robert dość prędko poznał tutejszą mowę – ostatecznie wciąż słyszał ją wokół siebie. Ojciec Domnall pożyczył mu komentarze do Pisma Świętego spisane przez iryjskich mnichów. I tak jak niegdyś studiował perski Koran, również gaelickiego nauczył się na świętej księdze.

W izbie, gdzie przyjmował chorych, powiesił „szklanego człowieka” i „brzemieną” i zaczął uczyć synów anatomii. Poważnie odpowiadał na każde ich pytanie. Wzywany do chorego człowieka czy zwierzęcia, często brał ze sobą jednego lub obu chłopców.

Któregoś razu mały Rob pojechał z nim na grzbiecie Al-Buraka do zagrody Ostrica. W izbie unosił się charakterystyczny odór. Żona grajka, Ardis, była konająca.

Chłopiec przyglądał się, jak ojciec odmierza i podaje chorej napar. Potem Robert polał wodą płótno i podał je synowi.

– Otrzyj jej twarz – powiedział.

Malec zrobił to delikatnie, troskliwie obmywając spieczone wargi. Kiedy skończył, na poły bezwładne dłonie Ardis z wdzięcznością poszukały jego dłoni.

Robert ujrzał, że czuły uśmiech znika z twarzy synka, a jego miejsce zajmuje strach. Chłopiec gwałtownie wyrwał ręce z uścisku.

– Nie bój się – ojciec objął go i mocno uścisnął. – Tak po prostu jest. Nie trzeba się tego bać.

Mały Rob miał siedem lat, o dwa mniej niż on, kiedy tego doświadczył. Oto życie zatoczyło pełny krąg.

Uspokoił Ardis i siedział przy niej jeszcze przez chwilę. Po wyjściu z zagrody ujął syna za ręce, żeby Rob poczuł krzepiącą żywotną siłę płynącą w żyłach ojca. Spojrzał mu w oczy.

– Dzisiaj wyczułeś coś w Ardis, a teraz we mnie czujesz życie. To dar od Boga. Dobry dar. Nie próbuj teraz go zrozumieć. Przyjdzie czas, że wszystko pojmiesz, a na razie po prostu się nie bój.

Kredowobiała twarzyczka powoli odzyskiwała barwy.

– Dobrze, ojciec – wyszeptał.

Rob wsiadł na konia, podciągnął chłopca na siodło i zabrał go do domu. Ardis umarła tydzień później.

Odtąd mały Rob nie pojawiał się w lecznicy i nie wpraszał na wizyty. Robert go nie ponaglał. Trzeba być gotowym, by wziąć na swoje barki cierpienie świata.

Tymczasem Rob pomagał Tamowi przy owcach, ale prędko się tym znudził. Wolał zbieranie ziół i długie samotne wędrówki po wzgórzach. Miał wiele do przemyślenia.

Ojcu nadal ufał i pewnego dnia, gdy Robert wyjeżdżał do chorego, pobiegł za nim.

– Mogę jechać z tobą? Popilnuję konia...

Robert kiwnął głową i podniósł go na siodło.

Po jakimś czasie Rob nie przymuszany przez nikogo zaczął zaglądać do lecznicy, a gdy skończył dziewięć lat, towarzyszył ojcu już co dzień.

Rok po urodzeniu Agnieszki Maira wydała na świat trzeciego syna, któremu dali na imię Nataniel. Następne dziecko, też chłopiec, urodziło się martwe. Potem dwa razy poroniła i choć wciąż była zdolna do rodzenia, już nie zaszła w ciążę. Bardzo się tym gryzła, bo chciała dać mężowi wiele dzieci, ale stopniowo odzyskała siły i radość życia.

Pewnego dnia, gdy Nataniel miał już prawie pięć lat, do Kilmarnock zabłąkał się człowiek w zakurzonej czarnej chałacie i skórzanej czapce w kształcie dzwonu. Prowadził objuczonego osła.

– Pokój z tobą – rzekł do niego Robert po hebrajsku.

Żyd rozdziawił usta i ledwie zdołał wyjąkać:

– I z tobą...

Żyd był krzepkim, ogorzałym w podróży mężczyzną z rozłożystą zmierzwioną brodą. Zmęczenie wyryło mu zmarszczki wokół oczu i ust. Nazywał się Dan ben Gamliel i pochodził aż z Rouen.

Robert pomógł mu obrządzić konia i osła, dał mu wodę do mycia i postawił przed nim dozwolone jadalno. Odmówił błogosławieństwo nad chlebem i winem stwierdzając przy tym z żalem, że zaczyna już zapominać ich Język.

– To wyście żydzi? – zdumiał się Dan ben Gamliel.

– Nie. Jesteśmy chrześcijanami.

– A... Odszczepieniec? Wychrzta?

– Też nie. Nie należę do waszego narodu.

– To dlaczego to robisz?

– Bo mam wielki dług do spłacenia – odpowiedział Rob.

Dzieci gapiły się na nieznanego, słuchając ze zdziwieniem obcych słów płynących z ust ojca.

– Może po posiłku siedlibyśmy razem do rozważań. – Robert poczuł, jak rośnie w nim zapomniane już podniecenie. – Pomówili o Prawie...

Miał nawet ochotę wyjąć schowane w skrzyni filakterie, okręcić je na kształt litery nienazywanego Boga i kiwać się wraz z tym człowiekiem w krzepiącym, kojącym rytmie...

Żyd przybladł i umknął wzrokiem w bok.

– Wybacz, ale... Nie jestem uczonym.

Skrywając rozczarowanie Robert zaprowadził go w miejsce, gdzie gość mógł wygodnie się wyspać – tak jak jego samego goszczono w żydowskich wsiach.

Nazajutrz, kiedy przyszedł go zaprosić na poranny posiłek, przybysza już nie było. Wraz z nim zniknął jego koń, osioł i manatki. Wolał czmychnąć ukradkiem, niż narażać się na hańbiący kontakt z zaprzańcem.

Był to ostatni Żyd, jakiego spotkał. Nigdy też więcej nie przemówił Językiem.

Czuł, że farsi także zaciera mu się w pamięci. Postanowił, nim zatrze się całkiem, przetłumaczyć „Kanon” Ibn Siny na angielski, aby nadal móc się radzić Księcia Medyków. Zajęło mu to bardzo dużo czasu – kto wie, czy nie więcej, niż Ibn Sina strawił na napisanie dzieła.

Czasami żałował, że nie zdążył poznać wszystkich żydowskich przykazań. Jesse ben Beniamin, który kiedyś był nim samym, powoli stawał się obcy, aż w końcu zniknął. Robert nigdy o nim nie wspominał. Rzadko wracał do tamtych czasów i miejsc. Raz, gdy jego synowie wzięli udział w wyścigu dla uczczenia dnia świętego Kolumbana, opowiedział im o biegaczu imieniem Karim, który

zwyciężył w długim wspaniałym wyścigu zwanym chatirem. Czasem, zwykle przy bezmyślnym, prozaicznym zajęciu, jakie odmierzały upływ powszednich dni – wyrzucaniu nawozu z obory, odgarnianiu śniegu albo rąbaniu drew – czuł nagle w nozdrzach zapach rozgrzanej pustyni, widział Farę Askari zapalającą długie szabasowe świece albo kołysało nim wspomnienie szaleńczego pędu latających wielbłądów. Z czasem jednak zaczęło mu się wydawać, że całe życie spędził w Kilmarnock, a wszystko to baśnie zasłyszane przy ogniu w zimowy wieczór.

Dzieci rosły i zmieniały się, żona z wiekiem zeszczuplała i jeszcze wypiękniała. Mijały pory roku, ale jedno pozostało niezmiennie: ów szósty zmysł, wrażliwość uzdrowiciela. Wezwany nocą do łóżka chorego czy wszedłszy rano do izby, gdzie czekali pacjenci, wciąż czuł ich ból. Stawał z nim do walki i zawsze, tak jak pierwszego dnia w maristanie, ogarniało go zdumienie i wdzięczność, że to do niego Bóg wyciągnął rękę i dotknął go, czyniąc swym sługą i wybrańcem.

Podziękowania

Tylko dwaj bohaterowie tej opowieści – Ibn Sina i al-Dżuzdżani – są wzięci z życia. Szach o imieniu Ala ad-Daula istniał naprawdę, lecz zachowało się o nim niewiele danych. Na jego postać złożyły się więc cechy kilku perskich władców.

Za wzór maristanu posłużyły mi opisy średniowiecznego szpitala Adudi w Bagdadzie.

Zarówno klimat, jak większość faktów dotyczących jedenastego wieku przypadły w mrokach historii. Tam, gdzie ich brakło, nie wahałem się popuścić wodzy fantazji. „Medicusa” należy więc traktować jako dzieło wyobraźni, a nie próbę odtworzenia fragmentu historii. Za wszelkie błędy, duże i małe, tylko ja ponoszę winę.

Powieść ta jednak nie zostałaaby napisana bez pomocy bibliotekarzy i wielu innych osób.

Dziękuję Uniwersytetowi stanu Massachusetts w Amherst za przyznanie mi uprzywilejowanego dostępu do wszystkich bibliotek tej uczelni. Serdeczne podziękowania składam również Edli Holm z wypożyczalni międzybibliotecznej uniwersytetu.

Cennym źródłem książek o medycynie i historii medycyny była dla mnie Lamar Soutter Library Centrum Medycznego w Worcesterze przy Uniwersytecie Massachusetts.

Kolegium Smitha uprzejmie zaliczyło mnie do „badaczy przedmiotu”, dzięki czemu mogłem korzystać z biblioteki Williama Allana Neilsona, a biblioteka Wenera Jostena w Centrum Sztuki

Użytkowej Smitha okazała się znakomitym źródłem szczegółowych danych z dziedziny strojów.

Nigdy mnie nie zawiodła Barbara Zalenski z biblioteki Belding Memorial w Ashfield, choć moje kwerendy kosztowały ją nieraz wiele pracy.

Kathleen M. Johnson z biblioteki Bakera w Harvards Graduate School of Business Administration dostarczyła mi danych z dziedziny historii pieniądza w wiekach średnich.

Pragnę również podziękować bibliotekarzom i bibliotekom Amherst College, Mount Holyoke College, uniwersytetów Clarka i Brandeis, Bibliotece Medycznej Countwaya w Harvard Medical School, bostońskiej Bibliotece Publicznej i Konsorcjum Bibliotecznemu w tym mieście.

Richard M. Jakowski, doktor medycyny weterynaryjnej, patolog z Tufts-New England Veterinary Medical Center w North Grafton, sporządził dla mnie porównanie anatomii świni i człowieka. Swoją wiedzę w tej dziedzinie zawdzięczam również doktor Susan L. Carpenter z laboratoriów Rocky Mountain przy Państwowym Instytucie Zdrowia w Hamilton w stanie Montana.

Rabin Louis A. Rieser ze Świątyni Izraela w Greenfield w stanie Massachusetts przez kilka lat odpowiadał na moje pytania dotyczące judaizmu.

Szczegóły rytualnego uboju poznałem od rabina Philipa Kaplana z Associated Synagogues w Bostonie.

Graduate School of Geography przy Uniwersytecie Clarka zaopatrzyła mnie w mapy i dane geograficzne dotyczące jedenastego wieku.

Przy przekładach z łaciny pomogli mi pracownicy wydziału filologii klasycznej Kolegium Świętego Krzyża w Worcesterze.

Robert Ruhloff, kowal z Ashfield, udzielił mi informacji na temat indyjskiego bułatu i podsunął fachowe czasopismo „The Anvils Ring”.

Gubernator Phelps z Ashfield opowiedział mi, jak się w Szkocji łowi łososie.

Zachętę do pracy zawdzięczam swojej poprzedniej agentce, dziś już na emeryturze, Patricii Schartle Myrer, jak również obecnemu agentowi, Eugene’owi H. Winickowi z agencji McIntosh and Otis, Inc. Patricia Myrer podsunęła mi pomysł napisania dziejów lekarskiej dynastii, obejmujących wiele pokoleń. Dzięki niej powstał cykl, którego częścią jest ta książka.

Redaktorem idealnym – twardym i wymagającym, serdecznym i pomocnym – który sprawił, że publikacja tej powieści stała się dla mnie ważnym doświadczeniem, jest Herman Gollob z wydawnictwa Simon # Schuster.

W przepisywaniu i korekcie tekstu pomagała mi Lise Gordon, która wraz z Jamie Gordon, Vincentem Rico oraz Michælem i Wendi Gordonami wspierała mnie swoją miłością i podtrzymywała na duchu.

I jak zawsze wiele zawdzięczam zmysłowi krytycznemu, lojalności i miłości mojej żony Lorraine, której od lat winien jestem słowa podzięk.

Ashfield, Massachusetts

MEDICUS

Anglia, XI wiek. Rob J. Cole, syn cimsli i hafciarki, po śmierci rodziców zostaje pomocnikiem wędrownego balwierza parającego się również leczeniem. Wykazuje nie tylko zapał do nauki, ale też ową szczególną wrażliwość, która pozwala „czytać” w chorym organizmie, dostzegać w nim wolę walki lub chęć poddania się. Punktem zwrotnym w jego życiu staje się spotkanie z żydowskim lekarzem, którego kunszt przewyższa umiejętności średniowiecznych medyków. Odtąd każdym krokiem Roba kieruje jedno tylko pragnienie: dotrzeć do Isfahanu i zostać uczniem sławnego perskiego lekarza, Ibn Siny, w świecie zachodnim zwanego Awicenną.

W ekranizacji powieści wystąpili Tom Payne, Stellan Skarsgård oraz Ben Kingsley.



Rsiegznica

www.publicat.pl

ISBN 978-83-246-8176-4

EAN 9789324681764

U.KS.JH3957.1 01.01